

*Lidia* LISZEWSKA  
*Robert* KORNACKI



# Napisz do mnie

*Poruszająca, współczesna opowieść o poszukiwaniu prawdziwej miłości. I o tym, że nasze losy to często wynik przypadku. Znakomita lektura.*

**JANUSZ LEON WIŚNIEWSKI**



*Lidia* LISZEWSKA  
*Robert* KORNACKI

# Napisz do mnie



## Rozdział pierwszy

*w którym poznajemy Matyldę.*

*Jest też o gościu z Holandii i bułgarskiej kuchni*

Poczuła delikatne wibracje w torebce; uliczny hałas niemal zupełnie zagłuszył dźwięk telefonu. Rozpadało się na dobre i deszcz zacinął coraz mocniej. Mały przystanek tramwajowy nie mógł pomieścić wszystkich chętnych na kilka suchych centymetrów, niewielki daszek nie stanowił najlepszej zapory przed lejącą się z nieba wodą. Ona nie miała zaś ochoty moknąć. Lubiła ciepłe majowe deszcze, ale zimne ulewy i burze już nieszczególnie.

Naprzeciw przystanku był antykwariat – znała to miejsce od lat. Postanowiła przeczekać tam pierwszą falę deszczu. Cichym dzwonkiem przy drzwiach obwieściła swoje wejście do sklepu. W środku prawie nie było słyhać miejskiego zgiełku oraz kropel uderzających wściekle o bruk i w szyby.

Doceniła jakość wiosennego płaszcza o intensywnym chabrowym kolorze. Kupiła go w poprzednim sezonie, sporo przepłacając, ale nie mogła oprzeć się sile koloru i bajecznym guzikom w kształcie srebrnych kwiatów. Woda swobodnie spłynęła po porządnej tkaninie, a ta nie zmieniła się pod wpływem wilgoci w bure nie wiadomo co. Tak zwykle działa się z tanią odzieżą, którą trzeba było wymieniać zdecydowanie zbyt często. Jeden rzut oka wystarczył, by stwierdziła z zadowoleniem, że to były dobrze wydane pieniądze. Wygładziła kołnierz i spojrzała za okno. Ciemne, niskie chmury nie zapowiadały rychłego końca ulewy.

Teraz mogła spokojnie zerknąć na telefon i odczytać zawartość małej migającej koperty: „Kochanie, wszystko się przedłużyło o co najmniej dwie godziny. Luuk jest dopiero w drodze z lotniska. Zorganizuj sobie jakiś czas. Przepraszam... Zjedz sama na mieście. Odezwę się, kiedy skończymy. Pa!”

Tym samym stało się jasne, że nie musiała się nigdzie śpieszyć. Firma, w której pracował Wiktor, wybrała Polskę na siedzibę kolejnego oddziału, obsługującego developerskie rynki centralnej i wschodniej Europy. Do tej pory najważniejsze decyzje zapadały w centrali w Holandii, już niedługo część z nich podejmowana będzie również nad Wisłą. Miał tego dopilnować jeden z wiceprezesów, oddelegowany na pewien czas do Warszawy. Być może przesądziły o tym jego polskie korzenie? Prababka Luuka de Vriese pochodziła z Gdańska, a on sam kilkakrotnie odwiedził kraj przodków, szukając tu rodzinnych pamiątek. Propozycję przyjął więc z otwartymi ramionami. Holenderskim gościem miał się opiekować właśnie mąż Matyldy. Wiktor, zdolny architekt, oprócz umiejętności praktycznych mógł pochwalić się jeszcze jedną – biegle mówił w kilku językach. Planując rozwój kariery, kilka miesięcy temu rozpoczął naukę holenderskiego. Nie miało to co prawda większego znaczenia, bo przy międzynarodowych projektach i tak posługiwano się angielskim, ale w kontaktach prywatnych z wysłannikiem zarządu nie będzie przeszkadzać. A już na pewno pozwoli przełamać pierwsze lody – podkreślał

jej mąż, wkuwając kolejne słówka.

Przedłużenie spotkania oznaczało, że przez dwie godziny mogłaby leniwie powłóczyć się po mieście. Gdyby nie ten deszcz...

Sprezentowała sobie wolny dzień. Rano zrobiła porządek z włosami, na później zaplanowali z mężem spokojny obiad w niedawno otwartej bułgarskiej restauracji. Niewielką knajpkę odkryli zupełnie przypadkiem, kiedy szukali punktu napraw maszyn do szycia. Najlepszy w mieście – jak się okazało – był o dwa kroki od Musały. Lokal kusił domową atmosferą i doskonałymi potrawami, z których ona najczęściej wybierała kjufte. Wiktor rozsmakował się w kebabkach. Na deser zgodnie zamawiali kadaife, choć i miejscowa bakława wyglądała obiecująco. Oboje lubili nie tylko jeść, ale i rozmawiać o potrawach. Wymiana kulinarnych doświadczeń mogła u tej dwójki trwać godzinami – i zwykle trwała.

– Mogę pani w czymś pomóc? – Zza ciężkiej ciemnopomarańczowej kotary wyłonił się drobny starszy pan w jeszcze drobniejszych okularach w ciemnej oprawie. Idealnie skrojona marynarka w modnym, głębokim granacie nie pasowała do lekko spłowiałego wnętrza, a nienaganna biel koszuli pod ładną kremową kamizelką kontrastowała z mnogością przygaszonych brązów oraz zieleni, dominujących w sklepie.

– Dziękuję... Rozpadało się na dobre. – Matylda uśmiechnęła się łagodnie na widok życzliwego spojrzenia antykwariusza. Rozejrzała się wokoło, przenosząc ciekawie wzrok z kontuaru na wysoki regał obok okna wychodzącego na ulicę.

Sklep istniał, odkąd pamiętała, ale była w nim tylko raz, może dwa, i to wiele lat temu. Przechodziła obok niego w drodze na korepetycje z chemii. Przez krótki moment błysnęło jej przed oczami wspomnienie kolorowych kwadracików układu okresowego pierwiastków i małych menzurek w metalowych stojakach...

Tuż obok było kino, ale nie pozostał już po nim nawet ślad. Na miejscu dużego, przysadzistego budynku wyrosła kolejna błyszcząca szkłem i krzykliwymi neonami galeria handlowa z pachnącymi popcornem, nowoczesnymi salami projekcyjnymi. Antykwariat trwał zaś niestrudzenie tam, gdzie zawsze, i Matyldzie to „zawsze” nagle wydało się czymś wyjątkowym. Znała to uczucie – niepokojące mrowienie i lekki uścisk w gardle, jakby coś miało się wydarzyć. Poczwała to niezwykle mocno i wyraźnie.

Takie miejsca bardzo lubiła ciotka Matyldy, cicha bibliofilka, dla której siostrzenica wyszukiwała rozmaite pozycje. Głównie te, których normalnie nigdzie już nie można było kupić. Poprzednim razem wpadła jej w oko niezwykła ramka do zdjęć: drewniana, misternie rzeźbiona w motyw bluszczu. Była mocno zniszczona przez korniki, ale zdobienia przykuły wzrok Matyldy na tyle, że bez wahania kupiła ją dla starej ciotki.

Sama od antykwariatów zdecydowanie wolała sklepy z tkaninami. Czekać, aż przestanie padać, kręciła się powoli wśród regałów, półek i niskich stoliczków. Zapalone tu i ówdzie małe lampy, rzucające ciepłe żółte światło, uspokajały i dawały ukojenie w samym sercu tętniącego nowoczesnym hałasem miasta.

Delikatnie pachniało kurzem, materiałami, które – niewietrzone – zbyt długo leżały w jednym miejscu, oraz dawno lakierowanym drewnem. Kusiło śladem upływającego czasu, trafnie odczytującego cichy szept wypływiających kolorów z abażurów niemodnych lamp, obić foteli i z wzorów na starej porcelanie, którym daleko do nieskomplikowanego

współczesnego wzornictwa.

Część książek ktoś ładnie ułożył na sfatygowanym sekretarzyku. Tuż obok spoczywała urokliwa filiżanka w limonkowych odcieniach w komplecie z mlecznikiem i cukiernicą. Sam sekretarzyk był równie ciekawy jak to, co na nim leżało. Miał wprawdzie niemożliwie wręcz zniszczony blat, ale za to mnóstwo mniejszych i większych szufladek. Kremowe, błyszczące gałeczki z niewielkimi złotymi inicjałami „JW” zachęcały do dotykania. Matylda zaczęła ostrożnie otwierać szufladki. Nasilił się zapach starego drewna, a wraz z nim pojawiło się wspomnienie wiekowej szafy w domu dziadka... Na krótki moment znów była małą dziewczynką, która z wypiekami na twarzy szuka w niej niespodzianek i tajemnic.

Prawie wszystkie szufladki były puste. Tylko w jednej po dnie przeturlało się kilka ciemnozielonych ołówków różnej długości. Między nimi błysnęła otulona niewielkim kłaczkiem kurzu, wysłużona stalówka, Matylda zobaczyła też kawałek aksamitnej, postrzępionej na końcach wstążki. Środkowej szufladki nad blatem nie można było otworzyć, coś lekko blokowało ją od środka. Ustała dopiero przy mocniejszym pociągnięciu. Leżał w niej dokładnie złożony stosik równo przyciętych, pożółkłych kartoników, owiniętych kilkakrotnie cienkim, szarym sznureczkiem. Obok znajdowały się rozrzucone w nieładzie niewielkie koperty w trochę jaśniejszym kolorze, z drobnym ciemnym wzorem w każdym rogu. Matylda wzięła kilka do ręki; miały mocno chropowatą fakturę.

– Nie miałem pojęcia, że coś jest w tych szufladach! – Z zamyślenia wyrwał ją głos antykwariusza.

– Chciałabym zabrać tę papeterię... Sprzeda mi ją pan? – rzuciła trochę w przestrzeń, trochę do siebie.

Zmrużone oczy zza drobnych okularów przyglądały się w zamyśleniu, jak dłonie Matyldy zgrabnie składają papierowy rozgardiasz.

– Proszę je wziąć – odpowiedział dopiero po chwili. – Może się pani przydadzą...

Następnie wrócił za kontuar i otworzył duży ciemny zeszyt z rzędami liczb, uznając widocznie rozmowę za zakończoną.

– Dziękuję... – powiedziała Matylda, wsuwając papier listowy i koperty do pustej kieszeni w torebce.

Ulicę przed sklepem zalał snop światła pachnącego wilgotną świeżością.

W tym mieście ludzie śpieszyli się gdzieś dzień i noc. Podbiegali do autobusów, szybko przechodzili przez ulicę, objijając się o siebie i nie próbując nawet przeproszać. Jakby anonimowość zwalniała człowieka z obowiązku bycia grzecznym na co dzień i od święta, nawet wśród przyjaciół. Kogoś uprzejmie zagadującego o cokolwiek w oczekiwaniu na tramwaj obrzucano nieufnym spojrzeniem i na wszelki wypadek odwracano się w drugą stronę z miną mówiącą: odejdz, dziwaku...

Jakiś barczysty mężczyzna potracił Matyldę, próbując ją szybko wyminąć. Czasopisma wnętrzarskie, które dopiero co kupiła, rozsypały się po mokrym chodniku. Facet odwrócił się tylko na moment i z obojętnym wyrazem twarzy zniknął za rogiem. Okładki przemokły bardzo szybko. Z trudem odkleiła je od płyt chodnikowych i trochę zła rozejrzała się dookoła. Kilka metrów dalej dostrzegła wejście do kawiarni. Musiała

coś zrobić z zabłoconą prasą.

W środku pachniało zachęcająco dobrą kawą. Wnętrze było przytulne, nienachalnie kolorowe, niezbyt przestronne, w sam raz, żeby poczuć się tu oczekiwanym i mile widzianym gościem. Jasne lniane zasłony w czystych oknach, kilka zadbanych kwiatów w doniczkach i dyskretnie rozmieszczonych małych półek z książkami dopełniało wystrój. Kawiarenka miała „to coś”.

Powiesiła płaszcz na wieszaku i wybrała stolik przy oknie. Stały przy nim tylko dwa niewielkie fotele o wesołym, zielonym obiciu. Na jednym położyła torebkę, na drugim usiadła, oddychając głęboko. Była tu po raz pierwszy.

Jej ulubiona „Weranda” była w najlepszym stanie, ale jeden z periodyków musiała wyrzucić. Sklejonych wilgocią kartek nie dało się rozdzielić bez uszczerbku dla tekstu.

– Podać coś pani? – Filigranowa brunetka wręczyła Matyldzie niewielką kartę i z uśmiechem wyjęła mały bloczek z kieszeni.

– Latte proszę. I ciemny cukier. Da mi pani coś do osuszenia tych gazet? Coś bardzo chłonnego, będę wdzięczna – poprosiła Matylda, wygładzając brzeg sukienki dłonią i kierując wzrok na stosik czasopism.

– Zaraz coś znajdę. Proponuję jeszcze domowe ciasto drożdżowe do kawy albo tartę wiśniowo-czekoladową. To nasze specjalne propozycje na dziś. – Uprzejmy uśmiech nie schodził z twarzy młodziutkiej brunetki.

– Tarta brzmi dobrze. Poproszę.

Nie musiała się długo zastanawiać. W środku dnia, w maju, po deszczu – miała ochotę na coś naprawdę dobrego.

Zrobiła porządek z prasą za pomocą góry ręczników papierowych i teraz w oczekiwaniu na kawę przyglądała się dwóm dziewczętom przy małym stoliczku. W zdecydowanie za krótkich pastelowych sukienkach i kolorowych trampkach były tak pochłonięte rozmową, że nie zwracały uwagi na to, co działo się wokół nich. Gestykulowały zawzięcie i bawiły się nerwowo końcami włosów. Szatynka swoim kucykiem, zaczesanym zalotnie na bok, a jej koleżanka grubym końskim ogonem w odcieniu wyblakłej słomy. Chwilę zajęło Matyldzie oderwanie się od sceny przy sąsiednim stoliku. Zapachniały przyniesione właśnie kawa i trójkącik wiśniowej tarty.

Zerknęła jeszcze na swój telefon. Nadal nie było żadnej wiadomości od Wiktora, więc wsunęła komórkę z powrotem do torebki. Z czystą przyjemnością zajęła się kawą i ciastem. Wiśniowy zawrót głowy bez wątpienia był wart swojej ceny.

W tym momencie przypomniała sobie o papeterii z antykwariatu. Wyciągnęła kartki i koperty, żeby dokładniej im się przyjrzeć. Przy kawiarnianym oknie znacznie zyskały na urodzie. Były pożółkłe, ale nie zniszczone. Rozłożyła delikatnie kartkę papieru listowego i zajrzała do środka jednej z kopert, jakby spodziewała się, że coś w niej znajdzie. Kurzem pachniały już coraz mniej, aromat drewna był jednak ciągle wyczuwalny. Mieszał się teraz z zapachem jej perfum, które nosiła w tej samej przegródce. Nic dziwnego – perfumowana woda, którą dostała od Wiktora w zeszłym miesiącu i którą od razu pokochała, otaczała wszystko wokół kusicielską aurą.

Przez długą chwilę Matylda przesuwiała palcami po chropowatej powierzchni papieru. Powoli przetała otwartą dłonią rozłożoną kartkę i spróbowała wygładzić jej

zagięcia. Przeniosła wzrok gdzieś za okno i przyglądała się nieruchomo ulicy, wciąż zmieniającej się pod wpływem światła, przejeżdżających aut i ludzi kręcących się we wszystkich możliwych kierunkach. Z torebki wyciągnęła jasne etui, rozsunęła zamek i wyjęła z niego eleganckie, błyszczące pióro...

Drobna kelnerka dyskretnie przypatrywała się kobiecie, kiedy ta pochyliła się nad kartką. Wycierając dokładnie wysokie szklanki do koktajli, zastanawiała się, kiedy ją samą będzie stać na taki ciuch. Przy obecnej pensji raczej nieprędko. Westchnęła.

Sukienka nie była z sieciówki. Zachwycała krojem ramion, idealnym dopasowaniem w talii i pięknie rozkloszowanym dołem, przypominającym trochę sukienki z początku lat sześćdziesiątych. Chabrowo-żółte kwiaty na śnieżnobiałym tle ładnie kontrastowały ze srebrnymi sandałkami i chłodnym blondem starannie uczesanych włosów ich właścicielki. Tylko torebkę zamieniłaby na plecak.

Matylda przerwała pisanie i złożyła zapisane kartki na czworo. Pozostałe schowała z powrotem do torebki. Zastanawiała się przez chwilę, czy nie zakleić koperty, do której wsunęła list. W tym momencie zabrzączał esemes – Wiktor był już wolny. Najwyższy czas, bo pora obiadowa dawno minęła. Wybrała numer męża i ze słuchawką przy uchu zaczęła chować wysuszone czasopisma do torebki.

– Jestem w Żółtej Cizemce, przy Bakaliowej. Podjedziesz? Dobrze, zaraz wychodzę. Zasiedziałam się trochę. Będę czekała obok antykwariatu przy Chłodnej. – Przez chwilę słuchała głosu w telefonie. – Spróbujmy jednak do tej bułgarskiej, na pewno znajdzie się jakiś stolik. Na razie!

Schowała komórkę i podeszła do wieszaka. Zapięła guziki płaszcza, po czym wyjęła z torebki ładny, dopasowany do niej portfel i wyciągnęła z niego banknot. Położyła go obok pustego talerzyka po tarcie wiśniowej i znów sięgnęła po torebkę, rzucając uprzejme „do widzenia” pod adresem kelnerki. W tym momencie list, trącony paskiem od płaszcza, spadł na podłogę. Telefon niecierpliwie zabrzączał jeszcze raz; postanowiła odebrać już na ulicy.



## Rozdział drugi

*w którym deszcz przestaje padać, a Kosma przekonuje się, że życiem kieruje przypadek*

Wściekły na siebie i cały świat, wypadł przez drzwi i wyszedł na ulicę. Tym razem doskonale wiedział, że jakoś-to-NIE-będzie. Nie ma na to żadnej szansy, *no fucking way*... Zawałił na całej linii, mój przyjacielu, powtarzał w myślach i szedł przed siebie, omijając kałuże. Musiało padać przynajmniej ze dwie godziny, bo woda zbierała się na chodniku, tworząc malownicze rozlewiska. Spojrzał na zegarek – wielką cebulastą doxę, jaką otrzymał przed laty od dziadka Zygmunta. Szwajcarski mechanizm mimo upływu lat pracował bez zarzutu i wskazywał teraz trzynastą trzydzieści. Kosma lubił takie drobne przyjemności; dobry czasomierz, oryginalną poszetkę w kieszonce marynarki czy intrygujące perfumy uważał za coś obowiązkowego. Niestety, dziś ze swego arsenału mógł liczyć tylko na zegarek. Opuszczał Łódź w pośpiechu, w zasadzie tak, jak stał. Na wariackich papierach. Jechał do Warszawy bez przekonania.

Kilka dni wcześniej, prowadząc w radiu popołudniowy program, zauważył pulsującą lampkę przy telefonie.

– Puść coś dłuższego, bo masz na linii jakiegoś pana z TV – usłyszał w słuchawce głos swego wydawcy. – I... odbierz ten telefon, to chyba coś ważnego.

Z ociąganiem przejrzał dostępne utwory i po krótkim zastanowieniu zdecydował się na *Close Your Eyes* Michaela Bublé. Wiedział, że słuchające go gospodynie domowe rozmarzą się i część tych uczuć przeleją platonicznie na niego. A poza tym nie była to długa piosenka, w sam raz na to, by sprawnie splawić telefonicznego natręta.

– Kosma Makarski, słucham – rzucił w słuchawkę.

– Przepraszam, że kontaktuję się z panem w ten sposób – usłyszał męski głos po drugiej stronie. – Nazywam się Jacek Kłos i jestem asystentem dyrektora programowego telewizji NTV. Mój szef prosił, bym spróbował namówić pana do wzięcia udziału w przesłuchaniu kandydatów do poprowadzenia naszego nowego programu. Jest pan zainteresowany?

Kosma spotkał się już z różnymi telefonicznymi propozycjami, ale ta zdziwiła go wyjątkowo, dlatego odpowiedział pytaniem.

– Dlaczego ja? – Przy okazji rzucił okiem na timer przy konsolce, Bublé dochodził właśnie do refrenu.

– Nie wiem, pewnie szef słyszał pana na antenie i czymś go pan zaciekał...

– To jakiś dowcip?

– Nie, w żadnym wypadku. Startujemy z programem reporterskim, poszukujemy gospodarza, który będzie zapowiadał ze studia kolejne materiały. Szef mówi, że pana głos wzbudza zaufanie...

– Nie mogę teraz rozmawiać – przerwał Kosma, kontrolując postępy kanadyjskiego wokalisty. – Proszę o telefon po osiemnastej, kończę wtedy pracę i będziemy mogli ustalić



szczególty. – Podyktował numer swojej prywatnej komórki. – I tak, jestem zainteresowany – dodał przed odłożeniem słuchawki.

Do końca dyżuru myślał, że to koledzy chcą go wkłócić, ale kiedy Jacek Kłos zadzwonił wieczorem, podając dokładną datę i miejsce przesłuchania, podjął decyzję, że weźmie udział w castingu.

Nie miał doświadczenia w pracy dla telewizji. Od zawsze realizował się w radiu, czasem pisał coś do „Expressu”, ale szklany ekran omijał z daleka. Potrzebował jednak zmiany, nowego bodźca, i po dłuższym zastanowieniu uznał, że to może być początek ciekawej przygody.

Casting odbywał się w siedzibie NTV. Wielki, nowoczesny budynek pochłaniał i wypływał setki osób dziennie. W obrotowych drzwiach wpadali na siebie politycy, artyści i sportowcy. Kosma odpalił lucky strike’a i skrył się za filarem, obserwując ruch przy wejściu.

Wyjeżdżając wieczorem z Łodzi, pokłócił się z żoną, która nie chciała, by jechał sam. Okłamał ją, że to dwudniowe firmowe szkolenie. Nie znosił, kiedy udzielała mu rad, a w razie niepowodzenia patrzyła z politowaniem. Momentami nie pojmował, jak udało się jej go usidlić, i jeszcze mniej rozumiał, dlaczego nie odszedł od niej wieki temu.

Wylądował na Sadybie około dwudziestej pierwszej. W małym pokoiku na poddaszu willi swej babci, emerytowanej farmaceutki, czekała na niego Anja, przyjaciółka ze studiów. Pół Szwedka, pół Polka o nieposkromionym temperamentem. Poszli do łóżka, łapczywie nadrabiając kilkumiesięczne zaległości i pijąc wino, które Anja podkładała z piwniczki. Stara miała dobry gust i smak, a dziewczyna wiedziała, jak sprawić, by za szybko nie odkryła straty. Po drugiej butelce ruszyli w miasto na poszukiwania dawnych znajomych oraz nowych ciekawych miejsc, i w efekcie Kosma koło czwartej nad ranem niemal zapomniał o powodzie swojego przyjazdu do stolicy.

Obudził się pięć godzin później z wirującą pralką w głowie i nieprzewartą ochotą na seks. Anja spała obok. Lubił oglądać ją nagą. Była jedną z wielu jego przyjaciółek, ale tylko jej był gotów wyjawic swoje sekrety. Jak ten, że gdyby nie córka oraz zabójczy kredyt na mieszkanie, już dawno odszedłby od żony... Może nawet do niej?

Cicho wślizgnął się do łazienki, odkręcił kurek i pozwolił, by strumienie ciepłej wody obmywały mu ciało. Stał przez dłuższą chwilę bez ruchu, układając plan na cały dzień. Czuł, że z castingu nic nie wyjdzie, za bardzo widać było po nim trudy minionej nocy. Zresztą, pomyślał, po co mi to, przecież wcale nie chcę się ruszać z Łodzi...

Z zadumy wyrwał go szelest odsuwanych drzwi kabiny. Anja już się rozbudziła i postanowiła mu zademonstrować, jak bardzo. Nie protestował... Woda zagłuszyła ich jęki.

Efekt nocnych i porannych ekscesów był taki, że wyszedł od niej w ostatniej chwili, bez marynarki, którą pochłapał jajkiem na miękko. Jego przyjaciółka nie chciała wypuścić go bez śniadania. Przekomarzali się jak para nastolatków, karmiąc się i całując na zmianę. Obiecał, że będzie się starał odwiedzać ją częściej, i pognął na przesłuchanie. Cudem udało mu się nie wpaść po drodze na starszą panią.

Teraz, kończąc papierosa, postanowił, że załatwi to szybko. Chciał po prostu mieć to już za sobą. Minął obrotowe drzwi i zapytał recepcjonistkę o urodzie na mocną ósemkę,

jak trafić do studia, w którym odbywał się przegląd kandydatów. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, lustrując nieogolone policzki i zmęczone oczy, ale wskazała drogę i nawet zaproponowała, że zaprowadzi go na górę. Grzecznie podziękował; choć nie stronił od przygodnych flirtów, a sama propozycja była kusząca, to nie chciał się rozpraszać. Winda zawiozła go na trzecie piętro, gdzie kłębił się już tłum kandydatów na gwiazdę. Kosma zaklął i zaczął żałować, że w ogóle podjął decyzję o przyjeździe.

Później było już tylko gorzej. Miał numer w trzeciej dziesiątce, co oznaczało, że poczeka tu przynajmniej półtorej godziny. Usiadł przed salą, w której odbywały się próbne zdjęcia, i zasnął. Obudziło go szarpnięcie za ramię. Stał nad nim zaaferowany człowiek ze słuchawkami na uszach. Chwilę zajęło, zanim Kosma zrozumiał, co tamten do niego mówi.

– Pan Makarski? Zaraz pana kolej, był pan na charakteryzacji?

– Gdzie? – zapytał Kosma, przecierając oczy i usiłując przypomnieć sobie, co tu robi. W gardle mu zaschło, zauważył, że korytarz już opustoszał i na przesłuchanie czeka tylko kilka osób.

– Nie za dobrze, bo nie mamy już na to czasu – powiedział chłopak ze słuchawkami i dodał: – Pójdzie pan za te drzwi, stanie w kółeczku narysowanym na podłodze. Proszę wsadzić sobie to do ucha. – Podał mu małe urządzenie, którego drugi element przymocował Kosmie do spodni. Kabel łączący obie części swobodnie zwisał z tyłu.

– Po co to wszystko?

– To mikroport, dzięki któremu będzie pan miał kontakt z reżyserką – powiedział Słuchawka, jak go w myślach nazwał Kosma. – A tu ma pan tekst do przeczytania. Proszę patrzeć prosto w kamerę i czytać, ale nie z kartki, tylko z telepromptera. Powodzenia! – I już był przy kolejnym kandydacie, któremu montował wyczarowaną z kieszeni słuchaweczkę.

Kosma wszedł do studia i natychmiast oślepiło go mocne światło. Nie miał kłopotu z publicznymi wystąpieniami, pracował w radiu od lat, prowadził programy, przeprowadzał wywiady – i był w tym dobry. Cholernie dobry. Ale tu poczuł się nagle onieśmielony. Bez marynarki, w samej koszuli nawet sobie wydawał się półnagi.

– Proszę stanąć w kółeczku i się wyprostować! – usłyszał głos w uchu. – Będzie pan filmowany z wielu kamer, proszę mówić do tej, przy której aktualnie świeci się czerwona lampka. Czy jest pan gotowy?

Czy jestem gotowy? – Kosma powtórzył pytanie w myślach i spojrzał na kartkę trzymaną w ręce. *Talidomidowe dzieci*, taki był tytuł materiału, który miał zapowiedzieć. Zaklął ponownie i kiwnął głową.

– Bardziej gotowy nie będę...

Nie mógł się połapać, o co chodzi z lampkami przy kamerach. Obracał głowę na lewo i prawo, próbując nadażyć za realizatorem, który dość energicznie zmieniał ujęcia, jakby sobie z nim pogrywał. Zdawało mu się, że za chwilę ktoś wyskoczy i krzyknie: „Mamy cię!”. I jeszcze ten tekst, talidomidowe dzieci... Co to, kurwa, ma być?

– Dziękujemy, to wszystko. Skontaktujemy się z panem.

I już. Koniec. Szedł teraz mokrym chodnikiem i wyrzucał sobie, że mógł postarać się bardziej. Ze złością kopnął niewielki kamyk, który przeleciał kilka metrów, płosząc

gołębie. Jakaś pani spojrzała na niego z dezaprobatą; uśmiechnął się przepaszająco i posłał jej całusa. Kobieta popukała się w czoło, ale jemu nagle wrócił dobry humor. Ten wyjazd nie był całkiem bez sensu, pomyślał. Spędził cudowny czas z Anją, a na przesłuchanie zaprosili go sami, tylko dlatego, że miał głos, którym zarabiał na życie i przez który lgnęły do niego kobiety.

Skręcił w Bakaliową, gdzie zaparkował samochód, i podjął decyzję. Nawet jeśli jakimś cudem naprawdę się z nim skontaktują, odmówi. Nie pasuje do tych reflektorów, kamer i telewizyjnego blichtru. Wolał zacisze studia radiowego, gdzie czuł się swobodnie. Tam był u siebie, ustanawiał granice i decydował, jak blisko siebie dopuści rozmówcę. Radio było jego naturalnym środowiskiem. Tam mógł być królem lwem...

Słońce znów zaświeciło mocniej, a Kosma zreflektował się, że od rozkosznego śniadania z Anją niczego nie pił. W gardle wciąż odczuwał suchość, nie poprawiły tego z pewnością przeżycia na castingu. Rozejrzał się i zauważył nieopodal wejście do kawiarni. Żółta Cizemka kusila stylową witryną i zadbanymi kwiatami w oknach. Postanowił wstąpić na chwilę – nie był jeszcze głodny, ale filiżanka ciepłej herbaty z pewnością mu nie zaszkodzi.

W środku było przytulnie, pachniało kawą i czymś słodkim. Chyba wiśniami, pomyślał. Usiadł przy stoliku, z którego widać było bar i pracującą za nim dziewczynę. Nawiązał z nią kontakt wzrokowy i bezgłośnie poprosił o kartę.

Żółta Cizemka oferowała szeroki wybór fantazyjnych kaw, ale Kosma zamówił earl grey, herbatę, którą gotów był pić w każdej ilości. Kiedy przyniesiono mu już filiżankę i czajniczek z gorącym naparem, nalał sobie i pogrążył się w zadumie. Earl grey smakował wyśmienicie; Kosma przypomniał sobie legendę związaną z pochodzeniem tej odmiany herbaty. Uwielbiał takie historyjki, a w tej był i dramat, i happy end. Powiadano bowiem, że taką mieszankę, wzbogaconą o olejek z bergamotki, chiński mandaryn przesłał lordowi Charlesowi Greyowi w podzięcie za uratowanie syna. Chłopiec nie potrafił pływać i bez pomocy lordowskiego lokaja niechybnie utonąłby w odmętach rzeki Jangcy. Kosma absolutnie nie wierzył w tę legendę, tym bardziej że – jak kiedyś sprawdził – lord Grey nigdy w Chinach nie był. Ale takie dykteryjki znakomicie sprawdzały się w nocnych audycjach...

Obserwował wnętrze kawiarni, zastanawiając się, czy podobne miejsca można spotkać w Łodzi. Lustrował oszczędny i elegancki w swej prostocie wystrój, odnotował też smakowity zapach domowego ciasta, dochodzący z zaplecza. Rozglądając się, zauważył, jak coś mignęło pod jego stolikiem. Schylił się, przekonany, że stracił menu. Ze zdziwieniem podniósł z podłogi kopertę. Trzymał ją w ręce i oglądał dokładnie. Lekko wyblakła, z nadrukiem w rogach. Koperta nie była zaklejona, a do środka ktoś włożył kilka kartek. Żadnego adresu, nazwiska, kompletnie nic. Kosma nie wiedział, jak długo mogła przeleżeć niezauważona na podłodze, ale kawiarnia była zadbana i czysta, obsługa z pewnością zauważyłaby ją więc podczas sprzątania. A to oznacza, że ktoś musiał ją zgubić niedawno.

Powodowany ciekawością, wyjął kartki i zaczął czytać. Przerwał po kilkunastu zdaniach i poczuł, jak tętno przyspiesza mu niebezpiecznie. Miał wrażenie, że właśnie odziera z tajemnicy czyjeś prywatne wyznania i zagląda w głąb cudzej duszy. Ale lektura

wciągnęła go tak bardzo, że nie mógł już odłożyć listu. Westchnął i czytał dalej.

Mam tu dziś samych pasjonatów lektury, pomyślała drobna dziewczyna za barem, przyglądając się mężczyźnie, który od kilkunastu minut sęczył earl grey. Miał na sobie tylko koszulę, białą i – jak zauważyła – starannie wyprasowaną. Czarne spodnie i takie same, na oko obłędnie drogie buty dopełniały reszty. Zauważyła, że nie ogolił się dzisiaj, ale lekki zarost ciekawie kontrastował z bladością koszuli. Pachniał cytrusami, orzeźwiająco, lekko. Mógłby wpadać tu częściej.

Obserwowała, jak podnosi z podłogi kopertę, wyjmując z niej kartkę i czyta coś, wyraźnie przejęty. Zwróciła na niego uwagę już wtedy, kiedy składając zamówienie, odezwał się do niej głosem delikatnym i jakby obiecującym coś bliżej nieokreślonego. Nikt do niej nie mówił w ten sposób, chciała podejść i zapytać o cokolwiek, byle tylko usłyszeć go ponownie. Zazdrościła kobiecie, której ten mężczyzna szeptał do ucha...

Zauważyła, że przerwał lekturę i spojrzał na nią pytająco. Podeszła, poprawiając włosy, i przywołała na twarz zawodowy uśmiech „co jeszcze mogę dla pana zrobić?”.

– Przepraszam, że panią niepokoję... – usłyszała TEN głos – ale czy zechciałaby pani usiąść ze mną na moment? Mam na imię Kosma...

– Iza! – wpadła mu w słowo kelnerka.

– Jestem tu przypadkiem – dokończył. – Znalazłem pod stolikiem list i mam wrażenie, że ktoś musiał go tu zostawić całkiem niedawno. Kobieta...

– Mam pamięć do twarzy – odpowiedziała kelnerka. – Zauważyłam, że jest pan u nas pierwszy raz. Znam większość stałych klientów, pracuję tu od roku. Niestety, nic nie wiem o tym liście...

– Pamięta pani, czy ktoś tu siedział przede mną?

– Dziś mieliśmy niewielu gości, z rana zwykle odwiedzają nas stali bywalcy. Prawdziwy ruch zaczyna się po południu...

Przerwał jej zdecydowanym ruchem dłoni.

– Proszę, skup się przez moment i postaraj się przypomnieć sobie, kto mógł zgubić w tym miejscu kopertę z listem.

Zrozumiała, że ten mężczyzna zwykle osiąga to, czego chce. Nie potrafiła mu odmówić, choć mało obchodziło ją samo znalezisko i jego nieuważny właściciel. Kto gubi listy w kawiarni? To pewnie ta babka, której sukienkę Iza z chęcią powiesiłaby w swojej garderobie...

– Była tu taka dziewczyna, siedziała dokładnie tam, gdzie ty. – Umyślnie spoufaliła się z facetem, o którym wiedziała tylko tyle, że ładnie pachnie, a jeszcze ładniej brzmi jego głos. – Posiedziała trochę, bo zmokła na deszczu. Mam wrażenie, że była zadumana, coś czytała, a później pisała, pewnie ten list. Co w nim jest?

– Co w nim jest? – Kosma z roztargnieniem powtórzył pytanie.

Spojrzał na kelnerkę i nagle poderwał się z miejsca.

– Muszę iść, przepraszam. – Podał jej banknot i dodał: – Będę tu jeszcze dziś o dwudziestej. Gdyby ta kobieta wróciła po zgubę, powiedz jej... wymyśl coś, niech przyjdzie wieczorem, proszę.

I wyszedł, zostawiając oniemiałą Izę, która jeszcze przez kilka minut stała przy stoliku, analizując, co tu właściwie zaszło.

Kosma Makarski wsiadł do swego volvo 244 i oparł głowę na kierownicy. List zaintrygował go. Oddychał głęboko i próbował się uspokoić. Na próżno, w jego pamięci wciąż przewijały się kolejne linijki odręcznego, starannego pisma. Jeśli skreśliła je kobieta, o której mówiła kelnerka, jest szansa, że zauważy zgubę i tu wróci. Wiedział, że musi ją poznać. To, co napisała, trafiało wprost do jego serca i sugerowało, że autorka jest nie tylko kimś niezwykle uczuciowym, ale też spragnionym ciepła.

Z kieszeni spodni dobiegły dźwięki *Won't Go Home Without You* zespołu Maroon 5. Ustawił ten dzwonek trochę dla żartu, ale w tej sytuacji przyjął go za dobrą monetę. Tak, ja też nie chciałbym wracać do domu bez ciebie... Uśmiechnął się i zerknął jeszcze raz w stronę Żółtej Ciżemki. Telefon wciąż brzęczał i wibrował, więc odebrał i zdziwiony usłyszał, że dzwonią z NTV.

– Mam dla pana dobrą i złą wiadomość – powiedział głos w słuchawce, a Kosma rozpoznał w nim asystenta Jacka. – Nie poprowadzi pan tego programu, wybrali jakąś dziewczynę. Stacja kładzie nacisk na, hmmm... faktor feministyczny.

– To ta dobra czy zła wiadomość? – zapytał Kosma z przekąsem.

– Spokojnie, mój szef ma dla pana równie ciekawą propozycję. Jest pan jeszcze w Warszawie?

– Tak, jestem... Będę tu przynajmniej do dwudziestej. Chyba coś się wydarzyło, coś, czego nie mogę i nie chcę zignorować – wyjaśnił Kosma.

Zastanawiał się, czy nie wypada przekazać rozmówcy dokładniejszych informacji, ale na szczęście w słuchawce usłyszał zdecydowany głos Kłosa.

– Nie wiem, o czym pan mówi, ale zapraszam do nas na siedemnastą trzydzieści, zdąży pan?

– Tak, nie ma problemu. Będę.

Kosma szybko zerknął na zegarek i doszedł do wniosku, że zdąży jeszcze przejść się po parku. Potrzebował ochłonać i pooddychać świeżym powietrzem. Po deszczu nie było już śladu, a ciepłe majowe popołudnie zachęcało do spacerów. Wysiadł z auta i ruszył w kierunku niewielkiego skweru, który obiecywał chwilę wytchnienia. Usiadł pod drzewem, z paczki lucky strike'ów wyjął papierosa i bawiąc się nim, zaczął czytać list od nowa. Znów poczuł, jak tętno podnosi mu się o kilka jednostek.

*Pamiętasz „Balladę g-moll” Chopina?*

*Poszłam wczoraj na ten skwer, wiesz, przy Żurawiej. Dawno tam ze mną nie byłeś. Teraz chyba wygląda najładniej. Świeża elewacja, zniknęły przerdzewiałe rynny... Aż dziwne, że na tak małej powierzchni dało się zmieścić tyle zieleni. Zakwitły czereśnia i jedna jabłoń. Druga uschła tej zimy. Pan Jerzy mówi, że wycięli ją kilka dni temu. Siedział jak zwykle na swojej ławce. Gołębie oblepiały chodnik wokół jego stóp, ale nie karmił ich. Był sam, wiesz? Pani Irena odeszła w ubiegłym miesiącu. Przeżyli razem 65 lat. Wyobrażasz sobie?*

*Nie wiedziałam, co mam powiedzieć i o co zapytać. To on w końcu zapytał o chłopców i czy ciągle masz tyle pracy w firmie. I że blado wyglądam, i że powinnam częściej korzystać ze słońca...*

*Prawie zapomniałam, jak gra. Można go było słuchać godzinami, pamiętasz? Jego dłonie zrobiły się jeszcze drobniejsze, są jeszcze bardziej wiotkie i pomarszczone niż wtedy, kiedy widziałam go ostatnio. Lubiła Chopina, tak mówił... Grał go jej najczęściej.*

*Na ten skwer prawie nie dociera hałas z ulicy. Gołębie go zagłuszają.*

*Dawno nie byliśmy w filharmonii. Naprawdę dawno.*

*Mój „Niebieski motyl” – jak go nazwałeś – kogoś dzisiaj uszczęśliwił. Człowiekowi czasami tak niewiele potrzeba do szczęścia. Sprzedałam go razem z kompletem tej francuskiej satynowej pościeli. W motyle we wszystkich kolorach tęczy. Klientka powiedziała, że ten obraz stanowi z nią nierozdzielny całość. Cieszę się, że trafił właśnie do niej... Sama wyglądała jak motyl. Nosła nawet bransoletkę z zawieszkami w kształcie motyli. Rozbawiła mnie. Nie, to niewłaściwe słowo. Rozjaśniła mi dzień.*

*I przypomniał mi się ten ogród botaniczny, którego nie zdążyliśmy zobaczyć w Hiszpanii. Właściwie to dla niego nalegałam na ten wyjazd. Marimurtra, pamiętasz? Podobno rosną tam tysiące gatunków egzotycznych roślin. Wybraliśmy wiosnę, bo wtedy wszystko kwitnie jak oszalałe, pulsuje zapachem i kolorami setek tysięcy motyli skrzydeł.*

*Chciałam je zobaczyć – Helikonię Melpomenę, Kaligo Sowi, może nawet Morfo. Ale przebukowałeś bilety. Wyjechaliśmy dwa dni wcześniej.*

*Nikt nie mógł Cię zastąpić, mówiłeś. Być może... Ale Melpomenę mogę podziwiać. Stale. Kupiłeś mi atlas.*

*Byliśmy tam potem jeszcze dwukrotnie, zawsze we wrześniu. Pamiętam. Byłeś wolniejszy jesienią. Tylko że większość roślin przekwitła i pożółkła, a w ogrodzie nie było już motyli. Żyją krótko, wiesz? Kilka dni zaledwie, może chwilę dłużej...*

*A ja? Stać mnie na to, żeby kupić trochę Twojego cennego czasu?*

*Wyjedźmy na wieś. Na trzy dni. To bliżej niż Blanes...*

*Zakwitł bez, chcę posłuchać, jak pachnie.*

## *Czy mógłbyś*

Kosma dawno przestał czytać, ale wciąż trzymał przed sobą rozłożone kartki. Jego wewnętrzny radar wyczuwał, że w autorce listu gotuje się wszystko to, czego facet taki jak on oczekuje od kobiety. Znał się na płci pięknej, potrafił myśleć jak jej przedstawicielki. Nie do końca zgadzał się z teorią płci mózgu, o jakiej przed laty czytał w zgrabnym studium Anne Moir i Davida Jessela o prawdziwej różnicy między mężczyzną a kobietą. Jednak gdy zastanawiał się nad tym głębiej, dochodził do wniosku, że jego mózg przynajmniej w jednej trzeciej jest żeński. Gdzieś przecież musiała tkwić tajemnica jego sukcesu...

Pachniało deszczem, mokry jeszcze niedawno asfalt tracił ciemną barwę, a w alejce pojawiły się młode matki, pchające wózki pełne skarbów. Pora popołudniowych spacerów. Wyrzucił wykruszonego papierosa, podniósł się i ruszył do auta. Volvo 244, które według dowodu było starsze od niego, było jego oczkiem w głowie. Kosma lubił ten pokraczny szwedzki samochód, gwarantujący bezpieczeństwo i wygodę porównywalną z zapewnianymi przez amerykańskie krążowniki szos. Dziś mało kto kupował takie pojazdy. Kosma wydawał na swoje auto majątek, ale mógł przez to pochwalić się najlepiej odrestaurowanym i utrzymanym egzemplarzem dwieście czterdziestki czwórki w Łodzi. Ten model miał jeszcze jedną zaletę – wygodną, szeroką kanapę z tyłu, która rozmiarami deklasowała niejedno małżeńskie łóżko. I była też świadkiem wielu scen, o jakich niejedno małżeńskie łóżko mogło tylko pomarzyć. Kosma zżył się z tym samochodem i mimo iż volvo spalało ogromne ilości benzyny, ani myślał się z nim rozstawać. Teraz jednak rozsądniej było zostawić szwedzkiego potwora na parkingu – rozpoczynały się popołudniowe korki i stało się jasne, że szybciej dotrze na miejsce pieszo.

Nadgryziony zębem czasu cyferblat doxy wskazywał pięć po piątej. Przesiedział na tej ławce prawie godzinę, zauważył i przyspieszył kroku. Nie lubił się spóźniać, rodzice wpoili mu, że to oznaka braku szacunku. W całym swoim życiu spóźnił się tylko raz, przed laty, i do dziś to sobie wyrzucał. Wyjął ze schowka nową paczkę papierosów i ruszył na spotkanie z ludźmi z NTV.

Ciekawe, co mają mi do zaoferowania? – pomyślał.

Spotkanie z dyrektorem programowym odbyło się w lobby budynku telewizji. O tej porze panował tu względny spokój, a o przyjemny chłód zadbał cicho pracujący klimatyzator.

Jacek Kłós dostrzegł wchodzącego Kosmę i z daleka machał ręką zapraszająco. Przy stoliku siedział jeszcze jeden mężczyzna. Kosma rozpoznał w nim Edmunda Kiszczaka, drugiego po Bogu w tej stacji. Mówili, że dyrektor programowy NTV to cudowne dziecko telewizji i jak nikt w tym kraju ma nosa do tego, co się będzie oglądało w danym sezonie. Z jego wskazówkami właściciele stacji liczyli się najbardziej.

Kłós przedstawił obu panów i dyskretnie się wycofał. Kosma czekał, aż Kiszczak zacznie rozmowę, ale ten tylko przyglądał mu się w milczeniu. W końcu odezwał się przyciszonym głosem:



– Cieszę się, że znalazł pan chwilę, by spotkać się ze mną i wysłuchać propozycji. Oglądałem pana popisy przed kamerą, proszę nie brać do siebie wyniku tego castingu...

Przerwał, jakby czekając na reakcję Kosmy, ale ten się nie odezwał, więc Edmund Kiszczak kontynuował.

– Nie dostanie pan tego programu do poprowadzenia, jest pan zbyt surowy, a nie mamy teraz czasu na szkolenie, nawet gdyby było intensywne i przyspieszone. Ale jest coś, co mogę panu zaproponować od ręki.

– Nie chcę wyjeżdżać z Łodzi – przerwał mu Kosma. – Dziękuję, panie dyrektorze, jestem szczerze zobowiązany, że zaprosił mnie pan na przesłuchanie, a teraz podejmuje osobiście, ale telewizja nie jest moim wymarzonym polem do zawodowej eksploracji.

– Nie musi pan rezygnować z dotychczasowej pracy. Nie zmuszam też pana do przeprowadzki do Warszawy – łagodnie powiedział Kiszczak, uspokajająco podnosząc dłoń. – Prawdę mówiąc, jestem przekonany, że jeśli zgodzi się pan na moją propozycję, z czasem sam pan zrozumie, że stolica to w pana zawodzie najlepsze miejsce do życia. I porzuci pan Łódź bez żalu.

– I co miałbym tu robić? – zapytał Kosma.

– Cóż, do roboty jest mnóstwo rzeczy i zakładam, że kogoś takiego jak pan nie muszę w tym zakresie instruować. – Edmund uśmiechnął się lekko. – Jeśli natomiast chodzi o pracę w NTV, to chciałbym, żeby został pan lektorem. Mamy tu sprawdzone dwa głosy męskie, ale konsekwentnie rozwijamy nasze anteny i szukam teraz nowych ludzi. Prosta robota, dobre pieniądze i szansa na zaistnienie w szerszym gremium niż słuchacze pana łódzkiej rozgłośni. Panu proponuję to pierwszemu, proszę, by szczegółły omówił pan z Jackiem. Czekam na decyzję.

Spotkanie było skończone. Podali sobie ręce i Kiszczak zniknął w windzie. Jego asystent również wstał i zaczął tłumaczyć szefa.

– Nie z każdym kandydatem do pracy rozmawia osobiście, a już na pewno nie każdego sam do niej namawia – powiedział i jakby sięgając w głąb pamięci, dodał: – W zasadzie to zdarzyło się to chyba pierwszy raz.

– Miły facet, nie mogę go chyba zawieść? – Zdarzało mu się szybko zmienić decyzję. Tym razem był jednak przekonany, że wyjdzie mu to na dobre. – Może przejdziemy na ty i opowiesz mi o szczegółach?

– Oczywiście. Zapraszam do siebie, to nie potrwa długo. Cieszę się, że się zdecydowałeś – powiedział Kłos, prowadząc Kosmę do swojego gabinetu. Winda zawiozła ich na to samo piętro, na którym chwilę wcześniej zniknął wszechmocny Edmund Kiszczak.

Wieczorem Kosma wyszedł z budynku NTV w dużo lepszym humorze niż kilka godzin wcześniej. Dochodziła dziewiętnasta, uzgodnił wszystko, co trzeba, zdążył też porozmawiać z żoną. Dobijała się telefonicznie od południa, ale konsekwentnie odrzucał połączenia. Tym razem odebrał i zapewnił ją, że będzie w Łodzi najpóźniej nazajutrz rano, bo nie widzi powodu, by zostawać w stolicy kolejny dzień. Uporczywie trzymał się wersji ze szkoleniem. Nie lubił jej okłamywać, ale doskonale wiedział, że powiedzenie prawdy teraz spowoduje lawinę pretensji i wyrzutów. Wymyślił coś po drodze, jak zawsze.

Wolno szedł do Żółtej Cizemki, zastanawiając się, czy autorka listu zjawi się po

swoją zgubę. W środku było już zdecydowanie bardziej tłoczno, niż kiedy pił tu herbatę. Dopiero teraz poczuł, jaki jest głodny. Iza zobaczyła go od razu i podeszła zaaferowana.

– Nie było jej tutaj, nie wróciła.

– Nie przejmuj się, może jeszcze się nie zorientowała, że zgubiła ten list – pocieszył ją. – Co macie tu do zjedzenia?

– A jak bardzo jesteś głodny?

– Nie jadłem od śniadania. – Kosma uśmiechnął się w duchu na wspomnienie porannych przygód na Sadybie. – Zjem cokolwiek, byle było ciepłe.

– Bajgle? To nasza specjalność, mamy je w stałej ofercie – zaproponowała dziewczyna. – Coś ci wybiorę! I oczywiście herbatę...

– Earl grey? – Kosma uśmiechnął się pytająco.

– Ma się rozumieć – odpowiedziała Iza i zniknęła za barem.

Usiadł w rogu. Jego poprzedni stolik był już zajęty. Hałasowali przy nim trzej Japończycy i dwie młode dziewczyny, chyba Polki. Nie czekał długo na zamówienie. Iza jakby wyczuła, na co ma ochotę, i z dumą położyła przed nim talerz ze smakowicie wypieczonym bajgłem. Ze środka uśmiechały się do niego solidny kawał smażonej wołowiny, sałata lodowa i spora porcja sosu Worcestershire.

– Gdzie byłaś, kiedy szukałem żony? – zapytał Kosma na widok tych pyszności i zabrał się do jedzenia. Iza lekko skłoniła głowę w geście, z którym zawodowe kelnerki chyba przychodzą na świat, i dyskretnie wycofała się do baru. Była dobra, Kosma natychmiast skojarzył ją z bohaterami *Zaklętych rewirów*.

Jadł z prawdziwą przyjemnością, wspominając nie mniej udane wypieki w Amerikan Kafee, kultowej knajpie, która zniknęła z gastronomicznej mapy Łodzi – ku rozpaczom takich jak on pasjonatów przekąsek na mieście.

Autorka listu nie przyszła. Wiedział, że skoro nie pojawiła się wcześniej, to trudno oczekiwać, że pokaże się właśnie teraz. Mimo to siedział tam jeszcze długo po dwudziestej. Hałaśliwi Japończycy z polską damską eskortą ulotnili się i w Żółtej Cizemce zrobiło się cicho i przytulnie. Kosma poprosił Izę o kilka czystych kartek, usiadł wygodniej i zamyślił się. Suty posiłek rozleniwiał go, ale doskonale zdawał sobie sprawę, że nie może tak po prostu stąd wyjść. Sięgnął do torby po swojego szafirowego pelikana i zaczął pisać...

*Podobno prawdziwy facet nie przeprasza, ale jednak winien Ci jestem przeprosiny. Może o kwestii mojej męskości będziemy mieli okazję porozmawiać, w tej chwili nie to jest dla mnie najważniejsze. Przepraszam, przeczytałem Twój list, nie mogłem się oprzeć. Leżał na podłodze, zaintrygowała mnie koperta, wyjąłem kartki i jakoś tak... stało się.*

*Nie wiem, jak masz na imię, w myślach nazywam Cię Panią z Żółtej Cizemki. Wiem, to trochę dyskusyjne, może niezbyt wyszukane, ale na teraz musi wystarczyć. Mam za sobą dziwny dzień i jeszcze dziwniejszą noc. Czuję, że mógłbym Ci o tym opowiedzieć i poprosić o radę. Siedzę w tej kawiarni i czekam na Ciebie od godziny, może dwóch; jeszcze dłużej myślałem dziś o Tobie. Zaskakujące, jak wiele rzeczy dzieje się przypadkiem i jak wielką moc mają słowa. Pisane i wypowiedane, kreślone na papierze i rzucone w powietrze.*

*Chciałem Cię... sam nie wiem, co chciałem. Może zapytać o to, czy lepiej żyć przeszłością, czy zamknąć oczy i skoczyć w przyszłość?*

*Znam tę balladę Chopina. Dziwne, ale mam wrażenie, że znam także Ciebie.*

*Jestem Kosma, Kosma Makarski. Będę tu zaglądał co kilka dni. Jeśli miniemy się albo złamię nogę i nie dotrę na czas, napisz do mnie. Proszę.*

*k.makarski@radio.pl.*

Złożył kartkę i podał ją Izie. Młoda kelnerka spojrzała pytająco.

– Zapisaleś mi swój numer telefonu?

Słyszając pytanie, uśmiechnął się i odruchowo wyprostował.

– Jeśli przyjdzie tu ta kobieta od listu, przekaż jej to – poprosił. – A mój telefon nie jest ci potrzebny, będę tu zaglądał regularnie. Jeszcze się mną znudzisz.

Zrobił to, co w jego mniemaniu powinien w tej chwili zrobić – cmoknął zaskoczoną dziewczynę w czoło, zostawił spory napiwek i wyszedł. Fotel w szwedzkim samochodzie gwarantował wygodną podróż. Wyjechał z parkingu i po chwili światła stolicy widział już tylko we wstecznym lusterku. To była najdziwniejsza wyprawa po pracę, pomyślał. Nie wiedział jeszcze, że ten dzień będzie miał znacznie większe konsekwencje.

## Rozdział trzeci

*w którym Matylda zachęca, by dbać o zdrowy sen, a Kosma przekonuje się, że Warszawa da się lubić*

– Mamo? Pchnąłem ten egzamin! Jestem na czysto! – Głos w słuchawce był szatańsko zadowolony.

– Kocham cię, synu... Uczymy to wieczorem, dobrze? Po dwudziestej. Mam dzisiaj dostawę. Ale kupiłam dobre wino. Wiedziałam, że zdasz! – Matylda śmiała się, trzymając słuchawkę przy uchu jedną ręką, a drugą przekładając plik kartek z bieżącymi zamówieniami.

– Dzwoniłem już do taty. Wbijamy z Markiem do Tymka na Bielany. Będzie połowa roku. Nie czekajcie na nas. – Chłopak mówił szybko i głośno, był wyraźnie podekscytowany, a w tle dało się słyszeć mnóstwo głosów i trzasków. Marcel był zapewne jeszcze na uczelnianych korytarzach. – Mamo, kończę. Muszę jeszcze zajrzeć do dziekanatu.

– Marcel! – krzyknęła szybko, czując, że syn za chwilę się rozłączy. – Jestem z ciebie dumna. Tylko proszę cię, nie pijcie za dużo. Ten wasz Tymek nie ma umiaru. – W słuchawce słyszała milion głosów. Zignorowała przeciągłe: „mamooo” i otwierając drzwi wychodzącym klientom z niemowlakiem w wózku, rzuciła jeszcze na koniec: – I nie zapomnijcie o obiedzie u babci w niedzielę.

Czasami u progu dorosłości drogi bliźniąt rozchodziły się w różne strony. Jej chłopcy jednak zawsze trzymali się razem. Poszli nawet na te same studia. Marek był mniej systematyczny niż Marcel; dużo czytał – bynajmniej nie były to podręczniki – i zniknął na całe weekendy u dziadka na dalekiej Sadybie. Pomagał mu w stolarce – co z kolei starego pana Radeckiego niesamowicie cieszyło. Marcel z kolei uczył się metodycznie i w skupieniu. W ciągu tygodnia czy też podczas sesji żadna siła nie mogła wyciągnąć go z domu do pubu nawet na godzinkę. Za to od piątku do niedzieli, otoczony wianuszkami dziewcząt, relaksował się z dużym zapalem w modnych klubach stolicy. Na Sadybę do dziadka zaglądał równie często jak brat, ale przeważnie po to, żeby przedstawić staruszkowi miłość swojego życia, której imię zmieniało się średnio raz na miesiąc...

Żaden z nich jednak nie miał problemów z kolejnymi sesjami i właśnie zamykali drugi rok architektury z egzaminami zdanymi w pierwszych terminach.

– Ewa? – zawołała Matylda w kierunku zaplecza, biorąc jednocześnie głęboki wdech pełen ulgi i zadowolenia. – Przed zamknięciem zrobimy jeszcze zmianę wystawy. Za godzinę przyjadą te angielskie pledy. Możesz zostać?

– Taaak, oczywiście, uprzedziłam męża. – Z zaplecza wyłonił się wysoki, szczupły rudzielec z wielkimi oczami, na które wiecznie spadały pierścionki drobnych loczków, i w starannie wykonanym makijażu. Ewa niosła przed sobą dwie szklanki parującej herbaty. – Z malinami, tak jak lubisz. – Postawiła herbatę obok segregatora. – Mogę też przyjść jutro pół godziny wcześniej, jeśli dzisiaj nie zdążymy ze wszystkim.

Wrzuciła trzy kostki cukru do naparu. Matylda zawsze robiła wielkie oczy, widząc, ile ta dziewczyna słodzi, zwłaszcza że miała talię osy. Usiadły na małej kanapie wsuniętej w niewielką niszę w ścianie. Korzystały z chwili, kiedy w sklepie nie było nikogo.

Matylda odziedziczyła to miejsce po dziadku. To był jeden z pierwszych sklepów z porządnyimi tkaninami w Warszawie. Sprowadzali je z całej Europy, najczęściej z Włoch. Prosperował doskonale aż do końca lat dziewięćdziesiątych. Przez długie lata prowadziła go matka Matyldy ze swoją siostrą – tą, która tak lubiła stare książki. Po śmierci ciotki matka Matyldy straciła cały zapał i serce do sklepu. Zmieniała się obsługa, starannie dobierana za każdym razem przez Matyldę, ale z żadną z nowych pracownic jej matka nie mogła znaleźć wspólnego języka. Piętnaście lat temu przekazała interes córce, a sama poświęciła się opiece nad mężem, który zmagął się z uciążliwą wrodzoną wadą serca. Z dużym zaangażowaniem i miłością pomagała też Matyldzie w wychowywaniu bliźniaków. Jej pomoc była nieoceniona, tym bardziej że pierwsze lata pracy Wiktora w biurze projektowym oznaczały ciągłe wyjazdy służbowe, nierzadko nieznośnie się przedłużające. I to w takich momentach, w których ona i chłopcy potrzebowali go najbardziej.

Pani Radecka do sklepu przychodziła już tylko czasami, popatrzeć, jak Matylda urządza go po swojemu i zaprowadza porządku na miarę nowych czasów. Lokal znajdował się tuż przy Krakowskim Przedmieściu, wprawdzie w bocznej uliczce, ale na tyle blisko głównej arterii, że elegancki szyld bez problemu przyciągał wielu przechodniów i masę turystów.

Matylda zdawała sobie sprawę, że lokalizacja zobowiązywała, dlatego jakość oferowanych towarów musiała być możliwie najwyższa.

Do swojego SenSualu sprowadzała najpiękniejszą pościel, jaką udało jej się znaleźć u europejskich producentów. Korzystała tylko z najlepszych marek z wieloletnimi tradycjami, oferujących wyszukane wzornictwo i najwyższą jakość. Sypialniane dodatki w postaci szydełkowych, ręcznie dzierganych pledów i koronkowych poduszek wyszukiwała na rodzimych portalach rękodzielniczych. Uwielbiała rzeczy unikatowe. Dobierała je starannie do jedwabnych i satynowych kompletów, nierzadko bywając w pracowniach artystów, żeby wspólnie wybrać najciekawsze kolory. Dzięki połączeniu ponadczasowej elegancji z tradycją w dobrym wykonaniu jej sklep od ponad dekady cieszył się niesłabnącym zainteresowaniem.

Całe popołudnie ona i Ewa spędziły na zmianie wystawy. Letnia odsłona SenSualu tym razem tonęła w różach. Część sporego pomieszczenia zajmowało zaprojektowane przez Matyldę duże łóżko w kolorze kości słoniowej. Szukała takiego, które pasowałoby do jej sklepu. Doszła w końcu do wniosku, że jeśli sama go nie wymyśli, będzie szukać bez końca...

W takim miejscu każda pościel prezentowała się znakomicie. Część sklepu wyglądała jak prawdziwa sypialnia – z nocną szafką i lampą nad łóżkiem. Odkąd Matylda zdecydowała się na taki odważny sposób eksponowania asortymentu obroty zdecydowanie wzrosły. Nie mogła tego zignorować, więc dbała, żeby sypialniane kąci zachęcał do zakupów, najlepiej szybkich i dużych.

Na puste ściany też znalazła pomysł. Kiedyś amatorsko malowała pastelami.

Zabrakło jej zaledwie kilku punktów, żeby dostać się na krakowską ASP, o której zawsze marzyła. Zdecydowała, że rok później spróbuje jeszcze raz. Na kilka miesięcy przed egzaminem poznała Wiktora. Wszystko dzięki Magdalenie Wysockiej. Zaczytywała się w niej swego czasu, więc informacja o spotkaniu autorskim sprawiła, że tego wieczoru pognała na nie jak na skrzydłach. Był tam też młody architekt, na którego wylała niechęć szampana... Od tamtej pory byli nierozłączni.

Miesiąc przed egzaminem okazało się, że jest w ciąży, bliźniaczej i do tego zagrożonej.

Na uczelnię już nigdy nie próbowała wrócić. Chłopcy do piątego roku życia na zmianę chorowali, zarażając się jeden od drugiego z szybkością francuskiego TGV. Nie miała wtedy wiele czasu dla siebie. Gdyby nie matka, musiałyby zapomnieć nawet o rzadkich wyjściach do kina.

Miłość do kredek i pędzli jednak przetrwała, głęboko uspiona na długie lata. Niespodziewanie obudziła ją krótka wizyta Matyldy w pracowni malarskiej Xeni, znajomej z Trójmiasta.

Xenia malowała na tkaninach różnymi technikami. Czasami szła z nich później piękne pledy w szalonych kolorach, którym Matylda nie była w stanie się oprzeć. Jak się później okazało, jej klienci również.

Znacznie przedłużyła wtedy wizytę nad morzem i dostała od Xeni solidną lekcję malowania na bawełnie, żorzetach i jedwabiach, w pakiecie z niezwykłą przyjaźnią, która ubarwiała życie Matyldy. A od dobrych pięciu lat jej bliźniaki i syn Xeni spędzali razem wakacje pod żaglami. To właśnie Witek – zapalony żeglarz – pokazał chłopcom, jak ten sport potrafi uzależniać.

Sklep wzbogacił się więc o malowane przez Matyldę akwarelki na delikatnej bawełnie. Niedługo potem jej prace zaczęły się sprzedawać lepiej niż francuska pościel, co niezmiennie zaskakiwało właścicielkę SenSualu i zachęcało do malowania do tego stopnia, że przestała się ograniczać tylko do jednej techniki.

Zbliżała się dziewiętnasta. Upał niewiele zelżał. Nie pamiętała, kiedy końcówka czerwca była taka gorąca, a w stolicy temperatura podwójnie dawała się we znaki. Kiedy zamykała drzwi sklepu, zabrzączał telefon. Była zmęczona i szczęśliwa. Musiała wprawdzie ten wieczór spędzić sama, bo Wiktor znów wyjechał – tym razem do Berlina – i miało go nie być aż do poniedziałku. Nie przeszkadzało jej to; wspomnienie zaliczonej przez chłopców sesji sprawiło, że z zadowoleniem pomyślała o wieczorze z książką.

– Matylda? Przyjechałam z dziewczynami poszaleć w klubach. Dasz się namówić? Dziewczyny siedzą teraz w kinie, ja już widziałam ten tani romans, potem idziemy potańczyć w Galaktyce. Co ty na to? Chyba że spróbuję przekonać cię osobiście. Jestem w kawiarence przy Bakaliowej. Co robisz?

– Xenia! Co za niespodzianka! – Matylda wsunęła klucze od sklepu do torebki i spojrzała za siebie, czy nie podjeżdża jej autobus. – Balety nie dla mnie dzisiaj, ten tydzień mocno dał mi w kość, ale Bakaliowa... – zamyśliła się na moment. – Czemu nie? To ta obok nowego multipleksu?

– Dobrze kojarzysz. Więc jak?

Matylda wiedziała już, że jej nie odmówi.

– Właśnie wyszłam z pracy. Masz wycucie, dziewczyno... Byłam tam tylko raz, ale postaram się trafić. Żółta Ciżemka, czy jakoś tak?

– Zamówię ci coś! – Słysząc było, jak Xenia mówi coś półgłosem do kelnerki. – Czekam, mam ci dużo do opowiedzenia.

Głośny syk otwierających się drzwi autobusu zagłuszył ostatnie słowa przyjaciółki.

Szukając wolnego miejsca, Matylda przypomniała sobie przytulny lokal, w którym była prawie dwa miesiące wcześniej, a po chwili i list, który w końcu zgubiła chyba podczas zakupów. Stosik starych kopert znalezionych u antykwariusza ciągle jeszcze nosiła w torebce. Dała się wtedy ponieść dziwnej melancholii, która ogarniała ją ostatnio coraz częściej. Szczególnie mocno w takie dni jak tamten, kiedy wyjątkowość chwili dzieliła tylko sama ze sobą...

Nigdy zresztą nie dałaby tego listu Wiktorowi. W ich związku właściwie nie brakowało niczego; mogłaby go tylko niepotrzebnie zranić.

Pusta kartka papieru przyciągała ją do siebie jak magnes metalowe opiłki.

Przyjęła ciszą tę dziwną tęsknotę za czymś bliżej nieokreślonym, ale zdecydowanym, zupełnie jak zapachy zapamiętane z dzieciństwa, odszukiwane gdzieś później przypadkiem na przestrzeni lat, dające poczucie bezpieczeństwa i chowane w zakamarkach pamięci na gorsze czasy...

Zrobiło się późno i Matylda pożegnała Xenię z niechęcią. Spotkania z nią to była zawsze dodatkowa porcja naprawdę dobrej energii. Nie dała się jednak namówić na marszrutę po nocnych klubach. Marzyła jeszcze tylko o pachnącej kąpieli i najnowszej biografii Osieckiej przed snem. Recenzja Urszuli Dudziak przekonała ją, żeby sięgnąć po *Potarganą w miłości*.

– Chciałabym zapłacić. – Matylda poznała młodziutką kelnerkę, która obsługiwała ją tutaj poprzednim razem. – Tarta jest naprawdę dobra. Chyba muszę zaglądać tu częściej.

Dziewczyna z uprzejmym uśmiechem podała jej resztę i złożoną kartkę papieru.

– Ktoś to dla pani zostawił jakiś czas temu, będzie już kilka tygodni. Nie chciałam przeszkadzać wcześniej...

– Nie pomyliła mnie pani z kimś? Nie rozumiem... Co to takiego? – Matylda patrzyła zdziwiona na kartkę w ręku ślicznej brunetki.

– Pisała pani tutaj coś, przy tym stoliku. Przyglądałam się wtedy pani sukience. Dziś też ma ją pani na sobie – ciągnęła kelnerka, a Matylda wreszcie zrozumiała, że nie zgubiła listu w żadnej galerii handlowej.

– Ktoś te kartki znalazł pod stolikiem. Chyba je przeczytał i dopisał coś od siebie. Prosił, żeby przekazać je, jak tylko się pani pojawi – dokończyła dziewczyna.

– Kto to był? – Matylda wzięła z rąk kelnerki bilon i trochę niepewnie kartkę złożoną na pół. – Mężczyzna czy kobieta?

– Facet... – W tym momencie na twarzy dziewczyny pojawił się zagadkowy uśmiech, a Matylda miała wrażenie, że usłyszy za chwilę coś więcej na jego temat. Kelnerka jednak tylko westchnęła i dokończyła już bez rozmarzonego wyrazu twarzy: – Nalegał, żeby pani to dać. Czekał tu na panią wtedy cały wieczór. I był później kilka razy.

Dziewczyna wróciła za bar, bo do kawiarni weszło kilka rozgadanych kobiet w



luźnych, bawełnianych strojach. Zajęła się nowymi klientami, a Matylda przysiadła jeszcze na chwilę przy kawiarnianym stoliku, chociaż za oknem zaczęły się już zapalać uliczne latarnie...

Siedziała jakiś czas nieruchomo. W końcu wolno rozłożyła kartkę i jeszcze raz przeczytała dokładnie adres mailowy. Radiowiec, ciekawe imię, zadziorny, pewny siebie – określała go sobie na szybko, próbując uspokoić burzę myśli i lekkie drżenie rąk, któremu towarzyszyła większa liczba uderzeń serca na minutę. Próbowała jeszcze skojarzyć nazwisko z listu z jakąś znaną jej stacją radiową, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Wracał tu, czekał na nią... Cały czas dźwięczały jej w uszach słowa młodej kelnerki.

W tym liście było coś takiego, co mogłaby porównać do zupełnie czystych kartek w samym środku grubej książki. Historia cię wciąga, czytasz kolejne strony z wypiekami na policzkach i nagle: pusto – kilka białych stron. Znajdujesz kolejne zadrukowane, a one dają ci pewność, że to te puste zawierały istotną treść. I tak naprawdę nie chcesz czytać dalej, zanim nie spróbujesz chociaż dowiedzieć się, co na nich było.

Powoli, trochę jak w transie, Matylda wyciągnęła pióro i stary papier listowy. Pisanie zajęło jej dobre pół godziny. Kiedy skończyła, spojrzała za okno. Zrobiło się zupełnie ciemno, w szybie dostrzegła odbicie kobiety trochę zaskoczonej, trochę niedowierzającej. Kelnerka wcale nie wyglądała na zdziwioną, gdy przyjmowała od niej nie tylko pieniądze, ale i kopertę z listem.

Matylda podziękowała i zniknęła w mroku.

Kosma odłożył słuchawki, wyszedł na korytarz i spojrzał za okno; do wytłumionego studia nie docierały żadne dźwięki i po kilku godzinach zaczął tracić kontakt z rzeczywistością. Zapadał zmierzch, za chwilę skończy pracę. Był zadowolony z nowego zajęcia. Wymagało od niego co prawda cotygodniowych wizyt w Warszawie, ale to on decydował, w jakich porach i w które dni pojawia się w budynku telewizji. Robił to, co umiał najlepiej: lekko obniżonym głosem podkładał lektorat pod nowe produkcje i programy realizowane na licencji zachodnich podmiotów.

Zauważył, że Kaśka pogodziła się z jego wyjazdami, a nawet dostrzegała ich plusy. Podejrzewał, że duży wpływ na tę zmianę nastawienia miał dostęp do jego konta, z którego korzystała bez skrupułów. Po dziewiętnastu latach małżeństwa wciąż mieli osobne rachunki bankowe, ale żona Kosmy jego traktowała na równi z własnym. Stały dopływ gotówki z nowej fuchy cieszył ją chyba bardziej niż jego samego. On z kolei polubił te wyjazdy, tym bardziej że miał dzięki nim okazję do odnowienia kilku serdecznych znajomości jeszcze z czasów ogólniaka. Warszawa wessała niemal wszystkich jego znajomych, a praca w korpo skutecznie uniemożliwiała im częste powroty do miasta włókniarek. Teraz nadrabiali stracone lata, dyskutując i wymieniając się zdjęciami – z dziewczynami tylko tymi przedstawiającymi rodzinę, z kolegami zwykle przykładami sercowych podbojów.

Kosma z zadowoleniem przyjął fakt, że kilka dawnych koleżanek wciąż trzyma się niebezpiecznie blisko, nie chciał jednak korzystać z tych zachęcających gestów. Nie w głowie były mu damsko-męskie szachy, zwłaszcza że Kaśka przyglądała mu się teraz

uważnie. Wiedziała, że stolica ma nie tylko blaski, ale i cienie. Jakimś szóstym zmysłem potrafiła wyczuć większość jego skoków w bok, ale przez dwie wspólne dekady nauczyła się z tym żyć. Kochała go i nie chciała stracić. Wiedziała, że pewnych pytań lepiej nie zadawać. Nie przeszkadzało jej to jednak patrzeć na niego z wyrzutem, co działało na Kosmę gorzej niż porządna awantura. Nie chciał jej niepotrzebnie ranić, więc trzymał koleżanki na dystans. Sytuację ułatwiał wyjazd Anji, która wróciła dopilnować swoich spraw w Szwecji, gdzie mieszkała z mężem. Tworzyli otwarty związek. Björn doskonale znał Kosmę i akceptował ich przyjaźń, wykraczając poza utarte schematy. Makarski zazdrościł tej dwójce szczerości i zrozumienia dla potrzeb partnera. Z Kaśką nawet nie próbował rozmawiać na ten temat.

Od dwóch miesięcy gorzej spał. Pani z Żółtej Cizemki nie odezwała się, nie spotkał jej też przy Bakaliowej. Polubił to miejsce i bywał tam w zasadzie podczas każdej wizyty w Warszawie. Z Izą, uroczą kelnerką, potrafił przegadać całe popołudnia. Wracał później do domu, przeklinając, bo nie znosił jazdy po ciemku. Iza okazała się interesującą osobą i Kosma musiał się mocno pilnować, by przyjacielskie rozmowy nie zaprowadziły ich o krok za daleko. Mógłby być jej ojcem!

Pożegnał realizatora i producenta serdecznym „czuwaj” i ruszył do wyjścia. Na Bakaliową szło się stąd nie dłużej niż kwadrans. W Żółtej Cizemce panował przyjemny półmrok; przy dyskretnie oświetlonym barze czekała już Iza. Kosma spostrzegł, że jest podekscytowana. Wyglądała seksownie w tym kusym barmańskim wdzianku. Przez chwilę zastanowił się, czy nie porzucić skrupułów, nie kucnąć przy niej za ladą, z dala od wzroku pozostałych klientów, i...

– Czołem, sestro! – przerwał potok nieskromnych myśli i wrócił do rzeczywistości, po czym dodał z uśmiechem: – Wino i jadło dla ludzi moich, woda i pasza dla koni naszych...

– Masz dziś nadspodziewanie dobry humor – zauważyła dziewczyna. Wiedział już, jak ma na imię. – Stało się coś?

– Tak, przyszedłem, bo w „Metrze” napisali, że obsługa jest tu nieziemskiej urody.

– Wysilił się na tani komplement. – I nie pomylili się.

– Postaraj się bardziej, chłopaku! – Iza niby skrzywiła się z niesmakiem, ale Kosma widział, że to tylko pozory. – A jak ci powiem, co dla ciebie mam, to będziesz musiał się naprawdę wysilić.

Kosma patrzył na nią uważnie, więc postanowiła nie trzymać go dłużej w niepewności. Uwielbiała te słowne przepychanki, ale wiedziała też, że on przychodzi tu głównie z powodu tajemniczej autorki zagubionego listu.

– Była tu dzisiaj. Spóźniłeś się naprawdę nie...

– Przekazałaś jej mój list? – przerwał jej w pół słowa.

– Spokojnie, dostała go. Mówię to z zalem, to babka z klasą. Wolałabym, żeby było inaczej i żebyś przychodził tu dla mnie. No, może chociaż dla earl grey. Albo naszych bajgli...

– Iza, zaraz cię pogryzę – wycedził Kosma. – I to raczej nie tak, jak bym chciał, a ty lubiła.

Przerwał, bo do kontuaru podszedł klient i dziewczyna skupiła się przez chwilę na

pracy. Była tu, pomyślał Kosma, a w głowie rozpoczęła się gonitwa myśli. Sama? Jak wygląda? Jak pachnie? Nosi okulary, jak seksowne sekretarki w filmach, których oglądał zdecydowanie za dużo? No i najważniejsze, co zdarzy się teraz?

– Powiem ci, co będzie. – Iza jakby czytała w jego myślach. Nie zauważył, kiedy stanęła przed nim. – Potrzebujemy czasu. Ona poczuje coś do ciebie trochę później...

– Co ty wygadujesz...

– Nie przerywaj, proszę – weszła mu w słowo. – Jestem młoda, ale nie głupia. Nie wierzę, że przychodzisz tu z powodu świetnej herbaty. Zazdroszczę jej, choć nie znamy jej ani ja, ani ty. Ale obserwuję cię od samego początku i wiem, że coś do niej czujesz. I wiem, że ona poczuje coś do ciebie. A teraz masz i czytaj.

Iza podała mu kopertę i odeszła na bok. Kosma patrzył na nią jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, skąd w tej młodej dziewczynie tyle życiowej mądrości. Otworzył kopertę, zbliżył ją do twarzy i powąchał. W nozdrza uderzył go zapach mandarynki, paczuli i kardamonu. Uśmiechnął się i zaczął czytać.

*Skąd ta pewność, Panie Kosmo, że chciałabym słuchać Pańskich opowieści? W końcu nie znam Pana, a to, że czekał Pan na mnie cały wieczór, nie musi mnie do niczego zobowiązywać.*

*List, jak Pan trafnie zauważył, nie był do Pana, ale nie musi Pan przeproszać. Bywam roztargniona i nieuważna. Nie spodziewałam się tylko, że moje roztargnienie może zmienić czyjeś plany na wieczór. Więc tak naprawdę to chyba ja powinnam Pana przeprosić.*

*Czy to właśnie miał Pan na myśli, mówiąc, że wiele rzeczy dzieje się przypadkiem? Pański dziwny dzień, moje roztargnienie, stare koperty i burza w południe – uwierzyłby Pan, że mają ze sobą jakiś związek?*

*Rzeczywiście słowa, niezależnie od tego, czy pisane, czy wypowiedane, jak to Pan pięknie ujął, bardzo często potrafią zmienić wszystko w kilka chwil. Nie użyję ich więc dzisiaj, żeby odpowiedzieć Panu na pytanie, czy lepsze jest dla Pana znajome „wczoraj”, czy „jutro” – za rogiem, więc kompletnie niewidoczne. Może na początek niech się Pan delikatnie wychyli i rozejrzy? I może niech Pan nie skacze tak od razu... Połamie się Pan tylko i będzie kłopot. Będzie Panu trudniej zajrzeć na Bakaliową, a jestem pewna, że docenił Pan wyjątkowość tego miejsca.*

*Wiedział Pan, że najbogatsze muzyczne utwory, które napisał Chopin, powstały w ciągu dziewięciu lat związku z George Sand, jego największą miłością? Zresztą i jej twórczość z tego okresu jest pełniejsza, chociaż potrzebowała ponad roku, żeby przekonać go do siebie. Podobno kiedy poznali się jesienią 1836 roku w Paryżu, w ogóle nie zrobiła na nim dobrego wrażenia.*

*Lubi Pan wiśnie?*

## Matylda

Jasne, że lubił wiśnie, pod każdą postacią. Nawet colę wybierał zawsze w wersji cherry.

List od Matyldy trochę go zirytował. Pan? Przecież przedstawił się jej, czego nie zrozumiała? Nie znosił ludzi nadmiernie dystansujących się od otoczenia, a uparte „panowanie” było dla niego kompletnie nie do przyjęcia. Chyba że zrobiła to specjalnie, pomyślał. Korciło go, by odpisać jej tu i teraz, ale wiedział, że pośpiech jest złym doradcą. Właściwe słowa zwykle przychodzą za wcześnie lub zbyt późno. Nie chciał spalić tematu, tym bardziej że doskonale zdawał sobie sprawę, iż udało mu się ją zaintrygować. *Easy, cowboy*, powiedział do siebie w myślach i włożył list do koperty. Nie omieszkał powąchać go raz jeszcze. Wyczuwalny zapach perfum przyprawił go o dreszcze. Kenzo Jungle Elephant! Ta kobieta działała na niego nie tylko słowem. Kusila, choć może nie do końca zdawała sobie z tego sprawę. A może po prostu wszystko to sobie wymyślił?

Znał kobiety i wiedział, że na tym razie się nie skończy. Gdyby nie miało być ciągu dalszego, zwyczajnie nie odpisałaby na jego krótką wiadomość. Poczł rozkoszny dreszczyk i z okrzykiem: „*Boys are back in town!*” wyszedł z lokalu. Iza pomachała mu w przelocie, zdążył jej tylko pokazać, że będzie za tydzień.

Noc dopiero się zaczynała, a on miał wrażenie, że to początek czegoś więcej.

Przygotowując sobie kąpiel, gapiła się nieprzytomnym wzrokiem na parującą wodę; trochę bezmyślnie nalała do wanny za dużo płynu do kąpieli. Teraz puszysta piana łaskotała ją w nos i unosiła się lekko nad wodą przy najlżejszym ruchu.

Ten mężczyzna z listu... Może powinna odpowiedzieć mu mniej oficjalnym tonem, może nie powinna w ogóle odpowiadać albo chociaż odczekać z odpowiedzią? Teraz, kiedy ochłonęła, napisałaby chyba inaczej. Może nawet skorzystałaby z tej poufałości, którą zaproponował Kosma.

Kosma... Niezwykłe imię. Nie znała nikogo, kto by je nosił.

Sięgając po gąbkę, straciła niechcący szklany słój z pokrywką, w którym trzymała zapachowe kule do kąpieli. Pojemnik roztrzaskał się o posadzkę łazienki. To wyrwało ją z zamyślenia i porządnie otrzeźwiło.

Jezu, kobieto, skarciła się w myślach, przecież nawet go nie znasz. Nie możesz robić wszystkiego, o co cię poprosi jakiś zupełnie obcy facet...

Doprowadzenie łazienki do ładu zajęło jej dobrą godzinę. Potem dłuższą chwilę „pokręciła się” w zagmatwanym świecie *Potarganej w miłości*.

Dopiero gasząc światło, znów przypomniała sobie wieczór na Bakaliowej. Kosma... Przychodził kilka razy. Ciekawe, co zamówił. Miał dziwny dzień, a może to była noc?

Zasnęła niespokojnie...

## Rozdział czwarty

*w którym Kosma stąpa po kruchym lodzie, a Matylda nie dowie się, że ta piosenka to chyba o niej*

*Am I left to burn*

*And burn eternally*

*She's a mystery to me*

*She's a mystery girl...1*

Kosma od dłuższej chwili siedział bez ruchu. Ciepły, niemal operowy głos Roya Orbisona wypełniał studio, opowiadając o dziewczynie i wiążącej się z nią tajemnicy. Makarski nucił w głowie dobrze znany tekst, do którego lubił wracać i który lubił odkrywać za każdym razem na nowo. Historia przedstawiona w piosence była nie mniej interesująca niż okoliczności powstania samego utworu. Kosma pamiętał je doskonale i postanowił podzielić się tą wiedzą ze słuchaczami. Lubiał ten nocny rytm audycji, wyznaczany przez rzadkie telefony, muzyczne odkrycia i rozmowy z ludźmi nie mniej samotnymi niż on. Lubiał do nich mówić, wiedział, że po drugiej stronie zawsze znajdzie się ktoś, kogo zainteresuje to, co ma do przekazania.

– Piosenka, której wysłuchaliście, jest dla mnie wyjątkowo ważna. To muzyczny prezent i swego rodzaju hołd, jaki amerykańskiemu artyście Royowi Orbisonowi złożyli muzycy irlandzkiej grupy U2. Cofnijmy się do roku osiemdziesiątego siódmego. Zespół koncertuje właśnie w ramach trasy *The Joshua Tree*. Podczas bezsennej nocy, może takiej jak dzisiejsza, Bono słucha piosenek Orbisona i pod ich wpływem, dostrzegając zapewne nie tylko charyzmę wokalną artysty, ale i urodę jego tekstów, komponuje *She's a Mystery to Me*. Roy Orbison zjawia się na koncercie zespołu i na zapleczu sceny wysłuchuje surowego jeszcze projektu. Jest zachwycony. Rok później piosenka w jego aranżacji trafia na płytę *Mystery Girl*, ostatni studyjny album artysty. Nie doczekał jej premiery. Orbison umiera pod koniec roku osiemdziesiątego ósmego, dołączając do swej pierwszej żony, potrąconej przez ciężarówkę, oraz do synów, których stracił w pożarze domu. Tragiczna postać, wspaniały artysta. O kim myślał, śpiewając wtedy o zagadkowej dziewczynie?

Zmiennik już się zameldował, Kosma życzył mu spokojnego dyżuru i wyszedł ze studia. Rozejrzał się po redakcji; w newsroomie kręciła się nocna obsada serwisantów. Musieli być w ciągłym pogotowiu, bo znów wrzało przy Wiejskiej. W Sejmie trwało posiedzenie, jeszcze tej nocy komentatorzy spodziewali się nerwowych zachowań po jednej i po drugiej stronie sceny politycznej. Miało to związek z jakimś unijnym wystąpieniem premiera. Jakim? Kosma próbował sobie przypomnieć nagłówki widziane ostatnio w Internecie, ale od kilku dni żył jakby w innej rzeczywistości. Świat na zewnątrz

zwolnił i stał się mniej interesujący. Co mnie to wszystko obchodzi? – mruknął pod nosem i udał się na parking. Nie był politycznym analfabetą, miał swoje przekonania i zwykle wyrażał je dość precyzyjnie. Jednak tym razem jego uwaga koncentrowała się na zupełnie innych obszarach. Skupił się na tym, co działo się z nim, z jego uczuciami.

Kosma zakochiwał się szybko i często. Uwielbiał ten stan zwiększonej produkcji hormonów, kiedy ciągle był w trybie *ready to go*, gotowy do działania. I w takim nastroju wracał ostatnio z Warszawy. Nie wiedział jeszcze, czy Matylda będzie tą, której chciałby przynosić najczerwieńsze jabłka z Biedronki, ale czytając list, jaki zostawiła mu w kawiarni, czuł, że za tym wszystkim kryje się niespodzianka. I jak każdy chłopiec – duży czy mały – chciał po nią sięgnąć.

Skręcił do centrum. Kierował się w stronę loftów przy Tymienieckiego, gdzie od kilku miesięcy mieszkał z Kaśką i ich córką. Po drodze wjechał jeszcze do całodobowego McDonald's. Nie chciał wracać do domu. Kaśka o tej porze spała w najlepsze, a Miśka pewnie dopiero kombinowała, jak wrócić z imprezy i nie narobić hałasu, zjawiając się później, niż obiecała. Nie gniewał się na córkę – była mądrą dziewczyną i wiedziała, gdzie są nieprzekraczalne granice. Nie sprawiała im kłopotów. Studiowała na wydziale dyrygentury łódzkiej Akademii Muzycznej. Lubił podwozić ją na Gdańską, mieli wtedy czas, by porozmawiać. Była klasycznym przykładem córeczki tatusia, ale szanowała ten układ i nigdy nie próbowała przeciągać struny. Kosma z kolei przymykał oko na jej nocne eskapady. Michalina była klubową DJ-ką, grała ostrą, transową muzykę, której on sam unikał w radiu jak ognia.

W lokalu było pusto, dziewczyna z obsługi mechanicznym głosem przyjęła zamówienie. Poprosił o kawę z mlekiem i usiadł przy oknie. Musiał chwilę pobyć sam. Zaraz po niedzieli wybierał się do Warszawy, chciał pojechać tam z gotowym listem do Matyldy. Nie zostawiła adresu, więc odwiedzi Żółtą Cizemkę. Kto wie, może nawet wpadnie tam na swoją *Mystery Girl*, zagadkową dziewczynę?

Wyjął kartkę i zaczął od pretensji...

*Naprawdę chcesz się bawić w te konwenanse? Pani, Pan? Proszę bardzo, niech będzie po Twojemu... Przepraszam, niech będzie zgodnie z Pani życzeniem. Wolę Panią z pierwszego listu, kiedy pisze Pani o pięknych zakątkach, zamiast życzyć mi połamania nóg.*

*Nie po drodze mi z Chopinem, choć dziadek zabrał mnie raz na konkurs fortepianowy. X edycja, wielki świat, a tu przecież głęboka komuna. To był rok 1980. Siedzieliśmy w czwartym rzędzie, kiedy Ivo Pogorelić został wykopany z rywalizacji w trzecim etapie. Dziadek krzyczał, że to skandal, a jedna z sędziów w ramach protestu odeszła z jury. Ale ona była z Argentyny, co oni tam wiedzą o Chopinie i polskiej lub chorwackiej duszy?*

*Mówiliśmy o przypadku. Czy to przypadek, że widziałem właśnie ten najważniejszy dla niego występ? Byłem wtedy dzieckiem, jednak zrozumiałem, że geniuszom nie są potrzebne żadne konkursy i oceny sędziów. A George Sand? Za każdym wielkim artystą kroczy jakaś dama serca, to jak naczynia połączone. Prawdziwej sztuce potrzebne są*

*miłość, radość, ból i rozstanie. Przecież Pani musi o tym wiedzieć, Matylde. Ivo też miał swoją wielką miłość. Przyjechał do Polski z nauczycielką, arystokratką... Uczyła go, została jego żoną i partnerowała mu w życiu przez 16 lat, zanim zmarła.*

*Pozwól, że zrezygnuję z tej Pani, proszę – porzuć też Pana. Jedyne pan Makarski, jakiego znam, to mój ojciec. Ja jestem Kosma, grałem w kapsle, kradłem czereśnie, przesiadywałem na trzepaku. Jeszcze wczoraj. To Twoje „Pan” powoduje, że odruchowo kurczę się i robię starszy. Chcesz, żebym mówił do Ciebie zgarbiony? Czy chcesz, żebym w ogóle do Ciebie mówił? Powiedz mi jeszcze coś o sobie. Domyślam się już, jak pachniesz, wiem, jak masz na imię i jakie są Twoje ulubione miejsca. Nie wiem jednak, co sprawia, że w Twoim liście czuć było smutek. Słuchałem dziś smutnej piosenki o zagadkowej dziewczynie. Była o Tobie?*

*Kosma*

Kawa wystygła niemal zupełnie, ale nawet taka smakowała mu wyśmienicie. Nie wiem, co oni tu do niej dosypują, ale to działa, pomyślał i drgnął na dźwięk telefonu. Często zmieniał dzwonki; tym razem jego ulubiona nokia zagrała *Lost Stars* z filmu *Begin Again*. Dał trochę pośpiewać Adamowi Levine'owi, zanim odebrał.

– Przyjedź po mnie, tatku – powiedziała Michalina, a w jej głosie wyczuł smutek.  
– Jestem w Bagdadzie. Proszę.

– Coś się stało?

Nie musiał pytać, żeby wiedzieć, że skoro dzwoni o tej porze, to sytuacja jest alarmowa.

– Po prostu przyjedź, będę czekać przed wejściem.

– Jadę! – odparł i już z parkingu cofnął się do kasy. Co jak co, ale ciepła kawa z mlekiem może pomóc młodej dziewczynie w trudnej rozmowie z ojcem. Zwłaszcza w nocy. I zwłaszcza kiedy ta dziewczyna nie może przestać płakać. Łzy spadające na chodnik słyssał przecież kilkanaście ulic dalej.

Powinna była odmówić dzisiaj Wiktorowi. Rzadko wymigiwała się od towarzyszenia mu na firmowych imprezach. Głównie dlatego, że w ogóle niezbyt często wychodzili gdzieś razem, żeby po prostu potańczyć.

Częściej spędzali wieczory w kinie, w teatrze albo po prostu przy winie z przyjaciółmi. Wiktor owszem, tolerował bankiety, ale pod warunkiem, że były to imprezy jego środowiska. A wielkich bali zwyczajnie nie lubił.

Dzisiaj obiecał jej, że nie będzie zbyt dużo rozmawiał o budowach, maszynach i technologiach, a od żony będzie się oddalał co najwyżej na kilka minut, i to tylko w ostateczności...

Z ostatniej podróży do Berlina przywiózł jej nowy, obłądny zapach. Idealnie komponował się z nową sukienką, która zrobiła na Wiktorze duże wrażenie. Kremowo-złota, niezbyt mocno przylegająca do ciała tkanina pięknie podkreślała opalone ramiona i całkiem odkryte plecy Matylde. Całości dopełniały maleńkie kolczyki i drobna bransoletka z topazami oraz ametystami w złotej oprawie, które dostała kilka lat temu od



rodziców na czterdzieste urodziny. Nawet bez zachwytu w oczach męskiej części zgromadzenia, który swoją drogą sprawiał jej niekłamaną przyjemność, wiedziała, że dobrze wygląda. Wśród pań zachwyty był zdecydowanie mniejszy i mieszał się z nieumiejętnie skrywaną zazdrością. Matylda jednak wolałaby, żeby pozachwycił się nią własny mąż.

Gdyby nie kilka młodych żon kolegów Wiktora, zanudziłaby się na śmierć. Dziewczyny były na tyle dowcipne i bystre, żeby większość przyjęcia minęła jej w dobrej atmosferze. Panowie byli zajęci sobą, cudzymi żonami, dużym wyborem drogich alkoholi i bardzo ważnymi rozmowami, od których „wiesz, kochanie, bardzo dużo zależy”.

Zbliżała się dwudziesta trzecia. Kołowrotek towarzyski rozkręcał się w najlepsze, głośne chichoty zabawianych sekretarek i co bardziej zabawowych żon mieszały się z brzękiem szklanek do whisky i narastającym szumem rozmów.

W rogu sali, na niewielkiej scenie, apetyczna młoda brunetka ładnym altem śpiewała właśnie nostalgicznie *Como me duele perderte* z repertuaru Glorii Estefan. Dziewczyna wywiązywała się ze swojego zadania znakomicie, a towarzyszący jej młodzi muzycy mieli doskonały warsztat i bezbłędne wyczucie latynoskich rytmów.

Szukając wzrokiem Wiktora, usiadła z lampką wina w dłoni przy jednym z okrągłych stolików trochę z boku sali, skąd doskonale było widać niewielką scenę. Nigdzie nie mogła dostrzec męża. Przeniosła wzrok na zmysłowo kołyszącą się wokalistkę; tęskna rumba sprawiła, że poczuła się samotna. Rumby nie powinno się słuchać samemu, rumbę trzeba czuć w czyichś ramionach...

Spojrzała na błyszczące wino w kieliszku, od którego odbijały się złote światła sceny, i na swój staranny manicure. Nie rozglądała się już więcej. Wysłuchiwała jeszcze jednej spokojnie falującej ballady *Besame* i zamówiła taksówkę.

– Matyldo...

Zdażyła już posprzątać po śniadaniu, kiedy Wiktor wszedł do kuchni. Teraz, sącząc z przyjemnością gorącą kawę z mlekiem i odrobiną amaretto, patrzyła przez okno.

– Wiktor, proszę cię... – powiedziała spokojnie, ale stanowczo. – Nie chcę o tym rozmawiać. – Odwróciła się do męża i spojrzała na niego bez uśmiechu. – Ostatni raz namówiłeś mnie na takie wyjście.

Wiktor ustawił ekspres do kawy na podwójne espresso, podszedł do niej i założył jej delikatnie kosmyk włosów za ucho.

– Nie mówiłem ci tego wcześniej, bo nie wiedziałem, co z tego wyjdzie. – Pocałował ją w czoło i objął w pól. – Wysyłają mnie do Berlina na rok, może dwa... – Patrzył w jej szeroko otwarte ze zdziwienia oczy. – Do wczoraj nie byłem pewien. I chciałem ci o tym powiedzieć, kiedy będziemy sami.

– Jak to do Berlina... Wiktor?! – Wyswobodziła się z ramion męża i usiadła ciężko przy stole. Zadzwoił spodeczek, kiedy kładła na nim filiżankę z kawą. – Była mowa o Rzymie, a poza tym obiecałeś, że jeśli zechcą wysłać cię gdziekolwiek, to odmówisz. I tak pracujesz za dużo. – Nie mogła opanować wzburzenia. – Prawie się nie widzimy.

Nagle lipcowy poranek stracił na uroku. Wiktor usiadł obok żony i schował w swoich rękach jej drobną, zadbaną dłoń.

– Do Rzymu jedzie Krępski. To ja mu go oddałem. Sam wybrałem Berlin. –

Pocałował ją w nadgarstek. – Przecież chciałaś, żebyśmy wyjechali gdzieś na dłużej...

Matylda milczała i nieobecny wzrokiem patrzyła gdzieś za okno.

– Wiktor... – W jej głosie nie było słycać ani odrobiny ekscytacji. – Tylko nie Berlin! – Położyła nacisk na ostatnią sylabę. – Przecież wiesz, że nie znoszę Niemców, ich nudnego porządku zawsze i wszędzie i tej ich muzyki...

Umilkła na chwilę.

– Poza tym na roku się nie skończy, wiesz o tym tak dobrze jak ja. Trudno byłoby mi wytrzymać tam miesiąc... – Odstawiła niedopitą kawę i wstała. – Muszę to sobie poukładać.

Stała w drzwiach kuchni i zatrzymała się tyłem do męża.

– Wrócę za jakiś czas. Na obiad możemy pójść do Włocha, na lasagne, okej?

Wiktor zaakceptował w myślach wybór żony.

– Mogłabyś wreszcie zacząć remont kamienicy. Matylda...

Dźwięk jej imienia nałożył się na cichy trzask zamykanych drzwi wejściowych.

Lipiec rozbuchał się w najlepsze. Ponad dwa tygodnie upałów sprawiło, że stolica pustoszała w każdy weekend. Dało się odczuć, że spora część warszawiaków zaplanowała sobie urlop na ten miesiąc. O tej porze dnia panowało już tylko przyjemne ciepło.

Matylda była zadowolona, że wstała wcześniej, ale rozmowa z mężem wytrąciła ją z równowagi. Tygodnie jego nieobecności wlokły się niemiłosiernie, dlatego od dłuższego czasu rozmawiali o tym, że będzie rezygnował z dłuższych niż miesiąc zagranicznych wyjazdów służbowych. Był naprawdę dobry, oboje o tym wiedzieli. Doskonała znajomość angielskiego i niemieckiego była dodatkowym atutem w jego zawodzie. Ale od jakiegoś czasu Matylda czuła, że życie przecieka im między palcami. Nie miała już ochoty wypełniać sama pustki, która wpełzała na miejsce męża. Rodzice coraz częściej potrzebowali opieki, rzadziej mogła pozwolić sobie na zostawianie w SenSualu samej Ewy. Sklep miał coraz więcej klientów, a ich wymagania rosły. Nieustannie dopytywali też o jej akwarele, co akurat było dla niej najmilszym akcentem w zabieganej rzeczywistości. Zwyczajnie jednak potrzebowała oddechu i zwolnienia z części obowiązków. Miała wrażenie, że ostatnie lata zlewają się w jeden za szybko pędzący pociąg majów, styczeń, sierpień, niedziele, wtorki i czwartki, pomieszanych ze sobą bez ładu i składu.

Była tu już drugi raz w ciągu paru dni. Dziś też nie miała odwagi wejść do środka. Drzwi Żółtej Cizemki były szeroko otwarte, przy schodkach wejściowych stały małe różane drzewka w donicach. Zapach kwiatów mieszał się z aromatem kawy i domowego ciasta. Nie miała ochoty na ciasto. Chciała wiedzieć, czy napisał...

Zwolniła kroku na kilka metrów przed drzwiami do kawiarenki. Właściwie sama nie wiedziała, czego oczekiwała, odpowiadając na list Kosmy. Miała tylko pewność, że na Bakaliową nie przysłała dziś przypadkiem.

Podjechała metrem do restauracji, w której umówiła się z Wiktorem. W niedziele często jedli obiad u rodziców Matyldy albo po prostu gdzieś na mieście. Najczęściej bywali u sympatycznego Włocha Marcella na Kruczej. Ani razu nie wyszli z tej knajpki zawiedzeni.

W Żółtej Cizemce nie było dzisiaj ani tarty wiśniowej, ani żadnych znajomych

twarzy; nie było też żadnej korespondencji... Wyszła z kawiarenki, nie dopiwszy karmelowej herbaty, i chyba nie bardzo potrafiła ukryć, że nie zjawiała się tam tylko dla wysmakowanej oferty deserów.

Wchodząc do restauracji, zmusiła się do delikatnego uśmiechu. Dostrzegła z daleka czekającego już na nią Wiktora. Po obiedzie chciała na spokojnie porozmawiać z mężem o wyjeździe.

Lokal powoli zaczął się wypełniać. Przy stoliku obok dwaj mężczyźni skończyli właśnie posiłek. Jeden z kelnerów podał menu Matyldzie i Wiktorowi i podszedł do sąsiedniego stolika, żeby zabrać puste naczynia. Mężczyźni rozmawiali podniesionym tonem; aż nazbyt łatwo dało się słyszeć o czym.

– Uspokój się, Radek! – powiedział ten z bródką, pozujący na inteligenta. Okulary miały podkreślać jego... cokolwiek miały podkreślać, Matylda miała wrażenie, że dają efekt odwrotny do zamierzonego. – Żyłka ci pęknie i tyle z tego będziesz miał.

– Łatwo ci mówić – odparł niewysoki ryżyk, nazwany Radkiem. Matylda rozpoznała głos, słyszała go wielokrotnie w programach telewizyjnych i chyba w jakiejś telenoweli. – Tracę przez tego fiuta coraz więcej zleceń. I nic nie wskazuje na to, że sytuacja się poprawi.

– Przecież czytasz regularnie... – uspokajał kolegę Bródka. – A na mieście mówią, że ten nowy jest ulubieńcem Kiszczaka. Nie ma sensu kopać się z koniem.

– Pieprzę tego fagasa! – coraz głośniej artykułował swój żal rudzielec. – Jakiś Kosma-Srosma z Łodzi niemal wyczyścił mi rynek w miesiąc... Miałem wykończyć górę i zrobić podjazd. Jak tak dalej pójdzie, to chyba wrócimy do teściów.

Matylda przestała nawet udawać, że studiuje menu. Na dźwięk rzadkiego imienia podniosła głowę i przyjrzała się mężczyznom uważniej. Bródka wyglądał jak, hmm... bródka, ale Radka kojarzyła z kolorowych gazet. Był aktorem, znanym głównie z dubbingu. Kosma z Łodzi? Musieli mówić o nim, to przecież niemożliwe, żeby istniało ich tam kilku. Nie zorientowała się, że Wiktor przygląda jej się uważnie.

– Nie podsluchujesz chyba? – zapytał po chwili.

– Słucham? Nie! Trochę... Wydaje mi się, że rozpoznaję ten głos, ty nie?

– Nie, rozpoznaję za to znajome burczenie w brzuchu, zamówmy wreszcie! – zarządził Wiktor i przywołał kelnera.

– Dla mnie ravioli, jakiegokolwiek. Zaskocz mnie! – poinstruowała Matylda i znów nadstawiła ucha. Przy sąsiednim stoliku atmosfera jeszcze bardziej zgęstniała.

– Widziałeś jego wóz? Jest starszy od niego... Pewnie żeby tu dojechać z tej Łodzi, musi dwa razy stawać na tankowanie!

To był Bródka.

– Złamas... – dopowiedział Radek. – I jeszcze się do niego ślinię na recepcji, wszystkie. A najbardziej Jagoda...

– Jagoda też? – zapytał niebanalnie ogolony. – Potrzebny on nam tutaj jak kurwie dzidzius. Radek, co robimy?

– *I have no fucking idea, man!* – Radek przypomniał sobie, że jest aktorem, i poleciał kwestią jak z filmów Tarantino. – Zbierajmy się... Powinniśmy spotkać się z Julkiem, on też jest z Łodzi, może ma jakieś brudy na tego kutasa.

– Ale że Jagoda też? – nie dowierzał Bródka. Rozmowę kontynuowali już przy barze. Radek płacił. Najwidoczniej Kosma nie odebrał mu wszystkich źródeł utrzymania. Matylda miała gonitwę myśli. Kim jest Jagoda? Co Rudy z Bródką knują przeciwko Kosmie? I jakich brudów może im dostarczyć Julek z Łodzi? A przede wszystkim – dlaczego Makarski nie odezwał się do tej pory?

Kelner przyniósł ravioli, Wiktor zamówił sobie solidną sztukę mięsa. Wino również smakowało, a na pewno kosztowało zanie, więc postanowiła przynajmniej na chwilę odstawić te zagadki. Skupiła się na posiłku. Wybór dokonany przez męża w pełni ją usatysfakcjonował. Jedli niespiesznie, rozmawiając o głupotach. Matylda powoli oswajała się z „Projektem Berlin”. Sytuacja niewiele się zmieni, myślała. Wiktor i tak jest stale w rozjazdach...

Kosma nie był świadom, jakie zamieszanie wprowadził do życia sporej grupy warszawiaków. Nawet gdyby wiedział, miałby to głęboko w... powiedzmy, że niezbyt by się tym przejmował.

Nocna eskapada po córkę zakończyła się rozmową, po której płakali już oboje. Michalina była zakochana, nie to jednak było powodem ojcowskiej rozpaczki. Wręcz przeciwnie, w stu procentach akceptował jej wybór, a i Kaśka w Jaromirze widziała przyszłego zięcia. Dzieci poznały się jeszcze w liceum i od kilku lat były nierozłączne. Jaromir spędzał u nich święta, wyjeżdżał z Michaliną na wakacje, praktycznie został już członkiem rodziny. Wkradł się nawet w łaski ich wilczarza irlandzkiego, zwanego pieszczotliwie Helmutkiem. Nic dziwnego, to właśnie na chłopaku spoczywał obowiązek długich wieczornych spacerów z psem.

– Ma glejaka, tatku... – powiedziała mu Michalina wtedy, pod Bagdadem.

Przez to, że łkała i łamał jej się głos, nie zrozumiał, co mówi. Mam glejaka, ma glejaka... Złapał ją mocno za ręce i potrząsnął.

– Co ty mówisz?! – wykrzyknął.

– Jaromir, dziś mi powiedział...

Kosma wiedział, co oznacza taka diagnoza. Podobnie jak każdy, kto oglądał choć kilka odcinków *Doktora House'a*. Toczeń, glejak, zespół Cushinga – medyczne terminy znakomicie wryły mu się w pamięć. Zresztą młodej też, zarywali wspólnie noce, żeby nadrobić zaległości w kolejnych sezonach opowiadających o pracy lekarza ze szpitala klinicznego w Princeton-Plainsboro w New Jersey.

Objął Michalinę i poprowadził w stronę auta. Kubek z kawą wypadł mu z ręki, wciąż gorący napój ochlapał buty. Szli w milczeniu, jeśli nie liczyć westchnień i płaczu dziewczyny. Chciał być kurewsko twardy i dodać jej otuchy. Wytrzymał do końca parkingu, w aucie płakali już oboje.

– To gwiazdziak, tak się nazywa – odezwała się w końcu córka, świadoma tego, że ojciec jest typem, który musi wiedzieć więcej. – Najgorszy sukinsyn na świecie, włókienkowaty. Od tego się zaczęło, teraz jest na prostej drodze do przemiany w glejaka wielopostaciowego. Nie zostało mu dużo czasu, tatuś.

– To się przecież operuje – zdołał wymamrotać, ale już w połowie zdał sobie sprawę, że ekipa House'a nie pojawi się Łodzi. To się nie zdarzy.

– Nawet jeśli uda się zoperować i włączyć leki, ma pięć procent szans, że pożyje

dłużej niż rok. – Michalina mówiła to mechanicznie. – Siedzę tu od wieczora i przeczytałam już cały Internet. Jedźmy do domu, tatku.

Kosma poczuł się nagle staro i źle. Nie wiedział, jak pomóc córce, która na progu dorosłego życia musiała się zmierzyć z tragedią. Nokautem, po jakim niewielu zaprawionych zawodników podniosłoby się z desek.

Kaśka przyjęła wiadomość o chorobie Jaromira nad wyraz spokojnie. Widziała, że Kosma nie radzi sobie z tą sytuacją, więc starała się przynajmniej nadrabiać miną. Helmut zawsze zachowywał się jak barometr i wskazywał rodzinne nastroje. Nie tknął jedzenia i leżał pod drzwiami, smętnie wachlując się ogonem. Czuł, że wydarzyło się coś niedobrego, a jego zdziwione oczy zapewniały, że tym razem to nie jego wina, nic nie zbroił... Machnięciem ogona odmierzał czas, ale nikt się nie odzywał, nikt nie wołał na śniadanie. Zamknął oczy i zasnął – był przecież tylko psem.

1 Roy Orbison, *She's a Mystery to Me* (śl. Dave Evans, Paul David Hewson).

## Rozdział piąty

*w którym krótki list wstrząsa Matyldą,  
a Kosma nie wie, co robić. Tak bywa...*

Kilku najbliższych dni w ogóle nie pamiętał. Żyli trochę z rozpędu, poukładali obowiązki bez zbędnych dyskusji, jakby nagle zaczęli tworzyć zgrany, dobrze funkcjonujący mechanizm. Michalina przepadała na całe dni, przesiadując w szpitalu z Jaromirem albo asystując mu w domu. Nikt nie pytał, nikt nie odpowiadał. Kosma woził ją i wspierał. Wziął wolne w radiu, przez ostatnie lata niewykorzystanych urlopów nabierał aż nadto. Jakby wiedział, że kiedyś się przydadzą. Kłął w duchu i wygrażał losowi. Jaromir odchodził, a wraz z nim odchodziła cała radość, jaka spajała ich rodzinę. Dopiero teraz zauważał, ile zawdzięczają temu chłopakowi i jak wielki udział ma on w ich życiu. Helmut porzucił wieczorne spacerowanie, zadowolając się byle jakim truchtem do najbliższych drzew. Po powrocie do domu warował przy drzwiach, gotowy na radosne powitania. Nikt nie przychodził, nie licząc Michaliny, która wślizgiwała się cicho i znikwała w swoim pokoju. Kosma też chciał zniknąć, nie radził sobie z tym, że wraz z Jaromirem traci córkę. Michaliny ubywało z każdym dniem.

Siedział w Żółtej Cizemce, dokąd nogi same go poniosły po wyjściu z NTV. Urlop w radiu nie oznaczał wolnego od zajęć w stolicy. Klepnął do mikrofonu tekst z kartki i wyszedł bez słowa. Widzieli, że coś się z nim dzieje, ale nikt nie miał odwagi zapytać, co się stało. Dziewczyny z recepcji odprowadziły go smutnym spojrzeniem.

Dopiero w kawiarni przypomniał sobie, że nie ma przy sobie listu, który napisał do Matyldy ostatnim razem. W myślach zganił się za to roztargnienie.

– Weź się w garść, chłopaku – powiedział na głos.

– Wyglądasz jak... zresztą, mniejsza z tym, wypowiedziałam się i chcę być miła. Była tu i chyba nie weszła do nas zupełnym przypadkiem – przerwała mu Iza. – Mam wrażenie, że czekała na ciebie. Ta od listu...

– Jesteś tu zawsze? Nie masz swojego życia? – zapytał obcesowo.

– O, widzę, że ktoś stara się być kutafonem, choć mu z tym nie do twarzy... – Tyle zostało Izie ze spowiedzi.

– Przepraszam, czuję, jakbym nad niczym nie panował. – Do Kosmy w porę dotarło, że wylewanie swoich żali na sympatyczną kelnerkę nie przyniesie mu ukojenia.

– Opowiedz mi o tym – poprosiła.

No to opowiedział. Siedzieli rozdzieleni kawiarnianym bufetem jak po dwóch stronach barykady. Nie traktował jej jak wroga, więc ta barykada tu nie pasowała. Wstał i przeszedł na jej stronę. Zdziwiona spojrzała na niego i przesunęła się o krok, robiąc mu miejsce.

– Z tej perspektywy wszystko wygląda inaczej... – zagaił.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapytała ostrożnie, patrząc mu w oczy.

– Nie wiem, co robić, siostrze... – powiedział głosem tak niskim jak nigdy. Izie aż dreszcze przeszły wzdłuż kręgosłupa. Poczowała się dziwnie odprężona, w zasadzie nie

musiałby jej już dotykać.

I nie dotknął. Wrócił na swoją stronę i rozejrzał się po sali. Stolik, który zajął, gdy był tu pierwszy raz, stał pusty. W lokalu nie było wielu klientów, miasto zwykle wyludniało się na wakacje. Turyści docierali tu z rzadka, na pewno rzadziej, niż wymarzyli to sobie właściciele Żółtej Cizemki.

Gdyby nie łącząca ich sympatia, ciszę, która zapadła, trzeba by nazwać niezręczną.

– Powiem ci, co ja bym zrobiła na twoim miejscu – odezwała się wreszcie Iza.

– Nigdy nie będziesz na moim miejscu.

– Nie wiesz, gdzie będę albo gdzie byłam – odpowiedziała spokojnie dziewczyna.

– Nie chcesz słuchać, to spadaj do stolika. Tutaj ja rządzę.

Kosma w milczeniu przyznał jej rację. Skinął więc tylko głową i wziął łyk herbaty. Wystygła.

– Wyglądasz jak siedem nieszczęść. I tylko z sympatii posłużę się tym literackim określeniem. Powinnam to zrobić w krótkich, żołnierskich słowach...

– Mhmm, dziękuję.

– Nie mam dzieci i nie wiem, co możesz czuć w takim momencie – zaczęła ostrożnie. – Wiem jednak, że byłeś inny, kiedy przychodziłeś tu wcześniej. Że tajemnica, ten list... Bardziej cię wtedy lubiłam.

– Do rzeczy, sestro!

– Pomyśl o sobie, Kosma. Jestem w wieku twojej córki i czuję, że ona myśli podobnie. Pomyśl o sobie.

– Myślenie o sobie wychodzi mi chyba najlepiej.

– To bierz dupę w troki i napisz do tej Matyldy...

Zrobił, jak mu poradziła. Nagle poczuł się lepiej, jakby wróciła mu energia. Uśmiechnął się do dziewczyny za barem, ale zaraz tego pożałował, widząc swoje odbicie w lustrach. Na uśmiechy było chyba jeszcze za wcześnie, a już na pewno na te grymasy, które wykrzywiały mu twarz...

Wziął długopis i spróbował nie skompromitować się przed Panią z Żółtej Cizemki. I tak kazał jej czekać zdecydowanie za długo.

*Mam 43 lata. Wiesz, ile lat może mieć czterdziestotrzyletni facet? Zapewniam, że dużo więcej. Bardzo chciałem Cię poznać. Wszystko układało się dobrze – do momentu, kiedy przestało. Nie wiesz nawet, jak bardzo przestało.*

*To nie jest list, który napisałem w odpowiedzi na Twój. Ten piszę w odmiennym stanie świadomości. Nie, nie jestem pijany, jestem przerażony i rozbity. Zawsze tak mam, kiedy umiera człowiek. Nic nigdy Cię na to nie przygotowuje. Żadne mądrości z książek, nie ma takiej żarliwej modlitwy. Nawet Twój Chopin nie poskładałby tak smutnych nut. To nie jest historia, którą chciałbym się z Tobą podzielić. Musiałabyś płakać razem ze mną. To chyba za dużo, nie mogę tego od Ciebie wymagać. Zbyt wiele smutku masz w sobie już teraz...*

*Dlatego przepraszam, że zawracałem Ci głowę. Może w innym czasie, ale w tym samym miejscu zabiłoby Ci mocniej serce i pomyślałabyś o mnie ciepło i z nadzieją. Masz*



*piękne imię, Germanie mówią, że jesteś odważna w walce. Mnie tej odwagi właśnie zabrakło. Może dlatego, że to nie moja walka? Muszę stać z boku i się przyglądać. Bezsilnie.*

### *Kosma*

Przeczytał list jeszcze raz, złożył kartkę i oddał Izie. Objął ją na pożegnanie i wyszedł. To wychodzenie bez słowa opanował do perfekcji. W drodze do Łodzi dwa razy stanął na tankowanie. Tak przynajmniej usprawiedliwiał swoje przerwy na papierosa. Nie wiedział, że Rudy i Bródka uśmiechnęliby się na ten widok.

– Gdzie jest sztormiak, mamó? Ten żółty! Gdzie go położyłaś?! – Marcel wpadł przez drzwi wejściowe jak po ogień.

– W garderobie, w pawlaczu nad drzwiami! – odrzyknęła Matylda znad którejś z kolei kanapki; zawijała je od paru minut jak automat, myśląc jeszcze o tym, żeby nie zapomnieć podlać kwiatów i nie zostawić brudnych kubków po herbacie.

– A szotówki?! Moje i Marka? – Głos Marcela zmienił lokalizację.

– Synu mój najmilszy! Tam, gdzie zawsze! W twojej szafie, w dolnej szufladzie! – zawołała prosto w kanapkowy miszmasz.

– My jesteśmy gotowi. – Najmilszy syn chwilę później całował matkę w policzek.

– Możemy już ruszać. – Przeciągnął dłońmi po ciemnych włosach i uśmiechnął się szeroko.

Matylda wytarła dłonie o fartuszek w truskawki i przytuliła Marcela.

– Powiedz Markowi, żeby nie szarżował. Na drogach jest dużo patroli. Nie tylko wy chcecie jeszcze dziś być na Mazurach. – Zmierzyła mu czuprynę i podała pudełko z kanapkami. – Zjemy z wami kolację w Węgorzewie; dziś i tak przecież nie wypłyniecie.

– Na pewno nie. Ale przygotowujemy łajbę na jutro. Chcemy wypłynąć z samego rana... – Marcel już był przy drzwiach. – To na razie, mamó!

I już go nie było.

Chłopcy, cała trójka – bo przecież bez syna Xeni rejs byłby nieważny – zabierali jeszcze ze sobą dwie koleżanki z roku. Dziewczyny skorzystały z zaproszenia bez mrugnięcia okiem. Rozanielone miny męskiej części załogi zdradzały, że raczej nie będą musiały ciągnąć szotów ani czyścić pokładu...

Xenia zaczęła swój urlop od koniecznych zakupów w stolicy, a przy okazji udało jej się namówić przyjaciółkę na szybką zmianę planów.

Wiktor już od kilku dni urządzał się w Berlinie. Matylda po zastanowieniu postanowiła do niego dołączyć, spróbować pomieszkać tam trochę i poznać miasto. Uzgodnili z mężem, że będą doglądać rodziców i sklepu na zmianę, co dwa–trzy tygodnie, a gdyby zdarzyło się coś nieprzewidzianego i ich przyjazd do Warszawy byłby konieczny, bliźniaki obiecały zająć się dziadkami do momentu ich powrotu. Z Berlina do Warszawy leci się w końcu tylko dziewięćdziesiąt minut.

Tak jak szybko spakowała się na okoliczność pobytu w wielkim mieście, z uwzględnieniem obiecanych jej przez męża wyjść do filharmonii i do eleganckich restauracji, tak szybko przepakowała walizkę, zamieniając seksowne sukienki, marynarki

i szpilki na wygodny dres, bawełniane bluzy i sportowe buty...

Xenia odziedziczyła po swoim zmarłym ojcu stare siedlisko gdzieś między Węgorzewem a Giżyckiem. Była tam może kilka razy jako dziecko. Ona i jej matka nie utrzymywały zbyt zażyłego kontaktu z ojcem Xeni. Ta ostatnia prawie nie pamiętała ani jego, ani domu, ani okolicy. Ojciec Xeni nigdy nie założył nowej rodziny. Dopiero po jego śmierci okazało się, że zapisał mazurską posiadłość jedynej córce. Xenia chciała razem z mężem obejrzeć dokładnie siedlisko i spróbować je chociaż pobieżnie wycenić. Nie kryła, że pieniądze ze sprzedaży posiadłości przydałyby jej się właśnie teraz. Planowała powiększyć swoją pracownię w centrum Gdańska i przystosować ją do prowadzenia warsztatów malarskich, które ostatnio zrobiły się bardzo modne.

Zaprosiła Matyldę na dwa tygodnie, uznając, że to doskonały pomysł, żeby pobyć ze sobą dłużej niż jeden wieczór, wymienić się pomysłami, poczytać i zwyczajnie odpocząć.

Matyldzie dwa razy nie trzeba było powtarzać. Tak dawno nie była na wsi, że z prawdziwą przyjemnością myślała o czekających ją spacerach i leniwych porankach. Bardzo szybko doszła do wniosku, że Berlin może zwyczajnie poczekać. Zresztą pierwsze tygodnie i tak sprowadzałyby się do układania stosów papierzysek męża w służbowym mieszkaniu.

Na najbliższe dni zapowiedziano niemałe upały, więc propozycja Xeni wydała się Matyldzie szalenie atrakcyjna, żeby nie powiedzieć, że przyszła w samą porę! Ledwie zamknęła dopakowaną do granic możliwości walizkę, w ostatniej chwili wrzuciwszy do niej jeszcze kilka książek. Zastanawiała się czasami, czy bardziej lubi czytać czy jeść. Obie czynności sprawiały jej niesamowitą przyjemność. Nie mogła się zdecydować, które książki zabrać, więc wzięła tyle, ile zdołała wepchnąć do walizki.

Kiedy przekręcała klucz w zamku, klakson wściekle pomarańczowego new beetle'a Xeni niecierpliwie ponaglał ją już po raz drugi. To auto było kwintesencją kobiecości. Gdyby ktoś miał wątpliwość, kto go może prowadzić, flakonik z żonkilem przy kierownicy rozwiewał je do końca.

Zbliżały się do Marek, kiedy wybiła siedemnasta. Słuchały głośno składanki z lat osiemdziesiątych, wspominały swoje szkolne miłości i co chwilę przerywały sobie nawzajem, śpiewając ówczesne przeboje razem z wokalistami. Przy hicie z kultowego *Koktajlu* Matylda położyła nagle ręce na czyściutkiej obudowie przed sobą.

– Xenia, zatrzymaj się! Musimy zawrócić. – I rozejrzała się po poboczu, szukając wzrokiem jakiejś bocznej uliczki.

– Jezu, Matylda!? Nie mów, że nie wyłączyłaś żelazka... – Xenia zrobiła zbolaną minę, bo perspektywa wbijania się z powrotem do Warszawy oznaczała, że w Węgorzewie będą najwcześniej o północy.

– Podjedziemy na Bakaliową. Tylko się nie denerwuj...

– Chyba mi nie powiesz, że pijasz kawę tylko z Bakaliowej. – Xenia spojrzała na nią nachmurzona, zastanawiając się, czy to żarcik przyjaciółki. Upewniwszy się, że jednak nie, z lekko uniesionymi ze zdziwienia brwiami zawróciła.

Iza w pierwszej chwili nie poznała Matyldy. W krótkich dzinsowych ogrodniczkach, koszulce na ramiączkach i balerinach kobieta wyglądała... inaczej.

Spojrzały na siebie pytająco, pierwsza zareagowała kelnerka. – Proszę dać mi chwilę. – Na dźwięk głosu młodziutkiej brunetki Matylda wolno wypuściła powietrze, próbując udawać, że czeka spokojnie, aż dziewczyna obsłuży licznych o tej porze gości.

Kelnerka przyjęła jeszcze jedno zamówienie i zniknęła na chwilę na zapleczu. Podeszła do jednego ze stolików i postawiła na nim małą cukierniczkę; dopiero potem podała Matyldzie zamkniętą kopertę.

– Odwdzięczę się pani... – Matylda nie potrafiła ukryć uśmiechu. – Podwójnie, jeśli dostanę jeszcze dwie duże, mocne kawy na wynos. Czeka mnie długa nocna podróż...

– Ty naprawdę kupiłaś kawę... – Xenia przerwała przeglądanie płyt kompaktowych i przyjrzała się badawczo Matyldzie, kiedy ta otworzyła drzwi. – Na pewno dobrze się czujesz?

Za odpowiedź musiał jej wystarczyć widok wygodnie rozsiadającej się w fotelu przyjaciółki. Jakiś niecierpliwiec, trąbiąc opętańczo, dał do zrozumienia, że za długo blokują wąski chodnik. Xenia skupiła się więc na włączaniu się do ruchu i już nie mogła zobaczyć, jak Matylda upycha niewielką kopertę głębiej w kieszonce spodenek...

Mazury powitały je głęboką nocą, rozgwieżdżoną do granic możliwości.

Obudziło ją światło tańczące na ścianach pokoju. Wstała powoli; przygotowano jej pokój na parterze. Rozsunęła jasne zasłony i otworzyła na oścież okno. Niski, szeroki parapet sięgał jej do połowy uda. Miała nieprzepartą ochotę wyskoczyć stamtąd wprost do ogrodu.

W nocy musiało padać. Od zapachu wilgotnej ziemi, róż i pewnie od nadmiaru tlenu w powietrzu kręciło jej się w głowie. Usiadła na parapecie i gapiła się, jak chmary różnych ptaków szaleją w ogrodzie. Rozpoznawała wprawdzie tylko sikorki bogatki, ale ta nieznamość rzeczy zupełnie jej nie przeszkadzała w obserwowaniu porannego ptasiego widowiska. Wychyliła się bardziej i zobaczyła krzątającego się na werandzie cudnego Grzenia, jak nazywała w myślach męża Xeni. Południowa uroda tego faceta musiała przyprawiać o dreszcze niejedną kobietę. Sam Grzenio, pytany ciągle o swoje korzenie, odpowiadał zawsze z rozbajającym uśmiechem, że nic nie wie o tym, żeby jakiś jego przodek pochodził z Włoch albo Hiszpanii... Tę odpowiedź podawano często w wątpliwość, bo Grzenio nie tylko cudnie wyglądał, ale i gotował.

– Dzień dobry pani! – Grzenio dostrzegł Matyldę, kiedy stawiał na niewielkim stoliku mlecznik i cukierniczkę. – Poczekamy chwilę na Xenię? Wstaje... – Włożył jedną różę do małego wazonika. – Za to kawa jest już gotowa!

Doskonałe preludium lipcowego poranka, jak przystało na doskonałego skrzypka. Grzenio cudnie też grał w Filharmonii Bałtyckiej...

Nikommu się nie śpieszyło wstawać od stołu. Słońce oświetlające werandę przyjemnie rozleniwiało ciepłem, pachniało ziołami i chyba świeżo skoszoną trawą. Na schodki prowadzące do ogrodu przyszedł duży rudo-biały kocur. Usiadł na najwyższym stopniu i z uwagą obserwował stadko maleńkich ruchliwych ptaszków, które kapały się w niewielkiej kałuży. Matylda przez dłuższą chwilę nie mogła oderwać wzroku od jego czujnych oczu i napiętego ciała, gotowego do skoku w każdej chwili.

Małżeństwo bez pośpiechu ustalało plan dnia, krojąc pachnące drożdżowe ciasto.

Korzystając z faktu, że przyjaciele byli zajęci rozmową, Matylda wstała z fotela i z kawałkiem ciasta w ręku poszła w głąb ogrodu, w którym na pewno dawno nikt nie robił porządku. Chwilę później dotarła do brzegu dużego stawu. Głęboko w wodę wcinał się wąski pomost. Chybotął się nieznacznie, kiedy szła na jego koniec. Usiadła, zdjęła baleriny i zanurzyła stopy w chłodnej wodzie. Było cicho, tylko wiatr szeleścił w wysokich drzewach, jakby się kłócił z wodą o palmę pierwszeństwa w dopełnianiu dźwiękiem obrazu, który miała przed oczami...

Była w innym wymiarze.

Wyjęła z kieszonki kopertę z listem Kosmy. Przeczytała go dwukrotnie. Wcześniej kilka godzin spędziła na drewnianym leżaku pod jabłonią, udając, że czyta. Nie mogła się skupić na historii w książce.

Bardzo długo zastanawiała się, czy odpisać na wiadomość. Była bardzo osobista i Matylda nie czuła się komfortowo w tej sytuacji. Być może ten człowiek potrzebuje dużo więcej niż tylko kilka słów zrozumienia od kompletnie obcej osoby. Gdzie byli jego przyjaciele, rodzina, że zostawił paczuszkę ze swoim smutkiem i bezsilnością w jakiejś anonimowej kawiarni?

Odpisała dopiero następnego dnia.

*Zupełnie nie wiem, jak Ci pomóc, Kosma...*

*Nie znam Cię, nie wiem, co mogłoby sprawić, żebyś poczuł się choć odrobinę lepiej. Chociaż... może to i dobrze. Najtrudniej przyznać się do bólu i bezsilności właśnie komuś bliskiemu. Boimy się wtedy nawet zwykłego przytulenia, bez słów, bo ten gest nas obnaża do końca; nas i to, co chcemy ukryć. Łatwiej to wszystko powiedzieć komuś zupełnie obcemu. A jeśli ten ktoś jeszcze Cię nie widzi i nie słyszy...*

*Nie wiem, co się dzieje w Twoim życiu. Wiem tylko, że jest to coś, z czym nie umiesz, może nie chcesz, się pogodzić. Jeśli jest to coś, na co nie masz wpływu, coś, czego już nie jesteś w stanie zmienić, to po prostu sobie to powiedz. Tylko tyle możesz zrobić. I pomyśl jeszcze, co jest w Twoim zasięgu, żeby pomóc komuś, kto tej pomocy potrzebuje. Na pewno ktoś Cię teraz potrzebuje, nawet jeśli pomocą miałyby być tylko Twoja milcząca obecność. Świadomość, że nie jesteśmy zupełnie sami w tym, co się z nami dzieje, potrafi czynić cuda.*

*A życie i tak będzie toczyć się dalej, czy tego chcesz, czy nie.*

*Gdybym знаła Cię choć trochę, próbowałabym pewnie pomóc Ci to wszystko zrozumieć. Może nawet wiedziałabym, jak przywrócić uśmiech na Twojej twarzy. Ale ja tylko wiem, jak się nazywasz i że lubisz dobrą kawę. Ach – może jeszcze to, że wśród Twoich bliskich był jakiś meloman.*

*Mój dziadek potrafił iść parę kilometrów do wiejskiego sklepiku, prowadząc powoli rower – wykorzystywał go jako podpórkę – żeby przywieźć mi dużą papierową torbę czereśni. Mówił potem, że wybrał dla mnie największe, najczerwieńsze. Miał astmę. Włókł się noga za nogą, oddychając ze świstem; jedną ręką trzymając rower, a drugą*

*przyciskając do piersi te czereśnie. Nie było go wtedy z pół dnia. Patrzył potem na mnie, kiwając głową, jak zachłannie jadłam te czereśnie i plulałam ze śmiechem pestkami...*

*Rower ktoś po latach rozebrał na części, dom, w którym mieszkał, jest od dawna wynajęty, a studnia w podwórku, do której zaglądałam jako dzieciak, wyschła i omszała. Ale za każdym razem, kiedy jem czereśnie, pluje pestkami, kiedy nikt nie patrzy, i jestem wtedy tą małą dziewczynką siedzącą na dziadkowym progu z kolanami pod brodą i dłońmi czerwonymi od soku z czereśni, szczęśliwą, że pestka trafiła w kurę...*

*Życie toczy się dalej, tylko ręce nam się brudzą codziennie od czegoś innego. Ja swoje też dzisiaj pobrudziłam. Ziemią. Zasadziłam czereśnię. U przyjaciółki w ogrodzie.*

*Może idź na spacer, Kosma? Kup kilogram czereśni i daj temu, kogo kochasz, jeśli nie możesz zrobić nic więcej.*

*Nie wiem, czy jestem odważna. Boję się wielu rzeczy, o których nie wiedzą Germanie.*

*Matylda*

## Rozdział szósty

*w którym profesor zastanawia się, jak przekupić pana Boga, Matylda odkrywa swoje miejsce na ziemi, a listy... będzie ich dużo!*

Patrzył na profesora i kiwał potakująco głową, choć jego umysł odpychał każde ze słów, które lekarz wypowiadał z zimną precyzją. Znali się od dziecka, więc Kosma bezceremonialnie przerwał mu i zażądał:

– Andrzej, po polsku, mów do mnie po polsku. Jak bardzo jest źle?

Profesor Andrzej Witko był ojcem chrzestnym Michaliny. Przypadek, który omawiał właśnie z Kosmą, łamiąc przy okazji kodeks postępowania lekarskiego, nie rokował dobrze. Jaromir nie miał szans. Tylko jak to powiedzieć przyjacielowi i jego córce, którą sam dawniej nosił na rękach?

– Przykro mi... – powiedział cicho. – Wiesz, w akademii nie za wiele czasu poświęcano na nauczanie nas, jak komunikować bliskim pacjentów nieuchronność pewnych zdarzeń. Ty też mi tego nie ułatwiasz. Jest bardzo źle. Jeśli przełożymy to na czas, to mówimy tu o tygodniach. Ale równie dobrze o dniach. Kosma... może nawet o godzinach.

– Za tymi drzwiami siedzą moja żona, córka i jej niedoszli teściowie. Piętro wyżej leży chłopak, do którego z przekonaniem i radością mówię „synu” – cedził Kosma ze wzrokiem wbitym w podłogę. – Masz do dyspozycji sprzęt z Holandii, leki z Niemiec i całą medyczną wiedzę upchniętą w swoim zakutym łbie. Ratuj go!

Profesor Andrzej Witko nie zwrócił nawet uwagi na obelgi, którymi obrzucił go przyjaciel. W tym gabinecie padały już gorsze słowa, bo śmierć najbliższych chwyta za gardło i pozbawia tchu. Widział tu ludzi, którzy krzyczeli na niego, ciskali mu pieniądze w twarz, żądając, by przekupił pana Boga. Czasem się udawało – może nie przekupić, ale wytargować kilka miesięcy. Bóg niechętnie zmieniał harmonogram.

Wspiął się na palce i objął Kosmę ramieniem. Przez chwilę byli tylko dwójką małych chłopców, jak trzydzieści kilka lat temu. Kosma był dla niego jak starszy brat, bo Andrzej przez swoją mikrą posturę zawsze wyglądał na dużo młodszego. I słabszego. Prowokował swą nieporadnością osiedlowych rozbójników. Gdyby nie Kosma, nieraz wracałby do domu z rozbitym nosem. Dziś to on musiał stanąć przy przyjacielu i zgrywać twarziela.

– Posłuchaj... za chwilę poproszę tu rodziców Jaromira. Jeśli wyrażą zgodę, zostaniesz z dziewczynami w gabinecie, ale musisz się uspokoić...

– Jestem spokojny! – przerwał mu Kosma.

– Ty mnie nauczyłeś, że miłość można okazywać na wiele sposobów. Więc umyj dziś żonie włosy i bądź blisko córki, tak by czuła, że ma się na kim wesprzeć. Dajcie temu chłopakowi tyle, ile on dał wam przez te wszystkie lata.

Wracali do domu w trójkę. Rodzice Jaromira zostali w klinice. Nie potrzebowali rozmowy z profesorem, by wiedzieć, że od teraz ich życie odmierzać będą chwile. A te

chwile, jak najczarniejsze wspomnienia, spoczną gdzieś na dnie rodzinnej szuflady z pamiątkami. Mimo to chcieli nazbierać ich jak najwięcej. Na zapas, na zawsze.

Kaśka długo obejmowała Basię i mówiła jej coś do ucha. Matka chłopaka słuchała bez słowa, a jej pusty wzrok odbijał się od pozostałych osób. Kosma zaoferował wszelką pomoc i poprosił, by dzwonili niezależnie od pory. Wycofał się na korytarz, ciągnąc za sobą dziewczyny. Szli teraz bez słowa, ale nikt nikomu nie miał tego za złe. Był to jeden z tych momentów, kiedy cisza wystarczała. Tą ciszą każde z nich krzyczało o niezgodzie, bólu i lęku. Doszli tak do domu, gdzie ich milczące towarzystwo powiększyło się o równie mrukliwego wilczarza irlandzkiego. Helmut uniósł tylko łeb, przeliczył wchodzących, ale wynik tego skomplikowanego arytmetycznie – jak dla psa – działania chyba go nie zadowolił. Mimo to zamknął oczy, jakby chciał przez to powiedzieć: „nie ma mnie, więc nic złego się nie dzieje”.

A działo się, Helmut był w błędzie. Stan Jaromira pogorszył się, zanim cała trójka zdążyła zdjąć buty i rozejść się do swoich pokojów. Chłopak zmarł nad ranem, o piątej czterdzieści trzy. Tym razem pies nie pomylił się w rachubach, jego skowyt niósł się po całym lofcie. Kosma obudził się z męczącego, dusznego snu i wiedział, że to już. W kuchni siedziała Michalina. Pewnie w ogóle nie położyła się spać i teraz uspokajała Helmuta. Ostry dźwięk przychodzącego połączenia zbudził Kaśkę. Przetarła oczy i spojrzała na wyświetlacz telefonu, który Kosma rzucił przy łóżku. Tym razem nie była to żadna z melodii, jaką jej mąż ustawiał sobie jako spersonalizowany dzwonek. Dzwonił Witko. Kaśka nie miała odwagi odebrać, nie chciała tego usłyszeć jako pierwsza. Kobiety czują i wiedzą więcej, więc bez słowa podała komórkę mężowi. Ubrała się i stanęła w korytarzu. O szóstej dwadzieścia cztery byli już w drodze do szpitala.

To, co działo się przez następnie dni, Kosma wypierał z pamięci. Pogrzeb, nieobecny wzrok Michaliny, przygnębienie Kaśki i jego własny smutek tworzyły koszmarną mieszankę, którą solidarnie przesiąkali jak spalenizną. To była rodzinna katastrofa. Miał wrażenie, że śmierdzi tym ich małym-wielkim dramatem na kilka metrów i ludzie pokazują go sobie palcami. W sypialni odkrył tabletki, które Kaśka łykała przed nocą. Bezsenność. On też nie mógł spać, ale radził sobie, wychodząc z psem na dłuższe spacerki. Zdarzało się, że wracali dopiero nad ranem, padał wtedy na łóżko i zasypiał w ubraniu. Raz tylko rozebrał się i wsunął w Kaśkę, prosto z marszu, bez ostrzeżenia. Musiał zbudzić ją hałas otwieranego zamka, kiedy wchodził do domu, bo nie spała. Przyjęła go bez wahania, posłusznie rozsunała nogi i złapała mocno za włosy. Uwielbiał seks i stale szukał okazji, by poznać nową kobietę, ale to w domu czuł się najlepiej, poruszał się tu po dobrze znanym terenie, czerpiąc z tego niewyobrażalną przyjemność. Wbijał się w nią raz za razem, unosząc lekko jej pośladki. Pełne piersi jego żony falowały jeszcze chwilę, kiedy szczytował, gryząc ją w ucho. Zdawało mu się, że mówiła do niego w trakcie, ale był tak pochłonięty poszukiwaniem spełnienia, że nie zwrócił na to uwagi. Wysunął się z niej ostrożnie i przewrócił na plecy.

– Coś mówiłaś, przepraszam... – wychrypiał, łapiąc oddech.

– Mówiłam, że to nie nasza wina – odpowiedziała po chwili. – To, co się stało. To nie może być od teraz nasza droga krzyżowa.

– Wiem, tylko... nie radzę sobie z tym, nie macie ze mnie pożytku.

– Nie musisz sobie radzić, nie chcę tylko, żebyśmy wyszli z tego pokaleczeni bardziej niż trzeba.

– Potrzebuję czasu. Więcej czasu... – Kosma nie lubił przyznawać się do bezsilności, ale w ich własnej sypialni zrobił wyjątek. – Tej dziury nie da się tak po prostu zagipsować, to nie naprawa ściany.

– Miśka powiedziała mi dziś, że nie zdążyła nawet się na to przygotować, wszystko potoczyło się tak szybko... – Kaśka leżała teraz na boku, odwrócona do niego tyłem. – Mówi, że to chyba lepiej. Ominęło ją najgorsze.

– Może pojedziemy z nią gdzieś na kilka dni? Mam trochę odłożonej kasy, powinno starczyć na jakiś tydzień w ciepłym miejscu.

– Kosma, tu jest ciepłe miejsce. I Miśka się stąd nie ruszy. Nie teraz. – Jego żona jak zwykle bezbłędnie oceniała sytuację. – Nie musisz się tak starać, wiesz? Wystarczy, jeśli będziesz do niej mówił.

Leżeli chwilę bez słowa, wyczerpani i zadowoleni. Helmut wślizgnął się do pokoju i przywarował przy łóżku, oczekując na odpowiedni moment. Dobrze wiedział, że to łóżko pomieści ich wszystkich. Na razie jednak postanowił nie przeszkadzać – taka męska solidarność ponad gatunkami.

– Może wezmę ją do Warszawy? Jadę za dwa dni. Gdzieś czytałem, że można już zwiedzać wystawę batut dyrygenckich w Filharmonii – przerwał ciszę Kosma.

– *Dirigentis instrumentum?* – Kaśka uwielbiała chwalić się swoją znajomością łaciny. Jakby w zawodzie farmaceutki było to coś niespotykanego, strofował ją czasem Kosma, ale ona nic sobie z tego nie robiła. – Jeśli to jej nie ruszy, to chyba już nic...

– Spróbuję. – Kosma przewrócił się na bok i wodził ręką po pośladkach żony. Poczul, że znów ma erekcję. Sztywniał na dole coraz bardziej, co nie uszło uwadze Kaśki.

– A jak twoje *instrumentum*? – zapytała, kładąc się na brzuchu. – Masz jeszcze siłę, by poprowadzić drugą część nocnego koncertu?

– W zasadzie to już świta – zauważył równie przytomnie, co niepotrzebnie. – Ale widzę też, że po przerwie orkiestron już się zapełnił i zespół jest gotowy na *grande finale*...

– Weź mnie! – przerwała mu, bo nie chciała łączyć śmiechu z seksem. Nie żeby podchodziła do tego przeraźliwie serio. Po prostu miała ochotę, żeby już w niej był, cały. – Weź mnie od tyłu.

Kosma zrobił, jak chciała. Kiedy skończyli, było już zupełnie widno. Zasnął jeszcze na krótko, bezwstydnie świecąc spod kołdry gołymi pośladkami. Jeden z nich ozdabiał tatuaż z logo Levi'sa, imitujący naszywkę na kieszeni spodni. Błędy młodości, mawiał o nim Kosma, ale bawiło go zaskoczenie w oczach osób oglądających go w saunie. Był jak chodząca reklama amerykańskich džinsów. Kaśka przykryła go i po cichu zamknęła się w łazience. Po raz pierwszy od wielu dni wstała do pracy z uśmiechem. Ucałowała Helmuta przed wyjściem i szepnęła mu do ucha kilka słów, które mówi się tylko psom. Wilczarz słuchał, machając ogonem. Podejrzewała, że nic nie rozumie, ale w jego mądrych oczach czaiła się iskierka trudnego do zdefiniowania ognia. Może jednak rozumiał...

Jechali do Warszawy porannym pociągiem. Michalina dała się namówić na



wspólny wypad z ojcem. Był najważniejszym facetem w jej życiu i potrzebowała go bardziej niż zwykle. Od początku traktował Jaromira jak syna i cieszył się ich szczęściem. Zaufał im i pozwolił na dorosłość, choć pewnie nie było to dla niego łatwe. Wiedziała, że chorobę i śmierć chłopaka przeżywał równie mocno jak ona.

Mój tata, pomyślała czule i spojrzała na Kosmę. Ten siedział naprzeciwko i przysypiał. Znów pewnie wałęsał się z psem po nocy, mogła się założyć, że zawędrowali aż na głęboki Widzew. Przyjrzała się ojcu i zauważyła, że gdzieś tam pojawiły mu się już siwe włosy. Wyglądał dobrze, dużo lepiej niż ojcowie jej rówieśniczek, nawet te siwe włosy dodawały mu uroku. Wiedziała, że podoba się kobietom, a kilka jej koleżanek odwiedzało ją chyba tylko z jego powodu. Nie był typowym przystojniakiem; śmiały się z matką, że zyskiwał dopiero przy bliższym poznaniu. Domyślała się też, że jeśli były takie, które zdecydowały się na to bliższe poznanie, to raczej nie składały reklamacji. Michalina była dobrym obserwatorem i słyszała zdecydowanie więcej, niż wydawało się jej rodzicom. Nie pochwalała wszystkich wyskoków ojca i dziwiła się matce, że znosi je ze spokojem, ale szanowała ich prywatność i nie zamierzała opowiadać się po żadnej ze stron. Nawet kiedy podniesionym głosem mówili czasem o rozwodzie. „Co chatka, to zagadka” – odpowiadał Jaromir, kiedy zwierzała mu się z obserwacji. „Nie mieszajmy się w sprawy dorosłych”.

Czuła się przy nim wyjątkowo, był podobny do jej ojca w tym uwielbieniu dla kobiet. Dlatego tak dobrze się dogadywali...

Koła wagonu stukotały rytmicznie. Drzwi przedziału otworzyły się i do środka wszedł konduktor. Michalina nie jechała pociągiem od kilkunastu lat, ostatni raz z babcią, jeszcze w przedszkolu. Dziadek pracował na kolei i miał w domu sporą kolekcję biletów: małych tekturowych kartoników z dziurką w środku. Podbierała mu je ukradkiem i wręczała swoim lalkom, wysyłając je w podróż wokół pokoju. Dziś takich już nie ma.

Ojciec obudził się i sięgnął po bilety, podając je konduktorowi w odpowiedzi na służbowe „dzień dobry”.

– Dobrze, że mnie pan obudził, przespałbym całą drogę...

– Dziwię się panu, spać w takim towarzystwie! – Konduktor był młody i wyraźnie zainteresowany Michaliną.

– Pfff... – prychnęła dziewczyna i odwróciła się w stronę okna.

Kosma przepaszająco uniósł brwi, dając młodemu mężczyźnie do zrozumienia, że lepiej nie iść tą drogą. Kolejarz skłonił tylko głowę i ruszył dalej.

Michalina spojrzała na ojca i skrzywiła się lekko, próbując się uśmiechnąć. Rano poprosiła, by zrezygnował tym razem z auta, oferując wspólne piwo, kiedy skończy pracę. Wiedziała, że rodzice martwią się o nią i naradzają, jak jej pomóc. Sęk w tym, że nie potrzebowała pomocy. Jaromir umarł, a wraz z nim umarła część niej. Ta część, która każdego ranka wyciągała ręce po miłość. Czytała te psychologiczne brednie o zaprzeczeniu, buncie i tak dalej. Ona nie wyszła jeszcze z etapu zdziwienia. Wydawało się jej, że spotkała tego rudego brzydala nie dalej jak wczoraj, że nie dane im było nawet dobrze się poznać. Nie zdążyła go pożegnać. Nawet nie potrafiła nazwać tego, co czuje. Wiedziała tylko, że będzie sama. Że nie pokocha już nigdy i nikogo. Jakby ktoś o tej piątej czterdzieści trzy wyłączył jakiś pstryczek w jej głowie. To nie było tak, że teraz tylko

jadła, spała i robiła wszystko mechanicznie. Nie, nadal czuła smak gruszek i malin, po prostu nie miała już ochoty o tym uczuciu komukolwiek mówić. Nie czuła tej radości. Nie teraz, gdy nie miała z kim jej dzielić.

– Pójdiesz ze mną do NTV? – zapytał Kosma, wrywając ją z rozmyślań.

– Nie, będę tam się nudzić. Jeśli nie masz nic przeciwko, poszwendam się i będę pod telefonem.

– Zejdzie mi tam ze trzy godziny jak nic.

– Dobrze, tatau, nie stresuj się. W najgorszym wypadku pójdę do Złotych Tarasów, poudaję galeriankę.

– Głupol! – podsumował Kosma, ale ucieszył się, że Michalina próbuje żartować.

– Gdyby jednak za, hmmm... usługę oferowali dobre perfumy, to...

– Udam, że tego nie słyszałam. Jesteś najgorszym ojcem na świecie, *ever!*

Przekomarzali się do samej Warszawy, serwując sobie coraz mniej wybredne dowcipy o swoim pochodzeniu i upodobaniach. Kosma zdawał sobie sprawę, że tego typu zachowanie nie przystoi młodym damom, do których zaliczał swoją latorośl, ale robili tak od lat, a w przedziale nie było nikogo innego. Zresztą i tak miał to gdzieś. Najważniejsze, że jego córeczka uśmiechała się pierwszy raz od wielu tygodni.

Umówili się o rozsądnej porze w Żółtej Cizemce. Mieli coś zjeść i obejrzyć wystawę w Filharmonii. Kosma chciał jeszcze co prawda pokazać córce studia największej prywatnej stacji w kraju, ale Michalina ani myślała tracić czas na obserwowanie telewizyjnych celebrytów. Zanotowała w pamięci adres kawiarni i tyle ją widział. Zdażył tylko wsunąć jej do torebki trochę pieniędzy i życzył udanego spaceru. Wsiadł do jedynej wolnej taksówki, ubiegłszy spoconego mężczyznę z wypchaną torbą podróżną, który klnąc teraz pod nosem, rozglądał się za innym środkiem transportu.

– Do największego targowiska próżności proszę! – rzucił do taksówkarza i uśmiechnął się, widząc, że ten bez trudu odgadł destynację.

– Czy ja pana gdzieś już... – zapytał kierowca, nadstawiając ucha, ale Kosma nasunął tylko głębiej okulary przeciwsłoneczne na nos i pokręcił przecząco głową.

– Musiał mnie pan z kimś pomylić – mruknął.

– Tak jest, kierowniku! – odparł taksjusz i puścił do niego oko we wstecznym lusterku. – Klient ma zawsze rację. Jedziemy!

Kosma miał dziś na sobie czarne dżinsy i taką samą koszulę; średni wybór, biorąc pod uwagę temperaturę na zewnątrz, ale klimatyzowane wnętrze samochodu zapewniało przyjemny chłód. Na bosc stopy włożył zamszowe pantofle, rezygnując ze skarpet i odsłaniając kostki. Tę przy prawej nodze ozdobił dyskretny tatuaż z małym kolibrem. To również była jedna z pamiątek po młodzieńczych szaleństwach, ale ten rysunek akurat bardzo lubił. Zdjął okulary i przez chwilę bawił się nimi, obracając w rękach. Stylowe oprawki Lagerfelda udało mu się kupić za grosze w TK Maxxie. Nosił je już któryś sezon, pora pomyśleć o nowym zakupie. Może zdażą z Michaliną przed wieczornym pociągiem? Jego córka dbała, by wyglądał nie tylko młodo, ale i gustownie. A wspólne zakupy to jeszcze jeden pretekst do swobodniejszej rozmowy. Co prawda nie śmierzdział teraz groszem, ale drobną przyjemność pod koniec lata mógł sobie zafundować. Najwyżej Kaśka będzie musiała trochę dołożyć do życia ze swojej apteki.

Tak, potrzebuję nowych okularów, okularów i butów, ustalił sam ze sobą i spojrzął za okno. Wyjeżdżali właśnie z centrum. Letnia pora przeredziła ulice i kierowca mógł nieco rozbujać auto. Kosma nie lubił jeździć jako pasażer, ale warszawiak prowadził bardzo sprawnie, umiejętnie manewrując między pozostałymi pojazdami. Zwolnili przed skrzyżowaniem, by po chwili stanąć na światłach. Kosmie mignęła za oknem znajoma łysina; na przejściu dla pieszych zauważył Huberta. Jego dawny przyjaciel szedł wolno, zamyślony. Kosmie przyszło na myśl, że wygląda na przybitego. Nie zastanawiając się zbyt długo, spojrzął na taksometr i wyciągnął z kieszeni pięć dych.

– Przepraszam, zmiana planów, muszę tu wysiąść. Tyle powinno wystarczyć, dziękuję panu! – rzucił do kierowcy, wysiadając, i pobiegł w stronę, gdzie zniknął Hubert Jakubowicz.

Dogonił go po kilkudziesięciu metrach. Hub rzeczywiście musiał być głęboko pogrążony w myślach, bo szedł, roztrącając przechodniów, z pochyloną głową.

– Hubciu! – zawołał Kosma, łapiąc znajomego za ramię. – Poczekaj...

Jakubowicz odwrócił się powoli i spojrzął na niego zaskoczony.

– No, to nie może być przypadek! – zaczął bez wstępu. – Dobrze, że cię widzę...

– Ja też się cieszę! – Kosma nawet nie musiał udawać. Nie mieli kontaktu od dobrych pięciu lat. Pożegnali się kiedyś w gniewie, po którym teraz, jak widać, nie było już śladu. – Co robimy?

Znali się jak łyse konie, a ta znajomość wielokrotnie miała okazję sprawdzić się w trudnych sytuacjach. Matka Huberta zawsze powtarzała im, że prawdziwe przyjaźnie zawiera się tylko w beztroskich czasach szkoły średniej. Oni poznali się dużo później, ale ich zażyłość zadawała kłam matczynej teorii. Nawet teraz, mimo kilkuletniej przerwy w kontaktach, okazało się, że dawna zażyłość powróciła, zanim na dobre dotarło do nich, że naprawdę się spotkali.

– Zależy, ile masz czasu...

– Teraz nie za dużo – odparł Kosma. – Muszę być w miarę szybko w Wilanowie, ale załatwię to w dwie godziny. Jestem z córką, mamy się tam spotkać na obiedzie.

– Dzwonię do Agaty! Dziś co prawda gotuje tylko pomidorówkę, ale w razie czego domówimy resztę. Nie możesz mi odmówić...

– Nie mam zamiaru, kto dobrowolnie rezygnuje z pomidorówki twojej żony?

To był ich stały żart, bo doskonale zdawali sobie sprawę, że Agata – delikatnie mówiąc – nie za dobrze czuła się między garnkami. Pewnie i teraz skończy się na tym, że sami będą musieli zakręcić się przy obiedzie. Hub był jednak szaleńczo zakochany w swojej żonie i z przyjemnością wyręczał ją, gdzie tylko się dało. Kiedy spotykali się dawniej w czwórce, to panowie dbali o przekąski. Ustalili ten podział krótko po tym, jak Kaśka zaczęła odmierzać składniki z aptekarską dokładnością, a Agata dyktowała jej przepisy ze staropolskich książek kucharskich, pełnych takich nazw jak macierzanka, pasternak czy piołun. Wybrali wtedy prostsze rozwiązanie, wyganiając kobiety na kanapę.

– Z nieba mi spadasz, wiesz? – klepnął go w ramię Hubert. – Mam pomysł, który wymaga przegadania. Mam na oku interes. Może znajdziesz czas i zechcesz mi pomóc?

– Cholera! – Kosma nagle się zreflektował. – Hub, nie dam dziś rady. Jestem z Michaliną, dopiero co pochowaliśmy jej chłopaka, miał być moim zięciem. To cud, że

przyjechała tu dzisiaj, muszę poświęcić jej czas...

– Rozumiem i nie nalegam, choć jak widzę, też miałbyś sporo do opowiedzenia.

– Jestem w Warszawie co tydzień, jeśli to nic pilnego, to porozmawiamy następnym razem. I uprzedź Agatę, że nie wykpi się pomidorową...

Pożegnali się, rezerwując czas za kilka dni, i każdy ruszył w swoją stronę. Kosma był jednak w dużo lepszym nastroju. Przypadkowe spotkanie ożywiło wiele wspomnień i teraz, kiedy znów siedział w taksówce, przed oczami przelatywały mu rozmaite sceny ze wspólnie przeżytych chwil. To był dobry czas w jego życiu, pełen zwariowanych pomysłów, genialnych planów i nieprzespanych nocy. Uśmiechnął się do tych myśli. Nie mógł jeszcze wiedzieć, że nieprzespanych nocy już wkrótce będzie miał całkiem sporo. I nie zawsze będzie mu do śmiechu.

Zaplanowały na dziś kolację z winem w ogrodzie, pod starymi jabłoniemi. Wieczorem spodziewały się gości. Na najbliższe dwa dni zapowiadano rekordowe upały i całkowitą flautę dla żeglarzy. Grzenio musiał na jakiś czas zostawić przyjaciółki same, żeby „odhaczyć” jeden z kilku koncertów, które miał rozplanowane podczas wakacji, i wracał na Mazury, zabierając po drodze ze Sztynortu swoich przyjaciół muzyków. To właśnie od nich Witek złapał żeglarskiego bakcyła. Znali Mazury jak własną kieszeń; żeglowali na długo przed tym, zanim Xenia i Grzenio poznali to nieźle zgrane małżeństwo. Adaś – też skrzypek – i uroczą wiolonczelistka Ania nie mieli ochoty tych dwóch dni spędzić beczynnie w dusznym porcie. Chętnie przyjęli zaproszenie od przyjaciół na małe, zimne co nieco na łonie natury, zbaczając trochę – nie bez przyjemności – ze szlaku Wielkich Mazurskich Jezior.

Małe co nieco, a nawet odrobinę więcej, kobiety miały już przygotowane od południa; wino chłodziło się w lodówce, a szarlotką pachniało aż po strych. Stół przykryty lnianą serwetą, wykończoną piękną, ręcznie dzierganą koronką, prezentował się niezwykle urokliwie na tle zielonego i trochę dzikiego ogrodu. Przyozdobiły go świeżo zerwanymi czerwonymi porzeczkami i mocno pachnącymi floksami, które zdominowały całkowicie przestrzeń wokół werandy.

Matylda dopijała wściekle zimny koktajl malinowy ze świeżą miętą, siedząc na schodkach. Wdychała wszystkie zapachy jednocześnie, próbując je rozpoznać. Im bliżej było do wieczora, tym stawały się intensywniejsze; zmieniały się falami pod wpływem bardzo delikatnych muśnięć wiatru. Razem z ptakami, które zdawały się tu bardziej u siebie niż sami gospodarze, tworzyły specyficzną ciszę, której od dobrych paru dni nie znudziło jej się jeszcze słuchać...

Usłyszała trzask drzwi lodówki. Po chwili Xenia wyszła na werandę z dużą oszronioną szklanką.

– Mięso pachnie genialnie! – powiedziała, wdychając głęboko powietrze. – Będą za jakieś dwie godziny. – W szklance zabrzączały kostki lodu. – Chodź, pokażę ci coś. Ta serweta – obie spojrzały w stronę stołu – to nie jedyne cudo w tym domu...

Przeszły pod oknami przez część ogrodu. Xenia poprowadziła Matyldę do mniejszego budynku po drugiej stronie sporego podwórka. Kilka starych, wysokich brzoź tworzyło na jego środku malowniczą kępę. Posadzono je pewnie kiedyś celowo, żeby po latach odpoczywać w ich cieniu. Między drzewami stały niewielka prosta drewniana

ławka i zbity z kilku desek, mały stoliczek. Rudy kocur i czarna jak smoła zgrabna kotka odpoczywały razem pod ławką, ledwo widoczne wśród wybujałej trawy, nietkniętej ludzką stopą od wielu miesięcy. Gotowa kompozycja na obraz, pomyślała Matylda. Jak wszystko wokół...

Budynek był miniaturką domu, w którym teraz mieszkały. Miał taki sam ganek i symetrycznie rozmieszczone, duże okna po obu stronach wejścia, jeszcze wczoraj zamknięte na głucho okiennicami.

– To było pierwsze miejsce, do którego weszliśmy z Grzesiem – powiedziała trochę do siebie Xenia, próbując przekręcić w zamku dawno nieużywany klucz. Wpuściła Matyldę przed sobą i zamknęła drzwi, żeby zostawić upał za progiem.

Wnętrze było jednym dużym pokojem. Naprzeciw drzwi zamiast tradycyjnego wyjścia do ogrodu znajdowała się wielka przeszklona ściana, złożona z kilku sięgających podłogi okien ze szprosami. Pomieszczenie było wręcz zalane światłem. Żółto-pomarańczowe refleksy zniżającego się ku zachodowi słońca tworzyły niezwykłą grę światła na ścianach, kilku rozwieszonych na nich lustrach w przeżartych przez korniki ramach i na obrazach, które zapełniały cały pokój.

Stały w drzwiach pracowni malarskiej.

– Mój ojciec pisał ikony – powiedziała cicho Xenia. – Nie wiedziałam o tym...

– Mama nigdy ci nie powiedziała? – Matylda spojrzała na przyjaciółkę i przeniosła zachłannie wzrok na kolorowe niezwykłości.

– Powtarzała mi, że ojciec był malarzem. Tylko tyle zapamiętałam. Mówiła o nim naprawdę niewiele. W tym domu byłam podobno tylko dwa razy. Mama odeszła od niego, kiedy miałam pięć lat. Niedługo później poznała Mateusza. To on był dla mnie ojcem. Nie wiem, dlaczego nie przywoziła mnie tutaj. – Xenia chodziła powoli wśród sztalug i obrazów, delikatnie dotykając zakurzonych desek. – Nie miałam pojęcia, że zajmował się ikonami...

– Teraz przynajmniej wiesz, komu zawdzięczasz talent! – Matylda nie mogła oderwać wzroku od obrazu w odcieniach złota, turkusy i morskiej zieleni. – Są cholernie precyzyjne. Nie znam się na ikonach, Xenia, ale one są piękne...

– Oboje malowali. Spójrz! – Xenia przeszła w prawy kąt pomieszczenia. Stały tam tylko jedne sztalugi, teraz puste i potwornie zakurzone, przykryte do połowy wyblakłym płótnem. Obok nich pod ścianą, oparte jedne o drugie, stały duże obrazy. Było też kilka niewielkich. Wszystko wyglądało tak, jakby ktoś przerwał pracę tylko na moment. Dziesiątki mniejszych i większych pędzli stało w pustych słóczkach z kolorowego szkła, część leżała między zakręconymi albo poprzewracanymi pojemniczkami różnej wielkości. Naczynia zdradzały jakąś kolorową zawartość, ta jednak dawno popękała i wyschła, a wieloletni kurz przygasił kolory nie tylko pozostawionych na chwilę farb, ale i niezabezpieczonych obrazów, dając smutną pewność, że ta chwila wciąż trwa...

Wszystkie obrazy w tej części pokoju przedstawiały motyle. Matylda poczuła się tak, jakby dostała prezent gwiazdkowy. Przekładała ostrożnie różnej wielkości płótna, rozpoznając poszczególne gatunki. Jej białe baleriny zmieniły kolor od kurzu, kiedy usiadła na podłodze, chcąc koniecznie zobaczyć każde dzieło z osobna.

– Widzisz to, co ja? – Ręce Matyldy nie przestawały drżeć. – To jego partnerka,

tak? – Szeptęła, nie odrywając wzroku od cytrynowo-czarnej piękności.

– To była jego koleżanka ze studiów. Odnowili znajomość po latach. – Xenia stanęła cicho za Matyldą, a potem usiadła tak jak przyjaciółka, po turecku, z rękami pod brodą. – Rozmawiałam wczoraj z jego sąsiadem, mieszka tu niedaleko. Przyjaźnili się. – Przesunęła cytrynka i teraz gapiły się na motyla w odcieniach karmelowych brązów i gorzkiej czekolady. – Tworzyli ponoć zgraną parę. Zginęła w wypadku dziesięć lat temu. Pan Witold mówi, że ojciec przestał wtedy malować. Z dnia na dzień...

– Nie możesz tego sprzedać, Xenia. – Matylda wstała, otrzepując się z kurzu, i z trudem oderwała się od motylej rzeczywistości. – To wyjątkowe miejsce! Przynajmniej zastanów się dwa razy, zanim to zrobisz.

Rozejrzała się jeszcze raz po pracowni. Ściany zmieniły kolor na czerwono-pomarańczowy; drobiny kurzu poruszone ich dłońmi i stopami jeszcze bardziej potęgowały wrażenie niezwykłości pomieszczenia. Obie tak samo wrażliwe na piękno, kolor i kształt czuły, że z tego miejsca trudno będzie tak po prostu wyjść...

– Teraz to ja już nic nie wiem... – Xenia popatrzyła zamyślona na Matyldę, a potem na duży klucz, który trzymała w dłoni.

Odrealnioną ciszę przerwał niecierpliwy klakson samochodu cudnego Grzenia.

*Jestem w miejscu, gdzie określenie „czarna noc” nabiera prawdziwego znaczenia... Wielki świat na jakiś czas zostawiłam za sobą. I muszę Ci się przyznać, że w ogóle za nim nie tęsknię. Nie powiesz nikomu?*

*Diabeł nie życzył mi tu jeszcze dobrej nocy, choć podobno w okolicy pomieszkuje, więc wszystko jeszcze przede mną...*

*Jest taka scena w „Rodzinie Połanieckich” – jedna z pierwszych – kiedy pan Stach odwiedza w niedzielny poranek państwa Pławickich. Marynia wraca ze spaceru nad jeziorem z wielkim naręczem ziół i kwiatów. Wchodzi po schodach drewnianej werandy, odwraca się i spogląda dookoła. Jest uśmiechnięta, spokojna, szczęśliwa. Kocha Krzemień, nie wyobraża sobie życia gdziekolwiek indziej. Kiedy Połaniecki sprzedaje później panu Maszce zadłużony majątek, ta nie może mu tego wybaczyć...*

*Przypomniałam sobie ten fragment, wracając rano ze spaceru z naręczem rumianków i chabrów. Towarzyszyła mi tylko cisza drgająca skrzydłami tysięcy owadów i szumem traw, sklejona w całość zapachem ziemi, liści i tataraku. Taki... komplet. Wiesz? I wtedy dotarło do mnie, że ja tak naprawdę nie mam jeszcze swojego miejsca na ziemi, jak panna Marynia. Ja ciągle jeszcze szukam. Pozazdrościłam jej.*

*Jestem tu zaledwie kilka dni, a wydaje mi się, jakbym wyjechała stąd tylko na jakiś czas. Myśl o powrocie do domu odsuwam od siebie jak zimną, niedosłodzoną kaszkę mannę. Jestem tu tylko gościem, niestety.*

*Może znasz obraz Podkowińskiego z początków jego twórczości, nasyconej zachwytem francuskim impresjonizmem. Namalował go pod koniec dziewiętnastego*

wieku. „W ogrodzie”. Tak właśnie wygląda ogród, w którym spędzam teraz większość czasu. Jest jak wielki, zielony, oddychający wiatrem namiot z tysiącem migoczących światłem okienek. Najwięcej jest w nim starych jabłoni, ale są też dwie pochylone, dawno nieprzycinane grusze i potężny włoski orzech w samym sercu. Wszystko pulsuje ciepłem i gorącymi od upału zapachami roślin, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia.

*Wiesz, że kiedy Podkowiński zachłysnął się impresjonizmem w Paryżu, we Francji ten nurt należał już wtedy tak naprawdę do klasyki malarstwa? Ja jestem nim zachwycona do dziś, bardziej nawet naszym rodzimym niż francuskim.*

*Ale Wyczółkowskiego, Degasa czy Boznańskiej już nie zapytasz, w jakiej kolejności nanoszą podmalówki, werniksy i farby, że wprost nie możesz oderwać wzroku od ich eterycznych pejzaży. Za to Góreckiego mógłbyś zapytać. Wojciecha. Maluje naturę – naszą, niepowtarzalną – tak sensualnie, że dreszcz przechodzi... Picasso pewnie nie, ale sądzę, że Monet czy boski Vincent chętnie podejrzeliby go przy pracy.*

*I nie miałabym nic przeciwko temu, żeby żurawie już zawsze budziły mnie zamiast budzika.*

*Jestem Matylda. Matylda Witecka. Mam 45 lat i nie lubię budzików. Lubię kawę z mlekiem, sianokosy, lubię jeść przy czytaniu i malować jajka na Wielkanoc...*

*Boję się gwałtownych burz, ludzkiej nienawiści i samotności. I że nigdy nie znajdę swojego Krzemienia.*

– Jeszcze do wczoraj byłam pewna, że chcę to sprzedać – powiedziała Xenia, dosypując odrobinę cukru do mrożonej kawy. – Teraz już sama nie wiem – dokończyła, patrząc w głąb ogrodu.

Późne śniadanie było jednocześnie wczesnym obiadem. Zasiedzieli się przy winie prawie do świtu.

– Wymyśl coś, dziewczyno. Budyńki są w niezłym stanie. Nie wygląda na to, żeby remont miał was zrujnować – mówił Adaś, leżąc na drewnianym leżaku z przymkniętymi oczami.

– Adam... jesteś skrzypkiem, nie wymyślaj. – Grzenio mimo swojej artystycznej duszy potrafił szybko i po męsku ocenić każdą sytuację. – Rzeczywiście, na pierwszy rzut oka obojście wygląda źle, ale może się okazać, że jak zaczniemy dłubać, to się nie wyrobimy na zakrętach... Ktoś chce zimnego grolscha? – Obrócił się do gości, wchodząc po schodach do domu.

Przed śniadaniobiadem gospodarze pokazali przyjaciołom siedlisko i jego niespodzianki, łącznie z wielkim, zarybionym, prywatnym stawem i kilkoma hektarami malowniczych łąk, przytulonych jednym skrajem do okazałej dąbrowy. Na Matyldzie te widoki wciąż robiły duże wrażenie, Ania też jeszcze nie zwinęła swojego wachlarza achów i ochów.

– Przecież możesz tu organizować swoje warsztaty malarskie, plenery... To wymarzone miejsce! – Popatrzyła pytająco na Xenię. – Z naturalną kuchnią, ziemniakami pieczonymi na ognisku, wieczorami przy dobrym winie i dobrej muzyce... Jestem pewna, że pół Bałtyckiej byłoby chętne na wakacje w tej głuszy – rozmarzyła się wiolonczelistka, zjadając z błogim wyrazem twarzy pachnące czarne porzeczeki, zerwane godzinę wcześniej.

– Nawet pracownię do zajęć już masz. Gotowa, jak malowana. – Matylda podniosła rudego kocura z ziemi i posadziła go sobie na kolanach. – Tam wystarczy niewielki remont, twój ojciec musiał szczególnie o nią dbać.

– To kupa forsy, Matylda. – Grzenio postawił trzy zimne piwa na stoliku i widać było, że nie zamierza długo się podnosić z wygodnego wiklinowego fotela. – Chociaż... – Spojrzał na Xenię wzrokiem, który niewiele zdradzał z tego, o czym myślał w tym momencie. – Gdybyśmy sprzedali tę moją działkę pod Gdańskiem...

Xenia odwzajemniła spojrzenie, unosząc wysoko brwi.

– Mówisz o działce po twoim dziadku, na której chciałeś zarobić krocie, kiedy wybudują tam supermarket? – Powoli opuściła głowę na oparcie leżaka i zamknęła oczy. – Interesujące... – powiedziała jeszcze na głos, ale bardziej do siebie niż do męża.

A i owszem... – dokończyła już w myślach Matylda.

– Same ikony – Adaś poprawił się na leżaku – zarobią na pół remontu. Każda z nich to majstersztyk.

– Muszę się z tym przespać, Adam. To wszystko nie jest takie proste. Tego ktoś musiałby dopilnować. Sam wiesz, jaki macie rozkład koncertów, że o próbach nie wspomnę. Poza tym... zrobiłam już projekt remontu pracowni w Gdańsku. – Xenia odstawiała na stoliczek pustą szklankę po kawie i strąciła biedronkę z ramienia.

– Na razie nie wystawimy go na sprzedaż. – Grzenio otworzył kolejną butelkę. – Pokręcimy się tu przez wakacje, uprzątniemy dom, zabezpieczymy ogrodzenie, bo woła o pomstę do nieba, i przede wszystkim zabierzemy ikony. Powinniśmy podziękować panu Witoldowi. – Mówiąc to, obrócił się w kierunku żony. – Tylko dzięki niemu nikt tej pracowni nie rozkradł...

– Czy ten upał kiedyś zelżeje? – Wiolonczelistka niemal tak śliczna, jak w starej piosence Skaldów, użyła wiklinowego kapelusza zamiast wachlarza i opadła na leżak.

Upał uciszył większość ptaków, a prawie całkowity brak wiatru uspokoił liście drzew w sadzie. Przegadana noc i obłędne cannelloni cudnego Grzenia zrobiły swoje i poobiednia mazurska sjesta wchodziła właśnie w decydującą fazę. Tylko Matylda w myślach nie wyszła jeszcze ze złotej pracowni z widokiem na łąki...

Michalina kręciła się po mieście bez wyraźnego celu. Wchodziła do księgarni, sklepów z obuwem, w przypiływie desperacji weszła nawet do pracowni z tekstyliami. To było dziwne miejsce ze zmysłową nazwą. „SenSual”, przeczytała nad wejściem i zdecydowała się zajrzeć do środka. Pewnie gdyby wiedziała, że sprzedaje się tu poszewki, odpuściłaby. Ostatnia rzecz, o jakiej chciała teraz myśleć, to pościelowe pierdoły. Miejsce jednak było niezwykle. W środku pachniało lawendą, w centralnym miejscu królowało wielkie małżeńskie łóżko, a ściany ozdabiały dziesiątki mniejszych i większych obrazów w oszczędnych, delikatnych ramach. Michalina minęła ekspozycję, doceniając w myślach



nie tylko rozmiar łóżka, ale i ciekawy wzór okrywającej je pościeli. Już na pierwszy rzut oka widać było staranne wykończenie i dobrej jakości materiał; raczej nie *made in China*, podsumowała. Przystanąła przy jednym z obrazów, przedstawiającym niezwykle barwnego motyla. Autorowi pracy udało się oddać budowę owada z niemal fotograficzną precyzją. Michalina z uwagą wpatrywała się w małe krętarze i głaszczki, zarysowane zdecydowanymi pociągnięciami pędzla. Na skrzydłach można było wyodrębnić dachówkowato ułożone łuski.

„Matylda Witecka”, przeczytała sygnaturę w rogu. A więc jednak autorka, nie autor. Zapragnęła mieć ten obraz w swoim pokoju. Rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu kogoś z obsługi. W salonie oprócz niej było jeszcze kilka osób, a zza lady przyglądała jej się ładna dziewczyna z rudymi włosami. Michalina podeszła i wskazała obraz, który tak bardzo przypadł jej do gustu.

– Nie widzę ceny, czyżby nie był na sprzedaż? – zapytała ekspedientkę.

– Rzeczywiście, nie eksponujemy cen przy pracach malarskich pani Matyldy, bo są mocno umowne. Zwykle to ona sama ustala je podczas rozmowy z potencjalnym nabywcą – wyjaśnił rudzielec i dodał z uśmiechem: – Niestety, nie ma jej teraz w salonie, więc będzie pani musiała negocjować ze mną.

Michalina odpowiedziała uśmiechem i przestąpiła z nogi na nogę, przygotowując się na ciężką batalię. Miała przy sobie tylko kilkaset złotych, ale w myślach już widziała motyla w swojej sypialni.

– Nie jestem w tym zbyt dobra... – odpowiedziała po chwili. – Może po prostu pominiemy tę część i napisze mi pani tu na kartce kwotę z uzasadnieniem, dlaczego tak drogo?

– Byłoby taniej, gdyby nie ograniczyła pani zakupów tylko do tego obrazu. Przecież to najlepszy salon z pościelą w stolicy! Może zechce się pani jeszcze rozejrzeć?

– Czemu nie? – Michalina uśmiechnęła się i spojrzała na zegarek. Prezent od Jaromira, delikatny fossil zaopatrzony w gustowną bransoletę, alarmował, że do spotkania z ojcem zostało już niewiele czasu. – Ale wie pani co? Ściągnę tu posiłki...

To mówiąc, sięgnęła po komórkę i wybrała numer ojca. Odebrał dopiero po czwartym sygnale; już miała się rozłączyć.

– Tatku! – Wołała nie dać mu dojść do słowa. – Proponuję zmianę planów, zamiast kawiarni zapraszam cię w niezwykle urokliwe miejsce...

– Ale ja już tu czekam – wpadł jej w słowo Kosma. – Myślałem, że jesteś głodna i w ogóle.

– Jestem, jestem! – Doceniła jego troskę. – I z pewnością zjemy coś dobrego, tylko później. Teraz przyjedź do mnie, wysyłam ci adres esemesem.

Wstuknęła w telefon nazwę ulicy i sklepu; o ile znała ojca, przyjedzie tu na sygnale. Uśmiechnęła się do ekspedientki i ruszyła w głąb sklepu. Obraz będzie dla niej, ale rodzice dostaną dziś nową pościel.

„SenSual”, przeczytał Kosma na ekranie swojej nokii i spojrzał pytająco na Izę.

– Mówi ci coś taka nazwa: SenSual?

– Jasne, najlepsza miejscówka z dodatkami do sypialni. Moja matka kupuje tam co jakiś czas. No i boska pościel, gdybyś chciał sprawdzić, jak bardzo, to mam taką u

siebie...

– Zastanawiam się czasem, czy twoi szefowie aprobowałiby ten stopień spoufalania się z klientami. – Kosma tylko udawał oburzenie, w rzeczywistości cieszył się z pobytu w Żółtej Cizemce. Nie odwiedzał kawiarni od kilku tygodni, dzisiejsza wizyta sprawiła mu radość nie mniejszą niż Izie. – Oj, przecież wiesz, że żartuję – dodał, widząc grymas na twarzy dziewczyny.

– To całkiem niedaleko, jest stąd dobre połączenie autobusem – podpowiedziała wreszcie Iza. – Ale dopiero co wszedłeś, a mówiłeś coś o umówionym spotkaniu?

– Tak, tylko moja córka, tak na oko w twoim wieku, co stawia naszą znajomość w nowym świetle i każe ci się zastanowić nad zakresem dalszego spoufalania – puścił oko do Izy – właśnie zażądała mojej obecności w rzeczonym SenSualu...

– Jesteś starym i okropnym facetem! – Iza nie kryła żalu. – Nie było cię tu z miesiąc i wychodzisz po kwadransie? A gdzie opowieści i wyjaśnienia?

– Uwierz, wolałabyś nie poznać tych historii. – Kosma uśmiechnął się słabo. – Gdybyś jednak nalegała, to opowiem ci następnym razem. Teraz muszę pędzić. Sama wiesz, jak wkurzające potrafią być panny w... twoim wieku.

– Poczekaj! – Iza obróciła się i wyszła na zaplecze. – Mam coś dla ciebie. Od tej kobiety. Listy przychodzą pocztą na nasz adres. Trochę to dziwne... Jeden wyciągnęłam ze śmieci, bo moje zmienniczki nie wiedziały, o kogo chodzi, i wyrzuciły go do kosza.

– Listy? Od Matyldy? – Kosma nie krył zaskoczenia. – Dziękuję ci! Gdybyś chciała mieć nowego tatę, to wiesz...

– Spadaj, dziadu! – Iza cmoknęła go w policzek i podała mu koperty. – Miłej lektury.

Kosma wyszedł przed kawiarnię i ruszył w stronę pobliskiego postoju taksówek. Wolał nie ryzykować podróży autobusem – nie chciał, żeby Michalina denerwowała się, czekając na niego. Ciekawość była tylko trochę mniejsza od pragnienia, by rozerwać koperty i przeczytać listy od Matyldy już teraz. Ścisnął je w ręce, walcząc ze sobą, choć wiedział, że ta walka nie ma sensu.

Pierwszy list przeczytał, zanim dotarł do postoju. Boże, jestem jak dziecko, ganił się w myślach i śmiał jednocześnie, bo Matylda naprawdę napisała do niego szczerze i ciekawie. Połykał kolejne linijki, wyobrażając sobie, jak wygląda ich autorka, jak smakuje. Z tym „jak smakuje” trochę się rozpędził, nie bądź taki wrywny, upomniał się i wrócił do lektury.

„Mój dziadek potrafił iść parę kilometrów do wiejskiego sklepiku...” – przeczytał i przypomniał sobie swojego dziadka. W jego wielkiej lwowskiej szafie przez lata wisiała marynarka, którą Kosma ubrudził mu, będąc jeszcze niemowlakiem. Starszy pan nosił go całymi godzinami, opowiadając historie zza siedmiu mórz lub śpiewając nie całkiem przystojne piosenki. I ani drgnął, by nie obudzić zasypiającego brzdąca. A ten czterdziestotrzyletni dziś brzdąc, Kosma Makarski, ślinił się wprost w dziadkową marynarkę, zostawiając ślad po ząbkowaniu. Ta ulubiona, poplamiona marynarka, niemy ślad łączącej ich sympatii, wisiała jak talizman, jak rodzinny artefakt.

Więc tak, Matyldo, doskonale cię rozumiem i wiem, jak ważne mogą być czasem zwykłe czereśnie.

Kosma ocknął się z zadumy, bo właśnie podjeżdżali pod sklep, w którym czekała na niego Michalina.

– Oj, żona pana ozłoci, jeśli zrobi pan tu zakupy! – Taksówkarz się uśmiechnął. – Kiedy przeskrobie coś naprawdę mocno, zawsze zawożę tu swoją. I mam problem z głowy.

– Zapamiętam to sobie, dziękuję za radę. – Kosma powoli wracał do rzeczywistości, choć nie miałby nic przeciwko, żeby kurs potrwał jeszcze trochę dłużej. – Ile płacę?

– Trzydzieści siedem pięćdziesiąt i będzie dobrze.

Makarski wygrzebał z kieszeni pieniądze, schował listy do torby i pożegnał kierowcę. Na zewnątrz upał zdzielił go w twarz z siłą, jaką zwykle atakuje się w ciemnym zaułku kogoś, kto nie ma farta. Kosma jednak najwyraźniej go miał, bo dotarł do klimatyzowanego wnętrza w trzech szybkich krokach, a następnie zamknął za sobą nie tylko nieznośny gorąc wielkiego miasta, ale i wspomnienie o całym smutku, jaki nosił od tygodni. SenSual był miejscem wyjątkowym; od progu miał ochotę zdjąć buty i wyłożyć się na wielkim łóżku, przyozdobionym poduchami i kolorowymi kapami. Gdyby jeszcze znalazła się tam miedziana czupryna ekspedientki, która witała go uśmiechem, to...

– Dobrze, że już jesteś, tatku! – Ten znany mu od prawie dwudziestu lat głos zabrzmiał teraz jak przykra pobudka z zuchwałego snu. – Musisz mi w czymś pomóc.

Michalina złapała go za rękę i poprowadziła w głąb sklepu. Kosma tylko uprzejmie skinął głową szczupłej kobiecie za ladą i pognął za córką.

– Zacznijmy od pościeli dla was... – Michalina rozglądała się wokół, szukając kompletu, który upatrzyła już wcześniej. – Co powiesz na ten?

Kosma patrzył oszołomiony na ściany w obrazach, na te wszystkie tkaniny atakujące go kolorami z każdej strony, na poduchy zapraszające, by natychmiast, tu i teraz, przyłożyć do nich głowę...

– Powiem, że jest taki jak ja... Każda kobieta chciałaby, żeby towarzyszył jej przez całą noc. Żeby miała go tylko dla siebie.

– Zły i niemądry ojczu, kupię go dla was.

– Cieszy mnie twoja szczodrość, choć węższą tu kompletny brak bezinteresowności. Co mam zrobić w zamian? – Kosma nie dał się zwieść, wiedział, że za niespodziewanym prezentem musi się kryć jakaś pułapka.

– Musisz pertraktować w sprawie ceny obrazu, który chcę dla siebie. Popatrz, jest całkiem wyjątkowy... – Michalina poprowadziła ojca pod wizerunek motyla.

Kosma zadarł głowę i otaksował płótno

– Duży i kolorowy, nie stać nas – zawyrokował.

– Nie zgrywaj się, tylko idź się potargować. Użyj mocy. To znaczy GŁOSU! – podpuściła go, lekko wypychając w stronę lady.

Kosma jeszcze raz spojrział na wizerunek motyla i skupił wzrok na autografie artysty. „Matylda Witecka”, odczytał z trudem i poczuł, jak zasycha mu w gardle. Przeniósł wzrok na sąsiednie prace – one również wyszły spod pędzla tej malarki. Matylda... Czyżby to... Nie, to przecież niemożliwe, pomyślał i podszedł do ekspedientki.

– Dzień dobry, nazywam się Kosma Makarski. Widzę, że macie tu państwo sporo prac pani Matyldy Witeckiej. Czy to przez zupełny przypadek są pani dzieła? – zapytał z napięciem w głosie.

– Podobają się panu? – odpowiedziała pytaniem kobieta.

– Jest w nich coś wyjątkowego... – przyznał Kosma.

Ekspedientka pokiwała głową, w pełni zgadzając się z tym, co usłyszała.

– Dziękuję w imieniu autorki. To prace właścicielki sklepu.

– Chcielibyśmy kupić jeden z tych obrazów. Córce podoba się ten wielki motyl, tam w rogu...

– Wiem, już z nią o tym rozmawiałam – przerwała mu Ewa, jak udało mu się odczytać na plakietce wpiętej w bluzkę kobiety. – To ulubiona praca Matyldy z serii z motylami, będę musiała zatelefonować do niej i poprosić o zgodę na sprzedaż.

– Jeśli byłaby pani tak uprzejma... Gdyby była potrzeba, chętnie włączę się w te negocjacje.

Kosma czuł się jakoś tak... spokojnie w tym miejscu. Sklep wytwarzał dobrą aurę i zachęcał, by spędzić w nim trochę czasu. Nieco więcej niż standardowo wymaga wybór okryć na łóżko. Ładnie pachniało, było cicho i chłodno, nie chciało się wychodzić na rozgrzaną ulicę. Michalina rozłożyła się na wielkim pufie w rogu salonu i z napięciem w oczach śledziła jego poczynania. Kosma pomachał do niej i uśmiechnął się porozumiewawczo. Czekał.

Ewa wybrała numer i również zastygła w oczekiwaniu na połączenie. Gdzieś tam, dzięki skomplikowanej infrastrukturze telekomunikacyjnej, polegającej na ścisłej współpracy obszarów kontrolowanych przez anteny stacji bazowych, rozległ się sygnał połączenia, a po chwili głos autorki portretu motyla.

– Stało się coś?

– Przepraszam, że przerywam urlop... – Ewa puściła oko do Kosmy. – Ale dzwonię po zgodę na sprzedaż kraśnika sześciopłamka.

Przez chwilę słuchała w milczeniu, po czym dodała:

– Wiem, ale jest tu pewna sympatyczna dziewczyna z ojcem i bardzo chcą mieć akurat ten obraz. Tato tej dziewczyny, pan Kosma, jest gotów sam prosić cię o akceptację.

Po drugiej stronie zapadła cisza, jakby właścicielka sklepu niechętnie przyjmowała myśl o rozstaniu ze swym ulubionym motylim portretem. Ewa czekała, Kosma wpatrywał się w trzymaną przez nią słuchawkę, a Michalina przyglądała się tej scenie z rosnącym zdenerwowaniem.

– Dobrze usłyszałaś – przerwała ciszę Ewa, odpowiadając na pytanie swojej szefowej, po czym uważnie wysłuchiwała instrukcji. – Oczywiście, przekażę! – odezwała się wreszcie. – Baw się tam dobrze, zadzwonię po pracy.

Ewa nachyliła się w stronę Kosmy i spojrzała mu prosto w oczy.

– Moja szefowa prosiła, bym zadała panu jedno pytanie. Od odpowiedzi uzależnia to, czy motyl trafi do was. Trochę to dziwne, ale co tam, zapytam. Czy ten obraz przyniesie panu ukojenie?

– Nie rozumiem...

– To proste, czy będzie tylko ozdobą na ścianie, czy czymś więcej? Sformułowała

to dokładnie w ten sposób: czy przyniesie ukojenie?

Kosma spojrział na Michalinę, na kraśnika sześciołamek dumnie mieniącego się na ścianie i wrócił wzrokiem do Ewy. Czuł, jak listy w torbie robią się coraz cięższe, i wiedział już, że słowo „Matylda” pisane piórem w listach nie różni się niczym od „Matyldy” wymalowanej w rogach każdego z obrazów z SenSual. To była ona.

– Proszę przekazać pani Matyldzie, że jeśli życiem rządzi boski plan, to zgodnie z nim pojawiliśmy się dziś w tym miejscu właśnie po ten obraz. I proszę dodać, że jeśli dziewczyna, która kuli się teraz tam w kącie, wyjdzie z tego sklepu uśmiechnięta, to ja przyniosę pani Matyldzie takie czereśnie, jakich nie jadła od czasów dzieciństwa. Choćbym miał ich szukać na końcu świata.

Ekspedientka słuchała go, kiwając głową, jakby cała ta sytuacja była czymś zwyczajnym.

– Obraz jest wasz, to prezent. Dodatek do pościeli wybranej przez pana córkę – powiedziała. – Kompletnie nie rozumiem, o co tu chodzi, ale takie dostałam wytyczne. Zaraz spakuję całość.

Kosma odwrócił się do Michaliny i uniósł kciuk w geście zwycięstwa. Uregulowali należność i wyszli na zewnątrz, nic nie robiąc sobie z upału. Kosma nie odpowiadał na pytania, choć dziewczyna miała ich dziesiątki. Drogi był? Co powiedziała? Podoba ci się? Zrezygnowali z wystawy batut, odkładając wizytę w Filharmonii na następny tydzień. Ucieszyła go perspektywa kolejnego wspólnego wypadu do Warszawy.

Michalina w drodze do domu odsypiała całodniowe emocje, choć pewnie senność spowodowana była w równym stopniu nieprzespanymi nocami, jakich w ostatnim czasie nabierało się sporo. Obraz dumnie leżał na wolnym siedzeniu. W pociągu znów było pustawo i mieli cały przedział dla siebie. Kosma z trudem mógł usiedzieć w jednym miejscu, w głowie myśli bawiły się w berka. Zerknął, czy młoda nie obudziła się przypadkiem, i sięgnął do torby po listy. Przeczytał je tak zachłannie, jak bierze się pierwszy haust po dusznej nocy. I rozgryzał zdanie po zdaniu, każdy wyraz obracał na języku, wiedząc, że tak właśnie smakuje ukojenie, o które pytała Matylda.

*Gapiałam się wieczorem na parę łabędzi z kilkoma młodymi. Drobnica jest jeszcze szara i puchata. Samiec syczał na mnie wściekle, a kiedy próbowałam zbliżyć się do stawu, wyszedł nawet z wody, żeby mnie przegonić. Z daleka przyglądał nam się starszy pan, wieloletni sąsiad moich gościnnych przyjaciół. Zapytał mnie, czy chcę kupić tę posiadłość.*

– *Nie, nie chcę jej kupić, raczej sprzedać. I nie ja, tylko moja przyjaciółka. Zresztą, co miałabym tu robić?* – *odpowiedziałam bez zastanowienia.*

*Popatrzył na mnie, kiwając głową, i zaczął się zbierać, trzymając ręce splecione z tyłu. Na odchodne odwrócił się i rzucił z delikatnym uśmiechem:*

– *Życ, proszę pani...*

*Myślisz, że jest mu do czegośkolwiek potrzebna wiedza o tym, że Montmartre w Paryżu o tej porze pęka w szwach? Że w Wenecji właśnie kończy się sjesta, a w ogrodach*

*katalońskiej stolicy zapach jaśminu oszalał i uwodzi?*

*On żyje tu i teraz. Lepiej? Pełniej? Nie mam pojęcia.*

*Zachód słońca tutaj ma codziennie inny kolor. Takich barw nie widziałam nigdy na żadnej palecie...*

*Matylda*

Kończył trzeci, ostatni list, kiedy pociąg wjeżdżał na Łódź Fabryczną. Schował koperty i obudził córkę. Po raz pierwszy od wielu dni czuł się ze sobą dobrze.

Słońce w Łodzi grzało nie mniej niż w stolicy. Wiedział już, co powinien zrobić. Kraśnik sześciopłamek spoglądał na niego z portretu, bezgłośnie śmiejąc się z jego planów. O ile, rzecz jasna, motyle mogą się śmiać...

## Rozdział siódmy

*w którym Kosma robi użytek z mokasy, a Matylda wsiąka w Mazury. Tak, wsiąka, co Was w tym dziwi?*

Matylda odłożyła telefon i siedziała przez chwilę niemal bez ruchu. Ewa dokładnie zrelacjonowała jej przebieg wizyty pary klientów obdarowanych obrazem. Sumiennie przekazała słowa Kosmy Makarskiego i zdawało jej się, że właścicielka westchnęła głęboko, kiedy ta mówiła jej o czereśniach oraz uradowanej dziewczynie. Nie wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi, a Matylda nie wydawała się skłonna do wyjaśnień.

Facet z listów trafił do jej sklepu, a teraz jeszcze jej obraz będzie wisiał w jego domu. Chociaż... nie powinno być w tym nic dziwnego. W końcu sporo jej obrazów wisi w domach zupełnie obcych jej ludzi. Jeszcze nie była w stanie sprecyzować, dlaczego akurat on zaprzęta jej myśli. Rzeczywistość w jakiś dziwny sposób przewróciła się do góry nogami. Powinna być w Warszawie i doglądać sklepu, wybierać kolejne propozycje z katalogów pościelowych już z myślą o jesieni. Tymczasem siedzi w jakiejś wsi na końcu świata, gdzie do najbliższego sklepu spożywczego jest pięć kilometrów przez pola i dwa przez las, gdzie nie ma latarni i kolejek na schodach w metrze, a żeby wypić dobre cappuccino, trzeba sobie zaplanować wyprawę na co najmniej pół dnia. Pisze osobiste listy do kogoś, kogo na oczy nigdy nie widziała i komu dała swojego sześciopłamka ot tak, bo mu było smutno. Wszystko to było dziwaczne, niecodzienne i jakieś takie... nie do ogarnięcia.

Siedziała na pomoście; jakiś czas temu uspokoiła się burza. Xenia z mężem nie wróciła jeszcze z miasteczka. Była zupełnie sama. Jedną stopą mąciła taflę, brodę oparła o kolano drugiej nogi i gapiła się, jak poruszona dotykiem woda posyła kręgi w pobliskie trzciny. Pomost wysychał w kosmicznym tempie.

Musiała wracać do Warszawy, ale kompletnie nie miała na to ochoty. Tak naprawdę chętnie by tu została ze swoimi książkami, pędzlami, farbami i tą ciszą wokół – hałaśliwą naturą tak w sam raz doprawioną zmieniającymi się codziennie zapachami i kolorami. Intrygująca całość uzależniona barwą od pory dnia, deszczu, słońca i ludzkich rąk przy pracy w polu... Ona uzależniła się od tej mieszanki szybciej, niż mogła się tego spodziewać. Czy to głód, który nie da jej spokoju po powrocie do wielkiego miasta, czy może jakaś melancholia, którą nagle na tym pomoście zapachniało tak, jak uderza zapach rozkwitłego przez noc bzu, obudziły w niej tęsknotę za czymś nieokreślonym? Poczwała brak, choć kompletnie nie mogła sprecyzować czego. Wiedziała tylko, że będzie tęsknić za tym miejscem i że te kilka dni tutaj to nie był urlop, o którym się szybko zapomina. To jak ze smakiem mocno dojrzałych, gorących od upału malin, napęczniałych gęstym sokiem, jedzonych prosto z krzaka, przesiąkniętych jeszcze zapachem malinowych liści i leniwych letnich wieczorów. Tego smaku się nie zapomina. Takich malin nie kupi się w żadnym supermarkecie, a nawet na małym miejskim bazarze trudno o podobne pyszności...

Grześ przez ostatni tydzień chodził zamyślony, przyglądając się dokładnie domowi i sporemu budynkowi gospodarczemu, który wyglądał na stajnię przerabianą później na stodołę. Oglądał wszystko – począwszy od zamka w drzwiach wejściowych, a skończywszy na dachu i strychach. Robił notatki i niewiele mówił. Xenia i Matylda przyglądały się mu ciekawie, kręcąc się przy porządkowaniu domu. Doprowadzenie go do ładu było czymś na kształt przygody. Każdy kąt krył jakąś niespodziankę. Słuchały ulubionej muzyki, plotkowały i metodycznie myszkowały. Matylda zajęła się czyszczeniem pięknych tłoczonych w kwiatowe wzory zasłon w niecodziennych błękitach i cytrynowych zieleniach. Przez lata wprawdzie wypłowiwały, ale to tylko dodało im uroku.

Biblioteka w tym domu była nie mniejszym skarbem niż zbiór ikon w pracowni starego malarza. Na półkach pyszniły się egzemplarze starodruków z niemieckimi tytułami, pisanymi gotycką czcionką. *Die Judenbuche* – przeczytała na okładce jednej z nich. Zajrzała do środka i ze zdumieniem odnotowała datę wydania. Tysiąc osiemset czterdziesty drugi. Annette von Droste-Hülshoff, tak nazywała się autorka. W środek książki włożono banknot dwudziestomarkowy. Matylda wzięła go do ręki i przyjrzała mu się uważnie. Tak, nie pomyliła się, na odwrocie był portret kobiety o takim właśnie nazwisku. Uśmiechnęła się pod nosem, bo o ile sam banknot nie przedstawiał już żadnej wartości, o tyle za książkę można było dostać dużo większą cenę. Annette von... W tamtych czasach dobrze było być von, pomyślała i delikatnie odłożyła książkę na półkę. Obiecała sobie, że jeszcze tu wróci, bo już na pierwszy rzut oka widać było, że biblioteka pełna jest białych kruków.

Wieczorami pili wino w towarzystwie pana Witolda, pichcili wspólnie coś dobrego i słuchali opowieści sąsiadów z okolicy. Nie było ich wielu, ale zwabieni poruszeniem w cichym od dawna domu i skrzypcami Grzenia przychodzili posłuchać, popytać, poopowiadać i pomóc, jeśli było trzeba. Nikomu się nie śpieszyło, nikt nerwowo nie patrzył na zegarek. Z uwagą słuchali o planach Xenii dotyczących domu ojca i sami pomagali poznać go nowej właścicielce, opowiadając, jakim był sąsiadem, mężem, przyjacielem. Taka muzyczno-kulinarna konfitura doprawiona do smaku wspomnieniami i szczyptą zwyczajnej życzliwości.

Atmosfera przy barze gęstniała z każdą minutą. Kosma, siedząc w towarzystwie kilku dziewcząt, nie bardzo zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby choć trochę podniósł wzrok, z pewnością napotkałby wściekle spojrzenia Bródki i nie mniej wkurzonego Ryżyka. Ale biust Jagody tak rozkosznie wychylał się z dekolty jej bluzki, że oprócz ewidentnych walorów koleżanki z recepcji nie rejestrował już innych bodźców. A szkoda, bo może sprawy potoczyłyby się inaczej. Pomysł grupowego wyjścia na miasto powstał spontanicznie i siedzieli teraz w jednym z modnych klubów, zajmując kilka złączonych naprędce stolików. Kosma był tu pierwszy raz, ale pozostali należeli chyba do stałych bywalców.

Towarzystwo było z tych wyszukanych: rozpoznał znanego fryzjera, czeszącego gwiazdy telewizyjne, i jeszcze bardziej znanego tancerza, który uwił sobie gniazdko w rogu, emablując lekko tylko krygującego się młodzieńca. Sami swoi, pomyślał Kosma, zastanawiając się jednocześnie, czy to normalne, że w celebryckie buty wchodzi już



nawet ludzie posługujący się na co dzień nożyczkami i maszynkami do strzyżenia. Gdyby nie dziewczyny z recepcji, wśród których prym wiodła rzeczona Jagoda, czułby się tu źle. Ale ona napierała na niego tak mocno, że przynajmniej w tej chwili było mu całkiem nieźle.

Musi mieć sporą miseczkę, zauważył z uznaniem. Uśmiech, jaki pojawił się na jego twarzy, był czytelny jak najbardziej jaskrawy neon w mieście.

– Co za palant! – syknął obserwujący tę scenę Bródka. – I co ona sobie myśli? Że jak ją przeleci, to będą petardy w dupie i hej hej?

– Dałbym mu w ryj, ale wiesz, mam wychowanie – odpowiedział Radek i domówił jeszcze dwie wódki oraz ogórka w ramach zagrychy. Doskonale wiedział, że jego kolega skrycie kocha się w Jagodzie; nawet kombinacje z owłosieniem twarzy miały mu pomóc w zdobyciu jej względów. Jak dotąd słabo to wychodziło.

– Ciekawe, o czym gadają?

– O książkach. Ten dupek opowiada im o swojej bibliotece, dasz wiarę?

Rzeczywiście, rozmowa po drugiej stronie skupiła się na książkach i ich filmowych adaptacjach. Kosma czuł się świetnie w tym temacie – zarówno on, jak i Kaśka wydawali mnóstwo pieniędzy na literaturę, gromadząc na półkach wiele ciekawych pozycji. W domu było zatrzęsienie książek, drugie tyle rozeszło się po znajomych. Kosma powoli godził się z tą stratą i planował nowe zakupy.

– *Dziewiąte wrota* Polańskiego! – krzyknęła brunetka w typie Katarzyny Groniec. Nawet imię miała po niej. Kosma już dawno zwrócił na nią uwagę i gdyby nie twarde, nomen omen, argumenty Jagody, podziwiając dziś urodę koleżanek, pewnie skupiłby się na Kasi. Uwielbiał Groniec, a ta dziewczyna była jej żywą kopią. – Wcale nie gorsze od książki Péreza-Revertego!

– Potwierdzam! – wtrąciła swoje trzy grosze Jagoda. – No i Depp, intrygujący i mroczny.

– Ten film to Polański w najlepszej formie – podsumował Kosma. – Mówił kiedyś w wywiadzie, że anioły są nudne. No to ma tutaj szatana, stąd sześć, sześć, sześć jako kod do windy Balkana... Tych symboli jest więcej, tytułowa dziewiątka też nie jest bez znaczenia. Przecież dziewięć to trzy plus trzy plus trzy. Trzy światy, ziemia, niebo i piekło...

– Hmm, nie chcę, żeby mnie dziś za bardzo piekło! – wypaliła Jagoda i cała grupa zaniósła się śmiechem.

– Co oni pieprzą, jaka winda balkana? – Bródka miał już wyraźnie dość i z trudem utrzymywał się na barowym stołku. O ile towarzystwo naprzeciwno skupiło się na rozmowie, przerywanej śmiechem, o tyle dwójka przy barze po prostu piła.

– Nie wiem, to jakieś wsiove pierdoły... – Ryżyk czknął i ugryzł ogórka. Knajpa serwowała przekąski rodem z PRL-u, były więc też tatar i nóżki w galarecie. – Ty, jeszcze chwila i wejdzie na niego...

Wojtek zwany Bródką postanowił interweniować. Kiepski to był pomysł, bo jego kłopoty z koordynacją ruchową były aż nadto widoczne, ale wypity alkohol najwidoczniej jakoś mu je rekompensował. Sięgnął po kufel z piwem, który barman nalał dla kogoś, i ruszył w kierunku sofy, przy której siedziały dziewczyny z recepcji. Kiwając się, wbił

wzrok w Jagodę; widać było, że nad czymś myśli i zaraz to wyartykułuje. Na razie się zbierał.

– Jednakowoż bym prosił, żebyś tego zaprzestała! – powiedział wreszcie i czknał.

– Czego, Wojciechu? – zapytała Jagoda, nie patrząc nawet w jego kierunku.

– Powiem ci na ucho... – Wojtek zdobył się na zalotny uśmiech, a przynajmniej taki musiał być w jego mniemaniu, ale obserwujące go dziewczyny wołałyby nie widzieć tego grymasu. Pochylił się nad Jagodą tak gwałtownie, że piwo, które trzymał w lewej ręce, wylało się prosto na nią. Jagoda zaniemówiła, Bródka jak urzeczony wpatrywał się w jej biust. Alkohol solidnie zmoczył bluzkę, pod którą najwyraźniej nie miała nic więcej. Materiał przywarł do jej ciała, nie pozostawiając zbyt dużego pola wyobraźni.

– To jeden z takich momentów, kiedy nie wiem, czy cię pochwalić, czy opieprzyć, kolego! – powiedział Kosma, z trudem odrywając wzrok od mokrej Jagody. – Jednakowoż, jak już powiedziałaś, też bym prosił, żebyś tego zaprzestała. I wypieprzał stąd.

– Zamknij... – Wojtek nie zdążył dokończyć. Wyprostowana, zgrabna noga Kasi trafiła go w najczulsze dla mężczyzny miejsce. Babska solidarność dała o sobie znać i Jagoda z wdzięcznością spojrzała na koleżankę.

– Dziękuję, kochana...

– Żaden problem. Chodź do łazienki, przebierzesz się. Mam jakieś rzeczy, akurat odebrałam w pracy paczkę z Zalando.

Dziewczyny wyszły, a Kosma skupił się na Bródce, który doczłapał do baru i zalił się właśnie Rudemu. Słabo kojarzył tych dwóch. Z Rudym kilkakrotnie mijał się w studiu. Kolesia od wylanego piwa zupełnie nie znał, ale ten już zdążył go wkurzyć.

– Jestem prostym chłopcem z Bałut – powiedział cicho, stając za nimi i kładąc im ręce na ramionach. – W mojej okolicy szanuje się kobiety i nie marnuje alkoholu...

– To zabieraj się tam, łosiu! – przerwał mu Bródka.

– Nie usłyszałem, żebyś przeprosił Jagodę za to niefortunne zajście – kontynuował niezrażony Kosma.

– Nic ci do tego! – Bródka nie tracił rezonu. A może po prostu w towarzystwie rudego kolegi czuł się pewnie. Kosma był od niego trochę wyższy, ale był sam, mieli przewagę liczebną.

– Powiem ci, co się teraz stanie... – Kosma rozejrzał się po sali. Dziewczyny jeszcze nie wróciły, a pozostałe towarzystwo wciąż komentowało niedawne zajście. – Twój koleżka, mały Simply Red, posiedzi sobie spokojnie przy barze, a my wyjdziemy się przewietrzyć. Pożegnajcie się już teraz, bo możesz nie chcieć tu wracać. Albo... możesz poczekać na Jagodę i spróbować ją przeprosić. I bądź w tym przekonujący.

Kosma urwał i przez chwilę przyglądał się obu facetom. Był już wstawiony, ale w przyjemny, nieagresywny sposób. Nie miał potrzeby wymierzania sprawiedliwości i gotów był obrócić całe zajście w żart. Nie mógł się jednak zgodzić, żeby inny pies sikał na jego terenie. To kwestia zasad. Podświadomie wyprostował się, przez co urósł o dwa centymetry.

– Okej, dajcie sobie buzi, Rudy zostaje, ty dołączasz do mnie. Albo czekasz na Jagodę. Idę zapalić przed budynkiem, twój wybór.

Wrócił do stolika po paczkę lucky strike'ów i przepaszająco uśmiechnął się do reszty towarzystwa. „Zgubny nałóg” – rzucił i ruszył w kierunku wyjścia. Kończył właśnie fajkę, gdy zobaczył, jak wychodzą, rozglądając się. Westchnął z rezygnacją i podniósł rękę, żeby mogli go zlokalizować. Stał w głębi parkingu, obok kontenera na śmieci. Zdążył dokładnie zlustrować teren. Nie widział kamer monitoringu, nikt też nie kręcił się przy pozostawionych tu autach. Ze znajdującego się za rogiem ogródka piwnego dochodził hałas skutecznie maskujący inne dźwięki.

Kosma stanął miękko na stopach i czekał. Nie bił się od lat, ale są rzeczy, które chłopaki z Bałut mają po prostu w krwiobiegu. I jak widać, mimo czterdziestki na karku, czasem ta gorąca krew dochodziła jeszcze do głosu.

Miał na sobie lniane spodnie, które nie krępowały ruchów. Skórzane mokasyny raczej nie przydadzą się w walce, ale na pewno nie będą przeszkadzać. Był spokojny.

– Dostaniesz w czapę! – zaczął Bródka. – Nienawidzę wszystkiego, co sobą reprezentujesz. Masz gówniane auto, wsiowe buty...

– Nie przyszedłem tu na pogawędki! – przerwał mu Kosma, wymierzając pierwszego kopniaka. Wsiowy but okazał się zabójczą bronią, bo lądując na twarzy Wojtka, skutecznie odebrał mu chęć na dalszą rozmowę. Bródka zatoczył się i upadł. Ryży rozpedził się i rzucił na Kosmę, próbując uderzyć go głową. On przewidział jednak ten atak. Doskonale wiedział, że dwójka warszawiaków ma zerowe doświadczenie i żadnych szans na powodzenie akcji. Nie przetrwaliby na Łagiewnickiej kilku dni...

Spokojnie zrobił unik, dając krok w bok, i jednocześnie wyprowadził uderzenie łokciem. Rudy tylko jęknął i chyba stracił przytomność, bo leżał bez ruchu. Kosma skupił się na Wojtku, który zbierał się z ziemi, obficie krwawiąc z rozbitego nosa.

– Złamałeś mi nos! – jęczał, próbując stanąć na nogach.

– Widzisz, wsiowy but, a jaki skuteczny... – Kosma pomógł mu wstać i zauważył, że krew Bródki poplamiała także jego ulubione mokasyny. – I co narobiłeś? Co ty masz z tym chlapaniem? Najpierw Jagoda, teraz ja... Idź już może do domu!

Wojtek patrzył na niego spode łba i wolał się już nie odzywać. Rudy poruszył się i łapczywie wciągał powietrze. Rozglądał się na boki, próbując ocenić sytuację. Jak by nie patrzył, nie była dla nich korzystna. Dostali wpierdol; całe szczęście, że nikt tego nie widział.

– Wisicie mi nowe buty! – zakończył sprawę Kosma.

Ruszył w kierunku klubu, nie oglądając się na nich. Poczul, że drżą mu ręce, jakby dopiero teraz dotarło do niego, co zaszło na parkingu. Co ty wyprawiasz, skarcił się myślach, przecież to jakieś lulki. Wystarczyło dać im z plaskacza...

W środku zabawa trwała w najlepsze.

– Gdzie byłeś? – zapytała Jagoda, kiedy usiadł między nią a Kasią. Dziewczyny musiały niedawno wrócić z toalety.

– Odprowadzałem Wojtka, skarżył się na nos – odparł i puścił do niej oko. – Trochę tu za chłodno, chyba dostał kataru.

– Nie gadajmy już o nim, chodź, powiem ci coś na ucho.

Powiedziała. On odpowiedział. Nawet z zakrytym dekoltem robiła duże wrażenie. Niemal takie jak podobna do Groniec Kasia, siedząca z drugiej strony. Był w wyraźnej

rozterce i przez następne pół godziny oddalał od siebie moment podjęcia decyzji. Zupełnie niespodziewanie z kłopotu wybawił go umundurowany policjant, który stanął przed nimi i próbował zwrócić na siebie uwagę.

– Aspirant Drzewiecki, poproszę o pana dowód osobisty!

Zaskoczony Kosma sięgnął po dokumenty i podał je funkcjonariuszowi. Ten wpatrywał się w nie i zapytał po chwili:

– Imię i nazwisko?

– A co, ten drugi, co umie czytać, nie ma dziś służby? – Kosma uśmiechnął się do mundurowego i dodał: – Przepraszam, nie mogłem się powstrzymać. Kosma Makarski.

– Pójdzie pan z nami.

– O co chodzi?

– Dostaliśmy zgłoszenie o pobiciu.

A to fiuty, pomyślał Kosma i podniósł się z miejsca. Atmosfera w barze znów zgęstniała, ale tym razem miał już tego pełną świadomość. I wcale nie był z tego faktu zadowolony. Dobrze, że nie widział min dziewcząt. Piersi Jagody falowały tym razem z oburzenia. Nawet Kasia musiała przyznać, że takie falowanie może zadziałać jak efekt motyla. Wystarczyło tylko poczekać na rozwój wypadków. Jak się okazało, niezbyt długo.

Siedział w pokoju przesłuchań dobre dwie godziny – tak przynajmniej mu się zdawało, bo z nudów doliczył do kilku tysięcy. Nikt nie przychodził, nikt go o nic nie pytał, tak jakby zostawili go tu, żeby skruszał i zaczął zastanawiać się nad swoją winą. Torbę z dokumentami i telefonem zabrali mu przy wejściu, więc na dobrą sprawę upływu czasu mógł się tylko domyślać. Znał tę taktykę; policja wszystkich krajów świata postępuje podobnie. Zostawia się delikwenta z własnymi myślami w kompletnej ciszy. Po jakimś czasie ktoś mniej odporny zaczyna śpiewać. Nie trzeba być specjalnie bystrym, żeby rozgryźć, o co tu chodzi. Kosma oparł się wygodnie łokciami o stół, wyciągnął nogi i czekał. Skoro wezwali policję, nic im się nie mogło stać, pomyślał. Od konwojującego go policjanta dowiedział się, że posterunek otrzymał dwa niezależne zgłoszenia. Rudy i Bródka postanowili uderzyć z grubej rury. Co za parowy! Zaklął pod nosem, wyobrażając sobie, co należałoby zrobić z tymi pajacami. I co robi, jak stąd wyjdzie.

Drzwi do pokoju otworzyły się z głośnym jękiem, jakby skumulował się w nich cały strach przesłuchiwanym tu dotychczas osób. Stała przed nim policjantka w cywilnym ubraniu, w ręce miała jego rzeczy i plik papierów. Usiadła bez słowa i przyglądała mu się wyraźnie strapiona. Aha, będzie grała tę dobrą, pomyślał Kosma. Zaraz zaproponuje fajkę, po czym wpadnie tu jej koleś i mi ją zabierze. Makarski widział taką scenę w *W11* czy innym *Malanowskim*.

– No dobra, nie będę robiła sobie z pana jaj... – powiedziała tymczasem kobieta i zaprezentowała w uśmiechu garnitur tak białych zębów, że Kosma odruchowo zawiesił na nich wzrok. – Jest pan wolny.

– To znaczy, że mogę stąd wyjść?

– W zasadzie do tego sprowadza się sens mojej wypowiedzi, ale mogę to panu rozrysować, jeśli słabo pan kojarzy.

– To po co ten cały cyrk?

– Żaden cyrk, wpłynęły zawiadomienia, musieliśmy zareagować. W

międzyczasie... Proszę tak na mnie nie patrzeć, wiem, że tak nie powinno się mówić...

– Nie żebym był językowym purystą, ale będę wdzięczny za dbałość o poprawną polszczyznę... – Kosma przez chwilę się zastanawiał, czy właśnie zaczął flirtować z umundurowaną kobietą.

– Godzinę po tym, jak pan tu dotarł, wycofano doniesienia. Oba. Ktoś dzwonił też do naszego komendanta, choć on się do tego nie przyzna. Ma pan najwyraźniej wysoko postawionych przyjaciół.

– Mam tylko psa, Helmuta... Myśli pani, że znają się z komendantem?

– Tak czy inaczej, może pan iść, choć szykowałam już tu kilka atrakcji na długie wieczorne godziny.

Teraz już nie miał wątpliwości, to był flirt na całego.

– Niech zgadnę, przypalanie papierosem i polewanie lodowatą wodą?

– Widzę, że zdążył pan już mnie lepiej poznać. Okej, pożartowaliśmy, proszę podpisać i zabierać rzeczy. Dobrze się pan czuje? – zapytała jeszcze, widząc krew na butach Kosmy.

– Od kilku minut czuję się naprawdę świetnie, pani porucznik!

– Aspirant. Aspirant Lorenz. Zet na końcu.

– Ku chwale ojczyzny, pani aspirant! – Kosma pożegnał ją uśmiechem numer trzy, zarezerwowanym tylko na specjalne okazje. Zdziałało, bo znów pokazała zęby białe jak porcelana Rosenthala i kiwnięciem głowy wskazała mu drzwi.

Staął przed komisariatem i głęboko odetchnął, wciągając w płuca rześkie warszawskie spaliny. Tak smakuje wolność? Wyjął telefon i wystukał numer pierwszej osoby, jaka przyszła mu do głowy.

– Przyjedź po mnie! – rzucił krótko w słuchawkę, kiedy zgłosił się rozmówca.

– Ochujales? – Legendarne już dobre wychowanie Huba tylko trochę ustępowało jego nieprzebranej chęci niesienia pomocy bliźnim. – Jestem w trakcie stosunku z moją żoną, Agatą, lat czterdzieści.

– Musisz odebrać mnie z komendy, Hubert.

– Poczekaj, wziąłem tabletkę. Taką niebieską jak twoi nowi koledzy z komisariatu. Muszę, no wiesz... Nie chcesz chyba mnie oglądać z wiel....

– Masz rację, nie chcę! – Kosma i tak zdążył sobie zwizualizować to i owo. – Nie śpieszcie się, poczekam. Belwederska szesnaście.

Zerknął na telefon, który informował o kilkunastu nieodebranych połączeniach. Nie znał żadnego z wyświetlonych numerów, pewnie Jagoda i reszta towarzystwa próbowali dowiedzieć się, jak sobie radzi. Oddzwonił pod pierwszy numer z listy; ucieszył się, słysząc po drugiej stronie wierną kopię byłej żony Olafa Lubaszenki.

– Nareszcie! Wszystko w porządku? – zapytała, odebrawszy po pierwszym sygnale.

– Stało się coś dziwnego, wypuścili mnie... Podobno ktoś interweniował?

– Tak, jak tylko cię zabrali, Jagoda domyśliła się, że to sprawka Radka i tego z brodą, Wojtusia. Wiesz, on chodzi za nią od kilku miesięcy.

– Nie miałem pojęcia...

– Wydarła się na niego i kazała wszystko odwołać. Jacek Kłós zadzwonił z kolei do Kiszczaka i wyprosił, żeby ten porozmawiał z kim trzeba. Nic się przecież nie stało,

zwykle nieporozumienie.

– Poskutkowało, siedzę wolny przed komisariatem.

– Radziu trochę się odgrażał, ale Jacek wspomniał coś o nowym grafiku nagrań i to go skłoniło do zmiany nastawienia.

Kosma z satysfakcją słuchał tych rewelacji. Rudy to jednak miękka faja, pomyślał.

– Podziękuj wszystkim, nie będę już teraz wydzwaniał do każdego po kolei, ale mam u was ogromny dług wdzięczności.

– Może kiedyś ci o tym przypomnę. Wracasz do domu?

– Nie, nocuję dziś u przyjaciół. Jeszcze raz dziękuję.

Rozłączył się i natychmiast zadzwonił do żony. Nie uprzedzał wcześniej, że nie wróci na noc, więc za chwilę dziewczyny zaczęły się niepokoić. Nie jest źle, prawdziwe jaja byłyby, gdyby spędził noc za kratkami, pomyślał. Kaśka nie odbierała, pewnie wyszła z Helmutem. Zostawił jej krótką wiadomość, że śpi u Huberta, bo trochę wypili i nie chciało mu się wracać w tym stanie pociągami. Czekał go jeszcze jeden telefon, do Kiszczaka, ale wolał nie rozmawiać z nim teraz. Co prawda Makarski prawie już wytrzeźwiał, niemniej przeżycia ostatnich godzin wciąż dawały mu się we znaki. Wpadał raz w głupkowaty, raz w ponury nastrój. Rozmowę z pierwszym po Bogu odłożył na inny dzień. Pewnie i tak zdążyli mu donieść, że jest na wolności.

Było już późno, ale centrum Warszawy nigdy nie zasypia. Tak przeczytał w jednym z przewodników po mieście. Guzik prawda, przyjeździecie na Belwederską, prawie powiedział na głos. Usiadł przed jedną z mocniej oświetlonych witryn sklepowych i wyjął z torby gruby zeszyt w kratkę. Jak znał temperament Huberta, wspomagany farmakologicznym dopingiem, zanim tamten się zjawi, zdąży jeszcze napisać zaległy list. Czuł, że musi to zrobić właśnie teraz.

*Matyldo,*

*siedzę na chodniku w centrum miasta. Żaden to paryski trotuar, zwykle warszawskie byle co. Pełno tu niedopalków i śmieci, więc komponuję się znakomicie. Bo czuję się podle i pewnie podobnie wyglądam. Jestem w takim momencie, że nie chcę myśleć o niczym ważnym, po prostu cały jestem tym siedzeniem. Kiedy tak zwyczajnie usiadłaś bez celu?*

*Nie widzę w tym nic złego, że czasem gdy*

*Szukam gdzieś noclegu, a miasto już śpi*

*I setki wtulonych par zdumionych tym,*

*Że noc tak krótko trwa – zazdroszczę im2.*

*Znasz tę piosenkę? To Waglewski, śpiewał tak żonie. No więc siedzę tu zupełnie jak*

*on, oglądając mijające mnie pary. Sam jak kolek. Miasto zasypia, a ja nie mogę... Kompletnie tu nie pasuję, wiesz? Moja córka przeżywa żalobę po stracie chłopaka, na towarzysza niedoli wybrała Twojego kraśnika sześcioplamka. W moim domu od teraz nie używa się słów „choroba”, „śmierć”, „rak”, „pożegnanie”. Powinienem być z nią, ale nie mam już siły, by płakać za dwoje. Chcę żyć dalej, stąd i nocny bar, i nocleg byle gdzie, z byle kim.*

*Podobno jesteś w miejscu, gdzie „czarna noc” nabiera prawdziwego znaczenia. Wątpię. Takie miejsce odkryłem chyba w sobie. Niemożliwe, żeby było ich więcej. Zabierz mnie stąd. Pokaż mi swój Krzemień, a ja obiecuję, że już nigdy nie zabraknie Ci czereśni. I zapomnisz o gwałtownych burzach.*

### *Kosma*

Ostatnie zdania pisał już poganiany przez Huberta, który zajechał wyraźnie odprężony i z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Nie musisz podkreślać, że masz udane pożycie małżeńskie! – Kosma klepnął go na powitanie i poprosił: – Podjedź najpierw na Bakaliową, muszę coś załatwić. To nie potrwa długo.

– Mam nadzieję, bo magiczna tabletkę jeszcze działa i chciałbym szybko wrócić do żony mej, Agaty. Dotknij! – Spojrzał na przyjaciela, jakby w obawie, że tamten nie potraktuje jego słów z należytą powagą.

– Sam się dotknij! – odpowiedział Kosma i poważnie zastanowił się nad przejściem na tylne siedzenie.

Droga minęła im szybko. Hubert opowiadał o nowym pomysle na biznes życia. Kosma nie pamiętał, ile to już razy zarywali nocne w podobny sposób, snując plany i widząc rosnące słupki po stronie zysków. Tym razem chodziło o agroturystykę połączoną z hotelem dla koni i niewielkim stadem krów holenderskich. Agata od lat jeździła konno, Kosma obstawiał, że dzięki temu była gorącą orędowniczką biznesowego planu swojego męża. Hub po raz pierwszy mógł liczyć na jej wsparcie. A skoro tak, to kto wie, może wreszcie uda się im taki pomysł wcielić w życie.

Rozważania przerwali tylko na chwilę, zajeżdżając pod Żółtą Cizemkę. Kosma wyskoczył z auta i wszedł do kawiarni, upomniany przez Huberta, by nie zabawił zbyt długo. On sam wolał zostać w samochodzie. Być może miało to związek z obcisłymi spodniami, które miał na sobie. Kosma wolał nie wiedzieć.

W lokalu przeżył rozczarowanie. Zamiast Izy przy barze stało jakieś czupiradło z kolczykami w kącikach oczu i z jednym w policzku.

– Dobry wieczór, co dla pana? – Ledwo otworzyła usta, Kosma doliczył się jeszcze jednego kolczyka w języku. Ta laska musiała mieć poważny problem z kontrolą na lotnisku.

– Dla mnie pani koleżanka, Iza. – Wolał załatwić to od ręki, bez zbytniego wchodzenia w interakcję z zakolczykowaną, ale jako miły starszy pan dodał: – Dobry wieczór...

– Izka dziś pracowała wcześniej. Jutro też będzie od rana.

– Nie sprawię pani kłopotu, przekazując list dla niej? W zasadzie to nawet nie dla niej, ale ona będzie wiedziała, co z nim zrobić.

– *Man*, nie prościej wysłać jej maila? – zapytało dziewczę, ale posłusznie wzięło kopertę od Kosmy. – Mamy tu darmowy Internet dla klientów, można skorzystać.

– Innym razem, dziękuję! – Kosma uśmiechnął się, jeszcze raz przeliczył kolczyki na twarzy barmanki i wyszedł z lokalu.

W samochodzie zastał wyraźnie zamyślonego Huberta, który ni z tego, ni z owego zapytał:

– A wiesz, że bydło się kolczykuje?

– Nie tylko bydło, *man*, nie tylko... – odparł Kosma i opadł na siedzenie. Miał dość na dzisiaj. I chyba na jutro.

W komendzie przy Belwederskiej aspirant Lorenz porządkowała jeszcze papiery i szykowała się do wyjścia. Dopiero teraz zauważyła, że przy podpisie pod protokołem Kosma domalował wykrzywioną buźkę z wywalonym językiem. Nie widziała jej wcześniej. Tak, to wyraźne pogwałcenie przepisów, pomyślała, uśmiechając się szeroko i poprawiając kosmyk zsuwający się jej na czoło. Trzeba będzie obywatela Makarskiego wezwać na okazanie. Sam się o to prosi!

W pokoju było gorąco. Całodzienny skwar rozpełzł się po kątach i ani myślał odpuścić. Jeszcze raz pokręciła głową i zatrzasnęła za sobą drzwi. Był głodna, zła i podniecona. W tej kolejności.

2 Wojciech Waglewski, *To nic złego* (sł. Wojciech Waglewski).



## Rozdział ósmy

*w którym matka Matyldy wie więcej, niż wydaje się jej córce, Kosma poznaje bliżej pracę policji, pojawia się Wiktor, a Helmut czuje niepokój.  
Wiecie, jak to pies...*

Bezdeszczowy sierpień przykrył stolicę warstewką kurzu. Soczystą zielenią Matylda mogła się cieszyć, tylko otwierając fiolki z farbami i mieszając je do momentu, kiedy odcień zaspokajał jej głód...

Nie znosiła tej części lata. Dla niej środek sierpnia miał w oczach krople zimnej porannej rosy, a wieczorami coraz częściej zakładał mglisty płaszcz. Nie podobał jej się taki. Płaszcz ciemniał z każdym dniem; mocno za długi, codziennie z głośniejszym szelestem włoczył pierwsze spadające liście. W ciągu dnia rzucał go gdzieś niedbale. Przepychał się ze słońcem, próbując oszukać ptaki i opóźnić ich odloty. Ale one nie dawały się omamić – zerkały ruchliwymi główkami to na płaszcz, to na spadające liście jesionów... Te, które zostały na zimę, prawie w zupełnej ciszy szukały sobie partnerów, żeby wspólnie dzielić się ciepłem w zimowe noce. Pakowała walizkę, kiedy rozpoczynał się bociani sejmik. Zdążyła wyjechać przed ich odlotem. Chciała trochę poudawać, że jeszcze tyle może się zdarzyć.

– Nie pojedziesz do Wiktora? – zapytała córkę pani Radecka, nakładając ciepły jeszcze jabłecznik na małe talerzyki. – Miałas do niego jechać po powrocie z Mazur... Ależ dobre jabłka udało mi się kupić na tym małym ryneczku! – dodała, kładąc przy każdym widelczyk do ciasta.

– Mamo... nie. Nie zamierzam w ogóle jechać. Duże miasto mam tutaj. I wszystkiego w bród. Nie chcę tam mieszkać. – Matylda skubała chwilę słodką kruszonkę, nie korzystając z widelczyka. – Zresztą od początku nie miałam na to ochoty. To Wiktor się uparł. Nic mnie tam nie ciągnie ...

– Ale tyle razy mówiłaś, że chcesz się gdzieś wyrwać, zobaczyć coś nowego, powiedzieć... – Matka przyglądała się Matyldzie z troską.

– Mam dość dużego miasta, mamo. Tam jest taki sam hałas i zgiełk jak tu. A poza tym nie pociąga mnie nic w tej kulturze, za to ta ich kanciastość w sposobie bycia tylko drażni. – Matylda wzięła talerzyk do ręki i przez chwilę skupiła się na ulubionym placku. – Zresztą poruszanie się po mieście bez znajomości języka tylko na krótką chwilę jest fajne. A we mnie jednak więcej z kury domowej niż z obieżyświata.

– Przyjeżdża...

– Za trzy dni. – Wiedziała, że ta wiadomość ucieszy matkę. Pani Radecka lubiła zięcia i traktowała go jak syna. – Wiktor zaproponował kolację u nas. Ciasto przepyszne, mamo... – Postawiła pusty talerzyk obok filiżanki z kawą. – Więc jesteśmy umówieni. Przyjeżdża tylko na tydzień i bardzo nalegał, żebym was namówiła na ten wieczór.

– Z przyjemnością wpadniemy, kochanie... Spróbujesz jeszcze nalewki orzechowej ojca? – Pani Radecka postawiła na stole małe kieliszki na zgrabnych,

wysokich nóżkach. – To ulubiona Wiktorka. Ojciec pamiętał...

– Czasami jestem o niego zazdrosna ... – droczyła się z matką z miną małej dziewczynki, która dostała inny kolor zabawki, niż sobie wymarzyła. – Za nalewkę podziękuję, jestem umówiona. Nie budź ojca...– Matylda spojrzała w stronę półprzymkniętych drzwi do pokoju.

– Pożegnaj go od ciebie. – Pani Teresa ucałowała córkę, przytulając ją mocno, jak zawsze. – Matylda...? – Poprawiła jej kosmyk włosów tym samym ruchem, który tamta pamiętała jeszcze ze szkolnych lat. – Jak sobie radzisz bez niego?

– Tak jak on beze mnie. – Cmoknęła jeszcze raz matkę w policzek. – Ale wolałabym, żeby nie wyjeżdżał. To była jego decyzja, nie moja. Po cichu liczę na to, że zerwie ten kontrakt. Brakuje mi go, mam go coraz mniej. On o tym wie, więc... – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się blado. Ostatniego zdania nie wypowiedziała już na głos. Wystarczył jej wzrok matki, która potrafiła wyczuć każdą zmianę jej nastroju. Nie chciała, żeby zamartwiała się o nią i tym razem. Ciągła obawa o zdrowie męża była już i tak wystarczającym obciążeniem.

Tak naprawdę nie była umówiona. Chciała zajrzeć na Bakaliową. Wsiadła z tramwaju dwa przystanki wcześniej. Powoli szła przez park, który dzielił ją od kawiarenki. A jeśli tam jest? Teraz?

Przystanąła gwałtownie i rozejrzała się za wolną ławką. Wszystkie były zajęte. Na jednej jakaś zapatrzona w siebie para obejmowała się z czułością, nie zwracając uwagi na otoczenie. Pozazdrościła im. A jeszcze nie tak dawno to ona była taką dziewczyną z ławki...

W Cizemce był tylko jeden wolny stolik. Przy żadnym jednak nie siedział nikt wyraźnie kogoś wyczekujący. Uspokoila się trochę, zajęła stolik i poprosiła o sok.

Drobna kelnerka przyglądała się Matyldzie ukradkiem. Zastanawiała się, kim jest ta kobieta i dlaczego wciąż odpisuje na listy Kosmy. Dlaczego zwyczajnie nie porozmawia z nim przy kawie albo po prostu nie skorzysta z Internetu? I co opowiada jej w listach ten facet z magnetyzującym głosem, że jeszcze nie znudziło się jej tu przychodzić i siedzieć godzinami nad kartką?

Musiała czytać list już któryś raz, bo ciągle trzymała w ręku rozłożoną kartkę papieru. Dopiero po dłuższej chwili do dziewczyny dotarło, że zamyślona kobieta bezmyślnie słodzi świeżo wyciskany sok z pomarańczy i miesza go słomką tak zapamiętała, jakby miało jej to pomóc w zrozumieniu treści korespondencji. Odłożyła ją na bok dopiero wtedy, kiedy zorientowała się, że zamówienie nie do końca smakuje jak sok pomarańczowy. Zaczęła pisać...

*Kosma!*

*Twoja córka ma niezwykłą intuicję. Wybrała obraz w czerni i czerwieni. Te dwa kolory to mieszanka siły, ciepła oraz – wbrew pozorom – wyciszenia i spokoju, które daje czerń. Jest silniejsza, niż Ci się wydaje. Nie bój się więc... Puść ją wolno. Jeśli postrzepi sobie skrzydelka, to wygładzisz je, kiedy wróci i poprosi Cię o to. Okej?*

*Byle jak, byle gdzie, z byle kim... Taka bylejakość pozostawia po sobie tylko trudne*

*do sprania plamy zniechęcenia, niesmaku i przeterminowanej motywacji. A poza tym zasmuca i osłabia. Ale przecież Ty o tym wiesz, Kosma. Pozwolisz jej rosnąć w siłę Twoim kosztem? Do czego wtedy będą mi potrzebne moje pędzle i sztalugi, i te dni spędzone nad tkaniną, która kiedyś ma mieć dla kogoś znaczenie? Nakarmisz ją smutkiem, ja stracę robotę i nie będzie mnie stać na czereśnie...*

*Tak, czasami zdarza mi się robić coś bez konkretnego planu; coś na kształt puszczenia myśli wolno. Pozwalam im wtedy na nieskrępowany taniec z moimi oczekiwaniami. Zapatrzyłam się ostatnio na ten taniec na chybotliwym starym pomoście, gdzieś na końcu świata. Usłyszałam nawet muzykę, uwierzysz? I wiesz, jak się poczułam? Nie było tam ze mną nikogo, a miałam wrażenie, że ktoś wepchnął mi w płuca solidną dawkę tlenu, która pozwoliła mi przez moment pomyśleć naprawdę o sobie. Chciałam zostać na tym skrzypiącym pomoście, żeby jak najdłużej móc oddychać pewnością, że jestem na właściwym miejscu i że wszystko do siebie pasuje. Nawet samotność wpasowuje się w ten pejzaż bez dysonansu...*

*W dużym mieście ani od niej nie uciekniesz, ani nie pozbędziesz się wrażenia, że jak już zaczniesz za Tobą łązić, to choćbyś zgubił ją w labiryncie uliczek, i tak przyczai się gdzieś za rogiem. Zupełnie jakby bezosobowy tłum, którego tak naprawdę nie obchodzisz, dawał jej dodatkową energię do osaczania nieświadomych jej wątpliwego uroku. A ona, spryciara, lubi miejski zgiełk, bo łatwiej jej wtedy kraść Twoje myśli, których Ty w tym hałasie nie jesteś w stanie usłyszeć. Potem robi z Tobą, co chce – po swojemu.*

*Tam, na końcu świata, trochę mniej w niej buty i pewności siebie. Tylko że tamten kawałek świata nie jest mój. Ja ciągle szukam swojego Krzemienia, Kosma. Liczę na to, że kiedyś go znajdę i że będzie mnie na niego stać... Będzie to możliwe jednak tylko wtedy, kiedy moje motyle będą miały okazję przysiąść w mniej lub bardziej słonecznych miejscach. Nie mają zbyt wiele czasu, chwilę zaledwie, żeby zachwycić siebie i świat. Daj im taką możliwość, a pani bylejałości – kosza. Otwórz im szersze okno, Kosma, a będą Ci bardzo wdzięczne. Może i ja otworzę tak kiedyś okno w swoim Krzemieniu i wyjdę boso do ogrodu... po burzy.*

*Nina George w swoim „Lawendowym pokoju” pozwala nam wejść do pewnej wyjątkowej apteki literackiej, prowadzonej przez empatycznego pana Perdu. To on decyduje, jaką książkę i komu sprzeda, traktując poszczególne egzemplarze jak skuteczne lekarstwa na choroby duszy. Nie uważasz, że takie apteki powinny być na każdym rogu? Tylko gdzie kształcić farmaceutów, żeby ich przygotować do takiej roboty? Gdyby taka apteka była w mojej okolicy, byłabym jej stałym klientem.*

*Matylda*

Listy woził w samochodzie; chciał je mieć wszystkie pod ręką. Z każdą otrzymaną kopertą przesiąkał tą ich historią coraz mocniej. Wchodził w narrację pisaną skrycie i w

biegu przez emocje, ciekawość oraz głód. Znał wiele wyjątkowych kobiet, ale Matylda wygrywała z nimi bez specjalnego wysiłku. Tylko ona skrywała tajemnicę przeznaczoną wyłącznie dla niego.

Siedział na niewielkim tarasie w domu Huberta. Od kilku dni opiekował się mieszkaniem przyjaciół, którzy wyjechali w poszukiwaniu ziemi pod planowaną inwestycję. „Bieszczady czy Mazury?” – zapytał Hubert, a Agata bezradnie rozłożyła ręce. Czuli, że w obu miejscach mogą znaleźć swój nowy świat. Przez kilka nocy sprawdzali ogłoszenia, przeglądali oferty, wypisując trzema kolorami flamastrów efekty swojej pracy. Kolor zielony oznaczał „konieczne” i było go więcej na Mazurach. Pojechali pełni nadziei.

Rekonesans przedłużał się, ale Kosma nie miał im tego za złe. Kaśka z Michaliną zdecydowały się na krótki pobyt w miejscu, którego nawet nie potrafiłyby wskazać na mapie. Takie wyjazdy to jedna z zalet obracania się w biznesie farmaceutycznym. Jego żona regularnie korzystała z możliwości udziału w tych udawanych szkoleniach, doceniając miękkość piaszczystych plaż, kojący szum morza i różnorodność drinków. *All inclusive* tym razem współdzieliła z córką. Obu przyda się oderwanie od przykrych wydarzeń ostatnich tygodni. I choć pobyt sponsorowany przez producenta modnego antydepresantu przewidywał wiele atrakcji, to dziewczęta ograniczały się do plażowania i długich, kojących rozmów. Do niego dzwoniły rzadko, bo minuty połączenia z Antylami kosztowały majątek. Poza tym doskonale wiedziały, że i jemu takie rozstanie jest potrzebne.

Kosma z Helmutem wybrali pożegnanie wakacji w stolicy, choć temu ostatniemu warszawskie podwórka wyraźnie nie przypadły do gustu. Pies był niespokojny, nie mógł sobie znaleźć miejsca i nawet nie spoglądał w stronę miejscowych pincerek lub jamniczek. Kosma patrzył na niego z niedowierzaniem, wypytyjąc o powód apatii. Helmut albo kulił się na posłaniu, albo – tak jak teraz – bez przekonania dawał się drapać za uchem. Jakby wiedział więcej i próbował coś przekazać.

Kosma wyprostował nogi. Wygodny rattanowy fotel pozwalał przybrać swobodną pozycję i zachęcał, by zdomowić się w nim na dobre. Odłożył laptopa, w którym przeglądał menu pobliskiej knajpki. Nie znalazłszy nic godnego uwagi, postanowił przejść się po okolicy i poszukać czegoś w tradycyjny sposób. Liczył na pomoc Helmuta, ale jedno spojrzenie na czworonożnego towarzysza wyprowadziło go z błędu. Jakąkolwiek wędrowkę musi dziś odbyć sam. Wyjął z walizki czyste rzeczy i stanął przy desce do prasowania. Moje żelazko jest mądrzejsze od tych dwóch baranów, pomyślał, przynajmniej rozpoznaje rodzaj materiału, po którym sunie. Radek z Bródką wciąż odgrązali mu się po kątach. I choć odpuścili bezpośrednią konfrontację, to wiedział, że niedługo znów będzie musiał stawić im czoło. Tylko subtelniej...

Z rozmyślań wyrwał go dźwięk telefonu. Nie znał numeru na wyświetlaczu.

– Tak? – odebrał i zaraz się uśmiechnął, słysząc głos wydobywający się zza śnieżnobiałej ściany zębów.

– Myślisz, że policja puszcza płazem takie rysunki na urzędowych drukach? – Lorenz nie bawiła się w subtelności.

– Pani aspirant, wolę nie zdradzać, o czym myślę, słysząc panią najwyraźniej w

dobrym humorze. Przynajmniej nie przed konsultacją z moim prawnikiem.

– Co robisz? – Policjantka oprócz dobrego humoru miała też nieprzepartą chęć wydobycia z niego wszystkich grzechów.

– Robię się na bóstwo i oczekuję propozycji...

– W zasadzie to mam jedną. Posiedzisz ze mną nad Wisłą?

– Mogę wziąć psa?

– To ja jestem psem, nie zapominaj. Jeden nam wystarczy, nie sądzisz?

No, sądził.

– Przykro mi, przyjacielu... – powiedział, pochylając się nad Helmutem, kiedy ustalili już miejsce i czas spotkania.

Zniknął w łazience. Gdyby teraz odwrócił się choć na moment, zobaczyłby smutek w psich oczach. Ogolił się starannie, włączając w to miejsca intymne i pachy. Długo stał pod prysznicem. Chłodna woda pryskała na boki, bębniąc w ściany kabiny. Co ja robię? – zapytał sam siebie, wycierając się do sucha. Ale myślami był już gdzie indziej...

Zaparowane szyby mocno ograniczały widoczność. To był pierwszy chłodniejszy wieczór, zwiastujący koniec wakacji. Zaskoczył ich i inne pary, które przyjechały w tę część lasu, by nacieszyć się swym nielegalnym towarzystwem. Lorenz zaparkowała citroena, zgrabną cepiątkę, z dala od najbliższego pojazdu. Nie chciała, by ktoś im przeszkodził, nawet niechcący.

Siedzieli z tyłu. Była naga, ale nawet taka nie wydawała się słaba czy bezbronna. Gdzieś obok Wisła świeciła w księżycu mieliznami. Kosma wziął ją na kolana i wszedł na tyle, na ile pozwoliła. Widział, że lubi kontrolować sytuację i cały ten wieczór będzie rozgrywał się pod jej dyktando. Wcześniej to ona wybrała knajpę nad Wisłą, później zdecydowała, gdzie pojadą, i to ona dała sygnał, by przeszli na tył. Oparł ją o przedni fotel; wygięła się, eksponując biust i policyjną blachę zawieszoną na szyi.

– Zdejmiesz to w końcu? – zapytał bez przekonania, bo wcale mu nie przeszkadzała ta legitymacja z jej zdjęciem chyba jeszcze ze szkoły policyjnej. Ewa Lorenz, przeczytał i ze zdziwieniem zorientował się, że do tej pory chyba nawet nie wiedział, jak ma na imię. Ewa, jakoś tak biblijnie i zwyczajnie...

Całując jej piersi, pomyślał, że niewiele czasu zajmie mu ich pokochanie. Były absolutnie idealne. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia kilka lat i raczej nigdy nie karmiła. Patrzył na nie tak, jak Kondrat na biust Dancewicz w *Pułkowniku Kwiatkowskim*. I dotykał tak, jak nielicznym dane jest dotykać narodowy skarb w najpilniej strzeżonym muzeum.

– A co, boisz się rznąć policjantkę? – odpowiedziała pytaniem i płynnie obróciła się do niego tyłem. Wiedział, że mając przed sobą jej pośladki, nie wytrzyma zbyt długo. Pozwolił jej tylko na kilka ruchów i tym razem on zmienił pozycję. Wyślizgnął się spod niej i opadł na kolana. Leżała teraz na tylnej kanapie, rysując bosymi stopami po zaparowanej szybie. Była piękna, w mroku błyskała białymi zębami, a księżyc lekko oświecał jej sterczące brodawki. Masował jej brzuch i uda, ale ona chciała więcej. Mocno złapała jego członek i przyciągnęła do siebie. Kosma syknął z bólu, ale poddał się tej pieszczocie. Zgięła się lekko i objęła go ustami. Teraz ona kontrolowała sytuację, nadając rytm i rekompensując mu niedawne cierpienie. Miała pełne wargi, pomagała sobie

językiem i ręką, wreszcie wsunęła go między stopy i tak pieściła jeszcze chwilę. Trysnął, zostawiając lepkie ślady na jej biodrach. Nie spodziewała się tak obfitego strumienia. Nieznacznie poprawiła się w fotelu i złapała go za głowę, przesuwając ją w dół.

– Teraz ty, masz jeszcze siłę? – szepnęła i wsunęła dłonie w jego włosy.

Miał. Uśmiechali się później zadowoleni, a chłodne powietrze znad rzeki pomagało im złapać oddech. Otworzyła szerzej okno. Mrok w kabinie rozświetlał tylko ognek z papierosa, którym dzielili się po równo. Księżyc jakby o nich zapomniał. Kosma wołałby, żeby było inaczej, chciał nasycić się widokiem jej ciała. Trochę siedzieli, trochę leżeli, leniwie kompletując porozrzucaną garderobę.

Nie było już nic do dodania. Ewa całowała go w szyję, a Kosma wędrował ręką po jej plecach.

– Ile ty właściwie masz lat? – zapytał, przerywając milczenie.

– Dwadzieścia trzy. Dlaczego pytasz?

– Bo nic o tobie nie wiem... – Kosma okrył ich swoją koszulą. Robiło się coraz chłodniej. – Kompletnie nic o tobie nie wiem...

– I przynajmniej dziś tak już zostanie, dobrze? – Nawet nie oczekiwała zgody, po prostu to zakomunikowała. – Odwiozę cię do domu.

– Dobrze – odparł tylko po to, by coś powiedzieć. Równie dobrze mógłby tu zostać do rana.

Pomógł jej się ubrać, przesiedli się na przednie fotele i wyjechali z lasu. Po drodze minęli jeszcze kilka aut, których zaparowane szyby nie pozostawiały wątpliwości, co dzieje się w środku. Pierwsza chłodniejsza sierpniowa noc nie ostudziła par spragnionych miłości. Albo tego, co najczęściej się z nią myli.

Helmut przywitał go spojrzeniem pełnym wyrzutu i głośnym szcęknięciem posłał go do diabła. Kosma nie odpuścił i namówił psa na krótki spacer. Mimo późnej pory i wcześniejszych przeżyć chciał jeszcze choć przez chwilę nie wracać do domu.

Siedzieli teraz przed klatką schodową, krzyżując spojrzenia i udowadniając sobie, który z nich jest większym samcem alfa. Kosma sprawdzał nieodebrane połączenia w telefonie. Oprócz Huberta nikt nie próbował go złapać. Było za późno, żeby teraz do niego oddzwonić, zrobi to rano.

Wciągnął głęboko powietrze i poczuł, że wciąż ma na skórze jej zapach. Ewa pachniała migdałami. Nie rozpoznał marki perfum, ale były przyjemne i pobudzały go nawet teraz. Uśmiechnął się i znów wziął telefon do ręki. „Kochałaś mnie tak, jakbym miał jutro zostać skazany na dożywocie” – napisał i posłał jej esemesa, dopisując: – „Jestem winny, znajdź mi jeszcze inne paragrafy...”

Usypiał już, kiedy usłyszał dźwięk przychodzącej wiadomości. Mrużąc oczy w ciemności, sięgnął po aparat i odczytał informację od operatora. „Wiadomość nie może zostać dostarczona. Abonent jest poza zasięgiem sieci”.

– Dziwne – powiedział na głos.

Wcale nie, pomyślał pies. Tylko jeden z nich miał rację.

– Odwieziemy was, nie wzywajcie taksówki. – Wiktor wstał zza stołu i wstawił kieliszki po winie do zlewu. Na jego prośbę rodzice Matyldy przyszli na obiad, a nie na planowaną wcześniej kolację. Wieczór chciał mieć tylko dla żony. Obiecał jej zresztą, że

nie zostawi jej nawet na moment. Po prawie miesiącu nieobecności w domu perspektywa była więcej niż kusząca. Matylda nie była zbyt oryginalna, jak większość kobiet przepadała za niespodziankami, ale była jednocześnie pewna, że brak oryginalności w tej materii mężowi przeszkadzać nie będzie, a już na pewno nie dziś...

– Wiktor... ja pozmywam. Poczekam na ciebie – rzuciła przez ramię, idąc po ciepły kardigan matki do przedpokoju. – Zapakowałam wam makowca, mamó. Zjecie sobie jutro do kawy. – Podała pani Radeckiej sweter i paczuszkę z ciastem. – Podjadę do was w niedzielę, wracając z lotniska. Wiktor ma samolot w południe. Wprosiłabym się na obiad...

– Zostaw to zmywanie, Matylda. Zrobimy to później. – Wiktor zalał duże brudne naczynie do zapiekania i schował gumowe rękawiczki do szuflady. – Tato, zabiorę twoją nalewkę do Berlina. Wyszła ci naprawdę nieźle...

– Ale kłopot sobie robicie, dzieci. – Pan Radecki poprawiał krawat przy lustrze. – Jeśli macie w planach coś jeszcze...

– Tak, mamy i będzie nam po drodze. – Wiktor wziął kluczyki od samochodu i zniknął na chwilę w sypialni.

– Dziękujemy za obiad, córuniu. Nie wiem, jak on to robi, ale jego pieczeń jest tak soczysta... – Matka Matyldy rozmarzyła się, zakrywając szczelnie dekolt bawełnianą chustą.

– Za długo trzymasz ją w piekarniku, mamó! – Wnętrze łazienki spotęgowało głos mistrza kuchni. – Możemy jechać – dokończył po chwili Wiktor, trzymając szeroko otwarte drzwi wejściowe.

– A kto ci tam gotuje, Wiktorku, na tym wygnaniu? – z troską w głosie zapytała zięcia pani Radecka.

– Nie znam żadnego Polaka, któremu nie smakowałaby kuchnia niemiecka, mamó. Dlatego korzystam z niej z premedytacją. Ale Berlin ma jeszcze dużo więcej zalet. Zamierzam przekonać moją żonę chociaż do paru... Uśmiechnął się pod nosem i zadzwonił kluczem, patrząc na Matyldę. Ta zerknęła na męża ciekawie, wkładając nowe, wygodne szpilki w głębokim szmaragdowym odcieniu.

Zasłuchała się w eteryczny głos Anny Marii Jopek; tego szarzejącego powoli, wrześnieowego wieczoru słowa piosenki nabrały dla niej nowego znaczenia. Przyglądała się w milczeniu światłom pulsującego miasta, nie zwracając uwagi na kierunek jazdy.

*Choć w sercu lęk, nie cofaj się*

*Tylko tak warto żyć*

*W chmurach gdzieś lśni twój szczyt*

*Odważ się i idź*

Ta piosenka zawsze robiła na niej duże wrażenie. Zdawało jej się, że jej treść odkrywa dziś na nowo...

– Wjeżdżasz na parking lotniska? – Z letargu wyrwał ją snop światła przy hali

odlotów. – Nie żartuj... – Matylda z chmur zeszła szybko, i jeszcze szybciej dotarło do niej, że za chwilę znajdzie się w nich naprawdę.

Wiktor obserwował żonę z uśmiechem zadowolenia na twarzy i sprawnie zaparkował.

– Lecimy gdzieś? – Jej oczy otwarte szeroko ze zdumienia i ekscytacji, której nie umiała ukrywać, były jednym wielkim znakiem zapytania. – Tylko nie mów gdzie, okej?

– Chciała mieć niespodziankę do samego końca.

Wiktor nadal się uśmiechał, tym razem zagadkowo.

– Mówiłem ci przecież, że kolację zjemy w wyjątkowym miejscu...

– Jesteś wariat! – Cieszyła się jak dziecko. Wiedział, że uwielbiała latać. – Ale... ja przecież...

– Spakowałem cię, nie panikuj. Mam wszystko. Zrelaksuj się, kochanie – poprosił chwilę później, wyciągając z bagażnika walizkę. – Podobno dzisiejsza noc na lot będzie idealna.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował delikatnie w szyję.

Matylda wypuściła powietrze z płuc i zaciekawiona wsunęła dłoń w rękę męża.

Byli jednymi z ostatnich podróżnych w kolejce do odprawy bagażowej. Na ekranie z numerem lotu widniał napis „Girona”.

Na małej plaży niewielkiego Tossa de Mar o tej porze było już dość cicho i spokojnie. Brzegiem przechadzało się zaledwie kilka osób; ktoś siedział z gitarą parę metrów dalej, śpiewając coś całkiem niezłe i chyba po angielsku. Malowniczo oświetlona najstarsza część miasteczka, umiejscowiona na wysokiej skale, przykuwała wzrok. Z pobliskich małych knajpek pachniało obłędnie; cicho sączyły się ukochane przez Matyldę rumby i bossa novy. Od czasu do czasu słychać było plusk wody o zacumowane niedaleko łodzie...

Kolację jedli na plaży. W recepcji maleńkiego hoteliku przy samej zatoczce czekał już na nich kosz z owocami, winem oraz masą hiszpańskich tapas.

– Wiktor... nie spodziewałam się! – Matylda odstawiła kieliszek i przytuliła się do męża.

– Stęskniłem się za tobą. Chciałem zrobić ci przyjemność... Kiedyś marzyłaś, by zostać tu chwilę dłużej, pamiętasz? Powiedz tylko, na co masz ochotę... – Dotknął dłonią jej zaróżowionej od wina twarzy i pogładził ją po policzku. – Spełnię wszystkie twoje życzenia!

Objął ją mocno i pocałował na tyle zdecydowanie, że miała ochotę na ten koncert życzeń już teraz... Wino i delikatne zmęczenie całym dniem spowodowały, że poddała się powolnym pieszczotom męża i skupiła na czystej przyjemności. Ciepło piasku plaży, który po całym dniu dopiero teraz oddawał je powietrzu, i delikatny, słono pachnący wiatr dodawały uroku tej chwili. Rozpięta powoli guziki jego koszuli i gryząc go delikatnie w ucho, długo szeptała swoje życzenia.

– O resztę poproszę tam... – Wskazała głową na okna hoteliku przy plaży. – Ten chłopiec z gitarą mógłby funkcje pomylić, kiedy będę ci głośno dziękować za... obiecane niespodzianki... – Rozwiązała spokojnym ruchem tasiemkę przy dekolcie bluzki, pozwalając jej zsunąć się niżej i odkryć gładkie ramiona. – A całkiem niezłe mu idzie...



– Chodź... będziesz mi dziękować i możesz to robić w taki sposób, na jaki tylko masz ochotę. – Dłonie Wiktora powędrowały w dół pleców żony.

Chłopiec na plaży brzdąkał coś, na co już kompletnie nie zwracali uwagi...

3 Anna Maria Jopek, *Tam, gdzie nie sięga wzrok* (sł. Magda Czapińska).

## Rozdział dziewiąty

*w którym coś się kończy i coś zaczyna,  
a wieści z Aruby mrożą Kosmie krew w żyłach*

Kosma wstał z poczuciem winy. Przez pół dnia zastanawiał się, po co mu były nocne przygody z warszawską policjantką. W myślach odgrywał prawdopodobne rozmowy, do których dojdzie, kiedy tylko tamta zadzwoni. Ale Ewa Lorenz nie odzywała się, więc pozostawały mu jedynie wewnętrzne monologi.

Zrobił przekąskę dla siebie i psa i wykapał się, by zmyć ostatnie nuty migdałów ze skóry. Poszli na spacer. Po drodze wstąpił po zakupy i zadzwonił do Huberta. Okazało się, że wrócą dopiero nazajutrz, a w ślad za tą informacją poszły dziesiątki zdjęć, które zapchały Kosmie skrzynkę mailową. Hubert znalazł odpowiedni teren. Majątek po byłym PGR został kompletnie rozkradzony, ale ziemia wokół wyglądała bajecznie. Potwierdzały to fotografie: oprócz budynków były tam niezmierzone przestrzenie łąk, żurawie, lisy i niebo o błękitach tak intensywnym, jakby przed chwilą wydostał się z tubki markowej farby. „Chyba się na to zdecydujemy” – usłyszał od przyjaciela i w efekcie udzielił mu się jego entuzjazm.

Znów zasiadł na tarasie, tym razem laptopa zmieniając na długopis i kartki papieru. Skoro wraca do domu, to podjedzie jeszcze do Żółtej Ciżemki. W zasadzie teraz, kiedy zna już sklep Matyldy, mógłby spróbować złapać ją właśnie tam. Ale ona do tej pory tego nie zaproponowała, a czuł, że bezceremonialne wtargnięcie w jej świat będzie nie na miejscu. Skorzysta więc ze starego sposobu, tym bardziej że ten szlak komunikacyjny działał bez zarzutu.

*Matyldo,*

*patrzyłaś kiedyś w oczy psu? Wiesz, ile mądrości kryją jego ślepie, zwłaszcza gdy nieco przytępi je czas? Przy mnie zawsze był pies, któremu mogłem zwierzać się do ucha. Nigdy nikt nie rozumiał mnie lepiej. Może tylko Ty masz dla mnie jeszcze większą cierpliwość i wyrozumiałość...*

*Dziękuję za każde słowo, które kreślisz do mnie, za wszystkie te linijki gwarantujące wzruszenie. Nie wiem, jak Ci się odwdzięczyć, a już kompletnie nie wiem, co przyniesie nam ta wymiana korespondencji. To dla mnie zupełnie niezrozumiała i niecodzienna sytuacja; stawiam Cię w roli psychoterapeuty, angażuję i piszę.*

*Że trudno? Hm. To nic. To nic.*

*Grunt to nadzieja.*

*Więc zamiast znaczka na ten list*

*serce naklejam4.*

*Tak pisał Gałczyński w 1947 roku. Tak czuję ja niemal wiek później. Naklejam wielkie serce na ten list jako wyraz wdzięczności. Za Twój czas i zrozumienie. Czy byłabyś skłonna rozważyć taką ewentualność, w której te kartki zastąpimy czymś więcej?*

*Kosma*

Wsadził list do koperty i zakleił ją starannie. W drodze do NTV podrzuci go Izie. Helmut zostanie w domu, i tak nie mógłby go wprowadzić do lokalu, a i w siedzibie telewizji nie byłoby co z nim zrobić. Kosma położył się przy nim na podłodze i masował mu łapy. Wielkie poduszki były chropowate i śmierdziały rozkosznie, a pies konsekwentnie podsuwał mu je i domagał się pieśczot.

– Zostawię ci włączony telewizor – powiedział Kosma, zbierając się do wyjścia. Helmut nie zareagował, podniósł tylko łeb i machnięciem ogona pożegnał swojego pana. Gdyby umiał mówić, powiedziałby: „zaczekaj”. Na żółtym pasku jednej z czołowych stacji informacyjnych w kraju ukazała się właśnie informacja: „Wybuch bomby na holenderskich Antylach. Atak terrorystyczny na wyspie Aruba. Wśród ofiar są turyści z Polski”.

Ale jego pan był już na parkingu.

*Kosma!*

*Chyba lubisz jesień i jesienne spacery z psem. Uśmiechasz się w końcu, mam wrażenie. Cieszy mnie to, nie powiem... Tylko że wierszem Ci nie odpowiem.*

*Nie czytam ich zbyt wiele na co dzień. Sięgam czasami po poezję, ale muszę się przyznać, że niezmiernie rzadko, zapewne za rzadko. Ale kiedy już ją czytam – nie jem. Nawet czekolady. Zdarza mi się tworzyć, ale któż tego nie robi, kiedy jest zakochany?*

*Wolę jednak prozę. Gdyby ktoś kiedyś zakazał mi czytania książek, wpadłabym w prawdziwą rozpacz.*

*Sama nie wiem, czemu odpisałam na Twój list... Chyba jednak przez ciekawość. Cały czas zresztą zastanawiam się, kim jesteś i dlaczego zostawiasz mi te wiadomości. Poza tym zaskoczyłeś mnie, pisząc, że jest we mnie dużo smutku. Nikt nigdy tak o mnie nie powiedział, sama też tak o sobie nigdy nie pomyślałam. Zastanowiło mnie to. Może masz rację, może nie. Nie wiem. Może nie zdawałam sobie sprawy, że potrzeba jakiejś zmiany to po prostu chęć ucieczki od smutku. A jeszcze tak niedawno wydawało mi się, że wszystko mam.*

*Lubię pisać, wiesz? Gdybym miała więcej wyobraźni, pewnie pisałabym bajki dla dzieci. Ciągłe mam w sobie za dużo dziecięcej naiwności.*

*Coraz częściej jednak łapię się na tym, że słucham czyichś słów i zastanawiam się, czy ten ktoś mówi do mnie szczerze, czy tylko to, co chcę usłyszeć. Nie lubię w sobie tego uczucia. Siedzi w małej kieszonce każdej z moich torebek. Tak, próbowałam fortelu z zakupem nowej. Nie działa. Dobrze przynajmniej, że za mocno się nie rozpycha i mieści w najmniejszej.*

*Wiesz, czego zazdroszczę pisarzom? Tego, że mogą pracować w każdym miejscu, w którym tylko zechcą, w swoim rytmie i mają tyle czasu, ile im naprawdę potrzeba. Jeśli jeszcze chodzi za nimi krok w krok wyobraźnia – świat nie jest ich w żaden sposób ograniczyć.*

*Proces tworzenia jest zresztą nie mniej fascynujący niż listy pisane ręcznie. Gdybym mogła zająć się tylko nim, już niewiele byłoby mi trzeba do szczęścia...*

*Lubię kwiecień, niezapominajki, skwery w małych miasteczkach, jesienne ogniska przed południem, podróże bez planu, lipiec i pewność, że mogę komuś ufać.*

*Lubisz to, kim jesteś, Kosma?*

*Cierpliwości – wciąż się uczę.*

*Ewentualność... rozważam.*

*Matylda*

Doskonale zdawała sobie sprawę, że ewentualności nie powinna rozważać. W listach Kosmy było coś, co powinno ją do tego skłonić, tylko że wciąż miała ochotę na nie odpisywać... Nie naruszał jej prywatności, choć teraz mógł ją znaleźć bez problemu. To dawało jej jeszcze chwilę oddechu. Rozsądek w nienagannie skrojonym garniturze trochę ją drażnił. Nie chciała myśleć za dużo. Gorące dwa dni na gorącej plaży gdzieś na Costa Brava i rozważana ewentualność wbrew pozorom miały ze sobą wiele wspólnego.

– Lewy szot foka luz! – padła komenda. – Lewy szot foka luz! Mamo! Orientuj się!  
– Matylda potrzebowała krótkiej chwili, żeby zrozumieć komendę syna. Momentami wciąż była jeszcze na małej hiszpańskiej plaży.

– Jest, lewy szot foka luz! – Roześmiała się, patrząc na poważną minę Marcela.

– Prawy szot foka wybierz! – Marcel był nadal skupiony na komendach. – Tu się

nie ma z czego śmiać, mamó! – przekrzykiwał łopot grota przerzucanego przez wiatr na drugą stronę.

– Jest, prawy szok foka, wybierz! – Marek był bardziej czujny niż matka. Znoszone szotówki doskonale spełniały swoją funkcję. Za to Marcel w roli sternika czuł się jak ryba w wodzie. Matylda patrzyła na syna z prawdziwą dumą. Łódź mocno przechyliła się na prawą burtę.

– Poluzuj talię, Marcel! – Syn Xeni prawie nie spuszczał chłopaka z oka. – Trochę dzisiaj wieje...

Usiadł wygodniej, kiedy żagiel w końcu wyszedł z łopotu. Ćwiczyli od paru dni niełatwą ósemkę sztagową. Manewr, który każdy żeglarz musiał opanować do perfekcji. Niewykluczone, że ta umiejętność pozwoli uratować kiedyś kogoś życie.

Ten dzień był ostatnim na łodzi w tym sezonie. Było słonecznie i prawie bezchmurnie. Na łądzie silny wiatr był ciągle jeszcze przyjemny, ale na jeziorze jego chłód mocno dawał się we znaki. Jeśli ktoś miał na sobie niewłaściwie dobraną garderobę, łatwo było nawet po takim krótkim rejsie o wychłodzenie organizmu i nieprzyjemne konsekwencje w postaci uciążliwej anginy. Matylda była jednak przygotowana i opatulona od stóp do głów delectowała się ostatnimi chwilami, kiedy mogła poczuć na twarzy wiatr pachnący wodorostami i trzcina. Niedalekie brzegi zaczynały się mienić wszystkimi odcieniami żółci, czerwieni i przygaszonych brązów. Co rusz łódź mijała grupki łabędzich rodzin. Młode o tej porze już niewiele różniły się upierzeniem od swoich rodziców. Ich wiek zdradzała jednak spora jeszcze liczba kremowoszarych piór i wielkość.

Matylda zrobiła sobie krótką przerwę w postaci tego kilkugodzinnego rejsu. Od kilku dni na prośbę Xeni i jej męża pomagała przy trwającym od miesiąca remoncie odziedziczonego przez Xenię siedliska. Mimo masy pracy, jaka czekała na każdego chętnego do pomocy, odczuwała czystą przyjemność z przebywania w tym miejscu. O wyjeździe do Berlina nie myślała w ogóle. Nie miała żadnej potrzeby poznania jeszcze większej aglomeracji niż stolica. Tym bardziej że Wiktor obiecał bywać w domu tak często, jak się da, a ona tak naprawdę mogła pojechać do męża, kiedy tylko miała na to ochotę. Na razie nie miała, jej apetyt na wyjątkowe chwile zaspokoił w stu procentach... Ale rozkład lotów na trasie Warszawa–Berlin znała na pamięć, tak na wszelki wypadek, gdyby nagle zgłodniała.

– Robimy zwrot! Mamó, uwaga na bom! – Syn poprawił talię i rozejrzał się na boki, czy przypadkiem nie przeoczył jakiejś innej łodzi, która mogłaby im przeszkodzić w wykonaniu manewru.

– Uważaj, przegnie nas mocno! – Witek pomógł chłopakowi przytrzymać talię. – Zaczyna wiać jak cholera, nie wiem, czy uda nam się podpłynąć jednym halsem... – Ze zmarszczonym czołem zlustrował napięte żagle i kierunek wiatru, który zaczął wyraźnie kręcić, im bliżej byli wejścia do portu, a dokładnie do węgorzewskiego kanału łączącego Mamry z przystanią jachtową.

Chłopcy po zdaniu łodzi wracali do Warszawy. Witek zostawał jeszcze dwa, trzy dni, żeby pomóc ojcu w uprzątnięciu gruzu ze starej stodoła-stajni; małżeństwo zdecydowało się przerobić ją na kilka wygodnych pokoi dla chętnych na plenery

malarskie. Matylda zapaliła się do pomysłu nie mniej niż przyjaciółka i jej mąż, tym bardziej że Xenia zaproponowała, żeby pomagała jej prowadzić kiedyś część letnich warsztatów. W ciągu dnia więc czyściły, przecierały i przemaalowywały, co się tylko dało, a wieczorami Xenia zdradzała Matyldzie wszystkie tajniki malowania na żorzetach, bawełnach i jedwabnych krepach. Berlin na całej linii przegrywał z pędzelkami i maszyną do szycia, a Matylda z każdym kolejnym pobytem w mazurskim siedlisku nabierała wiatru w żagle...

Czekała na poranny pociąg do Warszawy. Stała na zewnątrz, oparta plecami o budynek dworca w Giżycku. Przed oczami miała jedyny prawie pusty o tej porze peron, a zaraz za nim niczym niezastłonięty widok na Niegocin. Poranek był chłodny; mgła szybko zniknęła, ustępując miejsca jesiennemu słońcu. Wtuliła mocniej brodę w lekki szaliczek i patrzyła przed siebie. Owładnęło ją poczucie smutku, że nie może się z nikim podzielić tą wyjątkową chwilą. Może to tylko jesień, a może jednak Kosma miał rację?

Kiedy pociąg zatrzymał się na stacji, przez chwilę miała ochotę odwrócić się do niego tyłem i wrócić do siedliska...

Wybrała miejsce przy oknie.

– Tato... tatusiu! – Głos Michaliny oddalonej o tysiące kilometrów rwał się co chwilę i zniknął na niepokojąco długie momenty. – Nie mogę znaleźć mamy! Nie mam z nią...

Sygnal przerwanego połączenia zmroził Kosmę jeszcze bardziej. Zewsząd atakowały go informacje o ofiarach zamachu na Arubie. Polskie MSZ aktualizowało przekaz, ale wciąż nie mieli potwierdzonych personaliów ofiar. Na wyspie panował chaos, lotnisko odcięto, a media podawały coraz to nowe, niekiedy sprzeczne wiadomości.

Ogarniało go przerażające poczucie pustki. Nieustannie wybierał numery zarówno żony, jak i córki, dotychczas bez skutku. Każda taka próba sprawiała, że w oczy zaglądał mu coraz większy strach. Głos Michaliny był jak sygnał z zaświatów, ale tylko przez chwilę łudził się, że wszystko wraca do normy.

Jak to: nie może znaleźć mamy? – myślał gorączkowo, próbując jednocześnie na nowo wybrać numer córki. Zaraz jednak przerwał, przyszło mu bowiem do głowy, że ona robi pewnie dokładnie to samo. Spokojnie, nie dzieje się nic złego, powtarzał w duchu, zamknawszy oczy. Ujadanie Helmuta stało się nie do zniesienia. Pies stał pod drzwiami i patrzył na niego z wyrzutem.

– Zaraz kopnę cię w dupę! – powiedział na głos Kosma, a Helmut w odpowiedzi wyszczerzył kły. Nigdy wcześniej nie zachowywał się w ten sposób. Telefon milczał, pies wszedł na nowy poziom skowytu, a do Kosmy z wolna docierało, że jednak dzieje się coś bardzo złego.

Bomby eksplodowały w kilku miejscach Oranjestad jednocześnie. Do zamachów przyznała się Ręka Proroka, uznawana za zbrojną komórkę jednego z radykalnych ugrupowań islamskich. Nagle sto osiemdziesiąt kilometrów kwadratowych spokojnej zwykle Aruby stało się centrum świata, a w telewizyjnych i radiowych studiach zaroilo się od znawców lokalnej gospodarki czy języka papiamento, będącego mieszaniną kilku miejscowych narzeczy. Pielgrzymkę po stacjach informacyjnych odbył też jeden ze znanych muzyków kreolskiego pochodzenia. Mimo dwudziestu pięciu lat spędzonych w

Polsce wciąż miał, jak się okazało, dużo do powiedzenia o rodzinnych Antylach. Wszystko to doprowadzało Kosmę do szału, bo zasób istotnych wiadomości wcale się nie zwiększał. Kilka razy udało mu się połączyć z córką, niestety Michalina wciąż bezskutecznie oczekiwała na informację od Kaśki.

Całą trzydziestoosobową grupę Polaków zgromadzono w hotelu Bucuti, tuż przy samej plaży – co, biorąc pod uwagę lokalizację i standard czterogwiazdkowego obiektu, powinno nieco ukoić stargane nerwy urlopowiczów. Ale nie koło, bo w polskiej grupie brakowało trzech osób. Tyle Kosma dowiedział się od córki i z wiadomości telewizyjnych. Służby konsularne starały się uspokajać rodziny zaginionych, powtarzając, że to zaledwie niecała doba od ataku, a wiele osób poruszało się po mieście bez dokumentów, i że wciąż odnajdują się zaginionieni. W prowizorycznych punktach sanitarnych przebywało wielu rannych, a co najważniejsze, wśród dziewiętnastu zabitych turystów nie zidentyfikowano nikogo z Polski.

Uczepił się tej informacji. Wszystko będzie dobrze, powtarzał w myślach jak mantrę.

– Posłuchaj! – Głos Xenii w słuchawce był wyraźnie poruszony, a z każdą chwilą rozmowy nabierał błagalnego tonu. – Jeżeli jeszcze się wahasz, to może przekonam cię tym, że sfinansowałabym ci ten pobyt. A Ty po powrocie pokażesz mi po prostu, czego się nauczyłaś. Matylda... – Xenia westchnęła głośno. – Ta kobieta ma skarb w rękach i ponad czterdzieści lat doświadczenia z batikiem...

– Taka okazja może się już nigdy nie trafić – powiedziała Matylda. To samo padło w tym momencie z ust Xenii. – Tak, wiem. Nie musisz mi tego dwa razy powtarzać. Mózg mi paruje od kilku dni...

Dała znak Ewie, że dokończy rozmowę z przyjaciółką. Stała przed wejściem do sklepu. Oparła się o rozgrzaną wrześnie słońcem ścianę budynku i zapatrzyła przed siebie, nie zatrzymując wzroku na żadnym z przechodniów.

– Xenia... – Podniosła rękę w geście bezradności, jakby przyjaciółka miała go zobaczyć. – To kilkutygodniowy wyjazd...

– Lombardia to nie koniec świata, Matylda. Latają tam nawet tanie linie. – Xenia nie dała jej dojść do słowa. – Tej techniki nikt w Polsce nie uczy. Malowane przez Violę kiecki idą w Mediolanie i Paryżu za grube tysiące. Euro! – Xenia zrobiła krótką pauzę. W słuchawce słyszeć było, jak łyżeczką dzwoni o brzeg filiżanki.

– Mam czas na odpowiedź do niedzieli, tak? – Matylda odgarnęła dłonią włosy, którymi chłodny podmuch wiatru na moment zasłonił jej oczy. – Daj mi chwilę.

– Tak, wiem, mówiłaś już. – Xenia uspokoiła się nieco. – Matka i ojciec, Wiktora prawie nie ma, SenSual najlepiej hula, kiedy jesteś... Ale będziesz żałować, jak nie pojedziesz. Uwierz mi.

Ewa zapukała w szybę sklepu, sugerując błędnym wzrokiem, że potrzebuje pomocy. Po lokalu kręciły się dwie wystrojone Rosjanki, obwieszane biżuterią jak bożonarodzeniowe drzewko. Znała ten typ klienta: nie wyjdzie, dopóki czegoś nie kupi.

– Xenia... – Matylda wciągnęła powietrze. – Miej kogoś w zanadrzu. – Chwyciła za klamkę i już w środku dodała: – Zadzwoń.

– Wiktor od pięciu lat obiecuje ci Włochy. Myśl, kobieto!

– Gdybyśmy wyszarpnęły od niej tę technikę... – Matylda przepaszającym gestem pokazała choinkom, że kończy rozmowę.

– ... tylko my dwie barwiłybyśmy w kraju len w ten sposób... – dokończyła Xenia, jakby czytając Matyldzie w myślach. – No więc czekam. I nie uznaję odmowy. Pa!

Matylda dotknęła palcem czerwonej słuchawki na ekranie telefonu i wsunęła aparat do tylnej kieszeni swoich nowiutkich granatowych wranglerów. Nie znosiła marnować okazji. To była jedna z wielu rzeczy, które łączyły ją z Xenią. Ta ostatnia jednak rzadziej oglądała się za siebie. Być może dlatego to jej nazwisko było od lat dobrze znane w artystycznych środowiskach Trójmiasta i stolicy.

Sześćdziesięciosiedmioletnia Viola Mancini – Włoszka z polskimi korzeniami – prowadziła swoją maleńką pracownię niedaleko Mantui nieprzerwanie od ponad czterdziestu lat. Jej prace były już wielokrotnie wystawiane chyba we wszystkich stolicach Europy. Farby, którymi barwiła tkaniny, przygotowywała sama, a ich recepturę zdradzała tylko swoim najlepszym i najwytrwalszym uczniom. Od kilku lat malowała już tylko dla mediolańskiego butiku przy słynnej Via Montenapoleone, który szył suknie z jej barwnych batików w pojedynczych egzemplarzach. Lny i żorżety barwione farbami pani Mancini miały niepowtarzalne kolory i zachowywały niezwykłą miękkość jak na tkaniny barwione kilkakrotnie.

Malarka prowadziła warsztaty tylko raz w roku, późną jesienią, i do tego w bardzo małych grupach. Xenia czekała na ten wyjazd ponad trzy lata. Świadomość, że jej bezmyślność pozbawia ją możliwości tak wyczekiwanego wyjazdu, sprawiła, że nie mogła opanować złości również na swoją głupotę.

Złamała nogę w dwóch miejscach, próbując wejść na starą drabinę w siedlisku. Powinna była ominąć z daleka tę spróchniałą staroć, tak jak to robili wszyscy kręcący się przy skądinąd niezwykle sprawnie idącym remoncie. Teraz przez długie tygodnie musiała korzystać z pomocy innych. O urokach Lombardii mogła więc zapomnieć, ale dzięki pomocy Matyldy batik à la Violetta ciągle jeszcze był w jej zasięgu. Chciała oddać to miejsce właśnie przyjaciółce. Tylko Matylda wykorzystałaby ten miesiąc w stu procentach...

Tymczasem Matylda rozkładała kolejne komplety pościeli przed trajkoczącymi Rosjankami, myślami będąc po włoskiej stronie Alp, w małych kafejkach nad jeziorem Como i na urokliwych placykach gdzieś wśród uliczek Bergamo. We Włoszech była na krótko wiele lat temu. Zdecydowanie za krótko! Tak naprawdę spojrzała im tylko w oczy, a miała wielką ochotę dokładniej przyjrzeć się kolorom ich tęczówek.

Ale przekonanie Ewy do swojej miesięcznej nieobecności w SenSualu wydawało się niemożliwością. Zatrudnienie na ten czas kogoś niesprawdzonego w ogóle nie wchodziło w grę.

Wiktor na dźwięk słów „miesiąc w Lombardii” wypił duszkiem całą lampkę wina w wymownym milczeniu. Obiecała, że połowę października spędzi z nim w Berlinie. Pamiętała o tym. Jak i o tym, że odwlekała ten wyjazd już co najmniej dwukrotnie.

Pomyślała, że zastanowi się nad tym przy porannej kawie. Teraz została im zaledwie godzina do wyjścia na kolację do jednego z kolegów Wiktora, który w kameralnym gronie świętował swoje pięćdziesiąte urodziny i pierwszą rocznicę ślubu z



młodsza o dwadzieścia lat, energiczną dentystką. Od dłuższego czasu woził trójkę swoich pociech z pierwszego małżeństwa do gabinetu miłej pani stomatolog... Chyba niewiele dzieciaków w Warszawie i okolicach miało uzębienie w tak doskonałym stanie.

Do długiej, błękitnej, bawełnianej sukienki pasował granatowy kardigan z delikatnego kaszmiru, który przywiozła sobie kiedyś właśnie z podróży do Włoch. Zdejmując go z wieszaka w garderobie, strąciła niechcący garnitur męża, który Wiktor zakładał tylko na pogrzeby. Nie lubiła go w nim. Był doskonale skrojony, ale być może przez efekt chłodnych, głębokich szarości budził w niej tak naprawdę niczym nieuzasadniony niepokój.

Z kieszeni marynarki wypadło na podłogę eleganckie podłużne pudełko. Zawahała się lekko. W środku była delikatna bransoletka z białego złota ze szmaragdami w kształcie łezek, otoczonymi drobnymi cyrkoniami. Uśmiechnęła się do siebie. Wprawdzie rocznica ich ślubu była parę miesięcy temu, a do jej urodzin pozostawało jeszcze sporo czasu, ale nie miała nic przeciwko takim drobiazgom, szczególnie bez okazji...

Odwiesiła marynarkę, wsunąwszy pudełeczko z powrotem do kieszeni.

Przyjechali na kolację jako jedni z ostatnich. Panią domu zobaczyła dopiero po dłuższej chwili. Zanim zdążyła wypić urodzinowego szampana, dostrzegła na przegubie młodej pani doktor szmaragdowy drobiazg. Pasował idealnie do seksownej sukienki w tym samym odcieniu. Teraz dopiero Matylda przypomniała sobie, że kiedy siedzieli już w zamówionej taksówce, mąż wrócił jeszcze do domu na dłuższą chwilę. „Zapomniałem zabrać ze sobą telefonu...” – powiedział, nie patrząc w jej stronę.

– *Bon bini*, Kosma. – Głos Kaśki w słuchawce brzmiał czysto i wyraźnie, jakby stała tuż obok. Przez chwilę myślał, że się nie obudził i to mu się po prostu przyśniło, ale nie, naprawdę słyszał swoją żonę. – Wszystko w porządku, jestem z Michaliną, organizujemy nam przelot do Wenezueli i stamtąd już prosto do domu.

– Masz pojęcie... Co się stało? – Kosma wciąż nie wiedział, czy się cieszyć, czy robić Kaśce wymówki. Miał wrażenie, że przez te kilkanaście godzin postarzał się o parę lat, ale przyjął ugodowy ton. Na ewentualne pretensje przyjdzie jeszcze czas.

– Tu jest kompletny chaos, to mała karaibska wyspa i oni nie są przygotowani na takie wydarzenia. Kiedy wybuchły bomby, byłam z takim starszym małżeństwem w Arashi Beach. – Kaśka jak zwykle rzeczowo objaśniła sytuację. – Wiesz, chciałam trochę ponurkować, a w folderze napisali, że to najlepsze miejsce. Niecała godzina autem od hotelu. Wcześniej zwiedziliśmy ruiny zamku Bushiribana i kilka przydrożnych miasteczek. Są tam...

– Nie baw się teraz w przewodnika! – przerwał jej Kosma. – Mów, co się działo z tobą w czasie, kiedy ja i córka odchodziliśmy od zmysłów!

– Zatrzymano nas przy wjeździe do miasta. Tam był taki punkt, w którym gromadzili rannych. Musiałam pomóc. Przepraszam, ale byłam jedną z niewielu osób, które miały jakiegokolwiek przeszkolenie medyczne.

– Nic ci nie jest? – Kosma powoli odzyskiwał spokój.

– Byłam spokojna o Miśkę, bo miała nie wychodzić z hotelu. Nie wzięłam telefonu, ale wiedziałam, że tamten rejon nie ucierpiał. – Kaśka jakby nie słyszała pytania. – Co miałam robić? Potrzebowali pomocy...

- Już dobrze, wracacie do domu.
- Kosma?
- Tak?
- Dobrze Cię słyszeć. *Ayo!*
- Goń się! Jeszcze mi nie przeszło...

Po rozmowie z żoną zamienił jeszcze kilka słów z Michaliną i już spokojny zaczął się pakować. Pora wracać do domu, do starej dobrej robotniczej Łodzi. Nie chciał spędzać tu ani godziny dłużej. Posprzątał po sobie i psie, umył naczynia i zostawił Hubertowi kartkę na kuchennym stole. Myślni był zupełnie gdzie indziej. Jadąc do domu, słuchał Edyty Bartosiewicz; jej *Wodospady łez* teraz trafiały do niego mocniej niż zwykle.

„...nie zatrzymuj swoich łez, niech spłyną aż do końca, po same brzegi wypełniony w swoich łzach od dawna toniesz...”<sup>5</sup>

Helmut kiwał głową zupełnie jak miniaturowa maskotka na podszybiach starych fiacików. Makarski momentami łapał się na tym, że kiwa się razem z nim. Jechali w milczeniu, bo i o czym tu było gadać?

4 Konstanty Ildefons Gałczyński, *List noworoczny do ludzi z wiosek i z małych miast*.

5 Edyta Bartosiewicz, *Wodospady łez* (sł. Edyta Bartosiewicz).

## Rozdział dziesiąty

*w którym przychodzi pora na smutne listy, śpiewa Cohen, a Matylda w przelocie łapie spojrzenia Marca. To musi rodzić konsekwencje...*

Nie mogła zasnąć całą noc. Nie wiedziała, jak ma go zapytać o to, co wydawało się tak oczywiste. Była oszołomiona i tak cholernie smutno zdziwiona, że coś takiego zdarza się także jej. Wyszli wcześniej z przyjęcia – wymówiła się nagłym bólem głowy, co wyraźnie nie było na rękę Wiktorowi. Sam opróżnił jeszcze później butelkę wina, prawie do rana słuchając muzyki w salonie. Wyszła, zanim się obudził. Nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić ani teraz, ani później, kiedy siądą razem do śniadania, obiadu czy kolacji...

Była smutna. Gdyby teraz napisała list do Kosmy, dostrzegłby jej smutek w każdej linijce, w każdej literce i na każdej stronie z osobna. I co miałaby mu napisać? Że oszukał ją ktoś, komu bezgranicznie ufała? Że teraz już nigdy nic nie będzie tak jak dawniej? Nie знаła swojego męża, ale Kosmy nie znała tak naprawdę w ogóle...

Jak nigdy poczuła się bezradna, bezbronna i kompletnie zagubiona.

Siedziała w kawiarence jeszcze ponad godzinę. Nietknięta kawa zdążyła wystygnąć i zupełnie zgubić aromat.

*Kim Ty jesteś, Kosma? Czego Ci w życiu brakuje, że piszesz do obcej kobiety słowa, obok których nie można przejść obojętnie? Z czym sobie nie radzisz? Czego się boisz? Czym żyjesz? Wiesz, czego chcesz? Czego szukasz? Bo szukasz, prawda?*

*Co we mnie chcesz znaleźć?*

*Nie piszesz tych listów ot, tak sobie. Facet nie pisze takich listów do kobiety, której nie chce poznać. Wybacz – ale żaden nie zadałby sobie tyle trudu.*

*Odpisałam, bo mnie intrygujesz. Od pierwszych słów. Jeśli czujesz to samo, pomyśl, zanim nabijesz pióro.*

*Być może nie jesteś sam. Czy ona chciałaby, żebyś drżącą ręką to pióro odkręcał? To nie są tylko słowa. To zawsze może być początek...*

*Jeśli nie jesteś sam, to też niewiele zmienia, bo ja nie jestem sama. Od dwudziestu lat. Kosmos. Chociaż dziś akurat jestem sama jak nigdy przedtem.*

*Jestem mężatką, Kosma. I mamą dwóch dorosłych synów. Mogłam być mamą trzech, ale straciłam ostatnią ciążę, ratując dwuletniego syna spod kół bezmózgowca na motorze. Krawężnik był wysoki, cięża też...*

*Mój mąż jest wściekle przystojny, ocytany, inteligentny i starannie wykształcony.*

*Zawsze wie, jak się zachować, nigdy nie zgubi się w mieście, w którym jest po raz pierwszy, umie pomnażać pieniądze, nie ma wrogów. Jego prostych zębów – i nie tylko – zazdroszczą mi wszystkie znane mi kobiety, nie wyłączając mojej matki. Jest świetny w łóżku, jeździ konno, robi mi prezenty bez okazji, dobrze gotuje, lubi jazz... Ach, zapomniałabym: nieźle żegluje i potrafi odróżnić tekst Kofty od Młynarskiego.*

*Za to jego kochanka doskonale odróżnia szmaragdy od topazów. Myślę, że nie pomyli też rubinu z ametystem. Mój mąż nie trzymałby jej w takiej nieświadomości. Przynajmniej tę wiedzę chętnie z jego ust przez trzy lata.*

*To ja żyłam w nieświadomości. Myślałam, że o czystości szlachetnych kamieni opowiada tylko mnie.*

*Kamienie mam teraz pod stopami. Są nierówne, ostre, żyją swoim życiem, a moim się nie przejmują. Przesuwają się za szybko, jakby były złośliwe. Czuję ból, Kosma. Nie od kamieni. Ból, żal, gniew, strach przed odrzuceniem, strach przed starością, smutne zdziwienie, że... nie jestem najważniejsza. Upokorzenie uwydatniło moje zmarszczki i lekko wiotczącą skórę dłoni. Przez kilka lat zapach jego skóry chłonął ktoś inny.*

*Czuć w powietrzu samotność. Miesza się z zapachem liści, które leżą pod drzewem za długo.*

*Lubisz tajemnice, Kosma? Już nie ma tajemnicy. Zrób z tą wiedzą, co chcesz.*

*Jestem Matylda. Mam 45 lat i przestałam się uśmiechać. Źle mi bez uśmiechu.*

*Diamenty – jak gwiazdki z nieba. Mówią, że to najlepszy przyjaciel kobiety. Niebotyczna bzdura.*

*Pisziesz zielonym atramentem. Ładnie wygląda na białym papierze.*

*Matylda*

Przyjechała na lotnisko kilka godzin przed odprawą. W domu nie była w stanie usiedzieć. Wiktor tłumaczył się nieudolnie z wyrazem twarzy, którego nigdy jeszcze u niego nie widziała. Trochę jak u wystraszonego dzieciaka, do którego matka mówi, że wychodzi... Mieszanina strachu, niedowierzania, złości i bezradności. Nie pozwolił jej zamknąć za sobą drzwi. Czowała na plecach jego wzrok, kiedy wsiadała do windy. Udała, że nie słyszy, kiedy powiedział jej imię, już słabo. Oczywiście wyobraźni widziała, jak zwiesza głowę i przeczesuje dłonią włosy. Zawsze tak robił, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

Wrzuciła list do skrzynki na lotnisku. Samolot do Verony miał odlecieć o czasie, na miejscu powinna być jeszcze za dnia.

W głowie Kosmy nastąpiło jakby przepięcie; cały proces myślowy odbywał się po rezerwowych zwojach. W fizyce nazywa się to zmęczeniem materiału; on sam czuł się właśnie w ten sposób – wyczerpany i na jałowym biegu. Organizm zaczął się buntować i mimo że Kosma wciąż splatał kolejne dni jak solidna singerowska maszyna do szycia, to fizycznie nie dawał już rady. Tkając z nich szarą materię codzienności, zapominał, że musi znaleźć czas przede wszystkim dla siebie. Odchorować ostatnie tygodnie, jeśli nie miesiące. Telefon odzywał się z rzadka, co przyjmował z wyraźną ulgą. Nie miał sił na rozmowy z kimkolwiek. Cieszył się, że ludzie to rozumieli.

*Każdy wie że same masz kłopoty*

*Każdy wie że losem twym jest ból*

*Od krwawego krzyża na Kalwarii*

*Aż po plaże w Malibu6*

Dzisiaj nawet Maciej Zembaty zdawał się idealnie odczytywać jego nastrój. Przez dłuższą chwilę wsłuchiwał się jeszcze w mądrości zawarte przez mistrza Cohena w utworze *Everybody Knows*. Piosenkę uwielbiali zarówno radiowcy, jak i ludzie filmu – drugie życie dostała właśnie dzięki częstemu wykorzystaniu w ścieżkach dźwiękowych. Kosma mógłby na poczekaniu wymienić kilka filmów, w których znalazła się ta mroczna i inteligentna przepowiednia końca świata. Słuchał jej z winylowego krążka niczym bohater *Więcej czadu*, filmu, który obudził w nim miłość do radia.

Stare dzieje, uśmiechnął się do siebie w myślach i głębiej zapadł w fotelu. Dzisiaj nigdzie się nie rusza. Dziś świat musi poradzić sobie bez niego.

W domu był sam. Michalina z Helmutem od dwóch dni siedzieli na działce rodziców Jaromira, a Kaśka nie śpieszyła się do domu po pracy. Nie rozmawiali o tym, co się stało, Kosma czekał, aż będzie gotowa i sama da znak, że już można. Nie przepracowała jeszcze tej traumy, dlatego nie chciał naciskać. Widział, że po powrocie z Aruby była roztrzęsiona, jakby groza sytuacji docierała do niej po czasie. Czekał, był obok. Raz tylko, kilka dni po powrocie, wziął ją w kuchni, na stojąco. Bez słowa, z niemym wyrzutem, ze złością, raptownie. Nie skarżyła się, choć wiedział, że sprawia jej ból. Pchnął ją na stół, pochyliła się pokornie i tylko westchnęła, kiedy zdarł z niej majtki. Spóźniła się wtedy do pracy, a on płakał, siedząc na podłodze ze spodniami spuszczoneymi do kolan. Pies lizał mu ręce, w mieszkaniu obok ktoś rozbijał tłuczkiem mięso.

Schabowe o tej porze? – pomyślał, zbierając się z klęczek. Nawet w łódzkich loftach życie musi toczyć się dalej, niezależnie od mniejszych i większych dramatów za ścianą.

Pracownia pani Mancini znajdowała się na sporym wzgórzu za miastem. Dobre kilkanaście minut trzeba było się wspinać krętymi uliczkami na samą górę. Matylda przytomnie wzięła ze sobą niewielką, lekką walizkę. Kilka ulubionych ciuchów, baleriny i wygodne sandały. Mimo to kiedy dotarła do celu i zapukała do drzwi domu w kolorach słoneczników Van Gogha, miała skórę wilgotną od potu. Wszedłszy na patio willi przez

wielkie drzewa w morskiej zieleni, znalazła się po drugiej stronie lustra.

Siedzieli teraz w piątkę na jasnym marmurowym tarasie. Kamienną balustradę prawie w całości oplatały drobny bluszcz i jeszcze jakaś roślina z drobnymi, mocno pachnącymi białymi kwiatami, którą nieraz już zdarzyło jej się widzieć na południu. Dom od strony tarasu był zawieszony na stromej skarpie. Trzeba było się mocno wychylić przez gęstwinę zieleni, żeby zobaczyć w dole nieliczne dachy w kilku odcieniach brązów i czerwieni. Gęsta winorośl obejmowała je jak ciemnozielony pofałdowany koc z polaru... Równe rzędy krzewów ciągnęły się aż po horyzont. Z góry nie było widać, że ich gałęzie uginają się od ciężkich fioletowych kiści.

Wciąż jeszcze było ciepło, chociaż do północy brakowało ledwie godziny. Wśród dziesiątków mniejszych i większych łuszczących się donic z pelargoniami i zjawiskowymi różanecznikami paliły się grube świece uwięzione w drewnianych latarenkach. Matylda przyglądała się im, długo sącząc schłodzone prosecco, nie mogła się jednak dopatrzeć dwóch w takich samych kolorach. Była bardzo senna po niespokojnym locie, wspinaczce na wzgórze i obfitej kolacji z doskonałymi gnocchi w roli głównej. Zmęczona podróżą i osłabiona poczuciem osamotnienia, z uprzejmym uśmiechem przyglądała się Violi.

Usiane mnóstwem ciemnych plamek dłonie malarki i jej opalony dekolt z siecią głębokich zmarszczek w prezencie od południowego słońca zdradzały jej prawdziwy wiek. Jednak świeżością w uśmiechu i niezwykłą energią, która wypełniała każdy gest, oddalała się od prawdy swojej metryki o całe lata świetlne...

Jeszcze tej samej nocy miała dołączyć do nich jakaś Francuzka. Matyldzie w zasadzie było wszystko jedno, w jakiej grupie będzie pracować przez najbliższe kilka tygodni. Chciała tylko jak najszybciej wsiąknąć we wszystko, co nowe, i trzymać się tego obiema rękami, żeby świat przestał się chybotać jak dziurawy i wąski most wiszący nad przepaścią.

Viola ze swobodą i niezwykłym wdziękiem opowiadała, w jakim rytmie będą pracować, kiedy będą mogli penetrować tutejsze winnice, od czego rozpoczną zajęcia i w jakiej kolejności będą przygotowywali kolacje. Matylda na samą myśl o takich obowiązkach mocno się ożywiła, dziwiąc się jednocześnie tak niecodziennym zadaniom dla uczestników szkolenia. Ale kurs malowania połączony z kursem włoskiej kuchni u źródeł... Poprawiła się na krześle. Xenia będzie jej zazdrości!

Pani Mancini wychodziła z założenia, że nie da się oddzielić sztuki od dnia codziennego. Taki dzień wszędzie wygląda inaczej, więc ten włoski zamierzała pomóc im poznać... od kuchni. Chciała, żeby odbierali Włochy wszystkimi zmysłami, nawet wtedy, kiedy zamkną już za sobą drzwi pracowni i zmyją z dłoni ślady farb.

Matylda dorzuciła sobie do szerokiego kieliszka kilka małych kawałków arbuza i melona. Słodki sok z owoców osłabił drażniącą cierpkość wina. Tak smakowało lepiej. Podniosła się powoli i podeszła do zielonej balustrady. Zapach kwiatów mieszał się z aromatem wiatru, który nie był dużo chłodniejszy od panującej temperatury. Nie знаła tego zapachu; nie miał w sobie nic z przesyconej kurzem i spalinami woni Warszawy... Pachniał czymś nowym, czymś innym. Wino i ten ulotny posmak nieznanego wywołały delikatne drżenie serca. Dawno się tak nie czuła. Wiedziała tylko, że coś się zmienia. Że

coś musi się zmienić.

Na głośny śmiech Violi i nieco roztrzepanych bliźniaczek z Neapolu odwróciła odruchowo głowę. Jej wzrok napotkał uważne spojrzenie Marca. Zdażyła się tylko dowiedzieć, że chłopak właśnie kończy prestiżową mediolańską Accademia di Belle Arti. Zastanawiała się, jak długo studiował i czy malarstwo to jego jedyne zajęcie, bo nie wyglądał na człowieka dopiero wchodzącego w dorosłość. Zdecydowanie w gestach i dojrzała pewność siebie w spojrzeniu pozwalały sądzić, że doskonale wie, co tu robi i czego chce od życia. Był przystojny. Nawet bardzo przystojny. Wytrzymując wzrok chłopaka, podeszła do rozgadanej grupki i grzecznie pożegnała się z gospodynią i resztą towarzystwa, wymawiając się zmęczeniem po podróży. Była pewna, że Marco odprowadził ją wzrokiem do drzwi tarasu. Nie odwróciła się.

*Prasowałam ci koszule, które ona później rozpiniała... Zmieniłeś perfumy na delikatniejsze, chociaż zawsze twierdziłeś, że jesteś i zostaniesz wierny tym ode mnie. Nic nie widziałam, chociaż patrzyłam w tamtą stronę nie raz. Widziałam jej uśmiech, kiedy zbliżałeś się do niej. Wiesz, że nigdy tego nie robiłeś, kiedy nikt inny nie zajmował mnie rozmową? Czekaleś na ten moment... Myślałeś, że zbyt zaabsorbowana kimś innym, nie zwrócę na ciebie uwagi. Zwracałam, patrzyłam. Gubiąc czasami wątek, obserwowałam, jak żywo gestykulujesz, jak przeczesujesz włosy palcami i śmiejesz się głośno, patrząc jej prosto w oczy. Lubiłam Ci się przyglądać, kiedy pochylałeś głowę, słuchając uważnie, w koszuli z nonszalancko podwiniętymi rękawami i z tym swoim spojrzeniem... Wciąż mi się zdarza, że przechodzi mnie dreszcz, kiedy tak na mnie patrzysz. Trzymałeś kieliszek w zadbanych dłoniach, czasami odwracałeś się w moją stronę. Nie wiem, kto był wtedy bardziej skupiony na Tobie – ja czy ten inny ktoś. Byłam siebie pewna. Siebie i Ciebie.*

Przeczytała mail jeszcze raz. Przez moment miała wrażenie, że poczuła zapach róż, które przynosił jej często bez okazji. Lubiła żółtą odmianę candlelight; pachniały najmocniej. Pamiętała, że uwielbiała ich zapach.

Wstała i podeszła do okna. Do śniadania miała jeszcze godzinkę. Gdzieś na patio sączyła się jawańska gamelan w niezwykłym wykonaniu Lou Harrisona... Viola słuchała jej tylko rano. Grupa, z którą pracowała od tygodnia, nie mogła się przekonać do tego rodzaju muzyki, skądinąd tak nierozzerwalnie połączonej z kulturą albo wręcz z filozofią tworzenia batiku.

W winnicy u stóp wzgórza zaczynał się poranny ruch. W wielkim wazonie pyszniły się kolorami wysokie róże z ogrodu pani Mancini. Matylda zdziwiła się, że nie było wśród nich żółtych.

Podeszła do komputera i skasowała wiadomość. Zaczęła jeszcze raz.

*Jestem bezpieczna. Xenia miała rację, że to będą dobrze wydane pieniądze. Zostanę tu do końca kursu. Prosecco smakuje mi tylko z owocami i tylko z lodem. Noce są jeszcze ciepłe, towarzystwo – absorbujące, miejsce – tak jak lubię, z charakterem. Zresztą to przecież Włochy. Ty wiesz. Przypomnij ojcu o badaniach kontrolnych. Dbam o siebie. M.*

Nie zwracając uwagi na to, czy nie zrobiła jakiejś literówki, wysłała wiadomość. Zamknęła najpierw klapę swojego białego laptopa, a chwilę później drzwi pokoju, i po

kilku wąskich schodkach zeszła do pracowni. Trzeba było ją minąć, żeby dostać się na rozległy marmurowy taras. Na śniadaniu pojawiła się pierwsza. Dziś miała ochotę na coś cholernie słodkiego. Intensywny zapach kawy, który tak naprawdę wyciągnął ją z łóżka, obiecywał dobry dzień.

Po kilku żmudnych i nudnych dniach wypełnionych przygotowywaniem tkanin do batikowania mieli po raz pierwszy przenieść swój projekt na naolejowane i wylugowane kupony materiału. Matylda chciała już trzymać w rękach tradycyjny canting, poczuć na własnej skórze ciepło i zapach rozgrzanego wosku, którym przesiąknięte były pracownia i cały dom. W takich chwilach most delikatnie przestawał się chybotać...

Nie zdawała sobie sprawy, że batik rozkwitał na jawajskich dworach królewskich. Nic nie wiedziała o tym, że właśnie tam, głównie w Yogyakarcie i Surakarcie, przez wiele lat nabierał nowych znaczeń. Nie był jedynie rzemiosłem, ale przede wszystkim sztuką, która wymaga cierpliwości i wytrwałości. Jawajczycy do dziś uważają batik za jeden z najbardziej wyrafinowanych przejawów kultury duchowej. Mówią, że należy do alus – razem z teatrem cieni wayang, tańcem, starojawajską poezją i nie najłatwiejszą w odbiorze dla Europejczyka muzyką gamelan – wykwintnych sztuk, które wciąż budzą niesłabnący podziw w innych częściach świata.

– To latar putih... na jedwabnej satynie – usłyszała za sobą głos Marca.

– Niezwykła... – odpowiedziała, przyglądając się z zachwytem długiej sukni na cieniutkich ramiączkach w odcieniu bieli z domieszką indygo. – Musiała pracować nad nią tygodniami. – Jej angielski był cholernie koślawy, ale Marco najwyraźniej nieźle sobie z nim radził, bo nie czekała długo na odpowiedź.

– I piękna. Jak ty....

Matylda oderwała wzrok od manekina w rogu pracowni i odwróciła się do chłopaka. Najpierw spojrzała mu przez ramię i zobaczyła drobną brunetkę wpatrującą się w nich z napięciem. Potem skierowała wzrok na Marca i powiedziała bez uśmiechu i tym razem bez błędów językowych:

– I jak batik Sophie. Wyjątkowy, wyszukany wzór, nie sądzisz?

Ominęła go i nie patrząc na francuską narzeczoną chłopaka, wróciła do swojego szkicu. Tylko chwilę trwało, zanim uspokoiła drżenie dłoni. Z łatwością pozwoliła się wchłonąć mieszaninie drobnych kresek i kropek. Jednostajność spokojnego, precyzyjnego ruchu wyrównała oddech i pozwoliła pobiec myślom, nieograniczonym w żaden sposób ścianami pracowni...

*Nie, nie wyślę tego listu, nie obawiaj się. Boże, gdybyś znał wszystkie moje myśli, nie sądzę, że napisałbyś do mnie jeszcze kiedykolwiek. A mógłbyś napisać. Bo lubię, jak piszesz. Lubię. Szkoda, że moja rozmowa z Tobą teraz to właściwie monolog, ale jeśli nie można inaczej...*

*Nie miałam ochoty jechać do Verony. Chciałam zostać sama. Posiedzieć na jakimś obcym skwerze i pogapić się na nieznanym ludzi. Z nikim nie rozmawiać, nikogo o nic nie prosić... Iść przed siebie i pozwolić biec myślom, gdzie im się tylko spodoba. Próbowaleś tak kiedyś? Z tymi myślami? Ja pozwalam im się czasami urwać w ten sposób. Wybierają się w zaskakujące podróże. Zmieniają kierunek tak szybko, że ledwo za nimi*



*nadążam. Przebukowują bilety, zmieniają hotele, nie zagrzeją miejsca na dłużej niż mgnienie oka; przekomarzają się ze sobą, kłóćą, zmieniają temat z szybkością błyskawicy... Zagadują ludzi na ulicach, podmieniają menu w restauracji na „Proces” Kafki, wygłupiają się, robią głupie miny, żartują, żeby zaraz potem tonąć w smutku i płakać nad mlekiem, z którego rozlało się ledwie kilka kropel. Ciągłe się gubią, a potem nieoczekiwanie odnajdują w miejscach, gdzie w ogóle na nie nie czekam.*

*Ja się dziś tak szwendam po mieście; nie znam ulic, sklepów, ludzi. Jak one. Bez celu i po coś. Bo przecież coś gdzieś musi się zdarzyć. Życie nie jest próżnią, tak jak moje serce nie jest puste. Świat do Ciebie nie przyjdzie, Ty musisz się ruszyć. Ciekawe...*

*Miasto jest spokojniejsze – już niewiele widać turystów na ulicach – ale ciągle jeszcze hałaśliwe i brudne. Jak to u Włochów... Kamienice przypominają te w Łodzi albo we Wrocławiu. Są wysokie, z wielkimi oknami. Południe zdradzają okiennice w różnych odcieniach. Większość dawno nieodnawiana, w smutnych, przygaszonych odcieniach brązu i spłowiałej morskiej zieleni. Sporo łuszczących się, odrapanych. W najstarszej części miasta pod kilkusetletnimi arkadami mnóstwo małych knajpek, nieciekawych butików z bzdurami, które można kupić już wszędzie w Europie: tandetną biżuterią albo z ciuchami wszechobecnych, nudnych marek, które są w stanie bez pardonu okraść urokliwe uliczki z ich niepowtarzalnej niepowtarzalności. Czasami trafi się jakaś perłka: ręcznie robione, kolorowe ciasteczka, mały sklepik z makaronami w kolorach tęczy i w setkach kształtów albo sklep z nietuzinkową porcelaną i lustrami w bajecznych ramach... Dotykam starych murów sprzed setek lat, obcasy zapadają się między drobne kamienie równie dawno układane czyjąś ręką w esy-floresy w różnych odcieniach szarości i czerni.*

*Mógłbyś tu być. Poszwendalibyśmy się oboje. W milczeniu nawet. Albo objadalibyśmy się lodami. Lody to oni umieją robić. Jak bałagan. Genialnie.*

*Mógłbyś. Stać Cię na takie wariactwo, Kosma? Przecież wiesz, gdzie mnie znaleźć, wystarczyłoby tylko o mnie zapytać. Nie jest tajemnicą, gdzie dziś maluję. A że nie motyle i nie na jedwabiu... Mógłbyś zjeść śniadanie w Warszawie, kolację w Mantui. Świat się tak skurczył...*

*Dookoła same obce twarze, obcy kurz, głośnie, krzykliwe wymiany zdań, obce zapachy i muzyka.*

*Wierzysz, że można czuć kogoś przez mury wielkich miast? Gdybyś słyszał teraz moje myśli, nie siedziałabym sama pod tymi wielkimi zakurzonymi kasztanami z wielką galką lodów o smaku mango.*

*Nie słyszysz.*

*Chcę wracać i nie chcę. Buduję wokół siebie mur, żeby nikt nie mógł już mnie*

*zranić, i chcę go zburzyć raz na zawsze; chcę wykrzyknąć, co czuję, i boję się powiedzieć, że coś się skończyło. Boję się początku kolejnego dnia. Wolalabym się nie budzić, ale uparcie wstaję, podchodzę do okna i wyglądam.*

*W tutejszym muzeum można obejrzyć szkielety pary ludzi pochowanych na obrzeżach miasta tysiące lat temu. Zwykle chowano tu zmarłych pojedynczo. Te leżą razem, zwrócone do siebie twarzami, splecione rękami i nogami. Nie rozdzielono ich z jakiegoś powodu... Nawet kiedy nie mieli już nic do powiedzenia w sprawie swojego pochówku. Kimkolwiek byli, są razem. Nie mogłam oderwać od nich wzroku.*

*Skąd wiedziałeś, że jestem smutna, Kosma? A może po prostu wcześniej zobaczyłeś ten dzisiejszy dzień niż ja? Wiesz, co się stanie jutro?*

*Chłopak pokłócił się z dziewczyną. Cisnęła mu kwiaty w otwarte ramiona. Nie rozumiem włoskiego, ale widzę, że oboje są zaskoczeni. Ona odchodzi, nie odwraca się, on za nią nie biegnie... Zostawił mi kwiaty, połowa płatków obleciała. Powinien ją zatrzymać? Powinna się obejrzeć?*

*Mam ten sam kolor włosów co wczoraj, ten sam kolor lakieru do paznokci, na sobie moją ulubioną sukienkę, tę samą barwę tęczy i ten sam apetyt na życie. Tylko że wszystko smakuje inaczej, a ja samą siebie oglądam zza szyby. I nie do końca jestem ta sama...*

*Matylda*

Kubeczek po lodach wrzuciła do kosza; wytarła dłonie w chusteczkę zapachową i wsunęła zapisaną kartkę do koperty. Niezaklejoną zostawiła na ławce jednego z dziedzińców kompleksu pałacowego rodziny Gonzagów. Chciała wrócić do Sabionetty przed zmrokiem.

– Pomyślałaś chociaż raz, czego ja potrzebuję? Czego ja chcę? Ciągle mówiłaś tylko o tym, gdzie ty byś wyjechała, gdzie zjadłabyś kolację, przy jakiej muzyce chcesz się bawić. Spełniałem twoje zachcianki jedna po drugiej... Nawet do kina chodziliśmy na filmy, które to ty chciałaś oglądać. Pytałaś, czy ja też tego chcę?

Patrzyła mu w oczy i nie wiedziała, co odpowiedzieć. Oddychała coraz szybciej, ból szczęki od zaciśniętych mocno zębów narastał rytmicznie. Czowała, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Nie oponowałaś, kiedy proponowałam to wszystko! – Ścisnięte gardło z trudem uwalniało słowa.

– Kiedyś próbowałem! Już nawet nie pamiętasz... – Wiktor na chwilę ściszył głos i przeciągnął zbielełymi palcami po karku. – Wiedziałem, że jeśli ci się sprzeciwię, naburmuszysz się jak mała dziewczynka i zamkniesz się z tymi swoimi pędzelkami na całe dni. Nie mogłem znieść twojego milczenia, twoich łez, nie radziłem sobie z tym... Chciałem, żebyś się śmiała, żebyś patrzyła w moją stronę, Matylda. – Wziął głęboki

wdech. – Ciągle coś było nie tak, ciągle coś robiłem nie tak...

Miała przed oczami twarz męża, spiętą i zdenerwowaną, ze wzrokiem wyrażającym żal, że ona nie rozumie, o czym on mówi.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że to moja wina?!

Zbyt gwałtownym ruchem przeniosła canting znad pojemnika z nagrzanym woskiem i kilka gorących kropel spadło jej na dłoń w okolice kciuka. Syknęła z bólu; przerwała pracę na dłuższy moment, żeby uspokoić drżenie rąk. Wtedy też oparzyła dłoń. Kiedy Wiktor podszedł do niej i przytrzymał ją mocno za ramiona, aż chybocząca się filiżanka z kawą przechyliła się w końcu i poparzyła nadgarstek. Rzuciła spodkiem o lodówkę i bezsilnie opadła na podłogę przy niedomkniętej zmywarce. Spuściła głowę i zacisnęła palce, aż poczuła ból wbijających się w ciało paznokci.

– Za dużo, Matyldo! – Viola była czujna. – Za dużo wosku.

Malarka obserwowała Matyldę od dłuższego czasu – ją i jej co rusz zaciskające się usta. Tylko chwila wystarczyła, żeby zbyt późno zareagować na błąd uczennicy. Za duża plama wosku naniesiona drżącą ręką zaburzyła równy rytm wzoru na samym środku tkaniny rozpiętej na drewnianych ramach.

– Zrób sobie przerwę. Trzeba zdrapać ten fragment. – Viola ostrożnie wyjęła canting z rąk Matyldy. – Nie masz jeszcze tyle wprawy, zrobię to za ciebie.

Matylda spojrzała na malarkę błyszczącymi oczami. Przez krótką chwilę była jeszcze w ich warszawskiej kuchni i słyszała dźwięk pokruszonej porcelany spadającej na pastelową posadzkę...

Pozwoliła Violi pochylić się nad swoją pracą. Sama wyszła na taras, którego większa część zalana była jeszcze porannym słońcem. Podeszła do zielonej balustrady, oparła się o nią łokciami i przytrzymała dłońmi głowę. Łzy nie przestawały płynąć. Co się stało z ich namiętnością? Z ich miłością? Przecież ich miłość miała trwać wiecznie. Gdzie zrobiła błąd? Ona czy on? Co zgubiła? Co przeoczyli? Kiedy?

Miała wrażenie, że kręci się w kółko jak mrówka, która zgubiła drogę do mrowiska. Chciała po prostu się ruszyć, żeby zyskać choć cień pewności, że idzie w dobrym kierunku. Miała chaos w głowie, a dziwny chłód przenikał ją od stóp do głów, fala za falą. Paniczny strach, że nie wie, w którą stronę się obrócić, albo lęk przed tym, co znajdzie, jeśli na jedną z tych ścieżek wejdzie...

Celowo nie wybrała latar hitam. Uwielbiała kontrast czystej bieli z plamami intensywnych barw, dlatego zdecydowała się na bardziej pracochłonny latar purih, żeby jeszcze raz sprawdzić siebie, spróbować po raz kolejny zrobić coś skomplikowanego. Zupełnie jakby stopień trudności, jej zaangażowanie i cierpliwość miały pomóc rozpoznać miejsce, w którym utknęli ona i Wiktor.

Lata doświadczenia z jedwabiem i guttą w drobnych aplikatorach pozwalały jej pracować dużo pewniej i szybciej od młodszych uczestników kursu. Pani Mancini coraz częściej przyglądała się jej batikom, a nie jej samej. O nic nie pytała; pozwalała zostawać Matyldzie w pracowni do późnych godzin nocnych, kiedy ta po kolacji chciała jeszcze dopracować szkic, dodając szczegóły do rysunku. Wymagała tylko, żeby rano być na posterunku. Na śniadanie można się było spóźnić. Spóźnień na zajęcia artystka nie tolerowała.

Przypatrywała się uczniom długo niezauważona. Matylda pracowała jak automat. Dopóki nieznośny głód nie przypominał jej o koniecznych przerwach, potrafiła spleść się z tkaniną zupełnie jak pola winorośli z włoskim krajobrazem.

Wiezorami chciała być zmęczona – żeby nie myśleć. Żeby czasami móc po prostu szybko zasnąć.

Jednak tej nocy sen zagapił się na świt...

6 Leonard Cohen, *Everybody Knows* (sł. Leonard Cohen, Sharon Robinson, przeł. M. Zembaty).

## Rozdział jedenasty

*w którym chłopakom kielkuje pomysł na biznes, Iza stawia na swoim, z kolei Matylda otrzymuje propozycję z tych nie do odrzucenia*

– Nutrie. Będziemy hodować nutrie! – W głosie Huberta słyhać było entuzjazm. Dochodziła siódma rano i Kosma, nie do końca obudzony, momentalnie wyobraził sobie szczeropodobne zwierzaki z wielkimi, wystającymi, pomarańczowymi siekaczami. Klatki z gryzoniami pamiętał z dzieciństwa; napatrzył się na nie, spędzając wakacje u jednej z ciotek. Kołnierze z nutrii na wełnianych płaszczach były oznaką dostatku... kiedy? Jakies sto lat temu? Nawet nie przypuszczał, że dziś ktoś mógłby zajmować się pozyskiwaniem i sprzedażą takich futerek. Blee, okropieństwo. Nutrie zdecydowanie nie byłyby jego pierwszym wyborem, gdyby zastanawiał się nad jakąkolwiek hodowlą. A przecież nie zastanawiał się nad żadną. Natomiast Hubert, jak widać, miał plan. Ale żeby nutrie?

– Kurwa, nutrie? – Kosma dał wyraz swemu zwątpieniu nieco dosadniej. – Długo nad tym myślałeś?

– Żartuję, chłopie! – Teraz niemal widział, jak Hub uśmiechnął się szeroko, zadowolony z dowcipu. – Zapomnij o tym, idziemy w konie arabskie. To teraz najważniejsze: zrobimy gazetę, miesięcznik. Na kredzie, gruby, ze zdjęciami ogierów i klaczy. Z top reklamami i poradami weterynarza. I ty to wszystko zorganizujesz....

Kosma odsunął słuchawkę od ucha i patrzył na nią przez chwilę, klnąc bezgłośnie. Znał przyjaciela od lat i dobrze wiedział, że jakiegokolwiek próby wyperswadowania mu pomysłu na tym etapie spełzną na niczym. Hubert widział już nie tylko swoje stado, ale też błyszczące i pachnące farbą drukarską egzemplarze miesięcznika o koniach. Był wizjonerem i co gorsza, potrafił do swoich wizji przekonać otoczenie.

– Siedzę w temacie, poznałem ludzi ze środowiska. – Hub perorował tymczasem jak najęty. – Mam zgodę na przedruki z wydawnictw amerykańskich, dogaduję właśnie spotkanie z domem mediowym, generalnie dużo się dzieje. Na początek grafikę zrobi nam Gruby, pamiętasz go?

Kosma pamiętał głównie to, że Gruby doskonale potrafił podrabiać podpisy rodziców na zwolnieniach z zajęć WF...

– Jak się będzie nazywało to pismo? – zapytał ostrożnie.

– „Mój koń”, oczywiście!

Ta odpowiedź dowodziła tylko, że niepokój Kosmy był całkowicie zasadny. „Mój koń”, serio?!

– To... dobra nazwa. Ale może dajmy sobie kilka dni na zastanowienie. Bo wiesz, jest taka pieśń: „Mój koń, mój koń, nie mieści mi się w dłoń”! Po prostu to jeszcze przemyślmy.

– Taaa, chyba masz rację. – Niemal słyszał, jak entuzjazm Huberta topnieje. – Ale tylko jeśli chodzi o tytuł. Nie wywiniesz się z gazety, musisz mi pomóc. Ogarniaj się! – dodał, po czym rozłączył się bez pożegnania.

Praca przy nowym projekcie nie była w tej chwili dla Kosmy wymarzoną zajęciem. Wiedział, ile czasu zajmie mu organizacja nawet kilkuosobowej redakcji, a przecież przygotowanie kompletnego, wartościowego pisma wymagałoby poświęcenia się temu zadaniu w całości. No i nigdy nie siedział na koniu... Redaktor naczelny pisma o koniach arabskich, który nie miał do tej pory z nimi do czynienia?

– Taaak, to może być interesujące. I da się zrobić – powiedział do swojego odbicia w lustrze. Wstrząsnął żel do golenia, wycisnął trochę i rozsmarował go po twarzy. Goląc się, wyobrażał sobie szczecinę futrzaków z żartu przyjaciela. Zdecydowanie lepsze konie niż nutrie. Uśmiechnął się i opłukał maszynką.

– Będziemy uczyć się jazdy konno – powiedział do Helmuta, który asystował mu przy porannej toalecie.

– Ta, chyba ty... – odpowiedział pies, a przynajmniej tak się Kosmie zdawało. Niemrawe machnięcia ogonem tylko potwierdziły brak entuzjazmu.

– Wiem, nie da się z disc jockeya zrobić dżokeja, tak jak nie każdy facet z widłami to Posejdon. Ale przynajmniej spróbujemy... – zakończył Kosma, wkładając buty. Smycz w jego ręce zwiastowała spacer, co nie uszło uwadze czworonoga. Helmut poderwał się z miejsca i pokłusował do drzwi niczym młody ogier. Może z tymi końmi to nie taki zły pomysł...

Rozgniała szałwii w moździerzu na drobny pył, przysłuchując się rozmowie Violi i Marca. Dziś wprawdzie była kolej chłopaka na przygotowanie kolacji, ale tego wieczoru nie miała ochoty na samotność – ani w pracowni, ani w swoim pokoju z widokiem na winnice. Popijała małymi łykami ulotnie miodowe Recioto Sovae i przyglądała się tym dwojgu, skupionym na przygotowaniu bakłażana do spaghetti, nie rozumiejąc nic z potoku szybko wypowiedzianych po włosku słów. Elektryzujące połączenie włoskiego z *If you leave me now* Ives Mendesa gdzieś w tle pęczniało zapachem bazylii, kaparów oraz świeżo startego parmezanu i powodowało przyjemny zawrót głowy. Zupełnie nie przeszkadzało jej to delectować się melodyjnością języka na równi z wytrawnym Recioto. To był jeden z tych niewielu ostatnich momentów, kiedy czuła, że nie wszystko jest już poza nią.

Wiktor dzwonił rzadko, ale pisał codziennie. Kilka słów za ledwie, to jednak wystarczało, żeby uczucie odrzucenia i upokorzenia nieco zelżało. Nie rozmawiali ani o niej, ani o nich...

Temat był zbyt ważny, żeby chciała poruszać go, nie patrząc mu w oczy. Nie naciskał. A ona chyba bała się usłyszeć, że nie tylko on z tych ostatnich kilku lat powinien się wytłumaczyć. Oboje wracali do domu bardzo późno, wspólne kolacje stanowiły rzadkość, nawet do kina coraz częściej chodzili osobno. Wybierała plenery malarskie zamiast południowych plaż i zupełnie nie zwracała uwagi na to, że on z kolejnych delegacji wracał spóźniony czasem o kilka dni.

Zresztą nie była pewna, czy będzie chciała wracać do tego wszystkiego. Ich wspólny świat puszczał w szwach. Nie miała pojęcia, jak zabrać się do łatania tych dziur. Powinna zacząć od kupienia pewnych nici i dobrych igieł... Tymczasem stała przed pasmanterią i nie wiedziała, czy w ogóle wejść.

Co drugi dzień Wiktor przysyłał z Berlina bukiet białych frezji i pudełko jej

ulubionych kokosowych pralin w mlecznej polewie. Kwiaty ustawiała na szerokiej półce obok wanny w łazience, czekoladki zjadali w trójkę w trakcie zajęć.

Na półmetku kursu malowali pod okiem Violi już tylko we dwoje. Niedługo po rozpoczęciu zajęć jedyną siostrę Sophie potrącił samochód. Dziewczyna nie odzyskiwała przytomności, a Sophie prawie nie ruszała się ze szpitala...

Rozrywkowe bliźniaczki z Neapolu skończyły swoją edukację artystyczną dokładnie w piątym dniu kursu. Wówczas wyczerpała się również cierpliwość pani Mancini. Nocne eskapady dziewcząt do pobliskich winnic, przeciągające się do późnego popołudnia, nie kończyły się tylko na penetrowaniu piwnic ze starymi rocznikami. W obu sypialniach wesolutkich neapolitanek hałaśliwa włoska młodość nie zaprzętała sobie głowy czymś tak banalnym jak zdrowy sen między dwudziestą drugą a pierwszą w nocy czy śniadania o przyzwoitej porze. Chichoty artystek chętniej uprawiających sztukę raczej w nocy niż za dnia ustały, kiedy malarka doliczyła się któregoś ranka kilkunastu pustych butelek pod drzwiami jednej sypialni i czterech miejscowych młodzieńców z tak samo pustym wzrokiem w drugiej.

– Musisz mocniej odparować sos; piętnaście minut powinno wystarczyć. – Viola spojrzała Marcowi przez ramię. – Zjemy tutaj. – Przeszła szybko na polski, odwracając się do Matyldy. – Za mocno dziś wieje. Kurz z pola trzeszczałby nam w zębach.

Upiła łyk wina ze swojego kieliszka, jakby przepłukanie ust było już konieczne, i delikatnie przemieszała parujący makaron.

Wiktor nigdy nie narzekał na kuchnię Matyldy. Sam gotował lepiej od niej, ale nie mogła sobie teraz przypomnieć, żeby kiedykolwiek krzywił się, zjadając to, co mu podawała. Jej spaghetti bolognese wprost uwielbiał. I nigdy nie udało mu się zrobić tak dobrego sosu, o czym przypominał Matyldzie za każdym razem, kiedy zamawiali to danie w różnych miejscach z włoskim jedzeniem.

Położyła sobie przedostatnią pralinę na języku i pozwoliła, żeby czekolada rozpułyła się powoli w ustach, mieszając się rozkosznie z jedwabiście kokosowym, słodkim sercem.

– Przed kolacją smakują najlepiej, prawda? – Viola uśmiechała się, patrząc, jak Matylda wkłada do ust ostatni smakołyk. – Za to po kolacji – malarka dołała wina do wszystkich trzech kieliszków – chciałabym wam przedstawić propozycję nie do odrzucenia.

Zanim zdążyła przetłumaczyć to zdanie na włoski, Matylda poprawiła się na krześle i wzięła głębszy wdech.

– Oddychaj głęboko – powiedziała Iza, widząc niedowierzanie malujące się na twarzy Kosmy. Nie zaglądał do Cizemki od wielu tygodni i mogła tylko zgadywać, czy bardziej zaskoczyła go jej nowa fryzura, czy liczba listów, które uzbierały się od jego ostatniej wizyty.

– Usiądź wygodnie i opowiadaj, co u ciebie – dodała po chwili, kiedy już Kosma ochłonał po pierwszym szoku.

– Prawie cię nie poznałem – mruknął, taksując ją przy okazji od stóp do głowy. Widok musiał być jednak zachęcający, bo kąciki ust unosiły mu się w niemy uśmiechu. Z filigranowej brunetki, która już wcześniej powodowała u niego przyspieszenie oddechu,

Iza przeistoczyła się w rasową blondynkę. Kusa spódniczka, podkolanówki i piersi opięte firmowym fartuszkiem były ucieleśnieniem jego chłopięcych snów. Ta knajpa wie, jak zadbać o męską część klienteli, pomyślał i dodał na głos:

- Nie wiem, czy po prostu bosko wyglądasz, czy aż tak się za tobą stęskniłem...
- Chodź tu, stary dziadu, i się przytul!

Iza nie do końca rozumiała łączącą ich relację, ale lubiła jego dotyk i czuła się przy nim dobrze. A nawet błogo. Połączenie fascynacji starszym mężczyzną, jego urokiem i nieodpartym seksapilem, z drzemającą w niej potrzebą bezinteresownej uwagi sprawiały, że lubiła chwile, które spędzali razem na rozmowach, kłótniach i przekomarzaniach. Podobał jej się jako facet, miała ochotę usiąść na nim, oprzeć nogi o barowy blat i... zapomnieć się na moment. Może kiedyś, pomyślała i stanęła przed nim.

Korzystając z tego, że Ciżemka już pustoszała, Kosma objął ją wpół i przyciągnął do siebie. Czuł ciepło jej młodego ciała i sprężystość piersi. Był gotów przysiąc, że wie, o czym myśli ta smarkula, i – do kurwy nędzy – podobały mu się te rozważania. Przytulił ją i trwali tak przez chwilę; słyszała bicie jego serca, a on wdychał zapach jej włosów. Nowych, w odcieniach blondu. Żadne z nich nie chciało się oderwać. Czerpali z tej chwili, jakby ładowali wewnętrzne akumulatory, a do pożądanego stu procent było jeszcze niezmiernie daleko.

- Nie masz faceta, prawda? – zapytał szeptem.

– Może nie trafiłam na właściwego? A prac brudnych gaci byle komu nie mam zamiaru.

– Wiesz, że to, co tu robimy, jest bardziej intymne od prania bielizny? I niewytłumaczalne?

– Więc może nikomu tego nie tłumaczmy? – odpowiedziała i wolno wysunęła się z jego objęć. – Za to ty mógłbyś wytłumaczyć swoje zachowanie. Nie było cię tu... od kiedy? – dodała jeszcze, zanim zniknęła na zapleczu.

Kosma opadł na sofę i pogrążył się w myślach. Od czego zacząć? Dodatkowo czuł w kieszeni marynarki ciężar listów Matyldy. Były jak wyrzut sumienia. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że nie tyle zapomniał o tej fascynującej kobiecie, ile mimowolnie przesunął ją na inną pozycję listy priorytetów. Źle się z tym czuł, a koperty tylko utwierdzały go w poczuciu winy. W telefonie miał też kilka nieodebranych połączeń, w tym jedno od Anji i przynajmniej cztery od aspirant Lorenz. Kutas ze mnie, podsumował i ruszył na poszukiwanie Izy. Tej nocy przynajmniej jej poświęci tyle uwagi, na ile zasługiwała.

– Gdyby kręcili o nas film, mogłaby cię zagrać Bujakiewicz – powiedział, obserwując, jak Iza ściąga firmowe wdzianko i przebiera się w prywatny strój. – Jest coś niezwykle naturalnego w twoich ruchach, uroczo dziewczęcego...

– Nie ściemniaj, tylko mów, o co chodzi – przerwała mu, choć nawet takie tanie komplementy z jego ust sprawiały jej przyjemność.

– Mógłbym dziś u ciebie przenocować? Jest późno i nie będę już niczego sobie organizował.

- Mógłbyś, przecież wiesz...

Spojrzała na niego uważnie, jakby szukając podstępów w tym, co zaproponował. I



nie pomyliła się.

– Tylko zabierz tę króciutką spódniczkę, przyda nam się jeszcze... – urwał, uchylając się przed butem, którym rzuciła w niego z udawaną złością. Ze śmiechem poszedł do auta, a w ślad za nim podążyła po chwili Iza. Zrolowane getry i miniówka bez trudu zmieściły się w jej przepastnej torbie.

Zdała się na gust Marca. W końcu był Włochem i Włochami przesiąknięty był na wskroś. Nie miała ochoty gimnastykować umysłu, wykorzystując do tego kartę win w tej restauracji. Nazwy dań brzmiały dla niej obco w każdym języku. Sprawnie poruszała się tylko wśród makaronów. Równie dobrze mogła przyglądać się kartom tarota. Marco powiedział coś do smukłej brunetki swoim falującym włoskim i nie przestając się uśmiechać, oddał menu kelnerce.

– Jeśli to, co zamówił, będzie chociaż w części smakowało tak, jak brzmi – Matylda zrobiła przerwę, pozwalając przetłumaczyć Violi to zdanie dla chłopaka – niewykluczone, że poproszę o dokładkę.

– Coscia di agnello „sette colli di roma” i gelato di ricotta e miele d’acacia na deser. Zaufaj mi! – Marco patrzył rozbawiony na Matyldę, przyglądającej mu się z uniesionymi brwiami. Chciał zrobić na niej wrażenie.

Ona za to niewiele musiała, żeby robić wrażenie na nim. Czowała to od samego początku pobytu w Sabionecie. Pochlebiało jej to. Sama jednak nie próbowała go uwodzić. Przeszło jej to przez myśl, nie raz nawet. Tylko że chwilowy romans nie był jej teraz do niczego potrzebny. Jego adoracja w granicach dobrego smaku w zupełności jej wystarczała. Za chwilę się żenił, czego mogła się po nim spodziewać? Chwile przyjemności miała już za sobą – w szkole średniej, kiedy ukradkiem obściskiwala się z co przystojniejszymi kolegami z technikum energetycznego na szkolnych potańcówkach. Teraz potrzebowała dużo więcej. Był o wiele za młody, żeby wiedzieć, że dobry seks to nie wszystko, czego oczekiwała od życia.

Chłopak rozplótł palce, którymi podtrzymywał brodę, poprawił podwinięty rękaw lnianej czarnej koszuli i swobodnie oparł się o krzesło.

Siedzieli w sporej, ale dość przytulnej restauracji nad samym Canale Grande. Na romantycznym patio mogliby co prawda mieć wodę pod stopami, ale było już o tej porze zamknięte. Dlatego grę świateł z budynków po drugiej stronie kanału, łódek i gondol obserwowali zza szyb restauracji. Temperatura od kilku dni spadała systematycznie, tak w dzień, jak i w nocy. Dzisiaj termometry miały pokazać mniej niż dziesięć stopni.

Pani Mancini zaskoczyła ich podczas śniadania, oznajmiając, że czekają ich dwa dni nudnej teorii dotyczącej składu i sposobu przygotowywania palety naturalnych jawańskich barwników. Przyjęli tę wiadomość bez entuzjazmu, sącząc espresso z idealnie podgrzanych filiżanek z grubej porcelany, ale kiedy artystka dopowiedziała, że zaserwuje im tę wiedzę w weneckich kafejkach, Matyldę przestało obchodzić, czy Marco się ucieszył. Ona oczyma wyobraźni widziała już pioruny zazdrości miotane oczami Xeni, kiedy mimochodem wymysknie jej się kiedyś fragment opowieści: „Matylda w Lombardii”.

Nie mogli jeszcze ochłonać po wizycie w nigdy nieukończonych salach Palazzo Venier dei Leoni. Od paru tygodni gościły w nim zbiory jawańskiego Muzeum Batik

Danar Hadi. Matyllda wciąż jeszcze miała przed oczami zjawiskowo piękne, drobne rysunki roślin i zwierząt splecionych na tkaninach girlandami kwiatów i liści w głębokich odcieniach indygo, soga i mendkundu. Kwiaty lotosu, symbolizujące czystość i doskonałość, bażanty i czaple – długowieczność, piękno i pomyślność. Symbolika w każdym centymetrze i starannie dobrane kolory budziły zachwyt nad kunsztem artystów i ich niezwykłą wrażliwością na to, co ich otaczało.

Viola i Marco pokazywali sobie coś po drugiej stronie kanału, gestykułując zamasyście i kreśląc w powietrzu esy-floresy. Za dnia chłonęli widoki zniszczonych wilgocią i latami zaniedbań, ale wciąż pięknych fasad domów, pałaców i kościołów. Bajecznie rzeźbione wykończenia okien mieszały się Matyldzie w pamięci z zachwycającym latar hitam z początków ubiegłego wieku w odcieniach niebieskiego. Spódnice o tej barwie były żalobnym strojem jawajskich Chińczyków – opowiadał tekst napisany drobnym druczkiem w kilku językach pod gablotą z grubego szkła. Ta wiedza musnęła Matyldę chłodem, ale tylko przez moment. Indygo z kolorem jej tęczy tworzyło połączenie dużo bardziej intrygujące niż miks białego złota i szmaragdów. Pamiętał jeszcze o tym...?

– Musisz przyjechać tu wiosną. – Przez chwilę wzrok Violi zawirował ponad głową Matyldy, a ona sama posłała uśmiech w kierunku sąsiedniego stolika, przy którym siedziało trzech dobrze ubranych starszych panów. Przyglądali się malarce z niekłamanym podziwem. – Zbieramy wtedy kwiaty akcji, maczamy w słodkim cieście, smażymy i podajemy w zasypce z cukru pudru... – Przerwała na chwilę, pozwalając, żeby kelnerka naląła jej wina do kieliszka. – Gdybyś zdecydowała się przyjąć moją propozycję, mogłabym smażyć ci to zielsko nawet codziennie. Myślałaś o tym?

Matyllda pierwszą lampkę wypija duszkiem; zaczynało już jej lekko szumieć w głowie.

– Jestem zaskoczona... Zaskoczyłaś mnie, Viola. – Ważyła słowa. Przeciągnęła ręką po szyi i zatrzymała dłoń w zagłębieniu dekoltu, chwytając zawieszkę łańcuszka w kształcie małego motyla ozdobionego niewielkimi cyrkoniami. Bawiła się nią bezwiednie, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. Propozycja rzeczywiście była kusząca. Patrząc gdzieś w przestrzeń, nie mogła widzieć, że Marco czeka na jej odpowiedź w takim samym skupieniu jak Viola, jakby co najmniej to jego pracownia proponowała jej intratny kontrakt, a ona była osobą, bez której mężczyzna nie jest w stanie się obejść...

Propozycją były tkaniny na dwa komplety kostiumów dla całej obsady najnowszej musicalowej produkcji w mediolańskim Arcimboldi. Teatr płacił za wysokiej jakości jedwab, len i całą gamę barwników. Za autorski projekt wzorów proponowano dodatkowy procent. Do musicalu angażowano wprawdzie wschodzące gwiazdy włoskiej sceny operowej, ale medialny szum wokół tej produkcji, znane nazwiska choreografów, kompozytorów i scenarzystów gwarantowały jeśli nie kasowy sukces przedsięwzięcia, to na pewno dodatkowe profity z zaistnienia w świecie teatru dla wszystkich, których praca będzie finalnie widoczna na scenie. Dla Matyldy oznaczało to konkretne tysiące euro co miesiąc przez rok – bo właśnie w ciągu dwunastu miesięcy pracownia pani Mancini musiała wywiązać się z zamówienia – ale przede wszystkim możliwość zapisania swojego nazwiska w annałach światowej stolicy mody.

Musiałyby być skończoną idiotką, żeby odmówić. Viola kompletowała zespół od trzech miesięcy. Brakowało jej ostatnich dwóch osób. A w zasadzie jednej, bo Marco zdecydował się bez pytań o wysokość wynagrodzenia. Dla niego praca przy tym projekcie, z pachnącym jeszcze farbą drukarską dyplomem Accademia di Belle Arti w kieszeni, oznaczała szeroko otwarte drzwi do kariery samodzielnego projektanta.

– Potrzebuję kogoś takiego jak ty, Matyllda. – Doskonały smak jedwabistego deseru sprawił, że malarka na moment przymknęła powieki. – Twoja precyzja, pewna ręka i szybkość pracy to trzy rzeczy, które musi mieć cały mój zespół. – Nabrała na łyżeczkę sporą porcję lodów z kulką akacjowego miodu kusząco ozdabiającego czubek. – I nie ukrywam, że na to ostatnie miejsce ostrzy zęby kilka osób...

– To nobilitacja i kupa forsy, rozumiem to aż za dobrze. Deser jest znakomity. – Matyllda zerknęła znad pucharka z lodami na Marca. Odłożyła łyżeczkę na brzeg talerzyka i skrzyżowała przedramiona na stole. – Jestem strasznym łasuchem... – Zrobiła teatralną pauzę. – Jeśli będziemy pracować razem, nauczysz mnie, jak robić ten deser?

Tylko przez chwilę nad stolikiem wisiała elektryzująca cisza.

– To co? – Malarka pokazała w uśmiechu rząd zadbanych zębów. – Myślę, że możemy już zamawiać szampana?

Marco nie potrzebował tłumaczenia ostatniego zdania.

– Będiesz mistrzynią włoskich deserów! – Śmiejąc się, puścił do niej oko i przywołał kelnerkę. Nocny Canale Grande migotał, jakby robił dokładnie to samo... w euro!

Nowy dzień wpychał się do malutkiej sypialni Izy przez uchylone okno. Dziewczyna leżała, obserwując Kosmę spod przymkniętych powiek.

– Wiem, że nie śpisz – odezwał się, podchodząc do łóżka z filizankami w ręce.

– Już nie, ale tak w ogóle to spałam jak zabita.

– Ja też, dziękuję za nocleg – powiedział, sadowiąc się przy niej. Była naga, nie licząc skąpych nocnych majteczek, które tak naprawdę miały za zadanie więcej pokazać niż ukryć. Górę od pizamy odrzuciła nad ranem, kiedy Kosma przez sen przylgnął do jej piersi. Obudziła się i trwała bez ruchu, dopóki ten nie przewrócił się na drugi bok. Ostrożnie zdjęła wtedy koszulkę w nadziei, że sytuacja się powtórzy. Miała na niego ochotę. Wieczorem długo leżeli przytuleni pod wąskim pledem, zdając sobie nawzajem relację z ostatnich tygodni. Zasnęli chyba jednocześnie, zanim któreś z nich wprowadziło w czyn niewypowiedziane pragnienia.

Teraz patrzyła, jak Kosma odstawia swoją kawę i ujmuje jej stopę. Przez chwilę masował ją delikatnie, po czym zaczął całować. Drugą nogę dziewczyny oparł sobie na piersiach i na zmianę zahaczał językiem, nie zapominając o żadnym z palców. To połączenie masażu z pieszczotą spodobało jej się tak bardzo, że ułożyła się wygodniej, poprawiając poduszkę pod głową.

– Wybaczysz brak spódniczki? – zdążyła jeszcze zapytać, zanim Kosma przekreślił ją na brzuch. Wypięła się posłusznie, zsuwając jednocześnie bieliznę. Później leżeli, sącząc leniwie wystygłą kawę; Kosma obracał papierosa i przyglądał się jej zadowolony.

– Powiesz mi, o czym pisze do ciebie w tych listach? – zapytała Iza.

– Nie, nie powiem. Tak jak jej nie napiszę o tym, co wydarzyło się tutaj. Rozumiesz

to chyba?

– Rozumiem... Ale trochę jej zazdroszczę...

– Nie masz czego.

– Teraz to ty nic nie rozumiesz!

– Nie psuj tej chwili, nie będziemy mieć ich za wiele.

– Masz rację. Chodź pod prysznic, nauczę cię fajnej sztuczki! – Iza sprawnym ruchem wysunęła się spod jego ramienia i ruszyła do łazienki. W drzwiach kiwnęła na niego zachęcająco, więc bez wahania podążył za nią.

No i pokazała mu tę sztuczkę, a on obiecał sobie, że dołoży wszelkich starań, by nauka nie poszła w las. I zapewnił, że przyjdzie tu jeszcze na dodatkowe lekcje.

Będę jak pieprzony sztukmistrz z... Łodzi, śmiał się w duchu, kiedy Iza klęczała przed nim, a on zatapiał się w jej oczach. Jej język jest dużo sprawniejszy od mojego, przyznał bez żalu.

## Rozdział dwunasty

*pelen smutnych momentów. Niestety, nie da się go pominąć. A poza tym jest trochę o szynce parmeńskiej, ku uciesze Helmuta*

Na dziś miał zaplanowane spotkanie z fotografem specjalizującym się w zdjęciach koni. Hubert ustawiał je od kilku dni; szczęśliwie udało się znaleźć termin w napiętym kalendarzu mistrza obiektywu, a w zasadzie mistrzyni, bo jak się okazało, na miejscu Kosma zastał już przyjaciela w towarzystwie leciwej pani.

– Jesteśmy w komplecie – przywitał go Hubert i dokonał prezentacji. – To nasz redaktor naczelny, Kosma Makarski, mój przyjaciel i dziennikarz z wieloletnim stażem.

– Rzecka. – Kobieta wyciągnęła dłoń. – Dorota Rzecka.

– Cieszę się, że wreszcie mam okazję poznać panią osobiście. – Kosma kłamał jak z nut. – Do tej pory znałem jedynie pani prace. To dla mnie prawdziwa przyjemność. – Cmoknął starą w dłoń i uśmiechnął się ujmująco. Hubert dawał mu znaki, by nie przeginał, ale Kosma udawał, że nie widzi.

Tor na Służewcu, bo tu się spotkali, był o tej porze niemal pusty. Dorota Rzecka czuła się w tym miejscu jak u siebie i naturalnie przejęła obowiązki gospodyni. Oprowadziła ich po obiekcie, wypytując o dotychczasowe doświadczenia i plany związane z periodykiem. Hubert rozwodził się o stadninie ojca, o własnych zwierzętach. Kosma w rozmowie o hodowli koni praktycznie nie uczestniczył, ograniczając się do wydawania od czasu do czasu wiele znaczących ochów i achów. Ożywił się, kiedy omawiali pracę nad czasopismem; musiał przyznać, że Rzecka znała się na rzeczy i widać było, że siedzi w tym fachu od wielu lat. Doświadczenie i kompetencja poparta dużym talentem – to dlatego Hubert zwrócił się właśnie do niej. Kosma wiedział, że będzie mu się dobrze pracowało z tą kobietą. Pod aparycją uroczej babci krył się zawodowiec z aparatem w ręce. I co najważniejsze – na dźwięk jej nazwiska otwierały się wszystkie drzwi w koniarskim środowisku.

– Jesteśmy w domu! – krzyknął Hubert, klepiąc go w plecy, kiedy po spotkaniu siedzieli nad talerzami z parującymi pierogami. Dla Kosmy był to pierwszy porządny posiłek od wyjazdu z domu. Poprzedniego dnia przełknął tylko coś na szybko, wrzucił hot doga ze stacji benzynowej i poprawił bajgłem w Ciżemce. Na śniadanie u Izy nie starczyło już czasu, więc teraz nadrabiał zaległości, pozwalając przyjacielowi snuć głośno plany. Lubił jego entuzjazm.

– Podgoń pracę, łosiu! – usłyszał jakby w podzięce. – Jak się zepniemy, to jest szansa na utrzymanie pierwotnego terminu. Ile czasu potrzebujesz, tak na poważnie?

– Wezmę tydzień wolnego u siebie i skupię się tylko na tym. Jeśli zrobisz dobre tłumaczenia i zdejmiesz mi to z głowy, to się wyrobię. Mam już wywiad z Engelem...

– Engelem? Na chuj nam wywiad z Engelem?

– Bo jest na topie i hoduje konie, nie wiedziałeś?

– Arabcy?

– Nie, ale koń to koń, darowanemu w zęby się nie zagłada. Zresztą już zrobiłem tę rozmowę i ją wykorzystamy.

– Okej, okej, tak tylko pytam...

W takim radosnym nastroju wymieniali się jeszcze uwagami przez dobrą godzinę. Na ich oczach rodziła się rzecz absolutnie wyjątkowa. Dzięki zaangażowaniu wielkich nazwisk, autorytetów z końskiego światka, gwarantujących jakość i pewien poziom, oraz wyjątkowemu szczęściu mieli okazję powołać do życia nowe pismo, dobrze się przy tym bawić, no i może nawet sporo zarobić. Nic dziwnego, że Kosma wracał do Łodzi w radosnym nastroju. W pamięci przywoływał wszystkie piosenki z końmi w tytule, a większość z nich zdążył nawet zaśpiewać.

Gdzieś w połowie drogi stanął na papierosa; zjeżdżając na przydrożny parking, wyciągnął listy od Matyldy. Kompletnie zapomniał o tym wcześniej. A przecież miał jej tyle do opowiedzenia! Przegapił okazję do zostawienia swojego listu w Cizemce. No nic, będę musiał wrócić tam szybciej, niż zakładałem, skarcił się w duchu i otworzył pierwszą kopertę. Niemal czuł te emocje, które towarzyszyły autorce listów. A przede wszystkim jej perfumy.

Muszę się uspokoić, pomyślał, odpalając papierosa i sadowiąc się w cieniu. Czytał jeden po drugim. Pozostałą drogę do Łodzi pokonał już w kompletnej ciszy.

Było chłodno, ale słonecznie – i tylko dlatego spacer wąskimi uliczkami był całkiem przyjemny. Nie lubiła chłodu, szczególnie zaś wiatru. Mocniej ścisnęła pasek długiego, grubego kardiganu i poprawiła szal przy szyi. Jego przyjemne bawełniane ciepło otuliło odkryty dekolt. Spacerowali z daleka od głównych ulic miasta, mijając dziesiątki odrapanych mostów, co i rusz zanurzając się w labirynt uliczek tak wąskich, że rozkładając ręce, często można było dotknąć ścian po ich obu stronach. Na niewielkich skwerach, wyłaniających się zupełnie niespodziewanie zza załomów murów, toczyło się zwyczajne włoskie życie, sklezione pluskiem wody w kanałach, pokrzykiwaniami gondolierów, zapachem słodyczy i pizzy z maleńkich sklepików i restauracji.

Przez ostatnie dni oddychała głębiej. Propozycja Violi niczym obietnica nowego wyzwania zmobilizowała jej ciało do reakcji. Myśląc o pracy w nowym zespole, czuła przyjemną ekscytację; serce biło mocniej, a policzki rumienił nie tylko chłód weneckiego przedpołudnia...

Nie miała pojęcia, jak połączy swoje dotychczasowe obowiązki z pracą dla Violi. Wiedziała tylko, że chce spróbować nowych umiejętności, że jakies wyjście na pewno uda jej się znaleźć.

Pani Mancini zostawiła ją i Marca samych aż do obiadu. Wykorzystała pobyt w Wenecji, żeby zobaczyć się z przyjaciółką, która mieszkała tu od lat. Viola była gadułą, więc Matylda w zasadzie była zadowolona z chwili względnego spokoju. Przy stonowanym Marcu czuła się przyjemnie i wystarczająco bezpiecznie. Znał miasto, znał włoski, cierpliwie tłumaczył pytania, które zadawała sklepikarzom, zwracał uwagę na co ciekawsze elementy architektury, czasami pokazywał restaurację z dobrym jedzeniem albo miejsca, gdzie należy szukać regionalnych win w korzystnej cenie. Zabawnie przetykał swoje wywody włoskimi słowami i wydawał się szczęśliwy, kiedy Matylda starała się je powtarzać z odpowiednim akcentem. Ten język był miękki jak włosie

dobrych pędzli do akwareli, a jego melodyjność i koloryt kojarzyły się jej z wyszukаныmi wzorami mandali.

Dwa niewielkie schodki wychodziły aż na uliczkę. Kolejne trzy w wąskiej wnęce muru przyklejały się do niewielkich drewnianych drzwi w kolorze ciemnej butelkowej zieleni. Przy schodach i po obu stronach niezbyt dużej witryny, w wysokich starych donicach, ktoś posadził białe pelargonie. Matylda nie mogła oderwać wzroku od biżuterii wyeksponowanej na błyszczących stojakach. Jej urok połączony z pięknymi kompozycjami ze sztucznych kwiatów sprawił, że zapragnęła zerknąć w głąb butik.

Sklepik był maleńki i przypominał jej skarbcę, o których naczytała się w bajkach. Rozglądała się ciekawie dookoła, przeskakując wzrokiem z jednej witryny na drugą.

– Może zechce pani dobrać sobie coś do kompletu? – Głos drobnej starszej kobiety za ladą zmusił ją do odwrócenia się w stronę kontuaru. Zorientowała się, że pytanie zostało skierowane do niej; dłuższą chwilę zajęło jej zrozumienie tłumaczenia Marca.

– Dziś proponują dwadzieścia pięć procent rabatu na cały asortyment. Możesz dokupić coś do swojej bransoletki. – Wskazał na przegub jej ręki.

Dopiero teraz Matylda przyjrzała się dokładniej naszyjnikowi i kolczykom, które sprzedawczyni wyjmowała spod oszklonej lady. Były wykonane z tych samych koralików w szarościach i fuksji, z których zrobiona była jej bransoleta.

– Rzeczywiście... – Matylda zbliżyła dłoń do naszyjnika leżącego na aksamitnej podkładce. – Jest bardzo podobny.

– To ich wiosenna kolekcja, wyprzedają ją. – Marco tłumaczył Matyldzie przebieg rozmowy z ekspedientką. – Jeśli masz dowód zakupu, dostaniesz dodatkowe pięć procent.

– Nie, nie mam... – odpowiedziała, zaskoczona spostrzegawczością starszej pani. – To prezent od męża z podróży do Monachium, więc...

Wzruszyła ramionami w przeproszającym geście i przeniosła wzrok na błyszczący naszyjnik. Wymiana zdań między Markiem a ekspedientką nie przyciągnęła jej uwagi bardziej niż liczba zer na wiszącej metce.

– Biżuterię stąd robią w niewielu kopiach. Sprzedają ją tylko tutaj. Nie wysyłają jej nigdzie indziej. – Marco spoglądał to na Matyldę, to na sprzedawczynię, starając się mówić wolno i wyraźnie.

– Sugerujesz, że moja bransoleta została kupiona w tym sklepie? – zapytała Matylda, zacinając się przy ostatnich słowach.

– *Si, certo* – odpowiedzieli równocześnie Marco i starsza pani.

Ekspedientka wzięła ją delikatnie za przegub i z gęstwiny szklanych koralików w kształcie owali i kwadratów wyluskała niewielkie płaskie kółko z kwiatowym wzorem po jednej i kilkanaście cyframi po drugiej stronie.

– Każda sztuka ma swój numer. – Marco obserwował kobiety z ciekawością.

Patrząc na kółeczko, starsza pani wstukała coś do komputera stojącego na małym stoliku obok lady.

– Zakupu dokonano w maju – dokończył.

Matylda jeszcze nie do końca pojmowała znaczenie docierających do niej zdań, chociaż pojedyncze słowa rozumiała dokładnie. W maju Wiktor był zmuszony przedłużyć swój pobyt w Niemczech właśnie przez nieplanowany wyjazd do Monachium. Aż za

dobrze pamiętała te kilka pustych dni, bo mieli wyjechać do jakiegoś wiejskiego pensjonatu na tydzień. Stało na tym, że czekając na męża, zrobiła zaległy remanent i malowanie zaplecza. To właśnie z tego wyjazdu Wiktor przywiózł jej bransoletę.

Ona i Marco w milczeniu przyglądali się, jak ekspedientka odlicza pieniądze, a potem pakuje kolczyki do ozdobnego pudełka. Marco zerkał z boku na Matyldę, która zdawała się nie dostrzegać pieczołowitości, z jaką starsza pani owija zakup cieniutkim pergaminem w odcieniu starego złota.

Siedzieli z Michaliną nad grobem Jaromira. Często odwiedzali to miejsce, gwarantujące spokój i atmosferę zadumy. Ojciec i córka, każde pogrążone we własnych myślach. Dawniej spacerowali po ogromnym starym cmentarzu żydowskim, teraz los w niechcianym prezencie podarował im tę ławeczkę w cieniu dębu nekropolii na Mani. Minimalistyczny pomnik, świeże kwiaty, ukryty między kamieniami słoik robiący za popielniczkę. Oboje czuli się tu dobrze i oboje toczyli w myślach dyskusje. Michalina siedziała oparta o ramię ojca, ten z kolei obcasem buta bezwiednie kreślił ósemki w piachu.

Zdradza ją, ma kogoś... Przywołując w pamięci list Matyldy, Kosma starał się nie oceniać jej męża. Wiktora znał tylko z tych kilku kartek korespondencji i choć wyłaniał się z nich obraz zadufanego w sobie dupka, to wiedział, że taki wizerunek podpowiada mu jego wyobraźnia. W rzeczywistości facet może być sympatyczny i całkiem do rzeczy. A że zdradza? Kosma doskonale zdawał sobie sprawę, że jest ostatnią osobą, która mogłaby go za to osądzać. W pamięci wciąż miał przecież świeże ekscesy z Izą. Nie mógł jednak zbagatelizować kielkującego z tyłu głowy uczucia niechęci do tego faceta. Był taki przewidywalny, szampowy i mocno nijaki. Ta biżuteria dla kochanki...

– Pieprzony lowelas, jakbym czytał Dołęgę-Mostowicza – zaklął pod nosem.

– Co czytasz? – Michalina ocknęła się z letargu.

– Nic, nic, tak sobie głośno myślę.

– Jak sądzisz, gdzie on jest teraz?

– Wiktor? Nie mam pojęcia.

– Jaki Wiktor, tatku? Pytam o Jaromira!

Spojrzał na nią przepraszająco i na chwilę zapomniał o listach Matyldy.

– Epikur mówił, że śmierć dla nas nie istnieje... Bo kiedy my jesteśmy, to nie ma śmierci, a kiedy jest śmierć, to nie ma już nas. Jaromir wierzył, że śmierć nie jest końcem. Był przecież pogodny, nawet kiedy odchodził...

– Był pogodzony... – doprecyzowała cicho.

– Jak każdy buddysta. Śmierć była dla niego kolejnym etapem. Tak jakby chciał nas nauczyć, jak godnie umierać. Jakby to śmierć nadawała sens życiu.

Znów odpłynęli każde w swoją stronę. Ktoś próbował dodzwonić się do Kosmy, ale solidarnie ignorowali dźwięk telefonu. Wokół nie było nikogo, komu przeszkadzałby dochodzący z kieszeni sygnał. A oni mieli przecież ważniejsze sprawy...

Makarski obserwował, jak jego córka porządkuje nagrobek, omiata płytę i poprawia znicze. Robiła to z czułością, zupełnie jakby nakrywała do stołu przed kolacją z ukochanym. Podniósł się i ruszył w stronę ujęcia wody, dając jej szansę na pobycie choć przez chwilę samej.



– Przyniosę świeżą, do kwiatów – powiedział, wskazując na plastikową butelkę, którą przywieźli ze sobą.

– Dziękuję, jesteś kochany! – usłyszał jeszcze, zanim zniknął w bocznej alejce.

Szedł powoli, paląc po drodze papierosa i układając w głowie plan na najbliższe dni. Muszę pojechać do telewizji i dogadać się z Ryżkiem, to najważniejsze, pomyślał. NTV nosiło się z zamiarem wejścia w produkcję nowego show, które było łakomym kąskiem dla całego zespołu podwykonawców, w tym Kosmy. Duża rzecz, w korytarzach głośno było od spekulacji na temat budżetu, terminów, nazwisk celebrytów zaangażowanych do promocji. Kosmie przydałaby się ta robota, ale nie miał teraz sił na prowadzenie wojny z Radziem i jego przybocznym, Bródką. Od pamiętnego wydarzenia w pubie minęło sporo czasu, wzajemne żale przycichły i między stronami konfliktu zapanował rozejm. Panowie mocno pilnowali, by nie wchodzić sobie w drogę, a i Edmund Kiszczak sprawiedliwie obdzielał ich zadaniami. Każdy wychodził na swoje i nie warto było burzyć tego układu. Kosma wiedział jednak, że kiedy w grę wchodzi duże zlecenie na kilka sezonów i wiążące się z tym pieniądze, to dawne animozje mogą się znów odezwać. Wolał tego uniknąć, więc postanowił, że zaproponuje Rudemu zdrowy układ. Podzieli się produkcją po połowie, fruktów nie zabraknie dla nikogo. Musi to załatwić jak najszybciej, a przy okazji podrzuci list do Ciżemki. Jeszcze nie wiedział, co napisze do Matyldy, ale miał pewność, że tej sprawy też nie powinien przekładać. No i konie. To były najistotniejsze wyzwania na nadchodzące dni.

Wrócił do córki i wymienił wodę w wazonach. Michalina szybko poprawiła ustawienie kwiatów i wzięła go pod ramię.

– Wracamy? – zapytała.

– Kiedy tylko zechcesz... – odpowiedział i ruszyli w stronę głównej bramy.

– Może odwiedzimy mamę w pracy? – zapytała, kiedy wsiadali do jego zabytkowego volvo.

– Dobry pomysł, podrzucimy jej coś ciepłego. Tylko tak na jednej nodze, bo pies za długo już siedzi sam w domu.

– Jedź do Antonia na Tatrzańską, najbliżej. Weźmiemy pizzę z rukolą i prosciutto, mama uwielbia... Ja już dzwonię i zamawiam – nakazała, wyszukując jednocześnie numer w telefonie.

Pół godziny później pędzili z parującym pudełkiem w stronę apteki Kaśki. Kosma starał się nie łamać przepisów, ale dowieszenie ciepłej pizzy w godzinach szczytu, w dodatku bez opakowania termicznego, wymagało nie lada umiejętności.

Zaparkował od strony zaplecza, na sprytnie ukrytym przed klientami, niewielkim prywatnym parkingu. Z trudem zmieścił się na wolnym miejscu, uważając, by nie zarysować stojącego obok służbowego auta z logo popularnego leku na zgagę. To był ford. Każdy ford gównem, skonstatował w myślach. Rolety w oknach małego biura były opuszczone. Tym lepiej, pomyślał Kosma. Będzie niespodzianka.

– Zostań tu, zjemy na dworze, będzie przyjemniej. Pójdę po mamę – zdecydował, wysiadając z samochodu.

Później zastanawiał się, czy było to przeczucie, intuicja, jakiś ciąg zdarzeń, które wnikając w podświadomość, ułożyły się w całość? Wtedy jednak nie wiedział, że

otworzywszy cicho drzwi do zaplecza, zobaczy w głębi korytarza swoją żonę w uścisku z przedstawicielem handlowym. Wyglądało na to, że facet, hmm... skutecznie ratuje ją przed zgagą, zgodnie z hasłem na swoim samochodzie. Nie zauważyli go, więc przez chwilę w milczeniu patrzył na falujący biust Kaśki ugniatany przez Pana Zgagę. Nie był zły, był wkurwiony. Doprawiała mu rogi na zapleczu apteki, z przypadkowym kolesiem wożącym w bagażniku środki na zaparcia. To było bez klasy i tego jej nie daruje. Ale wszystko w swoim czasie.

Bezszelestnie wycofał się do wyjścia i cicho zamknął drzwi.

– Jedziemy! – rzucił do Michaliny.

– A mama?

– A mama nie wygląda, jakby miała ochotę akurat na pizzę!

– Wszystko w porządku?

– Córkó, jest kurewsko daleko od bycia w porządku! – Spojrzał na nią tak, że zrozumiała, co się stało. Może wiedziała więcej niż on? Może pomysł z przyjazdem tutaj nie był taki przypadkowy?

Ujął jej dłoń i jechali w milczeniu. Kosma szarżował, więc teraz ona ścisnęła go coraz mocniej. Pizza wystygła, ale Helmut nie robił z tego afery. Gdzieżby mógł, szynka parmeńska nie trafiała mu się codziennie...

## Rozdział trzynasty

*w którym Matyldą wstrząsają dreszcze. Mhm, macie rację, to wszystko przez Marca!*

Zapomniała zamknąć okno w swojej sypialni przed wyjazdem do Wenecji. Nocny chłód wdarł się we wszystkie zakamarki pokoju. Kiedy brała prysznic, północ już dawno minęła. W Polsce o tej porze były już pewnie pierwsze przymrozki...

Gorący strumień nie wiedzieć czemu spotęgował oblepiające ją smutek i rozżalenie. Nie była w stanie powstrzymać łez. Wreszcie została sama; nie musiała unikać niczyjego wzroku. Skuliła się w rogu prysznica i zwiesiła głowę. Nie miała siły wstać. Chciała gryźć i krzyczeć najgłośniejszym głosem, jak się da. Z wściekłości, gniewu i żalu, że to nie jej dłoń całował, czekając na zamówienie w restauracji, nie z nią spacerował po malowniczych skwerach i nie dla niej zaplanował ten wypad. Mówili o Wenecji tyle razy. Wiedział, że Matylda czeka na tę podróż z wielu względów. Odkrycie prawdziwego powodu jego późniejszego powrotu odczuła jak mocny policzek. Tylko że jak ogniem paliły ją oba, a rozdzierający ból gdzieś w środku przyprawiał o mdłości.

Wyszła spod prysznica, owinęła się w szlafrok i nie przestając płakać, wsunęła się pod kołdrę i przytuliła do poduszki. Zastygła na moment, słysząc cichy szum otwieranych drzwi. Nie podniosła głowy i nie otworzyła oczu. Wiedziała, że to Marco. Pozwoliła, żeby usiadł na brzegu łóżka i dotknął jej mokrych włosów. Przytrzymała jego dłoń i obróciła się w jego stronę, wciąż leżąc na poduszce. Nawet nie próbowała wycierać łez. Pochylił się do niej, bez słowa ujął w dłonie jej twarz i mocno pocałował w usta, przyciągając ją jednocześnie do siebie. Broniła się tylko przez moment. Bardziej myślami niż ciałem...

Była w dziwnym półśnie, opleciona nieznanym dotykiem, inną fakturą skóry, zapachem tak odmiennym od tego, który znała na co dzień. W milczeniu poddała się jego delikatnej stanowczości. Pozwoliła, żeby zsunął z niej wilgotny szlafrok, dotykając całej długości pleców i pośladków. Tylko przez chwilę pomyślała, że nie powinna. Potem wyłączyła myślenie w zaskakująco szybki dla siebie sposób. Przyłgnęła całą sobą do jego nagiego ciała, gotowa na pożądanie opływające ją coraz silniejszymi falami. Poczowała jego napięte uda, ciepło skóry i pulsującą rytmicznie męskość. Ich oddechy splotły się w jeden cichy jęk, kiedy nie przestając jej całować, wszedł w nią niespodziewanie i mocno. Nie chciała patrzeć mu w oczy; pragnęła coraz więcej i coraz silniej. Pozwalała mu poruszać się w sobie w swoim rytmie, podając mu jednocześnie swoje ciało w taki sposób, żeby mogła czuć go najintensywniej, jak to możliwe. Nie pozwalała mu oddalać się od siebie nawet na moment. Bała się, że mógłby zobaczyć wtedy jej strach, niepewność i to, że dziś jest dla niej tylko lekiem na ból, że chce czerpać z niego garściami, nie mając pewności, czy zadziała. Była zaskoczona, z jaką łatwością przyjęła go w siebie, jak łatwo oszalałe bicie serca, mdły smak zdrady i stan bezgranicznego osamotnienia mieszają się z rozkoszą orgazmów, które wstrząsały jej ciałem raz za razem...

Poprosiła, żeby wyszedł, zanim zaśnie.

– Jesteś niezwykła... – wyszeptał w jej rozrzucone na poduszce włosy.

Nie odwróciła się do niego, kiedy całował jej szyję ani wtedy, kiedy zamykał za sobą drzwi.

Drzwi skrzypnęły, kiedy wymykał się z sypialni. Spłoszony Kosma odwrócił się i przez chwilę nasłuchiwał w ciszy, sprawdzając, czy Kaśka obudziła się, kiedy wstawał z łóżka. Sprawiedliwie podzielili ogromne małżeńskie łoże, okopując się na swoich pozycjach, jakby szykowali się do bitwy. Czekali w nieznośnej pustce na ruch przeciwnika. Nie rozmawiali ze sobą, ale tym razem nie były to jedynie klasyczne ciche dni, a zapowiedź czegoś większego. Czegoś, co mogło zmienić życie ich rodziny. Na razie nie wchodzili sobie w drogę, odkładając poważną rozmowę na bliżej nieokreśloną przyszłość. A może na nigdy?

Po prawdzie Kosmie było wszystko jedno, choć w duchu przyznawał, że zdrada Kaśki była dla niego pewnym zaskoczeniem. Musiała go wtedy zauważyć, bo wyskoczyła przed budynek; w lusterku samochodowym widział, jak krzyknęła coś za nimi. Przekrzywił głowę i obserwował jej malejącą postać. Nie zatrzymał się wtedy, jej też nie miał zamiaru zatrzymywać. Postanowił, że od jutra przeniesie się do salonu.

W sfatygowanym czajniku zaparzył herbatę, małą porcję idealną na późną porę. Aromat earl grey wypełnił kuchnię i podążył za nim do salonu. Robotnicza Łódź spała w najlepsze, ale on miał jeszcze coś do zrobienia. Wcześniej, kiedy leżał, nasłuchując równego oddechu Kaśki, przeszedł go dreszcz i pomyślał o Matyldzie. Gdzie jest? Co teraz robi i o czym myśli? Przysiągłby, że przez chwilę słyszał szloch i czuł jej smutek. Doznanie było intensywne, na granicy jawy i snu. Głupieję, pomyślał, głupieję przez te baby.

*Matyldo,*

*po prostu przyjdź do mnie i porozmawiajmy. Poluzowałem krawat, podwinąłem rękawy... Jestem gotów, by stawić czoło temu, co niesiesz ze sobą. Myślałem o tym, co napisałaś o swoim mężu. Przeczytałem u Hłaski, że kobiety to kurwy, bo nawet na krzyżu nie widzą Jezusa, tylko jego czubek. Jak widać, faceci nie są lepsi... Wiem, co mówię, jak mało kto rozumiem, że ten kij ma dwa końce. I że nie nadaję się na dostawcę pizzy. Wiem też, że nic z tego nie rozumiesz. Przyjdź do mnie, a wszystko stanie się jasne. Przyjdź i podzielmy ten ból na pół. Słyszałem, jak płakałaś.*

*Kosma*

Nie, to bez sensu, pomyślał i zgniótł zapisaną kartkę. Odpalił papierosa i przez chwilę trwał w kompletnym bezruchu. Koniec z listami, pójdzie do niej, do atelier.

Helmut położył się obok, liżąc panu palce poplamione zielonym atramentem. Zmięty list dopalał się w popielniczce.

– Powinnam cię przeprosić – Podniosła się, kiedy stanął w drzwiach kuchni.

– Wcześniej wstałaś... – Marco podszedł do Matyldy i odgarnął jej włosy z czoła gestem, który spowodował, że łzy napłynęły jej do oczu. Odchyliła głowę, podążając za jego dłonią; a on w ogóle nie zamierzał rezygnować z tego krótkiego momentu poufałości,

którym wypełniła przestrzeń między nimi. Milczała długą chwilę.

– Zrobiłam to bez zastanowienia – zaczęła w końcu niepewnie. – Jestem – dwie wielkie łzy spłynęły jej po policzkach – w kawałkach, w tysiącach kawałków. Nie chciałam, żebyś...

Przyciągnął ją mocniej do siebie i trzymał w ramionach, dopóki nie zaczęła się uspokajać.

– Mężczyzna, który może spędzać z tobą każdą noc, musi być szczęściarzem – usłyszała jego wyraźny szept.

– Marco... – Uśmiechnęła się, wycierając dłonią mokre policzki.

Nie pozwolił jej dokończyć. Ciągle obejmował ją mocno w talii jedną ręką, drugą osuszał delikatną skórę pod oczami.

– To ja powinienem tobie podziękować, że tę noc zechciałaś dzielić ze mną. Nie musisz nic mówić... – Zamknął jej usta ciepłym, pachnącym kawą pocałunkiem. – Chcę tylko, żebyś pamiętała, że jesteś wyjątkowa i że nie zamierzam ci odmawiać, jeśli zechcesz to powtórzyć...

Położyła dłonie na jego ramionach i oparła czoło o tors z lekko rozpiętą koszulą. Długo wdychała świeży zapach cytrusów, spotęgowany ciepłem rozgrzanej kąpieli skóry.

– Nie powtórzy się... mamy pracować razem. – Uniosła głowę. – Violi wystarczą zawodowe napięcia, prywatnych zaoszczędźmy i sobie, i jej. I Sophie... – Zapięła mu jeden z trzech rozpiętych guzików.

– To świetna dziewczyna...

– Więc nie pozwól, żeby kiedykolwiek wypłakiwała się w rękaw męskiej koszuli innej niż twoja... – Pocałowała go w płatek ucha i długo przeczesywała mu palcami gęste włosy. – A teraz... teraz po prostu powiedz mi o Mediolanie.

Dolała mu świeżej kawy z zaparzacza.

– Opowiesz przy kolacji, *mi amore*, a teraz, dzieciaki, do roboty! Moje niewybaczalne spóźnienie nadrobimy po drodze. – Ich rozmowę niespodziewanie przerwała Viola, która podeszła właśnie do stołu i naląła do dużego kubka gorącą kawę z odrobiną mleka. – Za pięć minut w pracowni!

Z rulonami grubego papieru pod pachą, telefonem przy uchu w jednej dłoni i z kubkiem kawy w drugiej zniknęła na schodach prowadzących do atelier tak szybko, jak się pojawiła.

– Pięć minut! – jej donośny głos przebił się przez hałas składanych sztalug. Wykorzystali całe pięć, żeby delektować się ciszą, dusznym zapachem Mademoiselle Chanel, który pozostawiła po sobie, aromatem espresso i chłodem listopadowego włoskiego poranka.

Zawsze zastanawiał się, jak przebiegają takie rozmowy w tak zwanych kulturalnych domach. Takich, w których nie podnosi się głosu, a za cały komentarz wystarczają uniesione wymownie brwi. Sam tak nie potrafił; uważał, że zdrowiej jest wałnąć pięścią w stół czy po prostu szpetnie zakląć. A najlepiej jedno i drugie. To rozładowuje emocje w ekspresowym tempie i pozwala zmierzyć się z problemem już zupełnie spokojnie. Patrzył teraz na siedzącą przy stole żonę, która ani myślała uciekać wzrokiem, odwzajemniała spojrzenie i najwyraźniej nie czuła się winna.

– Nie będę cię przeproszać! – rzuciła wyzywająco. – Nie zrobiłam nic, czego ty nie robiłeś od lat.

Jeden zero dla niej. Kosma od dawna wiedział, że jego liczne wyskoki nie są dla niej tajemnicą, ale nie spodziewał się, że akurat ten argument padnie na początku kłótni. Jestem debilem, pomyślał i usiadł po drugiej stronie kuchni, obserwując jednocześnie Helmuta, który wciąż nie mógł się zdecydować, komu sekundować w tym sporze.

Ty podła szujo, zaklął Kosma pod nosem, trochę pod adresem czworonoga, trochę pod adresem żony.

– Nie chcę o tym rozmawiać, bo musiałbym wrócić do chwili, w której ujrzałem twoje cycki w rękach jakiegoś gównianego repa. Na korytarzu apteki. W środku dnia...

– Nie chciałam...

– Nie obchodzi mnie, co chciałaś! – przerwał jej Kosma. – Byłem z Michaliną, to cud, że nie zobaczyła tego co ja!

– Jest dorosła! – zaprotestowała Kaśka.

– Jak my wszyscy... Dlatego kiedy masz ochotę pieprzyć się na boku, rób to dyskretnie.

Patrzyli na siebie dłuższą chwilę, mierząc się wzrokiem, jakby oceniali siłę swoich argumentów. Pojedynek zdawał się wygrywać Kosma, który znalazł sojusznika w psie. Helmut przysunął się do niego i położył łeb na jego stopach. Przewaga Kaśki stopniała, było już jeden do jednego.

– Nie kochasz mnie, Kosma... – szepnęła z wyrzutem Kaśka.

– Sama siebie nie kochasz... – odpowiedział, głaszcząc psa za uchem. – Nie będę udawał, że nie mamy problemu. Ale za dużo we mnie teraz złości, żeby o tym dyskutować, a już na pewno, by zapomnieć.

– Powinniśmy się rozstać, nie uważasz? – Kaśka dążyła do zwarcia.

Ten kutas musiał ją nieźle nakręcić, pomyślał Kosma.

– I co, odjedziecie firmowym fordem w siną dal? – Nie mógł pohamować złośliwości. – Masz wolną rękę, ale powrotu nie będzie.

Nie odpowiedziała, choć widać było, że bije się z myślami i trzyma coś w zanadrzu. Najwidoczniej postanowiła jednak zatrzymać to na inną okazję, bo wstała, wsunęła krzesło na miejsce i wyszła bez słowa. To starcie zakończyło się remisem. Szpakowski powiedziałby, że ze wskazaniem. Helmut też był tego zdania. Posłusznie pomaszzerował za Kosmą, który zniknął w gabinecie.

Męska solidarność to nie jest puste pojęcie, przynajmniej w tym domu.

– Zaczynasz od początku lutego. Najdalej w połowie – mówiła Viola, notując coś szybko w grubym zeszycie. – Mamy do opracowania pięć wzorów w siedmiu odcieniach. Dwadzieścia metrów trzeba będzie pokryć haftem ze złotej nici – wyliczała. – Jeśli umiesz haftować – malarka spojrzała na Matyldę znad okularów, nie podnosząc głowy – przydasz się.

Milczenie Matyldy uznała za potwierdzenie i przerzuciła szybko kilka kartek.

– Cantingiem będziemy pracować w piątkę; każdy dostanie jeden wzór, żeby nabrać szybko wprawy i nie rozpraszać się jakąkolwiek zmianą w prowadzeniu linii. Olejowaniem zajmie się pracownia w Mediolanie. Jedwab dotrze tam lada moment.

Twojej ręki – malarka włożyła do ust spory kawałek mango – szkoda na uzdatnianie. W lipcu rozpoczniemy farbowanie, a pod koniec wakacji... tu, tu! – zawiesiła głos i puknęła długopisem w terminarz Marca otwarty na ostatnim dniu sierpnia – całość przejmą Vera, Benedykt i Luiza. Cieszę się, że udało ci się przebukować bilet.

Malarka z trzaskiem zamknęła brulion.

– Te dwa dni już nie zrobią różnicy. – Matylda upiła łyk chłodnej kawy.

– To wzór Marca i mój. – Pani Mancini rozwijała jeden po drugim duże zwoje papieru z rysunkami ptaków i liści na drobno zakropkowanym czarnym tuszem tle. – Twój dotrze jutro rano. Zdązysz go odebrać przed wylotem.

Cała trójka przez chwilę przyglądała się w milczeniu czarnemu szkicowi, oceniając w myślach czas, jaki będzie musiała poświęcić na kopiowanie, i stopień trudności rysunku.

– Dla ciebie zostawiłam najdrobniejszy i najbardziej precyzyjny. Zdążymy omówić jeszcze najefektywniejsze prowadzenie cantingu. Jako jedyna będziesz pracować czterolejkowym. Uśmiechasz się... – Viola oparła się na rozwiniętych szkicach.

– Nie powinnam tego mówić, ale... chyba cieszę się, że moja przyjaciółka złamała nogę. – Matylda zrobiła z ust krzywy dziubek i zmarszczyła brwi w przeproszającym uśmiechu. – Nie lubię jesieni, taką jednak mogłabym celebrować co roku.

Malarka cieniutkim czerwonym flamastrem zrobiła kilka notatek na brzegu pierwszego szkicu.

– Marco? – zwróciła się do mężczyzny, nie przerywając pisania. – Ostatnie trzy farbowania i chcę się przyjrzeć, jak sobie radzisz ze swoim wzorem. – Rozwinęła drugi rulon. – Proszysz... do roboty, chłopcze. Niech się jej ta noga dobrze zrasta. – Postawiła dużą kropkę za ostatnim słowem na większym z arkuszy, po czym odwróciła się do Matyldy. – Chcę, żeby mój dom żył, Matyldo. Kolorami, zapachami, światłem.

– Liczę, że to stałe zaproszenie do twojej kuchni?

– Nie tylko do niej, dorobię ci klucz do głównej bramy – uśmiechnęła się – a na razie...

Podawała jej małe postrzępione ściereczki i duży kubek wypełniony pędzlami. W skupieniu zajęły się czyszczeniem włosia. Matylda głęboko wciągnęła powietrze i wypuściła je wolno przez usta. Które drzwi otworzą się dla niej? I czy jest gotowa na to, żeby któreś zamknąć?

Przez ostatnie dni w zasadzie nie rozmawiali, wymieniając się komunikatami w stylu: „kup mleko” albo „zaszczep psa”. Kaśka nie wracała do tematu, a Kosma, pogrążony w pracy nad gazetą, jakby tego nie zauważał. Bez przerwy wisiał na telefonie, odpisywał na maile, poganiał współpracowników. Udało im się z Hubertem zaangażować w koński projekt fajnych ludzi. Dobrze rozdzielone zadania nie sprawiały im kłopotów i pierwszy numer miesięcznika był na ukończeniu. „Najważniejszy jest management!” – podkreślał na każdym kroku Hubert i widząc efekty działań tego małego zespołu, trudno było się z nim nie zgodzić. Każdy z dziennikarzy, choć było to dla nich zajęcie dodatkowe, wypełniał powierzone zadania z wiarą w sukces. Wszyscy pracowali w innych periodykach, a tu poświęcali swój wolny czas, ale zgodnie podkreślali, że „Mój koń” ma potencjał i żał go nie wykorzystywać. Każdy liczył też na powodzenie pisma i idące za tym

dodatkowe źródło zarobku. Nawet nazwa, mimo początkowych wątpliwości, została w ich małej redakcji uznana za trafioną marketingowo. Wszystko razem zdawało się mieć ręce i nogi.

Kosma był pod wrażeniem ich wspólnego dzieła. Zdjęcia Doroty Rzeckiej były powalające, nawet dla tych, którzy do tej pory nie ulegli urokowi koni. Z Janowa Podlaskiego pozyskali kilka dobrych, merytorycznych tekstów o hodowli, wywiad z Engelem też wyszedł całkiem sympatycznie. Całość dopełniały rozmowa z kowalem, porady weterynarza i kilka przedruków z pism zachodnich, głównie z USA i Wielkiej Brytanii. Gruby poskładał to w całość zgodnie z wymogami nowoczesnego rynku prasy. Dobry layout, dużo światła na stronach i żywe kolory sprawiały, że „Mój koń” przyciągał wzrok. Pismo prezentowało się znakomicie, niedługo będą mogli projekt pokazać ludziom z branży.

Od wczoraj Kosma zaczytywał próbny wydruk i nanosił ostatnie poprawki. Hubert umówił już kilka spotkań, w tym jedno w domu mediowym, który wstępnie wyraził zainteresowanie sprzedażą ich powierzchni reklamowej. Pozostało domówić szczegóły. Makarski cieszył się z wyjazdu do Warszawy z jeszcze jednego powodu. Tak jak postanowił wcześniej, zamierzał spotkać się z Matyldą. Miał jej dużo do powiedzenia, a przypuszczał, że i ona zechce mu opowiedzieć kilka historii. Takich, o których trudno pisać w listach. Od rana był podekscytowany. Wyjazd zaplanował na dziesiątą, aby spokojnie dotrzeć w okolicach południa i zdążyć obgadać z Hubertem ostatnie szczegóły. Wszystko mieli już poustalane, ale wzajemne dodanie sobie animuszu z pewnością się przyda.

– Kim jesteś? Jesteś zwycięzcą! – powtórzył zasłyszane od Huberta zdanie z jakiegoś szkolenia motywacyjnego i poprawiając krawat, wyszedł na parking. W ciemnym garniturze wyglądał po prostu dobrze, a delikatne perfumy sprawiały, że czuł się świeżo i pewnie.

– Jestem pieprzonym zwycięzcą – powiedział na głos, odpalając silnik.

– Łosiu, to spotkanie biznesowe, nie schadzka – powiedział dwie godziny później Hubert, witając go w drzwiach. – A może o czymś nie wiem?

– Nie interesuj się, bo kociej mordy dostaniesz. Gotowy? – Kosma wymierzył przyjacielowi szturchańca.

– Wchodź, koszula mi się prasuje...

Tak naprawdę koszulę prasowała Agata, którą Kosma przywitał całusem w policzek i pytaniem o ich miejscówkę, odkrytą na Mazurach.

– Tam jest pięknie, przyjeźdź, to zobaczysz... – kusila, doprasowując zgnieciony przy rękawie materiał. Oddała gotową koszulę mężowi i przysiadła się do gościa. – Jest tam jeszcze dość surowo, urządzenie się potrwa pewnie latami. Ale wszystko wokół, woda, lasy... To najlepsza rekompensata za niewygody.

– Przyjadę, niech tylko uspokoi się sytuacja z gazetą.

– Dawno nie widziałam Kasi, wzięłbyś dziewczyny na kilka dni – zaproponowała.

– Możemy iść! – Hubert wyszedł z garderoby, nieświadomie ratując Kosmę przed koniecznością wymyślania kłamstw. Wspólny wyjazd nie był teraz czymś, o czym by marzył.



- Będę pamiętał, pa! – rzucił w stronę Agaty i zerwał się z sofy. W pośpiechu wybiegł za znikającym w korytarzu przyjacielem.
- Powodzenia, chłopcy! – usłyszał jeszcze, zanim Hubert zatrzasnął za nimi drzwi.

## Rozdział czternasty

*w którym jak to w życiu – raz na wozie, raz... w nawozie*

Spotkania toczyły się nad wyraz sprawnie. To jedyna rzecz, jaką mogli się pochwalić, siedząc kilka godzin później w Żółtej Cizemce, do której wpadli przekąsić coś na szybko. Kosma zamówił im po bajglu z pieczoną wołowiną. Czekali teraz na zamówienie, obserwując ruch przy sąsiednich stolikach.

– I co o tym myślisz? – zapytał Hubert, wyjmując z torby duży notatnik. Zanościło się na poważną rozmowę. Nic dziwnego, spodziewali się lepszych efektów rekonesansu, a tak naprawdę załatwili niewiele. Dom mediowy wahał się z decyzją o podjęciu współpracy, a przedstawiciel francuskiego producenta galanterii skórzanej, z którym chcieli nawiązać współpracę, nie wydawał się przekonany do ich pomysłu i tłumaczył się brakiem środków w budżecie. Efekt był taki, że załatwili oba spotkania błyskawicznie i teraz siedzieli, zastanawiając się, co dalej. To było w zasadzie zmartwienie Huberta, Kosma ze swojego zadania wywiązał się bez zarzutów. Ukończone pismo czekało tylko na zielone światło, gotowe, by zawojować rynek. Potrzebne były jeszcze reklamy, żeby interes się opłacał.

– Drażnią się z nami, chcą ugrać na prowizji – uspokajał Huberta. – Jestem przekonany, że odezwą się jeszcze w tym tygodniu. Będą dla nas pracować, zobaczysz...

– Oby. A widziałeś tego Ludovica? – zapytał Hubert, naśladowując wymowę Francuza. – Pieprzony żabojad!

– Mamy inne opcje, spokojnie. Jak się w centrali dowiedzą, że olał taki potencjał, to dostanie po dupie. – Kosma odebrał zamówione przekąski i z zadowoleniem otaksował idealnie wysmażone mięso. – Sam do nas wróci, poczekaj... A teraz jemy!

Uważając, by nie pochlapać krawata tłuszczem, wbił zęby w bajgla i odgryzł solidną porcję. Hubert nie pozostawał w tyle, więc przez chwilę jedli w milczeniu, rozkoszując się smakiem. Sos, mięso, chrupiące warzywa i wypieczona bułka były warte swojej ceny. Kosma żałował, że wybrał wersję bez cebuli, ale w planie miał jeszcze wizytę w SenSualu. Nie chciał atakować Matyldy wonią przetrawionej dymki, przynajmniej nie na pierwszym spotkaniu. Hubert jadł i jednocześnie pisał coś w notatniku. Skończył bajgla, spojrzął na zegarek i podniósł się z miejsca.

– Mam pomysła, wpadnę jeszcze w jedno miejsce. Długo tu posiedzisz?

– Nie, chcę załatwić coś przy okazji – odpowiedział Kosma.

– Okej, to wezmę taksówkę albo zadzwonię po Agatę.

– Co wymyśliłeś?

– Wszystko w swoim czasie, ale... – Hubert mrugnął porozumiewawczo i zakończył cytatem z kabaretu: – „Będzie pani zadowolona!”.

– Wracam dziś do Łodzi, dzwoniemy się pod wieczór.

– Trzymaj się! – rzucił Hubert i już go nie było.

Kosma dojadł ze smakiem, przy okazji zauważając, że przyjaciel jak zwykle

pozostawił mu do uregulowania rachunek. „Łoś, po prostu łoś” – mruknął do siebie, zapłacił i ruszył do toalety. Chwilę przeglądał się w lustrze, poprawiając krawat. Może być, uznał, jestem gotowy na wizytę w SenSualu!

Rozpadało się, więc przebiegł krótki odcinek z samochodu wprost pod wejście do pracowni Matyldy, rozchlapując płytkie jeszcze kałuże. Zaniepokoił go wygaszony neon. SenSual nie pulsował światłem jak przy poprzedniej wizycie. Solidna krata broniła wejścia do środka, a na drzwiach smętnie powiewała kartka z napisem „Salon nieczynny z powodu urlopu”.

– Motyla noga! – zaklął głośno, wzbudzając uśmiech na twarzy przechodzącej obok nastolatki. Nawet jej nie zauważył, próbując zajrzeć do środka. Zdawało mu się, że wewnątrz sklepu dostrzegł jakąś postać. Zastukał energicznie i przez chwilę czekał na reakcję.

Do szyby wystawowej podeszła kobieta. Rozpoznał ekspedientkę, która wtedy sprzedała mu obraz. Trudno było nie pamiętać jej wściekle rudych włosów.

– W czym mogę pomóc? – zapytała na migi.

– Muszę się widzieć z szefową! – krzyknął Kosma.

– Niestety, nie ma jej w kraju – odpowiedziała, uchyliwszy drzwi na tyle, na ile pozwalała krata. – Jest we Włoszech, nie wróci przed końcem miesiąca.

– To jeszcze dwa tygodnie... – Kosmie wyraźnie zrzędała mina.

– Właśnie tak – potwierdziła ruda. – I mam zamiar spędzić je w miłym miejscu. Urlop! Zamknęłyśmy pracownię na ten czas, byłam dziś ostatni dzień, cud, że pan mnie jeszcze zastał.

Kosma nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Taki obrót spraw mocno komplikował jego plany. Mimo to uśmiechnął się do kobiety za kratą.

– Udanego wypoczynku!

– Może coś przekazać? – Kobieta wyraźnie chciała pomóc. – Pamiętam pana, to pan kupił ulubiony obraz Matyldy! Proszę – wręczyła mu kartonik – to jest firmowa wizytówka z adresem poczty, szefowa zagląda tam regularnie, lubi być na bieżąco. Jeśli to coś pilnego, proszę pisać.

– Dziękuję, sam nie wiem. Może przyjdę tu innym razem.

Kosma uklonił się i ruszył do auta. Nic dziś nie szło po jego myśli. Co ona wymyśliła?

– Włosi przepadają za koniną, a my eksportujemy tam konie! – Głos Huberta w słuchawce zdradzał, że przyjaciel jest wyraźnie podekscytowany. – I teraz, rozumiesz, trzeba o tym napisać.

– Ale po co? – Kosma był zmęczony po całym dniu niepowodzeń, jednak na hasło „Włochy” zapaliła mu się w głowie czerwona lampka.

– Po co, po co... Dla pieniędzy! – Hubert myślał szybciej, niż mówił.

– Musisz mówić jaśniej, bo nie nadążam.

– Chłopaku, Polska eksportuje do słonecznej Italii, do której ty się zaraz wybierzesz, kilkanaście tysięcy sztuk koni rocznie. Konina to tam towar luksusowy. Żrą te konie na potęgę. To rarytas, podają je dzieciom i seniorom, kumasz? Już to widzę, fajne materiały z producentem wędlin, współpraca ministerstw, włoski ambasador, jakaś

szczęśliwa włoska staruszka wołająca: *Cavalli polacchi sono super!*

– Mam jechać do Włoch? – Kosma z całego wywodu załapał tylko ten komunikat.  
– Kiedy?

– Nie wiem, pewnie na biegu. Mam pomysł na wyjęcie potrzebnej nam kasy na start. Słuchasz?

– Słucham, słucham...

– Wiesz, że jest coś takiego jak Fundusz Promocji Koniny? Rządowe pieniądze, które nam pomogą. Jutro jadę do Białegostoku w tej sprawie, ale jestem już po wstępnych rozmowach i sprawa wygląda obiecująco. Spotkałem się z takim znajomkiem z ministerstwa, który jest mi winien przysługę. I kocha się w Agacie, więc wiesz...

– No tak, to wiele wyjaśnia...

– Na razie wiem tyle, że chodzi o konie zimnokrwiste, największe hodowle są w Podlaskiem i na Mazurach. Jedne są typu sokólskiego, a te drugie sztumskiego. Kurwa, chłopie, ja chyba odstawię te araby i zajmę się hodowlą koni jadalnych...

– Jadalnych? Czy ty siebie słyszysz?

– Nie łap mnie za słówka, Hubercik właśnie wymyślił, jak sfinansować nam to wszystko. Podczepimy się pod promocję polskiego mięsa. Pokażemy to jako ważny element gospodarki rolnej naszego kraju... – Hubert nakręcał się coraz bardziej.

– Trochę mi się to kłóci z ogólnym wymiarem tego pisma. Jak chcesz to pogodzić? Pół o pięknych arabach, pół o transportach na rzeź?

– Nie dramatyzuj! Chodzi o to, żeby nie ulegać ekologicznemu terrorowi. I żeby przedstawić to w miarę obiektywnie.

– Nie ma czegoś takiego jak „w miarę obiektywnie”. Nie możesz być w miarę w ciąży...

– Ale mogę być w miarę na ciebie wkurwiony? Mogę? – dopytywał Hubert, słysząc opór przyjaciela.

– Hub, to twoje pismo, zrobimy, jak uważasz. Mówię tylko, że to trochę tak, jakbyś w KFC prowadził pogadanki o kur...

– Rozumiem! – Hubert przerwał mu w pół słowa. – Rozumiem, ale jestem pewien, że można to jakoś zrobić z klasą. I z kasą. A bez niej nie mamy nic i jesteśmy w czarnej dupie. Zresztą ty nawet nie lubisz koni.

– To kiedy jedziemy?

– Najpierw ja, do Białegostoku. Ale powoli pakuj walizkę i sprawdź pogodę na Półwyspie Apenińskim! – odpowiedział Hubert, kończąc rozmowę.

Jakbym miał mało zmartwień, pomyślał Kosma, dopalając papierosa na tarasie. Michaliny nie było, Kaśka ugrzęzła w łazience, a Helmut głośno chrapał przez sen. Czemu moje życie nie jest takie proste?

Zaanektowała pokój na parterze, tuż obok biblioteki. Trzeba było ją minąć, żeby dostać się do kuchni i pozostałej części domu.

Od Sylwestra, czyli nieco od ponad tygodnia, nie ruszała się z siedliska dalej niż do sklepu spożywczego. Nie były to wprawdzie jej warszawskie delikatesy ani odległość, która pozwalała zrobić zakupy w kapciach i dresie, jednak ona i Xenia nie zawsze korzystały z samochodu, żeby dostać się do miasteczka.

Z pokoju miała swoje prywatne wyjście do ogrodu, teraz z jednej strony zasypane ciężkim śniegiem, z drugiej uszczelnione przy samej podłodze starym kocem. W tym sezonie musieli jakoś poradzić sobie z nieszczelnymi drzwiami i oknami. Konkretny mróz trzymał nieprzerwanie drugi tydzień.

Grudzień minął Matyldzie jak sen jaki złoty. Nie znosiła przedświątecznej gorączki i zakupowego szaleństwa, które przeszkadzały jej na każdym kroku. Rzekomo nie tylko jej, ale tych podobnie myślących nie mogła się jakoś dopatrzeć ani w tłumach na bazarach i w centrach handlowych, ani w księgarniach. Miała kilka swoich ulubionych na Nowym Świecie albo starej Pradze. Takich, gdzie oprócz książek nie sprzedawano żadnych pluszaków, kubków ani czekolady. Przeszkadzało jej tylko to, że zastanawiać się nad wyborem musiała na stojąco. Dziwiła się, że nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, żeby w takich miejscach umieścić wygodne kanapy, tak jak w salonach ślubnych, sklepach obuwniczych albo nowoczesnych kafejkach z domowym ciastem.

Przez moment serce zabiło jej mocniej, kiedy wyobraźnia wygenerowała wyraźny obraz okien Żółtej Ciżemki, a zapach kawy, którą zaparzyła przed chwilą, przywołał wspomnienie listów... Tak. Było jej żal, że nie było ich więcej.

Wiedziała od Ewy, że jej szukał. Pobiegła nawet do Ciżemki dwa razy. Nic tam dla niej nie zostawił. Ani tam, ani w SenSualu. W pierwszym odruchu chciała mu nawet napisać, że czeka, chociaż kompletnie nie wie dlaczego. Tylko co on by sobie o niej pomyślał? Zdesperowana, zdradzana amatorka czereśni grubo po czterdziestce...

Odkręcała i zakręcała pióro, zanim nie wystygła pierwsza, a potem druga kawa. Nawet w Wigilię została w sklepie dłużej niż zwykle, zwolniwszy Ewę z posterunku tego dnia. Amatorów motylej urody było jednak jak na lekarstwo. Ten jeden na pewno robił prezenty gwiazdkowe gdzie indziej.

Dla siebie wybrała *Listy na wyczerpanym papierze*. Dziś tylko po nie zamierzała sięgnąć.

Obowiązkami w siedlisku podzieliła się z Xenią w niepisany sposób. Matylda wolała zostawać w domu i gotować; Xeni nigdy nie nudziły się żadne zakupy, a obecność Grzesia przy żonie była w zasadzie bezdyskusyjna. Matylda więc w pewnym sensie czuła się jak na wakacjach – pichcić lubiła zawsze, a malowanie sprawiało jej niesłabnącą przyjemność niezależnie od tego, ile czasu spędzała z pędzlami w rękę.

Kiedy słodziła gorącą kawę, piknął esemes. Kapuśniak na wędzonym boczkę czuć było w całym domu, powietrze w kuchni rozgrzewało aromatem gotowej pieczeni w majeranku i rozmarynie. Ostrożnie dołożyła do kominka, żeby nie poparzyć rąk. Marcel dawał znać matce, że dowiózł dziadków bezpiecznie na Sadybę.

Pan Radecki był bardziej ciekaw, jak córka urządziła się na Mazurach. Matce pomysł Matyldy, żeby zlecenie mediolańskiej pracowni realizować w mazurskiej głuszy, z daleka od apteki, Biedronki i komunikacji miejskiej, ciągle jeszcze wydawał się niepoważny i kompletnie nieprzemyślany. O ile ojcu podobał się sposób, w jaki córka przeorganizowała pracownię starego malarza pod swoje potrzeby, z ciekawością oglądał tkaniny oraz narzędzia i pytał o wszystkie szczegóły projektu, o tyle pani Radecka uporczywie wracała do według niej zostawionego na pastwę losu sklepu i dzieci.

– Mamo... – Matylda jak mantrę powtarzała zdanie, które tamta musiała znać już

na pamięć. – Nie jestem dzieckiem. Chłopcy, jak już dawno powinnaś zauważyć, to też dorośli mężczyźni. Oni zjrzą do was częściej, ojciec na pewno nie będzie oponował, a Ewa dostała słuszną podwyżkę i bystrą stażystkę.

– A Wiktorek? – Matka nie dawała za wygraną.

– Jaka to różnica, gdzie na niego czekam? – powiedziała może za mocno i ze zbyt dużą dozą żalu, który nieudolnie starała się ukryć. – Poza tym w domu nie zmieściłabym tak dużego stołu do pracy. Ta pracownia spadła mi jak z nieba! Mam tutaj wszystko, czego potrzebuję, mam – tłumaczyła już spokojniej, wiedząc, że milczeniem się jej nie pozbędzie. – I nie będę tu sama. Grzegorz z Xenią wyjeżdżają stąd naprawdę rzadko.

W tym miejscu w dobrej wierze trochę skłamała. Grzegorz wciąż koncertował, Xenia zaś nie mogła pozwolić sobie na odwołanie wszystkich zajęć w swojej gdańskiej pracowni, ale ponieważ remont siedliska szedł szybko i nad wyraz sprawnie, oboje spędzali na Mazurach każdą wolną chwilę.

– Zawsze zresztą możecie zadzwonić. Jeśli będziecie mnie potrzebować, to po prostu przyjadę – próbowała łagodnym, ale stanowczym tonem uspokoić matkę, odczytując jednocześnie właściwą przyczynę jej niepokoju.

Oderwała się od wspomnień mijającego dnia. Jakiś duży czarny kształt zwrócił jej uwagę na łące na wprost okien. Podeszła do chłodnej szyby i przyjrzała się wolno poruszającej się sylwetce. Słowa niedawnej rozmowy pochłonęła cisza mroźnego, słonecznego przedpołudnia. Łąkę wolnym krokiem przemierzał łoś. Nie wiedzieć czemu Matylda wstrzymała oddech. Nawet z daleka wyraźnie widziała jego potężne poroże. Uśmiechnęła się. Dorzuciła do kominka dopiero, kiedy zniknął za wzgórzem.

*Oddalasz się...*

*Oddalasz się...*

*Skąd ja to wiem –*

*Po prostu wiem.*

*To już nie ja*

*I nie ty, nie ty...7*

Czy on w tej chwili myślał to samo? Czy coś naprawdę się skończyło? Czy to, że częściej milczą, częściej się sobie ukradkiem przyglądają, częściej czytają długo w noc, nie zauważając, że to drugie, czekając, zasypia – czy to wszystko oznacza, że już nic więcej się nie wydarzy? Ona wciąż czekała na niego, wciąż lubiła, kiedy hałasował walizką w przedpokoju, kiedy wybierał jej dania z menu i kiedy mogła z boku przyglądać się trójce swoich mężczyzn tworzących zawsze zgrany zespół. Wciąż lubiła jego dotyk, wciąż imponowały jej jego wiedza i obycie, ciągle jeszcze chciała go mieć tylko dla siebie. Ciągle jeszcze była zazdrosna. Tylko nie potrafiła określić, dlaczego świat wygląda inaczej. Nawet nie trochę inaczej. Wszystko, na co patrzyła, było nieco inne. Nie zmieniło

faktury, koloru czy smaku. Było po prostu inne. Chciała wiedzieć, czy i on dostrzega tę zmianę. I czy ona dla niego zmieniła się na tyle, że będzie chciał jeszcze do niej wracać, słuchać jej, patrzeć na nią...

Dawno nie poświęcił jej tyle czasu co podczas świąt i tych kilku dni na przełomie lat, które spędzili na Mazurach przy winie i kominku. Matylda ani razu nie zapytała o młodą panią doktor, a Wiktor nie zostawiał jej samej dłużej niż na kilka minut. Jeśli zerkał na komórkę, to w sposób dla niej niezauważalny; w nocy z prawdziwym zaangażowaniem przypominał jej, co lubiła najbardziej. Do momentu jego wyjazdu wstawiała na śniadania najpóźniej w całym domu. Umówili się, że resztę miesiąca spędzą w siedlisku, bez konkretnego planu. Wiktor miał zajrzeć do Berlina tylko na chwilę, żeby znaleźć sobie zastępstwo na te kilka tygodni. Było prawie jak dawniej. Prawie...

Dochodziła druga w nocy. Nie spała. Jej biały laptop cicho szumiał, niewyłączony, na niewielkim sekretarzyku. Ekran świecił przeczytanym mailem. Miała ochotę rzucić komputerem o podłogę. Na urlop dłuższy niż tydzień mógł liczyć dopiero w maju. Prosił, żeby przyleciała do niego. Za miesiąc.

*Teraz, kiedy się oddalasz,*

*jesteś taki miły jak nie ty,*

*a w oczach lęk... 8*

Ile lat miała Osiecka, pisząc ten wiersz dla Przybory? Przypadkiem nie tyle, ile ona teraz? Zamknęła głośno książkę, wstała i podeszła do laptopa. Kliknęła kursorem „Odpowiedz” i przyglądała się długo migającej czarnej kresce. Zamknęła mail od męża i wpisała nowy adres.

7 Anna Maria Jopek, *Oddalasz się* (sł. Agnieszka Osiecka).

7 Anna Maria Jopek, *Oddalasz się* (sł. Agnieszka Osiecka).

## Rozdział piętnasty

*w którym koń ustępuje miejsca jeżowi. Tak, dobrze przeczytaliście! No i jeszcze Matylda nie daje się skusić wacie cukrowej. A było to tak...*

Przed sobą miał cudowny biust Anji. Dziewczyna, siedząc na nim okrakiem, niemal wpychała jedną z piersi do ust Kosmy.

– *Kyssa mig har!* – warknęła, a Kosma natychmiast przypomniał sobie pierwsze lekcje szwedzkiego, jakich mu udzieliła przed laty. Posłusznie więc pocałował ją w miejsce, które wybrała. Podawała mu piersi na zmianę, od czasu do czasu dyrygując: – *Nu detta! Snälla, sluta inte.*

Posłusznie poświęcał jej więc niemal całą uwagę, ze zdziwieniem dostrzegając jednocześnie aspirant Lorenz, która w kącie jego pokoju skrzętnie spisywała zeznanie siedzącego przed nią mężczyzny. Przesłuchiwany obrócony był do Kosmy tyłem, dodatkowo falujący biust Anji zasłaniał mu jego postać. Co się tu do diabła dzieje? Nie był pewien, czy powiedział to głośno, czy tylko pomyślał. Tymczasem policjantka podniosła wzrok i uśmiechnęła się do Makarskiego, wskazując go mężczyźnie przy biurku. Facet odwrócił się, spojrzał na niego i pokiwał twierdząco głową.

– To on, to on zjadł mojego konia!

Kosma niemal zrzucił z siebie Anję, która z wyrzutem wyszeptała: *Men du inte gillar hästar.* W składającym zeznania Kosma rozpoznał przedstawiciela handlowego, który nie tak dawno zbałamucił mu żonę. Teraz ten oskarżająco wskazywał go palcem i mówił coś, wyraźnie poddenerwowany, do aspirant Lorenz. Kobieta wstała od biurka i poprawiła bryczesy; dopiero teraz dostrzegł, że zamiast policyjnego munduru ma na sobie kompletny strój do jazdy konno. Covalliero, ocenił Kosma, lustrując ją uważnie. Dobra, niemiecka robota, fason z zeszłego sezonu, ale to bez wątpienia Covalliero...

– Kawalerze, obudź się! Kawalerze!

Kosma otworzył jedno oko i zamiast cycków Anji, gościa od zgagi i uzbrojonej w krótki pejcz policjantki ujrzał swoją córkę. Michalina pochylała się nad nim i mówiła coś, lekko szturchając go w ramię.

– Tata, podrzucisz mnie do miasta?

Kosma zamrugał oczami, jakby chciał złapać lepszą ostrość, i posłusznie pokiwał głową.

– Tak, daj mi chwilę, miałem... dziwny sen.

– Skąd znasz szwedzki? Czy tam duński? Norweski?

– Ja? – Kosma spojrzał na nią zaskoczony.

– Mówiłeś coś przez sen.

– No i między innymi dlatego był dziwny. Zmykaj, muszę się ubrać!

Poleżał jeszcze przez chwilę, analizując, co mu się właśnie przyśniło. Cycki, koń, policjantka? Cycki były spoko... Muszę sprawdzić w senniku, pomyślał i wstał z łóżka.

Uwinęli się szybko. Kosma po prostu wbił się we wczorajsze ciuchy, poranną



toaletę ograniczając do umycia zębów. Michalina w towarzystwie Helmuta czekała na korytarzu, przyjmując z aprobatą tempo narzucone przez ojca. Pies nie miał na ten temat zdania, choć też cieszyła go perspektywa rychłego wyjścia. Nie dopuszczał nawet myśli, że zostawią go samego. Cała trójka zbiegła po schodach niczym gromada uczniaków, śmiejąc się i przekrzykując. Helmut rozłożył się na tylnej kanapie – stare volvo gwarantowało mu wygodę i dobry widok.

Michalina zgodnie z zapowiedzią wysiadła w centrum, panowie postanowili wykorzystać poranek na dłuższy spacer. Kosma miał wyrzuty sumienia, bo ostatnio poświęcał psu niewiele czasu – postanowił to dzisiaj nadrobić. Pojechali na Młynek, do niezbyt rozległego parku ze sporym oczkiem wodnym w dolinie rzeki Olechówka. O tej porze roku nie powinno tam być zbyt wielu spacerowiczów, biegający wolno pies nie będzie nikomu przeszkadzać.

I nie przeszkadzał, przynajmniej dopóty, dopóki nie wywęszył czegoś w zaroślach, ogłaszając to głośnym szczekaniem. Kosma rozejrzał się dookoła, nie zobaczył jednak nic niepokojącego; odpalił papierosa i powrócił do bazgrania patykami w ziemi. Po śniegu nie było już nawet śladu, w tym roku napadało go jak na lekarstwo. Dodatnia temperatura bardziej przywoływała na myśl wczesną wiosnę niż środek zimy. Idealne warunki na spacer, miał teraz chwilę tylko dla siebie...

Szczekanie jednak nie ustawało, więc z ociąganiem podniósł się z ławki i ruszył w kierunku zarośli, z których słychać było Helmuta.

– Gdzie jesteś? – zapytał, podchodząc bliżej. Pies nieco się uspokoił, ale nadal był wyraźnie podekscytowany i z przejęciem próbował wskazać coś właścicielowi.

– Co tam masz? – Kosma ostrożnie rozsunął gałęzie i dość gęste w tym miejscu zarośla. Skorzystał przy tym ze znalezionej kijki. Jeszcze tego by brakowało, żeby coś mnie capnęło na spacerze, pomyślał. Helmut jakby czytał w jego myślach, bo przezornie schował się za pana.

Pod krzakiem, zwinięty w kulkę, leżał jeź, sądząc po rozmiarze – dorosły i dobrze odkarmiony. Zwierzę posapywało groźnie i chyba właśnie to posapywanie nie spodobało się Helmutowi.

– Nie bój się, my sami w strachu! – powiedział Kosma, a Helmut od razu spojrzał na niego z wyrzutem. Nie zbliżył się jednak ani na centymetr, pozostając w bezpiecznej odległości od kolczastej kulki.

– Co pan tam robi? – dobiegło z oddali. – Proszę zabrać tego psa!

Kosma odwrócił się, próbując zlokalizować właścicielkę głosu. Kilka metrów od nich stała na oko dwudziestokilkuletnia kobieta o ciemnych, krótkich włosach i nerwowo poprawiała okulary. Ray-bany, ocenił Kosma, który nie mylił się w tych kwestiach.

– Wszystkie jeże są u nas pod ochroną, nie wie pan o tym? – zapytała z wyrzutem w głosie. – Pana kundel mocno nastraszył Kunegundę!

Hasło „kundel” na moment odebrało głos zarówno rzeczonemu kundlowi, jak i jego właścicielowi. Pierwszy ocknął się Kosma; Helmut ciągle jeszcze łapał powietrze.

– Kunegundę? Nazwała pani córkę Kunegunda? – zapytał Kosma, rozglądając się wokół w poszukiwaniu dziewczynki.

– Jaką córkę? Mówię o jeżu, który zaraz zejdzie na zawał! O tym biednym

zwierzątka, które napastujecie tu w krzakach.

Wariatka, pomyślał Kosma, przyglądając się kobiecie. Dzikiego jeża z parku nazwała Kunegundą. Ale wyjątkowo interesująca wariatka, doprecyzował ocenę, lustrując uważnie zgrabne nogi w opiętych spodniach do joggingu. Piersi falowały żywym oburzeniem, Kosma postanowił więc nieco załagodzić sytuację.

– Nie mamy złych zamiarów – powiedział, wycofując się o kilka kroków. – Agresywność zero. – Wskazał na psa, który tymczasem zdążył już zapomnieć o niedawnej zniewadze i teraz najzwyczajniej w świecie zajął się swoimi sprawami.

– Przepraszam, mam fioła na punkcie jeży – zmitygowała się nieznajoma. – To samica, jesienią donosiłam jej jedzenie. Nie wolno tego robić, ale nie mogłam się powstrzymać. Ma tu swoją kryjówkę, trafiłam na nią przypadkiem. Teraz coś musiało ją zbudzić...

– Solidarność jajników – mruknął Kosma pod nosem, a na głos dorzucił: – To może nie będziemy jej przeszkadzać? A na zgodę podzielimy się z nią jabłkiem?

– Z tymi jabłkami to bzdury, one wołają robaki...

Jeż przestał już posapywać, choć ciągle jeszcze pozostawał w pozycji obronnej. Wycofali się ostrożnie i przysiedli na ławce. Helmut stracił zainteresowanie niedawną przygodą i pobiegł teraz w kierunku stawu, rozpędzając spore stado dzikich kaczek.

– Ach, te dzieci... – powiedział Kosma i przewrócił oczami z udawaną dezaprobatą. Kobieta roześmiała się i spojrzała na niego przychylniej.

– Ewelina – powiedziała, podając mu rękę.

– Kosma – odpowiedział, zamykając jej dłoń w swojej nieco dłuższej, niż wymagała tego zwykła prezentacja.

– Nie widziałam cię tu wcześniej.

– Rzeczywiście, to nie moje rejony. Przyjechaliśmy przypadkiem, licząc na mały ruch.

– Nie chciałam psuć ci szyków, zaraz znikam.

– Nie o to chodzi, nie łapmy się za słówka. Skoro już jesteśmy tu razem, opowiedz coś o jeżach...

Opowiedziała. Kosma starał się słuchać uważnie, równie bacznie przyglądając się nowo poznanej dziewczynie. Była ładna, miała delikatne kości policzkowe i zmysłowe usta. Mógłby je pocałować, a rysujący się pod polarem biust tylko potęgował to pragnienie.

– Patrzysz na moje piersi? – zapytała zniecka.

– Jakakolwiek odpowiedź będzie tu nie na miejscu, to pytanie pułapka... – Kosma ocknął się z letargu odrobinę później, niż powinien. Uśmiechnął się do niej i przeprosił na wszelki wypadek.

– Jeże mogą wydawać do dwóch miotów rocznie... – Ewelina powróciła po chwili do przerwanej opowieści. Kosma tym razem skupił się już na wykładzie, badanie atrybutów dziewczyny odkładając na inną okazję. – A sama ciąża trwa prawie dwa miesiące...

Żadne z nich nie miało ochoty kończyć spotkania. Pies położył się u ich stóp, dziewczyna masowała mu grzbiet.

– Polubił mnie? – zapytała.

Helmut jakby w odpowiedzi wyciągnął się i podsunął nowe miejsca do głaskania. Nie tylko on, pomyślał Kosma i z ociąganiem podniósł się z ławki.

– Musimy wracać – powiedział. – Podwieźć cię gdzieś?

– Dzięki, innym razem. Pobiegam jeszcze trochę.

Odprowadziła ich do samochodu, gdzie wymienili się numerami telefonów. Podrapała psa za uchem na pożegnanie, a Kosma z trudem powstrzymał się przed nadstawieniem swojego do pieszczoty. Dostrzegła to, bo uśmiechnęła się do niego.

– Taki stary, a taki... – urwała i pobiegła ścieżką wokół stawu.

Kosma obserwował ją jeszcze przez chwilę, po czym wsiadł do auta. Jak na zawołanie odezwał się jego telefon. Spojrzał na wyświetlacz – Agata.

O, Hubciu musiał coś przeskrobać...

– Czy ty wiesz, co ten bałwan wymyślił? – Agata nie bawiła się w subtelności. – Mam nadzieję, że nie wspierasz go w tych idiotyzmach?

– Nie ucieszysz się z tych epitetów! – zdążył wtrącić Kosma.

– W dupie to mam! – Agata nie dała się zbić z tropu. – Chce pisać o koninie, o końskich rzeźniach, dasz wiarę?

– Inaczej mogą być kłopoty z dopięciem finansów w gazecie...

– To nie będzie żadnej gazety. Nie po to przelewam co miesiąc kasę na konto fundacji Viva, żeby teraz wychwalać końskie transporty. Jak mogliście mi to zrobić? – Kosma niemal widział palec Agaty wyciągnięty oskarżycielsko w jego kierunku. Nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał przezornie. Agacie to nie przeszkadzało.

– Nie zgadzam się na to, nie pojedziecie do żadnych pieprzonych Włoch. W tej gazecie nie ma prawa ukazać się ani słowo o kielbasie z konia. Basta! – krzyknęła i rozłączyła się.

Kosma przez chwilę patrzył jeszcze na wyświetlacz swojej nokii, po czym schował telefon i odwrócił się do Helmuta. Wymienili się spojrzeniami, żadne słowa nie były tu potrzebne. Wszystko wskazywało na to, że jeden kłopot mają na jakiś czas z głowy.

*Szukałeś mnie...*

*M.*

To chyba najkrótszy mail, jaki dostał w życiu. Ale właśnie ta krótka wiadomość nie dawała mu spokoju. Odpoczywał po spacerze na Młynku z laptopem na kolanach. Hubert nie odbierał, najwyraźniej wyjaśniali sobie teraz z Agatą priorytety. Kosma z góry mógł założyć, jaki będzie finał tego małżeńskiego zwarcia. Jego przyjaciel potulnie podwinie ogon i zapomni o końskim biznesie. Miał tylko nadzieję, że weźmie na siebie ciężar rozmów z zaangażowanymi w projekt ludźmi. Na całe szczęście wszystko można było na obecnym etapie odwołać, a na pewno zamrozić na jakiś czas i odłożyć na półkę. Do chwili, kiedy wpadną na nowy pomysł finansowania czasopisma. Nie zamierzał się tym przejmować, nie był to pierwszy raz, kiedy już niemal witali się z gąską i rezygnowali w ostatniej chwili. Nie mógł jednak odmówić Agacie racji – sięganie po kasę z krwawego źródła jemu też nie do końca odpowiadało.

Wrócił wzrokiem do ekranu, na którym program pocztowy przypominał mu o niezafatwionej sprawie z Warszawy. Matylda... Zabierał się do niej jak, nie przymierzając, pies do jeża. Taka Ewelina, pomyślał, i jej jeż, skoro jesteśmy już przy tych miłych zwierzakach. Był przekonany, że gdyby postarał się bardziej, wracaliby do miasta razem. I nie skończyłoby się na pożegnalnym buziaku przed domem. Z kolei Matylda... No tak, szukał jej, ale czy naprawdę chciał znaleźć? Czy po prostu wymyślił sobie jakąś bajeczną narrację i sam w to uwierzył? Był wtedy w potrzebie, ona też traciła grunt pod nogami, było im po drodze...

Rozważania przerwał mu dzwoniący telefon. „Big Boss”, przeczytał na wyświetlaczu, co zwiastowało przychodzące połączenie od Edmunda Kiszczaka. Odebrał po czwartym sygnale.

– Tak?

– Kiszczak. Zastanawiam się, czy nie odrywam pana od ważnych zajęć.

– Dyrektorze, przepraszam, że kazałem czekać, ale musiałem przypomnieć sobie, czy czymś ostatnio nie podpadłem.

– A podpadł pan? – W głosie Edmunda słychać było zaciekawienie. Nie lubił, kiedy w NTV działo się coś, o czym nie wiedział.

– No właśnie nie, dlatego teraz głowię się, w czym mogę pomóc pierwszemu po Bogu.

– W zasadzie to może pan, nawet bardzo. Jest pan w Warszawie?

– Nie, w Łodzi, niestety. Ale będę w redakcji za dwa dni.

– Świetnie, niech pan do mnie zajrzy. Mam pomysł, który może pana zainteresować. Lubi pan podróżować?

– Do Warszawy? – Kosma odpowiedział pytaniem na pytanie, ale zaraz się zreflektował i dodał: – Mając w perspektywie spotkanie z panem, do stolicy pofrunę jak na skrzydłach...

– Niech pan nie pajacuje, pytam poważnie. Zresztą pogadamy na miejscu. Niech pan ustali z moim Jackiem godzinę. To do zobaczenia!

Jak zwykle rozłączył się, nie czekając na odpowiedź rozmówcy. Kosma jeszcze przez chwilę trzymał telefon w ręce, kombinując, co staremu chodzi po głowie. To musiało być coś ważnego, skoro zatelefonował do niego z pominięciem asystenta. Okej, nie ma co gdybać, pomyślał, dowiem się wkrótce. Sięgnął po komputer i po wyświetleniu wiadomości kliknął „Odpowiedz”.

*Matyldo,*

*szukałem Cię wtedy, zresztą szukam Cię chyba od zawsze... Będę w Warszawie pojutrze. Jeśli jesteś na miejscu, to może zechcesz spędzić ze mną kilka chwil? Kupię Ci watę cukrową w pięciu kolorach... No, daj się skusić!*

*Kosma*

Wysłał mail i odłożył komputer. Po południu miał dyżur w radiu. Spojrzał na zegarek i szybko przeliczył godziny; zdąży jeszcze ugotować zupę, a może i coś więcej.

– Dziewczyny będą zadowolone – mruknął pod nosem.

Helmut spojrział na niego z wyrzutem, a jego wzrok zdawał się mówić: „Dziewczyny, tylko dziewczyny ci w głowie! Jak ty wyrabiasz z tym wszystkim?”

– Nie wiem stary, sam nie wiem... – odpowiedział Kosma i spojrział ponownie na czworonożnego przyjaciela. Ale Helmut zwinął się już w kłębek i powoli zasypiał. Jeśli dobrze pójdzie, we śnie pokona groźnego jeża.

Co robić, każdy ma takiego przeciwnika, na jakiego zasługuje.

Kto to jest, do cholery?! – słyszała swoje myśli tak wyraźnie, jakby co najmniej druga Matylda stała obok niej w pokoju i nie zamierzała ruszyć się na krok, zanim nie uzyska satysfakcjonującej odpowiedzi. Amator słodkich słów, słodkich ust czy tylko słodczy? I owoców pestkowych...?

Siedziała na kanapie w saloniku pod grubym wełnianym kocem i przed wygaszonym kominkiem. Gorąca herbata nie załatwiała sprawy. Dwukrotnie zaczynała pisać odpowiedź na wiadomość Kosmy i dwa razy ją kasowała. Starannie układała zdania; miało być lekko, inteligentnie, niebanalnie i ciekawie. Broń Boże nachalnie zachęcająco, ale wystarczająco bezpośrednio, żeby zrozumiał, że nie ma do czynienia z pierwszą naiwną, szczerzącą zęby w głupkowskim uśmiechu w odpowiedzi na każdy tani komplement.

Nie mogła zebrać myśli. Skasowała linijki trzeciego podejścia. Herbata kompletnie wystygła, czubek nosa zrobił się znowu zimny. Musiała napalić w kominku. Zaróżowione miała tylko policzki. Chyba jej odbiło! Straciła cały poranek. Powinna pomyśleć o obiedzie, spacerze albo chociaż o przygotowaniu wosku do pracy. A tymczasem kreowała się na... no właśnie. Na kogo? To już druga propozycja wycieczki do europejskich stolic w środku zimy, w trzaskający mróz. A przecież to zwykle on przyjeżdża do niej na białym koniu! Chociaż dzisiaj sypało tak mocno, że mogła go przeoczyć. No, mogła! Ale to już chyba nie jej w tym głowa, żeby w tej aurze mogła go dostrzec.

*Posłuchaj...*

*Tego diabła, co to dobranoć tu mówi wieczorami, zasypało chyba jak mnie, bo przestał gadać. No i ta biel... Chyba przyprawia go o mdłości. Do stolicy mam trochę ponad siedem wzgórz, siedem lasów; rzek nie liczyłam. I wiesz co? Chyba najłatwiej tu dotrzeć konno.*

*Ani ja młoda, ani ja królewna, ani ja w wieży wysokiej, ale czekać muszę. Na razie – aż śniegi zejda. Sam rozumiesz.*

*Jesteś amatorem waty cukrowej? Ja bardziej kolorów, ale to znaczy, że coś nas jednak łączy.*

*Naprawdę znasz miejsce, gdzie ją podają w trzaskający mróz? Nie dworujesz Ty sobie ze mnie? Bo widzisz, Kosma, choć przestrzeni tu wiele, nowych kłamstw nie wcisnę już do żadnej szuflady. Musiałabym zrobić najpierw porządek ze starymi. Na razie sił mi na to brak.*

*Gdybyś... gdybyś się jednak zdecydował w ten czas niepewny na koń siadać, na litość boską, nie jedź na białym, bo będziemy się tak szukać do końca świata.*

*PS Tutejszy koniec świata mogłabym kupić. Oblędnie tu słyszeć własne myśli. Szkoda, że nie udzielają kredytów za drżenia serca. Moich tutaj wystarczyłoby na wysoki procent...*

*Matylda zza siedmiu gór i rzek (czy jakoś tak)*

Zaczęło sypać na dobre. Zrezygnowała ze spaceru, watę cukrową musiała zastąpić świeżym drożdżowcem z rodzynkami. Równie mocno jak kominek rozgrzała ją wiadomość o szybujących w górę wskaźnikach styczniowej sprzedaży w SenSualu. Opłaciło się zainwestować w lojalną pracownicę i ambitne młode pokolenie wychowywane w dużym stopniu przez Facebooka, Twittera i AliExpress. Zyski na szczęście nie były wirtualne.

Wosk uzyskał właściwą konsystencję, mróz nie zelżał ani na jotę. Pracownia starego malarza nie miała jeszcze dostępu do wi-fi, a w tej mazurskiej ciszy szelest włoskich euro słyszeć było co najmniej tak wyraźnie, jak trzask brzożowych polan w kominku. Jej białe cacko musiało poczekać. Czekać...

Dopiero teraz zaczynała rozumieć, co to słowo tak naprawdę oznacza.

## Rozdział szesnasty

*w którym wszystko przekonuje nas, by nie bać się zmiany na lepsze*

Podzieliła krepę na dziesięć równych kuponów. Spodziewała się znacznie większej ilości tkaniny. Obliczyła, że w ciągu każdego miesiąca musi pokryć woskowym szkicem dziesięć metrów bieżących. Jeśli nie będzie przesiadywać nad książkami, to przy sześciogodzinnym rytmie pracy powinna mieć w zapasie dobrych kilka dni na leniuchowanie i podróże. Wolała wykonać plan przed czasem niż gonić w ostatniej chwili, a błędy korygować na kolanie.

W pracowni znalazła miejsce na wysłużonego laptopa jednego z bliźniaków. Sprzęt był wystarczająco sprawny, żeby odsłuchiwać na nim muzykę i audiobooki. Przez cały poprzedni dzień w tandemie z imbirową herbatą ogrzewał ją Mietek Szcześniak i jego bossa novy z tekstami księdza Twardowskiego. Rytm bujał. Słowa – wręcz przeciwnie; tak prawdziwych tekstów o miłości w różnych znaczeniach nie słyszała już dawno. Subtelne, pełne ciepła i pogodzenia z tym, co „przychodzi spoza nas”...

– Czemu nie pojedziesz do niego? – Xenia ćwiczyła prostą linię na skrawku materiału. – Codziennie dzwoni, nie chce odpuścić... – Przyjrzała się z pewnej odległości swojej pracy, a potem podeszła do stołu Matyldy.

– Nie pojedę. – Matylda oderwała się na chwilę od krepiny. – Nie zamierzam w ogóle tam się pojawiać do końca jego kontraktu. Jeszcze niedawno miałam wyrzuty sumienia z tego powodu. Teraz... Posłuchaj. On nie musiał tam jechać. Mógł się nie zgodzić na tę robotę. – Zakropkowała kilka łezek układających się w kształt kwiatka. – Tak naprawdę to oboje potraktowaliśmy po macoszemu coś, co powinno być priorytetem. To trochę jak z tą czapką na jesień... – Oparła na chwilę łokieć o drewniany stelaż, prostując jednocześnie zdrętwiałe palce. – Wiesz, że zimno i powinnaś założyć. Ale zapomnisz, zgubisz, przełożysz i angina gotowa. I nawet nie bardzo narzekasz, bo wiesz, skąd ta gorączka. Tylko że przyszła zima, a nam się ciągle wydawało, że mamy odporność dwudziestolatek... Mam do siebie dużo pretensji. Dopiero teraz to widzę; kiedy go nie ma, kiedy przerzucanie się odpowiedzialnością nie zagłusza toku myślenia.

– Mówisz, jakbyś to ty miała kogoś na boku, a nie twój mąż! Co się dzieje?

– Wiem, jak to brzmi. Ale w naszym przypadku, Xenia, wina... leży pośrodku. Myślisz, że gdybym była tylko ofiarą, byłoby łatwiej?

– On się zabawiał kilka lat. Zauważyłaś, żeby miał jakieś wyrzuty sumienia? – Xenia podniosła dłonie i głos jednocześnie. – Wiesz, że nigdy nie przyszło mi do głowy, że może wam czegokolwiek w tym związku brakować? Zazdrościłam wam. A mój mąż w rozmowach o kryzysach wartości moralnych to was zawsze podawał za przykład, że jednak komuś się udało...

– Musi zmienić argumentację. – Matylda westchnęła. – Z tymi przyciągającymi się przeciwieństwami to jednak jest totalna bzdura. Od dawna mamy te swoje dwa światy, tylko że od dobrych paru lat coraz rzadziej się w nich spotykamy. Kiedyś intrygujące

smakiem nowości, dziś... – szukała w myślach odpowiedniego słowa.

– Zbyt różne – ubiegła ją przyjaciółka.

– Daleko inne, z czasem po prostu przestające budzić emocje, przez zwyczajną niechęć do zrozumienia czegoś, co przepływa przez ciebie, zanim zdążysz to ogarnąć.

Grześ esemesem zakomunikował, że nakrył do kolacji. Matylda czuła niedosyt po rozmowie.

– Nie wiem, czego mi teraz brakuje... – Starannie odłożyła canting na miedzianą podkładkę. – Czy jego, czy jakiejś zmiany, jakiegokolwiek; a może zapewnienia, że jednak jestem wyjątkowa? Wiem tylko, że patrzę na niego inaczej, a on po raz pierwszy mnie rozliczył. I nie mogę zaprzeczyć, Xenia, że znalazł manko. Szlag mnie tylko trafia, kiedy pomyślę, że zamiast o nim mówić, znalazł sobie gumkę myszkę do wymazywania...

– Kolorową, pachnącą. Taką jak te chińskie, pamiętasz? – Xenia uśmiechnęła się przepraszająco. – Takie były najgorsze...

– Mhmm... Rozmazywały tylko i robił się jeszcze większy syf. Właśnie porównałam kochankę mojego męża do gumki. – Matylda kręciła głową, śmiejąc się i ocierając jednocześnie policzek z łez. – Chodźmy coś zjeść, bo za chwilę kompletnie zeświruję.

Miały do pokonania zaledwie kilkanaście metrów, ale starannie okręciły się szalami, czapki naciągając prawie na nos.

To nie była jakaś desperacka próba ratowania małżeństwa, ale Kosma nie mógł zaprzeczyć, że pomysł rodzinnego wyjazdu na kilka dni w góry przypadł mu do gustu. Nie mógł znieść niemego mijania się z Kaśką, coraz trudniej było im także ukryć całą sprawę przed córką. Michalina chyba się czegoś domyślała, ale nie zadawała pytań. Nie zdziwił się, kiedy zaproponowała wypad na południe. Może nawet przyjął tę propozycję z wdzięcznością? Atmosfera podniecenia przed podróżą udzieliła się także jemu, więc z chęcią pomagał dziewczynom przy kompletowaniu niezbędnego ekwipunku.

Jak zwykle planowali tylko spacer, bez narciarskich szaleństw na stoku, tego pakowania nie było więc szczególnie dużo. Kilka zmian bielizny, ciepłe koszule i swetry oraz coś wieczorowego, gdyby znów przyszła im ochota na jakiś spektakl w Teatrze Witkacego. Żaden ich pobyt w Zakopanem nie mógł się bez tego obejść i choć teraz nie mówiło o tym żadne z nich, to po cichu zarówno on, jak i Kaśka liczyli, że rodzinnej tradycji stanie się zadość.

– Za ile wyjeżdżamy? – Kaśka stanęła w drzwiach garderoby, przytrzymując Helmuta, który najwyraźniej miał już dość przygotowań. Jego merdający ogon i wygięty grzbiet aż nadto zdradzały gotowość do wycieczki.

– Jeszcze chwilę, będę gotów w ciągu kwadransa, góra dwóch. – Kosma nawet nie spojrzał w jej stronę. Wciąż jeszcze nie wiedział, jak zachować się w stosunku do żony.

Kilka dni wcześniej próbowała go przeprosić, wytłumaczyć się jakoś, ale zbył ją machnięciem ręki. Jej tłumaczenie nie było mu do niczego potrzebne. W zapewnienia, że to pierwszy i ostatni raz, nie wierzył. Wiedział, że to puste słowa, bo sam ją tak zapewniał. Kilka razy... Po prostu trzeba to jakoś ułożyć i żyć dalej, ale jak – jeszcze nie miał pojęcia. Zapiął suwak walizki i przeszedł do swojego gabinetu.

Wciąż nie odpisał na list Matyldy. Z mieszanymi uczuciami przyjął informację o



jej nieobecności w Warszawie. Popsuła mu tym plany i znów oddaliła perspektywę spotkania na bliżej nieokreśloną przyszłość. Czy ona robi to specjalnie? – pytał się w myślach, czytając jeszcze raz mail od tajemniczej Pani z Żółtej Cizemki. Z nostalgią wspominał te dni, kiedy wymieniali się korespondencją w tradycyjny sposób. Lubił nosić w kieszeni marynarki jej listy pisane na gustownej papeterii. Maile były takie... nie jej, bez sensu. Próbował jeszcze jakoś się oszukać i wydrukował jej list, ale komputerowe pismo nie umywało się nawet do zgrabnych i zwyczajnie ładnych liter kreślonych przez Matyldę. Każdy ma jakiegoś bzika, pomyślał. Ja lubię jej listy...

*Matyldo,*

*niechybnie przyjadę na te Mazury, szukać Cię w głuszy i wśród jezior, tylko jeszcze nie teraz. Ale nawet wtedy na koń nie siądę, bo koni mam chwilowo po dziurki w nosie. Zwłaszcza takich arabskich. Kiedyś Ci o tym opowiem i może nawet pośmiejemy się z tego? Bo jak o tym pomyśleć, to nawet zabawna historia, zobaczysz!*

*Skoro zapadłaś w ten krajobraz jak w zimowy sen, to przezimujmy – każde w swojej gawrze, czy co tam przygotowałaś sobie wygodnego. Ale zachowaj czujność, bo tam, gdzie ja dotrzeć teraz nie mogę, bez kłopotu dotrze list od chłopaka z Bałut. Czyli mnie...*

*Kosma*

Ta obietnica przyjazdu na Mazury nie była całkiem bez pokrycia. Ba, była nawet całkiem realna i w zasięgu ręki. Wiązała się z propozycją, jaką Kosma otrzymał od dyrektora ogólnopolskiej stacji telewizyjnej NTV. Edmund Kiszczak bez długich wstępów zakomunikował, że wiosną ruszą zdjęcia do nowego formatu, w którym prezentowane będą turystyczne atrakcje Polski.

– Rozumie pan, dwójka prowadzących dobranych na zasadzie przeciwieństw... Inne charaktery, tryb życia, potrzeby – tłumaczył Kosmie, kiedy rozsiedli się w jego wygodnym biurze. – Różne zakątki, lokalna kuchnia, obyczaje, ciekawe miejsca. Pan jest etnologiem z wykształcenia, prawda?

– Tak, studiowałem w Łodzi u profesora Wejlanda. – Kosma powoli zaczynał rozumieć, po co został tu dziś zaproszony. Najbardziej śmieszyło go to, że najprawdopodobniej po raz pierwszy w życiu robi finansowy użytek z pięciu lat swojej edukacji. I to nie w Muzeum Ziemi Łódzkiej ani żadnym innym skansenie!

– No to będzie pan z kamerą odkrywał różne ciekawe zakątki i o nich opowiadał. Dobrze zapłacimy!

– Z kim?

– Z Ryży... to znaczy z Radkiem. – Edmund powiedział to tak od niechcenia, że Kosma nabrał pewności, że stary musiał to ćwiczyć przed lustrem. I że ma z niego spory ubaw.

– Jest tu w stacji tyle miłych dziewcząt! Skoro mają być przeciwieństwa, to może i

prowadzący powinni... – próbował jeszcze coś ugrać.

– Kosma! – Głos Edmunda był jednak stanowczy i nie pozostawiał złudzeń. – Zaufaj mi. Zjadłem na telewizji zęby. Stworzycie razem dobry duet, to będzie się oglądało! Wiesz, że Szarik nie znosił Gajosa? Że musieli Jankowi smarować policzki smalcem, żeby pies go chciał polizać? Czy to widać w telewizorze? Nie! Oglądałeś *Pancernych* jako dziecko z wywalonym jęzorem. Was też ułożymy w zgrany duet. *Deal?*

Kosma wolał się teraz nie zastanawiać, kto w tym duecie będzie kogo i po czym lizał, więc odpowiedział zgodnie z oczekiwaniami:

– *Deal*, ojcze dyrektorze. Gdzie mam podpisać?

No i podpisał, a za tym podpisem szła całkiem sympatyczna gratyfikacja pieniężna. Liczył jeszcze, że Ryżyk się nie skusi i do duetu dostanie młodą dziennikarkę, zgodnie ze starą wypróbowaną zasadą „samczyk i samiczka”, ale Radio nie zastanawiał się długo. Według harmonogramu zdjęcia miały ruszyć wiosną i na pierwszy ogień wybrano Mazury.

– Mazury? – Michalina nie dowierzała, kiedy opowiadał im całą historię już w trasie na południe. – Przecież w życiu nie byłeś na żadnej łódce... Czy ty w ogóle umiesz pływać?

– I to jest właśnie, córeczko, magia telewizji! – Kosma już widział się na zmianę to w obcisłych kąpielówkach, to w biało-niebieskim komplecie żeglarskim, może nawet z kapitańską czapką. – Będę pływał, żeglował i inspirował widzów do pokonywania barier!

– O *fuck*, stary zwariował! – Kaśka odezwała się chyba po raz pierwszy, odkąd wyruszyli.

Helmut warknął potwierdzająco i aż pierdnął z wrażenia. Zapowiadała się długa droga pełna przeżyć. Dobrze przewidywał, że sporo z nich stanie się jego udziałem.

*Kosma. Obiecujesz, że mi coś kiedyś opowiesz. A dlaczego nie dziś? Nie teraz właśnie?*

*Bo widzisz, z czekania, zdaje mi się, robię specjalizację. A z obietnic zaczynam wyrastać.*

*Nie wiem, gdzie będę jutro. Pod jakim adresem. Co będę robić, a co sobie wreszcie daruję. Wiem tylko, że czas płynie szybko, za szybko.*

*Wyobrażasz sobie, co mogłoby się zdarzyć, gdybyś nagle chciał sięgnąć po to, czego naprawdę chcesz? Bez oglądania się za siebie, bez balastu odpowiedzialności, bez tego życiowego domina, które boimy się trącić, bo rozspanych kostek nigdy już nie uda się ułożyć w tej samej kolejności? Są tacy, którzy to robią. Są odważni czy są głupcami? Żalują czy po prostu nie patrzą wstecz?*

*Mam tylko jedno życie.*

*Kim jesteś?*

## *Matylda*

Zadała mu już kiedyś to pytanie. Do końca nie mogła sprecyzować, czy jest już poirytowana, czy jeszcze zaintrygowana. Włączyła cicho stację Swiss Jazz. Przyciągnęła kolana do brody i objęła je rękami.

Ścisnął kierownicę i wyteżył wzrok. Za boczną szybą samochodu widział tylko szarość przechodzącą w białe plamy śniegu. Z przodu migotał ciąg świateł stopu poprzedzających go pojazdów. Zmierzch zapadał tu szybko; musiał skupić się na drodze, by nie wylądować w przydrożnym rowie lub nie wjechać w tył innemu – narwanemu jak on sam – turyście. Zima w górach musiała mieć jakiś niepowtarzalny urok, skoro ciągnęły tu tłumy, a Zakopianka jak zwykle stała w korku. Kosma jednak nie dostrzegał na razie żadnych pozytywów, bo za takie trudno mu było uznać dwie chrapiące niewiasty i pierdzącego psa na tylnej kanapie. Podróż dłużyła się niemiłosiernie, a jego irytację potęgowali dodatkowo prezenterzy radiowi, których głosy zmieniały się z każdą miejscowością, którą mijał. Miał nieznośny zwyczaj wyłapywania lokalsów, jakichś wartościowych audycji. Dziś nie wpadł na żadną, więc zrezygnowany porzucił poszukiwania. Nie tracąc z pola widzenia samochodu przed sobą, sięgnął do schowka z płytami i wyjął pierwszą, która mu się nawinęła. Trafił akurat na WWO, warszawską grupę specjalizującą się w ulicznym rapie. Choć zespół pochodził ze stolicy, to był czas, kiedy łódzkie Bałuty jak długie i szerokie rozbrzmiewały bitami *W Wyjątkowych Okolicznościach*; to było niespotykane muzyczne porozumienie dwóch skłóconych od zawsze miast. Sam do siebie skinął głową z przyzwoleniem i już po chwili kiwał się rytmicznie za kierownicą, towarzysząc Sokołowi.

*Nie skończy się świat, jeśli ty się skończysz,*

*ale będzie coraz gorzej, jeśli sam się pogorszysz.*

*Mówię to do siebie codziennie – będzie lepiej, jak na lepsze się zmienię<sup>9</sup>.*

– Mówiłeś coś? – Kaśka ocknęła się z płytkiego snu i przecierała oczy, próbując zorientować się, gdzie są.

– „Nie bój się zmiany na lepsze!” – dokończył Kosma i uznał, że wystarczy tych wokalnych popisów.

– Nie spraeś plamy na swetrze? – Teraz i Michalina patrzyła na niego z tyłu auta dzielonego z wilczarzem irlandzkim. Wilczarz nie patrzył, znał ten utwór już od dawna.

– Nie bój się zmiany na lepsze! Nieważne, budźcie się, chyba dojeżdżamy.

Rzeczywiście, tabliczkę z napisem „Zakopane” mieli już w zasięgu wzroku.

Tej nocy spał jak niemowlę; górskie powietrze zrekompensowało mu trudy podróży. Zrezygnowali z obfitej kolacji na rzecz zupełnie niemiejskowej sałatki z gorgonzolą, gruszką i orzechem włoskim. Całość popijali tradycyjnym zakopiańskim grzany winem, które skutecznie podtrzymało ich dobre humory. Krótki spacer, na jaki wybrali się później, był miłym zwieńczeniem pierwszego od wielu tygodni rodzinnego wieczoru. Michalina zniknęła w swoim pokoju zaraz po tym, jak wrócili na kwaterę.

Musiała mieć jakieś porozumienie w tej kwestii z Helmutem, bo pies posłusznie pomaszerował za nią, leniwie merdając ogonem na pożegnanie.

Kosma wymienił spojrzenie z Kaśką i w jej oczach dostrzegł nie tylko przyzwolenie, ale i niemą prośbę. Nie sypiali ze sobą, mało rozmawiali i obojgu brakowało znajomego poczucia bezpieczeństwa i zaspokojenia. Nie dał się długo prosić; choć niewiele z tego wynikało i oboje mieli świadomość, że po prostu odsuwają w czasie trudną rozmowę, chciał być tej nocy w kobiecie, którą znał całe swoje dorosłe życie. Wypełnił ją sobą, przyciskając się mocno do jej pleców i pozwalając, by wypite wino, nagromadzone emocje i skumulowana złość zrobiły resztę. Zasnął z ręką na jej piersi, licząc głębokie oddechy Katarzyny. Miał wrażenie, że mówiła coś do niego, ale był tak zmęczony, że równie dobrze mogło mu się to przyśnić.

Rano łóżko było puste, nie słyszał też zwyczajowej krzątanimy dziewczyn. Zawołał Helmuta, ale na próżno. Najwidoczniej postanowiły go nie budzić i wybrały się na spacer. Był sam. Na wyświetlaczu telefonu miał kilka powiadomień. Zaczął od esemesa od Huberta.

„Man, przepraszam – pisał przyjaciel – zrobie ci laske, kupie kielbaske, cokolwiek... Tylko sie nie zlosc”. Brak polskich znaków spowodował, że Kosma przez chwilę zastanowił się, czy Hubertowi chodziło o łaskę czy o laskę, ale obie propozycje uznał za nieodpowiednie. I wołał się dłużej nad tym nie zastanawiać. Będzie musiał do niego zadzwonić, ale to może poczekać.

Drugie powiadomienie dotyczyło nieodczytanych maili. W skrzynce pocztowej obok zwyczajowej oferty powiększenia męskości i informacji od Mr. Bwana z Konga, który chce mieć przyjaciel z Polska, znalazł list od Matyldy. Jak zawsze zajrzał do niego z niecierpliwością, ciesząc się, że dziewczyny akurat teraz zaplanowały babską przechadzkę. Mógł sobie pozwolić nie tylko na lekturę, ale i na papierosa w łóżku. Podświadomie czuł, że w nieznanym kobiecie narasta zniecierpliwienie, jeśli nie irytacja. Nie miał jednak na to wpływu – wszystkie jego próby zbliżenia się do niej jak dotąd spaliły na panewce. A nie chciał robić nic wbrew sobie, nic na siłę. Wiedział, że między nimi dzieje się coś, co może skończyć się zaraz, ale równie dobrze może rozwinąć się w głęboką relację, jakiej pragnął od zawsze. Niewymuszoną, prawdziwą, szczerą. Liczył, że i ona patrzy na to w ten sposób. A skoro tak, jego wiadomości były dla niej tak samo ważne jak te, które otrzymywał od niej. Niezależnie od tego, co by w nich było.

*Matyldo,*

*piszesz o życiu jako kostkach domina... Niewiele mam na ten temat do powiedzenia. Życie przecieka mi między palcami. Więcej niż o życiu wiem o samych kostkach. Przywiózł je do Europy Marco Polo, pewnie z Chin, bo niby skąd mógł je tu przytargać? W końcu dotarł tam jako pierwszy przedstawiciel zachodniej cywilizacji. Wenecki kupiec, który chciał być odkrywcą... W rzeczywistości był gawędziarzem i to mnie z nim łączy; ja również lubię gawędzić.*

*Ale większość tych rzeczy, które mam Ci do powiedzenia, mówić trzeba, patrząc w oczy. W Twoje oczy...*

*Wierzę, że to rozumiesz.*

*Rozumiesz, prawda?*

*Kosma*

Zdażył się podpisać, gdy w korytarzu usłyszał hałas wracających dziewcząt. Odłożył telefon i przykrył się szczelniej kołdrą, zastanawiając się, kto pierwszy wskoczy na łóżko po porcję pieszczot. Przecucie go nie myliło, tak pachnieć i przyjemnie łaskotać mogła tylko jedna istota. Helmut nie potrafił zrezygnować z okazji do przekazania panu wszystkich wrażeń, jakie stały się jego udziałem podczas spaceru. Sierść posklejana grudkami topniejącego śniegu śmierdziała okrutnie, ale Kosma dzielnie znosił te niedogodności. Dziewczyny mogły wziąć psa na spacer, ale to Makarski zawsze był jego najlepszym powiernikiem i słuchaczem. A były też chwile, kiedy ten układ działał w obie strony.

9 WWO, *Nie bój się zmiany na lepsze* (sł. Sokół, Jędker, Dragon, Davy, Mehdi Mesrine, Fu).

## Rozdział siedemnasty

*w którym... lepiej zapnijcie pasy!*

Te emocje z pierwszej nocy w górach powtarzali jeszcze kilkakrotnie, raz nawet zapomnieli się w kuchni i tylko ostrzegawcze warknięcie Helmuta pozwoliło im uniknąć wpadki, a na pewno reprimendy od zgorzzonej gospodyni. Pani Teresa gości lubiła, ale najbardziej wtedy, gdy ich zachowanie korespondowało z tonem audycji nadawanych przez jedyne słuszne radio z Torunia. Stary odbiornik rzeził od świtu, podobnie jak i jego właścicielka, która nie wyjmowała papierosa z ust, a z ręki różańca. Mielła w ustach słowa kolejnej tajemnicy, przesuając w palcach malutkie paciorki. Gdyby zobaczyła ich wtedy, jej reakcja pewnie nie spotkałaby się z aprobatą ojca redaktora. Na szczęście pies stanął na wysokości zadania i ostrzegł ich w porę.

Śmiali się z tego w drodze do domu, a Michalina tylko udawała złość, że mają przed nią tajemnice. W duchu cieszyła się, że ojciec jakby poweselał, a matka wygląda na zadowoloną. Od powrotu z Zakopanego życie w ich ogromnym łofcie przy Tymienieckiego nabrało nowego tempa, a raczej niespotykanej dotąd temperatury. Znów jedli wspólnie posiłki, celebując te krótkie chwile bycia razem. Kaśka nie zniknęła na całe dni w aptecce, jakby chciała pokazać, że nic już jej tam nie ciągnie, że po tamtych zdarzeniach zostało jedynie wspomnienie. A wspomnienia mają to do siebie, że z czasem blakną, płowieją – na to liczyła, choć telefony od Krzysztofa skutecznie jej w tym przeszkadzały. Krzysztof... lub jak mówił jej mąż – Pan Zgaga. Czy był tego wart? Na co liczyła? Po co jej to było? Bała się rozmowy z nim, niemal kulila się w sobie z obawy, że ulegnie mu znowu. Miał w sobie jakiś zwierzęcy magnetyzm, coś ją w nim pociągało i odpychało jednocześnie. Nie była pewna swoich reakcji, więc postanowiła chwilowo ignorować jego próby kontaktu.

Kosma udawał, że nie widzi odrzucanych przez nią połączeń i esemesów kasowanych bez czytania. On sam z kolei postanowił się teraz skupić na przygotowaniach do realizacji swojego pierwszego programu w telewizji. I choć stacja miała go emitować na jednej ze swoich mniejszych anten, to i tak mocno to przeżywał, niemal tak jak swoją pierwszą audycję w radiu kilka dekad wcześniej.

Któregoś dnia lekturę materiałów przygotowanych przez producenta przerwał mu sygnał przychodzącej wiadomości. Ewelina! Niemal o niej zapomniał, a teraz zreflektował się, że nie odzywając się do niej tyle czasu, wychodził na zwykłego gburę.

„Molestujesz mnie w parku i później nawet nie zadzwonisz? Shame on you!” – Ewelina najwyraźniej nie lubiła owijać w bawełnę. Przez chwilę zastanawiał się, co jej odpisać, ale korzystając z tego, że w domu był chwilowo sam, postanowił zadzwonić i użyć Głosu. Ta strategia prawie zawsze przynosiła pożądane efekty.

– Proszę, proszę, kto to się zebrał na odwagę? – W głosie Eweliny pobrzmiwały na zmianę śmiech i niedowierzanie. Ale Kosma zarejestrował przede wszystkim fakt, że odebrała błyskawicznie, po pierwszym sygnale. Czekwała na ten telefon.

- „To ja, Leclerc” – polecił starym żartem z *Allo, Allo*. – Dasz się jakoś przeprosić?
- To zależy, jak będziesz chciał to rozegrać.
- Słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzać. – Pozostał w konwencji brytyjskiego sitcomu. – Ty i ja, i może przypadkowy jeź jutro w parku?
- Jutro nie, kierownika, jutro maluję cały dzień.
- Co malujesz?
- Nie co, ale kogo. Jestem charakteryzatorką, pracuję w teatrze i w telewizji. I czasem w teatrze telewizji. Nie mówiłam ci?
- Nie, ale za to mówiłaś sporo o ciąży u jeży. To kogo jutro malujesz?
- Szyca czy innego Stuhra, jeden pies... Nie wiem dokładnie, jutro się okaże. A co, chcesz autograf?
- No, zwłaszcza od tego jednego psa.
- Czekaj, czekaj, powiedz to jeszcze raz?!
- Ale co? – Kosma wydawał się zbity z tropu.
- Cokolwiek, powiedz szybko!
- Praxis wymaga taksonometrycznej konceptualizacji. – Zgodnie z życzeniem plół coś bez ładu i składu.
- Poznałam cię, o Jezusie...
- Nie Jezus, tylko Kosma, Jesus to mój meksykański kuzyn.
- Ty grasz wieczorami w radiu, prawda? Nie mój klimat, ale głos brzmiał znajomo.
- Jezu! – Tym razem Kosma musiał odwołać się do Najwyższego. – Grać to może grajek na weselu, ja prowadzę audycje, koję ludziom stargane nerwy, intryguję, inspiruję i uczę.
- Tak, to ty, pierdzielisz dokładnie tak jak na antenie. Ale cię lubię.
- Nie wiem, czy wypada podziękować za ten komplement.
- A ja nie wiem nawet, czy to rzeczywiście był komplement.
- Zróbmy tak... – Kosma zawiesił głos, jakby ciągle się zastanawiał, i tak w istocie było, bo pomysł jak zwykle narodził się niespodziewanie. – Wykorzystam cię, Ewelina, a raczej twoje pędzle i pudry. Czy tam podkłady.
- To znaczy?
- Pomysł przyszedł mu do głowy znienacka. Gdybym tak miał w ekipie kogoś zaufanego, kogoś życzliwego, a nie tę rudą pałę, pomyślał. Ta miękka rdzawa faja z pewnością wykorzysta pierwszą okazję, żeby mi dowalić... Ale gdybym miał przy sobie Ewelinę?
- Lubisz podróże? – Kosma nie znosił odpowiadać pytaniem na pytanie, ale miał w głowie gonitwę myśli i ewidentnie za mało czasu, by jej teraz wszystko klarować po kolei.
- Zależy gdzie i z kim. – Lapidarność odpowiedzi Eweliny była mu teraz wyjątkowo na rękę.
- Będę miał dla ciebie propozycję pracy. Za wcześniej, by mówić o szczegółach. Musisz mi zaufać. Lepszą od pacykowania Szyca.
- No nie wiem, on czasem zaprasza na kawę.
- Takim głosem jak ja?

– No kurwa, właśnie nie! I tu mnie masz... – A więc jednak! Kosma uśmiechnął się do słuchawki. Strategia Głosu jak zwykle niezawodna!

– Odezwę się niebawem, muszę coś poustalać. – Już rysował mu się w głowie cały plan. – Miłej pracy jutro!

Rozłączył się szybko i wrócił do mieszkania. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to czeka go wiele miłych chwil. Realizację programu zaczął widzieć w zupełnie nowym świetle. Kiszczak nie może mi tego odmówić. Zresztą przecież Stary nie wtrąca się chyba do takich pierdół jak kompletowanie obsługi technicznej.

Szybko wykręcił numer asystenta Kiszczaka.

– Jacuś? Słuchaj, jest sprawa...

*Kosma!*

*Ja dużo rozumiem. Rozumiem, że siedzisz gdzieś tam i próbujesz mi powiedzieć, że gdzieś są Twoje brakujące kostki. I rozumiem, że gdyby w pudełku był komplet, nie traciłbyś w ten sposób swojego cennego czasu. Ale jakoś wciąż nam nie po drodze, Kosma (niezwykle imię...).*

*Chciałam tylko, żebyś wiedział, że mój czas przy Twoich listach nie był czasem straconym. Lubię, jak opowiadasz.*

*Matylda*

Była skołowana. Miała dość gier i półsłówek. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że ją testuje. Nie miała na to ochoty. A może rzeczywiście im nie po drodze? Nie miała siły się nad tym zastanawiać. Nie musiał do niej pisać, a ona nie zamierzała go o to prosić. Najwyraźniej naoglądała się za dużo filmów.

Była nieufna, chyba intuicyjnie. Być może krzywdząco dla Kosmy, ale nie mogła wyzbyć się tego uczucia. Kiedyś było jej obce, dziś – bliskie, zaskakiwało ją. Pojawiało się falami i wyrastało przed nią jak obronny mur. Jednak w jego listach czuć było ciepło, jakąś czułość. Były magnetyzujące, nie mogła temu zaprzeczyć.

Kliknęła i uwolniła wiadomość, jakby wypuszczała ptaka na wolność.

Prognozowano na jutro nowe opady śniegu. Podkreciła głośniej radio. Huk wzmagającego się wiatru szybko przechodził w nieprzyjemne wycie. Momentami czuła nawet drgania domu od jego silniejszych uderzeń. Dopiero po zmroku dotarło do niej, że powinna była rano zrobić zakupy. Odłożyła spacer z lenistwa, a potem zwyczajnie nie chciało jej się wychodzić w ciemność. Xenia i Grzegorz przełożyli przyjazd do siedliska ze względu na śnieżycę. Tylko że kolejne dni w ogóle nie zapowiadały się lepiej. Wyglądało na to, że przez jakiś czas będzie zdana wyłącznie na swoje towarzystwo.

Od niedawna noce wywoływały u niej niepokój, chociaż do samotnych powinna się już przyzwyczaić. Z każdym tygodniem lubiła je coraz mniej. Teraz były już tylko oczekiwaniem na coś, co zmiecie je jak zalegający kurz.

Po raz pierwszy cisza i noc ją przerażały. Poczwała ukłucie samotności tak dotkliwie, że przez moment zabrakło jej tchu. A potem pojawił się żal. Silny i namacalny.



Pokręciła się jeszcze po kuchni, zastanawiając się, co by tu ugotować, żeby nie musieć przez kolejnych kilka dni wychodzić z domu. Była wdzięczna mężowi przyjaciółki za jego miłość do kuchni. W spiżarni nie brakowało chyba niczego. Zostawiła książkę kucharską otwartą na stronie z przepisem na ruskie z miętą. Pocztę też zostawiła otwartą...

Chwilowo listy od Kosmy zastąpiła sobie listami Marka Hłaski. Sięgnęła po nie, żeby poznać chyba największą miłość Osieckiej. Żałowała, że *Pięknych dwudziestoletnich* przeczytała wcześniej. Dopiero teraz zaczynała rozumieć chaos tych pamiętników, a w zasadzie wspomnień. W tych listach był kimś innym... Nie aroganckim buntownikiem i awanturnikiem ciągle bez grosza, tylko upartym, charyzmatycznym facetem, który nie zginał karku nigdy i przed nikim. Z każdym kolejnym listem przestawała się dziwić tej fascynacji. Przez całe lata Hłasko zmieniał kraje, miasta, domy i kobiety. Tylko samotność towarzyszyła mu stale. Jak wierny pies...

Nad ranem wiatr ucichł prawie zupełnie. Za to śnieg padał jeszcze mocniej. Świat zniknął w ledwie słyszalnej, szumiącej bieli. Pod balkonowymi drzwiami pracowni, gdzie dach bronił śniegowi dostępu, kuliło się kilka błękitno-cytrynowych, puszystych kulek. Kulki błyskały koralikowymi oczkami, kołysząc się lekko, kiedy wiatr rozwiewał im piórka. Były jak prezent, niecodzienny i prawie nierealny. Przykucnęła i niemal przykleiła nos do szyby jak mała dziewczynka. Przez chwilę nią była i przez chwilę widziała przed sobą tylko czyste kolory...

– Załatwione, możesz spać spokojnie. – Głos Jacka w słuchawce zdradzał zadowolenie z dobrze wypełnionego zadania, co w naturalny sposób udzieliło się Kosmie.

– Jesteś wielki, mam u ciebie dług!

– Fajna jest chociaż?

– Nie wiem, zobaczymy... – Kosma wołał na wszelki wypadek nie reklamować za mocno nowej koleżanki.

– Szczegóły niech sobie dogra z kierownikiem produkcji, zaraz puszcę ci jego numer. A o długu pogadamy, może rzeczywiście będziesz mógł coś dla mnie zrobić...

– Co tylko zechcesz. Oddam wszystko poza psem i autem. Dzięki!

Zastanawiał się, czy od razu zadzwonić ze świetną nowiną do Eweliny, ale po namyśle uznał, że taką rozmowę lepiej odbyć twarzą w twarz. Na dobrą sprawę niewiele o sobie wiedzieli i mogła go wziąć za psychola lub kogoś równie atrakcyjnego towarzysko. Nie miał nawet kiedy zapytać jej o zdanie i po cichu liczył na jej spontaniczność i chęć przeżycia przygody. Bo bez wątpienia była to przygoda, zakładająca wiele dni zdjęciowych w całej Polsce. Był pewien, że nie odmówi, nawet za cenę utraconej perspektywy kawy z Szycem.

Przez chwilę miotał się po mieszkaniu trochę bez celu, trochę dla zabicia czasu. Poukładał książki na regale w salonie, pozbierał porozrzucane ubrania z podłogi garderoby. Z rozpędu przetarł nawet lustro w łazience, upstrzone plamami pasty do zębów.

– Chlew, robią taki chlew, że trudno uwierzyć – powiedział na głos, co Helmut natychmiast podchwycił i nosem wskazał kubki po kawie. Ich fantazyjnie ułożona piramida pięła się na kuchennym blacie. No tak, skwitował w duchu Kosma, jeszcze

kuchnia!

Pracował już dobrą godzinę; wyszorowany starannie blat i lśniący rząd garnków zawieszonych nad palnikami zachęcały do prób kulinarnych. Podjął jedną, choć wyzwanie nie było specjalnie trudne. Kosma specjalizował się w makaronach, nierzadko sam przygotowywał ciasto i wykrawał nitki. Dziś postawił na milanese, ulubione danie jego i dziewczyn. Kompletnie niejadalne o tej porze roku pomidory zastąpił tymi z kartoników, pokrojona cienko szynka pachniała smakowicie i pobudzała apetyt. Makaron zajął mu najwięcej czasu, ale było warto – zarówno Kaśka, jak i Michalina mogły go jeść bez dodatków. Był więc pewien, że tego popołudnia żadne z nich nie odejdzie od stołu niezadowolone. Pozostało tylko czekać, aż obie wrócą, głodne i zmarznięte.

W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku zaległ na sofie pod oknem i zanurzył się w wirtualnym świecie. Od spotkania z Edmundem Kiszczakiem wertował strony poświęcone turystyce i szkolił się z geografii, z której nigdy nie był orłem. Z rozrzewnieniem przypominał sobie swoje szkolne wpadki, jak ta, kiedy wyrwany do odpowiedzi przez starą Parchatko bez namysłu wypalił: „Dwa przeciwległe punkty na globie nazywamy biegunkami”. Z tych jego biegunek klasa śmiała się przez pięć następnych tygodni... Kilka dziewcząt spojrzało też na niego przychylniej, tłumacząc sobie językowy lapsus niesamowitym poczuciem humoru chłopaka. Wykorzystał to, rzecz jasna, bo od małego ćwiczył się w tym, by ewentualne potknięcia przekuć w zwycięstwa. Dziś szybkich macanek w zakamarkach szkolnych korytarzy do zwycięstw już by nie zaliczył, co najwyżej do dobrej rozgrzewki, ale wtedy zapewniały mu pokaźną dawkę emocji.

Kliknął w ikonkę poczty, szybko przejrzał przychodzące wiadomości z grafikami na nowy tydzień, na deser zostawiając sobie mail od Matyldy. Przeczytał go dwa razy z rzędu, zastanawiając się, czy słusznie wyczuwa w jej słowach zmianę, trochę inne nastawienie. Był wyczulony na emocje kobiet, zwykle dobrze je odczytywał, a w tym przypadku bardzo by chciał nie popełnić żadnego błędu. Zrezygnował z papierosa, który chodził za nim od jakiegoś czasu, podkurczył nogi, poprawił komputer i zaczął pisać.

*Matyldo,*

*jak zwykle masz rację... W moim przypadku Kosma to niezwykle imię całkiem zwykłego faceta. Niezwykle, bo jako jedno z niewielu męskich imion w języku polskim kończy się na literę A. Nie pomyślałaś o tym, co?*

*Zwykłego faceta, bo przecież takim jestem, do bólu przewidywalnym, starzejącym się typem...*

*Dalej sprawdzasz w pamięci męskie imiona? Mówię Ci, z A na końcu jest naprawdę mało.*

*A teraz całkiem cicho powiem coś, czego nie powinienem – modlę się o to, byś zaprzeczyła i zechciała przekonać się, że jest inaczej. Że nie jestem do bólu... itd.*

*Kosma,*

*żaden Medyceusz, zwyczajny Makarski – po ojcu...*

Poczuł, że porządnie zgłodniał, i mimowolnie nerwowo zerknął na zegarek. Powinny już być, pomyślał. Michalina zabrała rano samochód, miała sporo spraw do załatwienia w kilku miejscach. W drodze powrotnej powinna odebrać Kaśkę z apteki.

Jego żona miała dziś dzień biurowy. Jak zwykle wtedy porządkowała faktury, sprawdzała stan magazynu i odpowiadała na korespondencję. Chyba nic się nie stało? Zaniepokoił się lekko, bo zwykle o spóźnieniach informowała go z wyprzedzeniem.

Jak na zamówienie rozległ się sygnał telefonu, a ze zdjęcia na wyświetlaczu uśmiechała się jego córka. Doskonale pamiętał dzień, w którym zrobił jej to zdjęcie – Michalina zdała egzamin na prawo jazdy, był środek lata, biegła uśmiechnięta w jego kierunku. W ostatnim momencie wyminęła go, niemal wytrącając aparat z ręki, i rzuciła się na stojącego za jego plecami Jaromira. Poczuł wtedy ukłucie zazdrości, ale cieszył się ich szczęściem, a zdjęcie tylko dokumentowało jej radość. Zachował je i przypisał do jej numeru.

– Córko niewdzięczna, za ile będziecie? – zapytał, nie czekając na powitanie.

– Tato...

– Co?

Poczuł, jak coś ściska go za gardło, bo w głosie Michaliny było coś przeraźliwie zimnego.

– W aptece nie ma mamy, jest tylko list.

– Co? – powtórzył jak automat.

– Mamy jej nie szukać. Pisze, że przeprasza. Co to wszystko znaczy? Tato, boję się.

– Wracaj do domu, córeczko. Po prostu wracaj... – wycharczał i przerwał połączenie. – Kurwa! – powiedział trochę do siebie, trochę do Helmuta, który pojawił się przy nim znienacka. – Kurwa, kurwa, kurwa – powtarzał, zaciskając dłonie w pięści.

Woda na makaron kipiała od dobrych kilku minut.

– Pani wejście jest o dziesiątej trzydzieści, proszę być co najmniej godzinę wcześniej. – Męski głos w słuchawce mówił do niej szybko, ale wyraźnie. – Rozmowa będzie trwała około czterech minut. Listę możliwych pytań ma już pani na mailu.

Matylda pozwoliła się wygadać facetowi. Zresztą i tak nie bardzo wiedziała, o co ma go jeszcze zapytać. Nigdy dotąd nie udzielała wywiadu w telewizji śniadaniowej.

– Nie jest wykluczone, że pani Mancini nie dotrze do piątku. Proszę więc wziąć pod uwagę, że tylko pani będzie reprezentować pracownię.

– Będę przygotowana. – Matylda miała wrażenie, że stoi przy szkolnej tablicy i obiecuje zebrać materiały do jakiejś cholernej olimpiady.

– Piątek, najpóźniej dziewiąta trzydzieści. – Facet zrobił krótką przerwę dla nabrania oddechu. – O ewentualnych zmianach terminu nagrania zostanie pani

poinformowana telefonicznie. Czy wszystko jest jasne, pani Matyldo?

Zielona tablica nie znikwała. Siłą oderwała od niej myśli.

– Jak najbardziej.

– Zatem miłego dnia i widzimy się wkrótce. – Telefon zaburczał sygnałem przerwane połączenia, zanim zdążyła się odwzajemnić konwencjonalną uprzejmością.

Opadła z uśmiechem zadowolenia na fotel i sięgnęła po ciepłą jeszcze herbatę z imbirem. Nie zdawała sobie sprawy, że „jej” mediolański musical wywołuje tyle emocji, i to nie tylko we Włoszech. Czowała, że uczestniczy w czymś wyjątkowym.

Wywiad z nią miał być częścią obszernego reportażu z przygotowań do włoskiej premiery spektaklu. Była podekscytowana tą rozmową dla ogólnopolskiej stacji telewizyjnej; nie mogła nie doceniać siły mediów, szczególnie telewizji. Zamierzała wykorzystać swoje pięć minut najlepiej, jak potrafiła. Nigdy nie była zwierzęciem scenicznym. To wprawdzie nie był koncert z jej partią solową, niemniej jednak lekką tremę poczuła już teraz. Przejrzała pobieżnie pytania od producentów programu. Ten mail nie potrzebował odpowiedzi. Inny – owszem.

Jak będzie się czuła w towarzystwie Kosmy? Nie miała najmniejszego pojęcia. Nie odpisała mu jeszcze. Chciała sobie dać kilka dni oddechu. Wiedziała, że w końcu to zrobi i że pójdzie na spotkanie. Odsuwała tylko moment, kiedy swoją decyzją coś zmieni. Bo tego, że coś się zmieni, była pewna. Świadomość, że nie powinna, odepchnęła z premedytacją. Pragnęła się przekonać, kim jest, niezależnie od tego, co będzie dalej.

Jego ostatni list rozbroił jej nieufność. Facet był uparty. Wygooglowała go sobie i obejrzała kilka programów, w których był lektorem. Z dokumentów historycznych nie zapamiętała prawie nic, wsłuchując się w elektryzującą miękkość jego głosu, za to przy wierszach, które czytał w programach o tematyce literackiej, odpadła zupełnie. Nic dziwnego, że koledzy po fachu – delikatnie mówiąc – czuli się zagrożeni... Brzmiał doskonale! Dopełniał obraz w taki sposób, że miała wrażenie pulsowania słów. Obawiała się, że kiedy zacznie mówić do niej, niewiele zrozumie i wyjdzie na idiotkę. Dziwnie bała się tego spotkania. To nie był zwykły facet.

Na papierze wszystko wygląda prościej; między przyszłością a przeszłością na papierze jest tylko jedna litera różnicy. A w życiu? Trzymał w ręce wniosek rozwodowy przygotowany przez mecenasa Puźalskiego, najlepszego w mieście specjalistę od szybkich rozwodów. Kilku kolegów Kosmy już się o tym przekonało i mogli polecić go z czystym sumieniem. Skorzystał.

– Rozwodzę szybko, nie zawsze bezboleśnie – uprzedził go prawnik na pierwszym spotkaniu. Kosma tylko skinął głową i obaj uznali, że formalności mają już za sobą. Dużo więcej czasu poświęcili na ustalenie niezbędnych faktów. Kosma odpowiadał przez zaciśnięte zęby. Puźalski pytał i wszystko skrupulatnie zapisywał swoim eleganckim pismem osoby, która prócz wieloletniej edukacji może pochwalić się także starannym wychowaniem, wyniesionym z domu. Był prawnikiem w trzecim pokoleniu. Biło to nie tylko z jego postawy, sposobu zachowania, ale i z każdego kąta tego gabinetu. Kosma był w dobrych rękach.

Mecenas nie kłamał, rzeczywiście z dokumentami uwinął się błyskawicznie. Jego klient nie zdążył jeszcze ochłonąć po pierwszym spotkaniu, a już siedział ponownie w

kancelarii.

– Pana żonę reprezentuje mecenas Karbownik. Izabella Karbownik. Nie lubi mężczyzn, jeśli wie pan, co mam na myśli...

– Mecenasie, błagam! – Kosma chciał to już mieć za sobą.

– Sprawa przedstawia się tak...

Kosma nie słuchał, mało obchodziło go, czego zażąda jego żona. Żona? Kiedy przestanie ją tak nazywać? Podpisał w miejscu wskazanym przez prawnika i z ulgą zebrał się do wyjścia.

– Proszę pamiętać, to my składamy pozew... Po pana stronie jest racja, to pan jest pokrzywdzony. I naprawdę nie rozumiem, dlaczego rezygnuje pan z orzekania o winie? – spytał na pożegnanie Puźalski.

– Będziemy w kontakcie, uszanowanie! – Kosma uklonił się lekko i ruszył przed siebie. Jak przystało na renomowaną kancelarię, do sądu było stąd tylko kilka kroków.

Szedł jak na ścięcie, ściskając pozew – przedostatni formalny akcent jego małżeństwa.

Kaśka odezwała się po dwóch dniach od swojego zniknięcia, w zasadzie zrobiła to w jej imieniu Bożenka, jej prawa ręka w aptece. Przyjechała po kilka rzeczy i przekazała, by nie martwić się o aptekę, bo ma notarialne pełnomocnictwo i jak na razie daje radę. Zresztą Katarzyna ma się wkrótce pokazać. Katarzyna... Zawsze tak o niej mówiła: Katarzyna. Choć wszyscy znali się od lat, to dla niej nigdy nie była Kasią czy Kaśką, lecz Katarzyną. Mózg Kosmy pracował na wysokich obrotach; pełnomocnictwo potwierdzone przez notariusza? Miała czas to przygotować? Od kiedy to planowała?

Sama Kaśka zadzwoniła kilka dni później. Odebrał po siódmym sygnale, udając, że mu nie zależy.

– Pomyślałaś o dziecku? – zapytał bez wstępu.

– Nie jest dzieckiem. A ty mnie nie kochasz. Kochałeś kiedykolwiek?

– Chcesz teraz odgrywać psychodramę przez telefon? – Kosma spodziewał się tego pytania. Zawsze wisiało gdzieś między nimi, jak strzelba w teatrze. I wreszcie wystrzeliło.

– Posłuchaj, próbowałam. Przecież musiałeś to widzieć. Ale ty mnie nie kochasz, a on... Dla niego jestem wszystkim.

– Zaczęłaś palić? – Kosmie zdawało się, że słyszy, jak Kaśka zaciąga się papierosem. – Serio? Taka jesteś nagle wyzwolona?

– Widzisz? Nawet teraz chcesz mnie kontrolować... Nigdy się nie zmienisz.

– Nie wiedziałem, że powinienem się zmienić. Coś jeszcze, bo idę z psem?

– Powinniśmy porozmawiać o rozwodzie, Kosma.

– Spieprzaj.

Natychmiast pożałował, że potraktował ją w ten sposób. Przecież nie miał do niej pretensji, może trochę żalu, że nie potrafiła rozegrać tego inaczej. Że nie przygotowała Michaliny. O nic więcej. Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale rozłączyła się bez słowa.

I wtedy zrozumiał, że potrzebuje kogoś takiego jak Puźalski.

## Rozdział osiemnasty

*w którym... Tak, to jest ten moment, kiedy się spotykają. Jest John Porter, trzymając się za rękę i ciągle im mało! A Kaśka... Nie uwierzycie!*

Pan Radecki zamknął dużą zieloną teczkę z historią swojej choroby.

– Macie sanatorium od trzeciego lipca do końca miesiąca. – Matylda wstała i wsunęła teczkę do szuflady w biurku.

– Czy ja nie mogę jechać sam? – Mężczyzna skrzywił się z niezadowoleniem. – Nie róbcie ze mnie takiej ciapy!

– Tato... Proszę cię, nie kłóć się. Wiesz, że jeśli mama zostanie, nie da mi spokoju i jeszcze sama gotowa się rozchorować. A to nie jest mi teraz do niczego potrzebne. Jedźcie razem. – Westchnęła i wsunęła się głębiej w fotel. – Jak się czujesz po tych nowych lekach?

Rozległy zawał, który pan Radecki przeszedł pół roku wcześniej, postawił całą rodzinę na baczność.

– Czy ja wiem...?

Patrzyła, jak ojciec bierze głęboki, spokojny wdech.

– Nie zauważyłem różnicy. Wyniki mam lepsze, ale matka i tak nie pozwala mi się przemęczać.

– I słusznie. Gdybyś częściej jej słuchał, nie musiałbyś teraz żyć pod jej dyktando. Potrzebuję cię, tato. – Dotknęła drobnej, żylastej dłoni ojca. – To sanatorium dobrze ci zrobi. Rehabilitacja jest tam na najwyższym poziomie.

– Czemu nie wracasz? – Pan Radecki przerwał córce trochę jak zniecierpliwiony nauczyciel niedouczonej uczennicy, która chce zagadać główny temat.

– Wyjątkowo dobrze mi się tam pracuje. Okolica jest niesamowita, sąsiedzi w porządku: ciekawi, mili, gościnni. Kiedy nie ma Xeni, patrzę na ręce ekipie budowlanej, dużo śpię... Zakupy to wyzwanie, ale można się przyzwycząić.

– A kiedy on zamierza wrócić? – Matylda usłyszała w głosie ojca nutę zniecierpliwienia. – Kto to słyszał, żeby...

– Tato! Nie zaczynajmy tego tematu. – Wstała i podeszła do dużej komody. – Przylatuje za tydzień. Sam możesz go o to zapytać. – Wzięła do ręki fotografię, na której jako trzyletnia dziewczynka zbierała grzyby. Za nią kuczał ojciec i z pełnego kosza podawał dużego prawdziwka do jej małej rączki.

– To nie moja sprawa, ale...

– Tak, tato! Dokładnie tak – powiedziała nieco ostrzejszym tonem, żeby dać ojcu do zrozumienia, że naprawdę nie jest już tą dziewczynką ze zdjęcia, nie jest już nawet licealistką. – To niezwykle miejsce, tato. Żałuję, że nie jest moje.

– I co ty byś tam robiła, dziecko? – Pan Radecki przyglądał się córce z uwagą. – Nie tęsknisz za miastem?

– Tęsknię. Czasami. – Wróciła na fotel i usiadła naprzeciwko ojca. – Świat się

zmienił, tato. Wieś dzisiaj nie oznacza zaścianka; może oznaczać małomiasteczkowość, ale też niekoniecznie. Tam również ludzie mają dostęp do wszystkiego. Czasami tylko trzeba pojechać gdzieś dalej po towary luksusowe albo do teatru. Resztę kupisz przez Internet.

– Ech, ten wasz Internet. Żeby wszystko było takie proste. – Założył okulary. – Podaj mi, córuś, ten koszyk z lekami. – Wzrok Matyldy powędrował za palcem wskazującym ojca. – Matki coś długo nie ma... Pigułki mi dasz.

Posłusznie podała ojcu koszyczek. Mówił tak, jakby przejrzał ją na wylot. A może po prostu znał życie lepiej niż ona? Ciągle jeszcze zdarzało mu się karcić ją jak małą dziewczynkę. Patrzyła na jego przygarbioną sylwetkę i powolne ruchy. Tato... Musiał zdawać sobie sprawę, że przyszedł czas, kiedy to on powinien słuchać jej.

*Kosma,*

*tym razem nie zaufam przypadkowi. Obawiam się, że jeśli zdamy się na niego, istnieje duże prawdopodobieństwo, że zdążę się zestarzeć, zanim jeszcze coś mi opowiesz. Albo przeczytasz.*

*Jestem w Warszawie i muszę zjawić się w tym Twoim świecie... Udzielam wywiadu w stacji, dla której pracujesz. To tylko cztery minuty, a ja się czuję jak przed egzaminem dojrzałości. Może byś szepnął słówko prowadzącym o zadawanie nieskomplikowanych pytań? A potem już mogłabym słuchać tylko Ciebie. Jak mi czytasz wiersz na przykład. Mogłbyś?*

*Matylda*

*PS Przyszły piątek.*

– Muszę już iść... – Wcale nie musiał, ale nie do końca był przekonany, czy roztrząsanie po raz kolejny tematu rozvodu doprowadzi ich do czegokolwiek.

– Szkoda. – Kaśka to ewidentne kłamstwo wsparła słabym uśmiechem. – Mogłabym zaproponować coś mocniejszego.

– Mocniejszego? Chyba herbatę z dwóch torebek... – To, że sięga po takie suchary, było ewidentnym dowodem na to, że rozmowa się nie kleiła. – Prowadzę przecież, a na noc tu chyba nie zostaniemy?

Kosma spojrział na żonę wyczekująco, ale nie było odpowiedzi. Siedzieli na zapleczu apteki, było już po godzinach pracy. Wyglądała na zmęczoną; zdjęła buty i oparła stopy na biurku. Kremowy aptekarski fartuch rozchylił się, ukazując stanowczo za dużo. Makarski odwrócił wzrok, czując, że sztywnieje jak młokos. Zauważyła to i jeszcze bardziej rozsunęła uda.

– Co robisz? – Kosma doskonale wiedział, więc nie było to pytanie, tylko reprimenda. Nie podziałała, bo Kaśka ani o centymetr nie zmieniła pozycji.

– Chyba jednak proponuję coś mocniejszego...

Kiwała się w fotelu, balansując na tylnych nóżkach. Stopy oparte o biurko

zapewniały jej stabilną pozycję. Mięśnie ud naprężyły się i rozluźniały na zmianę. Nie miała na sobie bielizny. Ukartowała to! – Kosma nie miał już wątpliwości, że jej nagła prośba o pomoc była fortelem. Zadzwoiła z samego rana z pytaniem, czy da radę wpaść na koniec dnia, bo potrzebuje go w aptecę.

– Pan Zgaga nie może? – To pytanie było ciosem poniżej pasa, ale za późno ugryzł się w język.

– Złamał nogę w dwóch miejscach.

– W dwóch? Zdecydowanie powinien unikać tych miejsc! – Kosma nawet nie krył radości z cudzego nieszczęścia. – Dobrze, będę.

Przyszedł już po zamknięciu. Kaśka pracowała w biurze. Usiadł naprzeciw i czekał, aż skończy porządkować dokumenty. A teraz, niemal godzinę później, oboje byli już gotowi, by przejść dalej.

– Czyli jest ci tu potrzebna mała pomoc? – Zapytał retorycznie, bo to, co się działo, stanowiło wystarczającą odpowiedź.

– Mhmmm... – szepnęła mimo to Kaśka.

– Kasiu, musisz poczekać, aż Zgaga dojdzie do siebie! – Kosma odsunął się gwałtownie i zerwał z fotela. – Chyba nie myślisz, że zrobię to z tobą teraz, i to w tym miejscu?

Poprawiła fartuch i odsunęła się lekko. Patrzyła na niego, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Kosma, to nie tak...

– A jak? W co ty się bawisz?

– Nie chcę, żebyśmy rozstawali się w gniewie. Ani rozmawiali przez prawników. Rozwód nie wyklucza przyjaźni. Potrzebuję cię!

– Trzeba było myśleć o tym wcześniej!

– To ty złożyłeś pozew...

– Więc to moja wina?

– A nie? Przez te wszystkie lata rznąłeś wszystko, co się dało. Ja przymykałam oko.

– Złożyłem pozew, bo nie wróciłaś do domu.

– No właśnie, nawet nie próbowałaś o mnie walczyć... – Kaśka stanęła przed nim i poprawiła fartuch. – Kogo teraz pieprzysz, że brakło ci czasu, by zadbać o żonę?

– Przestań...

– Żal mi ciebie, Kosma – powiedziała cicho i głośniejszą dodała: – Idź już, wszystko zepsułeś.

Cholera, rzeczywiście wszystko zepsułem, myślał, odpalając papierosa przed samochodem. Co jest ze mną nie tak?

Wybrała prostą tunikę z zabudowanym łódkowatym dekoltem. Pozwoliła sobie jednak nie przykrywać odkrytych ramion żadnym sweterkiem. Świeży, prosty manicure, wesołą biżuterię w kolorach fuksji i czerwieni dobrała do malowanej przez siebie góry w tych samych kolorach; czarne skórzane kozaki na wysokiej szpilce dopełniały reszty. Makijaż zrobiła klasyczny, ale staranny – w tym wieku umiar oznaczał po prostu klasę. Specjalnie wybrała taki zestaw kolorystyczny i z premedytacją przyłożyła się do najdrobniejszych szczegółów. Dzięki temu czuła się pewniej, poza tym liczyła na to, że



nienaganny look chociaż odrobinę pomoże jej zmniejszyć treść.

Nie spodziewała się, że najbardziej rozluźni ją Ewelina, energetyczna dziewczyna, którą Matylda poznała przy okazji jakichś malarskich plenerów prowadzonych przez Xenię. Jej obecność przy charakterystycznych lustrach zaskoczyła Matyldę. Cieszyła się, że spotkała ją właśnie tutaj, ale nie bardzo mogła się połapać w jej opowieściach o tym, co się działo w życiu dziewczyny przez ostatnie lata, bo myślami była już na kanapie kilka metrów dalej.

– Musiak Magdalena? Trzy minuty. Orzecki Mateusz i Zięba Klaudyna, proszę się przygotować. Siedem minut. – Z zamkniętymi przy makijażowych poprawkach oczami nie mogła dokładnie zlokalizować głosu. Szum rozmów dużej liczby osób na zapleczu telewizyjnego studia i stan permanentnego napięcia rozstrajały ją i nie pozwalały zebrać myśli.

– Pani Witecka Matylda za piętnaście minut.

Na dźwięk swojego nazwiska nerwowo drgnęła na fotelu.

– Musimy się zdzwonić. – Ewelina nie dawała za wygraną. Kiedy zajęła się ustami, Matylda mogła spojrzeć w lustro. W ludzkim mrowiu wypatrywała Kosmy. Teraz dopiero żałowała, że umówiła się z nim w takim miejscu. Jeszcze tylko tego brakowało, żeby zobaczył, jak w nerwach zapomina języka w gębie...

– Gotowe, leć! – Makijażystka zdjęła Matyldzie chusteczkę higieniczną zabezpieczającą dekolt sukienki. – Dom wariatów... Obiecuj, że zadzwonisz! – dokończyła, lustrując już twarz kolejnej „gwiazdy”, której Matylda musiała ustąpić miejsca.

Posłała Ewelinie całusa w powietrzu i wycofała się bezpiecznie pod ścianę, omijając kilka dzieciaków prawie pełzających po podłodze. Widziała fragment studia między plecami kamerzystów i facetów z słuchawkami w uszach. Minuty leciały zdecydowanie za szybko. Gapiła się odrętwiała na dziwaczną fryzurę prowadzącej i kiedy padło jej nazwisko, dopiero po chwili dotarło do niej, że komunikat dotyczy właśnie jej.

– Pani Witecka Matylda: trzy minuty.

Czyjeś ręce poprawiły jej mikroport przy dekolcie...

Od samego początku wiedział, że nie zdąży, nie było na to najmniejszej nawet szansy. Powinien był wyjechać do Warszawy dzień wcześniej, jak normalny, rozsądny człowiek. Mógł skorzystać z noclegu u Huberta, ale bał się pytania, co u dziewczyn. Wolał oszczędzić i jemu, i sobie długich wyjaśnień. Poza tym wciąż jeszcze nie przegadali sprawy z czasopiśmem, a na to teraz po prostu nie miał siły. Wstał skoro świt, za oknem było jeszcze ciemno. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę, że ciemno jest także w mieszkaniu. To nie budzik przywrócił go do przytomności, ale właśnie dojmująca cisza. Nasłuchiwał przez moment. Żadnego agregatu lodówki, radia za ścianą, nic – słyhać było tylko chrapanie Helmuta. Dzień zaczął się od awarii zasilania, prądu nie było na całej ulicy.

Staął obok deski do prasowania z naręczem niewyprasowanych koszul, przestępując nerwowo z nogi na nogę.

– Jeśli myślisz, że od tego tuptania w miejscu żelazko się nagrzej, to jesteś w błędzie, tatusiu. – Michalina doskonale wiedziała, jak podnieść go na duchu. Nie

zareagował, dalej wpatrywał się jak zahipnotyzowany w prasowalnicę i myślał: nie zdążę. Córka wróciła do swojego pokoju, a on w pośpiechu zajął się poranną toaletą. Golenie przy świeczce nie należy do najłatwiejszych, ale o dziwo nie pozacinał się bardziej niż zwykle. Kiedy kończył prysznic, powróciło zasilanie. Spojrzał na zegarek i zaklął. I tak nie zdążę... Nie umówili się jakoś konkretnie, niemniej aby przebić się w piątkowe przedpołudnie do centrum stolicy, powinien już być w drodze.

Na śniadanie nie było czasu, zdążył tylko wyprasować błękitne dżinsy i białą koszulę. Pasowały do sportowej marynarki w lekką kratę, którą dostał od Kaśki na imieniny... a może zupełnie bez okazji? Nie pamiętał. Zabawne, gdyby wiedziała, że założy ją właśnie na tę okazję...

Podrapał psa pod brodą. Helmut nie zauważył zwyczajowego zaproszenia na spacer, więc przewrócił się tylko na drugi bok. Kosma zajrzał jeszcze do Michaliny, ale ta zdążyła usnąć na nowo. Zostawił jej uchylone drzwi i po cichu wyszedł na korytarz.

Korek zaczynał się zaraz za Nadarzynem. Z nerwów walił pięścią w kierownicę i klął, na czym świat stoi. Głównie na swoją głupotę, bo poruszające się szybciej niż zwykle wskazówki zegarka śmiały mu się prosto w twarz. Trzeba było jechać wczoraj! Prawie nie usłyszał telefonu, odebrał chyba w ostatnim momencie.

– Tak? – zapytał, nie wiedząc, kto dzwoni; nie zdążył zerknąć na wyświetlacz.

– Cześć, Kosma, za ile będziesz? – To Jagoda, którą prosił o sygnał, kiedy tylko w budynku pojawi się Matylda.

– Hej, stoję w korku. – Rzeczywiście cały pas stał od dobrych kilku minut. – Robię, co mogę. Jest?

– Tak, właśnie odebrała przepustkę. Wygląda na zagubioną...

– Kurwa mać! – Kosma zmełł przekleństwo i spojrzał na drogę.

– Mówiłeś coś? – Na szczęście Jagoda nie dosłyszała albo tylko udawała.

– Że jesteś cudowna i że nigdy nie pogodzę się z tym, że jesteś zajęta.

– Ale ja nie jestem zajęta, Kosma...

– Kur... No tak, żartowałem. Muszę kończyć, chyba coś się ruszyło. Dzięki!

Odłożył telefon i popukał się w czoło. Skup się, debilu!

Od tego momentu wszystko jakby przyspieszyło, ruch stał się płynny, nawet światła układały się w zieloną falę. Wbiegł do budynku w momencie, kiedy w studiu kończyła się rozmowa z ośmioletnim chłopcem chorującym na raka. Młody specjalizował się w wyplataniu wiklinowych koszy, które stacja wystawi na aukcję. Wszystko po to, by zebrać środki na serię zabiegów w Stanach. Wywiad w porannym paśmie z pewnością poruszy widzów i wzbudzi potrzebę pomocy. Matylda miała być następna. Zobaczył ją w ostatniej chwili, niemal wpadł na nią, biegnąc przez szeroki hall. Zdążył wyhamować, ale o wyrównaniu oddechu nie było już mowy.

Stanął tuż przed nią i poprawił jej mikroport. Tak naprawdę tylko udawał, że coś sprawdza, ale wyglądało to bardzo profesjonalnie i nie zorientowała się, że Kosma nie wie, co robi.

– Pamiętaj, mówisz wprost do kamery. I wyobraź sobie, że to nie kamera, tylko ja. I że zaraz pójdziemy na obiecaną watę. – Zobaczył jeszcze zdziwienie w jej oczach, ale na wyjaśnienia nie było już czasu.

– Jesteś... – zdążyła jeszcze wyszeptać i ktoś pociągnął ją w stronę wygodnej kanapy dla gości programu. Tuż obok ustawiono wielki ekran, na którym miała się pojawić artystka z Włoch. Nie udało się jej ściągnąć do Polski, ale za to podjęła gościnnie ich ekipę telewizyjną. Będą się łączyć na żywo, a stara ma im pokazać swoją pracownię. Tę, w której malowała też Matyllda. Ona sama czekała w skupieniu, uśmiechając się do prowadzącej dwójki redaktorów.

Kosma usiadł spokojnie przed monitorem w poczekalni i wreszcie odsapnął. Zdążył...

– Ojciec, ale czad, wiesz kogo widzę w telewizorze? Tę babeczkę, co namalowała mojego motyla!

Jak się zorientował, Michalina już wstała i na dodatek spędzała poranek, oglądając telewizję.

– Opowiada o włoskim teatrze. Coś tam dla nich maluje.

– Nie gadaj, serio? – Kosma uśmiechnął się pod nosem. – To oglądaj, opowiesz mi, jak wrócę.

– A kiedy wrócisz? – zapytała, mlaskając, co upewniło Kosmę, że jego dziecko nie siedzi głodne.

– Nie wiem, córeczko, dam ci znać, jak wszystko pozalątwiam. Pewnie wieczorem. Pa!

Rozmowa w studiu przedłużała się, bo zarówno włoska właścicielka pracowni plastycznej, jak i sama Matyllda opowiadały ciekawie, barwnie ilustrując swoje wypowiedzi anegdotami ze świata sztuki i włoskiej kultury. Kosma schował telefon i oparł się wygodnie. Prawie nie słuchał, koncentrując się na kobiecie, którą do tej pory znał tylko z listów. Była w swoim żywiole, to jasne.

– Do niczego nie byłem ci potrzebny – powiedział z lekką przyganą w głosie, kiedy wyswobodzona już z mikroportu stanęła w progu poczekalni.

– Nie żartuj, jeszcze się trzęsę! – Rzeczywiście, kiedy stała tak lekko oparta o ścianę, wyglądała na nieco zagubioną, a pewność siebie, którą emanowała jeszcze kilka minut wcześniej, gdzieś się ulotniła. – Dobrze, że przyjechałeś... Choć liczyłam na to, że będziesz wcześniej.

– Seria niefortunnych zdarzeń, przepraszam...

– Cieszę się, że jesteś. – Usłyszała swój głos, dużo niższy niż zwykle. Gdzieś czytała, że głos potrafi znacznie się obniżyć, jeśli pojawia się zdenerwowanie. Ta teoria mogła być prawdziwa. Dużo by oddała, żeby słyszeć teraz jego myśli. Czowała ciepły i intrygujący zapach jego perfum i żałowała, że telewizyjne windy są takie duże. Zjeżdżali w towarzystwie innych gości, ale nie było aż tak tłoczno, żeby bezkarnie przysunąć się do niego. A tego właśnie chciała, działał na nią jak magnes. Kosma jakby czytał w jej myślach, bo wyciągnął rękę i lekko przyciągnął ją do siebie. Poddała się bez oporu, jej mała dłoń zniknęła w jego dłoniach. Podniósł ją i szarmancko pocałował.

– Gratuluję, Matylldo! – powiedział szeptem, a włoski na jej karku natychmiast stanęły na baczność. – Świetny wywiad. Musisz mi to wszystko jeszcze raz opowiedzieć.

– Chętnie, ale najpierw ty. Obiecałeś...

Oddała przepustkę miłej pani w recepcji, która o sekundę dłużej, niż powinna,

zatrzymała wzrok na jej towarzyszu. Kosma uśmiechnął się do niej i bezgłośnie wyszeptał: „dziękuję”. Zupełnie jakby tę dwójkę łączyła jakaś cicha umowa.

– Za co jej dziękowałeś? – zapytała Matylda podejrzliwie.

– To Jagoda, bardzo miła dziewczyna. Prosiłem ją, by mi dała znać, kiedy się pojawi. Miałem kłopot z wyjazdem z Łodzi i bałem się, że nie dotrę na czas. Jagoda trzymała rękę na pulsie. Gdybym nie zdążył, miała cię tu zatrzymać pod jakimkolwiek pretekstem.

– Coś się stało?

– Nie, po prostu złe planowanie, brak prądu, takie tam. No nic, było, minęło...

Szli wolno po parkingu w kierunku volvo na łódzkich tablicach. Matylda przyjechała do studia taksówką, wołała nie ryzykować samodzielnego przejazdu ośnieżonymi ulicami Warszawy. Kosma spojrział na nią pytająco. Domyśliła się od razu.

– Jestem bez auta, ty dowodzisz!

– To co, herbata w Żółtej Cizemce? – Wziął ją za rękę, jakby się bał, że przez kilkanaście pozostałych metrów zmarznie bez rękawiczek.

– Tak, i coś do zjedzenia. Zgłodniałam...

To trzymanie się za rękę było tak naturalne, że nawet nie zastanawiała się, co jej matka powiedziała o łamaniu konwenansów. Śnieg ciągle padał, ale jej zupełnie to nie przeszkadzało. Przez chwilę pomyślała nawet, że ostatnio tak się czuła w maju przed maturą. Motyle w brzuchu miała chyba jeszcze większe niż te na swoich obrazach.

W lokalu tylko kilka stolików było zajętych. Usiedli daleko od baru, którym zawiadywał dziś nieznany im młody człowiek. Matylda prawie nie zwróciła na niego uwagi, Kosma pobieżnie odnotował nieobecność Izy. Może to i lepiej? – pomyślał. Zamówił dla nich herbatę i rozgrzewający krem z pomidorów. On też zgłodniał, z domu wyjechał przecież bez śniadania.

– Kto zaczyna? – zapytał, kiedy skończyli posiłek i rozsiedli się wygodniej.

– To może ja? – Matylda zebrała się na odwagę. Nie mogła inaczej, czuła się nadspodziewanie dobrze przy tym prawie nieznanym mężczyźnie. Spokojna i zrelaksowana.

Najtrudniej było jej mówić o Wiktorze. Nie mogła i nie chciała tego przemilczeć w tej rozmowie. Musiała dać mu do zrozumienia, że to, co odkryła kilka miesięcy wcześniej, zraniło ją bardzo mocno. W jej głowie dużo się działo. Nie wiedziała jeszcze, jak potoczy się ich znajomość. Nie znała jego myśli, ale pragnęła, żeby wiedział, że nie jest niezniszczalna. W sumie mówiła niewiele, starając się przy tym być szczerą i prawdziwą. Liczyła, że tak właśnie ją odczytał. Motyle w brzuchu co i rusz wylatywały na wolność, muskając jej rozgrzane policzki, uda i koniuszki palców u rąk. Bijącego serca nawet nie próbowała uspokajać.

– Ciągłe gadam i gadam, pewnie masz mnie już dość?

– Nie, przeciwnie... Chcę więcej...

– Nie wierzę, że przyjechałeś.

– Nie wierzę, że byłem aż tak głupi, by nie zrobić tego wcześniej.

Oboje jak na komendę spojrzeli w stronę stolika, przy którym dzięki zagubionemu listowi zaczęła się ich historia. Dziś był zajęty przez zapatrzonych w siebie nastolatków.

Na pierwszy rzut oka widać było, że kwitnie tam wielka miłość.

A może całkiem zwyczajna?

– Muszę ci coś powiedzieć, masz jeszcze chwilę?

Miała, miała nie tylko jedną, ale tyle chwil, ile potrzebował. To właśnie chciała mu powiedzieć, kiedy zasłuchana w jego głos, otulona delikatnym zapachem męskich perfum, siedziała, trzymając jego dłoń w swoich. Opowiedział jej wszystko. Czuł tak wielką potrzebę zrzucenia z siebie tych wszystkich emocji, że kompletnie stracił rachubę czasu. Kelner dwukrotnie donosił im ciepłe napoje, skusili się też na coś słodkiego. Były momenty, kiedy dostrzegła w kącikach oczu Kosmy cień uśmiechu, zwłaszcza kiedy wspominał o córce. Był szczery w tym, co mówił. Taki, jakim sobie go wyobrażała.

Wiele godzin później pożegnał ją bez pośpiechu grzecznym pocałunkiem w policzek. Przywarła do niego całym ciałem i musnęła ustami jego ucho. Zadrżał. Tak samo wolno szła w kierunku klatki schodowej, jak on spokojnie odjeżdżał.

Zimna cisza w mieszkaniu powoli studziła jej twarz. Niedbale rzuciła płaszcz na fotel w przedpokoju. Nie zapalając światła, wmieszała się w poduszki na kanapie i owinęła kocem. Światła ulicznych latarni oświetlały pokój. Zwinęła się w kłębek jak zmarznięty kot. Nie chciała czymkolwiek zagłuszać jeszcze świeżych wspomnień.

Dysonans był tylko jeden – wyraźny i natrętny. Kiedy pojawiała się słowo: żona. Nie była w stanie zdefiniować ledwie wyczuwalnego drżenia, które gdzieś chyłkiem przecisnęło się do jej serca.

Chciała, żeby wrócił.

Zasnęła na kanapie w ubraniu i makijażu.

Niczego sobie nie obiecywał, nie planował przecież tego spotkania i na dobrą sprawę nie wiedział, czy Matylda będzie miała czas na jego rozterki. Słuchała jednak uważnie, od czasu do czasu wtrącając jakieś pytanie. Zasiadzieli się i miał teraz wyrzuty sumienia, że zaabsorbował ją tak mocno swoją historią. Jakby swoich kłopotów miała mało, pomyślał. Opowiedział jej ze szczegółami o swoim pogubieniu, o kobietach, które pojawiały się znienacka. Nie chciał ukrywać, że nie jest uczciwy w związku, ale też nie próbował tłumaczyć swojego postępowania występkiem Kaśki. Życie jest nieprzewidywalne, po prostu brał to, co przynosiło. Widział, jak zaszklily jej się oczy, kiedy opowiadał o śmierci Jaromira, o tym, jak próbowali to przechorować z córką.

Jedno jest pewne: poczuł się lepiej. Ona chciała słuchać, sama też opowiedziała mu o Wiktorze. Patrzył na nią tak intensywnie, jakby chciał zapamiętać jak najwięcej szczegółów, na wypadek gdyby nie zgodziła się na więcej spotkań albo gdyby musieli wrócić do listów. Była interesującą kobietą, z delikatną urodą i jakimś szykiem, który przychodzi z wiekiem. Miała klasę i urok, któremu poddał się bez oporów. A pocałunek w ucho, którym pożegnała go przed swoim domem, piekł go jeszcze wiele godzin później. Przycisnął dłoń do małżowiny, chcąc sprawdzić, czy nie zostały tam ślady szminki. Pragnął, żeby zostały... Jak stempel, który mógłby zaświadczać, że jest jej własnością.

– Jak tatuaż... – powtórzył za Johnem Porterem, którego *How I Want You* zabrzmiało w samochodowym radiu zaraz po tym, jak ruszył spod jej domu.

*I don't even know who you are*

*that's not the point*

*you're like a tatoos on my heart*

*and you're keepin' me, keeping me warm...10*

10 Porter Band, *How I Want You* (sl. John Porter).

## Rozdział dziewiętnasty

*w którym sprawdzimy, czy twój ojciec pali fajkę, a Matylda orientuje się, że mogłaby tak jechać na koniec świata*

Z mieszkania powoli znikaly bibeloty i pamiatki nagromadzone przez te wszystkie lata przez Kaske. Zupelnie jakby chciala nowe zycie budowac na zgliszczach starego. Nie mial jej tego za zle, nawet pomagala znosic niektore rzeczy do auta. Pan Zgaga, wciaz niedysponowany, asystowal telefonicznie, dogladajac, czy nie wspominaja za dlugo starych czasow. Nie wspominali. Mocno pilnowali, by nie wpaść na siebie w przejściu lub nie otrzeć się przypadkiem. Kosma był uprzejmy do bólu, Kaśka jakby nieobecna. Michalina, pełna żalu do matki, znikala u siebie lub po prostu nie wracala do domu. Kosma próbował z nią rozmawiac na ten temat, ale bez większych efektów. To był dla niej drugi cios w krótkim czasie. Najwidoczniej potrzebowała kilku chwil, by poukladać sobie ich rodzinę na nowo.

Mecenas Pużalski kazal mu być spokojnym; dziecko to już nie dziecko, tylko dorosła kobieta. Każde z nich miało własne pieniądze, podział dóbr materialnych odbył się więc bez problemu, a spisana umowa rozwodowa praktycznie załatwiała sprawę. Sąd nie będzie miał wyjścia, wystarczą dwa spotkania.

– Moja pomoc ograniczyła się do przygotowania dokumentów. Rzadko mi się trafia, by pary rozchodziły się w takiej zgodzie – podsumował ich kolejne spotkanie Pużalski. – Więcej takich spraw, a zostanę bezrobotny...

Sądząc po wysokości honorarium, to na tym bezrobociu długo nie będziesz miał krzywdy, pomyślał Kosma, jednak zachował tę uwagę dla siebie. Cała ta akcja z mecenasami wydała mu się teraz bez sensu, jakby oboje z żoną naoglądali się za dużo amerykańskich filmów. Z Kaśką nie zamierzali się kłócić ani walczyć na sali sądowej. Przecież do tej pory potrafili się porozumieć bez asysty obcych. Dlaczego teraz miałyby być inaczej?

Ustalili, że mieszkanie w lofcie przepiszą na córkę, a pozostały kredyt spłacą solidarnie, po połowie. Kosma początkowo protestował i oferował, że weźmie ten ciężar na siebie. Po czasie doszedł jednak do wniosku, że nie będzie sponsorował nowego partnera swojej żony. Zwłaszcza kiedy już nie będzie jego żoną. Chcą być razem, niech bulą! Apteka zarobi na to bez problemu. W kwestii jego zamieszkania Kaśka się nie wypowiadała, mógł zostać na Tymienieckiego, mógł poszukać czegoś dla siebie.

– Ten temat już mnie nie dotyczy! – zakomunikowała któregoś dnia podniesionym głosem. – Mieszkanie zostawiam, zostawiamy, córce i jeśli chce... jeśli chcecie mieszkać razem, to wasza sprawa.

Ten wysoki ton zdradzał duże emocje i miał za zadanie coś ukryć. Co? – zastanawiał się Kosma. Czyżby zaczęła wątpić w słuszność swojego wyboru? Przecież musiała tęsknić nie mniej niż oni. Nie drażył, a ona, nie czekając na kolejne pytania, wyszła na taras. Wzięła do ręki paczkę jego papierosów i obracała nerwowo jednego w

palcach. Wyszła kwadrans później, z krótkim „cześć” na ustach.

Kosma od spotkania z Matyldą nie zapalił. Obudził się następnego dnia z mocnym przekonaniem, że to spotkanie będzie miało jakieś następstwa – jednym z nich było pożegnanie z tytoniem. W kilku miejscach walały się jeszcze napoczęte paczki, więc systematycznie usuwał je podczas sprzątanía. Ta na tarasie była ostatnia. Pożegnał ją bez żalu, podobnie jak i bez żalu, po raz pierwszy chyba, pożegnał Kaśkę. I tak jak ona nie miał do powiedzenia nic poza zdawkowym „cześć”.

Dużo radośniej odezwał się do słuchawki, widząc na wyświetlaczu telefonu uśmiechniętego jeża. Ewelina.

– Co się dzieje?

– Co się dzieje? Czy ty nigdy nie nauczysz się okazywać entuzjazmu, kiedy telefonuje do ciebie ktoś tak wyjątkowy jak ja?

– Boże, rozmawiałem dziś o tobie z Gerardem z produkcji, skarżył się, że ostatnio zawałiłaś *job*, i pomyślałem, że masz jakieś kłopoty. A wiesz, na kłopoty... Makarski!

– Nie zawałiłam, tylko ten kretyn pomylił grafiki. I teraz się wypiera. – Ewelina nie należała do tych, które dają sobie dmuchać w kaszę.

Propozycję Kosmy, by dołączyła do ekipy realizującej nowy format, przyjęła po krótkim namyśle. Nie chciała wiązać się na poważnie w nowym miejscu; jak opowiadała później, wynikało to z choroby jej mamy. Kłopoty onkologiczne mocno nadwyrężyły zdrowie starszej pani, a na Ewelinę nałożyły nowe obowiązki.

– Kosma, spróbuję, ale jak się nie uda, nie miej pretensji. Matka ma tylko mnie.

Spróbowała od mniejszych form, w których okazała się rewelacyjna i gdyby tylko chciała, mogłaby zostać w NTV na stałe. Była dobra w swoim fachu.

– Nie przejmuj się! – Kosma wrócił do przerwanej rozmowy. – Przecież wiesz, że na ciebie leci. To takie końskie zaloty...

– Sroty-pierdoty. Jedziesz rano do Warszawy? Zabrałabym się z tobą.

W sumie to mógł jechać. Wiedział, że Matylda nie opuściła jeszcze miasta i mógłby zrobić jej niespodziankę, może odwiedzić w SenSualu? Stęsknił się i chociaż obiecali sobie szybko kolejne spotkanie, to na razie nic się nie działo. Najchętniej zabrałby ją do Łodzi i pokazał fabrykanckie wille, osiedle artystów przy Srebrzyńskiej, na którym mieszkał Strzeмиński z Kobro, pozostałości po stacji Radegast, skąd wyprawiano do obozów Żydów z getta w Litzmannstadt, czy pełen robotniczych czynszówek Księży Młyn, który uwielbiał oglądać z okien swojego mieszkania. Nie wiedział tylko, czy ona zechce poświęcić mu jeszcze trochę czasu. A już na pewno nie wiedział, jak zareaguje, widząc go niespodziewanie w drzwiach salonu. Zaryzykować?

– Zaryzykuję! – powiedział na głos.

– Słucham? – Ewelina nie załapała w pierwszym momencie.

– Yyyy, to znaczy: zaraz się pakuję. O której musisz tam być?

– Wyrobisz się na siódmą trzydzieści? Tak, żebyśmy byli przed jedenastą.

– Wszystko w łapach Helmuta, ale pewnie tak.

– Ucałuj go ode mnie!

– Przyjdź tu i sama go ucałuj, tylko wcześniej poćwicz na mnie!

– Na tobie? – zapytała z udawaną odrazą. – Marzyciel! Do jutra!



– Do jutra – odpowiedział Kosma już do głuchej słuchawki.

Sprawdził jeszcze pocztę, ale nie znalazł tam niczego ciekawego. Ani nic, na co by czekał. Mówiąc zupełnie wprost – ani słowa od Matyldy.

– Eeech, do jutra – mruknął i sięgnął po smycz. – Ominęło cię dziś sporo buziaków – powiedział do Helmuta, który natychmiast zaszczekał z wyrzutem. Co jak co, ale buziaki od pań lubił wyjątkowo. Nawet spacer nie był w stanie zrekompensować mu tej straty. To przez ciebie, zdawało się mówić każde nerwowe machnięcie psiego ogona.

– Przysięgam, nie przeze mnie – odpowiadał Kosma, kiedy tak szli noga przy nodze.

Przez kolejne dni żyła z kalendarzem w ręku. Musiała trzymać się planu, żeby nie ugrzęznąć w stolicy na dłużej. Wizyta w mediach zrobiła swoje. Zajęta swoimi sprawami, nawet nie pomyślała, że telewizję śniadaniową ogląda taka masa ludzi. Po emisji programu telefon nie przestawał dzwonić i pisać esemesami. Za gratulacje podziękowała, pozostałe sprawy podzieliła na te na już, te, które wymagały od niej chwili przemyślenia, i takie, którymi mogła się spokojnie zająć w siedlisku. Pewna propozycja matrymonialna od dyrektora spalarni odpadów medycznych w Dobroszkach rozjaśniła jej dzień. Za to odważnemu dyrektorowi raczej nie było do śmiechu, albowiem nie wiedzieć czemu odmowy się nie spodziewał. Musiała też grzecznie odmówić niejakiej Jolancie, przedszkolance z warszawskiego „Żwirka i Muchomorka”, tłumacząc spokojnie, że nie, nie uszyje kostiumów do przedstawienia *Bohaterskie pszczołki*, ponieważ nie szyje, tylko maluje, i nie pszczoły, ale motyle... Jolanę odmowa również zaskoczyła. Za to słupek sprzedaży w SenSualu poszedł w górę jak tulipany w kwietniu. Okazało się, że zaskoczyć można i Matyldę.

– Matyldo? – przeglądanie telewizyjnych maili, jak je w myślach nazwała, przerwał telefon od Ewy. – Sprzedało się siedem obrazów. Muszę wyciągnąć coś z zaplecza; ściana jest goła, źle to wygląda. Mamy same coś wybrać? – W tle było słychać szum kilku głosów. – Korekta... – Ewa zawiesiła głos na dłuższy moment. – Ósmy też poszedł!

– No to muszę przyjechać. Niech mała sprawdzi jeszcze, ile zostało kompletów tej satynowej ombre w żółcieniach. Zrobimy od razu zamówienie. Za godzinę? – Matylda spojrzała na zegarek i przyjrzała się swoim włosom. Zmarszczyła brwi. – Za dwie. I przygotuj, proszę, faktury; chcę im się przyjrzeć.

– Wysyłam ją po coś słodkiego.

– Faktury! Pa.

Przeglądała pobieżnie jeden mail za drugim, czyszcząc metodycznie skrzynkę. Zostawiła wiadomość z jakiegoś teatru lalek i z łódzkiej filmówki. Kostiumolodzy z obu placówek prosili o kontakt. Obiecująco brzmiał też telefon z niewielkiego butik, który obsługiwał klientelę z pierwszych stron gazet. Spotkanie z właścicielką zaplanowała na kolejne dni. Miała szansę sprzedać wreszcie projekty, które od dobrych paru lat czekały na swój czas. Ale musiała mieć chwilę, żeby zastanowić się, jak bardzo będzie mogła zaangażować się w coś jeszcze.

Zwlekała z zamknięciem laptopa. Czekala jeszcze na ten jeden mail...

Umyła i wysuszyła włosy, po czym włożyła czarny obcisły golf i ulubione dopasowane dzinsy. Odwróciła się tyłem do lustra i przyjrzała z zadowoleniem swojej

pupie. Zawsze w ten sposób mierzyła dzinsy. Jeśli pupa nie wyglądała dobrze – nie kupowała.

– Nieźle... chyba – powiedziała do odbicia w lustrze i założyła włosy za ucho.

Coś się zmieniło od ubiegłego piątku... Dziesiątki razy wracała myślami do momentu, kiedy Kosma wziął ją za rękę na parkingu telewizji. Jak to dobrze, że nikomu nie musiała się do tego przyznawać! Za każdym razem na to wspomnienie czuła przepływające falami mrowienie... Nie wysłała do niego żadnej wiadomości tylko dla zasady. Zresztą nie mogła być pewna, czy by odpisał.

Wciąż patrząc w lustro, dotknęła policzka. Przymknęła oczy i głębiej wciągnęła powietrze.

Wiktor miał przylecieć za trzy dni. Tylko trzy dni...

Podeszła jeszcze raz do laptopa. Nic. Westchnęła.

Piknął esemes: „Faktury za ostatni miesiąc też?”. Z ociąganiem zamknęła komputer i wsunęła urządzenie do torby. Telefon odezwał się tym razem natarczywym dzwonkiem.

– Czy pani jednak nie przemyślałaby jeszcze mojej propozycji? – Bezbłędnie rozpoznała tubalny głos amanta z gminy Dobroszki.

– Panie Adamie? Pan Adam, tak?

– Jerzy, pani Matyldo. Słucham pani bardzo uważnie.

– Nic z tego nie będzie. Pozdrawiam.

Nie mógł nie zauważyć fizycznej atrakcyjności Eweliny, zwłaszcza gdy siedziała na fotelu pasażera, a już szczególnie, kiedy przechylała się do tyłu, sięgając po coś z leżącej tam torebki. Nauczony doświadczeniem, podkreślił niepostrzeżenie ogrzewanie. W samochodzie było już i tak ciepło – na tyle, że dziewczyna błyskawicznie pozbyła się kurtki. Kosma zrobił to z premedytacją, licząc na przyjemny widok podczas podróży. I nie chodziło mu bynajmniej o podziwianie piękna mazowieckiej ziemi za oknami auta. Opięty pas bezpieczeństwa wpijał się w jej biust, co powodowało, że wzrok kierowcy co i raz gubił tor jazdy.

– Jesteś starą i głupią męską świnią! – powiedziała bez przekonania Ewelina, przyłapując po raz kolejny jego spojrzenie skierowane w nieodpowiednie miejsce. – Powiedz, że masz ochotę, a nie: czaisz się jak partyzant w lesie.

– Po prostu się martwię, że pognieciesz sobie bluzkę... – Kosma podjął nieśmiałą próbę ratowania twarzy.

– No to masz ochotę czy nie, chłopaku? – Ewelina nie dawała za wygraną. Jej dociekliwość nie była mu teraz na rękę. Patrzyła na niego uważnie i przez chwilę wyobraził sobie, że jest bezbronnym motylem, nad którym ona pochyla się z wielką szpilką. Za chwilę skona przyczepiony do korkowej tablicy.

– Motyla noga! – zaklął wcale nie szpetnie. – A nie może być tak, że zostawimy to niedopowiedziane? Ja wiem, a ty się domyślasz.

Przez chwilę jechali w milczeniu, jakby zbierali siły przed kolejnym słownym starciem. Był gotów poddać się bez walki. Lubił tę dziewczynę młodszą od siebie o dobrych kilkanaście lat. Nie chciał budować między nimi seksualnego napięcia, choć podobała mu się jako kobieta i wcale nie zamierzał tego ukrywać. Tyle tylko, że nie chciał takiej rozmowy dziś, w tym momencie. Głowę miał teraz zaprzątniętą kimś zupełnie

innym. Coś jednak powiedzieć trzeba było.

– Nie musisz czuć się w żaden sposób zobowiązana... – zaczął ostrożnie.

– O czym ty mówisz? – Ewelina, wyrwana z zamyślenia, spojrzała na niego z ukosa.

– Mówię, że cię lubię, i to wszystko. Nie chcę żadnych dowodów wdzięczności.

Znów zamilkli i jechali tak w ciszy kilka kilometrów. Kosma udawał, że skupia się na prowadzeniu, ona zaś odwróciła głowę i wypatrywała czegoś w oddali.

– Jestem ci wdzięczna, Kosma. – Ewelina pierwsza przerwała ciszę. – Ale poszłabym z tobą do łóżka nie z tego powodu.

– Czyli jednak nie zostanie to w niedopowiedzeniu. Okej, skoro wszystko ustalone, zajmijmy się czymś konkretnym! – zaproponował z uśmiechem.

– Wracasz dziś? – zapytała.

– Nie wiem, wszystko się może zdarzyć... – zanucił pod nosem.

– Jezu, nie wyjeżdżaj mi tu z Lipnicką! – przerwała mu wokalne popisy. – I nie gap się znów na moje cycki.

– A to dlaczego? Skoro mamy już potwierdzone wzajemne zainteresowanie...

– No to rób to mniej ostentacyjnie!

– Głupia, patrzę na plamę, którą masz na tej białej bluzce! Od godziny zastanawiam się, czy masz coś na przebranie.

Ewelina zerknęła w dół i zaklęła. W okolicach dekoltu wykwitła czerwona plama z keczupu. Zaraz po wyjeździe z Łodzi stanęli na szybkiego hot doga na stacji i najwyraźniej pośpiech nie był w tym przypadku dobrym doradcą.

– Kurwa, naprawdę myślałam, że patrzysz na moje cycki!

– Hmmm, powtórzę: ja wiem, a ty się domyślasz...

Przekomarzając się w ten sposób, dojechali na miejsce i Ewelina pożegnała go z wyraźnym żalem. Znali się krótko, ale był dla niej jak starszy brat. Momentami wolałaby, żeby był kolegą starszego brata. Zwłaszcza w tych chwilach, kiedy potrzebowała męszczyzny. Tak, powiedziała do siebie w myślach, teraz to i ja wiem, a ty się domyśliłeś.

Staął na chwilę w McDonald's żeby zebrać myśli i nabrać odwagi. Postawił dziś na niedbałą elegancję. Czarne materiałowe spodnie Bossa, czarny golf i popielatą marynarkę uzupełniały kurewsko drogie sztyblety z czarnej skóry na bordowej podeszwie. Pikowane paletko nie było zbyt ciepłe, ale za to dobrze skrojone i idealne do samochodu. Wyglądał jak trzeba, nie grał mu tylko zapach. Nieopatrznie postawił na perfumy, które zaskoczyły go swoją nietrwałością. Pod koniec dnia pewnie nie będzie już ich czuć. Ale do tego czasu sporo może się jeszcze wydarzyć, obiecał sam sobie.

Zadowolony z tej pobieżnej inspekcji wyszukał w telefonie adres najbliższej kwiaciarni. Nie wiedział, jakie kwiaty lubi Matylda, zdał się w tym wypadku na intuicję sprzedawcy. Kwiaty wybrał mu starszy pan o wyraźnie odmiennej orientacji.

– Dla tej jedynej? – zapytał przymilnie, puszczając oko do Kosmy.

– Jedynej? Skoro pan tak mówi...

– Mężczyźni wolą bardziej wyraziste, kobiety te. Proszę mi zaufać.

Kosma przysiągłby, że usłyszał wyraźnie „my, kobiety”, postanowił jednak nie drażnić tematu i zgodnie z sugestią zaufać wyborowi florysty.

Do SenSualu miał tylko kilka minut autem. Ostrożnie ułożył bukiet na siedzeniu

jeszcze niedawno zajmowanym przez Ewelinę. Naprawdę ją lubił i jeszcze bardziej cieszył się, że będą razem pracować.

Ruszył.

– Kosma?! – Matylda wyglądała na wyraźnie poruszoną. – Czemu mnie nie uprzedziłeś?

– Bo wtedy nie miałbym okazji oglądać cię na drabinie! – Kosma wszedł do salonu po cichu i przez chwilę z zadowoleniem obserwował balansującą na wysokości półtora metra kobietę, której druga – z szopą rudych włosów – podpowiadała coś, stojąc obok. Matylda w obcisłych dzinsach wyglądała tak apetycznie, że żal mu było przerywać tę scenę. Z chęcią postąpiłby tak jeszcze trochę.

– Wariat! – Matylda uśmiechnęła się i poprawiła obraz przedstawiający niezwykle barwnego motyla. – Ewciu, resztę zrobicie już same.

– Oczywiście! – odpowiedziała ruda, a ponieważ była dobrze wychowana, dyskretnie wycofała się w głąb salonu. Nie mogła nie zauważyć błysku w oczach swojej szefowej.

Oho, coś się tu kroi, pomyślała, przyglądając się zajętej sobą dwójce.

– Nie odzywałaś się, nie wiedziałem, co robić...

– Nie wiedziałam, co robić, więc się nie odzywałam... – Stali tak blisko, że mogli mówić do siebie szeptem.

– Nie zadzwoniłem, bałem się, że nie odbierzesz. Że się wystraszyłaś. Wolałem przyjechać i przez chwilę popatrzeć ci w oczy.

– Nie wystraszyłaś się... – Spojrzała na niego i zamilkła na dłuższą chwilę. – I co z nich wyczytałeś?

– Że powinienem był przyjechać wcześniej? – Ni to stwierdził, ni zapytał Kosma.

– Brakuje ci pewności siebie? – Pozwoliła sobie na żart.

– Tak, za to czasem cytuję wiersze.

– Powiesz mi jakiś?

– „Gdy będziesz siedział na Broadwayu / w barze piękniejszym niż oczy szatana / spytają cię niezawodnie / czy twój ojciec pali fajkę / wtedy odpowiesz z uśmiechem / *Yes, my father smokes the pipe* / Widzisz / jak to będzie cudowne”<sup>11</sup>.

Słuchała z zamkniętymi oczami, jakby szukała czegoś w pamięci.

– To Bursa?

– Bursa.

– Kosma, to najbardziej nieoczywisty wybór wiersza, jakiego mogłeś dokonać.

– Tak? I mówi to ktoś, kto stworzył tu miejsce „piękniejsze niż oczy szatana”? I sam takimi oczami może się pochwalić?

– Czarujesz...

– A ty dajesz się uwodzić.

Patrzyła teraz na niego wyzywająco.

– Idziemy?

Poszli. Dla przyzwoitości złapał ją za rękę dopiero w aucie. Z aprobatą spojrzała na czekające w środku kwiaty.

– Pomyślałeś o wszystkim...

– Pomyślałem o tym, że straciłem już za dużo czasu.

Spojrzała na niego uważnie, jakby chciała wyczytać z jego oczu więcej, niż powiedział.

– Jedź! – zakomenderowała.

Sprawnie wyprowadził auto z parkingu. Matylda zapadła się w głęboki fotel. Mogłaby tak jechać na koniec świata.

11 Andrzej Bursa, *Języki obce*.

## Rozdział dwudziesty

*w którym dowiemy się, że tybetańscy mnisi wyplatają dywany. I można je kupić w Łodzi. Jeśli, oczywiście, uwierzymy sprzedawcy...*

Zrezygnowała z górnego oświetlenia. Zapaliła stojące lampy dające łagodne, ciepłe światło. Dodała do dużego kubka ze świeżo zaparzoną herbatą łyżkę malinowej konfitury i laskę cynamonu. Zostawiła napój do ostygnięcia i podkręciła wieżę.

Na świeżo uprzątniętym po kolacji stole ustawiła kwiaty od Kosmy. Powąchała je, zamykając oczy. Nie pachniały jakoś szczególnie, ale i tak wystarczająco pobudzały wyobraźnię, karmioną wspomnieniami.

Była zmęczona. Pan Radecki zasłabł nad ranem. Całe przedpołudnie spędziła z nim u lekarza. Doktor próbował ukryć zdziwienie, że mimo zmiany leków skoki ciśnienia zdarzały się tak często. Zdecydował zostawić swojego pacjenta na oddziale dwa–trzy dni i jeszcze raz zrobić komplet badań. Patrzyła na twarz ordynatora Zarzyckiego przyglądającego się wynikom ojca i zapisom EKG. Próbowwała wyczytać z niej cokolwiek, ale zamiast słów: „Proszę się nie martwić, wszystko jest w jak najlepszym porządku”, usłyszała suche: „Myślę, że koronografia nie jest konieczna”. To „myślę”, w komplecie z lwią zmarszczką na czole doktora, nie podziało na nią kojąco. Wręcz przeciwnie.

Pachniała jeszcze szpitalem po wieczornej wizycie u ojca. Na spotkanie z właścicielką VIP-owskiego butiku nie pojechała w ogóle. Kobieta na propozycję zmiany terminu zareagowała w sposób, który dla Matyldy był nie do przyjęcia. Z potoku piskliwie wypowiedzianych słów wyłowiła tylko zdania: „Pani chyba sobie nie raczy zdawać sprawy, ile w takim biznesie można zarobić, jeśli oczywiście potrafi się ustalić właściwe priorytety. Musi pani wiedzieć, że w tej branży...”. Nie chciała wiedzieć.

Chłopcom nie powiedziała nic o dziadku. Uznała, że nie będzie ich martwić. Zresztą sama nie wiedziała, czy jej niepokój nie jest przypadkiem na wyrost. Nie dała po sobie poznać, że martwi się czymkolwiek. Z radością patrzyła, jak synowie i nowa sympatia jednego z nich pałaszują wszystko, co postawiła na stole, i z pełnymi ustami, trochę jak dzieciaki w szkolnej stołówce, opowiadają o imprezach, nowo otwartych klubach, pchniętej sesji i planach na ferie zimowe. Z przyjemnością chłonęła młodzieńczą energię całej trójki, niezmaconą jeszcze życiowym doświadczeniem. Przy pytaniu o ojca chłopcy zadowolili się datą jego przylotu i zapowiedzieli się z kolejną wizytą w ciągu tygodnia. Zachnęli się tylko, kiedy zmierzwiła im czupryny na pożegnanie. Nie mogła odmówić sobie tego gestu, chociaż wiedziała, że dopiero zamierzali świętować udaną sesję, najpewniej w jakimś nowym modnym miejscu.

Zdjęła z siebie prawie wszystko, została tylko w wygodnej bawełnianej koszulce. Przykryła się lekkim, puszystym kocem. Gorąca herbata przyjemnie rozluźniała napięte od rana mięśnie. Niepokój przeplatał się z oczekiwaniem, kiedy patrzyła na ciemny wyświetlacz telefonu.

Rano wybierała się do Łodzi. Nie знаła miasta, więc zdecydowała się na pociąg.

Uważnie obejrzała prognozę pogody. Nie lubiła marznąć na dworcach, słysząc komunikaty o zwiększających się opóźnieniach. Zima była dla niej tego roku wyjątkowo łaskawa.

Jeszcze rano była gotowa zadzwonić do Kosmy pod byle pretekstem, żeby powiedzieć mu, że będzie w mieście. Teraz ciemność robiła swoje. Ciągle miała przed oczami smutek niepewności w oczach ojca, kiedy pakowała do torby jego prywatną odzież. Miała wrażenie, że przyniosła ze sobą tę niepewność w kieszeniach płaszcza, razem ze szpitalnym zapachem.

Nie chciała się narzucać Kosmie. Nie tak chciałyby być przez niego odebrana. Ale w tej ciemności dotyku jego dłoni brakowało jej jakoś wyjątkowo mocno. Jeszcze przez chwilę zastanawiała się, czy nie zerknąć na pocztę. Gdyby nie świadomość, że jest mężatką, pewnie przemalowałaby paznokcie i zrobiła maseczkę z miodu na usta, żeby były przyjemniejsze w dotyku... Jednak część tej świadomości, zagubionej w czasie i przestrzeni, świeżość i nierealność tego, co zawłaszczało jej uczucia przez ostatnie kilka dni, powodowały, że tak jak na karuzeli w nagłych błyskach migwały jej przed oczami lęk, radość, nieufność, ciekawość i to rozedrganie ciała, które doskonale potrafiła rozpoznać, ale jeszcze nie miała odwagi nazwać.

Przeciągnęła palcem po obudowie komputera i podłączyła telefon do ładowarki. Jeśli natychmiast nie położy się spać, rano budzik będzie dzwonił sobie a muzom...

Bałuty nie są najbardziej romantycznym miejscem dla zakochanych, ale z premedytacją opowieść o Łodzi zaczął właśnie tam. Spacerowali niespiesznie ulicą Wojska Polskiego. Patrzył na Matyldę przy każdej okazji i mógłby przysiąc, że w powietrzu czuć już wiosnę. Prawie godzinę spędzili w Parku Ocalałych, sporym skwerze w dolinie rzeki Łódki. Pokazał jej zasadzone przez dziadka Huberta drzewko, upamiętniające tych, którzy zmarli w łódzkim getcie. Ginęło w towarzystwie innych i musiał się sporo natrudzić, zanim odnalazł to właściwe. Później długą chwilę stali w milczeniu pod ogromnym monumentem w kształcie gwiazdy Dawida i wzbijającego się do lotu białego orła.

– Dziadek mojego kolegi opowiadał, że wtedy, po wojnie, żydowskie dzieci można było rozpoznać bez trudu. Nie miały nikogo bliskiego... – przerwał, bo Matylda spojrzała pytająco. – Nikt nie przeżył okupacji, więc nie było wakacji u babci, spacerów z dziadkiem – wyjaśnił.

– On też był sam?

– Nigdy nie pytałem, ale pewnie nie opowiadał tej historii bez powodu.

– Smutne...

– To miasto zna tysiące takich smutnych historii, dokładnie to jakieś dwieście tysięcy.

Objął ją ramieniem, przygotowany, że w razie protestu wytłumaczy się chłodem. Nie oponowała, bo przecież od dobrego kwadransa zastanawiała się, czy z powodu zimna nie przytulić się do niego.

– Chodzimy po miejscach, gdzie świadectwa o pomordowanych czają się w każdej bramie, przy każdej ulicy.

– Nie wiedziałam...

– Wiele osób nie wie, a mieszkają w żydowskich kamienicach, wśród żydowskich mebli i pamiątek. Widzisz te domy na rogu? – Wskazał ręką budynki kilkaset metrów dalej.

– Te rudery?

– Mhmm... Tam był cygański obóz, kilka kamienic, gdzie umieścili pięć tysięcy Romów i Sinti z zachodniej Europy. Połowa z nich to dzieci. Przywieziono ich w listopadzie czterdziestego pierwszego roku, w styczniu już nie żyli. Tych, których na miejscu nie wykończył tyfus, zabito w Chełmnie nad Nerem.

– Ale tam wciąż ktoś mieszka...

– To jest Łódź, Matylda. Nie Piotrkowska i Manufaktura. Tu masz prawdziwe oblicze miasta.

– Dużo o nim wiesz. – Stała naprzeciw niego i przechyliła głowę, mrużąc oczy od słońca. – Zmarzłam... Wystarczy na dziś – poprosiła.

Dotarli do auta, które przezornie zaparkował przy komendzie policji. Choć jego volvo 244 nie było łakomym kąskiem, to chromowane lusterka i fabryczne emblematy mogły skusić miejscowych łobuziaków. Złodziejski duch tego miejsca wciąż drzemał w murach brzydkich kamienic. Bałuty, miejsce przekłete.

– Nie obraż się, ale nie mam pomysłu na ciąg dalszy... – powiedział, kiedy sadowiając się za kierownicą, musnął wcale nie przez przypadek jej policzek.

– Mówisz o tym nieudolnym pocałunku czy o reszcie dnia? – Nie zamierzała mu niczego ułatwiać.

– Za kogo ty mnie masz... – zdążył wyszeptać, zanim sama zamknęła mu usta pocałunkiem.

Miała zimne policzki i zmarznięty czubek nosa, kilka płatków śniegu zawianych przez wiatr właśnie topniało na jej włosach. Całowała go łapczywie, podpierając się ręką i wkładając w to tyle zaangażowania, że po chwili obojgu zabrakło tchu.

– Nie mogłam się powstrzymać! – powiedziała, kiedy oderwał się od niej.

– Nie mogłem się doczekać! – Kosma nie miał wątpliwości, że odsunął się tylko na chwilę, by zaczerpnąć powietrza.

– Czuje się jak w liceum. – Matylda przytuliła się do niego na tyle, na ile pozwalał na to fotel pasażera. – Zjedźmy coś i poszwendajmy się jeszcze.

– Dobrze, ja też zgłodniałem! – odpowiedział i odpiął pas, przyciągając ją jednocześnie do siebie. – I mam wielką ochotę na ciebie.

Odczytała jego intencje w lot, rozchylając usta. Nikt nie całował jej tak jak on. A może po prostu zapomniała, jak smakują te pierwsze pocałunki?

Zakochiwała się w nim w tempie, za którym nie nadążała. Te parę godzin w Łodzi było chyba najsilniejszym doznaniem erotycznym, odkąd sięgała pamięcią. Rozmawiali półgłosem o wszystkim i o niczym. Prawie nie spuszczał z niej oczu, ona wykorzystywała to, że mówił więcej, przypatrując się jego twarzy. Miał łagodne spojrzenie, ładnie się uśmiechał i był pewny siebie w taki wyważony sposób, który jej nie raził. Nie znosiła zarozumiałych facetów, którzy tłumaczyli wszystko kobiecie, jakby ta była z definicji głupsza.

Był bardziej intrygujący niż w listach. Od pierwszych minut rozmowy wiedziała,



że będzie chciała więcej. Nawet nie próbowała ukrywać, że czuje się przy nim dobrze. Kompletnie nie panowała nad kącikami ust, które same unosiły się do góry... Tylko bicie serca nie mógł słyszeć. Przyspieszony oddech za to widział na pewno. Za każdym razem, kiedy dotykał ustami koniuszków palców jej dłoni, była zaskoczona jego śmiałością. Co ciekawe, nie miała mu tego za złe. I była pewna, że jeszcze się spotkają.

Czuła na sobie zapach jego perfum nawet wtedy, kiedy wszystko z siebie zdjęła. Powoli zmywała z rozgrzanej skóry niewidoczne ślady jego dłoni.

Wciąż wilgotna, owinęła się szlafrokiem i podeszła do telefonu. Aparat migał nieodeczytaną wiadomością.

„Zmęczona?”

„Trochę... ale fajnie zmęczona”. Uśmiechnęła się, patrząc na wyświetlacz.

„Dziękuję, Matylda”.

„To ja chciałam Ci podziękować za ten spacer, Kosma. Niezwykłe imię...”

„Na żywo opowiadasz równie ciekawie”. Wysłała jedną wiadomość po drugiej.

Odpowiedź przyszła prawie natychmiast.

„Możemy to powtórzyć”.

Wszystko bym powtórzyła... Tej myśli nie ujęła w esemesie.

„Kosma, posłuchaj. Obiecuj mi coś... Mógłbyś mi coś obiecać?”

„Mhmmm...”

„Nie chcę słuchać zmyślonych historii. Rozumiesz mnie? Nie mam już dwudziestu lat... Powiedz mi tylko, czy rozumiesz?”

Przez dłuższą chwilę telefon milczał. Schowała camemberta do lodówki i dołała sobie wina do kieliszka.

„Rozumiem”. Telefon zapikał dwukrotnie. „Nigdy nie spotkałem kogoś takiego jak Ty”.

To samo mogłabym powiedzieć o tobie, pomyślała. Była kompletnie rozkojarzona. Nie chciała kończyć tej rozmowy. Dotarło do niej, że nie zaśnie tak szybko. Jeśli w ogóle zaśnie. Ciało nie było gotowe na sen.

„Chciałbym Cię jeszcze zobaczyć”.

Ja ciebie też. Myśl była prawie słyszalna w ciemnym pokoju.

„Wyszukaj jeszcze jakąś historię, chłopaku z Bałut...”

Łódź miała swoje plusy, zdecydowanie. A jej ciało miało ochotę na wszystko – oprócz snu. Czuła niedosyt, w pełnym tego słowa znaczeniu.

Leżeli na podłodze w salonie, gęsto tkany dywan przyjemnie grzał ich w plecy. To był dywan z Tybetu, jeśli wierzyć zapewnieniom sprzedawcy. Kosma akurat w tym względzie był sceptyczny, ale nie miało to wpływu na jego wybór podczas zakupów – materiał miał piękny splot i ciekawy wzór, wydawał się ciepły i pasował do wnętrza. Musiał go kupić na raty, bo cena była taka, że przez dłuższy czas sam się zastanawiał, czy nie byłoby taniej polecieć na Wyżynę Tybetańską i na miejscu, pod okiem buddyjskich mnichów, utkać sobie podobny. I jeszcze ze dwa na handel – miałby za co żyć do końca roku...

Za trzy miesiące spłaci ostatnią ratę – policzył w pamięci. Tyle zostało z jego wspólnych zakupów z Kaśką. Raty za pieprzony dywan.

Jakkolwiek wściekał się na sytuację, dywan spełniał swoje zadanie, był miękki i zapewniał komfort leżenia. Michalina przesunęła się bardziej w lewo, Helmut rozłożył się na środku, jemu przypadł najmniejszy kawałek z brzegu. Leżeli na plecach, praktycznie bez ruchu, wsłuchując się w dobywające się z potężnych głośników dźwięki syntezatora. Helmut oszukiwał, dawno przestał słuchać, dbając jedynie o to, czy nie zdradzi go głośne chrapanie. W swoim półśnie był już daleko stąd...

Trudno o większe poczucie błogości, pomyślał Kosma, drapiąc go pod brodą. Słuchali *Papillon* Editorsów.

– Z matką to już definitywnie koniec? – Michalina nosiła się z tym pytaniem od dawna.

– Nie z matką, tylko z mamą. Zachowuj się!

– Jak wolisz... Koniec czy nie? – Dziewczyna nie dawała za wygraną.

– Muszę kupić nową bieliznę, w TK Maxxie widziałem fajne slipy Jamesa Tudora.

– Nie odpowiesz?

– Poniekąd to jest odpowiedź, córko...

– Kończy się twoje małżeństwo i jedyne, co masz mi do powiedzenia, to to, że potrzebujesz nowych gaci?

– Dokładnie, mam wrażenie, że nowa bielizna będzie mi teraz bardzo potrzebna. – Kosma nie uciekał od tematu, po prostu nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Nie był pewien, czy w ogóle chce z nią o tym rozmawiać.

No dobra, oszukiwał sam siebie. Tak naprawdę spieprzał od tematu, aż się kurzyło.

– Czy to nie jest coś, co powinnaś przegadać z matką?

– To, że potrzebujesz slipów od Tudora?

– To, że potrzebujesz wiedzieć, co dalej. Ja tej wiedzy nie mam, córeczko.

Zamilkli. Helmut czujnie łypnął okiem, a Editorsów zastąpili Kings of Leon. Kosma obrócił się w stronę psa i starym nawykiem masował mu poduszki. Tybetański dywan grzał jak najęty. Michalina zwinęła się w kulkę, Kosma walczył z ogarniającą go sennością. Podniósł się ociężale i z wyraźną niechęcią. Nie mógł sobie pozwolić na drzemkę. Wieczorem musiał być w radiu, a łapał się na tym, że coraz mniej czasu poświęca na przygotowania do swoich audycji. Przez pracę w Warszawie ograniczył aktywność na antenie do minimum, pozostawiając w zasadzie tylko jedną audycję muzyczną. I nawet ją traktował po macoszemu. Będzie jeszcze gorzej, kiedy ruszą nagrania nowego formatu w NTV, pomyślał.

– Podaj nam koc! – poprosiła Michalina. – Wychodzisz?

– Nie, muszę tylko coś posprawdzać. Dziś ty wychodzisz z psem. – Rzucił im pled i ruszył do gabinetu.

– Tato? – Michalina uniosła się lekko i podparła ramieniem. – Może... może pójdziemy razem?

– Jeśli zdążę, córeczko...

Zapadł się w fotel i czekał, aż komputer osiągnie stan gotowości. Wykorzystał tę chwilę na telefon do Huberta. Nie rozmawiali od dłuższego czasu, ale w takich sytuacjach pomysłowość Huba mogła się przydać. Był znanym pasjonatem łódzkich judaiców, a właśnie o tym chciał dziś rozmawiać z ludźmi Kosma. Na biurku leżała bowiem nowa

płyta krakowskiego zespołu Kroke; do muzyki klezmerskiej jak mało co pasowała zaś opowieść o trudnej historii Łodzi. Zwłaszcza tej żydowskiej.

– Jak się nazywał ten chłopiec z getta, który pisał pamiętnik?

– Ciebie też miło słyszeć! – usłyszał w słuchawce głos przyjaciela.

– Gadaj, bo nie mam za dużo czasu...

Hubert odchrząknął i zamilkł na sekundę, może dwie, jakby szukał czegoś w pamięci.

– Dawid Sierakowiak, i raczej nastolatek niż chłopiec. Zostało po nim kilka zeszytów pełnych zapisków, ktoś nimi po wojnie rozpałał w piecu. Zapisywał wszystko, co widział, dzień po dniu.

– Pięć brulionów, pamiętam.

– No, dokładnie. A czemu pytasz?

Kosma obracał w ręce płytę Kroke, układając już w myślach scenariusz audycji.

– Nie mam tematu na wieczór i pomyślałem, że to jakiś pomysł...

– Widzisz, łośiu, dobrze się składa, bo jestem w drodze do Łodzi.

– Opowiesz w studiu? – Kosma nie wierzył w swoje szczęście. Wizyta Huberta akurat dziś była jak wcześniejszy prezent na Gwiazdkę.

– Jeśli później posiedzimy w salonie z dziewczętami, a twój pies nie będzie zbyt nachalny...

Na moment zapadła cisza.

– Chłopie, za niego ręczę, co do dziewcząt może być problem.

– Nie ma ich? – Hubert wyraźnie się zaniepokoił. Lubił i Kaśkę, i Michalinę, obu nie widział już dość długo.

– Nieobecne, tak jakby...

– Okej, to czeka nas męski wieczór. Chyba że zamówimy jakieś towarzystwo. – Kosma mógłby się założyć, że wypowiadając tę propozycję, jego przyjaciel oblizwał wargi.

– Zamówimy, ale po kebabie. Daj znać, jak dojedziesz.

– Luz, skup się na muzyce, ja ogarnę resztę.

Pożegnali się i Kosmie wyraźnie spadł kamień z serca. Hub był kopalnią wiedzy o Łodzi czterech kultur, potrafił też o niej ze swadą opowiadać. A historia Dawida Sierakowiaka była samograjem i już dawno zastanawiali się, dlaczego nikt jeszcze nie nakręcił o nim filmu. Skoro Holland mogła zrobić taki o kanalarzu z Lwowa... Nastoletni Dawid, który znał pięć języków, pisywał do prasy, uczył dzieci, a wegetując w getcie przy ulicy Smugowej, obserwował powolną śmierć ojca i wywózkę matki do Auschwitz, jak mało kto zasługiwał na pamięć. Zmarł w czterdziestym trzecim, siedemnaście lat później ukazały się drukiem jego cudem zachowane, niepełne pamiętniki.

Ależ jestem geniuszkiem! Kosma uśmiechnął się pod nosem i nabrał ochoty na proponowany przez córkę spacer.

– Idziemy? – zapytał, zaglądając do salonu. Pozostała dwójka domowników leniwie przewalała się jeszcze po podłodze. Helmut zareagował pierwszy, a jego różne machnięcia ogonem były czytelną odpowiedzią: idziemy! Michalina zebrała się bez słowa, ale w drzwiach cmoknęła ojca w policzek.

– Stańmy gdzieś po drodze, kupię nam kawę, okej?

– Wytłumacz to psu, cwaniaro!

Spokojnie, dobra flat white jeszcze nikomu nie zaszkodziła, możemy zrobić przystanek. Gotowi byli przysiąc, że Helmut powiedział to na głos. Spojrzeli po sobie i tylko wzruszyli ramionami. Ten pies był naprawdę wyjątkowy. Albo oni mieli nie po kolei w głowie.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

*w którym dywan znów się przyda, a Wiktor dostaje za swoje. I mówię wam, to dopiero początek jego kłopotów. A zaczęło się tak...*

Wiktor spał jak kamień. Jej wystarczyły tylko trzy rwane godziny nad ranem. Gotowa do wyjścia, przystanąła jeszcze na chwilę w drzwiach sypialni i przyjrzała się śpiącemu mężowi. Leżał na brzuchu z rozrzuconymi na bok ramionami i równo oddychał. Poprzedniego dnia zastygła w zamyśleniu nad kawą w kuchni, kiedy nagle otworzył drzwi wejściowe i wciągnął walizkę do przedpokoju. Potem dłużej niż zwykle brał prysznic. Nie zadzwonił przed wylotem; jeśli to miała być niespodzianka, to kiepsko wybrał czas i miejsce. Nie czekała na niego i nie chciała z nim teraz spędzać czasu. A już na pewno prowadzić trudnych rozmów o przyszłości. Ich przeszłości.

– Jesteś... – powiedziała, bo coś powiedzieć trzeba było, kiedy stanął przed nią, wycierając włosy ręcznikiem kąpielowym. To był ręcznik z jej ulubionej kolekcji, dla której inspiracją był Wiedeń z pałacem Schönbrunn na czele. Klasyczna egipska bawełna, gładka, ale z elegancką bordiurą w paski...

Boże, co ja robię, zadała sobie pytanie, łapiąc się na tym, że rozpaczliwie próbuje zająć umysł czymkolwiek, byle nie rozpoczynać tematu.

– Kochasz ją? – zapytała jednak. Poszło łatwiej, niż się spodziewała.

Ręcznik znieruchomiał, a ona mogłaby się założyć, że pod przykryciem oczy Wiktora rozszerzają się jak spodki. Nie odpowiedział; chyba zbierał myśli, oceniając ryzyko i dobierając w myślach argumenty. Był w tym dobry, ale teraz niewiele mógł zdziałać. Stał przed nią żałośnie nagi, zdezorientowany i zaskoczony.

– Jeśli ją kochasz, to wszystko zmienia... Ale jeśli chciałeś tylko rznąć młodszą, to nie wyobrażam sobie, jak ma teraz być między nami. Wiesz o tym. Prawda? – punktowała go bez litości.

– Ale o co ci cho... – Wiktor próbował jeszcze kluczyć, ale przerwała mu w pół słowa.

– O ten wyszukany prezent, Wiktor. O tę biżuterię. – Czowała, że robi jej się niedobrze.

– Kochanie... – zaczął ostrożnie. – To nie tak, jak myślisz...

– Nie wiesz, o czym myślę! – prawie krzyknęła.

– To już skończone, uwierz mi. Wracam do ciebie, do Warszawy. Zostanę tutaj! – Był zaskoczony ostrością jej słów.

– Zostań tutaj, jak długo chcesz. – Matylda odstawiła filiżankę i poprawiła się na krześle. Końcem palca zdjęła z blatu nieistniejący paproszek. – Ale ja wyjeżdżam, nie wiem, na jak długo.

– Przestań histeryzować! Tamto nie miało dla mnie znaczenia. – Wiktor spróbował zagonić ją do kąta i zakrzyczeć. Zwykle się udawało, może uda się i teraz? – Pojedźmy gdzieś razem i spróbujmy to poukładać. Dokąd chcesz jechać?

– Ja nie wiem, Wiktor, czy mam ochotę gdziekolwiek z tobą teraz jeździć. – Stała naprzeciw niego i patrzyła mu w oczy. – Wiesz, że nawet nie jestem już na ciebie zła...? – Nie pozostawiła mu złudzeń: tym razem mu się nie uda. – Jest mi po prostu cholernie przykro. To wszystko. I zetrzyj podłogę, bo naniósłeś tu wody.

– Matyllda, porozmawiaj ze mną! – Niemal rzucił się w jej kierunku, widząc, że wstaje i zamierza wyjść.

– Porozmawiam, porozmawiam. – Zatrzymała go ruchem ręki. – Wszystko w swoim czasie. Teraz go nie mam. Ojciec jest chory, gonią mnie terminy, muszę to wszystko poskładać do kupy.

Zamurowało go, więc bez słowa patrzył, jak Matyllda zbiera się do wyjścia.

– I nie stój tak! – zakomenderowała już z przedpokoju. – Wieczorem chłopcy będą na kolacji. Nie zapominaj, że jesteś też ojcem. Muszę dokupić coś słodkiego. A ty przygotuj stół, jeśli możesz.

Wyszła, nie oglądając się na niego, szczęśliwa, że nie dała po sobie poznać, ile kosztowała ją ta rozmowa. Musiała wziąć kilka głębokich wdechów, żeby opanować mdłości. Zawsze reagowała tak na silny stres. A to przecież dopiero początek. Na dobrą sprawę nawet nie zaczęli.

Kolacja minęła bez sensacji. Wiktor odpowiadał na pytania i już na samym początku sprzedał synom informację, że kończy z wyjazdami do Niemiec. Nie zrobiło to na nich większego wrażenia, mieli już swoje życie i ojciec nie grał w nim pierwszych skrzypiec. Matyllda niewiele mówiła; udawała, że z uwagą słucha całej trójki. Tak naprawdę zastanawiała się, co ta deklaracja znaczy dla niej. Jakie przyniesie konsekwencje? Jak wpłynie na jej sytuację?

Odeszła od stołu pierwsza i pożegnała się z synami, prosząc, by posprząтали. Wzięła szybki prysznic, później zniknęła w sypialni. Po godzinie dołączył do niej Wiktor. Zajrzał przez uchylone drzwi z miną porzuconego psa.

– Mogę? Chłopcy już poszli.

– W zasadzie to tak, możesz.

Położył się ostrożnie obok niej, nie wiedząc jeszcze, na jakich prawach się tu znalazł. Ona wiedziała tylko tyle, że bardzo potrzebuje teraz mężczyzny, nawet takiego, który okazał się skończonym gnojem. Ujęła w dłonie jego głowę i skierowała go na dół.

– Masz pięć, góra siedem minut.

Po wszystkim odwróciła się na bok i patrzyła przed siebie. Godziny mijały, a ona rozmyślała o Kosmie. O tym, że usta Wiktora nie przykryły jego pocałunków, o tym, że ciągle czuła jego dłonie we włosach i słyszała szept jego słów, który jak cieniutka bibuła tkwił teraz między oddechami jej i męża.

Rano obudziła się pierwsza, z myślą, by wyjść z domu jak najszybciej. Była wdzięczna losowi, że Wiktor wciąż śpi. Miała ochotę na mnóstwo zbędnych kalorii i coś dobrego do picia.

– Wiśniową tartę poproszę, i herbatę pomarańczową. – Złożyła zamówienie przy kontuarze, zanim usiadła przy stoliku. Spędziła rano w SenSualu. Wydała dyspozycje dziewczynom na kolejne kilka tygodni. Dopieściła okno wystawowe już w wiosennej „ramówce” i przejrzała zawartość zaplecza. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku

podarowała sobie odrobinę przyjemności w kąci przy Bakaliowej.

Dziś powinna spakować walizkę. Zaplanowała wyjazd do siedliska na pojutrze. Posłodziła herbatę odrobiną cukru i wyjęła telefon z torebki. Za oknem mimo wczesnego popołudnia było dość ciemno i nieprzyjemnie. Gęsta mgła zdawała się kumulować w sobie resztki zimowego światła i miejskiego smogu. Po raz pierwszy myśl o podróży do siedliska wywoływała u niej uczucie żalu. Dokładnie wiedziała dlaczego. Im więcej czasu dzieliło ją od tamtego spaceru, tym szybciej znikало gdzieś uczucie lekkości w oddechu. Tęskniła...

Tego dnia mały lokal obsługiwała ich znajoma kelnerka. Matylda zauważyła, że dziewczyna przygląda się jej ukradkiem i zastanawia pewnie, czy dziś zostawi jej, a właściwie jemu, jakiś list, czy może czeka na niego. Przez moment spojrzenia obu kobiet się zetknęły. Wzrok jednej i drugiej krył to samo pytanie. Chyba obie zdawały sobie z tego sprawę, ale żadna nie otworzyła ust, żeby cokolwiek powiedzieć.

Matylda wybrała numer Kosmy i drżącą dłonią przysunęła słuchawkę do ucha. Liczyła sygnały nieodebranego połączenia. Spróbowała jeszcze raz. Do drżenia rąk dołączyło szybkie bicie serca. Kosma nie odbierał. Mógł prowadzić samochód, mógł pracować, mógł rozmawiać z żoną albo brać prysznic. Mógł robić dziesiątki rzeczy i nie odbierać tylko dlatego, że nie miał możliwości. Ale nie ponowiła próby. Oczyma wyobraźni widziała, jak obserwuje go przy pracy i czeka, aż skończy dyżur. Nie mogła pozbyć się tego obrazu ani uczucia zdziwienia, że można nie zrobić czegoś akurat wtedy, kiedy bardzo się tego chce.

Siedzieli w Siódmkach, jednym z przyjemniejszych lokali przy Piotrkowskiej. Kosma zostawił samochód przed rozgłośnią, więc mogli spokojnie rozpocząć powolny proces alkoholizowania się. Obaj czuli, że prędko nie skończą, było im to na rękę.

– To klasyczny przykład PKP! – zawyrokował Hubert po wysłuchaniu opowieści przyjaciela. Kosma oszczędnie dawkował szczegóły, uznawszy, że sama informacja o rozwodzie jest wystarczającej wagi.

– PKP? Co masz na myśli?

– No wiesz, Pięknie, Kurwa, Pięknie!

– Cenię lapidarność twego stylu... I swoistą przenikliwość.

– To co, jeszcze po jednym? – Hubert wziął na siebie obowiązki podczaszego i znakomicie się w tym realizował. Był człowiekiem wielu talentów.

– Dobrze nam dziś poszło. – Kosma zmienił temat. – Dawno nie było tylu telefonów od słuchaczy. Dziękuję, że zmieniłeś plany i wpadłeś.

– Wiesz, w zasadzie to nie miałem co zmieniać. – Hub powiedział to niemal niedosłyszalnym szeptem, ale Kosma po którejś kolejce z rzędu nabywał umiejętności czytania z ruchu warg.

– Nie rozumiem, nie miałeś nic do załatwienia?

– Wyrzuciła mnie z domu. Agata... Za te konie!

– PKP! Łosiu, to jest właśnie PKP!

– Pasuje też Polej, Kuźwa, Polej!

– W rzeczy samej, drogi Watsonie... Już to robię, a ty opowiadaj!

Wyszli bladym świtem, wzajemnie przekonując się o swojej miłości i że „my psy

musimy trzymać się razem”. Kosmie potrzebny był reset, nie przypuszczał jednak, że odpręży się w takich okolicznościach. Wytoczyli się z taksówki, zostawiając szoferowi napiwek dużo większy, niż uzasadniałby to komfort jazdy. Ale mieli gest i jeszcze nie opuściła ich ułańska fantazja. Nawet wtedy, kiedy Michalina na ich widok popukała się w czoło, a Helmut przezornie schował za sofą.

– Patrz, nawet wujka nie pocałuje! – Hubert czknął i zwałił się na podłogę. Helmut zrozumiał, że nie pośpi już tej nocy, i przeszedł w tryb czuwania. Kosma czule nasunął na przyjaciela tybetański dywan i klapnął obok niego. Dniało.

W takim ułożeniu zastała ich kilka godzin później Michalina, kiedy zdjęta litością, postanowiła nakarmić obu panów. Zdążyła już wyprowadzić psa i zrobić zakupy; teraz przyszła pora, by przywrócić do życia męskie zwłoki zalegające w salonie.

– Ojciec, twój telefon aż się grzeje! Żyjecie? – zapytała, trącąc czubkiem buta rozglądającego się nieprzytomnie Kosmę.

– I po co tak krzyczysz? – wychrypiał Hubert, obejmując ramieniem Helmuta. Pies od dobrych kilku minut radośnie wylizywał mu twarz, próbując swojej psiej metody reanimacji. Jak widać skutecznie.

Kosma zebrał się z podłogi i podreptał do łazienki; w połowie drogi zawrócił do przedpokoju i z kieszeni kurtki wyjął telefon. Zerknął na wyświetlacz i zaklął. Kaśka, cztery nieodebrane połączenia. I zaraz się rozchmurzył: Matylda – jedno połączenie. Sprawdził godzinę, dzwoniła kilkanaście minut temu.

– Jednakowoż chyba jeszcze poczekam... – powiedział bardziej do siebie niż do obserwującej go w skupieniu trójki. Helmut zaakceptował decyzję pana bez sprzeciwu, ale Hubert postanowił drążyć temat.

– Coś ważnego? Bo nie wiem, czy się ubierać.

– Wujku, to akurat dobry pomysł, niezależnie od tego, kto wydzwania do ojca.

– Ty mi tu nie wujkuj, tylko załatw coś do picia, proszę! – Hubert poszedł w ślady Kosmy i powoli gramolił się na kolana, po czym dodał z uznaniem: – Jak by nie patrzeć, to dywanik prima sort...

Kosma tymczasem zniknął w łazience, gdzie prysznicem przywracał się do świata żywych. Strumienie mocno siekły go po twarzy; oparł się plecami o ścianę kabiny i czekał. Nie wypili w sumie tak dużo, ale całodzienne zmęczenie, dym papierosowy, a przede wszystkim wiek zrobiły swoje. Coraz trudniej przychodziła mu regeneracja po tego typu wyskokach. Na szczęście niemal nie pił alkoholu, a i okazji do nadużycia nie miał ostatnio zbyt wielu.

– Dzwoniłaś... – rzucił do słuchawki, kiedy odebrała. Powinien poczekać, aż dojdzie do siebie i będzie brzmiał jak poważny, odpowiedzialny mężczyzna, ale nie wiedział, ile to potrwa. I nie wiedział, jakie plany na resztę dnia ma jego przyjaciel. – Nie słyszałem telefonu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Kaśka. – Brzmisz jakoś dziwnie.

– Wszyscy mi to mówią, mam chrypkę. Biorę leki. Może nawet te, którymi handluje ten twój... jak mu tam?

– Dobrze wiesz, jak mu tam...

– Okej, a teraz oświeć mnie, czemu wydzwaniasz i zawracasz mi głowę?



– Martwię się, Miśka dzwoniła, nie wiedziała, gdzie jesteś...

– No to już się nie martw. Zresztą wiesz, wciąż jeszcze jesteś upoważniona do mojej polisy na życie...

– Jesteś głupim gnojem, cześć.

– Cześć, postaraj się nie dzwonić przez jakiś czas.

Spojrzał w lusterko, z którego rzeczywiście wзираła facjata głupiego gnoja. Nie powinien tak z nią pogrywać, ale po prostu nie mógł się oprzeć. I rzeczywiście leki, które zażywał, dystrybuowała firma Pana Zgagi. Pieprzyć to, pomyślał i wybrał drugi numer. Ale Matylda nie odbierała.

– Pieprzyć to – powtórzył na głos i wyszedł z łazienki. Spod tybetańskiego dywanu dobiegało chrapanie. Hubert przegrał pierwsze starcie z rzeczywistością. Kosma bez żalu poszedł w jego ślady, szybki prysznic nie był w stanie mu pomóc. Michalina siedziała samotnie nad patelnią z parującą jajecznicą. Jedyne Helmut w tej sytuacji zwęszył swoją szansę. Dobra jajecznica dla psów w pewnym wieku to nie lada gratka. Przecież nie zje jej sama...

Zdejmowała ręczniki z suszarki i układała je w równy stosik. Wiktor siedział na kanapie w salonie i wodził wzrokiem za żoną. Jego zmarszczone brwi mówiły, że jest spięty. Odebrał kilka telefonów, którym Matylda nie przysłuchiwała się szczególnie. Rozmawiał krótkimi, nerwowymi zdaniami. Nic nie czytał; zaproponował jej tylko kawę, ale kiedy odmówiła, opadł z powrotem na kanapę. W którymś momencie wstał i chwycił ją za przegub ręki.

– Matylda, nie możesz teraz tak po prostu wyjechać. Powiedz coś w końcu! – Ton jego głosu zdradzał, jak bardzo jest zdenerwowany.

– Mogę. I wyjadę. – W powietrzu było prawie słycać kropkę, którą postawiła na końcu tego krótkiego zdania. – Podlałam wszystkie kwiaty; za godzinę wyciągnij pranie. I proszę cię, do czternastej odbierz morfologię ojca. Nie zapomnij. Pojedź do niego jeszcze dzisiaj. Ucieszy się, kiedy...

– Dlaczego nie możesz pracować tu, w domu? Po co siedzisz w tej dziurze?

– Bo tam mi dobrze. – Położyła ręczniki na półce i oparła się o ścianę.

– Co zamierzasz? Nie możemy się tak bujać w nieskończoność. – Przeczesał włosy palcami i oparł się o przeciwległą ścianę korytarza. – Zerwałem ten kontrakt, bo chcę, żebyśmy zaczęli wszystko od nowa.

– Ale ja nie wiem, czy tego chcę, rozumiesz? – Czują, jak policzki zaczynają jej pulsować wewnętrznym ciepłem.

Zacisnął zęby i patrzył na nią bez słowa.

– Nie widziałem jej od...

– Nie obchodzi mnie, czy się z nią widziałeś, czy nie. – Tłumiona tygodniami złość zalewała ją gorącą, duszącą falą od brzucha po krtań. – Rzygać mi się chce! Rzygać mi się chce, kiedy pomyślę, że pchałeś we mnie swojego fiuta zaraz po tym, jak pieprzyłeś ją. A ja się niczego nie domyślałam, bo...

– Ona jest dla mnie nikim.

– A przez te parę lat była kim? Też nikim?

– Proszę cię...

– Byłeś dla mnie wtedy lepszy niż kiedykolwiek, nie żałowałeś mi niczego. – Nie dała mu dojść do słowa. – Klepałeś mnie po tyłku na tych swoich firmówkach; ja kupowałam nowe kiecki i puchłam z dumy, że mam takiego faceta. A ona patrzyła na mnie z boku i liczyła godziny do spotkania z tobą!

Przeszła szybkim krokiem do łazienki i zaczęła bezmyślnie wrzucać kosmetyki do eleganckiego kuferka. Wiktor podążył wolno za nią i usiadł na brzegu wanny.

– Nie chcę, żebyś odeszła, Matylda! – Podniósł mydełko, które wypadło z jej drżących rąk.

– Wiesz, jak się czuję? Wiesz? – Stała przy nim tak blisko, że poczuł zapach jej świeżo umytych włosów. Oddychała szybko i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. – Jak stara, zużyta, zatęchła szmata. Wciśnięta w kąć i przesuwana nogą, bo przeszkadza.

– Zostań, proszę cię. To jest bez sensu...

– Mdli mnie. Ciągle mnie mdli, kiedy pomyślę o tym, jak mamy teraz żyć dalej. I nie chodzi mi o to, że wpychałeś go w nią przy byle okazji, ale o to, że mnie w tym wszystkim nie było. Nie przerywaj mi! – rzuciła ostro, widząc, jak otwiera usta, żeby coś odpowiedzieć. – To ja byłam wtedy nikim, rozumiesz? Nikim. Jak bardzo byłam nikim i jak bardzo byłam bezbarwna, że dopiero teraz na mnie patrzysz?

– Wykupiłem lot do Wenecji na jutro.

Zesztywniała na dźwięk tych słów. Pochyliła się nad umywalką, a potem spojrzała na niego w odbiciu lustra.

– Masz zniżkę w hotelu, w którym z nią byłeś?

Poszła do sypialni, otworzyła małą szufladę nocnego stoliczka i wyciągnęła pudełeczko z włoskimi kolczykami. Wróciła do łazienki. Wiktor nie ruszył się z miejsca.

– Chcesz dokupić coś jeszcze? Chcesz dokupić coś jeszcze, pytam?! – Czowała, że przestaje nad sobą panować.

Wzrok Wiktora zdradzał, że usilnie próbuje połączyć fakty.

– O czym...

– Trafiłam na ten sam placyk... Zabawne, prawda? – przerwała mu. – Kto wybierał? Ona czy ty?!

Miała już dość tej rozmowy.

Zwiesił głowę i przytrzymał ją obiema rękami, jakby bez tej podpory miała spaść na podłogę. Ciągle stała blisko niego. Dotknął delikatnie jej ręki i przyciągnął ją do siebie. Nie odepchnęła go, ale wysunęła dłoń z jego rąk, kiedy próbował pocałować jej wnętrze.

– To miała być nasza podróż, Wiktor.

Wydawało się jej, że przez te tygodnie okrzepliły w niej gniew i złość. Myliła się.

Dźwięk dzwoniącego telefonu przerwał ciężką ciszę. Wyszła do salonu. Kosma. To nie był dobry moment, żeby odebrać ten telefon. Czekwała, aż urządzenie zamilknie, próbując jednocześnie uspokoić oddech.

– Dajmy sobie szansę, Matylda – mówił Wiktor dużo później, kiedy dopijała herbatę przed wyjściem.

– Wszystko się zmieniło. – Zapięła guziki kardiganu i przewiązała go paskiem. – Chcę w spokoju popracować właśnie w tej, jak mówisz, dziurze. – Odetchnęła głębiej. –

Mam masę zobowiązań i zamierzam dotrzymać terminów.

– Nie mów, że mnie skreślasz.

Tym razem to ona nie miała odpowiedzi.

– Jedź do ojca – powiedziała już cicho i spokojnie. – I zapłać, proszę, rachunki; zostawiłam je na biurku.

Stał w korytarzu, kiedy otulała się szalikiem.

– Kocham cię, Matyllda.

Przez chwilę kontemplowała wzór posadzki w przedpokoju, a potem spojrzała na męża.

– Uważaj nie siebie. Zostawiłam ci zapas aspiryny. Pogoda ma się zmienić.

Szybko się ściemniło albo zamyślona nie zauważyła, kiedy słońce schowało się za horyzont. Napięcie sprzed paru godzin puszczało bardzo powoli, podsycane słowami, które ciągle jeszcze dźwięczały jej w uszach. Nie odpowiedziała mu. Ale to „wszystko się zmieniło” uciskało jej żołądek jak zbyt późna kolacja, pochłonięta niepotrzebnie i w pośpiechu. Zatrzymała się gwałtownie na poboczu i zwymiotowała. Zimny wiatr wciskał się pod rozluźniony szalik i mroził spoconą szyję zimnymi podmuchami. Ale nie był dotkliwszy niż myśl: co dalej?

– Teraz? – Kosma wypowiedział na głos rozkaz wydany mu przez świdrujący psi wzrok. Helmut domagał się natychmiastowego spaceru i ani myślał odpuszczać. Jego pan, chcąc nie chcąc, założył buty i karnie ruszył do wyjścia.

– Mam cię czasami dość, sierściuchu... – złorzeczył przez chwilę, choć obaj doskonale wiedzieli, że nie ma w tym ani słowa prawdy. Stanowili przykład idealnego dopasowania zwierzęcia i jego właściciela. Duet, który znał się od podszewki i w którym nikt nikogo nie mógł już zaskoczyć. Helmut złapał skórzaną smycz w zęby i zbiegł po schodach, napędzając strachu znanemu aktorowi wciąż jeszcze młodego pokolenia, który samotnie zajmował sąsiedni loft.

– My tu tyle czasu po sąsiedzku, a ja wciąż na baczność przed twoim psem – powiedział mężczyzna, mierzwiąc przy okazji blond włosy.

– Borys, co ci mam powiedzieć? Na piętrze może być tylko jeden szeryf...

Wymienili uścisk ręki i Kosma zniknął na podjeździe. Helmut grzecznie czekał przy krawężniku, zgadując, czy spacer będzie szybki, czy też znajdą czas na dłuższą trasę. Od kiedy jego pan porzucił papierosy, ich wspólne wędrówki nieco się skróciły. Tym razem jednak odetchnął z ulgą, widząc w ręce Kosmy telefon komórkowy. Ten wydający dziwne dźwięki przedmiot zwykle zwiastował możliwość wybiegania się do woli, nierzadko na zapas.

Kosma szedł wolno, pozwalając psu buszować bez smyczy. Byli na swoim terenie, Helmut nie miał w zwyczaju hałasować bez powodu, a straż miejska zapuszczała się tu niezwykle rzadko.

Kosma odkasznął kilka razy, mimo woli notując w pamięci fakt, że chrypka, na którą uskarżał się od pewnego czasu, wcale nie zniknęła. Był pewien, że to efekt działania klimatyzacji w radiowym lub telewizyjnym studiu, a może zimnego piwa wziętego prosto z lodówki, na co pozwalał sobie ostatnio. Do tej pory nie przejmował się zbyt, kaszel nie był uciążliwy. Ale nie przechodził i zaniepokojony Kosma postanowił zapisać się na

wizytę do lekarza. Lada chwila miały ruszyć zdjęcia na Mazurach, a nie chciał, by coś rozpraszało go podczas pracy albo powodowało dyskomfort. Szedł z telefonem w rękę, zastanawiając się, czy nie jest za późno, by zadzwonić do Matyldy. Stęsknił się za nią, a wszelkie próby wytłumaczenia sobie tego stanu były bezcelowe. No to nie myślał o tym za dużo, pozwalając, by los wziął sprawy w swoje ręce. Co najwyżej lekko mu w tym będzie pomagał.

– Kosma Makarski, możesz rozmawiać? – zapytał, słysząc w słuchawce jej krótkie: „Halo?”. Odebrała po kilku sygnałach. Przez moment myślał, że to jednak za późno albo dzwoni nie w porę.

– Kosma? Ściągnęłam cię chyba myślami... – W głosie Matyldy oprócz radości rozpoznał jakiś mroczniejszy akcent. A może mu się zdawało? Wiatr częściowo zagłuszał jej słowa, musiała być na ulicy, gdzieś poza domem.

– Spaceruję z psem. Opowiadałem ci o nim, pamiętasz?

– Pamiętam, czuję się, jakbym znała go od dawna. – Matylda uśmiechnęła się lekko, choć on nie mógł tego zobaczyć.

– A ty? Co robisz? – Nie wiedzieć czemu Kosma w rozmowie z tą kobietą tracił pewność siebie. Nie było to może klasyczne zapominanie języka w gębie, ale wrodzona łatwość wypowiedziania okrągłych zdań, tak przydatna w radiu, przy niej gdzieś się ulatniała.

– Jestem w drodze, wyjeżdżam na Mazury...

Kosma poczuł, jak nogi robią mu się miękkie. Przystanął i rozejrzał się dookoła w poszukiwaniu psa. Był blisko. Jeśli teraz upadnie i dostanie zawału, jest szansa, że Helmut zaalarmuje jakichś przechodniów. Może przeżyje.

– Wyjeżdżasz? Bez pożegnania?

– Ko... kolego, lepiej się witać niż żegnać. Nie mogłam tu zostać ani minuty dłużej. Wrócił mój mąż.

– Rozumiem. Nie mów nic więcej. Czy zechciałabyś rozważyć taką okoliczność, w której to ja odwiedzam cię pośród jezior i lasów? I rzeczywiście witasz mnie wtedy wylewnie?

– Przyjedź, kiedy chcesz.

Zaskoczyła go szybkością odpowiedzi.

– Zawahałaś się przy tym „ko...lego”. Co chciałaś powiedzieć?

– Oj, daj już spokój...

Wiadomo, że nie dał jej spokoju. Przekomarzali się jeszcze przez chwilę, odwołując w czasie przykry moment pożegnania. Dopiero widok kompletnie przemoczonego Helmuta przypomniał Kosmie, że istnieje jakiś świat poza tą rozmową.

– I wtedy ten chłopiec pyta tego drugiego: Kto ty jesteś? – powrócił do opowiadanej Matyldzie sceny, której był świadkiem niedawno. – No, Polak mały. A jaki znak twój? – pyta ten pierwszy. – Bliźnięta, a co? Bliźnięta, rozumiesz?

Matylda jeszcze przez kilka sekund zanosila się śmiechem, zapominając o przykrościach, jakie miały miejsce tego dnia. Kosma rozbawił ją i poprawił jej humor. Bliźnięta? To on był jak bliźniak, rozumiał ją i zawsze dzwonił w porę. Jakby czuł, że właśnie tego potrzebuje.

– Zmyśliłeś to, prawda? – zapytała, kiedy już skończyła się śmiać.

– Całuję cię mocno, jedź spokojnie.

Kosma rozłączył się z żalem i z dezaprobatą pokiwał na Helmuta. Ten mało sobie z tego robił, nie miał zamiaru nawet udawać, że cokolwiek obeszły go połajanki pana. Rażno ruszyli w stronę domu, obaj tak samo zadowoleni, choć każdy z innego powodu.

## Rozdział dwudziesty drugi

*w którym akcja przenosi się na Mazury.*

*I nie będzie ani słowa o Wiktorze, tak się porobiło...*

Starannie układał w walizce przygotowaną wcześniej garderobę. Postanowił zabrać tylko te rzeczy, w których a) wyglądał dobrze, b) czuł się świetnie, i c) o których wiedział, że przypadną jej do gustu. Nie było miejsca na ekstrawagancję i jakąkolwiek pomyłkę. Poznał Matyldę na tyle, by wiedzieć, co może jej się spodobać. Z tą wiedzą czuł się znacznie pewniej. O strój do pracy nie musiał się martwić, zdjęcia w Piszu i Ełku miały potrwać dwa dni i całość ekwipunku przyjedzie na miejsce służbowym busem. W tym ciuchy dla niego i Rudego, sponsorowane przez jeden z dobrych męskich domów mody. Radek występować miał w wersji casual, Kosma w bardziej oficjalnym stroju. Już kilka tygodni temu wzięli udział w przymiarkach, wybierając nie tylko odzież, ale i buty czy dodatki. Dlatego Kosma teraz ograniczył się jedynie do własnych rzeczy, potrzebnych mu na kilka dni, o które wydłuży swój pobyt na Mazurach. Choć tak naprawdę, kiedy rozmyślał o czasie, jaki spędzi z Matyldą, dochodził do wniosku, że najchętniej wzięłby po prostu kilka kompletów do spania. Tak pro forma, bo po co komu piżama, kiedy cała frajda leży w jak najszybszym pozbyciu się jej? Myśl o tym, że w końcu spędzą trochę czasu razem, a może i wylądują w łóżku, wprawiała go w stan dziwnej ekscytacji.

Zupełnie odwrotnie podziałały na niego słowa lekarza rodzinnego, do którego cudem udało mu się dostać z dnia na dzień, bez konieczności czekania na odległy termin. Panowała epidemia grypy i szybkie umówienie wizyty graniczyło z cudem. Ale w cudach akurat był całkiem niezły; ktoś wypadł z kolejki i Kosma wskoczył na jego miejsce.

– Od kiedy ta chrypka? – zapytał lekarz, nie podnosząc nawet wzroku znad karty pacjenta.

– Od kilkunastu dni, doktorze. Brałem coś do ssania, ale nie pomaga, więc jestem tutaj.

– Kilkanaście dni? Pan pokaże, usta szeroko. – Lekarz wstał zza biurka i podszedł do Kosmy. Przez chwilę oglądał mu gardło, marszcząc przy tym czoło, wyraźnie zafasowany tym, co zobaczył. Kosma posłusznie otwierał buzię i cierpliwie znosił oględziny.

– Nie podoba mi się to! – orzekł wreszcie medyk. – Dam panu skierowanie do specjalisty, przepiszę też coś łagodzącego objawy. Na receptę, powinno pomóc.

– Motyla noga! – zaklął Kosma. – Mam zaplanowany wyjazd.

– Proszę tego nie bagatelizować, nalegam. A póki co nie nadwyreżać strun głosowych.

Nie miał zamiaru lekceważyć zaleceń doktora, tyle tylko, że będzie musiał zająć się tym dopiero po powrocie. W żadnym wypadku nie zdąży załatwić konsultacji ze specjalistą teraz, leki wystarczą – uspokajał sam siebie.

Ustalił z Matyldą, że przyjedzie do niej już po nagraniu; będzie miał tydzień

przerwy przed nowymi zdjęciami gdzieś na Kaszubach. Nie musiał się śpieszyć z powrotem ani do Łodzi, ani do Warszawy. Michalina i Helmut zostają na posterunku, zaopatrzył im lodówkę i porządnie ich wyściskał. Obiecali tęsknić, a on zastanawiał się, które przykładało większą wagę do złożonej mu obietnicy. Poczciwy pysk Helmuta przemawiał na jego korzyść.

Żeby być niezależnym od reszty ekipy, wziął swoje auto; obszerny bagażnik bez trudu pomieścił dwie walizki. Kosma dołożył jeszcze kilka par butów, jakieś drobiazgi uzupełniły całość. Z ulgą zatrzasnął klapę i cmoknął w czoło córce.

– Tata, wracaj szybko! – Michalina tak jak i on nie przepadała za długimi pożegnaniami.

– Nie wyłączam telefonu, pamiętaj... – odpowiedział, sadowiąc się za kierownicą, i ruszył w drogę. Głośne szczekanie Helmuta współgrało z machaniem Michaliny. Słyszał je, dopóki cała dwójka nie zniknęła mu z oczu we wstecznym lusterku. Miał przed sobą kilka godzin jazdy.

O Piszcu wiedział tylko tyle, że to największa obszarowo gmina w Polsce. Sześćset trzydzieści cztery kilometry kwadratowe powierzchni robiły wrażenie, a leżące w większości na obszarze gminy jezioro Śniardwy zapewniało stały napływ turystów.

Dojechał na miejsce dość szybko, ograniczywszy postoje w trakcie jazdy do niezbędnego minimum. Na miejscu chwilę błędził, zanim postanowił zaufać nawigacji i dać się doprowadzić do pensjonatu, malowniczo usytuowanego na jednym z krańców Puszczy Piskiej. Do wody był stąd rzut kamieniem, i chociaż było to tylko jezioro Seksty, jedna z odnóg Śniardw, to poczuł się w pełni ukontentowany z miejscówki, jaką wybrała im produkcja programu. Zameldował się i ostrożnie rozwiesił ubrania w pokoju. Jak każda zodiakalna Panna lubił mieć wokół siebie porządek. Koszule, marynarka i dwa krawaty zawisły na wieszakach, pozostała część garderoby równo spoczęła na półkach. Był pierwszy, reszta grupy dopiero godzinę temu wyruszyła z Warszawy, miał więc trochę czasu dla siebie. Zsunął buty i wyłożył się na łóżku, postanawiając przejrzeć materiały przygotowane dla niego przez zespół merytoryczny. Nie było tego dużo; trochę ciekawostek i ogólnych informacji, kontakty do miejscowych przewodników i pasjonatów lokalnych tradycji. Jeszcze dziś mieli objechać kilka miejsc, zaznajamiając się ze specyfiką tej części Mazur, a na wieczór zaplanowana była burza mózgow – tak, by jutro bez niepotrzebnych przerw rozpocząć realizację materiału. Nie pracowali w tym składzie wcześniej, a biorąc pod uwagę, że zarówno on, jak i Radziu byli w zasadzie debiutantami, wszyscy liczyli na to, że będzie sporo improwizacji. Po cichu każdy właśnie w tym elemencie upatrywał końcowego sukcesu całego przedsięwzięcia.

Kosma cieszył się na wizytę w sanktuarium maryjnym w Świętej Lipce. Nie był tam w czasie studiów ani też później, kiedy weryfikując zdobytą wiedzę, objeżdżał miejsca interesujące nie tylko z etnograficznego punktu widzenia. Świętą Lipkę należało odwiedzić, ludowa religijność była tam obecna na każdym kroku, niemal namacalna. Legenda tego miejsca sięgała nawet XIV stulecia. Tylko jak o tym opowiedzieć? Kogo dziś zainteresuje historia sprzed wieków o cudownym objawieniu, ułaskawionym skazańcu, rzeźbionej przez niego figurze pięknej Pani i lipie, w której ten wizerunek umieścił na pamiątkę? W tej historii były wina, odkupienie i wielkie nadzieje, kaplica z

drzewem przebijającym dach, bosa pielgrzymka Albrechta Hohenzollerna, ostatniego wielkiego mistrza krzyżackiego, który ledwo sześć lat później składał Zygmuntowi Staremu hołd lenny...

Kosma ze dziwieniem złapał się na tym, że mówi na głos do wymagowanego słuchacza. Dla niego legenda związana z tym miejscem, z utopionym w jeziorze oryginałem wizerunku Matki Boskiej, ściętą przez rozwścieczony tłum biedną lipą i powolnym odradzaniem się sanktuarium była scenariuszem na dobry film sensacyjny. Czy uda mu się zaciekawić nią innych, tak by zechcieli na nowo odkryć świętolipską bazylikę mniejszą? A, będzie musiał jeszcze wytłumaczyć, czym się różni bazylika mniejsza od większej – zrobił stosowną adnotację na marginesie notatek. I wspomnieć o perle baroku – dopisał. Przez chwilę poczuł się jak na zajęciach z religioznawstwa.

Rozmyślenia przerwał mu hałas dochodzący z głębi pensjonatu. Wyglądało na to, że dojechała reszta ekipy. Wyszedł na korytarz, by się przywitać i pomóc Ewelinie przy bagażach. Znow zgłódniał; miał nadzieję, że i pozostali myślą o obiedzie. Zakwaterowanie przebiegło sprawnie. Kilkuosobowa ekipa zajęła wolne pokoje, a chwilę później wszyscy zasiedli w jadalni.

– Izolujesz się? – zapytała Ewelina znad talerza z parującym rosółem. Dobrym, nie z papierka, co podkreślała obsługująca ich kobieta. – Przyjechałeś osobno...

– Zostaję tu trochę dłużej, nie mówiłem ci? – odpowiedział, nie przerywając jedzenia. Rosół był naprawdę smaczny.

– Od jakiegoś czasu nic mi nie mówisz, łobuzie.

– Musiałem wyrwać się na chwilę z dużego miasta, a mam tu w okolicy znajomą. Nawet nie wiem, czy zdążę wrócić do Łodzi przed następną realizacją.

– Znam ją? – Ewelina spojrzała pytająco.

Zaprzeczył kiwnięciem głowy i już bez słowa dokończył posiłek. Radziu przypatrywał mu się uważnie, jakby szukając ewentualnego zagrożenia, ale Kosma uśmiechał się do niego szeroko, nie zdradzając jakichkolwiek oznak niechęci. Skoro muszą razem pracować, niech to odbędzie się szybko i bez komplikacji. Komplikacje w życiu ma i bez Ryżyka...

Wymieniali się z resztą ekipy uwagami, a zaraz po obiedzie zapakowali do busa i ruszyli do miasta. Scenariusz odcinka zakładał w zasadzie dwa żelazne punkty – fragmenty muru i fundamenty dawnego zamku krzyżackiego oraz wzniesiony za pieniądze pochodzące z kontrybucji po wygranej wojnie z Francją zabytkowy ratusz, w którym mieściło się Muzeum Ziemi Piskiej. Tam miał czekać na nich kustosz, który weźmie udział w nagraniu. Radziu wspominał o kompleksie schronów ponemieckich, z jedynym w Polsce schronem biernym typu Regelbau 502. Kosma udawał, że wie, o czym mowa, i z mądrą miną powtarzał: „*Ja, ja, Regelbau fünf hundred und zwei, koniecznie*”. Po czym skontrolował Świętą Lipką z jej Matką Jedności Chrześcijan i było jasne, że zajęć im nie zabraknie.

Po powrocie do pensjonatu zastukał do Eweliny, ale nie otwierała. Nie zeszła też na kolację. Szybko okazało się, że w kilka osób poszli nad jezioro. Było w miarę ciepło, czuło się wiosnę i nic dziwnego, że mieszcuchy chciały obcować z przyrodą przy każdej okazji. Kosma zamknął się w pokoju i odpalił laptopa. Miał ochotę na ciekawą lekturę.



Wiadomość od Matyldy wydawała się w sam raz.

*Idź nad jezioro. Rozejrzyj się wokół. Jest szaro i ponuro, jak mówią? Spójrz: łąki są spłowiałe, rowy rdzawe i popielate od zeszłorocznych traw; każdy krzew, chociaż bez liści, ma inny kolor kory, na drzewach wyraźnie widać zielony mech. Lód na jeziorze odpuszcza, pachnie tatarakiem i rozmokłą ziemią. Oczekiwaniem pachnie.*

*Wiedziałaś, że żurawie przylatują tak wcześnie? Może zdążymy je razem zobaczyć na złotowiskach. Podobno wiosną są mniej spektakularne, bo ptaki śpieszą się do swoich gniazd.*

*Wracają zawsze do tych samych. Chciałbyś zobaczyć, jak tańczą?*

*Matylda*

Nie chciała rozpraszać Kosmy esemesami, więc wysłała mail. Odczyta, kiedy będzie mógł. Nie miała pojęcia, jak się robi takie programy, ale na pewno praca przy nich nie polegała na kontemplowaniu piękna przyrody. Już kilka dni wcześniej dał jej znać, kiedy kończą zdjęcia, ale nawet gdyby poinformował ją o tym z miesięcznym wyprzedzeniem, nie byłaby na to spotkanie do końca przygotowana.

– Zazdroścę ci tego miejsca. Zwyczajnie ci zazdroścę – powiedziała Matylda, trzymając kubek gorącej kawy w dłoniach, kiedy Xenia dołączyła do niej, siadając obok na schodach werandy. – Chciałabym być na twoim miejscu.

– Konto mam wyczyszczone prawie do zera. Nie wiem, czy chciałabyś być na moim miejscu. – W głosie Xeni nie było słycać jakiejś wyjątkowo tragicznej nuty. – Jeśli nie będzie chętnych na warsztaty, będę gorzko płakać.

– Nie przypominam sobie, żebyś przez ostatnie parę lat miała za dużo wolnych miejsc.

– Fakt... – Xenia owinęła się szczelniej szalikiem. – Tylko że tym razem nie zamykam drzwi pracowni po kilku godzinach zajęć.

Było sucho i słonecznie. Obróciły twarze do słońca i milczały dłuższą chwilę.

– Zaprosiłam tu kogoś – powiedziała Matylda z zamkniętymi oczami.

– Przecież nie ustaliłyśmy jeszcze...

– To nie kursant... – Wzięła głęboki wdech. Xenia przyjrzała się uważniej przyjacielce.

– Poznałam kogoś, Xenia. I chciałabym poznać go lepiej.

– Przemyślałaś to?

– Wiem, do czego pijesz.

– Więc po co się w to pakujesz? Jest żonaty?

– Tak. – Wypowiadając na głos to krótkie słowo, przyznała sama przed sobą, że oprócz nich dwojga istnieje jeszcze ktoś.

– Od dawna go znasz? Kto to jest? – Xenia wciąż przyglądała się Matyldzie z uwagą

i bez cienia uśmiechu.

– To radiowiec. Poznałam go przypadkiem parę miesięcy temu. – Matyllda upiła łyk kawy, która powoli przestawała parzyć dłonie.

– Rzykujesz, Matyllda.

– Pociąga mnie jak nikt inny wcześniej. Jest odczytany i empatyczny, a przy tym ciekawy, zabawny i zadbany...

Patrzyła przed siebie, gdzieś poza nagie jabłonie.

– Kogoś takiego kobieta wypuszcza z rąk? Słyszysz siebie? Gdzie jest haczyk? Nie pomyślałaś o tym?

– Gdybym ci powiedziała, że się nad tym zastanawiam, uwierzyłabyś?

Obie pozostawiły to pytanie bez odpowiedzi.

– Nie zastanawiam się nad tym – ciągnęła wolno Matyllda. – Chciałabym, żeby był blisko, żeby mnie rozśmieszał, patrzył na mnie i opowiadał mi te swoje historie. Dobrze, że przy tym batiku nie muszę myśleć, bo Viola wyrzuciłaby mnie z zespołu.

– Akurat jej twój obecny stan duszy byłby na rękę. Podgoniłaś robotę, aż miło popatrzeć...

Przez chwilę obserwowały w milczeniu stado sikor, które bujały się na brunatnych kikutach zeszłorocznych traw.

– Potrafisz odpowiedzieć na pytanie, czy mu ufasz? Przecież nie możesz powiedzieć, że go znasz?

– Nie, Xenia. Nie mam pewności, a pod skórą wszystko, tylko nie pewność. Nie zamierzam nawet definiować tego, co się ze mną dzieje, kiedy o nim myślę. Usypiam rozsądek. Usypiam go świadomie i z premedytacją.

Patrzyły na siebie bez słowa. Jedna z wdzięcznością za szczerą, druga z troską i rodzajem pewności, że tym razem przyjaciółka nie będzie słuchać dobrych rad.

– Chcesz dać się znowu zranić?

– A jeśli to ten? – wyrzuciła z siebie Matyllda i przeniosła wzrok z przyjaciółki na pola połatanie resztkami śniegu.

Na podwórko po drugiej stronie domu wjechał jakiś samochód, którego nie mogły zobaczyć z ogrodu. Najpierw usłyszały niecierpliwy klakson, a potem przez drzwi balkonowe wychyliła się głowa Grzesia.

– Przyjechały panele! Wstawiłem wywar. Przypilnuj go, Xenia. Pomogę przy rozładunku – wyrzucił z siebie jednym tchem i zamknął okno, nie czekając na odpowiedź.

– Do roboty! – Xenia podniosła się pierwsza; podała pusty kubek Matylldzie i energicznie zbiegła z werandy. Na chwilę obróciła się jeszcze w kierunku zamysłonej przyjaciółki. Naciągnęła czapkę na uszy i wsunęła ręce do kieszeni.

– Jak całuje? – rzuciła.

Uśmiech Matylldy wystarczył za odpowiedź.

Na głośne nawoływania od strony podwórka nałożył się jakiś rytmiczny szum, którego w pierwszym momencie nie była w stanie zlokalizować. Zrozumiała, skąd dochodził, kiedy uniosła głowę i spojrzała w górę. To był klucz żurawi. Zachwycona, wstrzymała oddech, kiedy przelatował tuż nad dachem domu. Tutejsza cisza-niecisza podobała jej się coraz bardziej...

W tradycji jawańskiej małżeństwo to nie tylko publiczne uznanie uczuciowego związku dwojga ludzi, lecz akt o znacznie większej wadze, którego pomyślność zapewni kontynuację istnienia ludzkości i wszechświata. Z tego powodu ceremonia zaślubin nawiązuje do procesu odtwarzania kosmosu, a państwo młodzi, nawet jeśli pochodzą z ludu, otrzymują tego dnia status króla i królowej. Uroczystość zaślubin trwa kilka dni i stroje zmieniane są kilkakrotnie, tak aby symbolika wzorów dostosowana była do kolejnego etapu ceremonii. Większość batików dekorowana jest przedstawieniami kosmosu oraz wzorami mającymi zapewnić szczęście i płodność młodej parze. Wśród nich, w tle, pojawiają się ziarna ryżu – symbol dostatku.

Przypominając sobie fragmenty wykładów we włoskiej pracowni, Matylda szybko połączyła w myślach ostatni symbol z risotto, o którym była mowa przy śniadaniu i które zapewne właśnie kończył doprawiać winem Grzenio. W samą porę, pomyślała, chłodząc rozgrzany canting. Była głodna jak diabli. Przy sztalugach nagminnie zapomniała o jedzeniu.

Zupełnie inne motywy zdobią spódnice noszone przez rodziców panny młodej. Najczęściej jest to zwielokrotniona figura małej gwiazdy, zwana teruntum. Batikiem tym rodzice przypominają młodej parze, że w swoim związku doświadczą zarówno chwil radości, jak i rozczarowań. Zgodnie z tradycją wzór ten stworzyła porzucona żona sułtana, która próbowała ukoić swój smutek batikowaniem tkanin. Maestria i cierpliwość konieczne do wykonania wzoru wzruszyły sułtana tak bardzo, iż zdecydował się wrócić do żony...

Po prawie dwóch miesiącach pracy z cantingiem semen Matyldy, wykonany techniką latar purih, był nienagannie estetyczny. Doszła też do wprawy w przygotowaniu idealnej konsystencji wosku, tak że udawało jej się precyzyjnie kontrolować jego wpływ bezpośrednio na tkaninę. Gdyby małżeńskie szczęście zależało od zdolności i zaangażowania żony w stworzenie ich własnego teruntum, jej małżeństwo byłoby idealne.

Za oknem pracowni przesunął się cień. Matylda uniosła głowę i pomachała energicznie panu Witoldowi; dała mu jednocześnie znak ręką, żeby wszedł do środka.

– Pracowita pani jak ona.

Matylda domyśliła się, że staruszek ma na myśli przyjaciółkę starego malarza.

– Lubię to po prostu. I mam szczęście, że mi jeszcze za to płacą. – Odłożyła miedziane urządzenie do wosku i zaczęła rozmasowywać zdrętwiałe palce.

Pan Witold postawił obok naczynia z woskiem wysoką butelkę z ciemnopomarańczowym, gęstym płynem.

– Pigwówka. Moja. Spróbuje pani – dokończył, wyciągając z kieszeni długiego płaszcza dwa małe kieliszki na wysokich, wąskich nóżkach.

– Rozpieszcza mnie pan... – Podsunęła staruszkowi krzesło i wzięła do ręki pełny kieliszek.

– Pani kochana, gdybym ja był młodszy...

Uzupełnił drugi i zadzwonił nim o kieliszek Matyldy.

– Za kobiety, na początek! – Uniósł naczynie w górę i pilnował, by Matylda pierwsza spróbowała nalewki.

– A ja... za święty spokój, którego mam tutaj w bród. – Poczwała, jak ciepło alkoholu

rozlewa się przyjemnie w przelyku. – Wyborna.

Odstawiła kieliszek i podziękowała skinieniem głowy.

– Dobrze tu pani – bardziej stwierdził, niż zapytał pan Witold, wstając i zaplatając ręce na plecach. Cmoknął z uznaniem, kilka razy patrząc na tkaninę i Matyldę, która wróciła do przerwanej pracy.

– Dobrze. – Wstrzymała oddech, żeby pociągnąć równo długą, woskową kreskę. – Cicho i spokojnie. Wstyd się przyznać, panie Witoldzie, ale kiedyś było mi żal ludzi ze wsi, że nie mają dostępu do wielu rzeczy, że żyją z dala od prawdziwego życia... Rozumie pan? Prawdziwego... Tak myślałam, głupia. Z czasem zaczęłam się im przyglądać i zastanawiać, dlaczego takie właśnie wybrali. Dziś wstydzę się, że coś takiego mogło mi przyjść do głowy. – Uniosła wzrok znad tkaniny. – Zazdroszczę im. Wam. Panu, Xeni...

– „Gałęzie smutnieją jesienią, / a weselą się w maju. / One przykład mi dają, / dobrą wskazują drogę. / Nie trzeba mi, Boże, nic więcej...”<sup>12</sup> – wyrecytował pan Witold. – To Papusza.

– Papusza... – Matylda pamiętała fragmenty powieści o tragicznych losach cygańskiej poetki, czytane swego czasu w radiowej Trójce.

– Za zdrowie teraz. – Ponownie napełnił oba kieliszki. – My z moją Elżunią mamy tego zdrowia coraz mniej, ale wy młodzi... – Tym razem sam opróżnił kieliszek i pusty postawił na stole, stukając jego porcelanową nóżką, jakby była pionkiem w jakiejś niewidzialnej grze planszowej. Okrążył w milczeniu stół dwa razy i stanął przy oknie. Patrzył na pola, kiwając się w przód i w tył.

– Pani Matylda nie myśli kupić tu co w okolicy? – dokończył, odwracając się od okna i przysiadając ponownie na brzegu krzesła obok niej.

– Zaskoczył mnie pan. – Przerwała pracę. – Okolica jest przepiękna, ale aż tak dalekich planów nie robiliśmy.

Patrzyła jednak bardziej gdzieś na wskroś niż w oczy pana Witolda. Po raz pierwszy przyszło jej do głowy, że zamieszkanie tutaj nie jest tak zupełnie pozbawione sensu. Uchwyciła wzrok mężczyzny, który – zdawało się – usilnie próbował wyczytać coś z jej twarzy. Jego spojrzenie zmusiło ją do powrotu do pracy.

– Myślmy dom sprzedać. Ona, Elżunia, na stawy chora jest. A tu woda wokoło, bagna, dnia nie ma, żeby ręce nie boleli. A panine rączki młode... – Zamilkł i wpatrywał się w czubki swoich zabłoconych butów. Były masywne, na grubej podeszwie, jak wojskowe. – Syn w Łomży duży dom ma. I synowa dobra. Obiecali do śmierci dochować. – Wciąż patrzył na buty, chwiejąc się lekko.

– Nie myślałam o kupnie...

Staruszek wciąż milczał, jakby zapomniał o jej obecności.

– Tak pojutrze Elżunia na pączki zaczyni. – Nie była pewna, czy usłyszał, co odpowiedziała. – Syn przyjedzie i synowa. Zajdzie pani wieczorem, może uradzimy jako razem. Z synem pani porozmawia...

Z tonu wypowiedzi pana Witolda nietrudno było wywnioskować, że jej imię musiało nieraz paść przy rodzinnym stole wiekowych sąsiadów.

– W piątek, panie Witoldzie, spodziewamy się większej liczby gości. – Matylda uśmiechnęła się bezwiednie i poprawiła kosmyk włosów, który połaskotał ją w policzek.

– Ale zapraszamy do nas. – Zrobiła krótką pauzę, żeby dać mu czas do namysłu. – Nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy ten wieczór spędzili przy jednym stole. Jest naprawdę dobra! – powiedziała, zatykając korkiem wąską szyjkę butelki. – Reszta na piątek, pozwoli pan? A pączki będą na deser, co pan na to?

Starzec z trudem wstał z krzesła, dokładnie wsunął szalik pod klapy płaszcza, pocałował rękę Matyldy i skierował się do wyjścia.

– Doczekał ja dobrych gospodarzy za miedzą, doczekał...

Matylda uznała to za przyjęcie zaproszenia i odprowadziła staruszkę do drzwi. „Doczekał ja...” tłukło jej się jeszcze w myślach, kiedy patrzyła, jak w popołudniowej szarówce znika sylwetka starego sąsiada. Upatrzył ją sobie.

Zdjęła fartuch i zabezpieczyła pokrywką naczynie z woskiem. Nalewka zaostrzyła tylko jej apetyt. Ale po wizycie sąsiada miała ochotę nie tylko na Grzesiowe risotto.

Piątkowy wieczór zapowiadał się więc dość tłumnie. Wyglądało na to, że nie będzie ani głodno, ani chłodno. Jeśli jeszcze ktoś coś ciekawego opowie, to...

Zamyślona, potknęła się o obraz z cytrynowym motylem. Przykucnęła pod ścianą, o którą stał oparty, i przesunęła dłonią po ostrej żółci nieruchomych skrzydeł. Niedługo będzie mogła oglądać je na żywo.

Na razie jej własne motyle w brzuchu przypomniały jej o konieczności zanurkowania do nierozpakowanej walizki. Nie pokaże się przecież Kosmie w poplamionym od farb dresie i pachnąca farbami. Tuż przed zgaszeniem światła w pracowni zatrzymała się przed jednym z luster. Przyjrzała się swojej twarzy. Miała większe cienie pod oczami niż jakiś czas temu. Ale policzki były zaróżowione. Mocno. Po trosze od sąsiadowej pigwówki...

Uśmiechnęła się do swojego odbicia w lustrze i zgasiła światło.

12 Papusza, *Galęzie*.

## Rozdział dwudziesty trzeci

*w którym wreszcie dzieje się to, na co wszyscy czekacie*

Leżał w półmroku, nasłuchując odgłosów z korytarza. Grający bez głosu telewizor rzucał lekką poświatę na połowę pokoju. Część ekipy świętowała jeszcze zakończenie zdjęć do pierwszego odcinka. Materiał trafi teraz do obróbki, już jutro znajdzie się w montażowni i nabierze ostatecznego kształtu. Za kilka dni, jeśli wszystko pójdzie zgodnie z założeniami i nie będą potrzebne żadne dokrętki, ich wspólną opowieść ocenią inni.

Kosma był spokojny o efekt końcowy; program miał dobrego reżysera, Ryzyk okazał się znakomitym partnerem do pracy, a i miejscowi pokazali tę część Mazur z ciekawej strony. Całość może i dupy nie urywała, ale była przyzwoita i dawała nadzieję na przyszłość – ocenił w myślach Kosma i przewrócił się na bok. On i Radek byli zdecydowanie najstarszymi członkami zespołu. Inni aktywnie wykorzystywali czas, jaki im pozostał w pensjonacie. Wyjazd zaplanowany był na po śniadaniu, więc nikt nie zamierzał kłaść się spać przed północą. Kosma nie chciał przesadzać ani z alkoholem, ani z intensywnością zabawy, bo postanowił, że z samego rana ruszy do Matyldy. Co prawda zapraszała go dopiero na piątkową kolację, ale kto by tam czekał?

– Zabiorę cię z sobą do łóżka jak piernik po Wigilii... – zapowiedział jej telefonicznie, kiedy rozmawiali w przerwie zdjęć. Nie dzwoniła, więc on sam wybrał numer przy pierwszej okazji. Miał mało czasu. – Będę gryzł i patrzył, jak się kruszysz, a tymi okruchami będę żywił się jeszcze długo...

– Kosma... – odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili.

– Muszę kończyć, przepraszam. Chciałem cię tylko usłyszeć.

Naprawdę musiał kończyć. No dobra, nie tak do końca musiał, ale wystraszył się, że powiedział to zbyt bezpośrednio. I zarazem dziwacznie. Piernik? Co ci strzeliło do głowy? – zbeształ sam siebie.

Czarna plama lasu za oknem trochę go drażniła. Przywykły do świateł miasta, hałasu i spalin tu, pośrodku krainy jezior, czuł się nieswojo. Nie wziął ze sobą żadnej książki, a przeczucanie kanałów w telewizorze szybko go znudziło. Internet rwał się co chwilę, w recepcji dowiedział się, że tutaj to normalne. Taki urok, nie poradzisz... Zamknął laptopa, wstał z łóżka i napuścił wody do wanny.

– Co robisz? – Szum wody prawie zagłuszył telefon, odebrał w ostatniej chwili. Teraz cieszył się, że zdążył, bo Matylda miała plan. – Jesteś sam?

– Sam. Jak palec... Nie to głupie, żaden palec nie jest sam, chyba że u nieostrożnego stolarza...

Jak zwykle bredził bez ładu i składu. Miała tę dziwną umiejętność zbijania go z tropu.

– Jestem gotowa się pokruszyć! – przerwała jego męki.

– Słucham? Poruszyć? – Kosma jakby nie załapał, a może nie usłyszał dobrze.

– Piernik! – Matylda aż przewróciła oczami. O co chodzi z tymi facetami? Raz

mówią poezję, a zaraz później trzeba prowadzić ich za rękę.

– Już jadę! – rzucił do słuchawki i tak, jak stał, ruszył po buty.

– Poczekaj! Może lepiej ja przyjadę? Będzie szybciej, znam te nasze kręte mazurskie dróżki.

– Pierwszy pokój po lewej na piętrze. Nie zwlekaj, woda szybko stygnie.

– Jaka znów woda? – Tym razem ona wydawała się zbита z pantaląku.

– Łałem właśnie wodę do wanny na wieczorną kąpiel.

– Lubię dużo piany. Pa! – rzuciła do słuchawki i już jej nie było.

Nie zdążył poprosić, by wzięła ze sobą jakiś prowiant. W pokoju miał tylko krakersy i pół butelki wiśniowej coli. Cóż, będą musieli na poważnie zająć się... kwestią piernika. – Uśmiechnął się pod nosem. Zaraz potem z paniką w oczach zaczął błyskawicznie porządkować pokój. Nie wiedział, ile ma czasu, Matylda mogła tu być lada chwila. Zdąży się ogolić? Nie spodziewał się tego po niej, to on miał zrobić jej jutro niespodziankę!

Zdążył, bo chyba specjalnie się nie śpieszyła, dając mu trochę czasu na przygotowanie. Cicho zastukała, a sekundę później już ją całował, opartą o framugę drzwi.

– Miłe powitanie, nie powiem... – wyszeptała, kiedy oderwał się od niej na moment.

– Nie gadaj tyle, proszę! – W zasadzie to nawet nie była prośba. Po prostu zamknął jej usta kolejnym pocałunkiem, a ona nie protestowała.

Trącił nogą drzwi, które zamknęły się z cichym trzaśnięciem. Oparł ją o nie i wsunął ręce pod jej bluzkę. Rozpięta kurtka zsunęła się na podłogę, torebka wypadła jej z dłoni i wylądowała tuż obok. Tym razem ona przesunęła je na bok, odwracając się jednocześnie do niego tyłem. Odsłoniła szyję, jakby mówiła: tu mnie całuj. Przynajmniej tak to odebrał, bo właśnie tam skierował usta. Przywarła do niego całym ciałem. Kosma całował jej kark, uszy, wdychał zapach włosów, pozwalając dłoniom na nieskrępowaną wędrówkę. Nie miała stanika, a po chwili zorientował się, że i resztę bielizny można było określić jako mocno umowną. Widział już grubsze nitki przy torebkach herbaty, jej stringi były z gatunku „znajdź nas, gdzieś tam jesteśmy”. Był urodzonym odkrywcą, więc ruszył na poszukiwania.

Leżeli później długo, zbierając siły. Woda w wannie dawno wystygła, na śmierć zapomnieli o planowanej kąpeli. Gdyby ktoś mógł ich teraz zobaczyć, byłby zaskoczony urodą tej sceny. Leżeli twarzami do siebie, trzymając się za ręce, zadowoleni i zasluchani we własne oddechy, kapiącą wodę w łazience, las za oknem.

– Nie możesz mnie zranić, obiecaj mi... – Matylda dotknęła jego policzka i ust. – Nie mam siły przechodzić przez to kolejny raz.

W odpowiedzi przytulił się do niej i ją pocałował. Chyba wystarczyło to za oczekiwaną obietnicę, bo pociągnęła go na siebie i objęła udami. Był gotów na kolejny raz, widziała to i skwapliwie wykorzystała. Nie odrywał od niej ust, kiedy wbijał się w nią raz za razem. Nie mieli ochoty na jakąś gimnastykę, trzymała go mocno, a Kosma krótkimi pchnięciami dokończył dzieła.

– Jeśli mnie teraz przytulisz, zasnę szczęśliwa.

- Bardzo?
- Bardzo!
- To śpijmy...

I zasnęli. Chyba pierwszy raz od wielu dni dla obojga był to sen spokojny i krzepiący. Kilkaset kilometrów dalej, w dużym mieszkaniu przy Tymienieckiego w Łodzi, pewien wilczarz irlandzki wyszczerzył kły w psim uśmiechu.

– I co się tak szczerzysz, myślisz, że jest mu wreszcie dobrze? – zapytała wyrwana z letargu Michalina, wpatrując się uważnie w Helmuta. A ten szczerzył się dalej, jakby starał się o rolę w reklamie Denta Rask czy innego psiego przysmaku. Szorstki ogon rytmicznie uderzał w podłogę. Psy podobno wiedzą wcześniej...

– Trzymaj się mnie blisko. Tak wiesz, na wyciągnięcie ręki. Bo inaczej się zgubisz i będziemy się znowu długo szukać... – droczyła się, przytulając się do niego, kiedy upchnął wreszcie wszystkie swoje rzeczy w bagażniku.

– W zasięgu twojego wzroku. I najbliżej, jak to możliwe. – Kosma doskonale rozumiał, czemu mówi do niego tak dwuznacznie.

Wolno i niechętnie oderwała się od niego i jego ust. Chwilę później sprawdziła we wstecznym lusterku, czy jest gotów, i wyjechała ostrożnie z podjazdu przed pensjonatem. Zależało jej na tym, żeby dojechali do siedliska jak najszybciej. Dzień był słoneczny, ale na popołudnie zapowiadano deszcz. Ich auta zdecydowanie nie były przystosowane do jazdy leśnymi przecinkami. Dopóki było dość sucho, nie obawiała się o zawieszania. Ostatnią część trasy musieli jednak pokonać szutrowymi drogami. Rozmokłe nie gwarantowały wygodnej jazdy; po większym deszczu mogły być zwyczajnie nieprzejezdne.

W czasie jazdy zerknęła na auto Kosmy. Posłusznie jechał za nią, trzymając bezpieczną odległość. Ściszyła radio. Jakoś dziś wyjątkowo drażniły ją krzykliwe przeboje, a przed południem stacje radiowe rzadko nadawały coś spokojniejszego.

Jeszcze nigdy nie zrobiła czegoś tak wariackiego. Jechała przez starą puszcę gdzieś na końcu świata samochodem zabłoconym do granic możliwości, ciągnęła za sobą amatora kruchych ciasteczek w idealnie odprasowanej koszuli... Nie przestawała się uśmiechać i przygryzać wargi na wspomnienie nocy spędzonej w jego ramionach.

Jechała powoli, omijając co większe dziury wypełnione wodą i błotem. Gdyby nawet teraz się zatrzymała, zawróciła, pożegnała go tu i teraz, wróciła do siedliska sama, potem spakowała walizkę i wróciła do Warszawy i do ich mieszkania... to niczego by to nie zmieniło.

„Wszystko się zmieniło”. Znowu spojrzała w lusterko. Ciągle tam był. Przez dwie szyby nie mogła wyraźnie widzieć jego twarzy, ale dałaby głowę, że też się uśmiechał.

Miała dziwaczne wrażenie, że znalazła się w innym, równoległym wymiarze. W jednym – dobrze jej znanym – podliczała słupki liczb za kontuarem SenSualu, w wolnej chwili malowała motyle, w piątki chadzała z mężem do kina albo grała w scrabble z ojcem, w niedzielę oglądała *Boso przez świat* i kończyła zaległe prasowanie; w tym drugim robiła wszystkie rzeczy, które smakowały jak zakazany owoc, była szczęśliwa z tym sokiem ściekającym od palców aż po łokcie i nie myślała o konsekwencjach – jak dzieciak, któremu się zdaje, że jeśli wcisnął kradzione truskawki do kieszeni sweterka, to



nikt się nie domyśli, gdzie był...

Tylko że nie było dwóch Matyld. Była jedna. Ta w świecie słodko poplamionych rąk i piernikowych okruchów.

„Prowadzisz mnie na manowce...”

Jego krótki esemes wywołał u niej dziwny niepokój, chociaż Kosma przecież próbował jej w swoim stylu powiedzieć, że idzie za nią jak po sznurku. Ale tak naprawdę to ona za nim szła. Zakochana i ufna. Jak pierwszy raz. Dokąd?

„Dlaczego się zatrzymujemy? Zgubiłaś drogę?”

Kosma wysiadł i rozejrzał się, wypatrując domu, do którego miała go zaprowadzić. Podszedł do Matyldy, stanął za nią i spojrzał w tę samą co ona stronę. Zrobił za nią kilka kroków, kiedy zatrzymała się na początku wilgotnego od topniejącego śniegu pomostu. Kładka na kilka metrów wdzierała się w na wpół zamrożone jezioro. Powietrze było nieruchome, zeschniętych traw nie poruszał nawet najmniejszy powiew wiatru. Jezioro zdawało się jeszcze zupełnie martwe; w nagich krzewach tuż przy brzegu jakieś drobne ptaki z rozpraszającym ciszę furkotem przeskakiwały z gałązki na gałązkę. Matylda patrzyła na jezioro. Nic nie mówiła. Zbliżył się do niej, przytulił do jej pleców i objął ją ramionami. Przechyliła głowę i rozgrzanym policzkiem przylgnęła do jego dłoni. Kosma nie wiedział, co powiedzieć. Trwali tak długą chwilę w pełnym milczeniu. Więc to był ten jej koniec świata...

– Można to opisać wierszem? – zapytała cicho.

Czuł pod kurtką bicie jej serca i ciepło skóry. Równie dobrze to tutaj mógł być koniec jego podróży. Nie był pewien, czy zapytała go tylko o widok. A może nie o to pytała?

– Latem...

– Latem rozłożymy na brzegu koc i zjemy więcej pierników. Będą jeszcze lepsze. Roześmiała się i obróciła do niego.

– A oprócz pierników... jadasz coś jeszcze? – Tym razem to jej udało się go rozbawić. – Kocham cię, Kosma. – Spoważniała.

– Matylda... – Chciał powiedzieć jej imię głośno i wyraźnie, aby zapamiętać jej twarz i każdą literkę imienia z osobna, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Jakby nagle w gardle zadomowił się obcy twór i zamknął je w stalowym uścisku. Nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa. I wtedy zdał sobie sprawę, że nie jest z nim dobrze. I to nie dlatego, że też ją kochał... Coś kurewsko groźnego działo się w jego aparacie mowy.

– Nie da rady! – redaktor naczelny spojrzał na Kosmę spode łba, chcąc podkreślić stopień swojej irytacji. – I tak zjawiasz się tu rzadziej niż ksiądz po kołędzie.

– Boss się nie denerwuje, nagram, co trzeba, do puszek... – Kosma nie dawał za wygraną.

Kolejny raz poprosił o przymknięcie oka na jego nieobecność w radiu; byli w połowie realizacji materiału do telewizji i przy odrobinie dobrej woli udałoby się połączyć obie sprawy. Tej dobrej woli wyraźnie brakowało Remigiuszowi. Byli w podobnym wieku, ale trudy prowadzenia rozgłośni musiały być większe niż brylowanie przy mikrofonie, bo wyglądał, pachniał i sypiał gorzej niż Kosma. I wiedział o tym.

– Musisz określić priorytety. Wiesz, jest coś takiego jak piramida Masłowa, można

ją odnieść do tej sytuacji. Chcesz o tym pogadać?

– Serio? – Kosma miał dość tego pieprzenia. Podejrzewał, że Remigiusz nie miał pojęcia o Abrahamie Maslowie i stworzonej przez niego hierarchii potrzeb, najpewniej wyczytał te informacje chwilę wcześniej i postanowił teraz wykorzystać. Albo jeszcze lepiej: usłyszał w radiu. – Ustalmy na użytek tej rozmowy, że masz dłuższego i jesteś fajniejszy. Co da nam asumpt do podjęcia przez ciebie decyzji, że mogę wszystko nagrać, a wrócę góra za dwa tygodnie, okej?

– Jesteś jednak mądrym człowiekiem...

– A ty jesteś podstawą mojej piramidy! – Kosma przesłał mu jeszcze całusa i zniknął z gabinetu.

Był teraz w ciągłych rozjazdach. Po zdjęciach na Mazurach doszli do wniosku, że nie ma sensu wracać za każdym razem do Warszawy i lepiej robić realizację bez zbędnych przerw. Ograniczało to możliwość kontaktu z najbliższymi, ale skutkowało tym, że z kilkunastu tygodni czas na nagrania skurczył się do trzech. Funkcjonowali jak dobrze naoliwiona maszyna i tak naprawdę żalowali, że wspólna praca ma się już ku końcowi.

– Wiesz, że to wszystko dzięki zwierzętom? – zapytała go Ewelina, kiedy przemieszczali się z Górnego Śląska na Dolny. Program w założeniu opowiadał o ciekawostkach geograficznych całej Polski, więc siłą rzeczy dużo czasu spędzali w busie. Na początku były śpiewy i gra w karty, teraz każdą chwilę wykorzystywali na sen, z rzadka na rozmowę.

– Po polsku, mów do mnie po polsku... – Kosma nie zrozumiał, o co jej chodzi.

– Poznaliśmy się dzięki zwierzętom, nie pamiętasz? Jesteśmy w tym miejscu, bo twój pies buszował w krzakach!

– Jakie to ma znaczenie? Przypadek i tyle... – Kosma, przebudzony i wyraźnie rozkojarzony, chciał jak najszybciej wrócić do drzemki.

– No właśnie, przypadek. Siedziałabym teraz w zakurzonej magazynie z dziewczynami z rekwizytorni. – Ewelina nie dawała za wygraną. Kosma zrozumiał, że nie ma szans na sen, i obrócił się do niej.

– Podoba ci się to, co robimy?

– Tak, poza tym wyszłam z domu. Miałam dość stagnacji. Lubię tych ludzi...

– Chodź, przytulę się do twych piersi i wszystko mi opowiesz!

Kosma lubił ją prowokować. Gdyby była jego siostrą, przynosiłby jej lizaki.

– Ty musiałeś wypaść ojcu z wózka któregoś razu, prawda? – odpowiedziała zaczepnie, ale przysunęła się do niego i oparła mu głowę na ramieniu. Lubiła jego zapach i ten brak skrępowania. Niby wszystko, co robili lub mówili do siebie, miało podtekst erotyczny, ale nie było w tym napięcia. Lubili się i akceptowali. Kosma nie zareagował na zaczepkę, bo poczuł wibracje przychodzącego esemesa. Ostrożnie, by nie zmuszać jej do zmiany pozycji, sięgnął po telefon i odczytał wiadomość.

„Tęsknię!”

Matylda odzywała się często, jakby chciała, by uwierzył, że to „kocham cię” wyszeptane na Mazurach nie było na wyrost. On również pokochał tę już nie dziewczynę, a dorosłą kobietę, świadomą swojej wartości. Wtedy, nad jeziorem, głos odmówił mu posłuszeństwa, ale teraz wiedział, że to może i lepiej. Nie umiałby znaleźć słów, by trafnie

opisać swój stan, opowiedzieć, co się z nim dzieje. Stał tam zauroczony tym, co usłyszał, ale też i tym, co otaczało go zewsząd. Przyroda idealnie dopełniała wyznanie Matyldy i tworzyła pejzaż pełen barw i emocji. Ona pokazała mu jeszcze inne miejsca, wymuszając na nim, że pojawi się tu z powrotem o każdej porze roku. Tak, by mieć pełny obraz cudowności tej okolicy.

– To moje miejsce na ziemi... – zdradziła mu podczas jednego ze spacerów.

Znikali na nich często. Kosma mógł zostać tam tylko dwa dni. Został trzy. Czwartego już chciał wracać, całować ją i chodzić pod rękę. Na razie zostawały im esemesy lub rozmowy przez telefon.

„Jesteś jak najlepsza konfitura w zimny dzień, mógłbym jeść Cię łyżeczką po trochu...” – odpisał po chwili.

„Z malin?” Telefon zawibrował w odpowiedzi.

„Z płatków róży. Takie robiła moja prababcia. To był rarytas...”

„Chcę być Twoim rarytatem, Kosma...”

„Jesteś, przecież wiesz!”

Schował telefon, bo wiedział, że zawstydziła się i nie odpisze mu przez jakiś czas. Była kobietą, którą deprimowała bezpośrednio wyrażana miłość, jakby do tej pory niewielu mężczyzn mówiło jej o swych uczuciach. I o tym, jak na nich działa.

– Z kim piszesz? – Ewelina obserwowała bez słowa jego zabiegi z telefonem, ale widząc, że już skończył, ruszyła na zwiady.

– A co?

– A nico, tak pytam...

– Z Matyldą Witecką, plastyczką z Warszawy.

– Nie gadaj, poważnie? Znam ją, maluje coś dla ciebie?

Tak, maluje mój świat, pomyślał Kosma i uśmiechnął się w duchu. Bo jak to wytłumaczyć komukolwiek?

– Maluje mój świat – powtórzył pod nosem, ale Ewelina już nie słuchała. Dojechali na miejsce i to uwolniło go od odpowiedzi. Ufff, musi nauczyć się o tym mówić swobodnie. Co jest złego w zakochaniu się na stare lata?

## Rozdział dwudziesty czwarty

*w którym marzec powoli się kończy, a zaczyna się coś o wiele ciekawszego.  
Zahaczymy też o Obywatela GC*

Marzec powoli się kończył. Dni były jeszcze krótkie, ale za to suche i słoneczne. Deszczu padało niewiele, a jego brak niepokoił tylko okolicznych rolników. Mimochodem wpadały jej gdzieś do ucha ich rozmowy zasłyszane w kolejce w sklepie spożywczym albo na poczcie.

Przestała nastawiać budzik. Zanim dzień rozjaśnił się na dobre, budziły ją ptaki, z każdym dniem coraz głośniejsze i wcześniej. Uchyliła wtedy okno, wracała do łóżka i słuchała, dopóki nie zgłodniała na dobre. Jeśli nie padało, piła gorącą kawę i przed śniadaniem wychodziła do ogrodu. Drzewa ciągle były nagie, ale ich czernie i szarości, na tle zbutwiałych kęp liści i połamanych konarów zalegających pod nimi, mimo wszystko nie stanowiły przykrego widoku. Codziennie zresztą innego.

W bibliotece starego malarza znalazła bogato ilustrowaną książkę o ptakach. Po niemiecku, jak spora część zbioru. Powoli rozpoznawała gatunki, które najczęściej widywała za oknem. Książkę zdobiły piękne akwarelowe ryciny. Oddawały szczegółową budowę ptaków z niezwykłą dokładnością. Spojrzała na rok wydania... Musiała kosztować naprawdę dużo. Trzymała ją w kuchni, obok książek kucharskich Grzesia, i zaglądała do niej często. Nauczyła się bezbłędnie rozpoznawać kilka gatunków sikor, dzięcioły, kowaliki i szczygły. Dzięki Internetowi łączyła wygląd ptaków z ich pohukiwaniem, krzykiem albo gwizdem. Wierzyła Kruszewiczowi, że o tej porze roku wkładają w śpiew najwięcej serca i wysiłku – muszą w końcu zainwestować w tę drugą połówkę. Kolorowe piórka i silny głos to wszystko, co mają na początek. Gniazdko to już razem... Chociaż nie wszystkie i nie jedno. Samiec remiza buduje gniazdo sam; tworzy kilka, chociaż jest monogamistą, i często sam wysiaduje lęg, kiedy już samica złoży jaja w tym wybranym i odlatuje do innego...

– Ten odcień będzie lepszy. Ten. Zapisz numer. – Matylda przypilnowała, żeby Xenia bezbłędnie zanotowała cyfry przy kratce z kolorami na próbniku.

– Idealnie pasuje do tych obić. Słońce od tej strony podbije kolor. Nie brałabym ciemniejszego. – Przeciągnęła jeszcze raz palcem po próbniku.

– Dobra, idźmy dalej.

Zanim przeszły do kolejnego pomieszczenia, zakryły folią zabezpieczającą meble przesunięte na środek pokoju. Wyremontowane pokoje czekały już tylko na malowanie. Do każdego Xenia skompletowała meble, często wiekowe sprzęty z różnych targów staroci. Odnawiała je dla niej znajoma księgowa z Trójmiasta. Dziewczyna ze swojego hobby zrobiła dodatkowe zajęcie, które tak po prawdzie dawało jej nierzadko dodatkową pensję.

Zjadły śniadanie wcześniej niż zwykle. Xenia jeszcze dziś chciała jechać z mężem po farby. Zamierzała sama dopilnować zakupu właściwych. Nie mogła sobie pozwolić na

przemalowywanie ścian. Pieniądze na remont topniały jak śnieg w maju. Uzgodnili, że malowanie zrobią własnymi siłami, obniżając w ten sposób koszty do minimum. Robota może nie pójdzie im tak szybko, ale za zaoszczędzone pieniądze zamiast trudnych do utrzymania w czystości, drogich wykładzin Xenia zaplanowała zakup ręcznie tkanych, bawełnianych chodniczków. Ich wymiary i kolorystykę uzgodniła kilka miesięcy wcześniej z panią Anią z niedalekich Wydmin, której skromną pracownię tkacką wypatrzyła lata temu na Jarmarku Dominikańskim. Bliskość pracowni przesądziła sprawę. Zamówienie miało być gotowe jeszcze w kwietniu.

– Teraz ten. – Xenia odkryła niewielką sofę obitą w brzoskwiniowe peonie na kremowym tle.

– Pasowałby ciepły róż, ale wtedy zrobisz tu buduar, a nie pokój hotelowy. Bezpieczniejsza będzie oliwkowa zieleń.

– Przyżółcona...

– Coś jak to? – Matylda rozłożyła wachlarz zieleni i wskazała palcem jeden z kwadracików.

– Bardziej ten. – Xenia przyłożyła próbnik do oparcia sofy. Przez chwilę przyglądały się meblowi i kolorowemu wachlarzowi.

– Pierwsze wrażenie się liczy. – Matylda nie chciała pozbawiać przyjaciółki ostatniego zdania.

– Siedemset osiemdziesiąt dwa, pisz!

Matylda zwinęła wachlarz i patrząc Xeni przez ramię, sprawdziła, czy przyjaciółka prawidłowo zanotowała numer.

– Krówkę?

Xenia wyciągnęła z kieszeni słodycze i podała Matyldzie. Sama odwinęła dwie naraz i z pełnymi ustami podeszła do okna; otworzyła je na oścież i obie oparły się o parapet.

– Chciałabym, żeby latem drzwi się tu nie zamykały.

– A nie dostałaś kiedyś w życiu tego, czego chciałaś? – zapytała Matylda, zanim włożyła sobie do ust trzeci cukierek.

– Powietrze jest jeszcze zbyt ostre. – Xenia poprawiła szalik przy szyi i zamknęła okno. – Myślisz, że to pójdzie?

Otworzyła drzwi ostatniego pomieszczenia, które zamierzały dzisiaj zlustrować. Przeszły dalej.

– Zdziwiłabym się, gdyby było inaczej. Tu bym dała morską zieleń, bladą. Masz kremowe meble, dopasujemy ją do tych gałek. – Matylda dotknęła ceramicznych, turkusowych elementów w kształcie kwiatów o rozchylonych płatkach, które zdobiły wysoką komodę. Znowu pochyliły się nad próbnikiem.

– Ten. – Razem wskazały ten sam kwadracik. – Pięćset trzydzieści siedem. *Finito!*  
– Xenia zwinęła wachlarz, a Matylda zamknęła brulion z notatkami.

– Mogłybyśmy zacząć już w weekend majowy. Jeśli będzie komplet, trzeba będzie poszukać kogoś do kuchni. Chciałabym jak najszybciej sprawdzić to wszystko w praniu – ciągnęła Xenia bardziej do siebie niż do Matyldy, przyglądając się jednocześnie wykończeniu dwóch krzeseł, które jako ostatnie wróciły z renowacji. – Najłatwiej...

Telefon zawibrował w dłoniach Matyldy. „Wieczorem, po ósmej...” Xenia zorientowała się, że przyjaciółka nie odpowiada jej, ale komuś będącemu daleko. Domyśliła się komu – po uśmiechu, który pojawił się na ustach Matyldy.

– Kosma – bardziej stwierdziła, niż zapytała. – Odzywa się częściej niż Wiktor.

Wyszły na podwórko.

– Chyba nie spodziewał się takiej twojej reakcji po tym wszystkim.

Xenia zostawiła za sobą otwarte drzwi. W budynku wciąż pachniało jeszcze budowlaną chemią.

– Tak naprawdę wszystko wróciłoby do normy, gdyby nie Kosma... Byłam wściekła i upokorzona, ale kiedy patrzyłam, jak Wiktor żałuje tego, co się stało, prawie byłam myślami gdzieś, gdzie kiedyś byliśmy szczęśliwi. Byłam gotowa mu wybaczyć. I wybaczyłam mu, Xenia. To nie miałyby znaczenia, jeśli wciąż ja byłam ważniejsza... Najważniejsza. – Weszły do ciepłej kuchni i zdjęły grube swetry.

– To ambitny facet. I kocha cię, ale nie będzie chciał być drugi. – Xenia uruchomiła ekspres do kawy. Maszyna zaczęła szumieć i syczeć. Przez chwilę w kuchni było słychać tylko trzask mielonych ziaren. Malarka postawiła filiżankę pod podajnik gorącego płynu.

– Czuję się jak szmaciana lalka przeciągana za ręce w obie strony. Widzę oczy ich obu. W jednych te dwadzieścia pięć lat; dobrych dwadzieścia pięć lat. W drugich to, od czego nie mam siły się odwrócić. Nie mam siły i nie chcę się odwracać, Xenia. Jestem przy Kosmie szczęśliwa.

Kuchnię wypełnił aromat orzechowej kawy.

– A jeśli się mylisz? – Xenia zadała na głos pytanie, które czasami budziło jej przyjaciółkę w środku nocy i nie pozwalało później spokojnie zasnąć.

– Jeśli się pomylę, połknę tę pomyłkę jak cholernie gorzką pigułkę, choćbym miała się pochorować...

– Co z jego rozwodem? – Xenia wrzuciła do swojej filiżanki trzy kostki cukru.

– Jest w toku. Nie mówi o tym za dużo.

– Nie chcesz poczekać, aż zrobi z tym porządek? Jeśli zrobi...

Matylda widziała, że nie może torpedować niezaprzeczalnych faktów.

– Nigdy się tak nie czułam, Xenia. – Kręciła łyżeczką w filiżance raz w jedną, raz w drugą stronę. – To jest... to jest tak, jakbym obudziła się któregoś dnia w ramionach kogoś obcego... A ten właściwy złośliwym zrzędzeniem losu należy już do innej. Rozumiesz? – Wypowiadając na głos to zdanie w cichej kuchni i obejmując dłonią filiżankę parującej kawy w poczerniałym od starości, drewnianym domu, o którego istnieniu jeszcze rok temu nie miała pojęcia, znów znalazła się w innym wymiarze, w którym nie było ani męża, ani ogłupiałej od zgiełku stolicy, ani rozsądku w białym kołnierzyku i czystych mankietach. Były za to karłowaty sad, błoto, marzenie o werandzie obrośniętej bluszczem, długich spacerach z wielkim psiskiem przy nodze i z panem tego psa pod rękę.

– Tylko bądź ostrożna... – Po namyśle Xenia wrzuciła sobie do filiżanki czwartą kostkę. – Kawa bez cukru jest niezdrowa. – Upiła łyk i przyknęła oczy z błogim wyrazem twarzy.

– A znasz lekarstwo na miłość?

– A chciałybyś? – Na twarzy Xenii malowało się tak bezbrzeżne zdziwienie, że Matyllda nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

– Gdyby miało smak mlecznych krówek, nigdy nie byłabym zakochana. On smakuje jak mleczna krówka. – Oblizła łyżeczkę. – Myślisz, że mogą się przejeść?

– Jeśli pytasz o krówki, to nie znam takiego przypadku. Ale zawsze możesz spróbować ziół na niestrawność. Nie dam głowy, czy zadziałają.

– Lista gotowa? – Grześ jak duch zjawił się w małej kuchni.

Xenia spojrzała na Matyldę znad filiżanki.

– Dokupię krówek – zawyrokowała.

– Chcecie się pochorować? – Grześ dorzucił papierek z odwinętej krówki do stosu pustych.

– Nie... – Spojrzały na siebie jak złapane na gorącym uczynku. Grześ nie miał czasu zastanawiać się, co mogły znaczyć te spojrzenia.

– I weź tu traf za babami.

Chwilę później klakson na podjeździe ponaglił Xenię. Matyllda też poczuła się zobligowana, żeby nie zmarnować dnia. Kilka dni wcześniej wysłała do Włoch pierwszą partię nawoskowanego lnu. Zadowolenie Violi wymiennie przełożyło się na stan jej konta i dodatkową energię do pracy. Ze spokojem mogła więc pomyśleć o nowym zakupie, koniecznym na wsi o tej porze roku. O kaloszach. W kwiaty!

*Matylldo,*

*na szczęście to koniec moich telewizyjnych peregrynacji. Zakończyliśmy realizację i teraz już wszystko w rękach... nie wiem kogo, w zasadzie to chyba nawet nie w rękach, ale w pilotach. Będę wdzięczny, jeśli nie przełączysz kanału, proszę!*

*Muszę posiedzieć kilka dni w Łodzi, może nawet więcej niż kilka; mam już termin pierwszej rozprawy rozwodowej i sporo zaległości w radiu. Nie wiem, co gorsze... Tym bardziej, że myślami jestem gdzie indziej, ale to już pewnie wiesz, prawda?*

*Czuję, jakby to o mnie śpiewał kiedyś Grzegorz Ciechowski – „tak długo czekam, a ty ciągle myjesz swoje ciało”<sup>13</sup>... Czekam i czekam, cały jestem tym czekaniem, bo szczerze mówiąc, świata poza Tobą nie widzę. Nieśmiało zapytam, czy nie zechciałybyś wziąć pod uwagę mojego stanu i nie wsparła mnie tu na miejscu swoją obecnością?*

*mam psa i córkę,*

*i w życiu pod górkę*

*przyjaciół niewiele*

*potrzeba mi celu!*

*Przepraszam, to popołudniowa głupawka ;-)*

*W myślach wciąż gryzę Cię w szyję i trzymam za rękę. Za mało było tego czasu obok Ciebie. Wszystkiego było mi za mało...*

*Może jeszcze trochę posiedzę i pomarzę? „Tak długo czekam, ale wiem, że to, co robisz, robisz dla mnie” ...*

*Kosma (i trochę obywatel GC)*

*Kosma...*

*Nie tylko Ty czekasz. Widocznie po coś to czekanie jest.*

*Będziesz zajęty. Ja, my tutaj, również. Xenia dopieszcza część domu dla gości. Ja pomagam jej, czarując w kuchni. Idzie mi to lepiej niż zamówienie do tej filmówki. Mam kompletną pustkę w głowie, nie licząc myśli o Tobie – przestałam je liczyć, pogubiłam się w rachubie...*

*Pan Witold zrezygnował ze sprzedaży domu. Jego syn znalazł kogoś, kogo nigdy nie zdołałabym przebić. I nie zgodził się! Chciał mnie. Więc nadal będę mieszkać tu tylko kątem, ale myśl o przeprowadzce tu na stałe nie daje mi spokoju. Co ciekawe, nie jest to niewykonalne. Żyłabym tylko dużo skromniej, ale luksus ma już dla mnie dzisiaj zupełnie inne znaczenie. Xenia nic nie mówi, kiedy jednak Witoldowie zrezygnowali z wyprowadzki, mina jej zrzędła. Wiem, że ostrzy sobie zęby na moją stałą obecność tutaj.*

*„Kobieta nie może być sama”. To chyba z „Komediantki” ... Czasy się zmieniają, stare prawdy – nigdy. Nie uważasz? Może i nie może być sama, ale czasami musi, na pewno jednak nie chce. Nie ma samotności z wyboru. Jest zawsze z konieczności.*

*Dlaczego spotkałam Cię właśnie teraz? Dlaczego to wszystko nie jest takie proste?*

*Wiesz, że odkąd Cię poznałam, wszystko smakuje inaczej?*

*Tęsknię jak obłąkana, Kosma... Za Tobą. Chcę iść z Tobą na spacer, do kina, do łóżka, gdziekolwiek.*



## Matylda

Wstała tuż przed szóstą. Decyzję podjęła w jednej chwili. Wzięła szybki prysznic, wrzuciła do torby krem do twarzy, szczoteczkę do zębów i zmianę bielizny. Naciągnęła dzinsy, a na cienką bawełnianą koszulkę narzuciła czystą bluzę z kapturem. Kilka minut przed południem była już na przedmieściach Łodzi.

„Kawa i pączek? Czy drożdżówka?” – wysłała wiadomość, uśmiechając się sama do siebie.

Odpowiedź przyszła po chwili. „Drożdżówka. Ale tylko we dwoje. Wstałaś?”

„Oczywiście, że tak... Kto był spał do tej pory?”

„To wstaw wodę”.

Matylda przez moment zastanawiała się, czy dobrze zrozumiała odpowiedź.

„Żartujesz...”

„W sprawach poważnych – nigdy. Mam ze sobą drugie śniadanie”.

Kosma uśmiechnął się sam do siebie, kiedy zobaczył na wyświetlaczu, kto dzwoni.

– Jestem w Łodzi... – Matylda prawie płakała.

– A mnie... zostało kilka kilometrów do siedliska! – Jeszcze miał nadzieję, że tylko się z nim droczy.

– To bułki się zeschną. Puszki z kawą i herbatą stoją na parapecie. Duże. Niebieskie... – Nie żartowała.

Sytuacja jak z klasycznej komedii. Kosma nie wiedział – najpierw śmiać się czy od razu płakać...

– Jesteś tam? – Matylda odezwała się z wahaniem.

– Jestem. Zastanawiam się, co teraz...

– Wracam!

– Poczekaj, to kawał drogi. Ja wrócę. A ty jedź do mnie, zaraz wyślę ci adres. Córka jest dziś w domu.

– I co jej powiem?

– „Kocham twojego ojca”. Myślę, że to dobry tekst na początek.

– A później?

– No, poprosisz o moją rękę, to chyba naturalne?

– Kosma, pytam poważnie...

– A ja ci całkiem poważnie podpowiadam. To duża dziewczyna, dorosła kobieta. Nie musisz się bać niewygodnych pytań. Albo powiedz, że przysłaś odnowić motyla.

– Łatwo ci mówić. A jak przyjedzie twoja żona?

– Oby! Będzie wam weselej.

– Jesteś... – Już nie wiedziała, czy żartuje, czy mówi to poważnie. – Pośpiesz się, okej?

– Jadę. Aha, Matylda...

– Tak?

– Nie lubię niespodzianek, ale to było... Kochana jesteś.

– Uważaj na siebie.

Zawrócił z piskiem opon, wpychając się między szkolny autobus i dostawczaka. Szosa była w tym miejscu wąska, jechało się wolno, wręcz ślamazarnie. Klął za kierownicą, z początku na Matyldę i jej pomysły, później już tylko na warunki na drodze. Nie mógł się na nią złościć, wpadła przecież na ten sam pomysł co on. Kosmą kierowała tęsknota i potrzeba trzymania jej za rękę. Wizja piersi falujących przy jego głowie, kiedy siadała mu na kolanach i obejmowała w pasie nogami. Ufność, z jaką otwierała się przed nim i zapraszała do środka. Te krótkie chwile, kiedy leżał z ustami przy jej uchu i mógł opowiadać jej, jak bardzo jest zły, że odnalazł ją dopiero teraz. Jednym słowem – miłość. A teraz pokazała mu, że czuje dokładnie to samo. Dlatego nie tylko się nie złościł, ale śmiał się przez pół drogi, przypominając sobie swoją minę w lusterku, kiedy zadzwoniła. Matylda...

Zjechał na pobocze i wysłał jej adres. Zadzwonił od razu do Michaliny. Wolał uprzedzić córkę, że będą mieli gościa. I to jakiego!

- Ojciec, już się stęskniłeś? – Michalina była najwyraźniej w dobrym humorze.
- Co robisz? – zapytał szybko.
- Ćwiczę prowadzenie orkiestry buławą marszową.
- I na to idą moje pieniądze? Będziesz dyrygować orkiestrą OSP?
- Kto wie, kto wie? – Michalina lubiła droczyć się z ojcem przy każdej okazji.
- Posłuchaj, niedługo zjawi się u nas pewna pani. Przyjmij ją ciepło.
- Jak bardzo ciepło?
- Bardzo. Inaczej będziesz machać buławą marszową do końca życia.
- Okej, załapałam. Przyjąć ją ciepło. I co dalej?
- Bądź gościnna, obecna, ale nie nachalna. Wrócę za kilka godzin.
- Z psem ją wypuścić? – Propozycja Michaliny miała drugie dno. Wynik psiego testu na ogólną kompatybilność był w tej rodzinie najistotniejszy.
- Jasna sprawa. Obserwuj, notuj i opowiedz ojcu z detalami.
- Mogę już wrócić do buławy?
- Jesteś jednak dziwnym dzieckiem. Pa!

Z powrotem włączył się do ruchu. Jeszcze tylko jakieś sto dwadzieścia kilometrów mazurskimi szosami i wyskoczy na autostradę, a później to już z górki. Uśmiechnął się pod nosem na myśl o zadaniu, przed jakim niebawem stanie Matylda. Helmut był niezwykle przyjaznym psem, ale blisko dopuszczał naprawdę nielicznych. Jeśli jej się uda i wkradnie się w jego łaski, to w zasadzie zostaną już tylko formalności. Urząd stanu cywilnego i takie tam... Tak, od tego spotkania dużo zależy. Żałował, że nie będzie go wtedy na miejscu.

- Trzymam kciuki, Matylda! – krzyknął głośno i dodał gazu.

13 Obywatel GC, *Tak długo czekam (czyli Ciało)* (sł. Grzegorz Ciechowski).

## Rozdział dwudziesty piąty

*którego sam Kosma lepiej by nie wymyślił!*

Zadzwoiła do mieszkania przy Tymienieckiego dopiero dwie godziny później. Chciała jak najkrócej przebywać w domu Kosmy pod jego nieobecność. Zdawała sobie sprawę, że może być niewygodnym gościem dla młodziutkiej dziewczyny, która widzi ją pierwszy raz na oczy, domyśla się zapewne, że Witecka uwodzi jej ojca, i jest zmuszona zabawiać ją rozmową przez parę godzin. Zatankowała samochód, pokręciła się trochę po Manufakturze, ale szybko poczuła zmęczenie. Wczesna pobudka i długie godziny za kierownicą zrobiły swoje.

Matylda była ciekawa córki Kosmy przynajmniej tak bardzo jak jego samego. Dostrzegła w dziewczynie nie tylko fizyczne podobieństwo. Ucieszyła się, kiedy zobaczyła swój obraz w pokoju pełnym nut i wydawnictw muzycznych. Pasował tu idealnie.

– Widziałam panią w telewizji! – odezwała się Michalina, kiedy po krótkiej wycieczce zasiadły w salonie. Dobrze знаła swojego ojca i domyślała się, że ta kobieta jest dla niego kimś ważnym.

Matylda uśmiechnęła się w odpowiedzi, a później z ciekawością rozejrzała wokół. Postindustrialny, surowy styl pomieszczenia przełamowały ciepłe dywany i nieliczne dodatki. Jak na gust Matyldy trochę ich brakowało. Chyba że zabrano je w ostatnim czasie, a gospodarz nie uzupełnił jeszcze straty. No tak, rozwód, tak to wygląda w praktyce.

Na początku czuła się tylko trochę nieswojo, bo wielkie psisko nie spuszczało z niej oka, tłukąc tak samo wielkim ogonem o dywan raz z jednej, raz z drugiej strony. Odetchnęła z ulgą, kiedy Helmut po prostu uwalił się w pewnym momencie u jej stóp i podstawił głowę do głaskania. Chyba zaliczył mnie do swoich, cokolwiek to znaczy, uśmiechnęła się w duchu.

Wyraźnie widziała, że Michalina przygląda jej się uważnie. Momentami miała wrażenie, że chciała ją zapytać o coś jeszcze. Matylda na ułamek sekundy wstrzymywała wtedy oddech. Czuła się dobrze w tym domu, ale mimo wszystko wolała poruszać się w bezpiecznych tematach, których im zresztą nie brakowało.

– W telewizji? Byłam tylko raz, ciekawe przeżycie. – Opowiedziała jej ze szczegółami o swojej pasji, o włoskim projekcie, o SenSualu i trochę o siedlisku.

– Każdy ma jakiegoś bzika, moim są nuty. U ojca to książki. – Michalina powiodła ręką wokół.

Matylda rozejrzała się i pokiwała ze zrozumieniem głową. Nigdy tak nie porządkowała książek. Te tutaj ułożone były jak pod linijkę. Seriami – ale również w taki sposób, że żaden grzbiet nie wystawał nawet na milimetr. Posegregowano je także gabarytami. Na samym dole regałów o niestandardowej wysokości ponad dwóch metrów ułożono książki o dużym formacie. Znalazła wśród nich atlasy i mnóstwo albumów o

różnej tematyce. Znaczną część zbioru stanowiły książki antropologiczne. Nazwiska autorów na większości tomów nie były jej w ogóle znane. Na samej górze kolorową harmonijną kompozycję tworzyły wydania kryminałów Remigiusza Mroza i Marthy Grimes.

Pochyliła się nad książkami, których w przeciętnym domu pewnie się nie czytuje. Ona też nigdy nie miała ich w rękę, chociaż tytuły sugerowały, że w co najmniej kilku znalazłaby coś dla siebie. *Apokryfy i legendy starotestamentowe Słowian Południowych; Antropologia współczesności – wiele światów, jedno miejsce; Biedni Romowie, źli Cyganie; Świątynie, postacie, ikony...* Zatrzymała dłoń przy *Anatomii duszy* Dariusza Czai. Wyciągnęła wciśniętą między inne tomy książkę i otworzyła na chybił trafił.

– Mogę? – zapytała.

– Proszę się nie krępować...

– Mówmy sobie po imieniu, dobrze? – Czuła, że obie czekają na tę propozycję.

– Z przyjemnością. Michalina.

– Matylda – odpowiedziała i na nowo zapadła się w głęboki fotel. Helmut przydreptał i przysiadł obok, opierając ciężki łeb na jej kolanach.

– Odpoczywaj, ja zajmę się obiadem. Nie sądzę, by ojciec był na siłach zabrać nas na miasto.

Częściowo miała rację. Ojciec nie miał sił na kulinarne wycieczki po Łodzi, zabrał za to Matyldę do sypialni. Michalina, czując pismo nosem, ulotniła się zaraz po kolacji. Pies warował przy drzwiach, bo nic lepszego wieczorami psy do roboty nie mają.

– Powinam wyjechać rano... – Matylda szeptała w ledwo słyszalny sposób, ale wiedziała, że to wystarczy. Było daleko po północy. Światła ulicznych latarni rozjaśniały pokój. Nie zapalali żadnej nocnej lampki. Wielkie okna wpuszczały wystarczająco dużo światła z sennej ulicy. Czuł ciepło jej oddechu na swoich ustach.

– Nie teraz, proszę...

Nie zasnęli nawet na moment, ale wciąż pod wpływem jego słów wypowiedzianych gdzieś blisko ucha czuła przyjemny dreszcz biegnący od szyi aż do palców stóp. Nadal nie mieli nic na sobie. Żadne nie wstało, chociaż od godziny oboje odpoczywali po męczącym dniu i gorącym powitaniu, które z niecierpliwością i niezwykłą zachłannością celebrowali aż do tej pory.

– Dopiero przyjechałaś... – Dotknął palcami jej piersi. Przyciągnął ją do siebie tak blisko, jakby w ten sposób chciał odcisnąć ślad jej ciała na swoim jak pieczętkę na zalakowanym liście. Leżąc na boku, oplótła go nogami i wodziła palcami dłoni po plecach Kosmy, pisząc na nich wolno opuszkami esy-floresy.

– Muszę wracać do pracy. Ty też nie grzeszysz wolnym czasem...

– To nie tak, po prostu powinienem przez chwilę być tu, na miejscu.

– Dziś ukradłam ci trochę dnia. I nocy. Udało się. Ale jutro? Pojutrze, za tydzień?

– mówiła w zagłębienie jego szyi, drugą dłonią dotykając jego włosów.

– Nie lubię złodziei... – szepnęła i ugryzła ją delikatnie w ucho. – Zostań, nie będziesz musiała kraść.

Przez długą chwilę milczeli, przypatrując się sobie nawzajem.

– Powiedziałeś...

- Zostań. Tak.
- Gdyby to było takie proste...
- To jest proste. Zostań ze mną.
- Ale...

– Matylda, kocham cię. – Czowała jak mięśnie jego pleców napinają się pod palcami jej drobnych dłoni. – Poukładamy to jakoś. To mieszkanie pomieści nas wszystkich, wstawimy twój stół. Tam, pod oknem... Jest duże, będziesz miała sporo światła. Przesuniemy regał. Albo nie: zrobimy półki nad łóżkiem. Będzie więcej miejsca, a regał...

– Kosma! – przerwała mu, wciąż szepcząc. Serce biło jej chyba tak mocno jak wtedy, kiedy po raz pierwszy schował jej dłoń w swojej. Łzy napłynęły jej do oczu.

– Jeśli myślisz o tygodniu czy dwóch...

– Myślę o tygodniu. I o dwóch też.

Zaczerpnęła głośno powietrza, ale Kosma nie pozwolił jej dokończyć.

– I o wszystkich pozostałych.

Wtuliła się w niego jeszcze mocniej. Leżeli z otwartymi szeroko oczami, wpatrzeni w przestrzeń i przyszłość, którą każde po swojemu musiało poskładać z porozrzucanych kawałków, licząc na to, że uda się z nich ułożyć zupełnie nowy patchwork...

Cztery dni później, koło południa, wyszedł z gmachu sądu z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Ulżyło ci? – zapytała Kaśka, którą przepuścił w drzwiach.

Byli już po pierwszej rozprawie, zgodnie z przewidywaniami spotkają się na jeszcze jednej. I tyle... Spojrzał na nią, zastanawiając się, jak ona to przeżywa. Chyba średnio, bo w całej jej postawie wyczuwało się jakieś napięcie.

– Zjemy coś? – zaproponował ostrożnie.

– Innym razem, okej?

– Pewnie...

– To cześć! – Kaśka odwróciła się w stronę swojego auta.

– Poczekaj! – W ostatniej chwili przypomniał sobie, że ma jeszcze jedną sprawę do załatwienia w najbliższym czasie. – Znasz dobrego laryngologa?

– Znam, oczywiście. – Kaśka sięgnęła po telefon. – Profesor Klejmann. Doktor Staruch... Może być?

– Nie wiem, przekonam się. Który lepszy?

– To dla ciebie? Jesteś chory? Chodzi o tę chrypkę? – zasypała go pytaniami.

– To pewnie jakieś głupstwo... – Kosma próbował bagatelizować sprawę.

– Ja zadzwonię i umówię cię na wizytę. Nie lekceważ tego!

– Dobrze, mam! – zgodził się Kosma i pomachał jej na pożegnanie. – Daj znać, jak ustalisz termin.

Patrzył, jak wsiada do auta i odjeżdża, wciskając gaz odrobinę za mocno. Od rana czuł się źle, gardło piekło i żadne pastylki do ssania nie pomagały. Na szczęście nie musiał chwilowo jechać do Warszawy, udało mu się ostatnim razem sporo podgonić, więc grafik nagrań nie naglił. Te kilka godzin w radiu też jakoś przepęka, pocieszał się w myślach i wyjął z kieszeni wibrujący telefon. Wyciszył go przed rozprawą i nie zdążył wrócić do poprzednich ustawień. Spojrzał na wyświetlacz...

Kaśka.

– Masz kogoś? – Nie dała mu dojść do słowa i zaatakowała, kiedy tylko odebrał.

– Mam...

– Tak czułam! – krzyknęła z satysfakcją i nieco spokojniej dodała: – Profesor przyjmie cię wieczorem, po dziewiętnastej, złamasie. Mam nadzieję, że zapłacisz jak za zboże!

– Dzięk... – Nie zdążył odpowiedzieć, bo przerwała połączenie. Po chwili dostał jeszcze esemesa z adresem Klejmana i życzeniami bolesnej agonii. „Ja też Cię lubię” – odpisał i trzasnął drzwiczkami stanowczo za mocno. Stare volvo jęknęło z wyrzutem, ale zapaliło bez problemu.

Z sądu do radia było blisko, postanowił więc wpaść tam na chwilę i pokręcić się po rozgłośni. Posłuchać plotek, pospiskować, ponarzekać – porobić to, czym radiowi dziennikarze tak naprawdę zajmują się w pracy na poważnie. Zrezygnował w połowie drogi – gardło piekło coraz mocniej. Zawrócił do domu, po drodze kupując w zaprzyjaźnionym warzywniaku buraki na botwinę i inną zieleninę, której o tej porze roku szczególnie potrzebował.

– Już? – zapytała zdziwiona Matylda, kiedy stanął w drzwiach obładowany zakupami. Miała na sobie fartuszek, z kuchni dobiegał zapach gotującego się obiadu. Wyglądała jak gospodyni, jak dobra żona. I jeszcze jak ktoś, kto ma ochotę...

– Chodź do łóżka, teraz! – zaproponował, rzucając siatkę, z której wysypały się ziemniaki.

– A Michalina?

– Nie wróci do wieczora, ma dziś najtrudniejsze zajęcia.

– Poczekaj, sprawdzę, czy nie wykipi...

– To ja też! – powiedział i ruszył za nią.

Pod fartuszką miała tylko namiastkę bielizny – dobrze wiedziała, że będą sami przynajmniej do osiemnastej. Zrzucił wszystko z kuchennego stołu; widział to kiedyś w filmie i zawsze chciał powtórzyć samemu. Udało się, posadził Matyldę i zsunął spodnie.

– Czekałam na ciebie, wiesz?

– Wiem...

– Wszystko w porządku? – zapytała, bo miała wrażenie, że Kosma mówi z trudem, jakby nie swoim głosem.

– Wszystko... w... porządku...

Wbijał się w nią, rozdzielając słowa, a reszta zdania utonęła w pocałunkach. Krzyczała głośno nawet wtedy, kiedy wysunął się z niej i przytulił do piersi. Przez chwilę jeszcze wstrząsały ją spazmy.

– Mógłbyś doktoryzować się z orgazmów... – wyszeptała, kęsając go w szyję.

– A propos doktora... – zaczął Kosma, ale urwał po chwili.

– Tak?

– Nie, nic, sam nie wiem, co chciałem powiedzieć. – Był wściekły, że w porę nie ugryzł się w język. Nie chciał jej niepotrzebnie martwić. Przeżywali właśnie najpiękniejszy tydzień swego związku, namówił ją na węgry w Łodzi i nie chciał psuć tego wizytą u lekarza. Załatwi to sam.

– Zjemy coś? – zapytał. – Na jutro mamy botwinę. A dziś?

– A dzisiaj mamy siebie! – zdecydowała Matylda i pociągnęła go w stronę salonu. Miętkość tybetańskiego dywanu kusila ją od pierwszego dnia.

Kosma wyszedł tuż po szóstej. Starał się jej nie obudzić, ale Helmut jeszcze nie rozumiał nowych zasad i głośno pożegnał pana. Nie mogła już zasnąć, leżała jeszcze chwilę w łóżku. W Łodzi było kilka stopni cieplej niż na Mazurach, zupełnie jakby wiosna przyszła tu wcześniej. Uchylone okno wpuszczało szum miasta i ptasi rwetes. Rozróżniała zięby i melodyjne trele kosów. Kiedy zarejestrowała, że leży z szeroko otwartymi oczami i że już nie zaśnie, wstała i narzuciła na siebie cokolwiek. Pstryknęła czajnik i naciągnęła dzinsy. Zanim woda się zagotowała, uporządkowała włosy. Odkręciła kran w łazience, zanurzyła ręce w zimnej wodzie i przyłożyła mokre dłonie do twarzy. Przeciągnęła wilgotną dłonią od szyi do ramion. Opuściła luźną koszulkę i wciąż patrząc na swoje odbicie w lustrze, opuszkami palców dotknęła piersi i małych brodawek. Nie były tak jędrne i pełne jak dwadzieścia lat temu, ale skóra wciąż była napięta i gładka. Poczła przyjemne ciepło i mrowienie w dole brzucha na wspomnienie ust Kosmy wędrujących po tych miejscach, których teraz dotykała sama. Czowała, jak znów robi się wilgotna, chociaż tak naprawdę niewiele czasu dawali pościeli, żeby zdążyła wystygnąć. Tej nocy też nie zrobili wyjątku.

Wróciła z ryneczku, zanim herbata zdążyła naciągnąć. Kupiła naręcza białych tulipanów i podzieliła je na kilka bukietów. Z szerokiego parapetu wysokiego okna w salonie uprzątnęła poduszki i książki. Między niskimi świecami ustawiła kilka pustych butelek po winie. Wypełniła je wodą i do każdej wstawiła po jednym kwiatku. Pies przyglądał się jej zabiegom z zainteresowaniem, jakby dawno nie widział tu podobnej krzątaczki.

Opadła na sofę, patrzyła na dachy łódzkich kamienic i skubała kruszonkę ze świeżej drożdżówki, którą Kosma zostawił jej na kuchennym blacie razem ze świeżym opakowaniem twarożku i szczypiorkiem.

– ... i tym, dla których być może ta noc była za krótka, przypominam, że kolejna już za niecałe dziewięć godzin. W oczekiwaniu na nią – Matylda nie była pewna, co właściwie Kosma miał w tej chwili na myśli – nie marnujcie ani chwili z dzisiejszego dnia, bo taki może się zwyczajnie nie powtórzyć.

Podkreśliła głośniejszym głosem. Patrzyła na odbiornik i uśmiechała się do siebie, a właściwie do Kosmy, który gdzieś tam po drugiej stronie – wyraźnie to słyszała – też się uśmiechał. Kolejne słowa wypowiadał spokojnie, jednocześnie zaczepnie je modulując, jakby doskonale zdawał sobie sprawę, że steruje nie tylko barwą swojego głosu, ale i kobiecą wyobraźnią, być może nawet mocniej niż wszystkimi zmysłami.

Stała przy oknie z twarzą tuż przy szybie. Niski parapet pozwolił jej obserwować ulicę w dole. Znów miała przed oczami jakiś obcy widok. Kilka miesięcy wcześniej czowała się tak w mazurskim siedlisku, potem goszcząc we włoskiej willi pani Mancini. Przez te ostatnie miesiące nigdzie do końca nie mogła znaleźć spokoju. Tu, w tym mieszkaniu, poczuła się inaczej, jakby była długo oczekiwanym gościem, któremu już dawno przygotowano miejsce. Przez pryzmat uczucia, jakim darzyła Kosmę, wszystko wokół wydawało się jej w pewien sposób znajome. Ale nic nie miało jej śladów; żadna z rzeczy

nie była wybrana jej ręką. W tym mieszkaniu wciąż jeszcze nie było jej. To ciągle była czyjaś przestrzeń, jego przestrzeń, w której na razie tylko pozwolono jej się poruszać. Rozejrzała się jeszcze raz. Wzięła do ręki puszkę herbaty w egzotyczne liściaste desenie i wciągnęła nosem jej aromat.

Ich mieszkanie urządziła sama. Nigdy nie zastanawiała się nad tym, dlaczego Wiktor jej w tym nie wyreczył. Było jej wygodnie z tym, że mogła kupić wszystko, co uważała za niezbędne. Łapała się tylko na tym, że nie zawsze była do końca pewna swoich wyborów. Wiedziała jednak, że mąż nie pomoże rozwiązać jej wątpliwości. Nie krytykował jej wprawdzie, ale i rzadko coś doradzał.

Z Kosmą chciała stworzyć tę przestrzeń od nowa. Albo raczej – po raz pierwszy. Tak naprawdę wspólnie i w taki sposób, żeby chcieli do niej wracać oboje, jak teraz do siebie...

Przed drzwiami poprawiła włosy. Kiedy pozwolono jej wejść do reżyserki, Kosma siedział pochylony nad jakąś kartką. Jedną ręką przytrzymywał słuchawkę, drugą przybliżał i oddalał od ust długopis, obracając go w palcach. Przez długą chwilę przyglądała się, jak śmiesznie marszczy czoło, myśląc o czymś intensywnie. Kiedy podniósł oczy znad kartki, jego wzrok musiał wyłowić jej jaskrawożółty golf. Widziała, jak zaskoczenie zamienia się na twarzy Kosmy w szeroki uśmiech.

– Dziś nad Łodzią bezchmurne niebo. Chciałbym, żeby taki błękit towarzyszył nam przez większą część roku, a nawet życia. – Zbliżył usta do mikrofonu i patrzył na Matyldę. – Deszcz... będzie dopiero jutro. Jeszcze nie wyciągajcie parasoli. To dopiero jutro. – Kosma dał znak ręką i z głośników popłynęła muzyka.

– Przepraszam... nie chciałam przeszkadzać! – Matylda uśmiechnęła się przepaszająco, kiedy Kosma wszedł do reżyserki. – Tylko zobaczyć cię przy pracy. To takie moje marzenie było.

– Wiesz, o czym ja marzę? – wyszeptał jej prosto do ucha tak, żeby słyszała to tylko ona.

– Wiem – powiedziała cicho i wyciągnęła z torebki dwa bilety. Kupiła je *ad hoc* w kasie Teatru Jaracza w drodze do studia. – Przed czy po? – Założyła kosmyk za ucho.

– Nie możesz ot tak sobie przychodzić tu, kiedy tylko ci się spodoba. – Tylko udawał złość. Zerknął na bilety, pociągnął ją za rękę i przycisnął do ściany w pustym pomieszczeniu obok reżyserki. – Dobry wybór. A tamto... Przed i po – wyszeptał w okolicę jej karku. – Kończę za godzinę. Musisz stąd pójść, bo mnie rozpraszasz... Musisz! – Pocałował ją w usta i zniknął za drzwiami.

Do „przed” miała jeszcze chwilę oddechu; „po” niech się dzieje, co chce.

– Nie byłeś u lekarza! – Głos jego prawie już był jej żony był pełen pretensji. Doskonale ją rozumiał. Pewnie musiała stanąć na rzesach, by błyskawicznie umówić go z profesorem. A on dał ciała, bo nie poszedł, co zresztą natychmiast potwierdziła Kaśka: – Dałeś dupy, jak zwykle!

– Nie mogłem... – To było słabe tłumaczenie, więc nie brnął dalej.

– Twoja sprawa. Drugi raz nie zwracaj mi...

– Głowy? – przezornie wszedł jej w słowo.

– *Whatever...*



Rozłączyła się, zanim zdążył przeprosić. I dobrze, pomyślał. Niepotrzebne mi dodatkowe wyrzuty sumienia. Oczywiście zlekceważył spotkanie z laryngologiem, bo i gardło bolało trochę mniej, w zasadzie dało się żyć. No i Matylda... Nie chciał jej wtedy zostawiać nawet na chwilę. Zmieniła przecież plany, została z nim. Z jednego dnia zrobiła się doba, później dwie, trzy, a on starał się wykorzystać jej obecność do ostatniej minuty. Lekarz poczeka, w końcu Kosma nie jest sparaliżowany ani obłożnie chory. Nie zaraża, nie prątkuje. Mam jeszcze czas, zawyrokował.

Najbardziej lubił te chwile, kiedy leżeli obok siebie, przytuleni jak łyżeczki w kuchennej szufladzie. Kusila zapachem i miękkością pośladków, z czego oczywiście korzystał, dopóki starczało mu sił.

– Myślisz, że szybko dostaniesz rozwód? – zapytał ciemną nocą tak niespodziewanie, że nawet Helmut podniósł łeb i czekał na odpowiedź.

– To trochę bardziej skomplikowane niż u ciebie – zaczęła ostrożnie. – Wiktor nic nie wie, nie podda się tak łatwo.

– To ma dla ciebie jakieś znaczenie?

– Kosma...

– Przepraszam, nie mówmy teraz o tym. Wybierzmy lepiej kolory farb – zaproponował. – Trzeba tu trochę pozmieniac, żebyś czuła się jak w domu.

– Tutaj?

– A nie? Gdzie chcesz mieszkać?

– Dobrze, że pytasz... Mamy trzy możliwości. Łódź, Warszawę i... – zawiesiła głos.

– Mazury! – dopowiedział Helmut krótkim szczeniakiem.

– Myślisz o Mazurach? – zapytał Kosma chwilę po nim.

– Posłuchaj, to nie jest zły pomysł, zaraz ci wytłumaczę. – Matylda usiadła na łóżku i przysunęła się możliwie najbliżej. – Tu zostaje Michalina, musi skończyć szkołę, prawda?

– Prawda, musi zostać w Łodzi.

– Moje mieszkanie w Warszawie jest w połowie własnością Wiktora. Nie wiem, jak się zachowa, nie chcę uzależniać naszego losu od jego decyzji. Jeśli mnie splaci, będzie mnie stać na jakiś dom, być może nawet gdzieś niedaleko Xenii.

– Podobało mi się tam... – Kosma przeciągnął się i uśmiechnął na wspomnienie urokliwego zakątka daleko stąd. Może to nie jest taki głupi pomysł? – Jedźmy tam!

– To znaczy, że chcesz się ze mną zestarzeć? – zapytała Matylda.

– To znaczy, że nie chcę już niczego innego! – Był tak pewien tej decyzji, że przekonał nawet Helmuta. Psi ogon oszalał z radości, uderzając w pościel raz za razem.

– O, ten to jest gotów jechać już teraz! – zaśmiał się Kosma i objął Matyldę, przyciągając ją do siebie.

Żebyś wiedział, mówiło psie spojrzenie. Żebyś wiedział.

Siedziała na fotelu w sypialni w samej bieliźnie. Wcierała w stopy i łydki lekki balsam, delikatnie pachnący mandarynką i ledwo wyczuwalną nutą jakiegoś egzotycznego kwiatu. Nie śpieszyła się. Przy łóżku leżała jej walizka, wciąż tylko częściowo rozpakowana. Odwlekała wyjazd, tłumacząc się nieudolnie sama przed sobą.

O straconym czasie przy sztalugach nie myślała prawie wcale. Nieraz zdarzało jej się nadrabiać zaległości, zarywając noce. Wtedy najbardziej doceniała zalety nienormowanego czasu pracy.

Jednak walizka przypomniła jej, że ma jeszcze parę rzeczy do załatwienia. Zdecydowała, że zanim wróci do siedliska, spotka się z mężem. Zbywała go ciągle nowymi kłamstwami, kiedy dzwonił co jakiś czas. Nigdy na tak długo nie znikła z domu. Zwykle informowała go, gdzie jest, z kim i dlaczego wyjeżdża. Tym razem nie tłumaczyła się zbyt mocno, on też starał się nie być dociekliwy. Była pewna, że domyśla się prawdziwego powodu jej nagłej nieobecności i zwyczajnie daje sobie czas na przemyślenia, jak poradzi sobie w nowej rzeczywistości, którą, była pewna, widział jak na dłoni. Rozmawiali niewiele i zdawkowo, skupiając się na swoich zajęciach, zdrowiu najbliższych i planach zawodowych. Za to w nienaturalny dla ich dotychczasowej codzienności sposób omijali temat spędzania wolnego czasu. Ani razu żadne z nich nie zadało drugiemu pytania, na które odpowiedź wydawała się coraz bardziej oczywista.

Kosma przyglądał się jej, jak się ubiera, stojąc niezauważony w drzwiach sypialni. Robiła to wolno, patrząc gdzieś przed siebie. Patrzył na jej delikatny profil, zaróżowione od kąpieli policzki i drobne dłonie, którymi spokojnie masowała skórę, przesuwając je od kostek aż po górną część ud. W którymś momencie dotknęła obrączki. Przyglądała się jej, obracając ją dwoma palcami drugiej ręki.

– Jest dla ciebie tak ważna?

Ocknęła się z letargu.

– Nigdy nie myślałam o niej w ten sposób. Była zawsze... Jest pamiątką, cennym drobiazgiem. Przy tobie byłaby – ważyła słowa – czymś więcej niż tylko kawałkiem złota. Wiem, że to banał. Że to banalnie brzmi. – Spojrzała mu w oczy – Ale tak jest. Chciałabym nosić twoją.

– Boisz się? – Usiadł przed nią na fragmencie dywanu, opierając łokieć na jednym kolanie. Czekał w napięciu.

– Nie. Jestem pewna. – Zamilkła na chwilę. – Jestem pewna, Kosma. Boję się tylko jego reakcji. Boję się, że nie da mi odejść.

– Nie będzie miał wyboru.

– Pojedziemy przez Warszawę. Powiem mu... Po prostu mu powiem. – Przekreślała obrączkę raz w lewo, raz w prawo. – Jestem przy tobie szczęśliwa, Kosma. Nigdy bardziej nie byłam. Cokolwiek...

– Będzie dobrze. Nie my pierwsi i nie ostatni.

– Myślisz, że będzie próbował mnie zatrzymać?

– Niech robi, co chce! – Przysunął się do brzegu fotela na kolanach, położył dłonie na pośladkach Matyldy i zdecydowanym ruchem przyciągnął ją do siebie. – Niech robi, co chce – powtórzył wolno i wyraźnie. – Nie wypuszczę cię z rąk!

## Rozdział dwudziesty szósty

*w którym kwitnie miłość i padają ważne deklaracje. Poznamy też Piotrusia*

Wiktor siedział na brzegu kanapy z nisko zwieszoną głową i dłońmi splecionymi nad karkiem.

– Nie wierzę. Nie wierzę w to, Matyllda – mówił cicho, tak że ledwie go słyszała.

– Chcę za niego wyjść.

Widziała, jak białe mu palce. Cisza w mieszkaniu gęstniała niczym mgła w październikowe noce. Pokręcił głową i zaśmiał się słabo w taki sposób, że przez chwilę myślała, że zacznie płakać.

– Nie ma już nic między nami? To mi chcesz powiedzieć?! – Wstał, opuścił ręce wzdłuż tułowia i patrzył na nią z grymasem zdziwienia i przerażenia jednocześnie.

– To nie tak. – Czowała, jak ucisk gdzieś w środku brzucha nie pozwala mówić jej tak wyraźnie, jak by sobie tego życzyła.

– A jak? Jak, Matyllda?! Co nie jest tak?! – Widziała, jak szybko oddycha, ciągle z tym samym bezbrzeżnym zdziwieniem w oczach. – Kocham cię! Czego nie rozumiesz?! – mówił coraz głośniej.

– Teraz pamiętam tylko te dobre rzeczy! – Próbowała go przekrzyczeć, chociaż w ogóle jej nie przerywał. – Pamiętam same dobre rzeczy, kiedy patrzę na ciebie. Nie jesteś mi zupełnie obojętny. – Nie mogła opanować ściśniętego gardła. – Nie jesteś mi obojętny... – Czowała, że jeszcze chwila, a przegra z poczuciem winy.

– Więc pozwól mi...

– Za późno, Wiktor. – Słowa zawisły nad nimi jak niewidzialna gilotyna. Zanim przebrzmiały w ciszy pokoju, ostrze opadło. Poczowała w całym ciele ostateczność decyzji, którą właśnie przed chwilą przypieczętowała tymi dwoma krótkimi słowami.

Czasami wyobrażała sobie ten moment, kiedy zadurzała się w kimś i po raz kolejny myliła nagłą fascynację z miłością. Wtedy myślała, że ten moment będzie apokalipsą. Że potem zostanie już tylko jedno wielkie gruzowisko, przez które nie będzie w stanie przejść sama.

Teraz powoli zaczynała czuć ulgę. Nie widziała też przed sobą gruzowiska. Słyszała wiosenne ptasie hałasy za oknem i dostrzegała jasne plamy słońca na dywanie. Zaskoczyło ją nagle wspomnienie ciepłych majowych wieczorów, kiedy jeszcze w liceum wracała do domu z zajęć pozalekcyjnych, wdychała zapach kwitnących drzew przy ulicy i świeżej trawy na skwerach. Przypomniała sobie Matyldę z czasów, kiedy uśmiechała się sama do siebie i do przyszłości, która – choć niewiadoma – miała dla niej tylko dobre, obiecujące oblicze. Czekala na nią jak na prezent. Wtedy – z ufnością wynikającą z braku doświadczenia. Teraz czowała prawie to samo. Dzięki Kosmie. To było silniejsze niż poczucie winy, kiedy patrzyła w oczy męża.

– Nigdy nie przestaniesz być dla mnie ważny. Nigdy. – Znów miała wrażenie, że nie uczestniczy w tej scenie, ale obserwuje ją gdzieś z boku. – Ale chcę odejść.

Zauważyła, że próbuje uspokoić oddech. Jeszcze nigdy nie widziała tyle smutku w oczach swojego męża. Przez ułamek sekundy przez głowę przemknęła jej myśl, że oszalała, że ta rozmowa nie ma w ogóle miejsca i że to się nie dzieje naprawdę.

– Kurwa... – Wiktor odwrócił się od żony i usiadł z powrotem na kanapie. Ścisnął w pięści włosy i milczał.

Nagle gwałtownie wstał.

– Muszę wyjść.

Słyszała tylko, jak zrywa kurtkę z wieszaka. Huk zatrzasniętych drzwi zabolął ją mocniej, niż się tego spodziewała. Wrócił nad ranem. Nie spała, kiedy rozbierał się w przedpokoju. Nie poszedł do łazienki i nie wszedł do sypialni. Rozpoznała, że był trzeźwy. Słyszała, jak uruchamia ekspres do kawy, ale nie nalał sobie gotowego napoju. Siedział w kuchni jeszcze co najmniej godzinę. Słyszała, jak płacze.

Wcale mu się nie uśmiechała wizja pozostawienia jej na całą noc z mężem. I ich wspólny wieczór z perspektywą pojedynczej kolacji. Nie protestował jednak, wiedząc, że lepiej przeżyć to teraz i nie utrudniać Matyldzie i tak niełatwej sytuacji. Przez całą drogę do Warszawy była nieobecna i wyraźnie spięta. Gdzieś za Rawą Mazowiecką przestał zagadywać, jego nieśmiałe próby wciągnięcia jej do rozmowy trafiały w pustkę. Helmut spokojnie leżał na tylnej kanapie, dużo mniejszej niż w ulubionym volvo jego pana. Przyzwyczajony do wygody, tu po prostu zwinął się w kłębek i udawał, że śpi. Zdradzało go tylko postawione ucho, ale tego Matylda we wstecznym lusterku nie mogła dostrzec. Zresztą i tak skupiona była na drodze.

– Gdzie będziesz nocował? – zapytała, kiedy minęli Nadarzyn.

– Jeszcze nie wiem, najlepiej, jak wysadzisz nas w centrum – poprosił Kosma.

Tak też zrobiła. Stał z psem i podręczną torbą, patrząc, jak odjeżdża, i zastanawiając się, czy następnego dnia ruszą w dalszą drogę. Czy się nie złamie? W zasadzie był pewien tylko tego, że on sam jest gotów na tę zmianę. Że jej potrzebuje. Jej, Matyldy. Zmian nie lubił, ale z nią był gotowy na największe ryzyko. Tylko czy ona też?

– Zobaczmy jutro... – mruknął do psa, a ten wesoło pomerdał ogonem, jakby chciał odpowiedzieć: nie panikuj.

Kto przygarnie takiego Don Kichota i jego wiernego Sancho Pansę? – myślał dalej Kosma, gładząc kudłaty łeb Helmuta. Nie miał ochoty spotykać się z kimś, komu musiałby tłumaczyć ostatnie wydarzenia. A w zasadzie z kimś, kto sens tych wydarzeń interpretowałby nie po jego myśli. Miał kilka opcji, zdecydował się na najmniej oczywistą.

– Słucham? – Ewa Lorenz odebrała szybko, jakby trzymała telefon w ręce i tylko czekała na sygnał.

– Jesteś sama?

– Nie, z Piotrem – odpowiedziała cicho.

– Czyli przeszkadzam... – Kosma był wyraźnie zawiedziony.

– Nie, tylko muszę mówić cicho...

– Tak się dałaś zdominować? To jakiś samiec alfa z twojej komendy?

– To mój syn, durniu. Ma trzy lata i podłapał przeziębienie. Siedzimy w domu.

– Nie mówiłaś, że masz...

– Kiedy ci miałam mówić i po co? – przerwała mu, lekko podnosząc głos. – Prawie wcale się nie odzywasz. Zerznąłeś mnie i dobrze nam się gadało, to tyle.

– Tyle?

– Czego chcesz? – odpowiedziała pytaniem.

– Jestem z Helmutem i szukamy noclegu. Pomyślałem, że mogłabyś nas dziś przygarnąć.

– Kurwa, ja sama i was dwóch? Co to za Helmut? Jakiś szwab?

– To mój pies, nie pamiętasz?

– Rzeczywiście, zapomniałam. – I już nieco łagodniej dodała: – Przyjedźcie, tylko nie dzwoń do drzwi. Obudzisz małego. Wyślę ci adres.

– Ewa?

– Tak?

– Jesteś... Sama wiesz.

– Jestem z policji, nie zapominaj!

Helmut nie miał do tej pory zbyt dużej styczności z dziećmi, więc radość okazywana przez małego Piotra przypadła mu do gustu. Kiedy już dotarli na miejsce, okazało się, że chłopczyk nie tylko nie śpi, ale i czuje się lepiej. Kosma sadzał go Helmutowi na grzbiet, pies pozwalał ciągnąć się za uszy i wkładać małe rączki do pyska. Dogadali się i polubili natychmiast.

– Powinnaś mieć tu takiego towarzysza – zagadnął, kiedy usiedli w kuchni.

– Mogłabym powiedzieć to samo! – Ewa uśmiechnęła się, odsłaniając zalotnie zęby.

– Że ja i dziecko? – Kosma odpowiedział uśmiechem. – Chyba jestem już za stary.

– Co cię sprowadza?

– Jestem w drodze na Mazury, tu mam przystanek.

– Jaki znowu przystanek? Mów, o co chodzi! – W spokojnej Ewie obudziła się policjantka.

– Okej, opowiem, ale później ty!

– Co ja? – zapytała, a Kosma w odpowiedzi wskazał głową Piotrusia. – A, o niego chodzi.

– No, Rejczel! Kto pierwszy? Może ty?

Opowiedziała mu o ojcu Piotrka, o romansie z przełożonym, o tym, że obiecał zostawić żonę, ale na obietnicach się skończyło. I o tym, że przeniosła się do Warszawy z Żyrardowa zaraz po porodzie. Do siostry, swojego anioła stróża.

– Było ciężko, ale dałam radę. Dałyśmy, bo Kama nie opuszczała mnie ani na chwilę. Teraz ty!

– A więc było to tak... – podjął Kosma, nie wiedząc, od czego zacząć. – Gdybyśmy poznali się teraz, nie byłoby tej nocy nad Wisłą.

– Czyli jest jakaś kobieta? – Ewa sprawnie łączyła fakty.

– Nie jakaś, całkiem konkretna!

– Opowiadaj ze szczegółami!

Opowiedział, kilka detali jednak pominął z uwagi na Piotrusia, który usadowił się na kolanach mamy i teraz przyglądał mu się bardzo uważnie. Nie wszystkie z ostatnich

wydarzeń nadawały się dla uszu trzylatka.

– Jesteś szczęśliwy... – ni to stwierdziła, ni zapytała, kiedy skończył.

– Będę, kiedy to wszystko się ułoży. Bardzo bym tego chciał, pani aspirant.

– Awansowałam, jestem podkomisarzem!

– Pod którym?

– Bury, zboczeńcu! Za karę będziecie spali w pokoju Piotrusia, na materacu, ja wezmę go do siebie.

– Ewa... Nie mam zbyt wielu przyjaciół. To, że zadzwoniłem do ciebie, nie było do końca przemyślane. Jeśli to kłopot, pójdziemy dalej.

– Przestań! Poza tym myślę perspektywicznie... Mały będzie miał gdzie jeździć na wakacje, Mazury są piękne. – Puściła do niego oko.

Siedzieli jeszcze jakiś czas po kolacji, chłopiec bawił się z psem, Ewa gawędziła z niezapowiedzianym gościem. Kosma nie tylko zrobił jej niespodziankę, ale jednocześnie sprawił przyjemność. Zadzwonił właśnie do niej... Dlaczego? Zapytała go o to.

– Chciałem pogadać z kimś, kto mnie, nas, nie będzie osądzał – odpowiedział po krótkim namyśle.

Niezbyt często miała okazję rozmawiać w ten sposób z mężczyzną. I to o uczuciach!

– Zazdroszczę ci, wiesz?

– Wierzę ci. Jestem po czterdziestce i przeżywam miłość swojego życia. Sam sobie zazdroszczę.

– Kiedy to mówisz, robi mi się ciepło w niektórych partiach ciała. Wiesz, samotne matki też mają swoje potrzeby! – Mówiąc to, położyła mu stopę na udach. Ujął ją delikatnie i zaczął masować.

– Tak dobrze?

– Jeśli teraz przerwiesz, użyję służbowej broni! – zagroziła ze śmiechem.

Nie przerwał, dokończył masaż i odprężoną przeniósł do pokoju sypialnego. Piotruś rozłożył się na całym łóżku i wyraźnie niezadowolony, przez sen przesunął się, robiąc miejsce matce.

– Dobranoc, Kosma! – szepnęła, przytrzymując jego rękę.

– Śpij już...

Wrócił na swoje miejsce i nakrył się kocem. Prawie nie spał tej nocy; długo leżał, nasłuchując dźwięków gasnącego miasta. Helmut miał niespotykaną umiejętność szybkiej aklimatyzacji, więc najpierw asystował zasypiającemu Piotrusiowi, później wrócił do swojego pana i zaległ przy nim, podsuwając łeb do głaskania. Po chwili chrapał swoim zwyczajem.

Kosma sprawdził telefon i zaraz tego pożałował. Nie odezwała się. Dlaczego?

Obudziło go świdrujące spojrzenie, które czuł na długo, zanim otworzył oczy. To syn Ewy, w zabawnej piżamie, siedział tuż obok niego i przypatrywał mu się uważnie.

– Jesteś moim tatą? – zapytał.

– Niestety, nie. Ale mogę być twoim kumplem, jeśli zechcesz – odpowiedział Kosma ostrożnie, kiedy dotarło do niego, że nie ma sensu udawać, że wciąż śpi. Zresztą Helmut tak walił ogonem w materac, że obudziłby umarłego.

– Nie wiem. Wolę tatę... – Chłopiec momentalnie posmutniał.

– Nie śpicie już? – Ewa stanęła w drzwiach dziecięcego pokoiku i wybawiła go od odpowiedzi. – Już po ósmej, nie chciałam cię budzić. Byłam z psem na spacerze.

Kosma spojrział na zadowolonego Helmuta, który całym sobą potwierdzał wersję pani podkomisarz.

– Dziękuję. Nie mogłem zasnąć, a jak już się udało, to spałem jak kamień. – Przeciągnął się i rozprostował. Z materaca zeszło trochę powietrza i czuł się jak na łóżku wodnym.

– Dostałeś esemesa. Sprawdź telefon!

– Dzięki, najpierw szybkie siku!

– Mamo, on powiedział siku! – Piotruś najwyraźniej chciał jak mama zostać stróżem porządku, na początek językowego. – Tak się nie mówi!

– Daj mu spokój, syneczku. On jest z Łodzi, nic nie poradzimy. – Ewa zaśmiała się i wróciła do kuchni.

Kosma szybko uwinął się z poranną toaletą. Esemes był od Matyldy i informował, że jest gotowa. Helmut miał wyraźny dylemat – ruszać dalej czy dać się znów ujeżdżać malcowi. Decyduj! – szczechnął w kierunku swojego pana. Kosma podniósł torbę.

– Dziękuję za masaż! – powiedziała Ewa, żegnając go w progę.

– To ja dziękuję. Będę się odzywał... – obiecał i pocałował ją w policzek, przytulając odrobinę za długo.

Nie będziesz – chciała odpowiedzieć, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Cicho zamknęła za nimi drzwi i wróciła do syna. Może jednak się odezwie?

Matylda nie miała problemów z szybkim dotarciem do miejsca, gdzie mieszkała Ewa. Kosma podesłał jej adres i czekał przed blokiem. Helmut załatwiał swoje psie sprawy, a jego pan stał obok z czarnym woreczkiem.

– Tu nocowaliście? – zapytała, kiedy usadowili się w samochodzie – U kogo?

– U podkomisarz Ewy Lorenz – odpowiedział Kosma zgodnie z prawdą.

– Powinniśmy o tym pogadać? – Matylda spojrzała na niego, później na psa.

– O tym? Niekoniecznie. Raczej o tym, co działo się u ciebie.

– Cóż... Po prostu jedźmy, okej? Mamy jeszcze trochę drogi do pokonania.

– Może ja poprowadzę? – Kosma zdecydowanie lepiej czuł się za kierownicą niż na fotelu pasażera.

– Za chwilę, jak wyjedziemy z miasta. Kochasz mnie jeszcze?

– Dlaczego jeszcze? Dopiero zaczynam! – Przechylił się w jej stronę i cmoknął ją w ucho. – Tęskniłem za tobą i szlag mnie trafiał, bo się nie odzywałaś.

– Na początku nie mogłam, później nie chciałam ci już przeszkadzać. Mógłbyś mnie pocałować? – Matylda zjechała na bok i zgasiła silnik.

Serio? – zdawał się pytać Helmut. Tak to my dojedziemy za ruski rok...

Jechali już kilka kilometrów przez puszcę. Matylda uważnie omijała dziury na drodze, wciąż wypełnione błotem i wodą. Zatrzymała się na poboczu w środku niewielkiej wsi. Kosma rozejrzał się z ciekawością, zanim wysiedli. Wzięła go za rękę, skręciła w prawo i poprowadziła polną drogą przez tunel z nagich drzew jarzębiny. Marcowe słońce szybciej niż wiatr odklejało od zeschniętej trawy zszarzałe liście. Droga zakręcała i opadała

w dół.

Zeszli na brzeg wielkiego jeziora. Miało podłużny kształt i kończyło się gdzieś bardzo daleko cienką linią lasu. Było zupełnie niewidoczne z drogi przez to, że ta biegła wyżej i że całe okolone było wysokimi drzewami.

– Odkryłam je przypadkiem.

Zrozumiał, że to miejsce było celem ich wycieczki.

– Przyjeżdżałam tu często. Nie mogłam się oprzeć. Wiedzą o nim tylko tutejsi.

Pociągnęła go na szeroki pomost. Podeszli do jego końca. Patrzył, jak skupiona wodzi wzrokiem po linii lasu na drugim brzegu. – Przyjeżdżałam tu sama. Czasami tylko popatrzeć – ciągnęła. – Czasami czytałam... Wtedy byłeś już ty. W tych listach. – Kąciki jej ust delikatnie unosiły się do góry. – Zastanawiałam się wtedy, czy podobałoby ci się tutaj. Jak mnie.

Spojrzała w lewo, szybkim ruchem odwróciła się do Kosmy i objęła dłońmi jego głowę. Miał policzki chłodne od wiatru.

– Obiecałam sobie wtedy, że chcę to oglądać tylko z tobą. To tak na początek. – Poprawiła mu szalik pod szyją. – Z tych najlepszych rzeczy, które mam dla ciebie. Wiesz, że teraz szczęście już zawsze będzie mi się kojarzyło z zeschniętymi liśćmi i wiatrem w kieszeni? – Zaśmiała się krótko i dwie łzy spłynęły jej po policzkach. – Jeszcze nie mogę w to uwierzyć – mówiła cicho, jakby się bała, że ktoś usłyszy słowa wypowiedziane głośniej i czar pryśnie.

Patrzył na nią z czułością i z delikatnym uśmiechem, trochę zaniepokojony widokiem łez. Ocierał je kciukami jedna po drugiej i nieco za mocno przyglądał kosmyki włosów na jej czole, aż wszystkie idealnie przylgnęły do twarzy.

– Nie płacz, głuptasie...

Stał tak blisko, że prawie dotykał jej ustami. Objął ją lewym ramieniem, a prawą dłonią szukał ust i policzków. Tulila twarz do jego dłoni, całując jej zagłębienie. Przytulił ją i prawie schował jej głowę w swoich ramionach. Kłaczki z puchatej czapki Matyldy łaskotały go w nos. Patrzył na drzewa po drugiej stronie jeziora i nie wiedział, co mógłby jeszcze powiedzieć, żeby zrozumiała, że nie potrzebuje niczego więcej. Podniosła głowę i spojrzała na Kosmę. Przywarła do niego plecami. W tym samym momencie przypomnieli sobie chwilę sprzed kilku tygodni.

– Teraz twoja kwestia... – powiedział Kosma gdzieś w pobliże jej ucha.

Zaśmiała się głośno czystym śmiechem bez cienia fałszu i niepewności. Po raz pierwszy słyszał w jej głosie tyle nieskrępowanej radości. Obróciła się do niego. Jej błękitne tęczęwki były prawie przezroczyste.

– Znalazłam cię – powiedziała – przez deszcz...

Kosma zmarszczył pytająco brwi.

– Pojawileś się jak deszcz. Na pustyni.

– Czy to nie ja przypadkiem powinienem używać takich porównań? – Patrzył na jej pełne usta. – Fajna z ciebie dziewczyna, Matylda.

Poczuł, jak nagle wstrząsnął nią dreszcz chłodu.

– Zmarzłaś.

– Jedźmy do domu.



Tym razem on zadrzał na dźwięk ostatniego słowa.

Zagniecione ciasto na szarlotkę owinęła folią i schowała do lodówki. Usiadła przy stole i zaczęła obierać jabłka. Kroiła je w drobną kostkę i wrzucała do małej miseczki obok. Usiadła w taki sposób, żeby przyglądać się Kosmie. Robiła to przy każdej okazji. Często ją na tym łapał – wtedy śmiała się tylko. Być może osaczała go w ten sposób swoją miłością, ale nie umiała inaczej. Nie umiała i nie chciała.

Myszkował w bibliotece starego malarza. Lubiła przyglądać się jego sylwetce, dłoniom. Lubiła, kiedy kręcił się po domu, chłoneła jego obecność każdym zmysłem, jakby miał zniknąć, kiedy tylko się odwróci. Długo przeglądał zawartość poszczególnych egzemplarzy. W końcu zdecydował się na jeden i usiadł w fotelu. Patrzyła, jak czyta. Wiedział, że na niego patrzy. Czasami podnosił wzrok znad książki i zupełnie bez słowa również się jej przyglądał.

Zapach duszonych jabłek z cynamonem przypominał jej czas wakacyjnych wizyt u dziadków na wsi. Czas, kiedy jeszcze nie martwiła się o nic. Spojrzała na Kosmę. Teraz już nie patrzył na nią, zaczytany. Musiała wstać i podejść do kuchennego okna tak, żeby jej nie widział. Łzy płynęły gorącymi strumieniami, których nie mogła zatrzymać. Była szczęśliwa, a płakała jak dziecko. Cały niepokój, upokorzenie i te wszystkie nowe uczucia, które nosiła w sobie od tyłu tygodni, wypływały z niej teraz. Im dłużej płakała, tym większą czuła ulgę, jakby robiła sobie miejsce na nowe. Cokolwiek miałyby się teraz wydarzyć.

Nie mogła tylko zapomnieć oczu męża, kiedy zrozumiał, że podjęła już decyzję. Widziała w nich najpierw kompletną niezgodę na nową rzeczywistość, a potem już tylko rezygnację, przyduszoną jeszcze widokiem jej dwóch największych walizek, z którymi oboje podróżowali i które wspólnie kupowali...

Kiedy naciskała klamkę, robiła to najwolniej, jak tylko mogła, czując, że przekroczywszy próg, przekroczy coś więcej niż tylko granicę ich mieszkania.

– Dziękuję, Wiktor... .

Nie mogła nie powiedzieć tych słów; nie była w stanie wyjść w taki sposób, żeby ostatnią rzeczą, którą będzie pamiętał, był widok jej pleców. Zamknęła za sobą drzwi, widząc w jego oczach całe ich dwadzieścia pięć lat. Oparła się o framugę i musiała wziąć kilka głębokich wdechów, żeby nie chwycić z powrotem klamki i nie krzyknąć, że nie ma już siły dłużej grać w tym dziwnym filmie, w którym przyznano jej jedną z głównych ról.

Czekała na windę otępiąta poczuciem straty czegoś, czego już nigdy nie zdoła odzyskać, oszołomiona jednocześnie zapachem nowych pragnień tuż za progiem, na wyciągnięcie ręki... Przespała całą podróż. Zasnęła chwilę po tym, jak przekazała kierownicę Kosmie. Nie zdawała sobie sprawy, że była aż tak zmęczona.

Kiedy Kosma wszedł do kuchni, zastał Matyldę przy oknie. Oddychała już spokojnie, patrząc przed siebie. Dużo dalej niż za horyzont. Poczula wyraźny zapach jego perfum. Dobierał je idealnie dla siebie. W zetknięciu z jego skórą tworzyły mieszankę, pod wpływem której jej wyobraźnia zaczynała pracować jak po solidnej dawce opium.

Domyślił się, że płakała. W końcu w jego głowie też było mnóstwo sprzecznych uczuć. Rozumiał ją. Chyba...

– Parę kilometrów dalej jest nieduży dom do sprzedania. Podobno chodziłaś z

panem Witoldem w tamtą stronę. Zrobiłem rekonesans – powiedział spokojnym głosem.

– Stoi pusty. Zresztą nie tylko ten jeden w okolicy.

– Wiem... Zlazłam te ścieżki wzdłuż i wszerz. – Usiadła naprzeciw niego przy kuchennym stole.

– Nie jest duży. Nawet za wiele za niego nie chcą.

– Wszystko jedno jaki...

– Mam trochę oszczędności – zaczął.

– Dostanę pieniądze dopiero po sprzedaży mieszkania. Nie wiem, jak długo to potrwa. – Matylda mówiła szybko. – Będę malować tutaj, dla SenSualu i do galerii. Będą warsztaty. Rachunki pozwoli nam płacić sklep...

– Spróbuję wziąć więcej zleceń w stolicy. – Kosma wszedł jej w słowo. – Powinienem zupełnie zrezygnować z radia, dopóki nie wymyślę czegoś tutaj. Chcę być jak najbliżej ciebie.

– Kiedy będziesz miał nagrania, będziemy pomieszkiwać u rodziców. Przewiozę tam część farb. Do mniejszych prac. – Poczwała, jak policzki robią się jej coraz cieplejsze. – To spory dom, wystarczy nam przecież jeden pokój...

– A gdyby jeszcze udało się poukładać wszystkie nagrania w jednym ciągu...

– Chcę ciebie... Na kilku metrach, z szafą, dwoma kubkami i jednym oknem na świat.

– Przypala się. – Kosma był czujny. – Ja to zrobię, siedź.

Podniósł się pierwszy i zaczął mieszać owoce w rondelku.

– Dobrą pieczesz? – Popatrzył na nią z ukosa.

– Najlepszą. Genialną, powiedziałabym...

## Rozdział dwudziesty siódmy

*w którym para powalczy o wspólną stodołę. Na starość – na zawsze*

Dom rzeczywiście nie był duży, ot dwie izby. Gdyby nie odbiegający od całości solidny dach, można by powiedzieć, że to kompletna ruina. Opadające drzwi i odrapane ściany, upstrzone wielokolorowymi szlaczkami przez kilka pokoleń mieszkańców, nie zachęcały do odwiedzin. Za to sad i stojąca nieco w głębi stodoła pozwalały Kosmie snuć plany na przyszłość. Jeśli zaadaptują stodołę na mieszkanie, to będzie im tu jak w niebie. W domu z kolei mogliby zrobić pracownię dla Matyldy. Wielkościowo wszystko pasowało idealnie, w większym pomieszczeniu mogłaby malować, w drugim zrobić podręczny składzik farb i materiałów. Kosma dokładnie obejrzał murowane ściany i ocenił stan podłóg. Mimo braku szyb w oknach nie wyglądało to zupełnie źle. Z adaptacją tego budynku powinni uporać się błyskawicznie, więcej czasu i pieniędzy pochłonie przerobienie stodoły. Była ogromna, prostokątna i kompletnie do niczego. Pokochał ją od razu, kiedy tylko zaskrzypiały jej ogromne wrota, a on, mrużąc oczy, wszedł do środka. W wyobraźni widział już wyrżnięte w drewnianych ścianach, ogromne okna z widokiem na sad. A w nim grusze, śliwy, dwie czereśnie i orzech włoski. To będzie kosztowało krocie, ale na najbiedniejszych nie trafiło, pomyślał. Jeśli mają się tu zestarzeć, to niech to będzie proces rozłożony na wiele szczęśliwych lat. W budynku z cegły i drewna, z historią opowiadaną przez ściany i zwierzętami podchodzącymi pod okna.

– I co myślisz? – zapytał Helmuta, który najwyraźniej czuł się tu już jak u siebie, bo przez kilkanaście minut zdążył obsikać chyba wszystkie drzewka. Pies w odpowiedzi szczeknął i pognał dalej, zapraszając do zabawy.

W głowie Kosmy uruchomił się kalkulator. Szybko podsumowawszy stan konta z ewentualnymi wpływami, doszedł do wniosku, że jeśli zaciśnie pasa, to da radę. Dadzą, bo przecież Matylda też dołoży coś od siebie.

– Tadam! I co ty na to? – zapytał po południu, odsłaniając jej oczy. Stali w głębi sadu, mając przed sobą widok na całą działkę.

– Kosma, to jest stodoła! – Nieco ostudziła jego zapał.

– Ty mówisz stodoła, a ja mówię, że to jest nasze miejsce na ziemi. Spójrz tylko! – rzucił, prowadząc ją do środka. – Wielka przestrzeń na dole, kuchenna wyspa w tamtym końcu. Tu biblioteka i ogromny salon. Kominek!

– To ciągle jest stodoła!

– Łazieneczka... – ciągnął niezrażony. – Tu schody na górę, a tam kilka sypialni i pokój kąpielowy. Tu dobudujemy takie coś, a ta ściana będzie cała ze szkła! – Rozkręcał się na dobre.

– To mnóstwo kasy, same instalacje, szambo i inne pierdoły będą kosztować krocie.

– Wolę jak mówisz do mnie „kocie”, nie „krocie”!

– Wiesz, że mam rację!

– Chcesz tę kasę do grobu zabrać? Rozejrzyj się i zobacz ten potencjał. No, popatrz!

Na razie Matylda widziała tylko zimne klepisko stodoły, pozostałości po maszynach rolniczych i mnóstwo słomy zalegającej po kątach. Cena za całość była śmiesznie niska, ale myślała, że jeśli już, to remontować będą domek. Wielka stodoła? Marzyła o pokoiku z kominkiem, przy którym mogłaby czytać, przytulona do Kosmy.

– W domku zrobimy pracownię, tylko dla ciebie! – kusił Kosma, czytając jej w myślach. – Pomyśl tylko, przyjedzie ta Włoszka z kolejnym zamówieniem i gdzie ją położysz? A dzieciaki? Pod namiotem?

Wiedziała, że już przegrała i nie ma sensu się z nim spierać. W głębi duszy chciała tego co on. I żeby byli tu szczęśliwi. Zamieszkałaby nawet w chlewiku, byle tylko on pobielił ściany i grzał ją w zimowe wieczory.

– Chcesz tego, prawda? – zapytała, obejmując go w pasie.

– Będę z tobą, gdziekolwiek zechcesz, ale tu możemy stworzyć coś wspaniałego.

– Zróbmy to!

– Tu? Teraz? Jest zimno i mam jasne spodnie...

– Głupi jesteś czy co? Kupmy to miejsce.

– Przecież żartuję. Kocham cię.

– Gdzie mam podpisać?

W bojowych nastrojach wrócili do siedliska Xenii. Matylda zapaliła się do pomysłu, jej artystyczna dusza wzięła górę nad pragmatyczną częścią natury. Pewnie prościej byłoby kupić coś bardziej tradycyjnego w formie, ale... raz się żyje! Nie wybierała jeszcze kolorów farb na ściany, bo tych ścian po prostu nie było, ale w głowie rodziła jej się ogólna koncepcja. I ta koncepcja miała ręce i nogi.

Kosma musiał wracać do Łodzi, zaraz później zameldować się w Warszawie i pozarabiać na ich przyszłe fanaberie. Matylda też ze zdwojoną energią wróciła do pracy, podgoniła nawet projekt dla łódzkiej filmówki, dotąd traktowany po macoszemu. A kilka dni później naprawdę kupiła ten kawałek ziemi. Załatwiła to błyskawicznie, zbijając cenę jak urodzony handlarz. Dotychczasowy właściciel najwyraźniej nie miał serca do tego miejsca, bo rozstawał się z nim bez żalu. Spadek po dalekiej rodzinie potraktował bez sentymentu, jedynie jako źródło zarobku.

– Niech się pani tu darzy! – powiedział na pożegnanie, bogatszy o kilkadziesiąt tysięcy. – Ja wolę jednak ulice wielkiego miasta.

Matylda dziękowała w myślach za weneckie zlecenie. Dzięki niemu mogła sobie pozwolić na ten zakup bez żadnych wyrzeczeń. Cieszyła się jak dziecko z niespodzianki, jaką zrobi Kosmie.

– I co myślisz? – zapytała Helmuta, stojąc dokładnie w tym samym miejscu, co jego pan kilka dni wcześniej.

Zmówili się czy co? – zdawały się mówić psie ślepia, którymi wpatrywał się w nią, rozłożony pod krzakiem leszczyny. Może być, mnie pasuje!

Niewielki teren z brzozowym zagajnikiem, sadem i dostępem do jeziora stał się jej własnością. Nie było pomostu, ale wkrótce to się zmieni – obiecała sobie. Gdyby tylko mogła wiedzieć, że zmieni się nie tylko to...

Już dobrą godzinę kręciła się z telefonem po pokoju. Oczywiście nie wytrzymała i od razu opowiedziała Kosmie o zakupie działki. Wcześniej spotkała się z miejscowym

architektem, znajomym Xeni. Podchwycił temat, zupełnie jakby pomysł mieszkalnej stodoły sprawił mu prawdziwą radość.

– Zrobię jak dla siebie, będziecie państwo mieli perełkę! – zapowiedział i zasypał ją pytaniami. O liczbę okien, preferowaną wielkość drzwi wejściowych, rodzaj drewna na podłodze czy cegieł na ścianach. Kamień, drewno, szkło i metal – powtarzała jak mantrę wcześniejsze ustalenia. Opowiadali sobie o wymarzonych wnętrzach, że może kiedyś... A teraz? Jeszcze trochę i będzie je miała! W pakiecie z Kosmą!

– Jesteś niesamowita! – zawołał do słuchawki, kiedy już doszedł do siebie po pierwszym szoku. – Nie wiem, co powiedzieć!

– Może zaczniesz od: jesteś kochana?

– O tak, jesteś kochana i wyjątkowa. Nie mogę się doczekać powrotu! – Teraz kręcił się jak małe dziecko, przestępując z nogi na nogę.

– Dni bez ciebie są bez sensu. Wloką się nieznośnie.

– Drugą rozprawę mam w poniedziałek. To już tylko chwila.

Zakasłał.

– Pamiętaj o tym lekarzu, za długo cię to trzyma. Posłuchaj... – urwała, jakby straciła wątek.

– Tak?

Nie wiedziała, w jaki sposób zapytać go o żonę. Czy nie robi mu problemów i nie stawia warunków nie do przejścia. Zupełnie nie wiedziała, skąd jej się to bierze, ale ta kobieta ciągle stała gdzieś między nimi. Chociaż Matylda nigdy jej nie poznała i choć dla niego ten rozwód nie był trzęsieniem ziemi.

– Myślisz, że na drugiej rozprawie się skończy?

– Tak.

Przez chwilę słuchała tylko ciszy w słuchawce.

– Przy małżeńskich wojnach wygrywają zwykle prawnicy. Nie jest głupia. Też to wie. I na to liczę.

Teraz to ona milczała.

– Przyjeżdżaj... – szepnęła w końcu w jednoznaczny sposób. – I chodźmy do tej stodoły – położyła nacisk na pierwsze słowo.

– Czyli że podoba ci się jednak moja wizja?

– Czekam...

Rozłączyła się i wciągnęła głęboko powietrze.

Gdyby nie robota, którą musiała wykonać, pojechałaby za Kosmą. I to zaraz po tym, jak wsadziła go do pociągu. Pracowała szybko i dużo, żeby poświęcić mu maksimum czasu, kiedy znowu się spotkają. Siłą się powstrzymywała, żeby nie bombardować go telefonami. Była wariacko zakochana i niezachwianie pewna...

– Spałam przez te wszystkie lata – powiedziała do niego którejs nocy na Mazurach, kiedy leżąc, rozmawiali do świtu. – I nawet tego nie wiedziałam...

– A teraz już wiesz? – Bawił się jej włosami.

– Teraz wszystko wiem... I rozumiem, dostrzegam, odkrywam...

– Na nowo?

– To też. – Milczała chwilę. – We właściwy sposób. Pełny, kompletny. Jesteś jak

haust czystego powietrza, które dociera głęboko do płuc i powoduje zawrót głowy.

Sprzątali po śniadaniu, kwietniowe słońce budziło rośliny na tarasie. Było jeszcze zbyt chłodno, żeby zjeść na zewnątrz, ale na tyle przyjemnie, by wyjść na powietrze z kubkiem kawy. I z Helmutem, gdyby tu był. Z telefonicznych relacji Matyldy wynikało jasno, że ich pies na dobre zadomowił się na mazurskiej wsi i ani myśli zmieniać miejsca pobytu. Wyszli więc sami.

– Zdrajca! – powiedziała Michalina, patrząc na jedną z zabawek porzuconą przez czworonoga.

– O kim mówisz? – Kosma nie był pewien, czy zarzut ze strony córki dotyczy jego czy tylko Helmuta.

– Ja wiem, a ty się domyślasz. – To był ich ulubiony tekst.

Kosma przysunął się do córki i objął ją ramieniem. Stali tak przez chwilę, gapiąc się na parking i wyjeżdżające samochody.

– Mogę zostać, jeśli chcesz – zaproponował po chwili.

– Kłamiesz...

– Nie, nie kłamię. Budowa zajmie tam trochę czasu, mogę posiedzieć tutaj. Skończysz rok i przeniesiesz się na Uniwersytet Muzyczny w Warszawie, będzie bliżej...

– Tato! Jestem już duża, zapomniałeś? – przerwała mu gwałtownie.

– To luźna propozycja.

– Luźna? Jak cię znam, to już tam dzwoniłeś i dogadałeś temat. Mam rację?

– Masz...

– Mam też pracę, ojcze. Tutaj! W Łodzi.

– Jak mówiłem, to luźna propozycja.

– Posłuchaj... Mam mieszkanie, coś tam zarabiam, mama jest na miejscu.

– Czyli zostajesz?

– Zostaję! I wiesz co? Zawsze będziesz miał gdzie wrócić, jeśli ci się noga powinie.

– Cmoknęła go w policzek, kończąc temat.

Dojrzałość córki zaskoczyła go nie pierwszy raz; dla niego wciąż była małą dziewczynką i nic nie mógł poradzić na to, że się o nią martwi. Przyjął z oporem jej decyzję, jednocześnie obiecując sobie, że jeden z pokoików w stodole zawsze będzie na nią czekał.

– A jeśli już koniecznie chcesz mi pomóc, to pogadaj w radiu. – Michalina wyrzała jeszcze na taras. – Skoro rezygnujesz, to może będą chcieli mnie przetestować i wejść na twoje miejsce. Taka, wiesz, wymiana pokoleniowa.

Kosma uśmiechnął się tylko i skinął głową. Ustalił to z naczelnym przedwczoraj. Michalina prowadziła gościnnie kilka audycji muzycznych i zrobiła to na tyle dobrze, że propozycję stałej pracy otrzymała już dawno. Nie skorzystała, bo pochłaniały ją studia, związek z Jaromirem i działalność w klubach muzycznych. Za to teraz będzie jak znalazł! – pomyślał, ale na razie zatrzymał tę informację dla siebie. Zrobi jej niespodziankę przed samym wyjazdem.

Zajrzał do jej pokoju jakąś godzinę później.

– Wychodzę! – Zbierała się na uczelnię i też była już gotowa do wyjścia – Zabrać cię?

Michalina skinęła potakująco głową, dorzuciła kilka rzeczy do torby i ruszyła do wyjścia. Podrzucił ją na Gdańską, stąd miał jeszcze kilka przecznic do gabinetu profesora.

Kosma przed wyjazdem do Warszawy chciał się jeszcze przebadać, bo drapanie w krtani stawało się nie do zniesienia.

– A samochód mi zostawisz? – zapytała Michalina, kiedy przystanął pod Akademią.

– Zostawię – odpowiedział cicho, jakby z żalem.

– Serio? Zmieniasz swoje życie na dobre!

– Na bardzo dobre! – odparł z przekonaniem.

– Musi być wyjątkowa ta Matylda.

– Ty jesteś wyjątkowa, uciekaj! – Pożegnał ją całusem.

## Rozdział dwudziesty ósmy

*w którym rusza pierwszy kamyczek lawiny nieszczęśliwych zdarzeń*

W poczekalni nie było nikogo, poprzedni pacjent nie wyszedł jeszcze z gabinetu. Profesor Klejmann nie znosił tłoku i kolejek, więc umawiał wizyty ze sporym marginesem czasowym. Kosma przeglądał rozłożone na stoliku czasopisma i uśmiechał się do siedzącej w recepcji kobiety. Była ładna, nawet bardzo. Jeśli profesor z prowadzeniem kuracji radzi sobie tak dobrze, jak z doborem personelu, to jestem w dobrych rękach, pomyślał. Drzwi do gabinetu otworzyły się, wypuszczając matkę z kilkuletnią dziewczynką. Zaraz po tym stanął w nich starszy mężczyzna i ciepłym głosem zaprosił go do środka.

– Proszę spocząć! – zachęcił Kosmę. – Na co się pan uskarża?

Kosma opowiedział o męczącej chrypce, zmianie barwy głosu i utrzymującym się od pewnego czasu bólu gardła. Lekarz słuchał z uwagą, notował i nie przerywał.

– Alkohol, papierosy? – zapytał, kiedy Kosma skończył.

– Alkohol okazjonalnie i raczej niskoprocentowy, papierosy popalałem jeszcze niedawno. Teraz skutecznie je odstawiłem.

– Proszę przenieść się tu na fotel, będę lepiej widział – zakomenderował Klejmann i odchylił oparcie tak, by specjalna lampa dobrze oświetliła usta pacjenta. Sięgnął po lusterko krtaniowe, zapalił dodatkową lampkę umocowaną na czole i rozpoczął badanie. – Język do mnie, przytrzymam go, proszę się nie bać.

Kosma posłusznie wywalił język na wierzch, a profesor złapał go gazikiem i mocno trzymał. Badanie trwało chwilę, ale uwięziony język sprawiał, że nie należało do przyjemnych.

– Znakomicie! Teraz się zamienimy, proszę wstać. – Profesor sprawnie zajął miejsce na fotelu i przyciągnął do siebie pacjenta. – To była pozycja Turcka, teraz, proszę ja pana, przyjęliśmy pozycję Kiliana.

– Będę pamiętał! – zdążył powiedzieć Kosma, po czym znów wysunął język.

– Badam w ten sposób spoidło przednie i tylne – tłumaczył lekarz. – To podstawowe badanie, które pozwala mi stwierdzić w pana przypadku pewną patologię. Znakomicie, kończymy.

Kosma wolałby, żeby to „znakomicie” odnosiło się raczej do diagnozy niż samego zakończenia badania. Wrócił na stare miejsce przy biurku profesora i czekał na wyrok.

– Mam dobrą i złą wiadomość – zaczął Klejmann. – Dobra jest taka, że jest pan w fachowych rękach. To ważne, zwłaszcza na etapie diagnostyki. Gorsza jest taka, że właśnie ta diagnostyka wskazuje na pewne zmiany w obrębie krtani.

Czyli jednak to coś poważniejszego... Kosma chciał zakląć na głos, ale nie wypadało.

– Profesorze, a konkretnie?

– Jest pan dorosły, pracuje pan głosem, więc nie będę ukrywał, że już teraz widzę,



że nie jest tak, jak być powinno. Umówię pana na pobranie próbki, którą przekazemy do badań histopatologicznych.

Histopatologicznych? O ile wcześniej Kosma jeszcze się łudził, to teraz w zasadzie miał już pewność.

– Mam raka?

– Nie wykluczam takiej możliwości.

Kosma milczał przez chwilę, jakby zbierał myśli. Klejmann uszanował moment ciszy i również się nie odzywał.

– Dziękuję za szczerość. Co teraz będzie?

– Nie chcę pana zasypywać informacjami o diagnostyce onkologicznej przy podejrzeniu nowotworu krtani. Ujmę to tak: widzę tu pewne symptomy, dlatego biopsja i histopatologia to będą nasze kolejne kroki. Jeśli potwierdzą się podejrzenia, zrobimy szczegółowe badania, które wskażą nam stopień zaawansowania choroby. I będziemy walczyć!

Pacjent wyglądał na przybitego. To nie może być prawda, przecież takie rzeczy nie mają prawa się wydarzyć! – myślał gorączkowo. To bzdura, ktoś tu nie zna się na swoim fachu.

– Przepraszam, profesorze, ale jest pan pewny tej diagnozy?

Kosma jakby postarzał się na wąskim krzeselku. Klejmann przez chwilę przyglądał mu się, bębniąc palcami w blat biurka.

– Jakiej odpowiedzi pan oczekuje?

– Szczerej, oczywiście...

– Siedzę w tym ponad czterdzieści lat. Możemy udawać, że to standardowe badania, ale po co?

– Dziękuję. – Chciał powiedzieć to głośno i wyraźnie, ale z jego ust wydobył się tylko słaby szept.

– Pani Lidia umówi pana u mnie w klinice na biopsję. Proszę tego nie lekceważyć. W razie pytań dzwonić. I być dobrej myśli, to zawsze pomaga.

Pani Lidia rzeczywiście umówiła go na kolejną wizytę, i to już nazajutrz. Próbował jeszcze negocjować ten termin, bo obowiązki w Warszawie wzywały, ale zdecydowany ton asystentki profesora nie znosił sprzeciwu.

– Profesor powiedział: bezzwłocznie! – zakończyła spór i uśmiechnęła się pojednawczo. – To przecież w pana interesie.

– Dziękuję! – Kosma przyznał jej rację i odebrał kartkę z datą i miejscem wizyty. Pożegnał się, a następnie wyszedł na ulicę.

Co teraz? Oj, mamusku, nie jest wesoło! Przysiadł na krawężniku i oparł się o samochód. W głowie mu się kręciło, a wymioty były kwestią chyba sekund. Nie chcę umrzeć na raka, no kurwa, nie teraz! Zwrócił całe śniadanie i otarł usta rękawem wełnianej kurtki.

Ta część Łodzi nie należała do szczególnie polecanych w przewodnikach turystycznych, ale nawet tu takie zachowanie nie było na porządku dziennym. No, chyba że właśnie otrzymało się informację o śmiertelnej chorobie. Wtedy można było pozwolić sobie na więcej. Może nawet na płacz...

Dopijały popołudniową kawę, zapatrzone w rozłożone na stole szkice nowego lokum Matyldy. Praca architekta robiła wrażenie; już na pierwszy rzut oka widać było, że wykazał się nie tylko pomysłowością, ale i dobrym smakiem. Nic tu nie było przerysowane, niczego za dużo. Zrobił, jak obiecał – jakby przygotowywał stodołę dla siebie. I choć na szczegółowy projekt umówili się dopiero po przyjeździe Kosmy, to Matylda już teraz wiedziała, że ich nowy dom będzie najwspanialszym miejscem na ziemi. A już na pewno na Mazurach!

– Promieniejesz, jakbyś była w ciąży. – Xenia od dłuższej chwili przypatrywała się nie tylko projektom, ale i swojej przyjaciółce.

Matylda zaśmiała się głośno.

– Żałuję, że spotkałam go dopiero teraz.

– Jeszcze mogłabyś urodzić!

– Przestań... Obie czekamy na wnuki. – Matylda spojrzała na Xenię znad kartki. – Pewnie, że mogłabym, nie byłabym wyjątkiem. Kiedy pomyślę, że czas czytania bajek i kupowania lizaków nie był naszym wspólnym udziałem, to zwyczajnie to do mnie nie dociera. Jakby zaszła jakaś idiotyczna pomyłka...

Siedziały przy kuchennym stole, na zmianę drapiąc za uchem Helmuta.

– Xenia... Ja mam wrażenie, że życie dopiero teraz się zaczęło. – Dłubała przy guziku swetra. – Nigdy nie pomyślałabym...

– Z tego, co opowiadałaś, wynika, że przeprowadził ten rozwód w błyskawicznym tempie. Muszę przyznać, że mnie zaskoczył.

– Mnie bardziej! – Matylda pozwoliła sobie na uśmiech.

– Podobno jeśli w ciągu roku od momentu rozpoczęcia romansu facet nie odejdzie od żony, to nie odejdzie od niej nigdy. – Xenia opadła na oparcie krzesła. Przez chwilę patrzyły na siebie, milcząc. – Będę wam sekundować. Polubiłam go. – Nie musiała podbudowywać przyjaciółki na siłę.

– Przygarniesz mnie na czas remontu? – Matylda nerwowo poprawiła się na krześle.

– Nie ma problemu.

– W sumie to jego też...

– Głośny seks mi nie przeszkadza – dodała malarka znacząco. – Jakoś wytrzymamy!

– Nie mogę ci obiecać, że będziemy cicho, ale przysięgam, że wyprowadzę się najszybciej, jak to będzie możliwe.

Spokojny dotychczas Helmut wstał spod stołu, a jego ogon rozpoczął taniec. Pies był wyraźnie poruszony.

– Wiesz, że zostały tylko trzy wolne miejsca na majowy warsztat?

– Jedno. – Matylda otworzyła notes, z którym nie rozstawiała się, odkąd zaczęła wprowadzać w życie wspólne plany. – Siostrzenica mojej matki potwierdziła mi wczoraj swój przyjazd. Z córką. Więc... mamy prawie komplet.

– Czy ten pies czegoś przypadkiem nie chce?

Helmut chodził wokół stołu i co chwila patrzył w oczy Matyldzie.

– Znowu? Piesku... – Spojrzała błagalnie na Xenię. – Chyba znowu chce wyjść. –

Zdjęła bawełnianą chustkę z oparcia krzesła. Helmut stał już przy drzwiach i patrzył na klamkę.

– Czy ty jesteś pewna, że to nie wariat? – Pytanie Xeni dobiegło ją, kiedy wróciła po cieplejszy sweter do swojego pokoju.

– Helmut?!

– Romeo twój!

– Mój co?!

– Zobacz tylko! – Xenia przesunęła firankę w kuchennym oknie. Matyllda uznała, że smycz jest zbędna. Helmut wybiegł pierwszy. O mały włos z radości nie przewrócił pana Witolda, który nie zdążył oswobodzić się jeszcze z uścisku Kosmy.

– Sąsiada prowadzę – powiedział do nich jakby nigdy nie Kosma i zaraz potem nadstawił twarz psu do mokrego okazywania uczuć. – I chyba z Helmutem będę musiał wyjść?

– Dziś niedziela? Przespałam trzy dni? – Zdziwiona Matyllda wdychała zapach jego perfum, kiedy przytuliła się i zamknęła oczy.

– Nie wiem, przespałaś? – Trzymał ją, mocno pilnując, żeby pies nie wyrócił ich obojga. Wtulił twarz i dłonie w jej włosy. Pachniały wiatrem i świeżym chlebem. Nie czekała, aż sam ją pocałuje. Była szybsza.

Poszli drogą w kierunku swojej nowej posiadłości, pies wyprzedzał ich o kilkanaście kroków, sprawdzając co jakiś czas, czy nadążają. Nie było łatwo, bo całowanie podczas spaceru wymaga sporej sprawności i dobrej koordynacji. Dali radę.

Pod wieczór Matyllda doszła do wniosku, że widzi w nim jakąś zmianę. Ledwie zauważalną. Nie była do końca pewna, czy jej się coś nie wydaje. W końcu nie znała go jeszcze aż tak dobrze. Złożyła to na karb długiej podróży i bólu gardła, który wciąż mu dokuczał. Starał się być jak zawsze i uczestniczyć w rozmowie jak poprzednimi razami, ale momentami był nieobecny. Prawie cały czas trzymał ją pod stołem za rękę i kiedy tylko mógł, patrzył na nią w taki sposób, że po plecach przechodził ją dreszcz.

Tej nocy kochali się w milczeniu, mocno i gwałtownie. Dotykała jego pleców i ramion, chcąc zapamiętać każde drgnięcie jego mięśni. Splatali dłonie, jakby jedno bało się, że drugie zniknie, jeśli ręce oddalą się od siebie choćby o cal.

– Matyllda... – powiedział prosto w jej usta, wbijając się w nią tak mocno, że aż dziwiła się, że nie czuje bólu. Była jak w falującym rozkoszą półśnie, z którego nie chciała się obudzić. Bliżej niego już nie mogła być.

– Jestem... – zdążyła tylko wyszeptać, kiedy poczuła, że zaczyna drzeć. Objęła go mocniej nogami i nie wypuszczała z siebie, dopóki nie zaczął się uspokajać. Potem długo przeczesywała mu włosy palcami, błędząc ustami po jego szyi i płatkach uszu. Zasnęła dopiero wtedy, kiedy usłyszała jego rytmiczny oddech.

Obudził go piejący kogut. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie jest i co tu robi. Długa podróż, kolacja i noc z ukochaną sprawiły, że spał jak niemowlę.

Matylldy nie było obok, najwidoczniej wstała wcześniej i krząta się teraz przy śniadaniu. Kosma z grymasem niechęci przełknął ślinę i lekko odkaslnął. Najchętniej nie jadłby nic i żywił się przez słomkę, byle tylko nie nadwyręzać bolącego gardła. Nie poszedł na pobranie wycinka. Nie był na to gotów. Nie chciał uwierzyć, że to, co się

dzieje, spotyka właśnie jego. Wypierał zagrożenie i odsuwał w czasie nieuniknione. Jeszcze nie teraz, jeszcze nie dziś, myślał, obserwując, jak bezskutecznie próbują się z nim połączyć najpierw pani Lidia, potem sam Klejmann, a na końcu jego żona. Wkurwiona jak nigdy, był tego pewien. Pocałujcie mnie w dupę, skwitował te próby ratowania jego zdrowia i ruszył drogą na Mazury. Do Matyldy.

Widział wczoraj, że przyglądała mu się uważnie. Starał się nic po sobie nie pokazać, nie był jednak przekonany, czy się udało. Kobiety wiedzą dużo więcej. Ale nie chciał dzielić tego zagrożenia na pół, nie teraz. Może nigdy...

Wstał szybko i wziął prysznic. Stara instalacja zagrała rurami i psiknęła na koniec ciepłym strumieniem wody. Łapczywie nadstawiał twarz i barki, splukując z siebie resztki snu i wczorajszych uniesień. Był tak stęskniony, że kiedy tylko zostali sami, jego penis uniósł się jak potężnie umięśniona kobra na dźwięk fletu swego tresera. Wiedział, że Matylda czeka na czułości, pocałunki i cały ten romantyczny bagaż, ale tej nocy miał dla niej tylko kilka mocnych uderzeń. W kompletnej ciszy. Bał się, że jeśli się odezwie, ona zaraz wychwyci zmianę w jego głosie. Bał się jak nigdy dotąd.

W kuchni byli już wszyscy, nikt jednak nie robił mu wymówek. Wstawało się tu wcześnie, ale Kosma jeszcze przez jakiś czas był na wyjątkowych prawach. Dopóki nie załapie mazurskiego rytmu, wiejskiego trybu, innego tempa.

– Kawa czy herbata? – Grzegorz niemal tańczył przy kuchence i spoglądał na gościa pytająco.

– Zawsze herbata, Grzesiu, zawsze! – odpowiedział i usiadł przy stole.

W koszyku leżały skrojone grubo pajdy chleba, gotowane na półtwardo jajka uwodziły kolorem zdrowego żółtka, a swojska szynka pachniała czereśniowym dymem. Inne życie, pomyślał, kiwając głową do Helmuta. Chłopie, jeszcze jak! – odmerdał mu pupil, który w widoczny sposób przybrał na wadze przez te kilka dni wiejskiej przygody.

– Dobrze spałeś? – zapytała Xenia i puściła oko do Matyldy.

– A czy tu da się inaczej? To wyjątkowe miejsce, wy jesteście wyjątkowi, a i ja wyjątkowo dobrze się tu czuję. Gdyby jeszcze Matylda nie chrapała...

– Co? Ja? – Zdzieliła go ścierką w głowę, ale uśmiech zdradzał, że wcale się nie gniewa za to niewinne kłamstwo. – Damy nie chrapia!

Kosma już wyrwał się z odpowiedzią, ale przezornie ugryzł się w język.

– Jakie macie plany? Chciałbym, żebyśmy zabrali papiery do stodoły i spotkali się tam na miejscu z tym architektem – zaproponował Kosma.

– Pewnie, nie byłem tam jeszcze! A to, co pokazały mi dziewczyny, robi wrażenie!

– Grzegorz pokiwał głową z uznaniem. – Naprawdę mieliście świetny pomysł.

– A ja się cieszę, że będziemy sąsiadami – powiedział Kosma i zakąsał kilka razy.

– Wszystko w porządku? – Matylda spojrzała na niego niepewnie. Kaszel męczył go też przez sen.

– Tak, najdroższa – odpowiedział, ale sam w to nie wierzył. – Trochę boli mnie gardło.

Oskarżycielski wzrok Helmuta wpędził go w poczucie winy.

– To dzwońcie do tego projektanta, niech się określi, na którą... Może zdążę jeszcze wstawić pranie! – Xenia dała znak do zakończenia śniadania. – A ty ubierz się ciepło,

łatwo tu się przeziębic.

## Rozdział dwudziesty dziewiąty

*w którym pojawiają się i guma Donald, i czekolada Africana, a Kosma próbuje oszukiwać sam siebie*

W wielu miejscach stopy wciąż jeszcze zapadały się w trawę nasączoną wilgocią jak gąbka. Prawie zapomniała, jak przyjemne potrafią być wiosenne spacerki. W mieście śpiew ptaków zagłuszał uliczny hałas wszelkiego autoramentu. Tutaj wreszcie mogła nacieszyć się tą ciszą naprawdę. Wśród nagich kęp drzew i krzewów w podmokłych obniżeniach terenu świergot setek ptasich gardeł zlewał się w jeden rozedrgany dźwiękiem, przyjemny dla ucha szum. Donośny krzyk żurawi odbijał się głośnym echem od ściany pobliskiego lasu. Nie mogli dostrzec ptaków, ale ich klangor wirował razem z wiatrem w różnych kierunkach.

Szły przodem. Xenia mówiła do Matyldy coś, na czym ta zupełnie nie mogła się skupić. Odwracała się czasami i za każdym razem napotykała wzrok Kosmy. Czowała go na sobie cały czas i uśmiechała się do siebie, kiedy nie mógł jej widzieć.

Chciała zapytać Xenię o delikatny zapach, który czuła, odkąd wyszli z domu – lekki aromat soczystych traw z jakąś ulotną nutką cierpkich, kwaskowatych owoców. Zanim zdążyła to zrobić, zorientowała się, że to nie nowe perfumy przyjaciółki, ale wiatr przesycony zapachem spęczniałych od soku pąków na drzewach i młodej kory, która zaczynała pękać pod naporem nowych pędów. Chłoneła świeżość jego delikatnych podmuchów i chyba po raz pierwszy tak mocno odczuwała je jako zapowiedź czegoś nowego, dobrego...

Przyjemna ekscytacja towarzysząca jej od momentu, kiedy Kosma przyciągnął ją do tej stodoły, sprawiała, że wszystko, co działo się wokół niej od tego czasu, odbierała jako przyjemne i obiecujące. Czowała, że nic nie jest w stanie zmącić tego nastroju, wzmocnionego jeszcze wiosenną aurą. Weszła w głąb dziczalego sadu, kiedy Kosma z planami w ręku pokazywał Grzegorzowi i Xeni ich niewidzialną bibliotekę, łazienki i korytarze. Obserwowała z daleka jego sylwetkę, łowiąc strzępki słów i już teraz widząc równo przyciętą trawę i słońce odbijające się w dużych oknach. Ich oczy spotkały się w pewnym momencie. Przyszło jej do głowy, że trzeba będzie przyciąć dziczale jabłonie, a w ognisku ze spalonych gałęzi upieką ziemniaki w mundurkach. Przez moment była prawie pewna, że czuje aromatyczny dym. Przecież nie muszą z tym czekać do jesieni...

Komisyjnie doszli do wniosku, że stary dom wystarczy zwyczajnie odremontować. Należało też odbudować instalację kanalizacyjną i elektryczną oraz wymienić stolarkę. Na pracownię Matylda nie potrzebowała niczego więcej. Będzie ją urzędowała na bieżąco. Co najwyżej mogliby pobawić się trochę z elewacją – tak żeby współgrała z odnowioną stodołą.

- Chyba pora, byśmy mówili już o niej „nowy dom”, „stodoła” brzmi jakoś tak...
- Grzegorzowi zabrakło słowa. – Deprecjonująco?
- A mnie się podoba! – powiedziała Xenia. – Stodoła i już. Zresztą to ich sprawa!
- A owi oni akurat kwestie nomenklatury mieli teraz w... nosie. Stali objęci i z uwagą

słuchali wyjaśnień Mateusza, projektanta, który z niepozornego budynku gospodarczego na ich oczach wyczarowywał coś niecodziennego. Tym razem przyniósł ze sobą szczegółowe plany parteru i górnej kondygnacji. Przy zastosowaniu całego systemu wsporników, legarów i innych cudów budowlanych udało mu się powołać do życia nowe przestrzenie. Kosma w myślach już zapełniał je regałami uginającymi się od książek, płyt i bibelotów, Matylda z kolei przywoływała w pamięci adresy sklepów z orientalnymi meblami. Oboje byli bowiem zgodni co do wystroju i już teraz pewne było, że królować będą mango, palisander i akacja.

– I co? – zapytał Mateusz, kiedy omówili już kwestię rozliczeń, terminów i zakresu prac. Architekt zaproponował, że zajmie się wszystkim i działania będą prowadzone pod jego nadzorem. Orientował się przecież w cenach, ale przede wszystkim wiedział, kto należy do rzetelnych budowlanców, a kogo trzeba omijać z daleka. – Jesteście państwo zadowoleni?

– Zdecydowanie! – Kosma odpowiedział za oboje. – Niezależnie od kwestii naszych rozliczeń finansowych, chciałbym panu serdecznie podziękować za pomoc.

– I zaangażowanie! – dodała Matylda.

– Miło mi to słyszeć. Proszę mi wierzyć, że praca z państwem sprawia mi prawdziwą przyjemność. Pożegnaj się teraz, jeśli nie ma więcej pytań, i zacznę organizować ekipę.

Wracali niespiesznie do siedliska, przerzucając się myślami na zagospodarowanie ogrodu i renowację sadu. Niektóre z drzew nadawały się już do wycinki, z daleka widać było słabe gałęzie nadgryzione przez czas i chorobę. Szczególnie jabłoń, dająca zapewne kiedyś soczyste papierówki, dziś chyliła się już i stała samotnie.

– Mój dziadek Zygmunt miał taką. Przesiedziałem na niej wiele godzin... – Kosma wrócił myślami do dzieciństwa i wakacji spędzanych na wsi. – Są smaki, które pamięta się całe życie.

– Pewnie, na przykład solone masło i żółty ser z darów! – dopowiedziała Xenia. – Odbierałam je dla nas i sąsiadki na zakrystii.

– A gumy Donald? – wtrąciła się Matylda.

– I czekolady Africana! W takim brązowo-pomarańczowym papierku, pamiętacie? – Grzegorz również pozwolił sobie na wspominki.

Przez resztę drogi szli w milczeniu, pogrążeni w myślach o beztróskim dzieciństwie. Tylko Kosma zastanawiał się nad czymś bardzo bliskim. I nieuniknionym. Nad tym, jak powiedzieć Matyldzie, że jest chory. Jak i kiedy – te dwa pytania wirowały mu w głowie przez cały pobyt.

Wieczorem wszedł do łazienki, przykucnął i oparł łokcie o brzeg wanny. Patrzył na nią w milczeniu. Gorąca woda sięgała jej prawie do piersi. Siedziała, obejmując ramionami kolana. Pachnąca piana przyjemnie ogrzewała łazienkę. Kosma podciągnął rękawy koszuli i wycisnął sobie w zagłębienie dłoni odrobinę szamponu. Rozsmarował go w rękach i naniósł na mokre włosy Matyldy. Rozdzielał je palcami i wolno masował skórę głowy. Zamknęła oczy i poddała się temu dotykowi. Myśli, odpływając, plątały się bezładnie; przyjemny ciepły dreszcz promieniował przez szyję i piersi aż do rozgrzanych palców jej dłoni i stóp. Odchyliła głowę i pozwoliła spłukać sobie włosy ciepłymi

strumieniami. Dotykając ich, Kosma patrzył jednocześnie na błyszczące od wody piersi. Uniosła w górę nogi i oparła stopy o brzeg wanny. Wciąż jeszcze nie mógł nasycić się widokiem jej nagiego ciała. Miała ładny, lekko oliwkowy kolor skóry. Lubił patrzeć, jak pod wpływem jego dotyku delikatnie zmieniają się jej odcień i ciepłota.

Otworzyła oczy i patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Na zmianę rozchyłała i przygryzała usta, kiedy przesuwiał spienioną gąbką od ramion do jej drobnych dłoni. Oddychała głęboko, kiedy skupiał się na każdym palcu jej stóp, a później na wewnętrznej stronie ud.

– Tam będziesz mogła się kąpać, patrząc na las.

Czuła chłód jego dłoni na swoich kolanach. Chciała mu powiedzieć, że nie wymyśliłaby tego lepiej, ale wstydziła się wypowiedzieć coś, co już dzisiaj z pewnością widział w jej oczach.

– Nie lubię wstawać wcześniej... – mówiła cicho, bo temperatura wody mocno ją osłabiła.

– Ja nie śpię zbyt długo.

– Nie znoszę zakupów.

– A ja okruchów w łóżku...

– Jem przy czytaniu.

– Z tym musisz skończyć!

– Jeśli obiecasz, że za rok o tej porze...

– Żądasz wiele... – wszedł jej w słowo, a przez jego twarz przemknął ledwie zauważalny cień.

– Tylko ciebie. – Przekrzywiła zalotnie głowę. – I odrobiny spokoju na łonie natury.

Wziął do ręki duży ręcznik i owinał nim Matyldę. On pragnął już tylko jednego. Nie mógł być pewien, czy będzie mu to dane... Nawet tydzień później, kiedy wyjechał do Łodzi, nie znał odpowiedzi na to pytanie. Ale miał za to w głowie załazek planu. I nie było w nim nawet cholernego śladu happy endu.



## Rozdział trzydziesty

*w którym stodoła pięknieje mimo tego, że on tu, a ona tam...*

Dzwonek do drzwi hałasował od kilkunastu minut. Ktoś najwyraźniej nie zamierzał rezygnować. Dodatkowo co chwilę odzywał się jego telefon, ale do tego akurat zdążył się przyzwyczać i po prostu go lekceważył. Ataku na frontowe drzwi jednak nie przewidział i musiał jakoś rozwiązać ten problem. Najlepiej nasuwając mocniej poduszkę na głowę.

– Wiem, że tam jesteś!

Głos Kaśki ledwo docierał do ich sypialni. Pewnie nie chciała robić widowiska i trochę się powstrzymywała. Kosma przezornie zostawił klucz w zamku, więc nie miała szans na sforsowanie wejścia, ale wiedział, że nie odpuści. Może tak stać do wieczora. Helmut próbował jakoś wpłynąć na decyzję swojego pana, od powrotu do Łodzi kiepsko się jednak dogadywali. Pozostało mu tylko głośnie szczekanie i wskakiwanie na łóżko. Kosma wreszcie odpuścił...

– Zasrańcu, później się policzymy! – warknął do czworonoga i powłókł się do drzwi wejściowych.

Kaśka bez słowa minęła go w przejściu i rozejrzała się po mieszkaniu.

– Jesteś sam? – zapytała tytułem wstępu.

– Tak, jestem sam. Nie licząc mojego nowego kolegi. Nie znasz go, to raczek.

– Będiesz się nad sobą użalał? Czy zmierzysz się z tym problemem?

– A co? Chcesz mi jakoś pomóc? – Kosma otworzył lodówkę i wyjął z niej jogurt naturalny. Wsypał do kubeczka granolę z owocami granatu i zamieszał. – Dobre na potencję, granat, te sprawy...

– O czym ty... – Kaśka zamilkła zaskoczona. – Słuchaj, palancie! Masz pewne obowiązki wobec córki i mnie!

– Wobec ciebie? Hmmm, wezmę więcej tego granatu...

– Nie traktuj mnie tak! Trochę jednak razem przeżyliśmy. Nie pamiętasz już? W zdrowiu i w chorobie, tak przyrzekaliśmy.

– Cholernie wiele się zmieniło od tego czasu, Kasiu.

– Taka rozmowa nie ma sensu. Przyjechałam po ciebie po telefonie Klejmana, ale tego się domyśliłeś. Ubierz się i pojedziemy do niego razem.

– Krzysiek nas podrzuci?

– Co, teraz nagle pamiętasz, jak ma na imię?

– Warto pamiętać, kto pieprzy ci żonę.

– Jak się czujesz? – Kaśka zmieniła temat, bo rozmowa zmierzała w złym kierunku. Nie chciała się kłócić; wciąż był jej mężem i na swój sposób go kochała. I doskonale wiedziała, że jest mu teraz najbardziej potrzebna.

– Fizycznie tak sobie, psychicznie fatalnie. – Kosma nie zamierzał jej oszukiwać. W końcu przyszła tu dla niego. Nikt jej nie kazał ani jej nie prosił. Pan Zgaga pewnie nawet ją od tego odwoził.

– Michalina wie? – Kaśka ustalała fakty krok po kroku.

– Wie profesor i, jak widzę, także ty!

– Na razie niech tak zostanie, zgoda? – poprosiła.

Milcząc, pokiwał głową i wyrzucił kubeczek do kosza. Podeszedł do niej bardzo blisko, wziął jej dłoń w swoje ręce i pocałował.

– Przepraszam cię za wszystko.

– Trochę za późno, nie uważasz? – Kaśka przytuliła się i oparła mu głowę na ramieniu.

– Jesteś teraz szczęśliwa?

– Byłam... radośniejsza. Dopóki nie odebrałam telefonu od pani Lidii.

– Poznałem kogoś i wydawało mi się, że teraz to już z górki.

– Powiedziałaś jej?

– Że najprawdopodobniej zdycham na raka? Że plany na szczęśliwą starość trzeba szybko zrewidować? No to nie, nie powiedziałem.

– Nie możesz oszukiwać tej kobiety, Kosma! Zrobisz jej tym wielką krzywdę...

– Nie chcę nikogo już krzywdzić, naprawdę. Ale ciągle łudzę się, że to nie rak, że mi się uda.

– To się przekonajmy! Chodź na biopsję. – Kaśka podjęła starania na nowo.

– Boję się!

– Rak to nie wyrok!

– A cukier krzepi! Mamy się tak przerzucać sloganami? – Kosma, zniecierpliwiony, odsunął się od niej. – Nie pomagasz mi w ten sposób.

– Ty sam nie chcesz sobie pomóc! Straciłeś już chyba z miesiąc, unikając lekarza. Jak nie więcej!

– Zawiesziesz mnie i poczekaasz?

– Tak, ale pośpieszmy się, bo zaraz wróci Michalina. Profesor też nie ma całego dnia. – Kaśka chciała kuć żelazo póki gorące.

– Myślisz, że to kara za moje grzechy?

– Jakie to ma znaczenie? Zwłaszcza teraz? Ubieraj się!

Zrobił, jak kazała. Przed wyjściem poprawiła mu przekrzywiony kołnierzyk i przez chwilę oboje poczuli się dziwnie zażenowani, jakby robili coś niestosownego. Kaśka pożegnała się z psem, drapiąc go za uszami, i wyszła pierwsza. Kosma z ociąganiem ruszył za nią. Przekręcając klucz, usłyszał sygnał esemesa; zerknął na wyświetlacz – to Matylda.

„Nie wiem, co robisz, ale jestem z Tobą, pamiętaj!” – odczytał. Nie wiedział, co jej odpowiedzieć. Bez słowa schował telefon i ruszył na zewnątrz. Kaśka czekała już w samochodzie.

Był ósmy kwietnia, dziś miał poznać swoją przyszłość. Dokładnie cztery tygodnie później zaczął pisać list pożegnalny. Ale nie uprzedzajmy faktów, przyjdzie czas i na tę opowieść.

Wstawała teraz dużo wcześniej. Budził ją hałas ptaków, z każdym dniem przybierający na sile. Próbowwała jeszcze dosypiać, przypominając sobie, że w mieście żadna siła nie zmusiłaby jej do ruszenia się z łóżka o tej porze. W załomach dachu

budowały sobie gniazda chyba wszystkie szpaki z okolicy. Ich skrzekliwe nawoływania mógłby zagłuszyć tylko wystrzał armatni. Głośnie chmary przelatywały z jednego drzewa na drugie, by za chwilę brać w posiadanie całe połacie nieśmiało zmieniających kolor traw. W takich momentach po raz kolejny dochodziła do wniosku, że owszem, człowiek jest tu na specjalnych prawach, ale nie on je ustala...

Zaczynała pracę czasami nawet kilka godzin wcześniej niż zwykle. Pilnowała samej siebie i skrupulatnie rozliczała się z czasu spędzonego w pracowni. Każdym ruchem dłoni kształtowała w końcu ich wspólną przestrzeń. Tak naprawdę nie potrzebowała dodatkowej motywacji. Co rano robiła tylko odrobinę mocniejszą kawę i górę przekąsek, żeby cenne – nomen omen – godziny wykorzystać do maksimum.

Kiedy gotował Grześ, wychwalała go pod niebiosa. Zdawała sobie sprawę, że jest w tych pochwałach nadgorliwa, ale Xenia robiła to samo. W ten sposób omijało je zmywanie, chociaż mogłoby się wydawać, że doprowadzenie kuchni do ładu zajmuje mniej czasu niż porządki po malarskich szaleństwach, którym obie oddawały się z namaszczeniem. I z nadzieją na finansowy sukces. Inwestowanie tych zysków w przyszłość sprawiało im przyjemność, która okazała się skuteczniejszym napędem do działania niż dodatkowa dawka kofeiny.

Popołudniami kręciła się w pobliżu stodoły albo po swoim sadzie. Próbowwała zgłębiać tajniki przycinania drzew owocowych, ale szybko skapitulowała, gdy odkryła, że zwyczajnie zabraknie jej czasu na rozmowy z Kosmą. Ten scenariusz był nie do przyjęcia, więc przypomniawszy sobie smak sąsiadowych gruszek i chwając się w duchu za niezwykłą błyskotliwość, poszła po rozum do głowy – a konkretnie po pana Witolda. Z pomocą sąsiada jako mistrza ceremonii, jego dwóch synów i kilkorga wnuków uporała się z porządkami w sadzie w kilka dni. Żałowała tylko, że pierwsze tej wiosny ognisko i pieczenie ziemniaków omijają Kosmę; chciała jednak zaskoczyć go uporządkowanym ogrodem, któremu dali drugą szansę...

Z żalem kazała ściąć potężną jabłoń. Przyginana przez lata kolejnymi burzami, poddała się w końcu i opadła na omszały płot, który mimo wielu lat bez gospodarskiego oka był w zadziwiająco dobrym stanie. Wyrok wydano też na dwie wiśnie. Matyldzie drzewa wydawały się zdrowe. Próbowwała jeszcze o nie walczyć, oczyma wyobraźni widząc je obsypane pachnącą bielą, ale zaufała doświadczeniu starego sąsiada. Za to po wycięciu dziesiątków samosiejek i przycięciu czarnego bzu odkryła krzaki porzeczek, agrestu i malin. Pod okiem pana Witolda popracowała nad nimi solidnie. Nawet do głowy jej nie przyszło, żeby tylko dyrygować robotą, więc kładła się spać niemiłosiernie pokaleczona i wykończona, ale szczęśliwa jak nigdy wcześniej. Do stodoły jednak na razie zanadto się nie zbliżała. Rozbiórka trwała w najlepsze. Mogła się tylko domyślać, że usuwano wszystko, co mogłoby zagrozić stabilności konstrukcji. Teren wokół budynku był jednym wielkim rumowiskiem. Nigdy nie budowała domu na miejscu starego. Właściwie to nie budowała nigdy żadnego domu, więc przyglądała się wszystkiemu z bezpiecznej odległości, zdając się całkowicie na profesjonalizm pana Mateusza, który był na posterunku, ilekroć się tam zjawiała.

„Kupiłam worek ziemniaków. Kiedy będziesz?” – wystukała brudnymi dłońmi esemesa do Kosmy.

„Robisz placki dla całej osady?” – odpisał, okraszając wiadomość emotikonami. „Nie rozpieszczaj sąsiadów, bo nie dadzą nam spokoju”.

„Nawet nie wiesz, jak bardzo tęsknię! I jak staram się to wszystko ogarnąć...” – wysłała odpowiedź i spojrzała z grymasem na swoje ręce, poznaczone czerwonymi śladami.

„Wiem”. Naprawdę był pewien, że Matylda mówi prawdę. Zdążył już zauważyć, że lubiła wyzwania i nie bała się wysiłku. Był ciekaw, co się tam działo. Jeśli tyle, ile w jego głowie, to... można się było w tym wszystkim pogubić. Z tego, co napisała, zrozumiał, że panuje nad sytuacją. Ona wierzyła, że budują prawdziwą, solidną przystań. Jemu strach pozwalał widzieć tylko domek z kart.

Syknęła z bólu, unosząc ramię, żeby sięgnąć po kubek. Przesadziła wczoraj. Chciała zrobić wszystko, jak zwykle. Wrzucając do ogniska gałęzie przyciętych drzew, zbyt mocno szarpnęła duży konar. Zaklinowana gałąź zaledwie drgnęła na splątanym stosie. Matylda musiała naciągnąć jakieś ścięgno, bo ledwo mogła ruszać ręką. Była zła sama na siebie. Powinna pamiętać, że prawą rękę musi szanować jak nauczyciel gardło. Gardło...

Ostatnio częściej posługiwali się esemesami, nadrabiając zaległości w pracy po ostatnim spotkaniu. Wciąż słyszała zmianę w barwie głosu Kosmy, ale kasłał jakby mniej. Zapewnił ją, że dostał jakieś nowe leki o szerszym spektrum działania. Uspokoił ją tą informacją. Przyszło jej do głowy, że musi mieć mocno obniżoną odporność, jeśli tak łatwo poddawał się infekcji. Tym bardziej zależało jej na tym, żeby jak najszybciej wyniósł się z miasta, tej wylęgarni zarazków. Wiejskie powietrze działało jak tarcza. Przekonywała się o tym każdego dnia. Jeśli jakieś przesilenie wiosenne miało miejsce, było gdzieś dalej. Nabierała pewności, że kiedy tylko Kosma zmieni klimat, kłopoty z gardłem też się skończą.

Połknęła pastylkę przeciwbólową i opadła ciężko na fotel. Ledwo zwlokła się dziś z łóżka. Nie było mowy, żeby pofatygowała się chociaż na trochę do stodoły. Zdecydowała, że pobędzie tylko w pracowni, jak długo da radę, a potem po prostu poleży. Kosma i tak nie pozna sadu. Nie mogła się doczekać jego reakcji. Zależało jej, żeby docenił jej wysiłek.

„Śpisz?”. Zdążył przed ptakami.

„Teraz już nie...”

„Ups... Nie chciałem Cię obudzić”.

„Nie szkodzi!” Nie miała nic przeciwko takim porankom.

„Ale wiesz, kocham Cię, a to nie może czekać”.

„To kochanie...” – Esemesy przychodziły jeden po drugim. – „Nie można z tym czekać”.

Uśmiechnęła się, delektując się jeszcze raz poranną porcją czułości od Kosmy. I spokojem, bo kolejne kilka dni spędzała sama. Xenia i Grzegorz musieli zniknąć na jakiś czas w Trójmieście. Wstrzymali też na chwilę końcowe prace w budynku dla gości. Xenia ostatniego szlifowania chciała dopilnować sama.

Zrezygnowała z radia. Wybrała *Przepływamy* Łobaszewskiej z kilku ulubionych płyt, które zabrała z domu. Pierwsze dźwięki muzyki nałożyły się na dzwonek telefonu.

Poczuła, że się spina, widząc na wyświetlaczu imię męża.

– Przeszkadzam?

– Skądże – odpowiedziała, szybko konstatując, że zapomniała już trochę, jaką ma ładną barwę głosu.

– Wczoraj nie zadzwoniłem; miałem parę rzeczy do załatwienia – wytłumaczył się krótko.

– W porządku – wypuściła powietrze. – Pozew jest gotów. Chciałbyś go przeczytać, zanim zrobi to ktoś na sali?

Milczał przez chwilę.

– Masz go na mailu. Możesz...

– Nie chcę go czytać. Ale jeśli bardzo nalegasz, żebym się z nim zapoznał, to zrobię to. – Był spokojny, ale i tak czuła od niego chłód.

– Uznałam, że wystarczy nam niespodzianek. Nie chcę dodatkowej szarpaniny. I mam nadzieję, że podzielasz moje zdanie. – Chyba nigdy jeszcze nie rozmawiali w tak oficjalny sposób. Nie czuła się z tym dobrze. Byli zdystansowani i średnio się w tym odnajdywali.

– Nic się nie zmieniło od naszej ostatniej rozmowy.

– U mnie też... – Czuła ciężar każdego słowa.

– Znasz datę rozprawy?

– Jeszcze nie. Mam teraz sporo na głowie. – Prawie nie kłamała. Zwlekała z tą sprawą. Chciała mieć jeszcze trochę czasu na nabranie sił. Momentami wciąż ogarniał ją jakiś rodzaj paniki. Musiała mieć chwilę na oddech. Jak wtedy, w ich mieszkaniu, po tamtej stronie drzwi.

Nie ponaglał jej. Znów milczał. Prawie nie słyszała jego oddechu.

– Jesteś w Warszawie? – przerwała ciszę.

– Tak. Papiery przyszły pocztą. Nie ustaliłem jeszcze, czy wyjadę gdzieś dalej. Na razie nie zamierzam. Oferta sprzedaży mieszkania jest w trakcie przygotowań. Cena taka, jaką ustaliliśmy. Jeśli zechcesz coś zmienić, to jest jeszcze czas. Zresztą to tobie są potrzebne pieniądze... – Nie postawił znaku zapytania na końcu zdania.

– Nie ukrywam, że tak.

– Wynająłem coś.

– Przecież nie nalegałam, żebyś się wyprowadzał...

– Musiałbym. Nie będę czekał do ostatniej chwili. Nie chcę tam wracać. Wszystko przypomina mi ciebie.

Była zaskoczona, że nie krył swojego samopoczucia.

– Dobrze. – Porzuciła ten wątek. – Możesz puścić to ogłoszenie. Jeśli coś drgnie...

– Odezwę się.

– Wszystko u ciebie w porządku? – Jej zdaniem ta rozmowa nie powinna kończyć się w taki sposób, jakby siedzieli po dwóch stronach okienka w jakimś urzędzie. Usłyszała jego słaby śmiech, a potem długie westchnienie.

– Daję radę.

– Wiktor... – Nie uwierzyła mu ani trochę.

– Do dupy jest – powiedział mocniej. – Nic się nie udaje.

– Przykro mi...

– Nie wiem, czy jest mi to potrzebne.

Znow milczał przez chwilę. Domyśliła się, że nie zależy mu na szybkim końcu rozmowy.

– A co u ciebie?

– Dziękuję, że zaglądasz do rodziców. – Omijała temat swojego nowego życia. – Wybiorę się do nich niedługo. Dużo maluję, dużo śpię, dużo jem... Jestem zdrowa. – Chciała jeszcze dodać, że rzadko bywa sama, mając na myśli przyjaciółkę i jej męża, ale w ostatniej chwili ugryzła się w język.

– Dbaj o siebie. Kiedy jesteś chora, bywa z tobą kiepsko.

– Dbam... – Dotknęła bolącego ramienia; znowu kłamstwo. Poczula, jakby stał gdzieś obok i ją obserwował. Miał rację. Choroby kładły ją pokotem. – Ty też... Jestem pod telefonem.

Chaotycznie szukała w pamięci odpowiednich słów pożegnania.

– Ja również. Uważaj na siebie.

– Dziękuję – wydusiła w ostatniej chwili, zanim się rozłączył.

Wcisnęła się głębiej w kanapę i zamknęła oczy. Dopiero teraz poczuła, że napięcie zaczyna z niej schodzić. Dzień się jeszcze nie zaczął, a już nie miała siły na cokolwiek.

W końcu wstała, otworzyła szeroko drzwi werandy, owinęła się szczelnie pledem i usiadła na schodach z kubkiem kawy. Wciągnęła głęboko powietrze. W nocy padało. Czuć było wilgotny chłód. Na zapach butwiejących liści nakładał się coraz mocniej zapach młodych pędów. Zastanawiała się, czy kiedyś przyjdzie taki moment, że pozbędzie się tego bagażu przeszłości w postaci poczucia winy i zawiedzionych nadziei. Czy będzie jeszcze kiedykolwiek spała spokojnie i wstawała rano bez tego nieprzyjemnego ucisku gdzieś w środku brzucha, przypominającego, że coś komuś zabrała. Jak często będzie się oglądać za siebie i czy kiedykolwiek przestanie? W jakim stopniu nauczy się żyć z okruciami przeszłości, które zawsze będzie czuć pod palcami?

Ojciec nie rozmawiał z nią na temat rozwodu od momentu, kiedy zakomunikowała im swoją decyzję. Przygarbił się tylko i miała wrażenie, że się postarzał. Widziała, że był to dla niego cios, z którym nie mógł sobie poradzić. Tym bardziej, że jeśli coś było wcześniej nie tak między nią a Wiktorem, skrzętnie to ukrywali. Nigdy nie narzekała na męża przed matką, a przed ojcem nie miała odwagi. Uważali zięcia za idealnego męża i ojca. Sama zresztą nieraz zastanawiała się, czy jej zarzuty wobec Wiktora nie są wydumane i czy zwyczajnie nie wymaga niemożliwego. Pani Radecka decyzji córki nie przyjmowała do wiadomości. Każda jej rozmowa z Matyldą kończyła się spazmatycznym szlochem, odwołaniem do sumienia, które próbowała w córce odnaleźć i obudzić, przekonana, że jej obowiązkiem jest zawrócić ją z drogi donikąd. Matylda rozmawiała więc z matką rzadko i niechętnie. Po każdym telefonie i po każdej wizycie na Sadybie czuła się rozbita i długo nie mogła dojść do siebie. Jak linę przeciągały w swoją stronę wątpliwości i gniew, kiedy Matylda patrzyła na mur, przez który nie miała szans się przebić ze swoimi argumentami. Próbowała tylko raz, kiedy poczuła się w obowiązku poinformować ich o swojej decyzji, zanim zrobi to ktoś inny. Brak ich wsparcia w tej kwestii ciążył jej w sposób, którego się nie spodziewała, i kładł się cieniem na ich

dotychczasowych relacjach. Jeszcze nie mogła sobie wyobrazić, jak będą teraz wyglądały; nie chciała jednak oddalać się od nich dalej, niż to będzie konieczne. Domyślała się, że decyzja o rozwodzie spowoduje lawinę zmian. Nie unikała zderzenia, nie zmieniało to jednak faktu, że trudno jej było oddychać. Robiła to z trudem, swobodnie – tylko przy Kosmie, kiedy czuła niezachwianą pewność jego decyzji, kiedy trzymał ją w ramionach i mówił, że dadzą radę. Nie patrzyła wtedy przez ramię, a w powietrzu było więcej tlenu...

Chciała wreszcie zostać po tamtej stronie lustra.

## Rozdział trzydziesty pierwszy

*w którym poznajemy plan profesora, a Matylda tęskni jak nigdy dotąd*

Najbardziej zdziwiło go to, że wokół nic się nie zmieniło. Wiosenne słońce momentami grzało jak oszalałe, kiedy indziej ledwo wyglądało zza chmur. Świat ani myślał przystanąć, nie okazywał mu współczucia czy sympatii. Gołębie paskudziły pomnik Kościuszki z taką samą werwą jak przed dniem, w którym praktycznie skończyło się jego życie. Kosma szykował się do tej chwili, przez trzy tygodnie kryjąc się przed Matyldą. Wiedział, że kiedy prawda wyjdzie na jaw, na jakąkolwiek rozmowę będzie już za późno. I że się na nią nie odważy. Przez ten czas mało jadł, bardziej ze strachu niż przez ból gardła. Schudł i zmałał, zdarzało mu się kasłać krwią, budził się w nocy przerażony, dotykając policzków, przetyku, nosa.

To zdecydowanie nie jest najlepszy początek roku, myślał z przekąsem, powoli oswajając się z takimi terminami jak chemioterapia, naświetlanie, wznowa.

– Zastanawiam się nad zaleceniem całkowitego usunięcia krtani. Nazywamy to zabiegiem laryngektomii. – Klejmann położył przed sobą wyniki jego badań i oparł się na biurku, jakby nie radził sobie z ciężarem przekazywanej diagnozy. – Wyhodował pan solidne choróbsko. Przykro mi.

– Stracę głos! – Z Kosmy jakby uszło powietrze. Opadł na fotel i łapał powietrze otwartymi ustami.

– Bardziej obawiałbym się, że straci pan życie. Ten zabieg, choć drastyczny, daje pewną nadzieję. Ma pan raka krtani, trzeciego stopnia. Wychodzi z tego kilka osób na sto.

– Musi być inny sposób, nie mogę zostać niemową! Pracuję w radiu...

– Zdecydowanie lepiej będzie, jeśli zacznie pan się oswajać z myślą, że dotychczasowa aktywność zawodowa powoli się kończy.

Słowa profesora dźwięczały mu w uszach jeszcze długo po wyjściu z kliniki. Zrobił szybki rachunek sumienia. Wbrew temu, co mówił Klejmanowi, pożegnał się już z radiem, za to w telewizji wciąż brał udział w kilku produkcjach. Kiszczak zapowiadał dalszą realizację projektu turystycznego, bo pierwsza edycja całkiem ładnie się sprzedawała, osiągając przyzwoite wyniki oglądalności. Siedząc w gabinecie starego, snuli nawet plany rozszerzenia formuły poza granice Polski.

– Może kraje nadbałtyckie? – zaproponował Ryżyk, wyraźnie szczęśliwy, że dopuszczono go do pańskiego stołu.

– Radziu, to znakomity pomysł! – Edmund Kiszczak puścił oko do Kosmy. – Ty mi to wszystko tutaj opisz i pomyśl, jak by to mogło wyglądać!

Kosmie początkowo spodobała się wizja pracy w różnych punktach Europy, ale zaraz potem przypomniał sobie o stodole i gniazdku, jakie Matylda przygotowywała dla nich na Mazurach. Chwilę temu wyrwałby z Łodzi jak na skrzydłach, później chciał tylko zapuścić korzenie obok sadu. A teraz? Nie będzie wycieczek z kamerą, a i w stodole nie będzie już tak, jak planował. O ile w ogóle coś będzie.



Słowa profesora rezonowały gdzieś w czaszce, budząc w Kosmie rezygnację i jeszcze większy strach. Praktycznie nie miał żadnych oszczędności, właśnie rozstał się z żoną, a zaczynanie nowego życia z Matyldą w momencie, kiedy za kilka tygodni powita ją kompletnie niemy, z otwartą dziurą w przelyku, nie wchodziło w rachubę. Nie zrobię jej tego, nie uwiążę jej przy sobie poczuciem żalu i współczuciem.

Te same ściany, te same sprzęty, te same zapachy. Zmieniały się, chociaż pozostawały takie same. Najpierw oswajała się z ich obecnością, żeby w otoczeniu nieznanego poszukać nowych rozwiązań i możliwości, które w znanej przestrzeni pochowały się na tyle skutecznie, że trzeba się było od nich oddalić, dając im czas na dojrzewanie i oddech. Potem były milczącym towarzyszem w ucieczce od rzeczywistości przesiąkniętej lepkiem pyłem smogu kłamstw i bezpowrotnie przekroczonych granic. Teraz otulała się tą przestrzenią jak ciepłym kocem. Chłodziło tylko czasami, zanim Kosma swoim uśmiechem czy dotykiem nie ogrzał jej, jakby dorzucał kilka polan do kominka...

Trzeci dzień wiało niemiłosiernie i na zmianę padał śnieg z deszczem albo grad. Niebo szarzało co chwilę z innej strony. Gdyby nie mgielka soczystej zieleni, ginącej co i rusz pod białą szybko topniejącego śniegu, można by pomyśleć, że to początek zimy.

Święta spędzili osobno. Do ostatniej chwili nie rozmawiali, jak zamierzają zorganizować sobie te kilka dni. Nie chciała naciskać na Kosmę. Nawet nie przyszło jej do głowy, żeby upierać się przy wspólnej Wielkanocy. Swoją przeszłość i bliskich musieli wpleść jakoś bezboleśnie w to, co zaczęli budować razem. Nie była gotowa, żeby usiąść przy świątecznym stole z jego córką. Zastanawiała się też, kiedy przyjdzie taki moment, że przy swoim będzie czuła się swobodnie, mając u boku Kosmę.

*Odczuwam brak Ciebie boleśnie i niemal namacalnie. To nie mija, Kosma... I nie mówię tylko o tęsknocie. Wszystko, co związane z Tobą, jest gdzieś blisko mnie. Jestem otulona Tobą, jakbyś tylko wyszedł do drugiego pokoju. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu zobaczę Cię w drzwiach. Jeszcze się Tobą nie nacieszyłam ... Będę gotowa i patrzeć, jak czytasz. Lubię patrzeć, jak czytasz, wiesz? Lubię na Ciebie patrzeć, chyba nawet bardziej, niż kiedy Ty patrzysz na mnie...*

Wytrzymała świąteczną niedzielę, zerkając często na wskazówki zegara odmierzającego wlokące się w nieskończoność godziny. Wiktor zjawił się na śniadaniu, chociaż sama już nie wiedziała, czy nie byłoby lepiej, żeby ten czas spędzili oddzielnie. Ale kiedy patrzyła na męża rozmawiającego spokojnie z synami, doszła do wniosku, że dobrze zrobił, przyjeżdżając na Sadybę. Poświęcił im lwią część wizyty. Poczowała ulgę, kiedy przysiadł się później do teścia, żeby przez godzinę poruszać się w bezpiecznych tematach zdrowia, polityki i pogody. Gdyby ktoś obcy mógł im się przyjrzeć w tamtym momencie, pomyślałby, że nie ma nic nadzwyczajnego w tej sennej rodzinnej scenerii. Tak naprawdę każde z nich zatopione było we własnych myślach, skupione na pytaniach, na które odpowiedzi doszukiwało się w spojrzeniu rozmówcy.

Pani Radecka była milcząca. Już na wejściu oznajmiła zięciowi, że nie czuje się najlepiej. Nikt jakoś nie dopytywał o szczegóły jej złego samopoczucia, zgadując przyczynę bez większego trudu. Większość czasu spędziła w kuchni, podgrzewając albo

układając na półmiskach świąteczne delicje, do których miała rękę jak nikt. Były doskonale jak zwykle. Tym razem jednak zapomniano przy stole o pochwałach dla gospodyni. Wyglądało na to, że i pani Teresa życzyłaby sobie czegoś zupełnie innego niż hymny pochwalne na cześć jej pasztetów czy mazurka...

Najbardziej swobodni wydawali się chłopcy, chociaż mówili niewiele i dużo szybciej odeszli od stołu okupować kanapę i oglądać ulubione kanały telewizyjne. Matylda wołała nie zatrzymywać ich dłużej, żeby nie potęgować napięcia, które i tak wystarczająco odczuwali wszyscy. Na telefon patrzyła rzadko i ukradkiem, sprawiając złudne wrażenie, że na nic nie czeka. Owszem, czekała. Na moment, kiedy będzie mogła zostać tylko ze swoimi myślami, z dala od spojrzeń próbujących z jej gestów i słów odczytać scenariusz kolejnych dni.

Nie była zdziwiona, kiedy Wiktor skrócił czas poobiedniej kawy do minimum. Pan Radecki zaczął niespokojnie pochrząkiwać, ale nie zatrzymywał zięcia.

– Nie zostaniesz do kolacji? – Sama nie wiedziała, po co to mówi.

– Wystarczy mi na dziś. – Nie kłamał. – Jeśli jeszcze nie masz dość tego teatru...

– Zostanę jeszcze trochę. – Oparła się o framugę drzwi, krzyżując ręce na brzuchu w obronnym albo odgradzającym geście. Chciała dodać jeszcze, że przecież teraz będą się widywać naprawdę rzadko, ale nie powiedziała nic, zatrzymując słowa w pół oddechu.

– Dziękuję, że przyszedłeś – powiedziała cicho, nie zmieniając ułożenia rąk. Przez krótką chwilę stali naprzeciw siebie, zastanawiając się, co zrobić dalej i czy czekać na gest drugiej strony. Bała się trochę ich zwyczajowego przytulenia. Pocałowała go delikatnie w policzek, przytrzymując za ramię zdecydowanie krócej, niż oczekiwał. Żegnała go, jakby był już tylko gościem w jej życiu.

Czas zatoczył koło. Tylko że tym razem cisza pożegnania była brzemienna w smutek innego rodzaju niż ponad dwadzieścia lat temu. Nie uśmiechał się. Wyglądał, jakby przeszedł grypę i długo dochodził do siebie. Patrząc na niego, poczuła, jak poczucie winy rozpycha się łokciami gdzieś w okolicy serca. Chciała, żeby już wyszedł. Chciała zrzucić z siebie jego wzrok jak ciasną obręcz, która uciskała jej piersi i zabierała resztki tlenu z płytkiego oddechu.

– Gdybyś...

– Radzę sobie – przerwał jej niezbyt głośno. – I jestem na miejscu, gdyby czegoś potrzebowali. – Przeniósł wzrok w głąb korytarza.

– Nie musisz...

– Chcę. Z nimi rozwodu nie biorę. – Spojrzał na nią bez cienia uśmiechu. Kąciki ust uniosły mu się tylko w dziwnym grymasie, który miał zapewne tworzyć duet z ponurym żartem, na który sobie pozwolił. Nie bawiło jej ani jedno, ani drugie. Poczowała się jak zbity pies, chociaż to nie ona wracała do pustego mieszkania i zimnej pościeli. On miał świadomość, że prawdopodobnie kolejnym razem spotkają się dopiero na sali sądowej.

Zamknęła drzwi za mężem dopiero, kiedy zniknął za furtką ogrodzenia. Czy kiedykolwiek była na niego zła? Czy tylko jej się to śniło? A jeśli już nie czuje złości, ale też obojętności, czy z uczuciem do Kosmy uda jej się tak lawirować między pozostałą gamą doznań, żeby mimo wszystko jedne drugimi oddawały pola albo chociaż nie

wchodziły sobie w drogę?

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. Z głębi domu dobiegł ją dźwięk reklamy telewizyjnej i brzęk zmywanych filiżanek. Na szum wody z kranu nałożyły się głosy bliźniaków, ojca i pogodyнки. Dźwięki zwykłego domu, który zmieniał się teraz jak transformersy z bajek, które oglądała kiedyś razem z chłopcami. Ściany wciąż się przesuwały; z jednych miejsc znikwały, by za chwilę pojawić się w innych, gdzie wcześniej ich nie było. Finał tej przemiany widziała jak przez mgłę.

Stan jej konta przedstawiał się lepiej niż korzystnie. Kolejna partia zawoskowanego lnu doszła do Mediolanu na czas.

Nie robiła sama zakupów do ich wspólnego domu. Nie zamierzała pozbawiać się przyjemności zapewniania ich wspólnej przestrzeni w towarzystwie Kosmy. Słowo „tworzyć” było adekwatne do tego, czego nie chciała odbierać ani jemu, ani sobie.

Zerknęła w lewo. Obraz wisiał podczepiony do sufitu po prawej stronie wystawowego okna i chociaż nie był największym na ekspozycji, Matylda widziała tylko jego. Przykuł jej spojrzenie od razu. Zdawał się trzymać jej wzrok na niewidzialnej uwięzi i przyciągał ją do siebie jakąś tajemnicą, która emanowała z tego niewielkiego kawałka płótna. Przedstawiał starą drewnianą furtkę w zarośniętym wiekowym ogrodzie. Furtka była uchylona i otwierała się na wschód. Niemal białe światło poranka kryło wszystkie kształty w jego głębi. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że wystarczy szerzej ją otworzyć, zrobić kilka kroków i zobaczyć dużo więcej. Był jak początek, obietnica, biała karta gotowa na historię z dobrym zakończeniem...

„Jesteś tam?” Telefon zawibrował przyjemnie. Oderwała wzrok od wystawy i uśmiechając się do siebie, odpisała szybko: „Jestem”.

„Lubię, jak jesteś...” – Kosma nie dał jej długo czekać na popołudniowe czułości.

„Kosma...”

Weszła do galerii i kupiła obraz bez targowania się.

„A ja... Kocham, kiedy na mnie patrzysz, gdy się ubieram albo kroję chleb. Kiedy mam Cię w zasięgu wzroku, nie potrzeba mi niczego więcej. Oddycham Tobą...” – dopisała i schowała telefon do torebki.

## Rozdział trzydziesty drugi

*w którym Kosma chwytą się brzytwy, a Matylda przegrywa z tęsknotą*

– Chyba się nie rozumiemy. – Matylda czuła, jak policzki zaczynają jej płonąć. – Trzymałam się ściśle projektu. Był modyfikowany trzykrotnie, bardzo szczegółowo. Z panią Martą ustaliłyśmy, że ostatnia propozycja przechodzi. – Wzięła łyk powietrza przed kolejnym starciem.

– Pani Marta już u nas nie pracuje. Dla mnie...

– Moment!

Arogancki głos po drugiej stronie światłowodu irytował ją z minuty na minutę coraz bardziej.

– Jakie to ma znaczenie? W umowie zostały uwzględnione wszystkie szczegóły projektu, zakres mojej pracy i czas realizacji – nie ustępowała Matylda. – Uważam, że wywiązałam się z niej należycie. Dostaliście państwo produkt prawie identyczny z projektem, i to przed terminem.

– Tak, ale konwencja filmu ewoluuje z czasem i jestem pewna... – Młody głos próbował skupić na sobie całą uwagę Matyldy.

– Proszę pani! Ja jestem pewna, że zrobiłam to, co do mnie należało. W umowie nie było mowy o zmianach konwencji, o ile dobrze pamiętam. Jeśli uważa pani, że potrzebujecie państwo czegoś zupełnie innego, mogę wykonać drugi projekt, niezależny od tego. Oczywiście nie w ramach reklamacji.

– Pani Matyldo, ponieważ wizja pani Marty niezupełnie pokrywa się z moją, chciałabym poinformować panią, że nie będziemy w stanie zagwarantować pani za realizację zamówienia takiej sumy, jaka widnieje na umowie.

– Pani wizja, niestety, nie ma nic wspólnego z pracą, którą wykonałam na czas i z uzgodnionymi wcześniej szczegółami. – Uszy miała rozgrzane nie mniej niż policzki.

– Myślę...

– Myślę, że tę rozmowę będziemy kontynuować już w Łodzi. – Matylda straciła cierpliwość. – Będę u państwa jutro przed południem ze swoim egzemplarzem umowy.

– Mam nadzieję, że dojdziemy do porozumienia. Zależy nam, żeby finałny produkt spełnił oczekiwania odbiorców.

– W tej kwestii się zgadzamy. Mam nadzieję, że w pozostałych będzie tak samo.

Wyegzekwowała najdogodniejszą dla siebie godzinę spotkania następnego dnia i ciągle wzburzona, rzuciła telefon na kanapę. Opadła ciężko obok i wolno wypuściła powietrze. Miała wrażenie, że cały czas prowadziła rozmowę na bezdechu. Nie zamierzała dać sobie wmówić, że miesiąc jej pracy pójdzie na marne. Jeśli zmiana na stanowisku kostiumologa pociągała za sobą tak wiele innych, jak zdążyła się domyślić po ostrej wymianie zdań z nowym, to finał tej produkcji w każdej chwili mógł ewoluować w najmniej spodziewanych kierunkach. Ale to już nie był jej problem.

Nazajutrz jeszcze przed południem minęła Warszawę.

Podenerwowanie towarzyszyło jej już od poprzedniego wieczoru. Ale wiedziała, że się nie uspokoi, póki nie wyjaśni tej sprawy do końca. I nie zobaczy się z Kosmą. Ostatnia myśl wywołała przyjemne drżenie serca i przyspieszony oddech. Tęskniła za nim, jakby był składową powietrza, którym oddychała. Domknęła zamek walizki, a do torebki wrzuciła nowy zapach Diora, który urzekł ją ciepłą wonią kwiatów, przypominającą ogród w środku lata. Od dawna nie wybierała perfum tak pieczołowicie.

Wsiadła do auta i jeszcze raz wykręciła jego numer. Wieczorem nie odbierał i nie oddzwonił. Ani później, ani rano. Czekala, że zrobi to lada moment. Odsłuchiwała kilka sygnałów i z westchnieniem zawodu położyła telefon w przegródce obok dokumentów auta. Telefon milczał również przez całą drogę do Łodzi. Zaczęła denerwować się podwójnie. Nigdy nie milczał tak długo. Równie dobrze mógł być zabiegany albo zwyczajnie mieć kłopoty z telefonem. Nie powinna się nakręcać za każdym razem, kiedy nie mógł rozmawiać.

Po wyjściu z filmówki spojrzała po raz kolejny na wyświetlacz i poczuła nieprzyjemny ucisk w okolicy serca. Od Kosmy nadal nie było żadnej wiadomości. Nie próbował również dzwonić. Usiadła za kierownicą i zwlekała z uruchomieniem silnika. Musiał widzieć, że próbowała się z nim kontaktować. Dlaczego milczał? Kiedy pomyślała, że mogłby to robić celowo, poczuła, jak ucisk przesuwają się niżej i obejmuje w posiadanie żołądek. Nie znosiła u siebie tego rodzaju paniki i czarnowidztwa, które dopadało ją czasami i zagłuszało swobodny tok myślenia. Darowała sobie wybieranie połączenia i wpisała w nawigację łódzki adres Kosmy. Parkując pod loftem, spojrzała w jego okna, ale z dołu nie była w stanie dostrzec, czy ktoś jest w mieszkaniu. Za drzwiami było cicho.

Odczekała kilka minut, chociaż brak szczekania psa powinien być dla niej wystarczającym sygnałem, że mieszkanie jest puste. Poczuła, że się za chwilę rozplacze. Pozostało jej już tylko jechać do radia albo wracać na Mazury...

Zrezygnowana, położyła ręce na kierownicy, kompletnie nie wiedząc, co ma ze sobą teraz zrobić.

– Zrobimy tak... – Kosma zawiesił głos, bo w kieszeni marynarki poczuł wibrację telefonu. Nie musiał sprawdzać, doskonale wiedział, że to Matylda. Nie był w stanie teraz z nią rozmawiać. Nie wiedział, czy kiedykolwiek będzie. Profesor Klejmann chrząknął, więc Kosma wrócił do przerwanej wątku. – Nie dam sobie wyciąć połowy krtani. Proszę tego nie brać do siebie, profesorze, ale poszukam alternatywnych metod...

Urwał, mówienie przychodziło mu z trudem i wyraźnie sprawiało ból. Klejmann kiwał głową bez słowa, choć gdyby mógł ciskać gromy, to jego niesforny pacjent już dawno leżałby porażony na sali operacyjnej.

– Jest pan dorosły. Przedstawiłem wszystkie scenariusze, ma pan świadomość zagrożenia. Nic więcej nie mogę zrobić, choć apeluję... Niech się pan ratuje.

To powiedziawszy, ruszył korytarzem w stronę dyżurki pielęgniarek. Kosma stał jeszcze przez chwilę, bezmyślnie wpatrując się w reklamy farmaceutyków i plakaty z hasłami dawno nieaktualnych akcji społecznych. Na zewnątrz było wyjątkowo ciepło. Ucieszył się z wizji spaceru, choćby to był tylko spacer obsranymi chodnikami łódzkiego Śródmieścia. Jego zadbane volvo już na dobre przejęła Michalina, dając autu kolejną

szansę na nowe życie. Jemu tej szansy właśnie odmówiono, a właściwie zrobił to sam. Nie ma żadnych alternatywnych metod, doskonale o tym wiedział. Potrzebował jednak czasu, by zniknąć na dobre. I na własnych warunkach.

„Kochana, odezwę się, jak tylko będę mógł. Dużo się tu dzieje i mam urwanie głowy. Wysłałem kurierem żółtą skrzynkę na listy, cudo! Powiesimy na płocie. Daj znać, jak dojdzie” – wystukał na telefonie i ruszył przed siebie. Nie śpieszył się. To, co zamierzał, wymagało skupienia i sporych przygotowań. I głębokich pokładów skurwysyństwa, jakich na razie nie mógł w sobie odnaleźć.

Ale będzie musiał – i to szybko, bo Matylda nie zasługiwała na to, by bawić się jej uczuciami. Kopnął kamień i pomaszerował przed siebie, śpiewając pod nosem piosenkę Mariusza Lubomskiego. Gdy doszedł do refrenu, puścił oko do starowinki, która w nieśmiały promieniach wiosennego słońca sprzedawała w jednej z bram czosnek i sznurówki.

*Mam ręce w kieszeniach, a kieszenie jak ocean,*

*Powoli chodzę i rozglądam się,*

*Kieszenie jak ocean, a ręce mam w kieszeniach,*

*Dlatego wiem, gdzie żyję, dobrze wiem...14*

Wiedział, że musi opracować plan, na tyle szalony i skuteczny, by Matylda odsunęła się od niego natychmiast. Bez rozdrapywania ran. Łatwo powiedzieć, pomyślał. Opracowanie planu to dla kogoś, kto zapytany o przyszłość, po prostu kupował więcej piwa, dodatkową bagietkę i pomidora, spore wyzwanie. Nie lubił odhaczać kolejnych pozycji z listy, do tej pory żył spontanicznie, z dnia na dzień. Pasowało mu to równie równie mocno, co chodzenie z rękami w kieszeniach.

– Kieszenie jak ocean! – zawył na tyle głośno, że przechodzące obok nastolatki uskoczyły na bok.

– Wariat? – zapytała wcale nie szeptem jedna z nich, ale Kosma uśmiechnął się tylko blade i szedł dalej.

Wariactwem było to, co dopadło go w najciekawszym okresie życia. W najgorszym z możliwych momentów. Właśnie teraz, kiedy zakochał się tak mocno, że wreszcie poczuł, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy spotkał ją. A przecież mógł nie spotkać, nie schylić się po ten list w pieprzonej Żółtej Cizemce. A skoro tak, to po co to wszystko? Co za cholerna ironia losu... Czyżby poznali się tylko po to, by teraz musiał ją zostawić? Jak jej to powiedzieć? Bo w to, że powinien ją od siebie uwolnić jak najszybciej, nie wątpił ani chwili. Nie wyobrażał sobie, że narazi ją na trud obcowania z pokraką, jaką niebawem się stanie. Niemową z dziurą w gardle. Z rurką, w której gwizdał będzie wiatr. Nie, nie robi jej tego.

– Kosma? Kosma!!!

Z zamyślenia wyrwał go najpierw głośny klakson, a później znajomy głos. Po raz pierwszy nie wiedział, czy cieszy się na jej widok. Stał bez ruchu i obserwował, jak

auto na warszawskich numerach tarasuje ruch na głównej ulicy Łodzi. Jeszcze chwila i ją zlinczują, pomyślał i przeskoczył przez barierkę. W dwóch susach dopadł do samochodu Matyldy i uśmiechnął się do najbardziej rozeźlonego kierowcy.

– Pocałuj mnie w dupę! – wyszeptał bezgłośnie z przepraszającą miną i wsiadł do środka.

– To chyba znak... – Matylda nie kryła radości. – To miasto ma z milion mieszkańców i trafiam właśnie na ciebie, i to w momencie, kiedy cię najbardziej potrzebuję.

– Podobno osiemset tysięcy, ale ta liczba stale się zmniejsza – powiedział, całując ją na powitanie. – Byliśmy na drugim miejscu. Niestety, to już historia.

– Bardzo tęskniłam! – Matylda złapała go za rękę, wjeżdżając na parking przy Galerii Łódzkiej. Na najwyższym poziomie praktycznie nie było aut, zjechała tu kierowana impulsem. I z chęcią pocałowania go w kilka miejsc.

– I dlatego szukasz mnie po całym mieście? – zapytał, obejmując jej twarz obiema dłońmi. – I to bardzo skutecznie!

Całowali się bez słowa, choć pewnie w ich głowach kotłowały się zupełnie inne myśli. Kosma powoli dochodził do siebie po szoku, jakim było jej nagłe pojawienie się w Łodzi. Co ma być, to będzie, pomyślał i objął ją ramieniem.

– Myślisz, że moglibyśmy zdjąć trochę ubrań? A przynajmniej zsunąć spodnie? – zapytał.

– Matko, co za głupek... – Matylda pokręciła z niedowierzaniem głową. – To chyba oczywiste, że w swoim aucie mogę robić, co chcę!

– To może...

– To może jednak zachowajmy się jak dorośli i jedźmy do ciebie? – Matylda starała się zatrzymać resztki zdrowego rozsądku. Nie było w tej części parkingu zbyt wielu samochodów, ale pobliskie okna z pewnością nie gwarantowały intymności.

– Jedźmy zatem! – zakomenderował Kosma i cmoknął ją w czoło.

– Co to miało być? – zapytała. – Całujesz mnie w czołko? Jestem twoją babcią?

– Ja tam ci nie zaglądam w metrykę...

Śmiali się całą drogę, choć akurat do pokonania nie mieli zbyt długiego odcinka. Zjawiskowo uprzejmi łódzcy kierowcy sympatycznie pozdrawiali auto na warszawskiej rejestracji głośnym trąbieniem przy byle okazji, a często i bez. Niezrażona Matylda zajeżdżała na Tymienieckiego i zgasiła silnik.

– Byłam tu już dziś – powiedziała i spojrzała na niego uważnie. – Cicho i pusto u ciebie.

– Miśka wyjechała na kilka dni, wzięła psa. Mamy spokój. – Kosma gramolił się już z wąskiego fotela. – Idziesz czy zostajesz?

– Idę, idę... – Matyldzie nie trzeba było dwa razy powtarzać.

– Nie masz walizki? – Kosma ze zdziwieniem stanął przy bagażniku.

– Wpadłam tylko na jeden dzień, przypadkiem, zaraz ci opowiem.

– To się jeszcze okaże!

– Naprawdę ci opowiem, tylko umyję ręce i usiądziemy.

– Okaże się, czy na jeden dzień, głupolu! – Kosma puścił ją przodem i uśmiechnął

się pod nosem.

– Brzmisz jakoś inaczej. Wszystko w porządku? – zapytała znienacka.

– To się jeszcze okaże... – powtórzył ze śmiechem, ale był to śmiech wymuszony i kompletnie nie pasował do jego poważnej miny. Muszę uważać, pomyślał zły na swoje roztrzepanie. Ona nie może niczego zauważyć.

Nie dał jej umyć rąk, nie chciał tracić ani sekundy z tego niespodziewanego spotkania. Kiedy powiedziała, że nie jest głodna i z posiłkiem mogą jeszcze poczekać, wziął ją za rękę i poprowadził do sypialni. Leżeli przykryci po szyję, bo choć słońce świeciło dość mocno, to w domu było jeszcze chłodno. Jej piersi z trudem mieściły się w jego dłoniach, przyciskała je do siebie, kiedy wchodził w nią od tyłu, zmęczony całowaniem i spragniony jej ciała.

– Zostałeś we mnie do końca... – ni to zapytała, ni stwierdziła, kiedy już uspokoiły się ich oddechy.

– No tak. To źle? – zapytał zdezorientowany.

– Nie, chyba nie. Zmieniłam pigułki i wiesz... Nieważne, pogadajmy o starych Polakach.

– Mhmmm, za chwilę. Daj mi pięć minut. – Ziewnął. – Jestem taki śpiący.

– To śpij, ja chyba teraz nie usnę.

– Pięć minut, pamiętaj. Bo później zaczynam chrapać...

Leżała, wsłuchując się w jego oddech. Było jej dobrze i wreszcie czuła się spokojna. Położyła dłoń na jego członku i zacisnęła lekko.

– Pięć minut, mówiłem!

– Nie po to jechałam tu przez pół Polski, żeby teraz czekać, aż się wyśpisz! – Matylda ze śmiechem zerwała z nich koc. – Zresztą sam zobacz. Pięć minut ci już niepotrzebne.

Kosma spojrzął na jej dłonie oplatające penisa i nie pozostało mu nic innego, jak przyznać jej rację. No i przyznał, dwa razy. A później usnęli oboje. Matylda nie miała wątpliwości – podróż była męcząca, ale to przeżycia z tej sypialni osłabiły ją najmocniej. Zasłużyła na odpoczynek. Przecież do końca dnia jeszcze daleko!

– Może pojedę po zakupy? – zapytał, chociaż tak po prawdzie nie miał ochoty nigdzie się ruszać i oddalać od Matyldy dalej niż na kilka kroków.

– Nie! Siedź! Masz masę dziwnych rzeczy w lodówce. Coś wymyślę. Nie będziemy tracić czasu na zakupy! Wiesz czy nie wiesz? – zawołała Matylda w głąb lodówki, gdzieś w okolicę środkowej półki.

– Ty wiesz! To mi wystarczy. – Nie miał nic przeciwko temu, żeby ktoś inny niż rak przejął kontrolę nad jego życiem.

– Masz pomidory, czosnek i oliwę. – Tańczyła przy kuchennym blacie z główką czosnku w jednej i butelką oliwy w drugiej ręce. Patrzył na nią jak urzeczony. Bosymi stopami wspinała się na palce, żeby dosięgnąć talerzy, jak mała dziewczynka myszkuje po kuchni w poszukiwaniu słodyczy. Przyglądał się jej z rozrzewnieniem, chłonąc ten radosny taniec jak ziemia, która od dawna czekała na deszcz.

– Posmakujesz mojej bruschetty, żebyś mi uwierzył, że nie marnowałam czasu we Włoszech.



Zaśmiał się lekko. Patrzył na jej włosy delikatnie dotykające odkrytych ramion. Zdejmując skórę z pomidorów, popatrywała na niego, nie przestając się uśmiechać.

Chciał rzucić z wściekłości czymkolwiek i wykrzyknąć jej, jak cholernie się boi i że nie zgadza się na to, co dzieje się z jego życiem. Z tą cholerną resztką życia, która mu została. Czuł dławiący smak bezsilnej rozpacz, którą próbował ukryć, zamykając oczy i udając, że odpoczywa. Albo dotykając Matyldy w taki sposób, żeby nie mogła zbyt długo na niego patrzeć. Teraz zacisnął powieki i oparł głowę na poduszkach.

– Nie mam wina... – próbował odwrócić jej uwagę od swojego milczenia.

– Masz butelkę piwa. Mnie wystarczy herbata z cytryną...

– Bruschetta bez wina?

– Jutro prowadzę, zapomniałeś? – odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Zacisnął powieki jeszcze mocniej. Kiedy sięgała po nóż do pieczywa, wytarł szybko mokre oczy.

– Kocham cię – powiedział z trudem, ale wyraźnie. Kręciło mu się w głowie na myśl, że za kilka tygodni nie usłyszy nawet swojego szeptu.

Odwróciła się i wytarła ręce w papierowy ręcznik. Podeszła do Kosmy, usiadła mu na kolanach i zaczęła przeczesywać mu włosy palcami. Pachniała rozgniecionym czosnkiem i bazylią.

– Wiem... – szepnęła tak cicho, że ledwie ją usłyszał.

Dotknął ustami jej ramienia i położywszy obie dłonie na plecach, przyciągnął ją do siebie bardzo blisko. Trwali tak przez długą chwilę, nic nie mówiąc. Słuchali swoich oddechów, delektując się tą chwilą jak kawałkiem czekolady rozpluwającym się powoli w przyjemność, której pragnie się wciąż więcej i więcej...

O drugiej w nocy jeszcze nie spała. Zawsze tak miała przed podróżą. Sen niespokojny albo żaden. Leżała przytulona do pleców Kosmy i patrzyła za okno. Rozpadało się. Pogoda na podróż idealna...

Westchnęła. Wstała i nalała sobie w kuchni wody do kubka. Upiła kilka łyków i wolno wróciła do łóżka. Wsunęła się delikatnie pod kołdrę, żeby nie zbudzić Kosmy. Spał jak dziecko. Oddychał spokojnie i uśmiechał się przez sen. Zmizerniał od czasu, kiedy widziała go ostatnio. Polekowa biegunka potrafi wykończyć nawet najtwardszych, tak jej powiedział... W myślach szukała nazwiska jakiegoś dobrego laryngologa w stolicy. Może przydałaby się konsultacja w innej klinice?

Dotknęła opuszkami palców jego policzka i nasunęła mu mocniej kołdrę na odkryte plecy. Jak to się stało, że znalazła go dopiero teraz? Lepiej późno niż później, przypomniała sobie tytuł filmu z Jackiem Nicholsonem. Uśmiechnęła się do siebie i zamknęła oczy.

Czuł się fatalnie. Nie znoził jej oszukiwać i nie chciał mieć przed nią tajemnic. Przez cały dzień musiał udawać i kontrolować swoje reakcje. Rano długo leżał z zamkniętymi oczami, czekając, aż Matylda zajmie się toaletą albo śniadaniem. Przykryty pościelą słuchał bębnienia deszczu w parapet i zastanawiał się, co by zrobiła, gdyby wyjawiał jej, że może umrzeć. I to raczej prędzej, niż zakładał. Albo że przestanie mówić. Wszystko się ułoży, będę przy tobie – tak by powiedziała, był o tym przekonany. Niemal tak samo, jak o tym, że nie będzie kolejnym facetem, który spieprzy jej życie. Zawiedzie

się na nim, ale on nie zniszczy jej życia. Powinna to zrozumieć.

Może nawet kiedyś mu wybaczy.

14 Mariusz Lubomski, *Spacerologia* (sł. Sławomir Wolski).

## Rozdział trzydziesty trzeci

*w którym sytuacja się gmatwa, bo Kosma nie ma już czasu. To znaczy ma, ale coraz mniej...*

Wyjechała zaraz po śniadaniu, którego zresztą prawie nie tknęła. Odprowadził ją na dół i stał, moknąc, dopóki nie zniknęła mu z oczu.

– Ja cię naprawdę kocham, Matylda! – spróbował krzyknąć, kiedy zatrzaśniwała drzwi swojego auta. Uśmiechnęła się przez szybę na znak, że usłyszała, i posłała mu całusa.

Wolno wrócił na górę i w mokrym ubraniu zwałił się na łóżko. Pościel pachniała nią tak mocno, że aż zakręciło mu się w głowie. Zasnął po chwili i spał bite sześć godzin. Wstał, wykąpał się, ubrał w to, co akurat nie wymagało starannego prasowania, i zadzwonił po taksówkę. Podjął decyzję i rozpoczął realizację planu. Pociągi do Warszawy odchodziły co godzinę; jeśli mu się poszczęści, obiad zje już z Ewą. I Piotrusiem.

A potem niech się dzieje, co chce.

– Nie zrobię tego, zwariowałaś? – Ewa Lorenz patrzyła na niego z niedowierzaniem, kiedy usiedli w jej małym salonie i wytłumaczył jej, jaką rolę przygotował dla niej w swoim scenariuszu. Z sąsiedniego pokoju dochodziły odgłosy zabawy. Piotruś z aprobatą przyjął klocki, które Kosma kupił dla niego kilka dni wcześniej i wręczył przy powitaniu.

– Dlaczego? – zapytał, choć dobrze znał odpowiedź. Myślał dokładnie tak samo.

– To nieludzkie, tak nie można...

– Właśnie dlatego musisz mi pomóc. Proszę.

– Znudziła ci się dupa i chcesz się jej pozbyć z moją pomocą? – Ewa lekko podniosła głos i z trudem kryła emocje. Nie aprobowała tego planu i w gruncie rzeczy mało go rozumiała.

– Tu nie o to chodzi.

– A o co? Może mi to wytłumaczysz, do cholery?

No to jej wytłumaczył, zaczynając od momentu, kiedy podniósł list z podłogi, a kończąc na diagnozie, jaką obdarował go profesor Klejmann. Ewa słuchała bez słowa i tylko drgająca szczeka zdradzała emocje. Po policzkach spływały jej łzy, które co chwilę ocierała rękawem męskiej koszuli. Przytuliła się do niego, co przyjął z ulgą, bo mógł teraz mówić jej prosto do ucha. Z szeptem radził sobie dużo lepiej niż z głośnym mówieniem; mniej bolało i wolniej się męczył.

– Albo wkrótce umrę, albo zostanę z wyciętą krtanią, Ewa. Wybrałabyś martwego faceta czy niemowę z dziurą w szyi? – zakończył opowieść i przycisnął ją mocniej do siebie. – Nie zmuszę jej do takiego wyboru, powinnaś to zrozumieć.

Wyczuła, że zadrżał. Jakby bał się tego, co ma nadejść.

– Rozumiem, Kosma. Teraz to rozumiem.

– Pomóż mi, proszę.

– Zrobię, co zechcesz. – Usiadła mu na kolanach, ujęła jego twarz w dłonie i pocałowała w czubek nosa. – Jeśli nie ma innego sposobu...

Dochodziła północ. Za nimi był drugi dzień warsztatów i udany wieczorek zapoznawczy. Odnowiony budynek tętnił życiem i rozjaśniał podwórko ciepłym światłem z okien zajętych pokoi. Miały komplet. Nikt się nie wykruszył w ostatniej chwili. Salę kominkową w budynku dla gości tym razem wykorzystwały na zajęcia warsztatowe. Zdecydowały, że sztalugi Matyldy pozostaną we właściwej pracowni do zakończenia pracy nad włoskim projektem. Matylda bała się, że ich konstrukcję, przygotowaną na potrzeby mediolańskiego batiku, będzie można łatwo zniszczyć podczas przenoszenia w inne miejsce.

Temperatura na dworze oscylowała w okolicach pięciu stopni na plusie i okazało się, że ciepło kominka przydało się nie tylko do jej podniesienia. Miały wrażenie, że ogień ma również niebagatelny wpływ na przyjemną atmosferę w trakcie zajęć i w przerwach między nimi. Mieszane towarzystwo z różnych stron Polski, poruszające się w różnorodnych kręgach zainteresowań, wymieniało się poglądami i opowieściami w każdej wolnej chwili. Było ciekawie, miło i interesująco. Z obu stron. Tak im się przynajmniej z Xenią wydawało. W krótkich momentach, kiedy mogły swobodnie porozmawiać na osobności, przyglądały się z daleka kursantom, próbując zgadnąć, czy czegoś im nie brakuje. Jak dotąd nie było żadnych niespodzianek ani skarg.

Staraly się opowiadać ciekawie o tkaninach, skupiając na sobie uwagę słuchaczy tempem wykładu i doborem informacji zrozumiałych dla odbiorców w każdym wieku. Ich zaangażowanie i pasja uzupełniały przekaz. Matylda czuła, że właśnie teraz jest w najciekawszym miejscu, w jakim mogłaby się znaleźć. Brakowało jej tylko, aby tę ekscytację dzielić z kimś jeszcze...

Często miała wrażenie, że Kosma stoi tuż za nią, że czuje na szyi jego ciepły oddech i lada moment poczuje jego usta na płatkach uszu. Lubił podchodzić do niej cicho od tyłu i wtulać się w nią, obejmując ramionami piersi i talię. Trwała tak wtedy przez długą chwilę, odwracając się w kierunku jego twarzy tylko po to, żeby poszukać jego ust...

Wzięła telefon do ręki. Migotał nieodczytaną wiadomością. Jej serce pulsowało w rytm mrugającej diody.

„Teraz już nie mógłbym Cię zapomnieć. Pierwszy raz zostaje w pamięci na zawsze...”

Już nie była zakochana. Kochała bez pamięci.

Nie powinna mieć powodów do niepokoju, te jednak się pojawiły. Miała żal do samej siebie, że w jego czułości i głodnym dotyku doszukuje się drugiego dna.

Nigdy nie powiedziała mu tego i nigdy nie chciała mówić, że czuje się skażona kłamstwem, że nosi w sobie kulejącą nieufność. Nie potrafiła jej zupełnie odepchnąć od siebie. Chociaż kiedy Kosma pojawił się w jej życiu, znowu uwierzyła, że budowanie bez udawania, gier i krycia się za przereklamowanym „swoim światem” zwyczajnie daje radość i dużo więcej miejsca na oddech.

Jednak sama siebie nie mogła oszukiwać – bała się go stracić, choć tak kochana i pożądana nie czuła się nigdy wcześniej. Powinna wreszcie nauczyć się zapominać o czymś, o czym jak na złość zapomnieć najtrudniej. Jeśli to w ogóle możliwe...

Przy nim czuła, że dopiero teraz poznaje wszystkie swoje możliwości, że znajduje całe pokłady siły, gotowa na to, co zaserwuje jej życie. Na główne danie. Była pewna, że będzie wyjątkowe, idealnie skomponowane i sycące, a deserem będą się delectować oboje.

Jeśli tak wygląda miłość, to wcześniej wiedziała o niej zaskakująco mało...

Z jednej strony wszystko, co odczuwała od tych kilku miesięcy, było przerysowane i intensywne. Czuła, że kosztuje życia pierwszy raz. Z drugiej – pewność właściwie dobranych przypraw sprawiała, że odzyskiwała spokój i równowagę spełnionej kobiety.

Dlatego tę dziwną niepewność, która gdzieś podskórnie towarzyszyła jej od ostatniego spotkania z Kosmą, złożyła na karb zmian, być może następujących po sobie po prostu za szybko...

Zbyt szybko na pewno wróciła z Łodzi. Rozstania z nim znosiła coraz gorzej. Odwracając wzrok od jego sylwetki, gubiąc jego zapach i barwę głosu w szumie mijanych miast, odczuwała fizyczny ból, którego nie była w stanie zlokalizować i określić. Gdyby życie nie składało się również z obowiązków i konieczności, przylgnęłaby do niego jak huba do drzewa i została tak na zawsze, blisko i u jego stóp.

Parę kilometrów przed końcem podróży zaskoczyła ją potężna ulewa. Musiała zjechać na pobocze. W gęstych strugach deszczu widoczność spadła prawie do zera. W jednej chwili samochód stał się dudniącą blaszaną puszką, w której poczuła się pozostawiona sama sobie. Klaustrofobiczne wrażenie i wspomnienie ciepłego salonu Kosmy dopadły ją nagle i mocno.

– Kosma... – wyszeptała, patrząc w sphywającą szarość przed sobą. – Co ja tu robię...?

Gdyby nie fakt, że od siedliska dzieliło ją niecałe pół godziny drogi, zawróciłaby i niewykluczone, że z Tymienieckiego już nigdzie nie ruszyłaby się bez niego.

Zaparkowała na podwórku porządnie zmęczona. W domu było cicho i pusto. Kuchnia pachniała tylko czystością i żonkilami w wazonie. Była zadowolona, że nikogo nie zastała. Wzięła długi gorący prysznic, zjadła kanapki, których nie ruszyła po drodze, i po uszy zakopała się w pościeli. Ciągłe szumiały jej w uszach samochodowe radio, deszcz, a teraz cisza w pokoju. Chciała zasnąć i przespać chociaż ułamek tej tęsknoty, rozsadzającej boleśnie jej płuca.

Nie zmieniła pościeli od ich ostatniej nocy. Wtuliła twarz w poduszkę po jego stronie. Nie była pewna, czy czuje jego zapach na białym skrawku bawełny, czy sam uwolnił się jeszcze na chwilę z jej włosów...

*Nie umiem niczym wypełnić pustki po Tobie. Znika na moment, kiedy pomyślę, że to przecież tylko kilka dni...*

*Dach jest ołacony. Bocianie gniazdo ostrożnie zdjęte. Bezpiecznie czeka na metalowy stelaż. Jakaś para krąży często nad naszym domem. Przysiadają na drzewach obok albo spacerują po łące za płotem. Razem. Wysiałam przy furtce nagietek, żeby komponował się z kolorem skrzyńki na listy. Wzędzie, zanim przyjedziesz.*

Stodoła ciągle wyglądała jak pobojuwisko, chociaż rodzaj bałaganu zmieniał się

codziennie. Środek, wciąż jeszcze bez okien, pachniał żywicą i świeżym drewnem. W powietrzu unosił się pył trocin. Zamiast podłogi poddasza miała nad głową kratownicę jasnych belek, przez którą widziała podbitkę i niebo w otworach na połaciowe okna. Na górną kondygnację prowadziła wysoka drabina. Dużo solidniejsza niż ta, z której po sąsiedzku spadła Xenia, ale i tak nie zaryzykowała wspinaczki. Przestrzeń parteru była pocięta drewnianymi wspornikami, przygotowanymi pod ścianki działowe. Wszędzie było mnóstwo kabli, kawałków drewna i rozbiórkowych cegieł na obudowę jednej ze ścian.

Co chwila jakiś ptak wlatywał którymś z otworów i oszołomiony nagłą zmianą otoczenia, bił skrzydłami powietrze nad głowami Matyldy i pracujących mężczyzn.

Stała na środku ich przyszłego salonu twarzą do ogrodu. Z zaciemnionego wnętrza zalany słońcem sad na tle czystego błękitu nieba wyglądał jak wielki obraz...

Każde przesłane przez nią zdjęcie pokazujące zmiany zachodzące w ich nowym domu było jak uderzenie w potylicę. Bronił się przed tym, ale bezskutecznie. Siedział sam w wielkim lofcie na ciepłym dywanie i klikał myszką, przerzucając kolejne fotografie do kosza. Obiecał sobie, że na każdą poświęci nie więcej niż dwie, góra trzy sekundy. Wystarczająco, by wiedział, co odpowiedzieć, gdy zapyta go o jakiś szczegół, nie dość długo jednak, by oswoić się z widokiem i uznać te wnętrza za swoje. By zacząć o nich myśleć jak o wymarzonej miejscy na ziemi. Nic nie stało na przeszkodzie, by spakował się i wyjechał jeszcze tego samego dnia. Niewiele go w tej chwili łączyło z Łodzią. Formalnie był już po rozwodzie, a z radiem pożegnał się, zostawiając tylko furtkę w postaci bezpłatnego urlopu. Chciał wierzyć, że będzie mógł jeszcze kiedyś usiąść przy mikrofonie.

Kiedyś... To brzmiało tak nierealnie. Na razie jego miejsce w rozgłośni zajęła Michalina, on z kolei rozmowę z nią o swoim stanie odkładał na jutro. Coraz częściej łapał się jednak na tym, że zapas tych jutrz się kurczy. I że powinien dać jej szansę na oswojenie się z sytuacją. Na pewno będzie potrzebowała więcej czasu niż on, zwłaszcza po tym, co przeszła niedawno. Zrobię to... jutro, pomyślał i sięgnął po telefon.

– Mam do ciebie prośbę – zaczął bez wstępu. Kaśka przecież od dawna nie liczyła na serdeczności z jego strony. – Przyjedź do mnie po pracy.

– Stało się coś? – Jego telefon, a tym bardziej prośba, zaskoczyły ją. Miała inne plany na wieczór, więc wołała się upewnić, czy ta wizyta jest niezbędna.

– Jeszcze nic. Ale niebawem się stanie... – Urwał, bo zdał sobie sprawę, że brzmi trochę histerycznie.

– Piłeś?

– Serio? Muszę się nawalić, żeby poprosić byłą żonę i matkę mojego dziecka o spotkanie?

– Dobrze, już dobrze! Będę w porze kolacji.

Z rozmysłem wybrał wieczór, bo Michalina w tym czasie prowadziła audycję na żywo. Będą mogli spokojnie porozmawiać. Liczył na to, że Kaśka pomoże mu przygotować córkę na złe wiadomości. Nie chciał nachodzić jej w pracy, a już na pewno wolał uniknąć przypadkowego spotkania z Panem Zgagą.

Kręcił się bez celu po mieszkaniu, udając, że nie widzi pytającego wzroku Helmuta.

Pies wodził za nim oczami i dopraszał się o spacer. Solidny, z rzucaniem patyka i chowaniem się za drzewa.

– No dobrze, zbieraj się! – Kosma zlitował się wreszcie i sięgnął po smycz. – Kupimy coś na kolację, przyjdzie ta babeczka, co tu kiedyś mieszkała.

Już na schodach odebrał dwa esemesy, przyszły jeden po drugim.

„Obiad zjem na mieście, OK?”

Pierwszy był od córki i w sumie był mu na rękę, nie musiał się śpieszyć, sam nie miał ochoty na jedzenie. Jeden kłopot mniej.

„Pewnie, buziak!”

Drugi był od Matyldy.

„Śniłeś mi się i czułam, jakbyś był tu obok. Byłeś?”

Nie wiedział, co jej odpisać. Długo nie mógł zasnąć i myślami rzeczywiście był przy niej.

„Hmmm, a czy Ty w ogóle coś? Do mnie? Jeszcze? Cokolwiek?”

Wysłała mu w odpowiedzi uśmiechniętą buźkę; już miał odpisać, ale skarcił się w myślach. Jeśli jego plan miał się powieść, musiał z każdym dniem się od niej odsuwać. Uśmiechnięte buźki i bezsenne noce raczej mu w tym nie pomogą...

Kaśka zjawiała się pod wieczór, niemal mijając się w drzwiach z córką. Michalina zaczynała swój dyżur o dziewiętnastej, w jednej ręce ścisnęła pudełko z płytami, w drugiej kanapkę, którą Kosma zrobił mimo jej sprzeciwu.

– Wrócisz głodna i będziesz jadła przed snem. Weź, lepiej nosić niż się prosić.

Cmoknęła go w policzek i posłusznie zabrała zawiniątko. Kilka minut później w drugi policzek cmoknęła go Kaśka. Pachniała apteką, choć zapach próbowała stłumić perfumami. Odwykł już od powiewu medykamentów, jaki zawsze wносиła do domu, wracając po pracy.

– Co jest? – zapytała, sadowiąc się pod oknem w kuchni.

– Rak krtani. Mogę umrzeć, mogę skończyć z rurką w gardle. – Pomyślał, że lepiej nie owijać w bawełnę.

– Klejmann to potwierdził?

– Z wrodzonym wdziękiem i stuprocentową pewnością.

– Przykro mi, Kosma...

– Tak, wiem. Jest ci przykro, bo zajęta rżnięciem się z kolesiem od pasty na świerzb nie zauważyłaś, że tracę głos. Mniejsza z tym, dziękuję, że przyszłaś. Michalina nic nie wie i trzeba ją jakoś przygotować.

– A ty? Ty się przygotowałaś?

– Mniej więcej.

– Czyli nie. Zaplanowaliście zabieg? Klejmann coś zasugerował?

– Tak, chce mi wyciąć krtani. Nie będę mógł mówić, ale są duże szanse, że przeżyję.

– Dobra wiadomość! – Kaśka próbowała znaleźć jakieś pozytywy. – Będziesz żył.

– Jak? Z czego? Pracuję głosem. Chyba że nauczę się migać i będę występował w rogu telewizora, machając rękami.

– Mamy aptekę, nie musisz się tym martwić.

– Ty masz aptekę, Kasiu...

– Przystań pieprzyć chociaż teraz! Jest tak samo moja, jak i twoja. Chyba nie myślisz, że zostawimy cię na lodzie?

– My? Krzysiu jest taki dobronduzny?

– Może, jakie to ma znaczenie? Nie zachowuj się jak kutas, chcę ci pomóc. Krzyśka nie ma, spuściłam go. – Uciekła wzrokiem przed jego badawczym spojrzeniem.

– Przepraszam, nie miałem pojęcia – wydukał.

– Nie myśl sobie, że próbuję tu coś odbudować. Jesteś podłym fiutem i nic tego nie zmieni. Mój skok w bok to tylko niewielka rekompensata za te wszystkie twoje koleżanki. Rozumiemy się?

– Jasna sprawa. – Nie miał sił się z nią kłócić, zresztą i tak miała rację. Wiedzieli to oboje.

– Powinniśmy byli się rozstać dawno temu.

– Powinniśmy byli zrobić wiele rzeczy.

– Nie filozuj tutaj, tylko słuchaj. Rozwód był mi potrzebny, żeby stanąć na nogi. Czuję się teraz lepiej, jestem spokojniejsza. Byłabym całkiem spokojna, gdyby nie twoja choroba...

– Przepraszam, że popsulem ci plany! – przerwał jej niepotrzebnie.

– Nie przerywaj, nie mieliśmy możliwości pogadać. Traktuję cię po partnersku i chcę tego samego. Chcę też powiedzieć, że możesz na mnie liczyć, Kosma. Rozumiesz?

– To wspaniale, ale wiesz, że jestem z kimś?

– Domyślam się, to twoja sprawa. Coś poważnego?

– Do tej pory myślałem, że tak. Choroba to zmienia. Nie chcę o tym mówić.

– To nie mów, baranie. Jakoś mnie nie ciągnie do słuchania o twoich miłościach.

Skupmy się na córce.

– Porozmawiasz z nią? – Spojrzał na nią błagalnie.

– Porozmawiam, oczywiście. Mówimy wszystko czy tylko pół prawdy?

– Wszystko.

– To dobrze, i tak by sobie wyszukała odpowiedzi. Zrobię to jutro, okej?

– Dziękuję. – Naprawdę był jej wdzięczny. Bał się tej rozmowy, napięcia i łez.

– Jak z pracą?

– W radiu wzięłem bezpłatny urlop, w telewizji jeszcze nie wiedzą, akurat mamy przerwę, ale zaraz ruszą nagrania do jesiennej ramówki.

– Jak chcesz to załatwić?

– Wszystko po kolei, teraz mam poważniejsze wyzwanie.

– Jakie?

– Matylda.

– Mieliśmy o niej nie mówić. – Spojrzała na niego ze złością, ale zaraz jej przeszło.

– Albo nie, pogadajmy! Co zamierzasz?

Opowiedział. Siedziała długo bez słowa, w końcu podniosła się i położyła mu rękę na głowie. Przez chwilę stała bez ruchu, po czym skierowała się do wyjścia. Helmut odprowadził ją wzrokiem i szczerknął na pożegnanie. Kilka minut później uśpiony już parking obudziło warczenie jej samochodu. Kosma spojrział na zegarek. Do powrotu Michaliny zostało jeszcze trochę czasu. Zebrał filiżanki i włożył je do zmywarki. Po



tajnym spotkaniu nie został żaden ślad.

W kuchni było gwarno i ciepło. Po spacerze zajął pan Witold z żoną, a zaraz za nim jeszcze jeden sąsiad z siedliska obok, który hodował kozy. Od jakiegoś czasu kupowali od niego sery. Do rodziców dołączył Witek ze swoją przyszłą żoną. Grzegorz kręcił się przy kuchni i podawał na stół coraz to coś nowego. Ale i tak nad wszystkim dominował zapach topionej na smalec słoniny z cebulą.

Matylda przyglądała się uśmiechniętej młodzieży. Nie uszło jej uwadze, jak dziewczyna patrzy na Witka. Tęskniła wtedy za Kosmą jeszcze bardziej.

Nie mogła się dziś skupić na wymianie zdań przy stole. Było jej na rękę, że rozmówców przy posiłku znalazło się aż tylu. Nie musiała się dużo odzywać, żeby podtrzymywać konwersację.

Kilka godzin wcześniej próbowała dodzwonić się do Kosmy. Miał wyłączony telefon. Godzinę później nie odbierał. Próbowała dwukrotnie. Bezskutecznie. Nie zawibrował nawet żadną wiadomością podczas kolacji. Poczula, że hałas przy stole zaczyna ją drażnić. Pod pretekstem nagłego bólu głowy wycofała się do swojej sypialni. Tylko Xenia zauważyła, że przyjaciółka symuluje.

Ledwo zamknęła za sobą drzwi, telefon zadzwonił. Drżącymi palcami przeciągnęła zieloną słuchawką po ekranie urządzenia.

– Kosma...? – zapytała prawie szeptem. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak denerwowała się jego milczeniem. Do głowy przychodziły jej najróżniejsze scenariusze. W większości czarne. Nigdy jeszcze nie milczał tak długo. Zwykle szybko oddzwaniał albo pisał chociaż kilka słów.

– To ja... – usłyszała jego słaby głos.

– Kosma... Ale napędziłeś mi strachu! – Głos jej ciągle dygotał. – Wszystko w porządku?

– Przepraszam cię. Mieliśmy kłopot z Helmutem. Ma złamaną łapę. Spędziłem z nim kilka godzin w lecznicy. Teraz przy nim siedzę. Dochodzi do siebie. I ja chyba też...

– Tylko się nie łam. Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Kosma się nie odzywał.

– Pamiętasz? – Zaśmiała się delikatnie. – Już raz prosiłam, żebyś uważał na nogi.

– Pamiętam... – Mogłaby przysiąc, że też się uśmiechnęła.

– Dobrze, że nic ci nie jest. – Głośno wypuściła powietrze. – Posłuchaj. Za tydzień umówiłam cię u sprawdzonego laryngologa. Zasięgnęłam języka, wykorzystałam znajomości... To poniedziałek przed południem.

– Dziękuję ci, Matylda, ale mam tu dobrego specjalistę. I lepiej mi po tej zmianie leków.

– Jesteś pewien? – Nie chciała naciskać zbyt mocno; w końcu nie był małym dzieckiem.

– Ale...

Pozwoliła mu zastanowić się chwilę.

– Myślę, że to dobry pomysł. – Odchrząknął mocno i dokończył: – Sam jestem ciekaw, może wreszcie się to wszystko uspokoi.

– Spotkajmy się dwa dni wcześniej. Albo trzy. Wariuję tu bez ciebie i cholernie się

stęskniałam. Potem moglibyśmy wrócić razem. Pan Mateusz nie uznaje mnie chyba za godnego partnera do rozmów na tematy budowlane...

– Chyba przestanę go lubić.

– Mnie wystarczy, że ty mnie doceniasz, a on pracuje według projektu. Jak się czujesz?

Miała wrażenie, że ciągnie go za język. Rozmawiał, jakby jeszcze coś miał do załatwienia. I nie żartował jak zwykle.

– Lepiej.

Nie rozwinął wypowiedzi.

– Kosma?

– Tak?

– Słyszę, że jesteś zmęczony.

W ogóle nie chciała tego mówić. Poczowała wyraźny niepokój, po raz drugi tego dnia.

– To prawda, kochanie, jestem wykończony.

– Powiedz mi tylko, czy mam potwierdzić ten poniedziałek.

– Potwierdź. Pojedziemy. A potem zaproszę cię na watę cukrową. – Zaśmiał się pojednawczo.

Czuła, że za mocno przyciska słuchawkę do ucha. Zrezygnowała szybko z zamęczania go słowami o tęsknocie, ale choćby miała słyszeć tylko jego oddech, nie miała ochoty kończyć rozmowy.

– Śpij spokojnie. – Westchnął.

– Kosma... – próbowała go jeszcze zatrzymać.

– Wiem. Ja ciebie też. Pamiętaj, mam tylko ciebie.

Zanim pojawił się sygnał przerwanoego połączenia, usłyszała, jak kaszle.

Kręciła się na łóżku przez pół nocy. Coś było nie tak.

Do srebrzystej walizki z Wittchen spakował kilka zmian bielizny, dwie pary spodni i parę koszul. Nie lubił wozić ich w ten sposób, ale ponieważ skazany był na podróż państwową koleją, nie wybrzydzał za bardzo. Dorzucił trochę kosmetyków i zamówił taksówkę. Miał jakiś kwadrans na pożegnanie się z psem. Michalina była już na uczelni, zostawił jej kartkę, że wróci za kilka dni. Od jej rozmowy z Kaśką minęło trochę czasu, ale widać było, że nie do końca poradziła sobie z informacją o chorobie ojca. Przyglądała mu się przy każdej okazji, z uwagą też wsłuchiwała się w jego głos. Kosma miał wrażenie, że niezbyt słucha, co do niej mówi, więcej uwagi poświęca na wychwycenie najdrobniejszego niepokojącego akcentu. Pilnował się, ale chyba na niewiele się to zdało.

– Uważaj na wszystko, i w ogóle... – Usiadł przy Helmucie i drapał go w kark. Szara sierść psa była miękka w dotyku, choć pewnie wypadaloby go już wykapać. Duży ogon leniwie kołysał się na boki, mimo to jego właściciel nie odwzajemnił spojrzenia. Leżał spokojnie pogrążony w swoich psich myślach. Pożegnanie przerwał dźwięk domofonu; Kosma podniósł się i zobaczył na monitorze taksówkarza.

– Już schodzę! – rzucił do słuchawki, zamknął drzwi i ruszył na dół. Kupując na dworcu bilet, poprosił też o starter do telefonu. Wybrał pierwszy lepszy numer podany przez ekspedientkę i poprosił o doładowanie za dziesięć złotych. To tylko kilka esemesów, pomyślał, dycha w zupełności wystarczy.

W przedziale było kilkanaście osób, w większości znających się przynajmniej z widzenia. Szybka kolej do stolicy pozwalała na podjęcie pracy w Warszawie i powrót na spóźniony obiad do Łodzi. Ludzie dojeżdżali tak każdego dnia, tłumacząc sobie, że to tańsze niż wynajęcie małego nawet pokoju na miejscu, a i czasowo nie takie głupie – niecałe półtorej godziny w pociągu to i tak mniej, niż zabierało przebicie się przez popołudniowe warszawskie korki.

Przyglądał się przez chwilę pasażerom, po czym rozpakował kopertę i wyjął z niej kartę SIM. W kieszeni kurtki czekała już jego poprzednia komórka, którą specjalnie na tę okazję naładował do pełna. Nawet zaktualizował dawno nieużywany system. Jego perfidny plan wymagał perfekcji, Kosma wołał dmuchać na zimne i być przygotowanym na każdą okoliczność. Począł, aż aparat zaloguje się do sieci, i wystukał numer Matyldy.

„Myślisz, że jesteś jedyna?” Pisał szybko i nerwowo, kilka razy musiał kasować napisane z błędem wyrazy. Począł na odpowiedź, która przyszła po dwóch minutach.

„To jakiś żart czy pomyłka?” Matylda połknęła haczyk. Gdyby mógł splunąć sobie w twarz, zrobiłby to bez wątpienia. Spojrzał z odrazą na swoje odbicie w oknie i pisał dalej.

„Bądź w niedzielę w Warszawie, tak koło południa. Zobacysz swojego kochasia. I jego... kochanicę. Adres chyba znasz, już go stamtąd odbierałaś. Życzliwy”

Począł na raport doręczenia i natychmiast wylogował się z sieci. Chwilę później odezwała się jego nokia. Nawet nie sprawdzał, to nie mógł być nikt inny. Jego plan realizował się krok po kroku.

– Tak, kochanie? – zaczął słodko i niewinnie.

– Tak sobie pomyślałam, że przyjadę do Warszawy wcześniej. Może jeszcze dziś lub jutro? I ty byś tu dojechał? Będziemy mieli więcej czasu dla siebie, co ty na to?

Matylda była lekko zdenerwowana. Ktoś inny może by i tego nie zauważył, ale on nie miał z tym żadnych problemów. Mówiła za szybko. I ten znak zapytania na końcu był pełen napięcia. To tylko ułatwiło mu sprawę.

– Niestety, muszę jechać z ekipą na dokrętkę jakichś pieprzonych zdjęć, ale nie martw się, wrócę na poniedziałek. Już jestem w drodze... – Przynajmniej w tym ostatnim nie mijał się z prawdą, koła pociągu stuknęły rytmicznie.

– Jakich zdjęć? – Zdenerwowanie w głosie Matyldy było coraz bardziej wyczuwalne. Najbardziej chciał ją teraz przytulić i pocałować, ale szybko wycofał się z tych myśli. Musi się opanować.

– Takich tam, z Dolnego Śląska. Przykro mi, naprawdę. Muszę kończyć, będę w poniedziałek.

– Szkoda!

– Nie gniewaj się, jakoś ci to wynagrodzę!

Rozłączył się, nie dając jej szansy na zwyczajowe serdeczności. To też była część planu. Musiał się go trzymać do samego końca.

Do poniedziałku zostanie z niej popiół. Popiół, nic więcej.

– Pojedziesz to sprawdzić?

Matylda nie była w stanie ukryć przed przyjaciółką, co się z nią dzieje. Prawie nie słyszała, co ktoś inny do niej mówi. Jakby „Życzliwy” przejął kontrolę nad jej życiem,

tak jak aktor teatru lalek nad sznurkami białych marionetek.

– To jakiś koszmar... O co tu chodzi!?! – Matylda chodziła wokół kuchennego stołu z rękami zaplecionymi na talii.

– Komuś zależy, żebyś go zostawiła. To jasne. Albo ktoś tak go nienawidzi, że chce zniszczyć mu życie. – Xenia szczerze przejęła się tym, co Matylda opowiedziała jej o zmianie w zachowaniu Kosmy. – Bo nie chce mi się wierzyć, że byłby takim draniem. W głowie mi się to nie mieści!

– Chciałabym, żeby to był głupi żart. – Matylda oddychała ciężko i z obrzydzeniem patrzyła na swoje nietknięte śniadanie. – Tylko że coś jest nie tak! – Czuła, jak oczy zaczynają ją piec. – Jest... inny, jak nie on...

Nie ona pierwsza i nie ostatnia, pomyślała Xenia, ale nie miała sumienia powiedzieć tego na głos. To, co usłyszała od Matyldy, cholernie kłóciło się jej z obrazem Kosmy, którego miała przyjemność u siebie gościć. Prawdziwą przyjemność. Jeśli udawał od początku, był gnojem do potęgi.

Tego również nie powiedziała na głos.

– Nie jestem w stanie tu usiedzieć. Niedobrze mi... – Matylda usiadła na chwilę przy stole i wypila kilka łyków ciepłej jeszcze herbaty.

– Może po prostu zapytaj go o to.

– A jeśli to prawda? – Pytanie zawisło w powietrzu. – Jeśli naprawdę kogoś przede mną ukrywa? Myślisz, że mi to tak po prostu powie? Może wytłumaczyć się czymkolwiek... – Zamknęła oczy i splótła dłonie na karku, opuszczając głowę nisko nad stołem. – Muszę pojechać – powiedziała prosto w blat.

– Zrobisz to?

– Jeśli się zbiórę na odwagę. – Bliskość blatu stłumiła odpowiedź. – I tak muszę z nim porozmawiać, bo inaczej rozsypię się na kawałki... Nie wiem, jak wytrzymam do poniedziałku.

Do niedzieli; obie w myślach dopowiedziały sobie te dwa wyrazy.

– Dzwonił dzisiaj?

– Milczy... – Matylda prawie szeptała.

Sama też nie dzwoniła. Po jego ostatnich zniecierpliwionych słowach poczuła się odepchnięta. Wciąż nie docierało do niej, że tajemniczy esemes i obsesowość Kosmy łączą się ze sobą.

– To się musi jakoś wyjaśnić. Jeszcze będziecie się z tego śmiać.

Tu były zgodne, w myślach życzyły sobie takiego właśnie zakończenia.

O szyby zastukał grad wielkości zielonego groszku.

– Wytłucze mi pelargonie! – Xenia zerwała się od stołu i wybiegła przed dom okrywać świeżo posadzone kwiaty w doniczkach.

Matylda zazdrościła przyjaciółce tego zmartwienia. Pieprzony maj...

Wstał długo przed budzikiem, zresztą prawie nie zmrużył oka przez całą noc. Z sąsiedniego pokoju dobiegały spokojne oddechy Piotrusia i jego mamy. Wieczorem przećwiczył z Ewą cały scenariusz, tak by nic ich nie zaskoczyło. Mieli przygotowane kilka wariantów, w zależności od tego, jak zachowa się Matylda. Czuł się z tym okropnie, na szczęście Ewa wzięła na siebie sporą część układanki. Jej policyjna umiejętność

analitycznego myślenia okazała się nieoceniona.

– Ciągłe nie wiem, jak ona to przyjmie... – rzuciła w pewnym momencie.

– A ja akurat co do tego mam pewność! – Kosma odpowiedział zdecydowanie, lekko podnosząc głos. – Nie podejdzie do nas, wątpię, by w ogóle wysiadła z auta. Nie musisz się martwić.

– Jesteś zdecydowany? Jeśli już mam w to wciągnąć syna, musisz być pewien.

– Tak, to jedyne wyjście. Inaczej mnie nie zostawi, a nie chcę, by marnowała życie, będąc ze mną z litości.

– Dlaczego tak mówisz? – zapytała z pretensją, jakby biorąc w obronę wszystkie kobiety świata. – Przecież ona cię kocha, skąd niby ta litość? Zostanie przy tobie z miłości.

– A ja z miłości mam ją skazać na oglądanie, jak zdycham? – W jego głosie nie było już złości, raczej rezygnacja i smutek. – Po prostu wiem, ile mi zostało.

– Kurwa, nie mów tak. Czuję, jakbym ja też cię traciła. Ciągłe żyjesz, Kosma!

– Przepraszam, wkrótce to naprawię! – odpowiedział z uśmiechem i wyszedł z kuchni. Chciała ruszyć za nim, ale została na miejscu. Nic nie mogła na to poradzić, poprosił ją o przysługę i nie wyobrażała sobie, by mogła mu odmówić. Zwłaszcza w takim momencie.

Rano nie wracali już do tematu. Kosma wstał pierwszy, po cichu wziął kąpiel i czekał w salonie. Starał się nie myśleć za dużo, doskonale wiedział, że kluczowa w całym planie jest kwestia Piotrusia. Dlatego Ewa dokładnie uzgodniła z synem, co i kiedy ma powiedzieć. Mały, wyraźnie przejęty, dopytywał o szczegóły.

– Oj, przestań już! Na mój znak powiesz głośno to, co ćwiczylimy. To wszystko! – tłumaczyła Piotrusiowi podczas wieczornej kąpieli.

– I zdobędę odznakę policyjną? – Jej syn najwyraźniej miał głowę do interesów.

– Jasne!

– A wujek się nie obrazi?

– Kto go tam wie, on jest z Łodzi... – Ewa nałożyła smykowi ręcznik na głowę i energicznie wycierała mokre włosy. – Zmykaj, pora spać.

Kosma nastawił czajnik i wyjął wędlinę z lodówki. Sam nie był w stanie nic przełknąć, ale śniadanie dla rodziny Lorenzów zrobił z przyjemnością. Siedzieli przy stole, jeszcze w piżamach, obierając jajka na miękko i mieszając łyżeczkami w kubkach z herbatą. Makarski robił miny, wykrzywiając twarz, a mały naśladował go, wybuchając co chwila śmiechem. Ewa bez makijażu wyglądała nie mniej apetycznie niż zrobiona na bóstwo, co nie uszło jego uwadze.

– Fajną masz mamę, wiesz? – zapytał, trącając chłopca w ramię.

– No, najlepszą! – odpowiedział Piotruś niemal natychmiast. – A ty jaką masz?

– Okej, starczy tego wygłupiania! – Ewa rzuciła komendę i przerwała dyskusję przy stole. – Zabierajcie się stąd, trochę tu posprzątam.

Kosma zerknął na zegarek. Minęła dziesiąta. Powinni się zbierać; czasu było akurat tyle, by przespacerować się po okolicy i w samo południe wrócić na rodzinny obiad. Matyllda musiała być gdzieś blisko, czuł to.

To było prostsze, niż mógł przypuszczać. Wracali wolnym krokiem; Ewa w jednej ręce ścisnęła papierową torbę z tortem od Grycana, drugą trzymała w dłoni Kosmy.

Piotruś, biegnąc wokół nich, kończył właśnie drugą gałkę lodów. Kosma dostrzegł auto Matyldy z odległości kilkuset metrów. Jasnozielony samochód wyróżniał się z całej masy szarych, granatowych i czerwonych pojazdów. Przez przyciemniane szyby nie dostrzegł nikogo w środku, ale półotwarte okno zdradzało, że właścicielka nie opuściła auta. Być może ona też ich już dojrzała. Kosma poczuł, jak przyspiesza mu puls, i niemal zwymiotował.

– Weź się w garść! – Ewa zorientowała się, że z jej kompanem dzieje się coś dziwnego.

– Tam, lekko po lewej. Ta zielonkawa plama... – Kosma starał się opanować.

– Widzę! Damy radę! – Policjantka przejęła inicjatywę. Złapała malca z głośnym śmiechem, uniosła na chwilę w górę i cmoknęła w policzek. Podeszli bliżej, a z każdym krokiem nogi Kosmy stawały się cięższe o kilka kilogramów. Trzy metry od samochodu Matyldy szedł już tylko siłą woli, modląc się, by miłość jego życia nie wysiadła i nie splunęła mu w twarz.

– A ty kochasz naszą mamusię? Tatusiu? – Piotruś doskonale wywiązał się ze swego zadania, wypowiadając przygotowaną kwestię głośno i wyraźnie.

– Nad życie! – odpowiedział Kosma. – Nigdy nikogo tak nie kochałem!

Przeszli obok, Kosma przyciągnął Ewę do siebie i pocałował, a chłopiec kończył jeść wafelka. Nie wydarzyło się nic więcej. Weszli do klatki schodowej i spojrzeli po sobie.

– Dziękuję ci i przepraszam. – Kosma oparł się o schody, jakby potrzebował odpoczynku.

– Jest silna, to trzeba jej przyznać. Ja na jej miejscu zrobiłabym ci tu porządną awanturę. – Ewa stanęła przy nim i wyjrzała przez okno. – Co teraz?

– Teraz mogę już iść w swoją stronę. Jeszcze tylko jedna rzecz.

– Jaka?

Nie odpowiedział, wyminął ich i wpadł do mieszkania. Był jak w transie. Kiedy weszła za nim, zobaczyła, że pisze coś zawzięcie. Stalówka wiecznego pióra skrzypiała, szorując po papierze. Potem patrzył z góry na dach jej auta. Silny zapach ziół na kuchennym parapecie przypomniawszy mu, że jeszcze oddycha. Stał tak dobrą godzinę, zanim wolno odjechała.

Matylda leżała z otwartymi oczami. Bezmyślnie patrzyła na ścianę, na miejsce po zabytkowym lustrze, które wywiozła do rodziców. Nawet nie musiała bronić się przed natłokiem myśli. W głowie miała kompletną pustkę. Jakby coś wymiotło ją od środka i zostawiło tylko płuca, które wbrew jej woli uparcie filtrowały powietrze.

W końcu wstała, otworzyła szeroko okno i usiadła na łóżku. Pokój wypełniło ciepłe powietrze, pachnące wiosenną zielenią, kwitnącymi krzewami i świeżym chlebem z piekarni na dole. Ptasi rwetes ani na jotę nie ustępował ulicznemu hałasowi stolicy. To był jej ulubiony miesiąc... Zawsze mijał za szybko. Dziś przypomniawszy jej o przemijaniu jak nigdy dotąd. Pełen światła, odbijał w sobie jak w zwierciadle jej ściągniętą twarz, wielkie cienie pod oczami i zgarbione plecy.

Zafalowała dawno nieprana firanka. W rogu pokoju koty z kurzu przytuliły się do siebie w wirującym tańcu. Z kolejnym podmuchem sypialnię wypełnił zapach kwitnących

kasztanów. Zamknęła oczy i wciągnęła go głęboko do płuc.

Wzięła długi prysznic i dwukrotnie umyła włosy. W zupełnej ciszy wypła małą filiżankę kawy i zmusiła się do zjedzenia kilku kęsów maślanej bułeczki, którą Wiktor przywiózł jej poprzedniego dnia. W łazience nie znalazła suszarki do włosów. Swoją zostawiła w siedlisku. Ich wspólną Wiktor zapewne zabrał do swojego nowego lokum. Wilgotne włosy szybko schły, kiedy nieśpiesznie sprzątała po śniadaniu. Kluczyki od samochodu położyła na kuchennym blacie.

Samoloty do Barcelony i Madrytu miały komplet pasażerów, za to na nocny lot do Malagi były trzy wolne miejsca. W sklepiku na lotnisku kupiła kilka książek. Wyłączony telefon wsunęła do wewnętrznej kieszonki torebki i zasunęła zamek błyskawiczny. Resztę czasu patrzyła, jak samoloty startują i lądują jeden za drugim.

Wczesne śniadanie zjadła w samolocie, późny obiad – już w Blanes...

Rok później

Już z daleka widziała kwitnące jabłonie. Obeszła wolno budynek, parząc sobie odkryte nogi młodymi pokrzywami, które w niektórych miejscach miały nawet wysokość metra. Na podwórku było cicho i czysto. W wielkich oknach odbijały się sad i bezchmurne niebo. Pod jej stopami szybko przesunął się duży cień. Matylda spojrzała w górę. Tuż nad jej głową bocian zniżył lot i wysuniętymi w przód nogami dotknął gniazda na dachu stodoły, domu właściwie... Zaklekotał głośno, machając skrzydłami i wyginając szyję w nienaturalny łuk. Powietrze szumiało tysiącem owadzych skrzydeł i wirowało białymi płatkami jabłoni. W ostrym słońcu żółty kolor zawieszony na furtce skrzynki na listy raził w oczy. Jej widok spowodował, że zakręciło jej się w głowie. W jednej chwili wspomnienia obudziły rozpacz, która z głośnym krzykiem przedarła się przez kolorowe przedpołudnie...

Wyłuskała mały kluczyk z pęku innych. Przekręciła go w zamku, chociaż przecież jeszcze nikomu nie dała nowego adresu. Mechanizm ustąpił bez problemu. W środku była mała koperta i kilka jakby na siłę wetkniętych patyków, które wcisnęły ją w róg skrzynki. Musiała leżeć w ten sposób całymi miesiącami, wilgotniejąc i schnąc na zmianę. Kiedy zobaczyła pismo na kopercie, musiała przytrzymać się płotu, żeby nie upaść. Rozerwała ją nerwowo razem z fragmentem zapisanej kartki, nie próbując nawet opanować drżenia rąk. Jego gryzmoły rozpoznałaby na końcu świata...

*Nie dałem Ci szansy, bo i ja nie dostałem jej dla siebie. Dla nas. Los nie był łaskawy dla tej miłości, a dla mnie okazał się prawdziwym sukinsynem.*

*Nie oczekuję, że mi wybaczysz, chcę tylko prosić o odrobinę zrozumienia.*

*Nie mogłem inaczej, uwierz. Nie jest łatwo ścigać się z czasem. Jeszcze trudniej wyrzec się Ciebie.*

*Świadomość tego, że się umiera, jest obezwładniająca, Matyldo. Kiedy masz już taką wiedzę, wszystko blednie i traci znaczenie. Wszystko oprócz tego, co do Ciebie czuję.*

*Dlatego zrobiłem to, co zrobiłem.*

*Jeszcze mówię, ale lekarze twierdzą, że to kwestia czasu. Wytną mi połowę gardła, wiesz? Umieram na raka krtani. Chciałbym, żebyś zapamiętała mój głos z lepszych czasów. Jeśli cokolwiek z tego będziesz chciała kiedyś wspominać, to może właśnie to, jak mówiłem do Ciebie...*

*Przepraszam.*

*Kosma*



W prawym górnym rogu widniała data sprzed ośmiu miesięcy.

List wypadł jej z rąk. Nie ruszyła się z miejsca, kiedy rozsypane kartki wiatr pogał przez pole razem ze spadochronami przekwitłych mleczy.

## Od Autorów

Debiutuje się tylko raz; my na swój literacki początek wybraliśmy historię o miłości. Skoro czytacie te słowa, to znak, że poznaliście ją całą – dziękujemy za zaufanie i poświęcony czas.

Przyjaciół bliższych i dalszych przepraszamy, jeśli ze zdumieniem w bohaterach tej opowieści odnajdą siebie. Najlepsze scenariusze podpowiada życie, najciekawsze historie toczą się całkiem niedaleko.

Ta opowieść będzie miała ciąg dalszy. My od niedawna wiemy jaki, Wy możecie się domyślać. Wszystko stanie się jasne już jesienią. A może wcale nie stanie się jasne? W końcu mówimy o Kosmie, a przecież on...

Autorzy serdecznie dziękują całej ekipie Czwartej Strony, a w szczególności Monice Długiej za dobrą nowinę, Robertowi Falewiczowi za elastyczność w negocjacjach i Adrianie Biernackiej za cierpliwość, opiekę nad projektem i zrozumienie naszych potrzeb.

Szczególne podziękowania chcemy złożyć Karolinie Borowiec, która swobodny, niefrasobliwy i spontaniczny potok słów, który znalazł się w pierwopisie, ubrała w formę miłą dla oka Czytelnika. I nadal chce z nami pracować, choć konsekwentnie bronimy stanowiska, że średnik powinien w tej powieści pojawiać się częściej...

Pierwszym recenzentem *Napisz do mnie* był Mirosław Słapik. Wiedzieliśmy, że tworzymy fajną historię, ale to on sprawił, że odważyliśmy się ją wypuścić w świat. Mirku, dziękujemy!